

SYBIR 1 VOL PUNK



MICHAŁ

GOŁKOWSKI

MICHAŁ
GOŁKOWSKI

SYBIR 1^{vol}
PUNK

ILUSTRACJE
PAWEŁ ZARĘBA

fabryka słów®
Lublin-Warszawa

COPYRIGHT © BY Michał Gołkowski
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2020

WYDANIE I
ISBN 978-83-7964-537-4

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA

Eryk Górski
Robert Łakuta

PROJEKT I ILUSTRACJA NA OKŁADCE

Dark Crayon

ILUSTRACJE I MAPA

Paweł Zaręba

REDAKCJA

Ewa Białołęcka

KOREKTA

Agnieszka Pawlikowska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ

pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



Zamówienia hurtowe
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 725 19 31/32
www.dressler.com.pl
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.

20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a

tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91

www.fabrykaslow.com.pl

e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

www.facebook.com/fabryka

[instagram.com/fabrykaslow](https://www.instagram.com/fabrykaslow)

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Mapa

/// 000 ///

/// 001 ///

/// 002 ///

/// 003 ///

/// 004 ///

/// 005 ///

/// 006 ///

/// 007 ///

/// 008 ///

/// 009 ///

/// 010 ///

/// 011 ///

/// 012 ///

/// 013 ///

/// 014 ///

/// 015 ///

/// 016 ///

Okładka

NEOSYBIRSK - ИНТЕРАКТИВНАЯ КАРТА ВЕРСИЯ 1.0
НЕЗАРЕГИСТРИРОВАННАЯ КОПИЯ



Zapora

SybirTower

Zapalniczka

10

Siedziba FSB

8

7

Novatek
Laboratories

9

4

Hotel Ojczyzna

5

6

Park im. Gorkiego

Świątynia

3

2

1

Zakład Baryszewski



NEOSYBIRSK

MIEJSKIE OBWODY NEOSYBIRSKA:

- 1. ZAJELCOWSKI 2. KALINIŃSKI 3. NOWODZIERZYŃSKI 4. CENTRALNY 5. KOLEJOWY
- 6. OKTIABRSKI 7. LENIŃSKI 8. KIROWSKI 9. PIERWOMAJSKI 10. SOWIECKI



Koszula ciała bliższa, a pieniędzy do grobu nie zabierzesz – mruknął sentencjonalnie Paweł Sobkow, patrząc na przelatujące za oknami pancерnej limuzyny lampy uliczne.

Potężny, lśniący aurus mknął po głównej magistrali NeoSybirska, prowadzącej od samego serca miasta aż ku położonemu kilkadziesiąt kilometrów dalej lotnisku. Krople deszczu bębniły o potrójną szybę przednią, rozjeżdżały się smugami po wyciągniętej w przód, agresywnej mordzie maski.

Mało co na tej trasie mogło równać się z imponującym grawilotem, prowadzonym nieomylną ręką elektronicznego kierowcy. Pomniejsze ścigacze i co lepsze samochody, bezskutecznie usiłujące dorównać prędkości maszynie, jeden za drugim zostawały z tyłu. Jeśli nawet ktoś z dognanych równał się z auruśem i nie chciał odpuścić, to automat robił delikatny, ale zauważalny trawers w jego stronę.

Nikt nie miał na tyle odwagi, by ryzykować uderzenie zbrojoną burtą ważącego przeszło sześć ton pojazdu, więc posłusznie odpuszczali i zostawali z tyłu – tam gdzie ich miejsce.

Sobkow spojrzał na zegarek o nietypowym wyświetlaczu ze wskazówkami, nawiązującym do starego, analogowego stylu: dochodziło wpół do drugiej w nocy.

Westchnął. Pół godziny do odlotu jego czarterowego odrzutowca. Akurat zdąży wejść na terminal, lyknać coś mocniejszego przed drogą i przejść kontrolę.

Nie miał ze sobą nic z wyjątkiem małej walizki podręcznej. Nic więcej zresztą nie potrzebował, zaś to, co miał, zostawiał za sobą niemalże bez żalu. Apartament, prywatny kort tenisowy, firma, zakład produkcji biokończyn... Nawet dwie kochanki nie były tym, za czym mógłby zatęsknić.

Wóz ostro wszedł w zakręt, wspinając się na ślimaka zjazdu z trasy. Biznesmen przytrzymał się uchwytu, spojrzął w bok, ku lśniącemu światłami kompleksowi portu transportowego.

Akurat padał deszcz, pierwszy od przeszło miesiąca – tak upragniony i wyczekiwany przez wszystkich w spalonym przez słońce, tonącym w duchocie NeoSybirsku. Ciężkie krople przesyconej kurzem wody uderzały o szyby, rozmazywały się długimi zaciekami na przyciemnionych oknach bocznych aurusa... Aż gotów byłby pomyśleć, że nie było tu tak źle, że można by zostać!

Ale nie. Sprawy zaszły zbyt daleko i zdecydowanie należało zmienić klimat.

Limuzyna zahamowała ostro, zwalniając przed podjazdem na terminal, aż w końcu zatrzymała się tuż przed wejściem, wprost pod zakazem wjazdu. Któryś z chowających się przed deszczem kierowców taksówek od razu ruszył, gotów zrobić bezczelnemu przybyszowi awanturę, ale zauważył oznakowania K-Mer Corporation na drzwiach i zatrzymał się w pół kroku – z tą firmą lepiej było nie zadzierać.

Drzwi podniosły się, do środka wpadło wilgotne, lepkie powietrze. Sobkow chwycił swoją walizkę, szybko wysiadł z wozu i ruszył ku wejściu; za nim podążyli niczym cienie dwaj barczyści ochroniarze w przydymionych okularach, którzy wysiedli z przedniego przedziału pasażerskiego.

Reklamy zamigotały natrętnie, gdy tylko wszedł w zasięg czujników, od razu bezbłędnie odczytujących poziom zdolności kredytowej z czipa w nadgarstku. Zazwyczaj lubił pozwolić sobie na chwilę słabości i podczas każdej podróży kupował jakąś mało istotną błyskotkę... Ale tym razem naprawdę nie był w nastroju.

– Opcja: wygaś wszystkie – mruknął pod nosem.

Moduł rozpoznawania głosu odczytał wgraną komendę, reklamy w zasięgu jego wzroku zgasły. Kilku stojących nieopodal ludzi spojrzało ze zdumieniem na martwe wyświetlacze, typ w podświetlonym diodami zielonkawym futrze gwizdnął z uznaniem: no, no, niezła rozrzutność, żeby za kasę gasić nośniki!

Sobkow jednak nawet tego nie zarejestrował, szybkim krokiem maszerując prosto ku linii odpraw.

Fotokomórka, potem druga. Kontrola bezpieczeństwa, konieczność pokazania, że dwaj ochroniarze mają pozwolenia na wszystko, co wisi u każdego z nich pod pachą. Bramka wykrywacza, prześwietlenie. Przekierowanie do strefy VIP. Sczytanie siatkówki, kontrola czipów... W końcu przyłożenie ręki do skanera, a potem już

tylko uśmiechnięta, długonoga dziewczyna, pokazująca drogę do wynajętego saloniku. Coś do picia, gazeta? Może kanapkę z kawiozem?

– Setkę wódki z cytryną. Tylko dobrze zmrożoną! – warknął mężczyzna. Kelnerka uśmiechnęła się i zaszcebiotała:

– Naturalnie, panie Sobkow. Postaram się znaleźć najzimniejszą butelkę.

Dziewczyna wyszła, on opadł ciężko na miękki fotel, pokazał dwóm przybocznym: spocznij, tutaj nic się nie stanie.

Gest był zupełnie zbędny, bo nie za to im płacono, żeby mieli w jakiegokolwiek chwili opuszczać gardę. Fakt, że on poczuł się na moment bezpieczniej, nie znaczył wcale, że oni mieli prawo tak myśleć... Jednak pomimo tego, co widział już w życiu i co czasami robił, nie zatracił resztki ludzkich odruchów.

Nawet służący to przecież człowiek, powtarzał często.

Podniósł się i przesiadł na miejsce bliżej okna. Jego samolot już przysuwał się pod rękaw terminala, więc tylko patrzeć, jak wezwą ich do wyjścia. Jak dobrze pójdzie, to dziewczyna nawet nie zdąży...

Syknęły odsuwające się drzwi, za którymi przed chwilą zniknęła kelnerka.

– I jak, udało się... – zaczął Sobkow, ale nie dokończył.

Błysnęło oślepiająco i huknęło tak, że aż zadrżały wzmocnione szyby. Oparcie fotela, na którym przed chwilą siedział, dosłownie rozleciało się na strzępy, gdy kula rozerwała plecy mebla, wychodząc przez pikowaną czerwoną alt-skorę w fontannie odłamków plastiku i aluminium.

Sobkow odruchowo wtulił głowę w ramiona i rzucił się na ziemię. Nawyk i trauma, pozostałe po ataku terrorystycznym w moskiewskim metrze kilka lat wcześniej, uratowały mu życie – stojąca za fotelem lampa rozprysła się na tysiąc kawałków kwarcu, kula trzasnęła o szybę i zrykoszetowała w kontuar, zostawiając wzmocnione szkło pokryte pajęczyną pęknięć.

Ochroniarze zareagowali jeszcze szybciej od swojego bossa.

Ten większy i szerszy od razu rzucił się ku klientowi, gotów zasłonić go własnym ciałem... I nie na darmo, bo trzeci pocisk trafił go w piersi, rzucił w tył niczym szmacianą lalkę. Mimo to kamizelka kuloodporna wytrzymała, a on nie wypuścił z ręki już dobytego pistoletu maszynowego i pociągnął długą serią na oślep w kierunku drzwi, skąd padły strzały.

Drugi z najętych siepaczy nie zaprzętał sobie nawet głowy próbą dobycia broni; stojąc bezpośrednio przy drzwiach, od razu

wyszarpnął z za pasa elektropalękę i zamachnął się, chcąc uderzyć zabójcę w wyciągniętą rękę.

Sobkow widział to wszystko kątem oka, rejestrując oraz rozumiejąc wyłącznie dzięki wszczepionemu modułowi analitycznemu. Do tej pory używał go do zabawy w kasynie i zabawy na giełdzie, a tutaj...

Trafiony ochroniarz w kamizelce sapnął ciężko, uderzył plecami o kanapę i zjechał prosto na Sobkova, przygniatając biznesmena do ziemi. Już chciał się poderwać – ale wtedy czwarta kula znów uderzyła dokładnie tam, gdzie poprzednia.

Kamizelka nie wytrzymała, nie wytrzymały też skryte pod nią mostek, płuca i serce. Kula odbiła się od płyty na plecach i wróciła, po czym koziołkując, zrykoszetowała jeszcze raz od pancerza na piersiach, zamieniając wszystko pośrodku w krwawą miazgę.

Sobkow, jeszcze niezdający sobie sprawy z poświęcenia przybocznego, wrzasnął głośno i spróbował wydostać się spod ciała.

Drugi ochroniarz uderzył pałką – błysnął i trzasnął łuk elektryczny, rozszedł się swąd topniejącego plastiku i zwęglonej nanoskóry. Napastnik wypuścił broń z ręki, wywinął się w bok – ale sparaliżowane wyładowaniem mięśnie odmówiły posłuszeństwa, potknął się i poleciał na ziemię.

Mimo że martwy już teraz goryl strzelał niemalże na oślep, to trzy wypuszczone przezeń kule sięgnęły celu. Żadna z nich nie strzaskała ani nawet nie naruszyła tytanowego szkieletu, który zastępował kruche i łamliwe kości zabójcy, ale przecież tytan obłożony był w ludzkie ciało... A to, nawet naszprycowane dopalaczami i z wyłączonymi receptorami bólu, słabło i odmawiało posłuszeństwa.

Ochroniarz skoczył ku przeciwnikowi, uderzył od góry nogą – ale zabójca tylko przetoczył się, żelazny obcas uderzył w podłogę z hukiem, krusząc ceramiczne płytki. Kolejny cios pałką, znów pudło, trzeci sięgnął celu, ale napastnik przyjął go na tę samą rękę, na której spod stopionego rękawa widać było poczerńiałą nanoskórę i przebłyskujący metal...

A potem nagle zapadła cisza. Nagła, nieruchoma, napięta cisza.

Sobkow zepchnął z siebie trupa, nawet nie podnosząc głowy, przeczołgał się za kanapę, wyrzwał za róg.

Ponad przewróconym stolikiem z gazetami widział ochroniarza, nachylonego nad napastnikiem, ze wciąż wzniesioną do ciosu pałką. Łuk elektryczny trzaskał lekko i przeskakiwał pomiędzy elektrodami, ale broń nie opadała. Na twarzy tamtego widać było

napięcie, na czole wystąpiła pulsująca żyła, twarz przybrała kolor głębokiej czerwieni...

I wtedy moduł analityczny Sobkova podświetlił mu pomarańczową obwódką wystający z pleców ochroniarza lśniący, ostry kawał stali.

Zabójca rozprostował palce zaciśniętej w pięść prawej dłoni, ostrze w okamgnieniu schowało się z powrotem do podskórnej pochwy na przedramieniu. Ochroniarz sapnął, zacharczał i kaszlnął krwią, opadł w przód, ale napastnik odepchnął go do tej pory zgiętą w kolanie nogą i odrzucił do tyłu.

Sobkow pisnął i zaczął czołgać się z powrotem. Tamten jest trafiony, powtarzał sobie. Zdążę dotrzeć do drugich drzwi! Ochrona lotniska zaraz tu będzie, a wtedy...

Zamarł, widząc na podłodze przed sobą spiczasto zakończony nosek skózanego buta na niewysokim obcasie. Podniósł wzrok wyżej, na obłózione w taką samą, czarną i lśniąca skórę kolano, potem udo, po którym ściekała strużka krwi.

Spojrzał w twarz napastnika, a w zasadzie: napastniczki.

Nie powinna żyć, pomyślał. Nie miała prawa już żyć. Nawet biorąc poprawkę na tytanowy szkielet, same obrażenia organów wewnętrznych powinny ją wykończyć... Dostała trzy kule! Widział ziejącą dziurę w prawym ramieniu, wyrwę na wysokości żeber i zapewne śmiertelną ranę podbrzusza.

Kobieta nachyliła się nad nim, uśmiechnęła do połowy spalonymi przez uderzenie elektropałki kształtnymi ustami, widocznymi spod zasłony lekkiego hełmu bojowego.

I dopiero wtedy Sobkow poczuł, że naprawdę, ale to naprawdę się boi.

Bo nawet teraz widział, jak zwęglona tkanka się regeneruje.

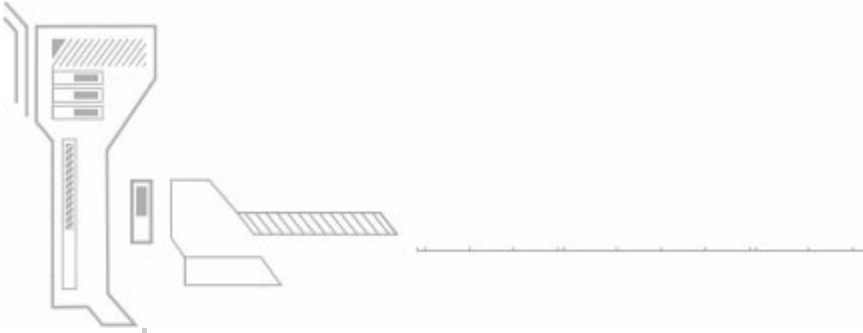
– Zapłacę... zapłacę ci więcej niż oni! Ile tylko chcesz! – wyrzucił z siebie.

Kobieta pokręciła głową, wygięła usta w podkówkę.

– Nie zabijaj mnie, błagam! – jęknął, widząc, jak lufa pistoletu unosi się i spogląda mu prosto w twarz.

– Obawiam się, że muszę – szepnęła, a w jej głosie dało się wyczuć prawdziwy, nieudawany żal.

Paweł Sobkow zacisnął powieki na ułamek sekundy przed tym, jak pociągnęła za spust.



Dzieeeeeeeń dobry, mieszkańcy NeoSybirsk! Zegarek właśnie pokazał nam południe, mamy piękny, letni, może nieco zbyt upalny dzień...!

...zbliżających się wyborów. Eksperti uważają, że poparcie, jakie wypracował sobie przez lata gubernator Akimov, zaprocentuje i tym razem...

Powtarzam raz jeszcze. Sytuacja na drogach jest katastrofalna! Jeśli nic nie zrobić, to za pięć lat...

...najlepsze opony w najlepszej cenie.



Uważam się za człowieka stosunkowo zamożnego.

Podniosłem wzrok znad talerza z prawdziwego szkła, na którym w artystycznym nieładzie leżały pomieszane z prawdziwą grillowaną wołowiną wąskie paski prawdziwych warzyw, spryskane idealnie okrągłymi, równymi kroplami gęstego, prawdziwego octu balsamicznego.

Przynajmniej tak głosiło wyświetlone nad talerzem holograficzne menu; nigdy w życiu nie próbowałem ani prawdziwego, ani nawet syntetycznego octu balsamicznego, więc musiałem wierzyć na słowo.

A wierzenie na słowo w tych czasach było, delikatnie mówiąc, retro.

– Z całą pewnością tak jest. – Przełknąłem kęs, otarłem usta zaskakująco miękką serwetką i sięgnąłem po szklankę. – Oczywiście, wszystko zależy od punktu odniesienia.

Skrzywiłem się, kiedy sos tabasco zapiekł w usta. Szczerze mówiąc, sok pomidorowy akurat wolę bez niego, ale mój rozmówca chyba nawet nie zarejestrował faktu, że mógłbym pić coś innego niż on, i po prostu zamówił dla mnie to samo.

Siedzący naprzeciwko mnie człowiek, rozwalony w niedbałej pozie na idealnie czystym, miękkim fotelu w lobby barze jednego z najlepszych hoteli nie to, że miasta, ale zapewne całej Federacji, odwrócił się i popatrzył ponad szklami niebieskich okularów.

– Myślę, że doskonale pan wie, co jest moim punktem odniesienia. – mężczyzna uśmiechnął się samymi ustami. – A w zasadzie KTO.

Daniłow, tak mi się przedstawił, przez chwilę jak gdyby szukał w mojej twarzy śladu reakcji na tę jakże ewidentną zaczepkę. Pokiwałem tylko głową.

Na zewnątrz było upiornie gorąco. Słońce wisiało bezlitosną kulą żaru nad pokrytym pyłem NeoSybirskiem, który zdążył już zapomnieć o padającym nocą deszczu. Woda spłynęła po betonie, zostawiła brudne plamy na szkłe i kolejne kwasowe odbarwienia na metalu, po czym odparowała.

Zostało po niej tylko przesycone wilgocią powietrze, które teraz oklejało skórę cienką warstewką potu i brudu.

Brałem dziś prysznic dwa razy, a mimo to nadal miałem wrażenie, że cały aż się lepę.

Tutaj, za potrójnymi szybami przyciemnionych okien, światło tylko drażniło oczy, ale panował przyjemny, kojący chłodek. Schowane gdzieś wysoko, ponad najwyższym piętrem wieżowca potężne klimatyzatory niestrudzenie zasysały ciężki od wyziewów fabryk i zakładów smog, przepuszczały przez zestaw filtrów i tłoczyły zimne, idealnie czyste powietrze przez nawiewy, ukryte pośród wyszukanych detali architektonicznych imponującego wnętrza.

Blask dnia był tu tylko elementem wystroju, podobnie zresztą jak widok na miasto.

Nie wiem i nie chcę wiedzieć, ile bloków starego NeoSybirka zostało planowo przeznaczonych pod rozbiórkę, przemocą wysiedlonych i wyburzonych, żeby siedzący w lobby hotelu Ojczyzna goście mieli widok na rzekę i panoramę metropolii... Ale robiło to wrażenie, nie da się zaprzeczyć.

Za pieniądze można było kupić wszystko, przede wszystkim piękno.

– To oczywiście. Czy nie uważa pan jednak, że byłoby zasadne, żeby...

Urwałem, widząc minimalnie zauważalny grymas na jego twarzy. Sięgnął do kieszeni niebieskiej marynarki, wyciągnął tablet oprawiony w niebieski plastik.

Kto dziś używa jeszcze tabletek?! – pomyślałem.

Daniłow w ogóle był dziwny, tego byłem pewien już po półgodzinnej znajomości. Niski, wręcz mały, ubrany cały w odcienie i wariacje niebieskiego. Porozumiewający się stwierdzeniami, oświadczeniami w zasadzie. Przeskakujący z myśli na myśl, jak gdyby prowadził ze sobą wewnętrzny dialog.

Wyjął staromodny rysik, puknął w ekran. Coś przesunął. Przez chwilę patrzył na wyświetlacz, jak gdyby zapominając, że w ogóle tu jestem.

– Omówiliśmy już tę kwestię i nie widzę zasadności powracania

do niej. Przyjąłem do wiadomości pańskie zastrzeżenia, więc może pan uważać, że zostałem należycie uprzedzony. W niczym nie zmienia to natury powierzonego panu zadania.

Nie spojrział nawet na mnie, mówiąc przed siebie i nieustannie przewijając jakieś informacje na ekranie. Daniłow rzadko patrzył rozmówcom w oczy. Nie wynikało to jednak ze słabości charakteru ani chęci uniknięcia konfliktu.

Uwierzcie mi: naprawdę nie.

– Oczywiście – przytaknąłem, odkrawając kolejny fragment idealnie wysmażonego mięsa. Ciekawe, czy jakbym odkładał cały mięsiąc, to byłoby mnie stać na taki stek? – Czy mogę zatem uważać, że kwestie natury finansowej...

– Niech pan odeśle po prostu umowę ze wstawionymi cyframi. – Daniłow zamknął pokrowiec i odłożył tablet.

– Ale... nie uzgodniliśmy jeszcze procentów.

– Tak.

Pozwoliłem sobie wygrać trochę czasu, dokładnie, pieczołowicie wręcz przeżuwać kolejny kęs. Jednocześnie moje myśli biegły jak oszalałe, a mózg pracował na najwyższych obrotach, usiłując wyliczyć kwotę na tyle wysoką, by zlecenie było naprawdę opłacalne, a zarazem taką, która nie wyda się Daniłowowi oburzająco wygórowana.

Nie chodziło o to, że nie zapłaciliby mi tych pieniędzy.

Bąłem się raczej tego, że spojrzy prosto na mnie i powie: „Proszę teraz przedstawić mi swój tok rozumowania” – a wiedziałem, że wtedy będzie miał mnie na widelcu.

Bynajmniej nie dlatego, że nie potrafiłbym tego zrobić... Po prostu wiedziałem, że cokolwiek powiem, on będzie miał od razu gotowy kontrargument, którego nie będę mógł podważyć.

Miałem miazdzącą świadomość tego, że negocjacje z nim to fikcja, bo on i tak doskonale wie od samego początku, ile mi zapłaci.

Pytanie brzmiało tylko: czy zgadnę za pierwszym razem, czy będzie miał ochotę się ze mną wcześniej pobawić.

– Dwa – wydusiłem w końcu przez ściśnięte gardło.

Nie zabrzmiało to tak, jak sobie wymarzyłem, hardo i pewnie; wyszło coś pośredniego pomiędzy kaszlnięciem a stłumionym jękiem, zdecydowanie za wysokim na końcowej nucie.

Daniłow sięgnął znów po swój tablet, włączył. Tym razem trzymał go tak, że mogłem spojrzeć na ekran... I aż poczułem, jak robi mi się gorąco.

On na nim pisał!

Nie to, że klawiaturą: ręcznie pisał! Widziałem różnokolorowe szlaczki wykaligrafowanych liter, jakieś notatki, punkty... Przełączył kolor na czerwony, nabazgrał coś, postawił kropkę. Wyłączył, schował do kieszeni niebieskiej marynarki, na której rękaw nie byłoby stać mnie i wszystkich moich znajomych, gdybyśmy nawet pracowali każdy po pięćdziesiąt lat bez przerwy.

Przekręcił głowę i popatrzył na mnie; jego twarz nie wyrażała dokładnie nic. Na lekko przydymionych szklach niebieskich okularów przesuwały się z góry na dół rzędkie informacji, liter i cyfr, wyskakiwały jakieś powiadomienia.

– Dobrze – powiedział po prostu.

Świat zawirował, kiedy dwa diametralnie rozbieżne uczucia szarpnęły moją świadomością niczym przeciwstawne sobie ośrodki wysokiego i niskiego ciśnienia, na których styku powstają burze, równające ze sobą całe osiedla mieszkaniowe na pograniczu tundry.

A niech mnie, łyknął to! Dwa procent od sumy, o której mówił, to... to... To więcej, niż zarobiłem przez ostatnie pięć lat! Tak po prostu się zgodził!

A niech mnie, łyknął to – więc mogłem powiedzieć trzy. Albo chociaż dwa i pół. Albo dwa koma dwa pięć... Skrewiłem, sprzedałem się po tanioci.

– Czy moglibyśmy w dodatku do tego... – zacząłem, ale on wymownym gestem poklepał się po kieszeni.

– Dwa. Czy jest coś, o co chce pan jeszcze zapytać?

– Nie, wydaje mi się, że wiem wszystko. Dane, o których pan wspominał, kiedy mogę je dostać?

– Już.

Zapadła cisza. Przez chwilę spoglądałem na Daniłowa wyczekująco, potem on sięgnął do innej kieszeni i położył na stoliku kartę pamięci.

Karta pamięci. Ostatni raz używałem czegoś takiego, jak miałem... pięć lat? Osiem? No może dwanaście, nieważne. Dzisiaj wszystko szło przez Strumień, nikt nie używał nośników fizycznych!

Nikt, poza upiornie bogatym Daniłowem, który przyleciał do NeoSybirsk tylko po to, żeby spotkać się ze mną.

Zgarnąłem kartę z blatu, próbując nie dać poznać po sobie, jak bardzo nie wiem, co zrobić z nią dalej. Gdzie ja to odczytam, na czym? Skąd dziś wziąć urządzenie, do którego można to wpiąć? I jak potem przekonwertować do formatu pod wejście osobiste?

I wtedy do mnie dotarło: te informacje nie mogły trafić do mojego portu, nie mogłem ich wprowadzić do swojej puli danych.

Nie mogły nawet dotknąć Strumienia, bo... Bo nie.

Daniłow jak gdyby czytał moje myśli, gdyż pokiwał głową.

– Cieszę się, że osiągnęliśmy porozumienie. Rekomendujące pana osoby wypowiadały się bardzo pochlebnie o pańskiej dyskrecji.

– Tak – przytaknąłem tylko, nie mając pojęcia, kogo może mieć na myśli.

– Jeśli więc mamy omówione wszystko, to będę czekał na informacje. Kiedy będzie pan gotów przystąpić do pracy?

– No cóż. Mam kilka spraw, które muszę dokończyć, więc myślę, że... – zająknąłem się, widząc jego wzrok. – Niezwłocznie, jeszcze dziś.

Wstał, wyciągnął do mnie dłoń. Spotkanie było skończone.

– Dobrze. Zjawię się w mieście za jakieś dwa tygodnie. Mam nadzieję, że znajdzie pan czas na wspólny obiad?

To spotkanie, ta rozmowa była dla mnie jak dotknięcie nieba. Niczym autokarowa wycieczka objazdowa po rajach ze wszystkimi jego bajarami. Klimatyzacja, czyste powietrze, czyste żarcie... Czyste kible, splukiwane czystą wodą! Wszystko było ładne, nowe i takie eleganckie.

Ten hotel, to jedzenie, cały ten mikrokosmos świata bogatych ludzi. Perfekcyjny bąbel marzeń. Równie dobrze moglibyśmy funkcjonować bez świata zewnętrznego, zawieszeni w idealnej, sterylnej pustce. Nieustannie stabilni w zadanej przez system temperaturze, doskonale na koszulę z mankietem, marynarkę i krawat.

A teraz spotkanie się kończyło. Autokar wycieczkowy podjeżdżał do ostatniego przystanku, gdzie już czekała na mnie winda, mająca zwieźć mnie z powrotem do piekła, które nazywałem życiem.

Przełknąłem ślinę, patrząc na niedojedzoną porcję. Ciekawe, czy zapakują mi na wynos, jak poproszę...? Nie, pewnie nie.

– Oczywiście. W dowolnej chwili.

– Powodzenia zatem, przyda się panu.

Potrząsnął moją ręką mocno, zdecydowanie. Zapiąłem przyciasną, niewygodną i zapewne niemodną marynarkę, wymamrotałem jakieś pożegnanie i ruszyłem ku wyjściu.

– Do widzenia, panie Khudovec, hotel Ojczyzna zaprasza ponownie! – zaszczebotała cycata recepcjonistka zza kontuaru, kiedy byłem już przy drzwiach.

Drgnąłem jak smagnięty batem, obróciłem do niej. Pełne usta rozciągnęły się w uśmiechu, pokazując dwa rzędy idealnie równych, praktycznie identycznych zębów.

Ciekawe, ile musiały kosztować takie zęby i taki uśmiech? A może była po prostu androidem, podpiętym do systemu rezerwacji hotelowych przez wiązkę schowanych pod ladą kabli?

No tak, identyfikacja wchodzących, pomyślałem sobie. Tylko spokojnie, Chudy, bez nerwów. Przecież w takich miejscach mają pełną kartotekę wejść i wyjść. A jako że siedziałem tam, jadłem i piłem... Pewnie mieli już o mnie komplet informacji, z grupą krwi i długością członka włącznie.

– Czy możemy zaoferować panu jakieś dodatkowe usługi, panie Khudovec? – Przekręciła głowę filuternie i puściła do mnie oko.

Android na sto procent. Sczytuje teraz moje reakcje skórne, rejestruje przyspieszone tętno, widzi ciepłotę ciała, zmieniające się ukrwienie i dostosowuje bieg rozmowy do zachowań.

A ja nie cierpię androidów.

No nie cierpię i nic na to nie poradzę, mimo że w tej chwili można to cholerstwo spotkać coraz częściej, niemalże na każdym kroku. Jakoś tak patrzę na nie i... i aż mnie wstrząsa.

To samo mam ze starymi ludźmi i upośledzonymi dziećmi. Nie to, że się nimi brzydzę czy gardzę, nic z tych rzeczy. Babcię przez ulicę przeprowadzę, dziecku nawet rękę podam. Ale po prostu nie lubię przy nich przebywać i tyle.

Z ciężkim westchnieniem po raz ostatni odetchnąłem czystą, chłodną atmosferą hotelu i przeszedłem przez pancerne obrotowe drzwi na zewnątrz.

Powietrze NeoSybirska uderzyło mnie w twarz niczym gorąca, mokra szmata do podłogi. Wiszący w powietrzu zapach dymu, spalin i rozgrzanego metalu, przepalony olej, smród kwasów i plastiku, dławiąca woń płynów ustrojowych i syntokrwii, wyrzucana przez wentylatory klinik augmentacyjnych... Smród toczącej swój bury nurt rzeki, niosącej ku niewyobrażalnie odległemu morzu hektolitry toksycznych ścieków z kopalni i zakładów przemysłowych K-Merowa.

Spojrzałem jeszcze raz tęsknym wzrokiem ku schowanemu za przyciemnionymi szybami wnętrzu z jego klimatyzacją i czystym powietrzem, a potem ruszyłem szybkim krokiem po chodniku do miejsca, gdzie zostawiłem samochód.

Udające naturalny kamień płytki szybko ustąpiły miejsca pokryciu z bardziej wytrzymałego durakwarcu, żeby po chwili zmienić się w standardowe bloczki z przemielonych odpadów produkcyjnych.

Tutaj, na obrzeżach coraz bardziej zagęszczającego się

śródmieścia, dało się jeszcze znaleźć kawałki starych chodników z betonu, albo nawet fragmenty drózek wylanych dziesięciolecia temu z asfaltu. Masa miękła podczas upału, zachowując w sobie wgłębienia po obcasach, a potem twardniała na kamień – uwieczniając ślady przejścia niczym błoto z odciskami łap dawno wymarłych dinozaurów.

Dalej, bliżej ku centrum miasta, była już tylko nowoczesność. Interaktywne chodniki z reklamami. Holograficzne okna, pokazujące spersonalizowane reklamy. Wielkie, trójwymiarowe bannery, nieustająco wyświetlające propagandowo-konsumencką sieczkę.

Nawet stąd widziałem rzędy dizajnersko jednakowych, do wyrzygania nudnych w swej zamierzonej monumentalności wieżowców, które codziennie połykały i wypluwały z siebie rozkrzyczaną, kolorową masę pochłoniętych pędem ku lepszemu jutru, wysoko wykwalifikowanych pracowników. Ludzi przeświadczonych o swojej wyjątkowości, będących w istocie całkowicie zbywalnym, powtarzalnym aktywem.

Skręciłem za róg, zanurzając się pomiędzy stare, kilkunastopiętrowe bloki. Większość miała już zamurowane wejścia, powybijane okna straszyły resztkami szyb, tablice ostrzegawcze głosiły: „Nie zbliżać się, budynek przeznaczony do rozbiórki”.

Dalej pomiędzy betonowymi megalitami widać było już potężne cielska maszyn budowlanych. Wymalowane w jaskrawy żółty kolor, oznaczone obowiązkową patriotyczną trójkolorową wstęgą uwijały się bez wytchnienia dniem i nocą, niczym robotnice w ulu, kawałek po kawałku wyburzając stare miasto, aby wznieść na jego gruzach nową, lepszą przyszłość.

No tak, w końcu do wyborów zostało niespełna trzy miesiące, więc gubernator robił, co tylko mógł, żeby wyróżnić się przed władzami centralnymi w nadziei na reelekcję. Kolejne kwartały biurowców, jeszcze więcej apartamentów dla bogaczy... Może jakiś kompleks spa albo, jeszcze lepiej, nowa szkoła z rozszerzonym wychowaniem patriotycznym? To zawsze było dobrze punktowane.

Samochód stał, jak go zostawiłem, centralnie pod zakazem. Piknął agonalnie, kiedy sensor wyczuł, że podchodzę.

– Otwórz bagażnik – powiedziałem, a kiedy nie stało się nic, powtórzyłem dobitniej: – Otwórz bagażnik, kupo złomu!

Nadal nic, więc westchnąłem ciężko i namacałem pod klapą przycisk otwierania. Siłowniki zacharczały, próbując unieść klapę,

która ani drgnęła – no tak, znów się zatarły.

Złapałem obiema rękami i czując, jak pot ścieka mi strużką po plecach, pociągnąłem klapę w górę. Poszło, chociaż z trudem; siłowniki zajęczały rozdzierająco, coś zarzęziło w mechanizmie, w końcu załapało i bagażnik zaczął otwierać się sam.

Ściągnąłem, w zasadzie zerwałem z siebie nieludzko niewygodną i zbyt ciepłą marynarkę. W pierwszym odruchu gotów byłem pizgnąć ją w zakurzone wnętrze przestrzeni ładunkowej, ale zacisnąłem tylko zęby: nie. Taki ciuch się szanuje, a przecież mam tylko jeden. Wyjąłem wieszak, rozwiesiłem, zapiąłem folię ochronną, ułożyłem równo na półce. Zacząłem rozpinąć przepoconą koszulę...

– Gorące laski w twojej okolicy szukają faceta! Zobacz, jak chętne mamuśki same chcą wskoczyć na twojego... – natrętna reklama holograficzna wyskoczyła z kamerki cofania przy zderzaku, ale po prostu pacnąłem dłonią po wyłączniku, w połowie ucinając przekaz.

– Pieprzone reklamy kontekstowe... – warknąłem, mocując się z zapięciami mankietów.

Zawsze tak wychodzi, że najpierw ściągam koszulę, a potem sobie przypominam, że trzeba rozpiąć rękawy, i wyglądam jak na wpół rozebrany debil, tańczący przy nieistniejącej rurce w klubie dla transów.

W końcu zdołałem zdjąć koszulę; zamiast ciepnąć ją na ziemię, strzepnąłem kulturalnie, też wsunąłem na wieszak i zasunąłem folię.

Z westchnieniem ulgi wciągnąłem przez głowę tiszert, a potem równie wysłużoną co solidną i wzmocnioną kurtkę. Zapiąłem suwak aż pod samą szyję, czując, jak system od razu rusza: po chwili wszyte w materiał mikroprzewody podały chłodziwo, schowane na plecach dysze promienników zaszumiały, odprowadzając nagrzanę powietrze.

– O mamusiu, jak dobrze... – jęknąłem z autentyczną błogością.

W tej chwili gotów byłem powiedzieć, że furda hotel, furda jego luksusowe wnętrze i prawdziwe jedzenie: klimakurtka, to jest to! Grzeje zimą, chłodzi latem. W dodatku filtruje pot, składując wodę w kieszeniach chłodniczych...

Większość ludzi uważała picie własnego potu, nawet tak oczyszczonego, za obrzydliwe; mnie po pobycie w Afryce mało co już ruszało.

We wnętrzu mojego wysłużonego merca było oczywiście gorąco i duszno jak w saunie. Ryknął odpalający silnik, nawiewy bluznęły

kurzem, ale już po chwili zaczęły tłoczyć zimne powietrze. Głośniki zachrypiały, potem zadudniły basem... Przerzuciłem wajchę, skręciłem kierownicę i wysunąłem się z miejsca parkingowego na pokrytą pyłem uliczkę.

– Szybko, skutecznie i dyskretnie! Masz problem, o którym wolisz nie mówić? Albo może chcesz pomóc komuś z rodziny? Pogotowie nałogowe tylko czeka na twój telefon! Wyprowadzamy z cugu syntalkoholowego, oferujemy... – Kolejna reklama zaświeciła się nad deską rozdzielczą, ale wbudowany w kierownicę układ zagłuszający sprawnie wyśledził i odciął pasmo.

Jeden wąski zaułek, drugi, trzeci... Wszędzie to samo – resztki starego miasta, jeszcze z czasów, zanim „Nowo” zamieniło się w „Neo”.

Kamieniczki, bloki, bloki, opuszczone place zabaw, zamknięte centra handlowe, więcej bloków... Snujący się pomiędzy nimi nijacy, szarzy ludzie, próbujący fluorescencyjnymi wstawkami na ubraniach pokazać, że świat jest lepszy i bardziej kolorowy niż w rzeczywistości.

Ręcznie przerzuciłem automat na niższy bieg, wcisnąłem gaz – wyminąłem i zajęchałem drogę wlokącej się jak ślimak ciężarówce, wciskając się przed nią na światłach.

Zerknąłem w lusterko wsteczne: siedzący w szoferce brodaty gastarbeiter oczywiście piekił się, rzucał, wygrażał mi pięściami i pokazywał, co zrobi mnie, matce, ojcu, siostrze i całej rodzinie, ale jakoś nie spieszył się do wysiadania. Nawet puścił sprzęgło i wcisnął gaz, chcąc najechać mi na tył, ale własne systemy wspomagania ciężarówki zahamowały gwałtownie po kilku centymetrach. Znów szarpnął w przód, maszyna stanęła dęba; po raz kolejny ryknął silnikiem, podsuwając się parę cali...

– Ej, ej, ej, zważaj se! – krzyknąłem do niego w lusterku, jednocześnie zerkając na wciąż migające czerwienią światło. No dawaj, zmieniaj się, no... – Małpo czarna ty, brudasio jeden, uderzysz mnie przecież!

W końcu światło przeskoczyło na pomarańczowe, wdusiłem gaz – merc zawył i rzucił się w przód niczym wystrzelony z katapulty. Zawinąłem z piskiem opon, prawie zahaczyłem jadącą zbyt wolno jakiś malutkim, pseudomiejskim gówienkiem paniusię i wysterowałem na środkowy pas magistrali, szybko nabierając prędkości.

Zerknąłem na zegarek: dobra nasza, powinienem się wyrobić w opłaconym czasie jeżdżenia po śródmieściu. Mogłem niby

zapłacić więcej, ale szkoda kasy, a spotkanie nie powinno było trwać tak długo... tak długo, jak potrwało.

Gubernator sam już nie wiedział, skąd brać kasę, więc wprowadzili kilka lat temu ten debilny przepis o strefie płatnego wjazdu. Że niby w ten sposób ludzie zaczną zostawiać samochody na parkingach – też płatnych, a jak – i jeździć komunikacją miejską. Również płatną, rzecz jasna.

– Niedoczekanie wasze... – warknąłem, wyprzedzając po prawej stronie wlokącego się bez sensu luksusowym grawilotem wąsacza w okularach. – Jak się ma kasę na taką brykę, to i moduł jazdy byś se mógł wszcześcić, grubasie!

Chyba wolałbym już piechotą chodzić, niż używać transportu zbiorowego. Na samą myśl o tych wszystkich spoconych, śmierdzących ludziach stłoczonych w ciasnej, nagrzaney puszcze autobusu czy metra od razu zrobiło mi się duszno. Już lepiej przemęczyć się w samochodzie, ale przynajmniej własnym! Czasami zabulić, nierzadko odstać swoje w korkach, ale przecież...

Wrzuciłem migacz, ściałem dwa pasy ostrym skrętem w lewo i wjechałem prosto w korek.

Samochód zahamował ułamek przed tym, jak wbiłem pedał w podłogę, ledwie dając radę zatrzymać merca może kilka milimetrów przed zderzakiem samochodu przede mną.

Zrobiło mi się tak gorąco, że klimakurtka aż zasyczała, odprowadzając dodatkową ciepłość ciała – ale wcale nie dlatego, że bałbym się kogoś obetrzeć.

– O nie, kochaniutcy moi. Tak się nie będziemy bawić – zamruczałem, zerkając w lusterko i sięgając do dźwigni biegów. Wrzucę wsteczny, wykręcę, pojedę kawałek pod prąd i ucieknę boczną ulicą. Przecież nie będę tu stał, bo...

I w tej właśnie chwili dognała mnie fala samochodów jadących w tę samą stronę. Przed sekundą ich tam nie było, a teraz nagle pojawiły się – po lewej, po prawej, za mną... Wszędzie! Skutecznie domykając mnie i blokując możliwość ucieczki.

– Kuuurrrr!... – Aż uderzyłem w kierownicę z wściekłością.

Dobra. Tylko spokojnie. Skoro korek dopiero się tworzy, to nie może być źle. Na pewno zaraz ruszy naprzód... O, już rusza!

Merc przetoczył się może półtora metra w przód i znów stanął razem z całą resztą maszyn.

Ze wszystkich stron otaczały mnie samochody. Stare, rżące i kaszłące, przemieszane z nowiutkimi, ledwie mruczącymi wysokoprzężnymi silnikami. Tęczowe i perłowe odcienie lakieru

mieniły się w oczach, chromowane wstawki błyszczały w promieniach palącego słońca. Dudniły basy, migały rządkami diody podświetleń, dla pełnego szpanu niewyłączanych nawet za dnia.

Wszędzie były zaawansowane technologicznie maszyny i obcy ludzie. A ja nie lubiłem ani jednych, ani drugich.

Oparłem czoło o kierownicę, oddychając głęboko. Tylko spokojnie, Chudy, tylko spokojnie. Nic się nie dzieje. To tylko korek, a ty wcale nie jesteś w nim uwięziony...

– No jedźcieżeż, do ciężkiej kurwy nędzy! – wydarłem się na całe gardło.

Korek posuwał się wolno, nieregularnie, zupełnie nie zważając na rytm gasnących i zapalających się świateł dalej na skrzyżowaniu – a ja już czułem, że skrewiłem. Oczywiście, że tańczyłem pomiędzy pasami, wciskałem się na chama przed ruszających zbyt wolno kierowców, dzięki dudniącej muzyce nie musząc słuchać ich trąbienia. Ale i tak szło to za wolno.

Zerknąłem na zegarek: zostały mi trzy minuty opłaconego czasu. Nie zdążę do wyznaczonej granicy wyjazdu ze śródmieścia, nie ma wuja. Byleby tylko nigdzie po drodze nie było...

Muzyka nagle umilkła, zamiast niej rozległo się wycie milicyjnej syreny. Dron spłynął z nieba, zawisł mi nad maską, błyskając światłami i wyświetlił strzałkę: zjedź na bok.

– Kur-wa! – wrzasnąłem, uderzając z całej siły w kierownicę. – Zasrańcu jeden, mam jeszcze dwie minuty! Debilu elektroniczny, ćwoku z popalonymi obwodami, nie widzisz? Dwie minuty! Niecałe może, ale... Aaaa!

Pojazdy po prawej stronie kulturalnie rozjechały się na boki, robiąc mi korytarz do zjazdu w zatoczkę, gdzie już czekał grawilot patrolu. Ot, jacy nagle wszyscy uprzejmi, kiedy drapieźniki sobie wybiorą ofiarę. Tak to nie było komu zjechać, nikt nie przepuścił! No tak, jak teraz sobie chłopcy z drogówki wezmą ofiarę na warsztat, to będzie minimum kwadrans spokoju dla wszystkich innych.

Przecisnąłem się pomiędzy samochodami i zjechałem na bok, ku pancерnej milicyjnej ładzie. Dron odeskortował mnie, po czym wrócił na stanowisko doczepionej do bagażnika stacji ładowania, żeby przygotować się do kolejnego połowu wśród ławicy płotek przepływających tą ogromną rzeką stali.

Gliniarz już stał, oparty o burtę wozu. Teraz odczekał tylko, aż zgaszę silnik, a potem ruszył nonszalanckim, rozkołysanym

krokiem, wymachując sobie pomalowaną w czarno-białe pasy pałką.

Podszedł, nachylił się i zapukał w okno, jak na durnych filmach.

– Dzień dobry, obywatelu. – Uśmiechnął się kwaśno, kiedy opuściłem szybę. Na czole perliły mu się kropelki potu, opływające gniazda wszczepów w skroni. – Sierżant Gniliński, główny inspektorat bezpieczeństwa ruchu drogowego. Dokumenty, prawo jazdy, zezwolenie na wjazd do strefy śródmiejskiej... Dopuszczenie techniczne toto ma?

– To nie żadne „toto” – odparłem z godnością, podając mu plik plastikowych kart. – A wjazdówkę mam jeszcze ważną. Jakiś czas przynajmniej.

– No, dokładnie... piętnaście sekund. – Szczytał skanerem kod pojazdu.

– Więc za co zostałem niby zatrzymany, he?

– Za nic, obywatelu... Khu-do-vec – przesylabizował nazwisko z ekranu. – Rutynowa kontrola kierowcy w ruchu śródmiejskim. A teraz, skoro... Ojej.

Tym ostatnim skomentował głośny, natarczywy brzęczyk swojego panelu. Obrócił i podsunął mi pod nos migający na czerwono ekran: „brak uprawnień wjazdu”.

– Gdybyście mnie nie zhaltowali, tobym zdążył wyjechać – spróbowałem po dobroci. – Towarzyszu sierżancie, bądźcie no człowiekiem. Dogadamy się jakoś, jak mundurowy z mundurowym?

– A co, wy też w służbie? – zainteresował się, a w jego oczach błysnęło coś na kształt sympatii.

– A jakże! Kapitan Aleksander Khudovec, odznaczony medalem za odwagę...

– Wojskowy, znaczy się? – Błysk zgaśł.

– No co wy? Ministerstwo Spraw Wewnętrznych! Specjalny oddział szybkiego reagowania, czwarta kompania...

– Czyli specnaz, a nie milicja. No przykro mi, obywatelu kapitanie, ale nic nie poradzę. Macie nieważną wjazdówkę, będzie mandacik... wedle taryfikatora.

Puknął przycisk, pokazał ekran. Znów zrobiło mi się gorąco: suma zdecydowanie przewyższała nie to, że moje najśmielsze oczekiwania, ale nawet możliwości płatnicze.

Przez chwilę rozważałem ucieczkę. Tak dosłownie przez okamgnienie, ułamek sekundy... Ale miał przecież drona, to raz; wszystko nagrywało się pewnie na kamerkę z radiowozu, to dwa. No a trzy, przez plecy miał przerzucony pas nośny skróconego

karabinka na wspomaganą amunicję.

Zdecydowałem się na mniej spektakularną opcję.

– Obywatelu sierżancie... – zaskamlałem, ale było za późno: pieprzony służbista przyłożył kciuk do czytnika, zatwierdzając nałożenie kary.

Zgodnie z oczekiwaniami urządzenie zabuczało: odmowa płatności.

– Uuu, obywatelu kapitanie. Nie dość, że jeździ się bez wejściówki, to jeszcze bez środków na koncie? – zacukał się milicjant. – Obawiam się, że w takim razie będę musiał wezwać holownik. Otwórzcie bagażnik do inspekcji.

– Człowieku, miej Boga w sercu. – Złożyłem ręce. – Ten samochód to moje życie, mój dom, moja matka i kochanka! Jeśli mi go odholujesz, to równie dobrze możesz od razu mnie zastrzelić!

Nie było to do końca prawdą. Natomiast jeśli zaczniesz grzebać w kufrze, to istniała duża szansa, że faktycznie mnie zastrzeli... A w każdym razie wezwie grupę interwencyjną, a wtedy się już nie wywinę.

W ogóle się nie wywinę, bo mnie aresztują i docelowo wsadzą. Albo i ześlą do kolonii karnej.

– Otwórzcie bagażnik – powtórzył służbista.

– Panie sierżancie, dogadajmy się jakoś. Przecież jak mundurowy z mundurowym, nie? Zamiast kredytować, to ja wolę opłacić gotówką na miejscu...

– Próbujecie przekupić funkcjonariusza? – zapytał.

Zawahałem się. To było jak obstawianie rzutu monetą.

– Tak? – zaryzykowałem.

– Przykro mi, ale nie mogę. Nawet teraz nas tamten skurwieli, o, nagrywa. – Sierżant nagle odezwał się zupełnie innym, prawie że ludzkim tonem, pokazując na przycupniętego na milicyjnym grawilocie drona. – Dziś wezmę, a jutro mnie z pracy wywalą.

– A jakby go na patrol wysłać? – zaproponowałem. – Niech monitoruje ruch na skrzyżowaniu. O, tam ktoś niebezpiecznie jedzie!

– Nie da się, dopóki nie zamknę tutaj interwencji. To co, proszę otworzyć bagażnik, obywatelu kierowco?

– Ale przecież... Człowieku, nie możesz mnie odholować!

– Muszę. No co ja poradzę? – Rozłożył ręce w geście bezradności.

– Jeśli nie ma środków, to...

Puknął jeszcze raz w urządzenie, żeby pokazać mi, że płatność nie przechodzi.

Wysokie, przyjemne „bidiblip!” pieniędzy schodzących z konta odezwało się najbardziej zaskakującym dźwiękiem mojego życia, odkąd chcącemu zastrzelić mnie z przyłożenia typowi nie odpaliła spłonka w naboju.

Gliniarz popatrzył na ekran, pokiwał głową.

– ...? – zapytałem bezgłośnie.

– No cóż, wygląda na to, że mandat opłacono. I to nawet ze zniżką za płatność natychmiastową.

– ...?

– Dziękuję, towarzyszu kapitanie, życzę miłego dnia.

Oddał mi karty, zsalutował i pokazał pałką: jechać dalej.

Jak na autopilocie odpaliłem silnik, zamknąłem szybę i włączyłem się do ruchu. Korek oczywiście już się rozładowywał, samochody posuwały się jako tako naprzód... W głowie miałem pustkę, w lusterku wciąż widziałem radiowóz na migałkach i drona, startującego na kolejny połów.

Byle nie zrobić nic głupiego. Zniknąć w tłumie, rozpuścić się w masie pojazdów. Nie zwrócić na siebie uwagi, bo wtedy sprawdzą płatność i wyjdzie im nieuniknienie, że to był błąd systemu.

Bo to musiał być błąd systemu.

Wreszcie wytoczyłem się poza bramki graniczne śródmieścia, ruch minimalnie zelżał. Zjechałem ślimakiem, potem na rozjeździe na swój zjazd... Wreszcie włączyłem autopilota, który stąd powinien już sobie poradzić z nawigacją.

– Dom – rzuciłem krótko, ostrożnie puszczając kierownicę. Nadal nie ufałem tym nowoczesnym zabawkom... No ale takie czasy, co zrobisz.

Wyciągnąłem panel dostępu, wstukałem swoje hasło, pokazałem lewe oko, przycisnąłem mały palec lewej ręki i tak dalej. W końcu przegryzłem się przez milion reklam, uzyskując dostęp do panelu konta bankowego, gdzie powinno być małe, ze wskazaniem na nic, a było...

– O cie choroba! – Aż świsnąłem przez zęby.

Ilość pieniędzy, które powinny znajdować się na moim koncie, była nieledwie końcówką innej sumy. Większej. O wiele większej.

Lekko drżącym z emocji palcem przewinałem historię rachunku, zatrzymałem się na ostatnim wpisie, dokonanym nieledwie pół godziny wcześniej. Dokładnie wtedy, kiedy gadałem z milicjantem... Szybkie przeliczenie: równo dwa procent od dwóch procent pieniędzy, na których odzyskanie umówiłem się z Daniłowem.

Szczegóły przelewu. Kontrahent widoczny, jakaś moskiewska

filia banku, którego trzyliterowa nazwa nic mi nie mówiła. Tytułem... No tak.

Wypuściłem z sykiem powietrze, opadłem na oparcie fotela. „Zaliczka na poczet”.

Zaliczka, nie zadatek. Różnica niby kosmetyczna, a taka kosmetyka potrafi niejednego puścić z torbami – bo zadatek jest bezwrotny, a zaliczkę trzeba w razie niepowodzenia oddać.

Zasraniec Daniłow właśnie bardzo, ale to bardzo skutecznie mnie kupił, i teraz po prostu nie mogłem wycofać się z zaproponowanej mi roboty.

Przypadek? Zbieg okoliczności? Czy może celowe działanie? – zastanawiałem się. Czy mógł mieć dostęp do mojego konta, widzieć stan środków? Albo korzystać z monitoringu milicyjnego drona?

Raczej nie, bo mając takie możliwości, sam dawno już znalazłby swojego dłużnika.

Natomiast mógł obserwować moje konto i dostać powiadomienie o próbie wejścia na debet, którego oczywiście żaden bank nie przyznał mi od dobrych kilkunastu lat.

Tak czy inaczej, miał mnie w kieszeni – mając marchewką pozostałych dziewięćdziesięciu ośmiu procent od dwóch procent, a jednocześnie w tle grożąc kijkiem konieczności zwrotu tego, czego nie miałem inaczej szansy zwrócić.

Mogłem albo wycofać się teraz, albo iść w to głębiej.

Wybór był prosty.

Szarpnąłem za kierownicę, kładąc merca w ostry trawers ku najbliższemu zjazdowi z trasy. Autopilot zabrzączał ostrzegawczo, zapiszczały hamulce samochodu po mojej prawej, ktoś zatrąbił długo, przeciągle... Ale ja byłem już na ślimaku, kładąc się na drzwiach w wirażu.

Zajechałem pod stację benzynową w chmurze pyłu, zahamowałem gwałtownie pod dystrybutorem. Popatrzyłem na oznaczenia paliwa, na stojący nieco dalej automat. Z chrzęstem wrzuciłem wsteczny, wycofałem i przejechałem pod mieniący się neonowym blaskiem znaczek diesla klasy premium.

– Do pełna, pod korek! – rzuciłem mijając automatycznego serwisanta, który już zdejmował z uchwytu połączony z ramieniem pistolet nalewaka. – Umyj od razu szyby... I doładuj klimatyzację!

Odprowadzany pełnymi zawiści spojrzeniami innych klientów stacji, zmuszonych samodzielnie nalewać sobie paliwo z poobijanych dystrybutorów na ręcznie wsadzane karty kredytowe, zwawym krokiem wparowałem do sklepiku.

Przeszedłem się między półkami, próbując nie zwracać uwagi na wyjątkowo natrętne i doskonale trafiające w mój gust reklamy prezerwatyw i środków na potencję, wybrałem z półek kilka pakietów prawie-że-naturalnego jedzenia, złapałem do tego z chłodziarki butlę soku i pół litra czystej. Podszedłem do kasy, dźgnąłem palcem w obracające się na ruszcie parówki z syntobiałka i soi.

– Jedną mega o smaku mięsa, ze wszystkimi dodatkami.

Sprzedawczyni spojrzała na mnie z nieskrywanym podziwem, wyciągnęła z opakowania nienaturalnie białą bułkę i zaczęła upychać do niej udające warzywa kawałki tofu.

Tak, to żarcie nadal było głównem dla kogoś, kto tak jak ja pamiętał czasy sprzed Wielkiego Kryzysu. Było głównem nawet dla kogoś dwa razy ode mnie młodszego... Ale przynajmniej to głównie smakowało porządnie i można było się nim najeść.

Kosztowało, ma się rozumieć, adekwatnie, ale szczytałem tylko czipa z ręki i już było moje. Transakcja przeszła błyskawicznie, jak gdyby sama ilość pieniędzy na koncie naciskała na czytnik, wołając: wypuść nas, wypuść! Daj nam się pobawić, puść nas w świat!

Kolejne drobne skurwysyństwo systemu, który z założenia doił każdego, kto miał w cycku chociażby kropelkę mleka.

Dumnie odebrałem swoją parówkę zawiniętą w ociekającą sosem bułkę, szeleszcząc reklamówką z logo RusOil, wsiałem do samochodu, którego szyby aż lśniły czystością.

– No dobra, dziecino, zobaczmy, czym cię napompowali... – mruknąłem, wciskając guzik startu.

Silnik zawarczał i ryknął pełną mocą, po raz pierwszy od ćwierć wieku dostając paliwo, do jakiego został stworzony. Kontrolka ostrzegawcza wtrysków zamigotała i zgasła, co zdarzyło się po raz pierwszy za mojej pamięci. Rura wydechowa bluznęła siwo-czarno-fioletową chmurą niedopalonych resztek z katalizatora, skutecznie spowijając stojącego za mną w kolejce terenowego żyguli na złotych felgach.

Kierowca wyskoczył z kabiny, wywijając nad głową niklowaną gazurką, ale ja już z piskiem opon wyrwałem naprzód, zostawiając go ze smrodem palonej gumy w nozdrzach i czarnym osadem kopia na twarzy.

Merc wyskoczył na trasę, jakby pod maską siedział mu sam diabeł. Bez trudu wyprzedziłem po prawej niechcąc ustąpić mi pierwszeństwa ciężarówkę, wpasowałem się przed sportowy półkabriolet i zająłem należne mi miejsce na lewym pasie, jak

drapieżnikowi szos przystało.

– Tak, dziecino, tak! Chudy wrócił do miasta! – zapałem radośnie, wrzucając najwyższy bieg.

Rozkręciłem odtwarzacz na pełny regulator, basy wypełniły całą dostępną przestrzeń, rezonując ze schowanymi pod podłogą bagażnika czterema dwudziestolitrowymi pojemnikami pełnymi syntadrenaliny i pseudokortyzonu. Ech, jak za dawnych, dobrych lat...

Upajałem się jazdą przez chwilę, ale potem mózg zapukał w dekiel: halo, to nie pora na szczeniacki szpan. Mamy robotę do wykonania.

Wywołałem ekran nawigatora, wstukałem w wyblakły hologram wygrzebany z odmętów pamięci adres. No cóż, do domu dotrę chwilę później, może się Kusto nie zesra.

Zjechałem z obwodnicy i znów zagłębiłem się w płataninę uliczek NeoSybirka, przecinających iście pajęczą siecią kwartały mieszkalnych wysokościowców, porozstawianych w każdym dostępnym miejscu tak ciasno, że nierzadko opierały się jeden o drugi krzywymi ścianami z wielkiej płyty. Tutaj nie było ani słońca, ani zieleni, ani szkła i stali, jak w śródmieściu.

Tu panowała wszechobecna, przytłaczająca szarość.

Szarzy ludzie snuli się po szarych, zakurzonych ulicach, ubrani w stroje, których kolory też były tylko odcieniami szarości.

Upał był aż namacalny, widać było, jak przechodnie ocierają z czoła pot, próbując zaczerpnąć głębiej tchu przez ukryte pod respiratorami szeroko rozwarte rybie usta... Pewnie znów wybiło chemikalia w jakiejś fabryce albo po prostu ogłosili kolejny alarm smogowy.

Mijane sklepy i zakłady usługowe mrugały tandetnymi, bijącymi w oczy neonami: Szaorma! Doner kebab! Zdejmowanie blokad z komunikatorów! Sprzęt, wyposażenie, technika! Najlepsza protetyka! Regulowanie wszczepów, przeglądy techniczne szybko, tanio, solidnie! Świeże owoce morza...

Przy tym ostatnim aż zahamowałem, żeby się przyjrzeć, ale szybko zrozumiałem: pewnie dostają głęboko mrożone białko z hodowli morskich na północy.

„Owoce morza”. No niby tak, ale, kurwa, nie do końca.

Chciałem skrócić wedle wskazań nawigacji, ale znów był jakiś remont, więc musiałem objechać kwartał dookoła, dopiero tam znalazłem nieludzko zatłoczony parking. Wcisnąłem się jakoś, z pewnym żalem zgasilem silnik, który zamruczał miarowo i ucichł.

Bez klekotania, bez rżenia, po prostu się wyłączył!

Wysiadłem w dławiająco gęste, lepkie, drażniące gardło powietrze przedmieścia. Zasłaniając twarz rękawem, dobiegłem do klatki, wstukalem kod domofonu... Po chwili głośnik zachrypiał znajomym głosem:

– Czego?

– Kulas, to ja, Chudy, weź mnie wpuść – wyrzuciłem z siebie na bezdechu, żeby nie nabierać kolejnego haustu trującego powietrza. Amoniak jak nic, już czułem, jak mi śluzówka puchnie.

Odezwał się brzęczyk, zamek puścił. Szarpnąłem na siebie drzwi, wtoczyłem się do środka i wbiegłem po schodach, dopiero tam zacząłem gwałtownie łapać dech. O, niech mnie... Można było wziąć maskę, pewnie leżała gdzieś pod stertą barachła na tylnym siedzeniu, ale zwyczajnie nie pomyślałem o tym.

Wcisnąłem przycisk wezwania windy, ale ten nawet się nie zapalił. Spojrzałem w górę przez szyb klatki schodowej.

– No cóż, Chudy, trzeba dbać o formę – mruknąłem, podejmując wspinaczkę.

Równy sto sześćdziesiąt siedem – liczyłem! naprawdę wyszło sto sześćdziesiąt siedem, musieli budowlańcy jeden zgubić! – schodków później stanąłem, sapiąc niczym dożywający swoich dni klimatyzator, przed pancernymi drzwiami do mieszkania Kulasa.

Pokrywające klatkę schodową graffiti, malunki i wydrapane w tynku obraźliwe napisy upodobniały ostatnie trzy piętra do miniaturowej galerii sztuki współczesnej. Wchodziłem po schodach powoli, kontemplując po drodze kreatywność młodego pokolenia domorosłych artystów-wandali.

Motywy patriotyczne przemieszane z hasłami nienawiści rasowej, klasowej i nacjonalistycznej. Nieudolna podobizna Prezydenta, którego prawą połową twarzy był rozwany w ryku, zębaty pysk niedźwiedzia.

– Chuj, nie niedźwiedź – warknąłem, jak przez mgłę przypominając sobie, jak powinien wyglądać ten konkretny zwierzak.

Pejzaże miasta, oszpecone typowymi napisami pod adresem mieszkańców tej i sąsiednich klatek. Wyznania miłości i niechęci, telefony do początkujących dziwek i dilerów. Gdzieś pod tą mozaiką był pewnie dzwonek, ale ja po prostu załomotałem w blachę pięścią.

Osadzone we framudze oko kamery poruszyło się, skierowało na mnie. Spojrzałem w bezduszny obiektyw.

– Wpuść mnie, Kulas, jestem sam. – Rozłożyłem ręce.

Szczęknięły zamki – jeden, drugi, trzeci i piąty, drzwi uchyliły się, jęcząc zawiasami. Wszedłem na wyznaczone miejsce w przedsionku i stanąłem nieruchomo: wiedziałem, że mój gospodarz ma pierdolca na punkcie bezpieczeństwa i teraz skanuje mnie pod kątem broni i materiałów niebezpiecznych.

Drzwi za mną zamknęły się, zabuczały rozgrzewające się systemy... A potem wszystko zgasło, szczęknięły blokady i ciemność przecięła smuga światła z uchylonych drzwi wejściowych.

– Cześć, Kulas – rzuciłem, otwierając szerzej drzwi i wchodząc do środka.

Kulas wytoczył się na swoim wózku, osadzonym w pojedynczej szynie wpuszczonej w podłogę mieszkania. Zatrzymał się w połowie korytarza, pokiwał głową.

– No proszę, kogo to przygnało. Toż to pan kapitan Khudovec we własnej osobie, który nagle przypomniał sobie o koledze z dawnych lat. Niech zgadnę: potrzebujesz czegoś?

– Też się cieszę, że cię widzę, Kulas. Przyszedłem ci oddać dług.

Spojrzał na mnie powątpiewająco, ale też z pewnym niechętnym uznaniem.

– O, a co to się stało? Nagły przypływ gotówki czy szykujesz się do wyprowadzki na tamten świat i załatwiasz swoje sprawy?

– Nie żartuj ani z jednego, ani drugiego. Tak jak mówię, przyszedłem się rozliczyć i zamówić kolejne rzeczy.

– Znów na kredyt?

– A mam ci zapłacić z góry?

Podziałało, bo Kulas skrzywił się niechętnie. Okręcił swój fotel i machnął ręką.

– Nie denerwuj mnie bardziej, niż to konieczne, Chudy. Chodź, pogadamy.

Wjechał do salonu, a w każdym razie do największego pokoju mieszkania. Było tam akurat tyle miejsca, żeby zmieścił się jego fotel inwalidzki i jedno krzesło pod drzwiami, na którym sadzał równie rzadkich, co wyrozumiałych wobec specyfiki miejsca i człowieka gości.

Resztę pomieszczenia zajmował świat Kulasa.

Monitory piętrzyły się jedne na drugich, wiązki kabli krzyżowały i przeplatały grubymi warkoczami, łącząc elementy i układy, których naturę oraz przeznaczenie był w stanie objąć rozumem wyłącznie sam Kulas. Zawieszony na miejscu żyrandola robotyczny chwytakopająk o sześciu kończynach chwilowo drzemał, ale domyślałem się, że to on wykonuje tutaj większość prac: sam

gospodarz nie byłby w stanie nie tylko zawiesić, ale też podnieść żadnego z elementów wyposażenia.

Na każdym, dosłownie każdym wyświetlaczu coś się przesuwało, poruszało i pulsowało. Co najmniej osiem z nich zajmowały nasze, federacyjne kanały informacyjne; trzy podawały słaby, ale jeszcze czytelny sygnał stacji z Zachodu, dwa kolejne transmitowały kolejną ceremonię ku czci kolejnego prezydenta Chin i jakiś debilny serial, gdzie wszyscy mieli plastycznie powiększone oczy i zredukowane prawie do zera, miniaturowe nosy. Reszta monitorów pokazywała wykresy, rzędkie cyfry i nieustannie zmieniające się wiersze poleceń czy jak to się tam nazywa.



To nie był nawet już świat, a cały wszechświat. Nie ruszając się od lat ze swego mieszkania, Kulas wiedział o życiu na zewnątrz więcej niż ja, przez większość czasu kręcący się to tu, to tam na przysłowiowym „świeżym” powietrzu.

– Widziałeś to? – Pokazał palcem na jeden z ekranów. – Skośni

znów robili podejście pod nasz Strumień.

– I co? – zapytałem kurtuazyjnie, nie mając pojęcia o tym, że ktokolwiek kiedykolwiek robił jakiegokolwiek.

– I nic, wycięli ich na trzecim zabezpieczeniu. Mów, co potrzeba, ja mam tutaj zlecenie do dokończenia.

Założył na głowę kask z goglami wirtualnej rzeczywistości, wsunął dłonie w manipulatory i zaczął przebierać palcami w powietrzu, zapewne projektując architekturę jakiegoś ultranowoczesnego systemu do... czegoś.

Patrzyłem na ten beznogi, podłączony do żywienia jelitowego ogryzek człowieka przez dłuższą chwilę. Za każdym razem, gdy go widziałem, nie mogłem się nadziwić: jak to możliwe, żeby tak dobrze poruszać się w świecie, który zasadniczo nie istnieje?

– Mam nośnik do odczytania – odezwałem się w końcu.

Kulas nawet się nie poruszył, zbyt zajęty czytaniem czegoś, co widział tylko on.

– Mhm... Wsuń do gniazda.

Zrobił ledwie zauważalny ruch ręką. Pająk pod sufitem ożył, jedno z ramion wysunęło się ku mnie i otworzyło uniwersalny port.

– Kulas, nie. Nie taki nośnik.

Drugie ramię zjechało w dół, zaświeciło okiem trójwymiarowej kamery.

– Pokaż.

Posłusznie uniosłem wyciągniętą z kieszeni kartę, obróciłem w tę i w tę. Kulas poruszył się, zsunął gogle wizualizacyjne na czoło i spojrzał na mnie zaczerwienionymi oczami.

– Grzebałeś po wysypiskach, Chudy?

– Nie żartuj sobie, Kulas. Muszę to odczytać na bezpiecznym sprzęcie.

Wózek inwalidzki drgnął, przesunął się po szynie. Kulas wziął ode mnie kartę, zapalił diodową latarkę czołówkę i obejrzał dokładnie.

– Antyk – zawyrokował. – To już wychodziło z użycia, kiedy my dwaj... no, sam wiesz, co i gdzie robiliśmy.

– Wiem. Dasz radę?

– Czeka, mam gdzieś mój stary moduł. Szeloba, szukaj!

Pająk rozłożył odnóża, zaczął przebierać nimi ponad zeskładowanym pod ścianami sprzętem. W końcu coś znalazł, cztery ramiona podniosły fragment wciąż wpiętej do przewróconego stojaka serwerowni, dwa sięgnęły i wyciągnęły wojskową stację komunikacyjną starego typu, nadal pomalowaną

łuszczącą się farbą kamuflującą.

Kulas podjechał do stołu roboczego, na którym stała stacja, wziął do ręki grubą, pancerną wtyczkę przewodu łączącego. Odruchowo złapałem go za ramię, a on spojrzał na mnie z dezaprobatą.

– Spokojnie, Chudy. To jest stół offline, podłączony tylko do tego monitora. Sprawdź przewody, jak chcesz.

– Dobra, nie trzeba. Dawaj.

Podpiął gniazdo, odpalił monitor i wsunął przedpotopową kartę w gniazdo. Stacja ożywiła się, zamigotała diodami, po chwili na ekranie wyświetliła się lista plików. Kulas otworzył pierwszy, drugi, trzeci...

– Dużo tego – zawyrokował od razu, patrząc na skomplikowane diagramy powiązań między firmami, linie chronologii płatności i potwierdzenia przelewów. – Czego szukamy? Albo kogo?

– Valenta – rzuciłem nazwiskiem, które podał mi w trakcie rozmowy Daniłow. – Marco Valenta.

– Europejczyk?

– E tam, nasz, tutejszy. Na własnej piersi wyhodowany.

– No, jest tutaj... Chcesz poklikać?

– Daj.

Przysunąłem sobie krzesło, niepewnie ująłem równie archaiczny co stacja uniwersalny wskaźnik i zacząłem przewijać obrazki. Kulas znów założył swoje gogle i wrócił do projektowania, pajak zwinął się pod sufitem.

Przeglądałem ekran po ekranie i szczerze mówiąc, coraz mniej mi się to podobało. Łańcuszki firm, karuzele płatności. Kilka razy przemknęło logo korporacji K-Mer, dzięki której ja, Kulas oraz pozostałe siedem milionów mieszkańców NeoSybirska i całej prowincji miało prąd oraz ciepłą wodę zimą i latem. Gdzieś po drodze mignęło nazwisko Daniłowa i kilku innych ludzi, których wspomniał w trakcie briefingu.

– Kulas, będziesz mógł mi to przegrać na zamknięty nośnik w urządzeniu wyświetlającym? – zapytałem, skrolując kolejny wykres pełen zawrotnych sum.

– Bez problemu.

– I najlepiej zaznaczyć tego całego Valentę, gdziekolwiek pojawia się on albo jego firmy. Możesz go wyszukać w Strumieniu?

– Się robi, Chudy. Łap.

Na jednym z monitorów zaświeciło się okno wyszukiwarki, która zaczęła po kolei pokazywać wpisy: Marco Valenta, król sybirskiego

węgla; fortuna króla wierzytelności; od zera do milionera; pałac z czarnego złota; Valenta wprowadza kolejną spółkę na moskiewską giełdę... I tak dalej w podobnym stylu.

Aż ciężko było mi uwierzyć, że taki człowiek po prostu, ordynarnie, prymitywnie i ryzykownie wziął od kogoś pieniądze i nie oddał ich w terminie. Natomiast dokładnie tak mi to opisał Daniłow.

– Coś mi tu śmierdzi – mruknąłem sam do siebie. – Przecież ten typ jest widoczny jak dziwka na scenie. Nawet nie próbuje się ukrywać, piszą o nim wszędzie... I co, ja mam go niby znaleźć? Przecież on się świeci jak psu jajca!

– Chudy...

– No co, nie powiesz, że jest inaczej? Patrz! Zdjęcia jego domu, tutaj jakieś sieci społecznościowe, tutaj fotka w sekretariacie gubernatora... Kulas, ten typ to jakaś lepsza persona, skoro ma taką prasę!

– Chudy...

– Albo się ukrył, nie? Nie oddał kasy i się schował! Kulas, wyciągnij mi wszystko, co na niego masz! Każda kartoteka, każdy plik, nawet mandaty policyjne...

– Chudy!

– Co? – Oderwałem się od ekranu, spojrzałem na Kulasa, który znów ściągnął swoje gogle i patrzył na mnie wymownie.

– Spóźniłeś się, Chudy.

Potrząsnąłem głową z niezrozumieniem. Kulas wymownym gestem pokazał na monitor... A ja zdrętwiałem.

Jeden ekran. Drugi. Trzeci. Piąty, dziesiąty. Wszystkie stacje, wszystkie serwisy po kolei przełączały się w trybie pilnym na ujęcia z tego samego miejsca, nierzadko z tych samych kamer. Transmisja szła tu i tam z minimalnym opóźnieniem, operatorzy pokazywali inne ujęcia, robili swoje zbliżenia, ale wszystko to był przekaz tych samych wydarzeń, tych samych ludzi!

Kulas machnął ręką, jeden z ekranów zamarł na stopklatce.

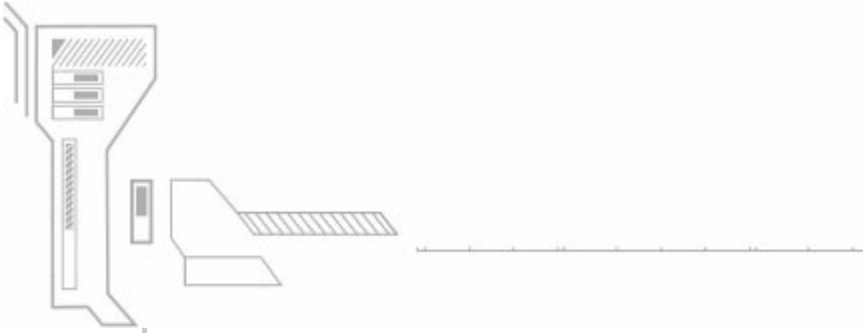
Rozbłyśki błękitnych lamp milicyjnych grawilotów zastygły, opancerzona grupa interwencyjna z bronią długą i w pełnych serwopancerzach wyprowadzała kogoś przez drzwi z odstrzelonymi zawiasami. Czarna szyba maski balistycznej obróciła się ku kamerzyście i tak została, dłoń w pancerniej rękawicy już, już sięgała, żeby zasłonić obiektyw.

Widoczna spoza rozpostartych palców twarz skutego kajdankami, ubranego w wytarmoszony garnitur cywila patrzyła

z monitora prosto na mnie, spoglądając z takim samym, lekko rozbawionym zdziwieniem jak na przekazanych mi przez Daniłowa fotografiach.

Pod stopklatką przeskakiwał pasek informacyjny, na którym bieleły wyróżnione czerwoną obwódką wielkie litery:

MARCO VALENTA ARESZTOWANY PRZEZ SŁUŻBY FEDERALNE



Aresztowanie przedsiębiorcy kładzie się cieniem na cały światek neosybirskiego biznesu. Bezpodstawnie zatrzymany...
Tylko u nas! Wszczepy, implanty, augmentacje i modyfikacje!
Przestań być sobą, zostań kimkolwiek chcesz!...
...nie ma fizycznej możliwości, aby zgromadzone przez
biznesmena nagrania mogły...
...afery na skalę iście federalną.



Kurwa, jakie znowu nagrania? Jakie podsłuchy, jaki gubernator, jakie znów owoce morza za osiem tysięcy?!

Kulas spojrział na mnie z dezaprobatą. Sięgnął do miniaturowej lodówki, wyciągnął napoczętą litrową butelkę piwa i rozlał do dwóch umiarkowanie czystych szklanek. Szeloba usłużnie wysunęła ramię, chwyciła i podała mi moją.

– Chudy, powiedz mi, przyjacielu: na jakim ty świecie żyjesz? – zapytał mnie Kulas, upiwszy łyk. – Zdarza ci się w ogóle oglądać wiadomości?

– Telewizja kłamie – burknąłem, wciąż biegając oczami po ekranach.

– Co nie zmienia faktu, że od dobrych kilku godzin całe miasto tylko tym żyje. Serio, nic nie słyszałeś? Nie obilo ci się o uszy? Szczęśliwe życie w ignorancji zatem.

Normalnie bym mu się odszczeknął, ale teraz całą moją uwagę pochłaniały przeskakujące na monitorach informacje. Marco Valenta, król czarnego gazu... Multimilioner, biznesmen, filantrop. Dziś rano przekazał redakcji pretendującego do miana największego serwisu informacyjnego NeoSybirska nośnik z nagraniami, wykonanymi w jednym z klubów nocnych miasta. Zgromadzony materiał niedwuznacznie wskazuje, że obecnie rządzący i starający się wkrótce o reelekcję gubernator Stiepan Akimov dopuścił się...

Najlepsza pasta czyszcząca do implantów chromowanych! Tylko od Rostech! Spróbuj i olśnij znajomych nieskazitelnym blaskiem! Rostech! Najlepsza pasta!...

– Pieprzone reklamy! – Trzasnąłem dłonią o metalowy blat, aż podskoczyła szklanka. – Jak można w takiej chwili to przerwać!

– Nie denerwuj się, Chudy, tak działa świat. Dzięki reklamom to

wszystko się trzyma w kupie i nie rozwała. Masz, tutaj przecież leci praktycznie to samo i na trzech sąsiednich kanałach też – poradził mi flegmatycznie Kulas, który tymczasem otworzył sobie plastikowe opakowanie z samopodgrzewającym się ryżem i teraz jadł go niejednorazowym łyżkowidelcem z recyklingowanych odpadów. – Oglądaj kilka naraz, wtedy możesz sobie wypośrodkować przekaz.

– Nie umiem tak, spierdalaj. Może ty masz oczopląs, a ja muszę mieć jedną warstwę informacji... Tak to widzę dwie, a nie oglądam żadnej. Przecież wiesz.

Pokiwał głową: wiedział doskonale. Nawet kiedy służyliśmy razem, nie potrafiłem skutecznie używać soczewek augmentacyjnych ani durnego wyświetlacza na hełmie. Głównie dlatego nie tolerowałem jakichkolwiek wszczepów zmieniających postrzeganie rzeczywistości, nie i koniec.

– No to naucz się z tym żyć.

– Nauczyłem, ale co to za życie? Poza tym, jeśli twoim zdaniem to się nie sypie, to... Przecież kasa z reklam idzie prosto do kieszeni tamtych na górze, a telewizja i tak żre nasze podatki!

– Może twoje – uśmiechnął się kwaśno Kulas. – Ja jestem inwalidą, oficjalnie bezrobotnym i bez środków do życia. Wiesz, że dałem radę załatwić sobie opiekę socjalną? Przychodzi do mnie raz w tygodniu taka dziunia sympatyczna, sprząta, nawet czasem coś ugotuje.

– Popatrz, nie uwierzyłbym...

To ostatnie odnosiło się, rzecz jasna, głównie do sprzątanania.

– No niestety, Chudy, każdy orze jak może. To co, robota spada, jak rozumiem?

Zawahałem się.

Federalni efesbesznicy zgarnęli dłużnika mojego klienta. Dłużnika, o którym ja nie wiedziałem prawie nic, a oni pewnie już wszystko. Podśluchiwał gubernatora? Czapa w najgorszym razie, kolonia karna w najlepszym, a najpewniej powiesi się nocą w celi, wcześniej dźgnąwszy się trzy razy ułamaną szczoteczką do zębów w wątrobę, i to od tyłu.

Sprawa była pozamiatana, nie ma co. Aż dziwne, że Daniłow...

I wtedy dotarło do mnie: kiedy rozmawiałem z Daniłowem, on już o tym wiedział. Śledził na bieżąco doniesienia medialne, musiał czytać spływające informacje. Na pewno wyskoczyła mu informacja, że winny mu – bagatela! – trzydzieści baniek typ właśnie wylał Akimowowi wiadro pomyj na głowę.

A mimo to nie przerwał rozmowy, nie uznał sprawy za

beznadziejną ani spaloną. I jeszcze zrzucił mi zaliczkę, jak gdyby mówiąc: nie pękaj, Chudy, temat aktualny.

– Nie, nie spada. – Potrząsnąłem głową. – Zgraj mi to, jak prosiłem. I wygrzeb ze Strumienia wszystko, co masz na tego całego Valentę.

Kulas spojrział wymownie na Szelobę, ta ożywiła się. Jedno z ramion sięgnęło ku jednostce zapisującej, wyciągnęło z niej świeżo wypaloną, jeszcze dymiącą permakartę, którą następnie wsunęło do przenośnego adaptera z uniwersalnym wyjściem. Potem cztery żelazne paluchy delikatnie objęły adapter, podały mi go – jednocześnie drugie ramię podsunęło mi pod nos czytnik kredytowy.

– Już zrobione. To co, Chudy, z którego długu się rozliczasz? Z mniejszego czy z tego dużego?

Przyłożyłem czip, urządzenie piknęło: transakcja zaakceptowana.

– Nie żartuj tak sobie nawet, Kulas. Dobrze wiesz, że z tamtego wolałbym nie... Mimo że rozliczę się, jeśli będzie trzeba.

– Wiem. Ale muszę trochę z ciebie pociągnąć łacha, nie? „Pociągnąć za nogę” się mówi po angielsku podobno. Ja ciebie mogę, bo siebie już niekoniecznie.

Odruchowo spojrzałem na miejsce, gdzie ciało Kulasa kończyło się stalową półsferą, dzięki której jego narządy wewnętrzne nie wlokły się po podłodze.

– Kulas, ja...

– Ja też, Chudy. Tak tylko cię zagadnąłem, nie przejmuj się. Na moim miejscu zrobiłbyś to samo.

– Tak – potwierdziłem, mając pełną świadomość, że właśnie tak by było. – Nie wstawaj, trafię do drzwi.

– Chuju.

– Nawzajem.

Zabrałem adapter, dopiłem piwo, skinąłem gospodarzowi głową. Wyszedłem, zamykając za sobą pancerne drzwi i zostawiając starszego kaprała Stiepanowicza po drugiej stronie w jego prywatnym bąblu informacyjnym.

Do samochodu dobiegłem na bezdechu, włączyłem filtry w kabinie i dopiero wtedy zaczerpnąłem powietrza. Rzuciłem adapter na siedzenie pasażera, spojrzałem na zegarek... Cholera jasna, dochodziła już dziewiąta wieczorem!

No tak, środek lata w końcu. Zasiedziałem się u Kulasa, wcześniej ugrzęzłem w korkach, a przedtem jeszcze zagadałem z Daniłowem.

Poza tym pomiędzy betonowymi klockami bloków i tak nie było

prawie widać nieba. No fakt, szarość smogu przybrała nieco bardziej granatowy odcień.

Silnik ryknął, ruszyłem z piskiem opon.

Wyskoczyłem z powrotem na trasę, kierując się ku mojej dzielnicy. Rzeczywiście, słońce już zachodziło, barwiąc wiszące nad dzielnicami przemysłowymi dymy na upiorny, burokarmazynowy kolor... Gdzieś tam, w oddali, lśniły się wysokościowce śródmieścia, nierzadko sięgające najwyższymi piętrami ponad warstwę chmur i dymów, niemalże bezustannie snujących się ponad blokowiskami NeoSybirska.

Ludzie w takich miejscach to musieli mieć klawe życie, pomyślałem sobie. Zawsze ładna pogoda, świeże jedzenie i czysta woda. Buty niewymagające dekontaminacji po każdym wyjściu na dwór... Nanoskóra na protezach, i to pewnie jeszcze czuciowa, a nie to bezduszne gówno, które proponowali nam za wściekle pieniądze w klinikach.

Odruchowo poruszyłem prawą ręką. To jest: moja prawa ręka poruszyła się, rozprostowała i zacisnęła palce, kiedy o tym pomyślałem. Niby niewielka różnica, a jednak... a jednak ogromna.

Nie lubię. Nie lubię wszczepów, nie lubię augmentów, nie lubię biorobotyki. Nie lubię wszystkiego tego, czym coraz mocniej jest naszprycowany świat.

Nie lubię świata.

– Jak jeździsz, baranie?! – ryknąłem do współużytkownika drogi i skręciłem ostro, ledwie mieszcząc się w zjeździe.

Kiedyś, jeszcze jak byłem mały, rosły tutaj drzewa. Pamiętam jak przez mgłę zabawę w parku, ciurkające fontanny i świergot ptaków, schowanych gdzieś pomiędzy zielenią. Wąskie alejki, po których biegało się ze śmiechem, i wyspawane z rur drabinki na placach zabaw, na których zawsze robiłem sobie krzywdę, a babcia przykładła mi do pozdzieranych kolan takie śmieszne, zimne liście.

Już wtedy ludzie mówili, że nie powinna. Babcia kłóciła się z nimi, że to przecież zdrowe i nie można wierzyć we wszystko, co gazety piszą. Potem mama chyba z nią porozmawiała i babcia zaczęła nosić w torebce jednorazowe opatrunki.

A potem zniknęła babcia, zniknęły najpierw ptaki, a potem też drzewa. W końcu, zanim się obejrzałem, zniknąłem też mały, radosny ja i cały niegdysiejszy świat.

Zawinałem w uliczkę, przeciskając się na grubość lakieru pomiędzy zaparkowanymi po obydwu stronach pojazdami, i podjechałem na tyle blisko mojej klatki, na ile było to możliwe.

Cztery metrowej wysokości pancerne słupki opuściły się powoli, wjechałem na zarezerwowane w ten jakże skuteczny sposób miejsce pomiędzy wyrzutem powietrza z tuneli metra a dzikim, gruntowym parkingiem.

Moje słupki też były wstawione na dziko, a jakże by inaczej. Tylko że jeśli zrobić coś z odpowiednim rozmachem, nikomu nie przyjdzie do głowy, że to może być nielegalne... Więc mojego miejsca nawet milicja nigdy nie ruszała, kiedy z rozdzielnika wręczali okresowe mandaty.

Zgasilem silnik, wyciągnąłem swoje graty z bagażnika i ruszyłem w kierunku domu.

Pod klatką, oczywiście, stali dyżurni chuligani. Pięciu ćwoków, wytatuowanych, nawszczepianych pod sam dekiel celowo pociągniętą po wierzchu elektroniką i serwomotorami, z mózgiami dawno już wytopionymi przez wątpliwej jakości dopalacze i brudne hormony.

– Dobry wieczór, panie Chudy! – Największy z nich, Wania, ukłonił mi się przesadnie.

Zatrzymałem się, oczywiście, żeby nie wyszło, że nie okazałem należytego szacunku, i nawet skinąłem głową.

– Ano dobry, panowie. Nie za brudne powietrze, żeby tak na dworze sterczeć?

– E tam, filtry chodzą, nie? – zarządził siedzący na oparciu ławeczki typek z podwójnym pochłaniaczem zamiast nosa i gniazdem kamery na podczerwień pośrodku czoła. – Jak się regularnie wymienia, to nie ma problemu!

Aha, jasne, nie ma problemu. Bo pewnie cały czas przez nos oddychasz, co nie? Poza tym mój ziomek pracuje akurat w zakładzie diagnostyczno-konserwacyjnym. Jak mi raz opowiedział, co tam się odwała, gdy ludziom wymieniają części...

Dwa stanowiska, mówi, na każdym masz pacjenta. Reset podzespołu na podkręconej maszynie, szybka regeneracja, mycie i odświeżenie, zalepiasz folią, wkładasz do oryginalnego pudełka. Wyjmujesz przy kliencie czyściutki, błyszczące i pachnące, pokazujesz numer seryjny, skanujesz: nieużywane, a jak! Zamieniasz pajacom części, obydwaj wychodzą z zakładu zadowoleni, a ty jesteś dwa komponenty do przodu.

– Panie Chudy, a nie ma pan jakiegoś towaru na zbyciu? – przymilnie zapytał Wania.

Jego koleżkowie spojrzeli na mnie znacząco, ten z kamerką zsunął się z ławki. Podeszli, biorąc mnie w półkole. Ot, takie sobie

miękkie, przyjacielskie wymuszenie.

Spojrzałem po kolei na istne szumowiny tej ziemi, najpiękniejszą, najbardziej reprezentatywną składankę odrzutów genetycznych, jakie miało do zaoferowania coraz bardziej jałowe łono chowu wsobnego Federacji.

Tępe, błazeńskie twarze, od małego przepuszczane przez maszynkę do mięsa okrucieństwa, głupoty i nadużywania środków psychoaktywnych. Nieumiejętnie wklute pod skórę fluorescencyjne tatuaże, celowo barwione na czerwono skaryfikacje, prymitywne modyfikacje ciała... Dresy ze świecącymi neonami pasków na rękawach, koszulki z tanimi wyświetlaczami przeplatających się reklam. Jeden wciąż podrygiwał i kiwał głową na boki, zapewne nie umiając się wyzwolić z rytmu podawanej bezpośrednio do kanału usznego muzyki, godnej plemion jaskiniowych.

Uśmiechnąłem się do nich na tyle ciepło, na ile jeszcze potrafiłem; niepotrzebne mi było spięcie, nie dziś.

– Mylicie mnie z kimś, chłopcy. Ja niczym nie handluję.

– Oj, no panie Chudy. Nieładnie tak sąsiadów z bloku okłamywać przecież. Mówią, że można od pana to i owo kupić...

Cholera jasna, znowu któryś debil musiał mnie szukać na dzielni i rozpowiadać na lewo i prawo, że dostarczam mu „produkt”. Jak ja im łby wszystkim zmyję, to...

– Przykro mi, chłopcy. – Otworzyłem reklamówkę, pokazując im zawartość. – Tylko żarcie i popitka.

– A może panu samochodu popilnować? Tutaj się różne rzeczy dzieją...

To ostatnie zabrzmiało już jak groźba. Tym bardziej że w kufrze nadal miałem zalane pod korek kanistry... Kurłaaa, zapomniałem odwieźć towar Cesarzowi! Zapomniałem na śmierć, a tamten czeka na telefon ode mnie.

Spojrzałem ku samochodowi, potem ku wejściu do klatki. Zmierzyłem wzrokiem trzech domorosłych reketierów.

– Jeśli cokolwiek, ale to cokolwiek się stanie z moim samochodem... – Podsunąłem Wani palec wskazujący prawej ręki pod nos tak, żeby miał pewność, że bez trudu potrafiłbym wsunąć mu go aż do mózgu. – To będzie wasza wina. Nie, nie wasza: twoja osobiście. Zrozumiano?

– Panie Chudy, no co pan... – od razu stropił się tamten.

– Powiedziałem: twoja wina. Porysuje mi go ktoś kluczem, przebije opony, narysuje sprejem kutasa na szybie... Choćby mi kot na niego nasrał, to ja do ciebie z tym przyjdę, jasne? W domu

znajdę, spod ziemi wyciągnę i nogi z dupy powyrywam! Matka rodzona nie pozna, ojciec jeszcze w gębę napluje! Zrozumiano, pytam?!

Któryś z kolegów Wani zarechotał głośno, ucieszony tak ładnie skleconą wiązanką. Ten z pochłaniaczami zakasłał w pięść, odcharknął, splunął na ziemię gęstą, zielonkawą flegmą. Wania skrzywił się, niechętnie kiwnął głową.

– To my przypilnujemy, jak tu będziemy siedzieć... A zapalić pan nie ma chociaż?

– Ostatniego wypaliłem na czternaste urodziny – warknąłem, ruszając ku klatce.

Jeden klucz, drugi klucz, weryfikacja kodowa, sczytanie siatkówki... Brzęczyk w końcu obwieścił łaskawie, że mogę wejść do przedsionka własnego bloku.

Śmierdziało szczynami, szczurami, kocim gównem i krwią. W ciasnym zakamarku przy wejściu do piwnicy jak zwykle gziła się jakaś parka trudnej do zidentyfikowania płci i wieku. Baba na parterze znowu musiała zjarać żarcie na węgiel, bo drzwi były otwarte na oścież, wypuszczając smród spalenizny na cały blok... I jeszcze siedziała na stołeczku za kratą, bezczelna jedna, jak gdyby drwiąc ze wszystkich w żywe oczy.

Wdrapałem się na moje pierwsze piętro, brzęcząc kluczami, otworzyłem pancerną kratę do sieni. Po prawej drzwi sąsiadki, buty jak zawsze na wycieracze w karnym rządku. Ot, jedna z nielicznych porządných osób w tym całym burdelu, ta Fieodosja Awdiejewna. Jeszcze z rodzicami się przyjaźniła, więc i ja do niej nadal „ciociu” mówię.

Otworzyłem ostatnie dwa zamki kodowe na własnych drzwiach, przekręciłem ostatni klucz i wreszcie byłem u siebie.

Kusto oczywiście się zesrał centralnie na środku korytarza.

– Kusto, bydlaku! – zawołałem w pustkę mieszkania. – Co znowu żeś zrobił, wszarzu jeden? Chodź no tutaj!

Nie przyszedł, rzecz jasna. Schował się pewnie tak, że tylko ogon mu wystawał, bo doskonale wiedział, że nie wolno srać w domu... No ale też nie zostawiłem mu szczególnego wyboru, więc nie wrzeszczałem na niego dalej.

Przestąpiłem nad balasem, zaniósłem zakupy do kuchni. Wziąłem spory, naprawdę spory kawałek jednorazowego ręcznika, dokładnie zebrałem wszystko i wywaliłem do śmieci.

– Dom, słodki dom... – westchnąłem.

Już teraz słyszałem wszystko, co działo się w zasięgu dwóch

pionów mieszkalnych ode mnie: sąsiada z góry, jak zwykle tłukącego kotlety z syntobiałka na podłodze; ludzi za ścianą, wrzeszczących na siebie; parkę z trzeciego piętra, po raz kolejny pieprzącą się w wannie; permanentny remont gościa z klatki obok; płacz dzieciaka i krzyki jego matki, próbującej w ten sposób zagłuszyć własną bezradność...

Pstryknąłem włącznikiem zasilania i przełączyłem dźwigienkę aktywnego wyciszenia.

Nagle świat zewnętrzny ucichł. Nie było łomotania, wrzaski ścichły, przepadły jęki i sapanie, nawet spazmatyczny szloch i wysokie wrzaski rozpuściły się w kojącej ciszy jednostajnego białego szumu, zalewającego uszy miękką kurtyną niczego.

Ściągnąłem kurtkę, zsułem i wrzuciłem do dezynfektora zakurzone buty. Wsunąłem nogi w lekko przybrudzonych, ale nadal białych skarpetach w gumowane klapki, po czym rozwaliłem się na kanapie z paczką jedzenia w jednej i flaszką czystej w drugiej ręce.

Za oknami migotało neonami i światłami samochodów miasto, budzące się po skwarным dniu do dusznej nocy, a ja musiałem na spokojnie pomyśleć.

Nie włączałem nawet światła, siedząc sobie w ciszy i ciemności. Wysoko przetworzona żywność o trudnym do określenia, ale lekko pikantnym smaku i miłej, włóknistej konsystencji przyjemnie chrupała w ustach, wódka powoli wsączała się w żyły, spłukując z organizmu nagromadzony w nim od rana syf.

Tak, oczywiście – to bzdura była z tą wódką, co niby odkaża człowieka. Ale jak wieczorem nie wypilem, to potem nie byłem w stanie normalnie zasnąć... I nie to, że w towarzystwie mi się chciało czy coś. Nie na umór. Ot, tak właśnie, intymnie, w samotności.

Włączyłem do prądu przywieziony od Kulasa adapter, podpiąłem wygrzebany z czeluści szafy projektor holograficzny. Obraz był słaby, więc zasłoniłem okno. Wreszcie usiadłem, zapaliłem papierosa i zacząłem jeden po drugim przeglądać pliki.

– Marco Valenta... – mruknąłem w zadumie, patrząc na zdjęcie uśmiechniętego typka o lekko nalanej twarzy, w nienagannie skrojonej marynarce z tęczowółkna.

Z jednej strony nie wyglądał na oszusta, co wyłudza pieniądze od oligarchów. Z drugiej to właśnie oszuści nigdy na takich nie wyglądają... Z ciężkim westchnieniem przełączyłem się na pliki z diagramami wzajemnych powiązań firm.

Ktoś się nieźle nagłowił, żeby to wszystko tak rozpisać. Widać

było, że robiono to w jakimś relatywnie prostym programie graficznym, bez udziwnień i bajerów; przełączyłem projektor w tryb trójwymiaru, wyciągnąłem z podstawki rysik i zacząłem mozolnie, kawałek po kawałku rozkładać płaskie drzewka zależności na struktury trójwymiarowe.

Ktoś inny pewnie otworzyłby to wszystko naraz, tak jak Kulas założył szpanerskie okulary i rękawice, po czym błyskawicznie scalił to w jedną, zintegrowaną, wielowarstwową i multimedialną prezentację. Klik, i widzisz firmy; klik, i masz ludzi; klik, i całość przesuwa się w czasie.

No a ja tak nie umiałem. Ja musiałem obejrzeć wszystko po kolei, przyswoić, zrozumieć. „Mono” przezywali mnie jeszcze koledzy w szkole; że niby tylko jednym kanałem potrafiłem nadawać.

Za to jak wziąłem się za coś, to reszta świata dla mnie nie istniała.

Huknęły odbijające się od ściany drzwi – to Kusto przyszedł w końcu do mnie. Nie spojrział nawet, nie starczyło mu odwagi cywilnej, tylko od razu władował się na kanapę, ułożył obok, wsunął mi łeb na kolana i zaczął śmierdzieć.

– No cześć, zasrańcu. – Podrapałem go za uszami lewą ręką. – I kto to się spaskudził na korytarzu, co...? Kto jest niegrzeczną psiną, kto nie potrafi sobie łapami dupska przytrzymać? Komu tyle razy tłumaczyłem, że nie sramy w domu?

Wielkie cielsko sapnęło tylko ciężko: no co poradzisz, Saszka? Takie psie życie.

Zatrzymałem na chwilę jeden slajd, zbliżyłem: Daniłow, prezes rady nadzorczej K-Mer Corp. Zdjęcie już znajomej twarzy w niebieskich okularkach na niebieskim tle. Inaczej to się czuje, jak rozmawiać z człowiekiem na żywo, a inaczej, jak go zobaczyć w takich papierach.

Czyli mój znajomy z K-Merowa był naprawdę, ale to naprawdę ważną szychą w jednej z największych, a na pewno najistotniejszej firmie naszego obwodu. Firmie na tyle wielkiej i potężnej, że nikt nie odważył się wejść jej w drogę, żeby nie zostać rozjechanym przez dwustutonowy automatyczny kombajn odkrywkowy do węgla... I zarazem na tyle nierozważnej, żeby na piękne oczy dać kasę oszustowi?

Przeklikałem parę slajdów, znalazłem ten, gdzie były podane szczegóły feralnej transakcji. Trzydzieści milionów bez kilku groszy... Niemała sumka, nie ma co. Tylko na jakim podstawie? Bo tutaj mam wskazane tylko lakonicznie: powstało zadłużenie, niespłacone na dzień taki i taki.

Sprawa była niby typowa: ktoś dostaje gotówkę, zobowiązuje się oddać. Nie oddaje i cześć... Nie to, że ukradł, ale jest winny.

Poczułem, że tyłek zaczyna kleić mi się do syntoskórowej kanapy, więc włączyłem aktywny nadmuch siedzeń. Zaszumiało, przez perforowany materiał zaczęło sączyć się strużkami zasysane przez wloty u dołu powietrze. Ech, powinno być chłodniejsze, ale moduł klimatyzacji zepsuł się rok temu i jakoś tak nie złożyło się, żeby go naprawić.

Pociągnąłem jeszcze łyk ze szklanki, powoli układając sobie w głowie scenariusz wydarzeń.

Tamci, to jest menedżerowie niższego stopnia, pewnie przez miesiąc próbowali zamieść to pod dywan, ale w końcu smród doszedł do niebieskiego szefa. Daniłow dostał piany na pysku i zapowiedział, że teraz on się tym zajmie – tak mi to przynajmniej sam powiedział.

Odchyliłem się w tył na oparciu, założyłem ręce za głowę. Ale dlaczego akurat ja? Daniłow mówił coś o ludziach, którzy mnie rekomendowali, i że mam doskonałe referencje. Podał nawet nazwę agencji, dla której pracowałem jako detektyw... Ciekawe, czy moja licencja jest w ogóle jeszcze ważna, tak swoją drogą.

No pracowałem z nimi, owszem. Dałem radę ogarnąć jeden temat. Zapłacili nieźle, bo ładnie im to wyrysowałem, mimo że roboty miałem z tym dosłownie dwa telefony. Tylko to było tak dawno, że nawet nie byłem pewien, ile lat temu.

I on trafił akurat do nich. A oni polecili akurat mnie.

No dobra, spoko. Brzmi legitnie.

Kusto zaczął wpychać mi się na kolana, więc zsunąłem go kawałek, osuszyłem do końca szklankę i wróciłem do przeglądania wykresów.

Coś tu było nie tak, ten cały Valenta jak gdyby tę kasę po prostu od nich dostał! Nie przekręcił ich, nie wsadził na minę, nie wymusił, nie oszukał. Ktoś mu te trzydzieści baniek dał na talerzu.

Otworzyłem plik z danymi księgowymi za dany okres, zacząłem wiersz po wierszu przeglądać rekordy.

Tak, głównym mącicielem w tej sprawie nie był w ogóle duży K-Mer, tylko jakaś jego satelicka spółka zależna. Niby stuprocentowa własność, a jednak mająca swoistą autonomię, co tłumaczyło łatwość, z jaką jej dyrektor przerzucił na konto oszusta takie pieniądze.

– Sobkow... Pavel... – wstukałem w klawiaturę wyszukiwarki strumieniowej. – Opa, suka bładź mać twaju.

Cały ekran zajęło imponująco szczegółowe zdjęcie z lekko podkreślonym kontrastem. Podkreślonym na tyle, żeby pięknie wyłapać głęboki brąz kanap w saloniku VIP lotniska, błysk potłuczonego szkła zaścielającego podłogę i wyjątkowo malowniczy bryzg krwi, ciągnący się od rozsmarowanej po dywanie głowy trupa w pięknie skrojonej, białej kurtce. Obok leżało jeszcze jedno ciało z przestrzeloną na wylot kamizelką kuloodporną wysokiej klasy i nogi kolejnego w ciężkich, wojskowych butach na wzmocnionym obcasie.

Przeleciałem na szybko tekst, kliknąłem filmik z kamery bezpieczeństwa. Jakość była, oczywiście, podła, natomiast przez okno widać było pod dziwnym kątem, jak tamci wchodzą do saloniku, rozsiadają się... A potem ktoś wchodzi przez drzwi i wyjmuje ich jednego po drugim.

Szybko, sprawnie, skutecznie. Nawet z pewną lekką, taneczną gracją, powiedziałbym. Przewinąłem w tył, w przód. W tył, po klatce w przód.

Ochroniarz przy Sobkowie strzela serią, kilka kul sięga zabójcy. Ten pada na ziemię, potem powłóczy nogą... A już chwilę potem doskakuje do Sobkowa jakby nigdy nic. Biznesmen spogląda w górę, chyba prosi o życie, bo porusza ustami...

Strzał, wypikselowany na filmie bryzg.

Nie spuszczać oczu z ekranu, nalałem sobie kolejną szklanekę, od razu wychyliłem połowę.

Wedle doniesień zabójstwo miało miejsce ubiegłej nocy. Nie pierwsze, nie jedyne i nie ostatnie w NeoSybirsku; sam znałem kilku ludzi od mokrej roboty, i nawet mnie zdarzało się z niejednego pieca chleb jeść, cokolwiek to stare porzekadło miałoby znaczyć – natomiast tutaj był to kolejny niepokojący zbieg okoliczności.

Bo to oznaczało, że z człowiekiem, który na piękne oczy przelał Valencie prawie trzydzieści dużych kółek, już nie pogadam. Ile to trzeba by pracować, żeby zarobić takie pieniądze, ha? Albo całe życie, albo zrobić jeden złoty...

...strzał.

Cholera, znowu zapomniałem o Cesarzu. A przecież towar dla niego właśnie powoli przegrzewał się w bagażniku. Już noc, ja po kielichu... Wyciągnąłem z kieszeni komunikator, wybrałem numer.

– Chudy, gdzieżeś ty się podziewał! – zatrzeszczał douszny głośniczek. – To ja tutaj czekam...!

– Cesarz, będę za pół godziny. Tam gdzie zwykle.

– Człowieku, ja tu klienta mam!

– Komplikacje były. Pół godziny. Na razie – uciałem jego biadolenie.

Pół godziny. Trochę na wyrost powiedziałem, ale trudno, najwyżej poczeka. Wyjąłem z odkażacza gorące, parujące buty, wciągnąłem kurtkę na grzbiet. Wyświetlacz w kołnierzu zamigotał, wyświetlił napis po francusku: system nie naładował akumulatorów do końca, możliwe jest suboptymalne działanie układów, skontaktuj się z obsługą techniczną.

– Jasne, już lecę, pędzę... Kusto, nie sraj w domu! Wrócę niedługo.

Zbiegłem po schodach, po drodze przywitałem się z sąsiadką z naprzeciwka, wracającą właśnie z trzeciej zmiany w pracy, i wypadłem na dwór. Chuligani z ławeczki już się zmyli, wyruszając zapewne na nocne łowy w kierunku sąsiednich dzielnic, z którymi od lat mieliśmy nieustającą koseę... A ja piknąłem alarm, wskoczyłem za kierownicę merca i majestatycznie, na wstecznym wytoczyłem się z powrotem na ulicę.

Bieg zgrzytnął, koła zapiszczały po rozgrzanym asfalcie i znów byłem na trasie.

NeoSybirsk nocą wcale nie robił się spokojniejszy, bynajmniej.

Grzałka słońca już dawno zgasła, więc opcja grillowania nie paliła skóry bezlitosnym żarem, ale dobrze nagrany piekarnik betonowych bloków wciąż trzymał temperaturę, teraz oddając ciepło nagromadzone przez cały długi, niewyobrażalnie długi dzień.

Po ulicach snuły się mniej lub bardziej liczne grupy młodzieży, która wreszcie wyrwała się z ciasnych, dusznych klitek mieszkań i teraz chciała jak najgłębiej zanurzyć się w wir mętnej wody nocnego miasta, pozwalający zapomnieć o dniu już przeżytym i nie myśleć o konieczności poradzenia sobie z dopiero nadchodzącym.

Mknąc środkiem prospektu, miałem ich wszystkich jak na dłoni: ubranych w odblaskowe, a czasami też świecące ciuchy, imitujące to, co widywało się na przemyconych z Zachodu grafikach. Uczesanych w przedziwne, kolorowe fryzury, niczym postawione pióropusze egzotycznych ptaków, które od dawna oglądało się już tylko w muzeach... o ile ktoś do nich jeszcze chadzał. Głośnych, natarczywych, buńczucznych i zbuntowanych.

Ubranych w porwane spodnie, tego samego dnia rano wyprane i wyprasowane przez troskliwą mamusię. Nierzadko noszących pod kurtkami puste kabury, byle tylko kształt odznaczał się pod pachą; wymachujących na pokaz tępymi nożami o niklowanych klingach. Bananową młodzież naszych czasów, usilnie próbującą wyglądać na groźniejszą niż w rzeczywistości.

Gdybym ja miał stanąć pomiędzy nimi, to pewnie nie byłoby mnie widać. Szary, obdrapany samochód; równie szary i obdrapany człowiek, ubrany w wysłużoną kurtkę koloru khaki z odprutymi znakami wyróżniającymi i ledwie widocznymi ciemniejszymi śladami po dystynkcjach.

Na całe szczęście nie musiałem jednak tego robić, prowadząc przyjemnie mrużącego silnikiem ćwierćwiekowego mercedesa na południe, ku Zaporze.

Zwolniłem, widząc w zasadzie typową scenkę rodzajową: trzech chuliganów właśnie kroilo przypadkowego przechodnia w ciemnym zaułku. Dwaj wielcy, przypakowani, i jeden mniejszy z tyłu – jak mózg i zaciśnięte pięści.

Błysnął elektroparalizator, jeden z dużych upadł na ziemię – ofiara nawet próbowała się bronić. Rzadki w tych czasach przejaw mocno staromodnej odwagi. Większość ludzi na tyle przywykła do bycia gnojonymi, że odbierała to jako naturalną wręcz kolej rzeczy: ot, czasem ktoś gnoi ciebie, a czasami ty jesteś gnojony przez kogoś.

Przez chwilę zdawało się, że starcie może zakończyć się remisem, bo napadnięty zupełnie przytomnie zaczął uciekać. Drugi napastnik jednak zdążył chwycić go za kołnierz, zamachnął się i uderzył nadmiernie odważnego w brzuch. Zaraz potem błysnęło ukryte w pochewce na przedramieniu ostrze. Nieszczęśnik zgiał się i osunął po ścianie, wtedy od razu doskoczył do niego chudy, zapewne wstrzyknął ofierze adrenalinę z jednorazowej ampułki.

No tak, bo teraz były zabezpieczenia: jak umierasz, to twój czip się dezaktywuje. Wprowadzili to po słynnej aferze z „martwymi duszami”, kiedy leżący w kostnicach denaci zaczęli kupować pracownikom szpitali luksusowe prezenty. No więc jeśli kogoś się chciało obrabować, to ten musiał wciąż żyć.

Morał z tego taki, że ofiary coraz rzadziej ginęły w trakcie napadów, a coraz częściej tuż po nich. Tak samo tutaj: wepną się na krótko w jego czip, zhakują zabezpieczenia i rozpoczną serię trefnych mikrotransakcji, nieprzekraczających sumy, przy której konieczne jest potwierdzenie nosiciela.

Proste? Proste. Klasyka napadówki, nie ma co. I teraz będą go doić tak długo, jak długo system im pozwoli.

Duży obrócił się w moją stronę, spojrzał wymownie, ale tylko dodałem gazu: nie moja sprawa.

Minąłem w końcu ostatnie wielopiętrowce, wjechałem do dzielnic podmiejskich. Od razu zwolniłem, włączyłem półautopilota, żeby komputer wraz ze mną rozglądał się na boki. Tutaj zespawane

z żelaznych blach płoty wolnostojących chatynek z byle czego niemalże dochodziły do asfaltowej jezdni. W dowolnym z niezliczonych zaułków mógł chwiać się ućpany pijaczek, który wymyśli sobie, że akurat musi przebiec przez ulicę. Teraz, w tej chwili, koniecznie, już.

Raz mi się taki władował prosto pod samochód. Nic by się nie stało, ale miał założone serworamiona na barkach... Nie dość, że mi wybił szybę samym uderzeniem, to jeszcze potem chciał się tłuc i poharatał dach. Dobrze, że miałem akurat pałę elektryczną; dwa strzały i się złożył, jeszcze mu portfel zabrałem w ramach łupów wojennych.

Zahamowałem ostro, kiedy na skrzyżowaniu przed samą maską mignął mi rozjarzony neonowymi wykończeniami trójkołowiec, na którym siedziało co najmniej pięć osób. Rozwrzeszczane mordy, twarze podświetlone od dołu ultrafioletem, ręce wzniesione ku niebu gestem ekstazy – i organizmy do granicy ryzyka napompowane dopalaczami.

Nie zdążyłem nawet przerzucić nogi z hamulca na gaz, kiedy do bocznej szyby samochodu dosłownie przykleiła się twarz dziecka, drobna piąstka zapukała w szkło.

– Pan da cukierka, da drobne... – odczytałem z ruchu warg.

Drugi berbecz już zabiegał mi drogę z przodu, trzeci przykleił się do okna po prawej stronie, skutecznie zasłaniając lusterko boczne.

Nie ze mną te numery. Powoli, ale stanowczo ruszyłem naprzód. Dzieciak położył mi się na masce doskonale wyuczonym gestem, ale ja jechałem naprzód – już teraz widząc, jak biegnący ku obydwu burtom maszyny cwaniacy z kluczami do kół zwalniają, prostują się i unoszą ręce gestem zawodu.

Przejechałem przez skrzyżowanie, gnojek cały czas wisiał mi na masce. Tamci chyba zorientowali się, że porwałem jednego z członków gangu, bo któryś puścił się za mną w pogoń, prawie wpadł pod jadącą ciężarówkę...

Przyspieszyłem. Dzieciak zaczął krzyczeć, łyzy ciekły po umorusanej twarzy o fenotypie tak wymieszanym, że trudnym do sklasyfikowania.

Odjechałem dwie przecznice, w końcu zahamowałem gwałtownie, zrzucając pasażera na gapę. Poderwał się od razu, kopnął mi przedni zderzak, napluł na szybę, z wściekłością uderzył dłonią w lusterko i czmychnął pomiędzy rdzewiejące rudery.

Wykręciłem kierownicę i z rykiem silnika wyskoczyłem z powrotem na drogę, bo z ławeczki już podnosiła się do mnie

kolejna ekipa.

Tutejsi nie byli wcale ani gorsi, ani szczególnie głupszy niż ktokolwiek inny w NeoSybirsku. Może prostsi, tak, więc i metody mieli mniej skomplikowane, ale cel był ten sam: przeżyć. Zdobyć środki dla siebie i dla rodziny, jakoś dociągnąć do kolejnego sezonu. Nakraść z wagonów tyle węgla, żeby starczyło na przetrwanie zimy.

Jeszcze jeden cwaniak wyskoczył ku mnie i zamachnął się potężną protezą ręki, na której końcu mignęło coś na kształt nożyc do metalu, ale wyminąłem go tylko łukiem, zahaczając o przeciwny pas ruchu.

Obudowa lusterka strzeliła i złożyła się, gdy dosłownie musnąłem przejeżdżający w drugą stronę dziesięciokołowy transportowiec; asystent ruchu zawył z przerażeniem, migając wszystkimi światłami.

– Spokojnie, panikarzu jeden, wszystko pod kontrolą – mruknąłem, wysterowując z powrotem na prostą. Zacerpnałem tchu, szyba zjechała w bok, wprawnym gestem znów ustawiłem lusterko we właściwej pozycji.

Został mi jeszcze kawałek, ale teraz miało być już spokojniej, najgorszy rejon wielodzietnego proletariatu miałem za sobą. Po obu stronach ulicy wznosiły się jeden przy drugim warsztaty, chałupnicze fabryczki wszczepów i udoskonaleń, podwórkowe gabinety zabiegowe i salony tego, co w dzisiejszych czasach uchodzić miało za urodę... Słowem, zaplecze produkcyjno-usługowe dla tych, co mieszkając bliżej NeoSybirska, wyprawiali się do miasta po łupy.

W końcu udało mi się dojechać do dużej obwodnicy, z ulgą włączyłem się do ruchu. Co prawda mój zjazd miał być już, lada chwila, ale zawsze to chwila odpoczynku – kliknąłem autopilota, opuściłem sobie oparcie fotela.

– Marco Valenta... – powtórzyłem w zadumie.

Gdzieś tam, pośród widocznych nawet stąd wysokościorców śródmieścia, ukrywał się typek, winny mojemu klientowi trzydzieści baniek. Typek na tyle nierozsądny, żeby myśleć, że może tak po prostu nie oddać komuś pieniędzy... I w dodatku rzucić w Strumień nagrania, kompromitujące wciąż urzędującego, a wkrótce nowo wybranego gubernatora.

Nie miałem nawet cienia wątpliwości, że obecny gubernator jest zarazem też przyszlým. Ani jakikolwiek kompromat, ani nic innego nie mogło wpłynąć na decyzję, rzekomo leżącą w rękach ludu, a faktycznie podejmowaną gdzieś w odległym Moscov City... I tym

dziwniejsza wydawała mi się cała sprawa.

Valenta pójdzie siedzieć jak nic, a w więzieniu się zabije. Taki zwyczaj był w naszej Federacji, że niewygodni aresztanci dostawali na kratkami wyrzutów sumienia, i to przeważnie ze skutkiem śmiertelnym. Ostatnio w modzie było pobicie samego siebie w jednoosobowej izolatce.

A to znaczyło, że trzeba będzie dotrzeć do niego, zanim zrobi to ktoś inny, i wyrwać mu tę kasę z gardła.

Nawigacja oczywiście nie zamierzała poprowadzić mnie tam, gdzie chciałem, więc złapałem za kierownicę i w ostatniej chwili sam wpadłem w prowadzący ku Zaporze zjazd.

Po lewej miałem teraz potężną rzekę Ob, toczącą bury nurt ku czekającemu na nią NeoSybirskowi, a po prawej połacie uschniętego lasu, szczelnie otaczającego całą metropolię. Tu i ówdzie pomiędzy drzewami stały sklecone z byle czego chatki bezdomnych, wokół przystanku komunikacji miejskiej wyrosło nawet coś na kształt zajazdu, kuszącego kierowców nachalną, holograficzną reklamą cycatej panny kręcącej tyłkiem... Ale ja miałem ten etap za sobą.

Teraz byłem poważnym, odpowiedzialnym człowiekiem, zajmującym się poważnymi sprawami i pracującym na naprawdę zbożny, godny pochwały cel.

Zapora ciągnęła się ogromnym, rozświetlonym lampami łukiem po skosie od drogi, cienką linią zbrojonego betonu odgradzając dolinę rzeki od niewyobrażalnie ogromnego masywu zbiornika wodnego po drugiej stronie. Nawet stąd widziałem białe pióropusze wody, dniem i nocą wypuszczanej przez poszczególne śluzy.

„Białe złoto Syberii” – mówili o tej hydroelektrowni z dumą. Czysta energia! Natura okiełznana przez człowieka.

Co z tego, skoro w tej chwili turbiny nie zaspokajały nawet jednego procenta potrzeb miasta? Elektrownia chodziła, bo musiała chodzić, a produkowany przez nią prąd sprzedawano po horrendalnych stawkach bogaczom na tyle głupim i próżnym, żeby chcieć chętnie się swoją proekologicznością.

Zjechałem na zwirowy parking przed wjazdem na Zaporę, gdzie już stały czekające na mnie samochody. Od jednego z nich oderwała się sylwetka – po charakterystycznym chodzie i długich połach kaftana rozpoznałem Cesarza.

– ...udy! – Drzwi merca podniosły się, doleciała do mnie tylko końcówka zawołania. – Człowieku, ile mamy na ciebie czekać?! Już myślałem, że ciebie też dorwali po drodze!

– Siema. – Skinąłem Cesarzowi głową, przybiliśmy piątkę.

– Masz towar?!

– No mam, mam... Coś taki nerwowy, człowieku?

Otwarłem bagażnik, podniosłem podłogę. Cesarz omiół spojrzeniem pojemniki, pokręcił głową.

– Za dużo, Chudy.

– Za... za dużo? – Myślałem, że się przesłyszałem albo on pomylił słowa. – Tyle co zawsze!

Cesarz spojrzał na mnie tymi swoimi skośnymi, wąskimi oczami z podmalowaną górną kreską. Nie wiem, czy jakby był taki spasyony w szkole, to dostałby tę samą ksywę; raczej byśmy go przewali „Sumo” albo po prostu „Baryła”. Z drugiej strony, te wszystkie bajania o tym, że jego rodzina wywodzi się z bocznej linii dysydentów z obozu rządzącego Chin, były nawet zabawne, więc przezwisko dostał siłą rzeczy.

– Za dużo – powtórzył. – Wezmę tylko trzy. Jakbyś miał sam pseudokortyzon, to na pniu chłopaki spylą, a tak... Tylko ten jeden masz?

– No tak zawsze było, nie? Jeden plus trzy. Cesarz, weź wszystko!

Pokręcił głową, machnął ręką: spomiędzy samochodów wysypali się jego robole, gotowi od razu rozparcelować zawartość mojej dostawy na pomniejsze transporty, do rozwiezienia po klinikach NeoSybirska. Pokazał na baniak z pseudokortyzonem, potem puknął w dwa z syntadrenaliną.

Widziałem, że się zawahał, więc uśmiechnąłem się przymilnie.

– Nic nie poradzę, Chudy. Jest, jak jest.

Ponad ramieniem Cesarza zauważyłem, że pomiędzy samochodami jego konwoju przechadza się ktoś jeszcze. Potężna, zwalista i kanciasta sylwetka, górująca o dobry metr ponad całą resztą ludzi... Nie, tego typu nie dało się pomylić z nikim.

– Cesarz, a jak jest, powiedz mi? – Wysunąłem się nieco na bok, machnąłem ręką. – Ej, siemano, Trzydziestyczwarty!

Usłyszał, obrócił ku mnie głowę i spojrzał wzrokiem ciężkim niczym artyleryjski pocisk. Sycząc hydrauliką i zgrzytając zawiasami pancerza, podszedł bliżej, a ja słowo daję, że ziemia aż się zatrzęsła, gdy stanął przede mną. Spojrzał w dół, ponad krawędzią pancerza czołowego.

– Towarzysz kapitan Khudovec – warknął, nieszczerze zadowolony ze spotkania.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy uderzy mnie i zabije, ale potem wyciągnął prawicę w pancernej rękawicy na przywitanie. Odsunąłem się nieco, żeby lufa podwieszona na przedramieniu

wukaemu, ociekająca topiącym się w upalną noc smarem, nie upaprała mi jeszcze dość czystych spodni. Ucisnąłem opancerzoną dłoń tak wielką, że moja dosłownie w niej utonęła.

– Kopę lat, Trzydziestyczwarty. Wyszedeś w końcu? Widzę, że nadal pracujesz nad stylówką, da się zauważyć postępy.

– Odbili mnie. Ruscy swoich nie zostawiają. – Wymownie pogładził wymalowaną na stalowym kołnierzu czerwoną gwiazdę.

Czyli pogłoski sprzed roku były prawdą: ktoś naprawdę wparował do szajdurowskiej kolonii karnej na pełnej kurwie, przebił się na wylot przez żelbetowy mur, po czym strzelając na lewo i prawo z granatników, wyciągnął Trzydziestegoczwartego na wolność.

„Wyciągnął” było słowem w pełni na miejscu, bo jeśli w więzieniu miał – a na pewno miał! – dezaktywowane wspomaganie pancerza, to chyba musieli przyjechać po niego ciągnikiem inżynierskim.

– Nowy pluton? – zapytałem, żeby podtrzymać rozmowę.

– Reaktywacja starego.

O kurczę, nieźle. Czyli tamta banda pojebów dała radę jakoś się rozliczyć ze starych długów i zaszłości... Albo po prostu potrzebowali Trzydziestegoczwartego do jakiejś grubej roboty.

– Pilnuj drugiego podejścia. – Cesarz poklepał go po ramieniu, chociaż wątpię, żeby tamten cokolwiek poczuł. – Jednostka pancerna, zająć pozycję obserwacyjną! Wróg może nadciągnąć w każdej chwili.

– Tak jest, towarzyszu dowódco! – odszczeknął Trzydziestyczwarty, ryknął silnikami wspomaganiami i powoli, niezgrabnie ruszył na wyznaczone mu stanowisko, zostawiając za sobą powoli rozwiewającą się chmurę czarnych spalin.

Patrzyłem chwilę w ślad za nim, nie mogąc nadziwić się jego uporowi i determinacji. W pewnym sensie byliśmy podobni, ja i on, bo Trzydziestyczwarty też nie wierzył w elektronikę. Tyle tylko, że ja umiałem jej używać, a on odrzucał z założenia; cały jego pancerz, wszystkie systemy chodziły na czystej mechanice.

Podobno nawet rozruch miał z akumulatora, chociaż ciężko było mi w to uwierzyć; tak jednak twierdziła jedna wspólna znajoma, która kilka lat temu się z nim przespała z ciekawości poznawczej. Kto wie, może od tamtej pory wprowadził jakieś udoskonalenia?

Nie wyobrażam sobie, że miałby ręcznie, pokrętem za każdym razem regulować kąt podniesienia lufy, bo to przecież...

Potrząsnąłem głową, odganiając biegnące zdecydowanie nie w tę

stronę myśli.

– Cesarz, co się dzieje? – powtórzyłem pytanie. – Bo chyba nie wzięłeś tego świra dla jego elokwencji?

– Ekipa z Nowodzierżyńska wypadła z gry.

Przez chwilę wpatrywałem się w jego okrągłą twarz, próbując zrozumieć, co mógł mieć na myśli.

– Wypadła z gry. To znaczy co, przebranzowali się wszyscy i otworzyli sklep spożywczy?

– Zatruli się. Ołowiem.

Wciągnąłem z sykiem powietrze.

– Wszyscy?

– Wszyscy, co do jednego. Trzy dni temu ich ktoś rozwalił na ich własnym terenie. Co ty, wiadomości nie oglądasz?!

– Nie za bardzo. Ej, ale skoro oni wypadli, to...

Urwałem. Skoro oni wypadli, to popyt powinien właśnie przebijać sufit, a Cesarz robić mi awanturę, że przywożę za mało towaru. Jeśli jednak podaż przewyższała popyt, to znaczyło, że ktoś już...

Pokiwał głową, jakby czytając moje myśli.

– Dokładnie tak, Chudy. Ktoś zagarnia pod siebie nasz rynek i zarzuca własną produkcją.

– Federalni?

– Ktoś powiązany pewnie, tak, a w każdym razie dobrze kryty. Pilnuj pleców.

Odruchowo rozejrzałem się wokoło. No tak, to tłumaczyło, dlaczego Cesarz jeździł pełnym konwojem, w dodatku ze wzmocnioną ochroną... A wynajęcie Trzydziestegoczwartego, będącego w zasadzie jednostką przełamania, dawało mu chociaż gwarancję, że ktoś inny nie wpadnie na ten sam pomysł.

– Nie żartuj sobie tak nawet. – Potrząsnąłem głową. – Może to tylko lokalne porachunki?

– Mówię ci, to ktoś duży. Chodzą słuchy, że szukają ekipy do wjazdu na zakład baryszewski.

– Baryszewo?! Przecież to głupota! Jeśli nawet sabotują produkcję, to rząd federalny zrzuci nam na głowy cztery pułki specnazu!

– Nie mówię, że chcą go zniszczyć – skrzywił się Cesarz. – Tylko że chodzą takie słuchy.

Baryszewo było naszą lokalną Mekką, rajem utraconym i ziemią obiecaną w jednym. Największa w całym obwodzie instalacja produkcji syntadrenaliny, śniąca się po nocach wszystkim lokalnym

dilerom i chałupniczym chemikom.

Czasami, rzadko na czarny rynek trafiały wyniesione stamtąd komponenty, półprodukty albo fragmenty planów technicznych, i wtedy w NeoSybirsku wybuchał zawzięty bój o okruchy z pańskiego stołu. Przecież nawet mój dostawca, schowany tak głęboko, że nikt o nim nie wiedział, pracował na sprzęcie po jednym z byłych inżynierów na Baryszewie!

– To jakieś bzdury, Cesarz.

– Jak sobie chcesz. Byłem w Nowodzierżyńsku, widziałem, co z nimi zrobili. Jutro w południe pogrzeb, jakbyś chciał ruszyć dupę.

Skrzywiłem się, spuściłem głowę, dłubiąc czubkiem buta w ziemi. Nie lubiłem pogrzebów... Tamci byli naszą zażartą konkurencją, sam bym ich w łyżce wody utopił, ale chyba wypadało. Przyzwoitość wymagała, żeby pożegnać ludzi.

– Zobaczę – obiecałem sam sobie. – To co, weź może ten jeden kanister też, co...?

– Nie – uciął Cesarz, podając mi kartę z wgranymi kredytami. – Dorzuciłem ci trochę za fatygę, ale to jednorazowy bonus. Szykuj się na siedem chudych lat, Chudy, bo może nam brakować do pierwszego.

– Mhm...

Po co miałem mu mówić, że kasy miałem przynajmniej chwilowo jak lodu? Pewnie tak samo jak lód, zaraz ta kasa stopnieje, ale akurat w tej chwili nie musiałem się martwić o środki do życia.

Zerknąłem na zegarek: kuuurde, jak już późno.

– Lecę. – Podałem mu rękę. – Za tydzień, standardowo?

– Dam znać. Sam widzisz, że sytuacja jest dynamiczna. Uważaj na siebie, Chudy.

Zamknąłem bagażnik, wskoczyłem do kabiny i ruszyłem z powrotem ku miastu.

Reflektory wycinały z ciemności dwa stożki płótna popękanego asfaltu, znaki i suche drzewa przelatowały obok. Muzyka dudniła, ale ściszyłem, potem w ogóle wyłączyłem nagłośnienie. Musiałem pomyśleć.

Jakoś dużo się działo ostatnio, a ja nie radziłem sobie z takim multitaskingiem.

– Dobra, po kolei... – warknąłem.

Najpierw rzeczy najważniejsze: dojechać do domu, dać Kusto zreć, bo gotów mi zaraz zesrać się po raz drugi, tym razem z głodu. Potem wziąć wreszcie prysznic, dopić flaszkę. Posiedzieć nad tymi durnymi wykresami dla niebieskiego ludka z K-Merowa, a potem się

zobaczy.

Ponad pięknie widocznym z wysokości obwodnicy NeoSybirskiem po raz kolejny pełgała zorza przelewająca się wstęgą w odcieniach błękitu i lazuru. Pamiętam, jak pierwszy raz się pojawiła, to wszyscy się zachwycali: uuu, zorza polarna, *aurora borealis* czy inne tam piękne nazwy. Dopiero po kilku dniach naukowcy z uniwersytetu powiedzieli, że to światło się odbija w zawieszonych nad miastem cząsteczkach chemikaliów i że wcale nie ma się co cieszyć, bo to nie jest piękne, tylko straszne.

A ludzie i tak się cieszyli, że takie ładne i takie nasze. Na północy mają białe noce, a że Sybirak potrafi, to nasze będą niebieskie.

Niebieskie noce, tak to ochrzcili.

Dojechałem na osiedle, lekko już przysypiając za kółkiem. Środek nocy, po ulicach kręciły się same męty... Jak szedłem do klatki, to pomiędzy blokami poniosły się echem strzały: raz, dwa, trzy suche trzaśnięcia pistoletu, zaraz po nich seria z małokalibrowego, pewnie chałupniczego automatu. Aż odruchowo wtuliłem głowę w ramiona, przykucnąłem za samochodem. Stare nawyki nie umierają.

– Szefie, kopsnij drobniaka... – próbował zaczepić mnie pijacek, kiedy wstukiwałem kod.

Pojawił się zza rogu tak niespodziewanie, że aż sięgnąłem odruchowo pod kurtkę, mimo że nic pod nią nie miałem. Tamten był szybszy: błyskawicznie uniósł ręce, skulił się i rymsnął na kolana.

– Nie strzelać, nie strzelać! – zajęczał, odczołgując się w tył.

– Paszoł won! – warknąłem.

W końcu udało mi się otworzyć drzwi, wsunąłem się do klatki i zatrzasnąłem za sobą. Ufff, niech to diabli! Wystraszył mnie, ćwok jeden, ale po tych opowieściach Cesarza... Wdrapałem się na swoje piętro, po omacku otworzyłem zamki i wreszcie oparłem o ścianę własnego, bezpiecznego przedpokoju.

O, w salonie nadal kręciły się hologramy z wykresami zależności spółek. No tak, zapomniałem zgasić, zostawiłem wszystko tak, jak było. Nierozsądnie trochę.

Zrzuciłem z siebie ubranie, wszystko z wyjątkiem kurtki wepchnąłem do dekontaminatora, a sam siebie do łazienki. Głęboki wdech, prysznic na lodowatą wodę, i pełne zanurzenie...

Wyłoniłem się jakiś czas później, zdecydowanie czystszy i świeższy. Nawet nie nakładając gaci, rozwaliłem się znów na kanapie, czekający już pod drzwiami łazienki Kusto polazł za mną, jak zwykle liżąc po stopach. Wódka co prawda się ugrzała, ale trudno.

Nalałem sobie szklankę i zacząłem jeden po drugim przewijać slajdy. Ach, no tak, bo miałem je rozwinąć na trójwymiar, nie zdążyłem. Wyjąłem rysik, zazaczyłem pierwszą z brzegu spółkę...

Zamarłem.

Poruszyłem jedną firmę, nitki prowadzące do tuzina innych pociągnęły się wraz z nią. Wysunąłem ją tak daleko, jak tylko pozwalał wyświetlacz. Wolną ręką przełączyłem na inny slajd, pokazujący powiązania osobowe. Na oko wybrałem nazwisko, które powinno być w tym samym miejscu, też odsunąłem na bok.

Przeklikałem slajdy z powrotem, ustawiłem w innej kolejności. Klik – nazwiska. Klik w bok – firmy.

Na razie się nie zgadzały. A gdyby tak przejść na drugi stopień powiązań? Gdzieś tam była taka grafika przecież. Zachowałem obydwie diagramy w pamięci podręcznej, przesunąłem kilka okien, wybrałem ten, który powinien pasować.

Katorżnicza, żmudna robota, takie ręczne przenoszenie kawałków na podstawie własnego widzimisię. Nie wiesz dlaczego, nie wiesz, co z tego wyjdzie, ale masz przecucie, że może pasować. Jak układanie puzzli z dziesięciu tysięcy kawałków, gdzie większość obrazka to błękitne niebo.

Klik, klik. Jeszcze nic, ale zaczynało się powolutku coś z tego wyłaniać. Łyk ciepłej wódki, kilka granulek gównozarcia na zagrychę.

– Sobkow, Sobkow... – zamruczałem, wyszukując związane z nim firmy.

Klik, klik... Klik z powrotem. Zamrugąłem, przetarłem lekko piekące oczy.

Miałem to.

Jedna ze spółek Sobkowa, schowana w drugim kręgu zależności pośredniej przez powiązanych z nim dyrektorów i właścicieli, dostała wierzytelność na trzydzieści milionów bez kilku groszy wobec jednej ze spółek z grupy K-Mer Corp. A ta z kolei miała dług, idący prosto ku spółce V4invest, zależnej... Od kogo?

Oczywiście od Marco Valenty. Przez podstawionego dyrektora, siedzącego w radzie nadzorczej, ale ten sam typiek widniał w kilku innych podmiotach. Etatowy figurant, znało się i takich.

A to znaczyło, że ten dług istniał już wcześniej, tylko że nikt się nim nie zainteresował. I dopiero teraz K-Mer w osobie swojego dyrektora rady nadzorczej zdecydowało, że pora się za to wziąć. Moimi rękoma, rzecz jasna.

Ale... zaraz. To znaczyło, że Valenta był wcześniej nie dłużnikiem,

tylko wierzycielem? Że to oni byli winni jemu, a nie on im?

No tak, na to by wychodziło, przynajmniej w skali mikro. W makro był im winien więcej niż oni jemu. Ciekawe ile, swoją drogą? Przywołałem ekran przepływów finansowych, zacząłem wbijać i przenosić dane.

Chwila muzyki i aż gwizdnąłem przez zęby.

Ten cały Valenta był niczym pijawka, od dłuższego czasu drenująca spółki zależne od K-Mer Corp. Przerzucał długi, żonglował wierzytelnościami. Obracał kwotami istniejącymi tylko w wirtualnych rozliczeniach, żeby dostać kolejne kontrakty na gazyfikację wydobywanego przez korporację węgla. Przekazywał fragmenty rozczłonkowanych zadłużeń na firmy, kaskadujące to dalej poza granicę roku obrachunkowego księgowości.

Przyssał się do nich i doił kropelka po kropelce... A potem nagle scalił to wszystko w jedną wierzytelność i przerzucił na spółkę córkę K-Mer tylko po to, żeby od razu zawiesić na strukturze zależnej korporacji, której dyrektorem był Sobkow.

Uśmiechnąłem się, nie mogąc nie okazać podziwu dla kreatywności: przekręcił ludzi na ich własnej kasie. Dał Sobkowowi nie swoje pieniądze. Nie wyjmując ani grosza z kieszeni, zebrał fortunę z cudzych skrawków, po czym... no właśnie.

Po czym wszystko wrzucił jednym absurdalnym, ryzykownym ruchem. Jak gdyby poczuł, że inwestycja opłaci mu się tak, że warto spróbować.

– Z tobą już nie pogadam – skwitowałem, odsuwając rysikiem na bok zdjęcie Sobkowa. – Ale za to ty... ty możesz się przydać.

Z grafiki spoglądała na mnie wąsata twarz typka niczym z poprzedniej epoki albo wręcz innego świata. Petr Matwieszuk, głosił podpis, dyrektor generalny PMGroup. Adres prowadzenia działalności: K-Merowo, bulwar Sztygarów, budynek F.

K-Merowo. Nie miałem wcale ochoty się tam ruszać, no ale co zrobić? Skoro mam znaleźć pieniądze, to wypadałoby porozmawiać z ostatnim człowiekiem, który jeszcze je widział.

Poza tym sprawa była mocno śmierdząca. Już teraz widziałem w załączonych do wykresu dokumentach, że decyzję o przeniesieniu wierzytelności z kilku może i zadłużonych, ale absolutnie wypłacalnych, posiadających aktywa i infrastrukturę spółek na jedną pustą, niemalże fasadową wydmuszkę V4invest podjęto w ciągu...

Aż chlapnąłem duszkiem resztkę wódki i dałem Kusto do wylizania szklanekę.

Dwudziestu czterech godzin. Tak po prostu, na piękne oczy przerzucili wartość trzydzieści baniek wierzytelność na typa, który powiedział im, że spoko, ma przecież kasę, rozliczy się z nimi za miesiąc drobnymi z lewej kieszeni.

Sprawdziłem termin płatności: no tak, upłynął ponad miesiąc temu. Potem gównem wybiło z kibla, smród doszedł aż do Daniłowa, a ten wezwał szambonurka i powiedział: posprzątaj tu, czarnuchu.

Dolałem sobie wódki, wypilem od razu. Dopiero po chwili skrzywiłem się, czując wyraźny zapach psiej śliny... No dobra, trudno, powinno odkazić.

Cokolwiek zrobił Valenta, miało to coś wspólnego z Sobkowem. Po prostu na ślepo wrzucił wartość trzydzieści baniek wierzytelność wobec grupy K-Mer w ukrytą strukturę tamtego, zajmującą się...

Klik.

„Pośrednictwo finansowe i gospodarcze, pozyskiwanie finansowania federalnego” – nie, to nie to.

Pozostałe obszary działalności... „Domy opieki, usługi medyczne”, to też bzdura.

„Działalność ogólnobudowlana” – nie.

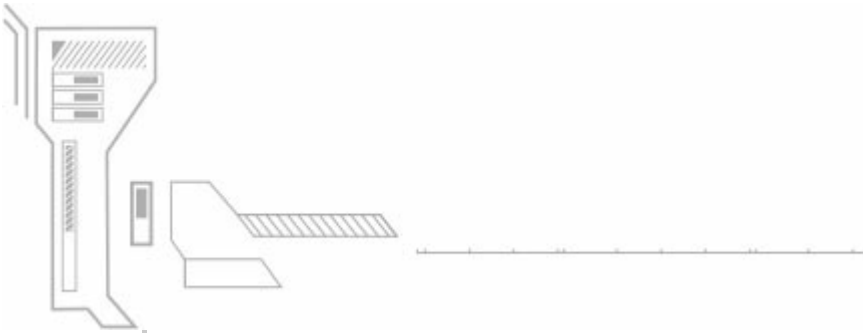
Przewinąłem do końca, na „budowę maszyn”. Już miałem zamknąć listę, ale coś mnie tknęło, cofnąłem na przedostatnią pozycję.

„Nowoczesne technologie, działalność badawczo-rozwojowa, inżynieria biologiczna i genetyczna”.

O, to było ciekawe. Bardzo ciekawe. Akurat coś, w co można by wpompować bez trudu nie tylko trzydzieści, ale i sto trzydzieści milionów. Schowane, siedzące sobie cicho i niepozornie wśród masy nudnych, zwykłych rodzajów działalności gospodarczej.

A więc jednak będę musiał przejechać się do K-Merowa, do kolegi Matwieszuka i kulturalnie zapytać: co takiego podkusiło go, żeby lekką ręką pozwolić na przerzucenie wierzytelności na spółkę, zajmującą się badaniami w budowlance dla starych ludzi? Bo takie coś to nie w kij dmuchał, na pewno za tę kasę, a skoro Cesarz mówi, że koszą naszych, to...

Pamiętam, że szarpnąłem jeszcze butelkę do końca z gwinta, a potem zwyczajnie urwał mi się film.



Dzieeeeeen dobry bardzo! Mamy już godzinę dziewiątą rano, słońce już dawno wstało i praży! Pobudka, śpiochy, pora na kolejny dzień pracy dla dobra Ojczyzny!...
...nadal nie jest jasne, jakie były motywy ujawnienia nagrań. Niezaprzeczalnie, wypowiedzi gubernatora i jego współpracowników są szokujące, ale...
...doskonale układa się pod skórą. Dzięki wiodącej technologii nasza siatka chłodząca...
...wciąż stoi w korku. Milicja pracuje nad rozładowaniem sytuacji, ale nie wiadomo, kiedy uda się...



Mmm... O tak, malutka, o tak. Pracuj wokół niego, no pracuj, nie żałuj sobie. Pokaż, jak bardzo go chcesz, jak mocno...

Rozchyliłem oczy, zamrugąłem, budząc się z wyjątkowego przyjemnego snu.

Leżałem nago na kanapie, przede mną wciąż jarzyły się blade wykresy i diagramy z rzutnika, który całą noc dmuchał mi prosto w twarz gorącym powietrzem.

Na podłodze obok siedział Kusto, liżący mnie długim, szorstkim i mokrym jęzorem po jajcach.

– Kusto, sio! Paszoł, idź stąd! – wrzasnąłem, zrywając się i zasłaniając rękoma. – Ach ty, ludziofilu jeden wstrętny...! Won!

Spłoszony pies rzucił się do korytarza, wpadł z hukiem w drzwi, pośliznął się, wleciał w wieszak na kurtki i z hurgotem wpadł do ciemnej sypialni, gdzie pewnie swoim zwyczajem wcisnął się pod łóżko. Ja usiadłem na kanapie, przeciągnąłem dłońmi po twarzy... A, no tak, piłem wódkę i po prostu mnie ścięło.

Zerknąłem na zegarek: dziewiąta. Nieźle zmarnowałem początek dnia, nie ma co.

Wreszcie wyłączyłem projektor, wcześniej robiąc sobie jeszcze zrzut danych firmy i personaliów dyrektora, którego będę musiał znaleźć w K-Merowie. Jak wyjadę teraz, to przed wieczorem powinienem...

A, no tak, dzisiaj przecież pogrzeb chłopaków.

Nie chciało mi się ni cholery, ale mimo wszystko wypadało się pojawić. Pomimo całego skurwienia, zbydlęcenia i upadku obyczajów na ulicach istniał pewien niepisany kodeks honorowy, a jako że ekipa z Nowodzierżyńskiego była naszymi bezpośrednimi sąsiadami i konkurencją...

Abstrahując już od wszystkiego: jeśli nie pokażemy się całą ekipą, może to zostać odebrane jako afront, a stamtąd tylko krok do

przypisania nam odpowiedzialności.

Obmyłem się na szybko, wyciągnąłem wciąż jeszcze gorące, wilgotne ciuchy z odkażacza. Zamiast zamknąć drzwiczki, sięgnąłem ręką głębiej i w górę, namacałem zawinięty w folię pakunek... Tak, był tam, dokładnie jak go wsadziłem te dwa lata temu.

Cholera, a myślałem, że nie trzeba będzie. Ech... Tyle w temacie solennie składanych samemu sobie obietnic.

Odwinąłem folię, rozerwałem plastikowy pakiet, rozciąłem torbę z pokrytego ołowiem materiału, odbijającego promieniowanie przy prześwietleniach mieszkań, przeciąłem kolejną warstwę plastiku. W końcu wysupłałem z nasączonej smarem szmaty solidny kawał żelaza w kompozytowych okładzinach, z przyjemnością zważyłem w dłoni.

Oj, stęskniłem się do niego. Tyle różnych innych pistoletów po drodze trzymałem w ręku, strzelałem z nich i bawiłem się. O ile lepszych, bardziej nowoczesnych, wybajerowanych... A ten jednak był mój.

Westchnąłem ciężko, pstryknąłem przełącznikiem przy chwycie pistoletowym. Oko zaboląło lekko, a potem dawno nieużywana soczewka wszczepiona w gałkę oczną nabiegła zielonkawym blaskiem, wyświetlając szereg komunikatów kontrolnych po francusku.

– Bą żur, kamą sawa? Komsi-komsa, eh? – Uśmiechnąłem się sam do siebie.

Tak, nie lubię cybernetyki, ale to nie znaczy, że jej nie używam. Ręka okazała się poniekąd koniecznością, a kiedy w szpitalu okazało się po wszystkim, że nieopatrznie zaznaczyłem opcję rozszerzoną zamiast podstawowej... No co, miałem prosić, żeby mi ją usunęli? No chyba że nie.

Zamknąłem oczy, głęboki wdech... Otworzyłem, spojrzałem na lampę pod sufitem – pistolet skierował się równo na nią. Klamka – lufa twardo podążyła za spojrzeniem. Głośnik w dużym pokoju – muszka i szczerbinka ułożyły się w równiutką linię.

Wysunąłem magazynek, przeładowałem, sprawdziłem, czy komora na pewno jest pusta. Doładowałem wyjętymi z pudełeczka nabojami o płaskim, przeciętym na sześć części czubku, wsunąłem pistolet w kaburę pod pachą, wyciągniętą z najgłębszych czeluści szuflady.

Na szybko wstukałem jeszcze oświadczenie w przenośny notatnik, podpisałem się, wsadziłem go w drugą kieszeń... Można

było ruszać.



Dwie godziny wystarczyły akurat, żeby dotrzeć do nekropolii Nowodzierżyńskiego. No, niemalże wystarczyły, więc gdy zaparkowałem w końcu swego merca, kondukt pogrzebowy już chował się w kaplicy krematorium.

Dopiąłem kurtkę, próbując iść na tyle nonszalancko, na ile byłem w stanie się zdobyć – odwykłem od noszenia przy sobie broni! – podążyłem do środka.

We wnętrzu było ciasno i duszno, pachniało potem i nagrzanym plastikiem. Rodziny, znajomi, współnicy, sojusznicy i niedawni konkurenci wyciętej ekipy tłoczyli się wszyscy wokół trumien, chcąc pokazać, jak bardzo byli bliscy zabitym, jak mocno obchodzi ich los, który przypadł tamtym w udziale.

Urzędnik wyszedł na podium, przesadnie modulowanym głosem zaczął swoje przemówienie: Umiłowani, zgromadziliśmy się tutaj... Niepowetowana strata... Wyjątkowi ludzie... Szczególny dzień, będący dla nich końcem drogi, ale dla nas początkiem nowej, aby od dziś bardziej jeszcze nie szczeniść się dla wielkości Ojczyzny.

Słuchałem tego jednym uchem. Gadka była praktycznie ta sama, zmieniały się tylko warianty okolicznościowe i ozdobniki, więc znałem już formułki na pamięć. Zamiast tego szukałem w twarzach obecnych czegoś, co pozwoliłoby zgadnąć, kto z nich mógł przyłożyć rękę do sytuacji brygady z Nowodzierżyńskiego.

Trumny podniosły się na automatycznych platformach, przejechały ku gardzielom pieców krematorium.

Śluzy otwarły się, połykając pojemniki z ciałami, a potem zamknęły. Przygasły światła, nad głowami zafalowała holograficzna biało-niebiesko-czerwona flaga. Zagrała podniosła muzyka, większość uczestniczących w ceremonii wyprostowała się, zaczęła otwierać usta w kształt, który ich zdaniem powinny przybierać do zgłosek hymnu.

Zerknąłem ukradkiem na zegarek: dochodziła pierwsza. Skinąłem głową kilku co bliższym członkom rodzin zabitych, po czym powoli, krok za krokiem zacząłem wycofywać się ku wyjściu.

Na dworze było już nieludzko gorąco, słońce spływało na ziemię płynnym ogniem, ale i tak oddychało mi się lżej niż tam,

w atmosferze dosłownie skraplającego się na twarzach smutku i przygnębienia. Przeszedłem pomiędzy pomnikami zasłużonych obywateli dzielnicy i stosami tablic, na których wypisywano w rzędach nazwiska zmarłych, precyzyjnie się na swoje miejsce parkingowe i przez ledwie uchylone drzwi wsunąłem do nagrzanego piekarnika samochodu.

– Kej-łącznik-Me-ro-wo. – Wstukałem nazwę w ekran nawigacji.

Komputer posłusznie wyświetlił trasę, podał odległość: dwieście siedemdziesiąt kilometrów, pięć godziny jazdy.

Zmełłem w ustach przekleństwo, wdusiłem przycisk zapłonu.

Z nieba lał się żar, klimatyzacja huczała tak, że ledwie słyszałem przez nią dudnienie basów. Nagrzany asfalt zdawał aż lepić się do kół, ponad dachami stłoczonych na ulicach NeoSybirska samochodów falowało brudne powietrze; światła jakby złośliwie zmieniały się z czerwonych na pomarańczowe i z powrotem na czerwone.

Musiałem objechać całe cholerne miasto.

Zerknąłem ku tonącym w szarawoburej mgiełce wieżom śródmieścia. Gdzieś tam pewnie siedział sobie Daniłow, popijał jakieś frymuśne drinki i cieszył się klimatyzacją, spoglądając z wysokości swego apartamentu na leżące daleko w dole miasto, skąpane we własnym brudzie.

Chociaż nie, on pewnie wrócił do K-Merowa, poprawiłem sam siebie w myślach. W takim razie miałem szansę go spotkać? Możliwe, kto wie.

W końcu zostawiłem za sobą migające natarczywie neony i hologramy, zjechałem z obwodnicy pomiędzy zabudowania rzygającej dymem części przemysłowej. Przymknąłem wloty powietrza, żeby niepotrzebnie nie obciążać filtrów, więc w samochodzie błyskawicznie zrobiło się gorąco i duszno; jeszcze kawałek, powtarzałem sobie w myślach, jadąc za trzydziestotonową ciężarówką, jeszcze tylko trochę...

A potem wreszcie wypadłem na biegnącą prosto jak strzelił trasę za miastem.

Puściłem kierownicę, bardziej ufając dalekosiężnej kamerze skanującej autopilota niż własnemu wzrokowi. Dziur było więcej niż asfaltu, mercedes nawet teraz kluczył slalomem i zwalniał, omijając wyrwę za wyrwą. Prawie że współczułem wszystkim tym, którzy musieli przeprowadzać się przez ten labirynt na manualu, licząc wyłącznie na własne umiejętności i łut szczęścia.

W końcu można było rozpiąć kurtkę, poluzować pasek i wyjąć

pistolet z kabury. Odłożyłem żelastwo na siedzenie pasażera, pomasowałem obolałe żebra: albo szelki się skurczyły przez te dwa lata, albo to ja nabrałem ciała.

Okolica była, oględnie rzecz ujmując, niezachęcająca. Już kiedyś było tutaj pusto i nijako: ot, równina jak okiem sięgnąć, tylko tu i tam odosobniony komin zakładu, produkującego białko albo odsysającego resztki wód gruntowych.

Był kiedyś plan, żeby wszędzie wokół NeoSybirska zbudować farmy słoneczne, ale okazało się, że nie da rady: osiadający kurz i sadza z kominów elektrowni węglowych sprawiały, że solary nie miały wystarczającej wydajności. Żeby powietrze się oczyściło, potrzebny był jeden pełny sezon deszczów... W trakcie którego nie wolno było palić węglem, na co nikt się nie godził, bo przecież jakoś trzeba żyć. I tak kółko się zamykało.

Włączyłem na powrót muzykę, sięgnąłem po bidon z wodą. Samochód powoli nawijał kilometry na koła, od czasu do czasu mijalem jadące z naprzeciwka nowsze albo starsze modele pojazdów... Raz zwolniłem, mijając ufortyfikowany posterunek milicji. Odruchowo schowałem pistolet pod siedzenie, ale stojący w cieniu gliniarz nawet na mnie nie spojrział.

Mało kto jeździł do K-Merowa, bo i nie było po co. Jeśli ktoś miał tam biznes, to latał sobie wygodnie wiroplatem albo wsiadał w ekspresową kolej, wiozącą go komfortowym, opancerzonym wagonem w zamkniętym przedziale. Zwykli ludzie albo mieli wszystko, co potrzebne, na miejscu – albo nic. Tak czy inaczej, brakło im powodu, żeby szwendać się po drogach i bezdrożach Federacji.

Przejąłem na chwilę stery, widząc wrak samochodu, tarasujący cały pas jezdni. Coś wciąż dopalało się i dymiło gęstymi, czarnymi kłębam, zasłaniając widoczność.

Zwolniłem, taksując uważnie okolice. Nie, bynajmniej nie miałem ochoty nikomu pomagać, jednak takie niby-awarie nierzadko stanowiły przynętę dla rabusiów, polujących na podróżnych. Ten pewnie podpalamo nocą, kiedy blask dodatkowo oślepił kierowcę... No tak, drugi wóz stał na poboczu, z postrzelanej szoferki wystawała przez wybitą szybę zakrwawiona ręka.

Dodałem gazu, zostawiając miejsce za sobą. Może zadzwonić na posterunek, zameldować im...?

A zresztą, co mnie to obchodzi? Byli raptem kilkanaście kilometrów stąd, na pewno wiedzieli, ktoś już im musiał powiedzieć. Jakby chcieli, to mogliby się pofatygować, a pewnie wychodzili

z tego samego, co ja, założenia: nie ich sprawa.

W połowie drogi pomiędzy dwoma miastami rozłożyła się przydrożna osada, której jedyną racją bytu był właśnie fakt, że leżała w połowie drogi. Stacja benzynowa, generatory i przyłącza do prądu, płyny i smary... Każdy z kilkunastu domków był zarazem garażem, warsztatem, jadłodajnią i hotelem.

Było tu obskurnie i mocno niskotechnologicznie. Kręciło się kilka wątpliwej jakości dziwek, tak bardzo pozmienianych przez tanie operacje plastyczne, że mało już podobnych do istot ludzkich. Co najmniej dwie z nich były chyba kiedyś mężczyznami, a jedna, zdaje się, pozostawała nim nadal.

Brrr... Ja wiem, że są czasy tolerancji, równości i możliwości, przynajmniej nominalnych. Ale chyba byłem mocno staromodny i jakoś nie mogłem przekonać się do tego, że każdy mógł sobie wybrać, kim i czym chce zostać.

Głównie dlatego, że w sytuacji wolności wyboru większość ludzi decydowała się na naprawdę głupie opcje.

Zjechałem na bok, jakkolwiek bardziej dla zasady niż z realnej potrzeby. Od razu obskoczyli mnie sprzedawcy wszelkiego baracha, jakiś natarczywy szczył zaczął myć mi szyby, ktoś przyczepił do maski magnetyczny holoprojektor z równie skromnym, co pompatycznie ukazanym menu swego wątpliwej reputacji przybytku uciech podniebienia i nie tylko.

Wysiadłem, już miałem zatrzaskać drzwi, przypomniałem sobie o pistolecie. Schyliłem się po niego pod fotel, schowałem za pazuchę ruchem, który sam uznałbym za niezauważalny – kiedy wyjrzałem ponownie z kabiny, wokół samochodu było już pusto.

No cóż, widać ludzie na tak zwanej prowincji o wiele lepiej odczytywali pewne sygnały.

Wszedłem do pierwszego z brzegu baru – trafiłem akurat na jakiegoś małego, skośnookiego typu, ale raczej Kazacha niż Chińczyka. Pokazałem palcem na wyświetloną ponad kontuarem potrawę, nawet przypominającą coś, co jadło się kiedyś... Chciałem przeczytać czip, ale ten pokręcił głową.

– Tylko gotówka!

Wyciągnąłem z kieszeni kartę, przesunąłem po samorobnym czytniku. Piknęło, zapaliła się niebieska dioda, typ uśmiechnął się szeroko i wskazał mi miejsce przy tandetnym, plastikowym stoliku.

Po chwili pojawiła się jego żona, a może córka, patrząca na mnie nienaturalnie wielkimi, chirurgicznie powiększonymi oczami o rzęsach tak długich, że aż dotykały brwi. Rozciągnęła

napompowane silikonem wargi w uśmiechu równie sztucznym jak jej cycki, postawiła przede mną plastikowy dzbanek i plastikowy kubek.

To wszystko jest z plastiku, pomyślałem sobie. Ta kobieta, to menu, cała ta buda. Nawet żarcie będzie z plastiku, bo skąd by wzięli prawdziwe mięso? Tutaj, poza miastem, ludzie przynajmniej nie udawali, że jest inaczej. Gówno było gównem, i nikt nie usiłował tego ukrywać.

Kiedy przynieśli jedzenie, to aż mi w brzuchu zaburczało, po raz pierwszy od nie wiem jak dawna. Nachyliłem się nad niekształtnymi, rozgotowanymi pierogami o barwie i fakturze rozmiękłego papieru toaletowego, dźgnąłem poszczerbionym aluminiowym widelcem...

Przez dziurę zaczął wysączać się sos, od którego zapachu aż zakreśliło mi się w głowie.

Nie mogąc uwierzyć w to, co się dzieje, ująłem sakiewkę z ciasta w trzy palce i ugryzłem od dołu. Wraz z ciastem do ust dostał się spory kawałek nadzienia, mającego w sobie zaskakująco dużo mięsa, gorący sok trysnął do ust, pociekł po brodzie... Aż zachłysnąłem się z wrażenia, rozkaszałem, ale dałem radę pogryźć i połknąć.

Sięgnąłem po serwetkę, ale zaraz opamiętałem się, wytarłem usta palcami i dokładnie oblizałem każdy. Popatrzyłem na właściciela, śmiejącego się zza lady.

– To jest... przepyszne! – wybełkotałem, wpychając do ust drugą połówkę pierwszego z trzech pierogów. – Skąd macie takie aromaty spożywcze? To przecież musi kosztować fortunę, powinniście to w mieście sprzedawać!

– Dobrze? – ucieszył się skośny typ.

– Przepyszne, mówię przecież! W tym jest białko? Bo chyba czuję lekki posmak prawdziwego mięsa?

– Mięsa, tak! Mięsa dobra, mięsa środek! – przytaknął ochoczo.

– Ale ja pytam...

– To jest mięso – mimochodem rzuciła cycata, wargata i rzęsata kobieta, zbierając ze stolika obok brudne naczynia z niedopałkami petów.

Zamurowało mnie.

– Co...?

– Mięso – powtórzyła. – Trochę mieszamy z soją i syntoproteiną, żeby miało objętość, ale to baran. Bity trzy dni temu, dwulatek.

Zamarłem, nie donosząc do ust ostatniego kęsa. Mózg po prostu

zawiesił się na tej informacji.

Jeśli to, co mówiła, było prawdą, to wracając, zajadę tu znowu, zamówię porcję na wynos i w NeoSybirsku każę ją zatopić w żywicy epoksydowej, po czym oprawię w złote ramy, powieszę na ścianie i będę na nią patrzył.

– W górach, wysoko, są stada. – Dziewczyna mówiła tak, jakby było to zupełnie oczywiste. – Ojciec jeździ co tydzień i przywozi mięso. Taniej niż kupowane syntobiałko z dodatkami. A smaczne, prawda?

– Smaczne.

Z nabożną czcią spożyłem ostatni kawałek, przeżuwał długo i z lubością. Potem wychleptałem sos, wylizałem plastikowy talerzyk, sam zaniósłem go do kosza, podziękowałem właścicielowi, który aż podał mi rękę ponad kontuarem i poklepał przyjacielsko po ramieniu.

Wyszedłem na dwór, z ciekawości wywołałem asystenta finansów na zegarku, zbliżyłem kartę i sprawdziłem ostatnią płatność... No tak, posiłek kosztował grosze. Mniej, niż zapłaciłbym za najtańszą parówkę sojową bez dodatków w mieście.

Odląłem się jeszcze za rogiem, żeby potem nie biegać, kupiłem butelkę może nie do końca czystej, ale na pewno świeżej wody. Wsiadłem do samochodu, sprawdziłem odległość: połówka minus dwieście metrów.

– Teraz już z górki – rzuciłem w przestrzeń, odpalając silnik.

Żołądek pracował pełną parą, aż mi się spać zachciało trochę. Niby w bagażniku miałem kanister z syntadrenaliną, no ale przecież nie będę się kłui, nie? Ustawiłem autopilota w stan czuwania na wypadek, gdyby mi miała główka opaść, włączyłem ulubiony kawałek muzyki i depnąłem na gaz.



K-Merowo widać było już z daleka.

Nad całym miastem wisiała całunem warstewka kurzu i pyłu, nieustannie unoszącego się z wyrobisk węglowych, zakładów wzbogacania i gazyfikacji, koksowni, rafinerii, kotłowni, elektrowni i całej tej przeogromnej maszyny, napędzającej największą w Federacji kopalnię odkrywkową węgla.

Po lewej i prawej od drogi wznosiły się hałdy wyciągniętej

z odkrywek ziemi, odpadów i żwiru. Najpierw daleko, potem stopniowo coraz bliżej, aż wreszcie podsunęły się pod samą trasę, osypując tu i ówdzie na asfalt i wpełzając na jezdnię długimi łożorami szarego piachu.

A potem nagle usypiska zniknęły, zaś ja wjechałem na równie słynny co przerażający Czarny Wiadukt.

Miasto węglowców wznosiło się w oddali niczym zamek z chorej bajki – stłoczone, pozlepiane razem wieżowce, kurczowo trzymające się jeden drugiego. Jak pijani rybacy, co chcieli łowić ryby spod lodu i wleźli na krę, która oderwała się od brzegu i teraz dryfowała coraz dalej, krusząc się kawałeczek po kawałeczku. Zresztą, kto dziś łowi ryby, jak nie ma co łowić?

Wokół samotnej, z roku na rok coraz mniejszej wysepki K-Merowa rozciągały się jak okiem sięgnąć odkrywki i wyrobiska węglowe.

Pierwsze maszyny i koparki pracowały zaraz za przedmieściami, ryjąc drogocenny surowiec niemalże spod fundamentów domów mieszkalnych. Potem kolejne, coraz większe maszyny wgryzały się głębiej w ziemię, prując złoża do ostatniej szufli, do najcieńszego pokładu, do statystycznie nieistotnego śladu miazgi w piachu i glinie. Dziesiątki, setki kilometrów taśmociągów przenosiły urobek do stacji kruszenia i odsiewu, potem automatyczne podajniki ładowały go do ciężarówek o kołach większych i cięższych niż cały mój mercedes.

Czarne złoto Syberii, węgiel kamienny. Zalegający pokładami poziomo pod samą ziemią, łatwo dostępny, wysokokaloryczny. O dziwo, zasobów nadal starczało, złoża jeszcze się nie kończyły, więc wydobyć szło pełną parą.

Byliśmy skazani na sukces, bo wszystko wskazywało na to, że prędzej od tego węgla skończy się sama ludzkość.

Czarny Wiadukt wznosił się na pałkach betonowych słupów, dostawianych i przestawianych na bieżąco w miarę, jak koparki i kombajny węglowe podchodziły coraz bliżej i głębiej do poprzednich mocowań. Już teraz droga wiodła dobre kilkadziesiąt metrów ponad ogromną pustką, po której hulał wiatr...

Gwałtowny podmuch szarpnął samochodem, czarny pył uderzył w przednią szybę. Od razu zwolniłem: no tak, był nawet znak ostrzegawczy, żeby uważać. Do tego jeszcze droga była popękana w poprzek, więc miejscami dojeżdżało się do istnych progów z asfaltu, wypiętrzającego się współczesnym górotworem.

Widziałem już pierwsze bloki na obrzeżach miasta, dosłownie

wiszące ponad węglową przepaścią. Oczywiście, że były podparte, wylewano pod nimi żelbetowe półki i belki. Mieszkańcy wcale nie musieli się wyprowadzać... Ale wszyscy wiedzieli doskonale, że właśnie o to chodziło.

Maszyny wchodziły coraz głębiej i głębiej, a węgiel wart był więcej niż mieszkający na nim ludzie. Prędzej czy później ściany zaczynały pękać, bloki osuwały się do wyrobiska. Kolejna komisja do spraw wypadków górniczych, dochodzenie, winni zaniedbań, kary, nagany – a potem historia się powtarzała.

Ciekawe, czy bonzowie z K-Mer Corp myśleli czasami o tym, co będzie dalej? Przecież w końcu koparki zaczną ryc pod ich własnym wieżowcem, wznoszącym się dumnie iglicą z czarnego szkła i oksydowanego aluminium w samym centrum miasta. Będą siedzieć w swoich biurach, czekając, aż wszystko się zawali?

Prędzej obejrzą to sobie na żywo na ekranach holowizorów w bezpiecznym zaciszu luksusowych domów, przemknęło mi przez myśl. Nikt z nich nie troszczył się ani o środowisko, ani o to miasto, ani mieszkających w nim ludzi. Przypuszczam, że mieli w dupie też samą firmę.

Chodziło wyłącznie o pieniądze.

Wjechałem pomiędzy wysiedlone bloki. Najbliższy po prawej nie miał już jednej ściany, widziałem dokładnie wnętrza mieszkań, otwartych niczym na przekrojowym rysunku. Sąsiednie też przygotowano do wysiedlenia, widać było pnące się po murach rysy pęknięć i odpadający płatami tynk.

Całe K-Merowo było szaroczarne, przyprószone węglowym pyłem i kurzem. Czarny proszek osiadał na ulicach, podnosił się chmurami za samochodem, wciskał w otwory wentylacyjne i gromadził pod ścianami. Gdy padał deszcz, czarne błotko spływało po ścianach, zostawiając za sobą zacieki. Nie wyobrażałem sobie, jak można tu mieszkać.

Ludzie też byli szarzy, jeszcze bardziej ponurzy niż w NeoSybirsku. Widziałem zaciśnięte w wyrazie permanentnej, ledwie tłumionej agresji usta, dłonie odruchowo zwijające się w pięści... I kontrastujące z tym, mrugające radośnie czerwienią, fioletem i zielenią neony, ponad którymi wznosił się dumnie śnieżnobiały billboard.

Spojrzałem na znaną do bólu każdemu obywatelowi Federacji twarz, na wypisane czerwonymi wołami hasło: „Wieczny Prezydent – wieczna Rosja!”.

Nawet teraz kilkunastu robotników pucowało plakat gąbkami na

długich sztycach, hojnie polewając wodą z myjki ciśnieniowej. Pod nim kręciło się stadko dzieciaków, radośnie korzystających z darmowego prysznica w to skwarne popołudnie, piszczących głośno i wołających do spoconych roboli: jeszcze, polejcie jeszcze!

Młode pokolenie dosłownie chowało się w pomyjach z pańskiego dworu.

Zawinąłem pod budynek, którego adres znalazłem w dokumentach od Daniłowa. Ot, jeden z wielu biurowców, logo firmy na fasadzie, parking dla gości, ogrodzenie... Nałożyłem przenośny filtr, wysiadłem z samochodu i wbiegłem po schodach do środka.

– Dzień dobry, w czym mogę pomóc? – odezwała się recepcjonistka, nawet na mnie nie patrząc.

– Khudovec Aleksander, do pana dyrektora... e... Matwieszuka – w ostatniej chwili przypomniałem sobie nazwisko.

– Pan był umówiony? – Puknęła w monitor. – Odczyt tożsamości poproszę.

– Nie, ja tak, z wolnej ręki.

Przytknąłem czip do czytnika, zastanawiając się po raz kolejny: czy moja licencja detektywa jest jeszcze ważna? I czy lepiej, żeby była, czy żeby nie? Recepcjonistka włączyła komunikator, przywołała na twarz wyćwiczony uśmiech.

– Panie dyrektorze, ma pan gościa – zaszczębiotała, składając usta w ciup. – Pan Khudovec, z NeoSybirska... Tak, dopiero przyjechał. Pan w jakiej sprawie?

To ostatnie było do mnie. Przewróciłem oczami, rozłożyłem ręce.

– Biznes.

– Tak, w interesach... Dobrze, już go wysyłam do pana. – Uśmiech spłynął z jej twarzy, transmisja zapewne dobiegła końca. – Tamtą windą, siódme piętro. Gabinet po lewej.

Wjechałem na górę, rzeczywiście znalazłem gabinet po lewej zaraz obok windy. Zapukałem, dotknąłem klamki; drzwi otworzyły się same.

W ogromnym gabinecie siedział w ogromnym grawifotelu za ogromnym biurkiem malutki człowiek.

– A, to pan – ucieszył się. – Proszę, proszę siadać. Piotr Matwieszuk, bardzo mi miło, dyrektor. W czym mogę panu pomóc?

Podał mi rękę, bardziej przypominającą lekko sflaczały balon. Usiadłem na wskazanym miejscu.

– Aleksander Khudovec, prywatny przedsiębiorca. Chciałem porozmawiać z panem o...

– Napije się pan czegoś?

– Może wody...

– O, doskonały wybór! Ja powiem panu, że też tylko wodę piję. Odkąd się z raka żołądka wygrzebałem, to staram się dbać o siebie... A przecież od płuc się zaczęło, i z tym też sobie poradziłem.

– Ojej. Współczuję i gratuluję zarazem. Mam nadzieję, że wszystko już w porządku?

Zawsze najważniejszą rzeczą przy takich rozmowach jest nawiązanie kontaktu. Rozmawiać należy o kwestiach ważnych dla źródła informacji, aby zdobyć jego zaufanie, a następnie właściwie je skapitalizować.

– No, przerzutów nie widać, ale wie pan, jak to jest. Poprzednio też nie było, i nagle bęc! Wysypało mi się tak, że aż strach. Teraz, odpukać, jest dobrze.

Weszła asystentka, przyniosła wodę i szklanki. Przy okazji uśmiechnęła się do mnie, a ja nie omieszkałem zauważyć, że miała, nie powiem, bardzo kształtne biodra... Pan dyrektor musiał spostrzec, że taksuję dziewczynę, bo kiedy wyszła, uśmiechnął się do mnie szelmowsko.

– No, widzę, że i pan docenił mój najnowszy nabytek. A jak ta dziewczyna się szybko uczy, powiem panu! Niedługo będziemy jechać w delegację, to zabiorę ją ze sobą. Zobaczymy, czy zasłuży na awans, he, he...

– He, he – zgodziłem się.

– To ile chce pan tego węgla przywieźć?

Przez chwilę patrzyłem na niego, szczerze zaskoczony. Dopiero potem trybiki w głowie przesunęły się we właściwą pozycję.

– Węgla. Nie, nie do końca węgla.

– A, czyli odbiera pan tylko gotowy gaz. No dobrze, mamy akurat otwarty proces na dużej transzy i...

– Chcę porozmawiać z panem o Sobkowie.

Drgnął.

Zbladł, potem poczerwieniał.

– O kim takim? Obawiam się, że nie wiem, o kim pan mówi – skłamał tak nieudolnie, że aż zacisnąłem pięść pod stołem.

– Paweł Sobkow. A może mówi panu coś nazwisko Valenta? Marco Valenta.

Wypił duszkiem wodę, dolał sobie jeszcze. Szyjka butelki kilka razy zabręczczała o rant szklanki, tak bardzo trzęsła mu się ręka.

– Wie pan, tylu mamy kontrahentów.... – Upił jeszcze łyk.

– Na trzydzieści milionów? Nie sądzę, aby tak znów wielu. Znali

się panowie, jak sędzę. Może po nazwie spółki, V4invest? Przerzucił pan na nią trzydzieści milionów skonsolidowanego uprzednio długu.

Nagle oczy tamtego zmrużyły się w dwie wąskie szparki.

– Ja nie wiem, o czym pan mówi! – zapał, z hukiem odstawiając szklanekę na stół. – To są jakieś bezpodstawne insynuacje! Pan przychodzi do mojego biura i mnie obraża, atakuje mnie jako dyrektora spółki!

Spojrzałem na niego, zdumiony. Co on, zdążył sobie coś wstrzyknąć w nogę? Wciągnął kreskę, jak nie patrzyłem?

– Proszę się uspokoić. Pytam tylko o panów Valentę i Sobkova.

– Jestem spokojny! To pan wchodzi tutaj i na mnie naskakuje!

Złapał za szklanekę, wypił duszkiem. Od razu nalał sobie kolejną, przyssał się do niej, wydoił na trzy łyki... Sięgnął przez stół po butelkę.

Na sto procent coś sobie musiał strzelić. Widziałem, jak na czole występuje mu pot, zrobił się cały czerwony, jakby właśnie kończył bieg na dziesięć kilometrów.

– Dobrze się pan czuje? – zagadnąłem, autentycznie zatroskany.

– Tak, to... to ten upał. Gorąco tu strasznie, nie sądzi pan? Może ja podkręcę klimatyzację.

Poderwał się, doskoczył do konsoli z przełącznikami i rozkręcił dmuchawy na cały regulator; nawiewy wysunęły się z sufitu i rzygnęły lodowatym powietrzem, aż mi ciarki przeszły po plecach.

– Więc znał pan Sobkova i Valentę? – zapytałem, próbując naprowadzić go na właściwy tor.

– Co mnie pan tu przesłuchuje?! – znów wybuchnął, machnął wściekle rękami. – Znałem, znam!

– Sobkow nie żyje.

Drgnął, spojrzał na mnie wielkimi oczami.

– Nie... żyje? – spytał. – Ale rozmawialiśmy raptem parę dni temu...

– Zastrzelony. Zamordowany w zasadzie. Nie ogląda pan wiadomości?

Nie mogłem sobie odpuścić tej drobnej złośliwości, skoro w końcu trafił się ktoś jeszcze bardziej do tyłu ze światem niż ja.

– Zastrzelony... – powtórzył, a ja wyczytałem w jego głosie nie tylko zaskoczenie, ale i strach.

Sięgnął znów po szklanekę z wodą, wypił kolejną, znowu nalał, wypił od razu.

– Tak. Czy pan się aby dobrze czuje?

– Proszę mnie nie atakować! – Huknął dłonią o stół, opadł ciężko na fotel. – Boże, jak mnie boli głowa strasznie... Natasza, przynieś mi ampulkę od bólu głowy! I jeszcze wody.

– Już się robi, panie prezesie – odrzekł komunikator.

– Czy pan na pewno...

Zacząłem, ale nie dokończyłem, bo dotarło do mnie: cokolwiek wziął, przećpał, i to poważnie. Widziałem, jak na rękach zaczynają występować mu sine, niemalże czarne żyły, z trudem łapał dech... Zaczął szarpać się z guzikami koszuli pod szyją, źrenice maleńkie niczym ziarnka piasku skakały to tu, to tam...

– Pani Nataszo! – Przechyliłem się przez stół, wcisnąłem guzik interkomu. – Karetkę, i to migiem! Niech pani...!

A potem głowa pana prezesa opadła w tył, z gardła dobył się charakterystyczny charkot i facet po prostu wykitował.

Nie musiałem nawet go dotykać, bo widziałem w życiu tyle trupów, żeby umrzyka rozpoznać na pierwszy rzut oka. Wręcz nie powinienem go dotykać, błysnęła w głowie myśl. Na pewno nie powinienem mieć przy sobie broni, którą na szczęście zostawiłem w samochodzie, a posiadania kabury nikt mi przecież nie zabroni.

Siedziałem tak i patrzyłem tępo na coraz bardziej sinego prezesa Matwieszuka, który miał nic mi już nie powiedzieć. Skóra na twarzy naciągnęła się, policzki dosłownie zapadły, wargi ściągnęły, złożone na kolanach ręce przypominały bardziej obciążone pergaminem kości.

– Co jest, do cholery...? – Wstałem i wbrew najlepszej praktyce jednak go dotknąłem.

Skóra była wiotka, nie sprężynowała pod dotykiem. Uszczypnąłem w dłoń, fałdka znikła dopiero po chwili.

A potem drzwi otwarły się na oścież i do środka wpadli ratownicy. Rzucili się do pana prezesa, zaczęli robić mu sztuczne oddychanie, podłączyli do przenośnej stacji monitorowania funkcji życiowych, lecz tu już nie było co monitorować.

Odwrociłem się do drzwi, zakładając ręce za głowę. W samą porę, bo już widziałem pierwszego ochroniarza – pewnie wybiło im na monitoring zatrzymanie pracy serca pana prezesa.

– To nie ja! – krzyknąłem najgłośniejszą możliwą rzeczą. – On sam...

A potem dostałem z paralizatora.



– Aleksander Khudovec, wychodzisz!

Podniosłem obite ryło, spojrzałem zapuchniętym okiem w kierunku kamery. Szczęknął zamek, żelazne drzwi izolatki otwarły się, stanął w nich milicjant – ten sam, który kilka godzin wcześniej mnie do niej wrzucił.

– Wychodzisz – warknął.

Odcharknąłem, splunąłem krwawą flegmą na podłogę.

– Zapomniałeś magicznego słowa – mruknąłem.

– Wstawaj albo ci poprawię i powiem, że mnie zaatakowałeś.

Podniosłem się jakoś, poczłapałem za nim korytarzem posterunku. Oddali mi zarekwizowany pasek, bransoletkę, pustą kaburę, portfel i karty... Podpisałem się na czytniku bazgrołem, kolejne drzwi szczęknęły, wypuszczając mnie do części ogólnodostępnej.

Gdzie już czekał na mnie nikt inny jak Daniłow.

– Który go tak urządził? – Pokazał na mnie. – Który, pytam się, tak go sprawił?

Dowodzący zmianą major skulił się, pokazał głową na mojego oprawcę, młodszego sierżanta Petrenkę.

– Stawiał opór, panie prezesie...

– I bardzo dobrze żeście zrobili. – Daniłow poklepał Petrenkę po ramieniu. – Zuch chłopak! Udzielam wam, sierżancie, pochwały ustnej, a waszemu przełożonemu rekomenduję przedstawienie was do awansu. Nie ma pobłażliwości dla ludzi, którzy trafiają w reflektor podejrzeń organów ścigania.

– Tylko że ja nic nie zrobiłem! – warknąłem.

– I bardzo dobrze. Prawda zatryumfowała, uczciwość obroniła się sama. Co cię nie zabije, to cię wzmocni, towarzyszu kapitanie. – Uśmiechnął się do mnie.

– Kapitanie...? – jęknął sierżant.

– Poczytaj sobie moją kartotekę do snu, bęcwale! – rzuciłem mu w twarz. – I lepiej się w NeoSybirsku nie pokazuj w cywilu. Coś jeszcze ode mnie chcecie? Nie? To żegnam oziębłe.

Pokuśtykałem za Daniłowem, który już był w połowie drogi do wyjścia. Z trudem wciągnąłem klimakurtkę, zasunąłem suwak i wyłoniłem się jego śladem wprost na główną ulicę K-Merowa.

Był już wieczór, bo przecież potrzymani mnie nie od parady. Najpierw dostało mi się od ochrony, która pieściła mnie prądem, aż się zlałem w gacie. Potem przyjechała milicja, która spacyfikowała mnie profilaktycznie, wrzuciła do grawilotu, potem spacyfikowała, wyjmując z niego, aż wreszcie zawlokła do izolatki. I tam w końcu

popastwił się nade mną ten sierżancina...

– Nie wolno grozić funkcjonariuszom milicji, towarzyszu kapitanie. – Daniłow pokręcił głową z dezaprobatą, wsiadając do niebieskiej limuzyny, zaparkowanej centralnie pod zakazem. Spojrzałem na niego, on spojrzał na mnie. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie, wreszcie on zrobił niecierpliwy gest. – No, wsiadacie czy nie? Bo nie będę trzymać tych drzwi ciągle otwartych, to nie burdel.

Władowałem się do luksusowego wnętrza, drzwi zamknęły się miękko, samochód ruszył. Daniłow wyciągnął z barku dwie szklanki, wkropił do każdej tabasco i nalał soku pomidorowego.

– Ja alkoholu nie piję – wyjaśnił niepytany. – Już od dwóch lat. Ale jeśli chcecie, towarzyszu kapitanie, to wy możecie. I tak jak mówiłem, nie wolno grozić.

– To było prywatnie, nie wobec funkcjonariusza.

– Powtarzam: nie wolno. Słaby gada, słaby grozi. Silny po prostu robi to, co ma do zrobienia.

Fakt, miał rację. Podał mi sok w niebieskiej szklance, sam upił łyk. Spojrzał na mnie wyczekująco.

– Dziękuję – wydusiłem z siebie w końcu.

Miałem pewność, że gdyby nie on, to posiedziałbym w izolatce jeszcze kilka dni. Wyciągnąłem z za pazuchy paczkę papierosów, wsunąłem jednego w usta, klepnąłem się po kieszeni w poszukiwaniu plazmowej zapalniczki.

Zauważyłem wzrok Daniłowa.

Wyjąłem papierosa z ust, włożyłem z powrotem do paczki, a tę schowałem do kieszeni kurtki. Oligarcha pokiwał głową, uśmiechnął się nieszczercze.

– Proszę. Powiecie mi, co się stało i dlaczego jeden z prezesów moich spółek nie żyje?

– Dwaj w zasadzie. – Skrzywiłem się, obiema rękami podnosząc kolano, żeby założyć nogę na nogę. – Sobkow przecież też.

– Tak, ale przy jego śmierci was nie było. Czy może byliście?

Potrząsałem głową.

– Nie byłem.

– Aha. A co robiliście tutaj, Aleksandrze Wasiliczu?

Nikt od lat nie zwracał się do mnie z imienia i odczestwa. Aż dziwnie mi się jakoś zrobiło.

– Chciałem porozmawiać z prezesem Matwieszukiem.

– Aha. O czym?

– No, tak miałem nieśmiałą nadzieję, że może naświetli mi okoliczności, w jakich zebrał wierzytelność na trzydzieści milionów

z kilku w pełni wypłacalnych spółek i zdecydował, że przerzucenie jej na firmę oszusta będzie dobrym pomysłem.

Mój gospodarz pokiwał głową, wyjął tablet i zaczął stukać w coś ręcznym rysikiem. Tak jakby usłyszał tyle, ile chciał, i teraz wyłączył się z rozmowy, dopóki nie przetrawi informacji.

Za oknami nadal przelatywały szaroczarne, brudne ulice węglowej metropolii. Każdy przejeżdżający samochód podnosił chmurę pyłu, osiadającego na wszystkim dokoła cienką warstewką; nieliczni przechodnie mieli na sobie ciężkie, zakrywające całą twarz maski z filtrami, mimo upału zakutani byli w foliowe płaszcze ochronne.

A ja jechałem klimatyzowaną limuzyną z wykończeniem w białej syntoskórze, popijając z samochodzającej szklanki sok pomidorowy.

Nie było, oj, nie było na tym świecie sprawiedliwości.

I jakoś mi to nie przeszkadzało.

Daniłow skończył bawić się swoim tabletem, podniósł na mnie wzrok i odezwał się:

– No cóż. Wygląda na to, że w tym już wam nie pomoże.

Zamrugalem, przez chwilę niepewny, o kim mówi. Potem szybko przypomniałem sobie końcówkę rozmowy, wyłuskałem ostatni podmiot: aha, że niby Matwieszuk.

– No nie. Wiedział pan, że on znał się z nimi? To znaczy zarówno z Valentą, jak i z Sobkowem?

Daniłow zmarszczył brwi, zdjął niebieskie okulary i schował do kieszeni niebieskiego płaszczyka.

– Nie obchodzi mnie życie prywatne dyrektorów. Co ma do tego Sobkow? – Potrząsnął głową.

– Dosłownie w ciągu godziny po tym, jak Valenta uzyskał prawa do wierzytelności na te trzydzieści milionów, ta trafiła do jednej z jego struktur zależnych. Wygląda na to, że robili razem interesy.

– Hm...

Limuzyna zahamowała miękko, rygle drzwi wysunęły się z gniazd.

– Dokąd przyjechaliśmy? – Wyjrzałem przez okno.

– Wasz hotel, towarzyszu kapitanie. Wszystko jest opłacone na mój rachunek, więc możecie odpocząć, zrelaksować się. Weźcie sobie zabieg regeneracyjny – poradził Daniłow, pokazując na moją twarz. – Przy czym proponuję najpierw relaks, potem zabieg. Kobiety lubią takie ślady brutalności, uważają, że to dodaje męstwa.

Wpierdol od milicji dodaje męstwa. No, takiej teorii to jeszcze nie słyszałem.

– Będę potrzebował danych – rzuciłem, już jedną nogą na zewnątrz. – Matwieszuk i Sobkow, komplet wszystkiego. Jakie interesy robił Valenta?

– Chciał otworzyć firmę gazyfikującą nasz węgiel. – Daniłow machnął ręką ze zniecierpliwieniem. – Proszę wysiadać, bo mi sadza leci na tapicerkę. I gońcie go szybciej, towarzyszu kapitanie, bo wam ucieknie.

– Z federalnego więzienia daleko nie pójdzie...

Stanąłem przed hotelem, drzwi zaczęły się zamykać. Daniłow spojrzał na mnie uważnie.

– Wypuścili go.

– Co?! – Skoczyłem ku limuzynie. – Kiedy, jak...?!

– Podczas gdy wy, Aleksandrze Wasiliczu, baraszkowaliście z sierżantem Petrenką! Mężczyźni nie przystoi zabawiać się z innymi mężczyznami, tfu! Wstyďte się, towarzyszu kapitanie, bo mundur...

Ale nie dane mi było dowiedzieć się, co takiego robi homoseksualizm z mundurem, bo drzwi limuzyny domknęły się, a sam pojazd warknął silnikiem i majestatycznie odjechał, zostawiając mnie – samego, pobitego, wytarmoszonego, w zaszczanych spodniach – pod schodami prowadzącymi do luksusowego hotelu.

Wypuścili go – rezonowały mi w głowie słowa Daniłowa. Powinienem już, teraz, biegiem zerwać się, wskoczyć do merca i popędzić do NeoSybirska, żeby tam...

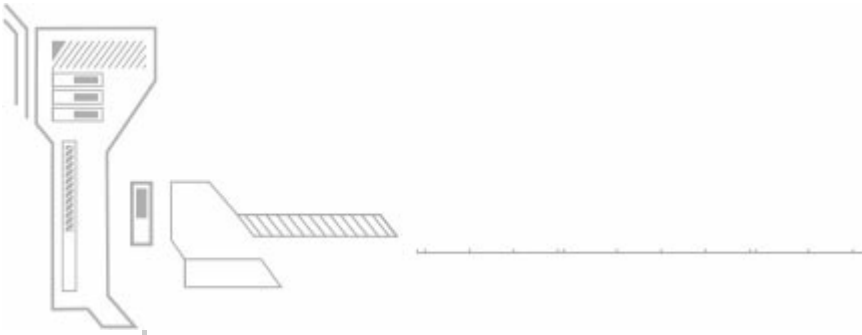
Obróciłem się, popatrzyłem na fasadę przybytku. Drzwi rozchyliły się zapraszająco, uśmiechnięta recepcjonistka wyjrzała zza kontuaru.

Ale w zasadzie to nie zaszkodzi też się wyspać i odpocząć.

Przede wszystkim odpocząć.

Intensywnie.

Tak.



...doskonałe wyniki. Zwiększenie wydobycia o dwanaście procent w tym sezonie zagwarantuje miastu stabilne zatrudnienie, co z kolei...

...zagranicznych podróży. Nasz ukochany Prezydent odwiedził w tym miesiącu Chińską Republikę Ludową, zatrzymał się na krótko w Protektoracie Koreańskim oraz odbył krótki wyjazd na Ałtaj. Odstrzelenie ostatniego rysia śnieżnego jest niezaprzeczalnie...

Okazja! Kup już teraz, nie zwlekaj, dopóki oferta jest wciąż aktualna!

...coraz bardziej napiętą sytuację. Szczyt przywódców państw regionu nie przyniósł rozwiązania problemu, dlatego też Rada Federacji podjęła decyzję o wysłaniu kolejnych wojsk celem wspomoczenia urzędującego prezydenta Mokebe Mbwazi. Przypuszcza się, że interwencja...



Doba hotelowa kończyła się dopiero w południe następnego dnia, więc zostałem w swoim pokoju dosłownie do ostatnich sekund.

Tak, zamarudziłem nieco, ale no... warto było. Zobaczyć wschód słońca nad K-Merowem przez panoramiczne okno, do którego dosłownie przylega podgrzewana i podświetlana, przezroczysta wanna z bąbelkami; z niej można przeskoczyć do dwuosobowego łóżka, nie dotykając stopą podłogi... Tak. Tak. Zdecydowanie tak.

Dwuosobowość łóżka nie była, zaznaczam, tylko li nominalna, bo przeprowadziliśmy szeroko zakrojone, dogłębne testy. Ja i... Natasza? Nie, to była asystentka u tego martwego prezesa. Nadia? Anastazja?

Nieważne.

Kiedy do drzwi zaczął dobijać się zaniepokojony konsjerż, leżeliśmy jeszcze w wannie, wyjadając i dopijając resztki tego, co znalazłem w minibarze, który wcale nie był taki znów mini.

A potem kulturalnie, aczkolwiek stanowczo dano mi do zrozumienia, żebym wypierdalał.

Odprowadzono mnie do mojego samochodu, który jakimś cudem znalazł się na hotelowym parkingu i nawet został umyty przez nieznanymi sprawców. Pomachano mi też na do widzenia, upewniając się w ten sposób, że podstępnie nie zawrócę.



Dowlokłem się do NeoSybirka dopiero pod wieczór, bo musiałem, no po prostu musiałem zrobić sobie przystanek na te obłędne pierogi. Co prawda tym razem mięsa w mięsie było zdecydowanie

mniej, ale smak i tak był niewiarygodny.

Odstąpiłem swoje w korkach, wreszcie zaparkowałem pod blokiem.

Nawet nie zdenerwowałem się, wchodząc do zaszczanego i zasranego przedpokoju – na miejscu Kusto zachowałbym się tak samo, gdyby mnie ktoś na dwa dni zamknął w domu.

Rozejrzałem się po mieszkaniu. Do tej pory byłem z niego autentycznie dumny: urządzone na styl bardziej europejski niż ruski. Z prostymi, minimalistycznymi meblami oraz podświetleniami bocznymi. Gładkie, równe ściany, nowoczesne drzwi. Jednolita podłoga z żywicy epoksydowej. W ogóle zrobione tak, jak moim zdaniem powinna wyglądać cywilizacja...

...ale nagle wydało mi się ciasne, ciemne i prymitywne.

– Daniłow, ty gnoju... – zamruczałem, ściągając buty. – Mamisz mnie luksusami, kupujesz na raty.

Posprzątałem po psie, dosypałem mu żarcia do dozownika, zmieniłem wodę w cebrzyku. Zajrzałem do lodówki: trzeba będzie i dla siebie niedługo coś kupić. Wsunąłem nogi w klapki, szurając po podłodze, usiadłem na kanapie, żeby powrócić do pracy koncepcyjnej.

Valenta... Po drodze z K-Merowa odsłuchiwałem wszystkie możliwe przekazy wiadomości i wersje wydarzeń potwierdzały się: faktycznie go wypuścili. Podobno wskoczył do sportowego auta, którym podjechała po niego jakaś cycata blondyna, i po prostu sobie odjechał.

Typ, który wrzuca w Strumień nagrania kompromitujące urzędującego gubernatora, po prostu sobie odjechał spod siedziby FSB.

Media oczywiście prześcigały się w domysłach: dla kogo to on nie pracuje, na kogo to nie ma haków, kogo jeszcze nagrał i ilu potrafiłby pociągnąć za sobą. Przypinano mu łatki agenta obcego wywiadu, wywrotowca, opozycjonisty, wiązano z dysydentami z zagranicy... Słowem, pełny medialny bełkot.

A ja nadal czułem, że cała ta afera z podsłuchami to wyłącznie zasłona dymna, puszczona po to, żeby nie oddawać mojemu oligarsze węglowemu trzydziestu baniek.

„Mojemu”, ha. Aż się uśmiechnąłem kwaśno: Daniłow nie to, że mnie kupował, ale najwyraźniej już kupił.

Odpaliłem projektor, wywołałem pliki. Pozaznaczałem sobie miejsca, na które należało zwrócić szczególną uwagę. Sprawdziłem pocztę... O, jest! Daniłow przesyłał jakieś archiwum plików, tyle tylko, że zahasłowane. „Słaby gada” – głosił komunikat.

„Silny robi” – wpisałem, ale wyświetliło się: „Zostały ci tylko dwie próby, ponowić?”. Czym prędzej poprawiłem ostatnie słowo na „działa”, kliknąłem zatwierdzenie. Poszło.

Matwieszuk był totalnie nieciekawym typem. Ot, pan prezes, wcześniej pan dyrektor, jeszcze wcześniej znów pan prezes i dyrektor. Jego dossier wyciągnięte z archiwum K-Mer było suche i jałowe jak szparka wyłączzonego seks-androida.

A co z resztą danych? Dlaczego tutaj nie było nawet dziesiątej części tego, co we wcześniej przekazanych mi plikach na Valentę?

Może tamte Daniłow sobie przygotował z innych źródeł, jadąc na spotkanie. Albo wręcz zrobił sam. Nieważne. Tutaj nie znajdę potrzebnej mi informacji.

Zamknąłem projektor: wyglądało na to, że musiałem przejść się po dawnych znajomych.

– Wybacz, staruszk. – Lewą ręką podrapałem Kusto za uchem. – No ale rozumiesz sam, nie? Jest robota, to się robi. Jak się ochłodzi, to może pójdziemy gdzieś na spacer, a teraz siedź w domu. Może kupić ci kuwetę jakąś czy co?

Spojrzał na mnie z dezaprobatą, sapnął ciężko.

Wbiłem się w czyste ciuchy, bo po wizycie w mieście węglarzy tamte nie tylko śmierdziały dymem, ale też były zwyczajnie brudne tak bardzo, że aż smoliły ręce. Spodnie chyba się skurczyły w szafie, bo ciężko było je dopiąć... I tylko kurtka była ta sama. Skasowałem poprzednie oświadczenie, wstukałem i podpisałem nowe. Naprzód, na miasto.

Kiedy wyszedłem przed klatkę, na ławeczce siedział nieco przetasowany skład. Wania od razu ukłonił mi się w pas, machnął ręką.

– Samochód przypilnowany, szefie! Chyba jeździło się gdzieś, co? Bo na noc pan nie wrócił...

– EJ, KURWA, TO TEN TYP DO WAS STARTOWAŁ?! – wydarł się typek, którego wcześniej tu nie widziałem. – TO TY DO MOICH ZIOMKÓW STARTUJESZ, CO?!

– Ja? Ja spokojny człowiek jestem... – Uśmiechnąłem się nieszczerze, mimo że aż mnie prawa ręka zaświerzbila. Soczewka w oku zamrugnęła blaskiem, wyczuwając wyrzut adrenaliny, ale zgasiłem ją wysiłkiem woli.

Typek zarzucił głową, przesunął po twarzy ręką, skrzywił się, noga zadrgała mu konwulsyjnie... Widać było, że osad dopalaczy powlókł mu neurony już tak grubą warstwą przewodzącą, że zaczynał tracić kontrolę nad ciałem. Na chwilę zdołał

skoncentrować na mnie wzrok, ale oczy od razu uciekły mu w bok.

– TA? A WSTAĆ DO CIEBIE, GNOJU?! MAM DO CIEBIE, KURWA, WSTAĆ?!

– Nie no, jak już usiadłeś, to się nie kłopotz wstawaniem... Ale może ja do ciebie usiądę.

Wepchnąłem się pomiędzy niego i Wanię. Zgłupieli wszyscy, patrząc na mnie wielkimi oczami. Wyjąłem siedzącemu nieco dalej flaszkę z ręki, szarpnąłem łyk z gwinta.

– EJ, TO NASZA FLASZKA!

– To przecież wam jej nie zabieram, nie? Ale ławeczka wspólna, to i flaszka wspólna przecież.

– KURWA, NO JA NIE MOGĘ, NO CO ZA TYP, NO! – zaśmiał się wytatuowany chudzielec, nadal piłując ryja na pełny regulator. – SWÓJ CHŁOP NORMALNIE!

– Chłopcy, ja ten, no... – Nachyliłem się do Wani. – Miejcie oczy otwarte na dzielni, co? Jakby się ktoś kręcił nietutejszy.

Wania kiwnął ochoczo.

– Się wie, szefie! A co, coś teges?

– Ekipę handlarzy z Nowodzierżyńskiego ktoś wyjął. Całą. Na jeden raz.

Umilkli, nawet ten głośny na chwilę przestał się ruszać. Popatrzyli na mnie uważnie.

– A co oni mają do nas? – przytomnie zagadnął Wania.

Sięgnąłem za pazuchę, wyjąłem fiolkę pełną opalizującej syntadrenaliny, odessanej z wyniesionego rano do lodówki kanistra. Hormon i tak pewnie zaczął się już rozwarstwiać, więc jego wartość czarnorynkowa jako koncentratu spadała na łeb na szyję... Ale dla tych ćwoków to było dotknięcie nieba.

– Wiecie, co to jest – stwierdziłem.

Co najmniej dwaj wiedzieli, bo pokiwali głowami. Ten głośny zameczał coś nierozróżnialnego, wstał i zamachał rękami, jak raper rzucający nawijką, tyle że do wyłączzonego mikrofonu.

– To... to pan jednak...?

– Ja nic nie, Wania. Ja was nawet nie znam i w ogóle przypadkiem tu jestem. To co, oczy i uszy otwarte?

– Się wie! – powtórzył, chciwie wyrrywając mi fiolkę z ręki.

Nie miałem zamiaru tu z nimi siedzieć, więc też wstałem. Starczy bratania się z plebsem. Nie byli to może moi wymarzeni szpiedzy ani sojusznicy, ale muszę przyznać, że ostatnimi czasy wypadłem z obiegu na rejonie, preferując zacisze własnego spokojnego domu... I teraz trzeba było na szybko nadrabiać zaległości.

– OOO, KURWA, TO NASZ NOWY KOLEGA SIĘ DA PRZEJECHAĆ SWOJĄ FURĄ! WRUUUMMM!!!... – zaryczał krzykacz. – JAK JA WSIADĘ ZA KÓŁKO, TO, KURWA, PSY Z DROGI OD RAZU! I JAK ICH PO ASFALCIE ROZSMARUJĘ, TO TYLKO JAK DYWAN CZERWONY BĘDZIE!

Uniosłem rękę w geście pożegnania, nie chcąc już nawet się odzywać. No cóż, może i zaniżam standardy, ale trzeba delegować obowiązki, żeby samemu jakoś ogarnąć naprawdę ważny temat.

Wsiadłem do samochodu, odetchnąłem głęboko.

Wczoraj, zaledwie wczoraj na moich oczach odwalił kitę prezes jednej ze spółek węglowych. Tak po prostu wziął i zdechł! Owszem, wyglądał na słabowitego, niby przeszedł te dwa nowotwory, ale taki zbieg okoliczności... No jakoś nie chciało mi się w to wierzyć.

Piknął komunikator, spojrzałem na zegarek: numer nieznany. Proszę, proszę, coraz ciekawiej się robi, a ja przecież na lewo i prawo wizytówek nie rozdaję.

Kliknąłem przycisk wyświetlenia wiadomości, hologram rozwinął się wstęgą liter:

„Dzień dobry, AleXandr Vasilych! Pamiętajcie, żeby w taki upał nie nadużywać bez umiaru, bo pić trzeba umieć, a to nie każdy potrafi. Alkohol to zło, więc dbajcie o właściwą hydrację. Pozdrawiam, Daniłow”.

Zamrugąłem, patrząc z niedowierzaniem na wiadomość. Abstrahuję już od tego, że nie dawałem mu swojego numeru, ale sam przekaz był cokolwiek enigmatyczny... Zegarek piknął znowu, wyświetlił kolejną wiadomość:

„Sekcja zwłok Matwieszuka zakończona godzinę temu. Przyczyna śmierci: odwodnienie”.

Kolejne piknięcie.

„Pozdrawiam, Dan”.

Jeszcze jedno.

„iłow”.

Aha, super – czyli mój oligarcha był w dodatku spamerem-dowcipnisiem, przypadkiem wysyłającym niedopisane wiadomości.

Odwodnienie. No tak, wiotka skóra, zapadnięte policzki... Ale jak to? Jakim cudem w tym tempie? Musiał na bank coś wziąć... Ale wtedy przecież by coś znaleźli w organizmie, a on po prostu oklapł jak przekłuty foliowy worek.

I jeszcze wcześniej to dziwne pobudzenie, pomyślałem. Nagle zrobiło mu się gorąco, zaczął pić, zrobił się drażliwy. Narkotyk jakiś, jak nic.

Teoria była dobra. Gdyby tylko praktyka zechciała się do niej jeszcze dopasować!

Warknąłem silnikiem, wycofałem w uliczkę i ruszyłem – miałem nie tylko jedno, ale dwa miejsca do odwiedzenia.



– Obywatelu Khudovec, teraz wy.

Zerwałem się z miejsca, poprawiłem kurtkę i zapukałem. Kamera zamrugła czerwoną diodą, podwójne drzwi z mlecznego szkła rozsunęły się niemalże bezszelestnie, rozrywając na pół lśniące dumnym złotem godło z dwugłowym orłem.

– Towarzyszu pułkowniku! – Strzeliłem obcasami. – Kapitan Khudovec melduje się!

Siedzący za biurkiem mężczyzna przesunął coś na ekranie holograficznego wyświetlacza, zmarszczył brwi. Spojrzał na mnie przelotnie, nie poznając.

– Nie wzywałem was, obywatelu kapitanie.

– Towarzysz pułkownik jest pewien?

– Nie przypominam sobie, żeby... Chudy!

– Kojot! – Rozciągnąłem się w szerokim uśmiechu. – Kope lat!

Pułkownik Andriej Derlin, pseudo Kojot, wstał zza swojego potężnego biurka, zgasił gestem wyświetlacze. Podszedł do mnie, podał rękę niczym łopata, zamknął w uścisku... A niech go, nadal miał konkretną krzepę!

– No, co najmniej cztery, druhu. Co się nie pokazujesz? Jak tam, co dobrego? Siadaj, pogadamy!

– Ano, stara bieda, ale jakoś się przedzie...

Usiadłem w miękkim fotelu z perforowanej cyberskóry w kolorze delikatnego brązu. Derlin zawsze miał słabość do kolorystyki jesiennej, nawet jego gabinet urządony był w odcieniach przybrudzonego złota, miedzi, piaskowca i drewna. Wyjął z szuflady paczkę papierosów, wyciągnął w moją stronę, ale ja zrobiłem przeczący ruch ręką.

– No nie mów, że rzuciłeś! – Spojrzał zdumiony.

– Próbuję nie palić już trzy miesiące, nie denerwuj mnie. O, patrz, jak mi bebech urósł przez to!

– E tam, Chudy! Ty to grama tłuszczu nie masz przecież, nadal sylwetka wojownika. Dziewczyny pewnie tylko się za tobą oglądają,

co? Nadal łapiesz młode?

– Ano, wiesz, zdarza się...

Zacząłem i urwałem. Uśmiechnięty, niemalże kordialny Kojot siedział w swoim fotelu, odpalając właśnie papierosa. Owszem, lekko przyprószony siwizną, przybyło mu kilka zmarszczek tu i tam, ale nadal w formie. Co do tego nie miałem wątpliwości.

A przecież Kojot zawsze doskonale słuchał. Ciągnął cię za język, a ty nawet nie orientowałaś się, kiedy zaczynałeś wywnętrzać mu się z rzeczy, których nie powinieneś mówić.

No taki po prostu był, miał taki dar. Wszyscy go lubili, a on lubił wszystkich. Nie żywił urazy, szybko godził się po kłótniach. Nigdy nie trząsał drzwiami. Całował kobiety w rękę, co w ogóle uchodziło w tych czasach nie to, że za szczyt lekko staroświeckiej kurtuazji, a raczej molestowanie seksualne.

O dziwo, molestowane przez Kojota kobiety nie protestowały. W każdym razie niezbyt długo.

Tak, Kojota lubili wszyscy.

Ale teraz Kojot był wicedyrektorem biura śledczego Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Teraz wszystko, co powiedziało się w jego obecności, nie tylko mogło, ale na pewno zostanie wykorzystane dla dobra Ojczyzny.

Od małego kładziono mi do głowy, że sukces Rosji zbudowano na ziemi uświęconej krwią bohaterów, a ja nie miałem zamiaru stawać się jednym z jej dawców.

– ...że się obejrzą – dokończyłem w miarę gładko.

– No weź, pochwal się czymś, stary byku! Na pewno masz coś na telefonie!

– Już nie te lata, Kojot. Ja teraz spokojny obywatel jestem, mieszkam sobie z psem. Chadzam na wieczorne spacerki...

– Mów, z czym przychodzisz.

Tak, cały Kojot: ciuciu-ruciu, a potem nagle jeb między oczy. Ja jednak nie zamierzałem się tak łatwo poddać.

– Stęskniłem się za tobą, druhu. – Celowo użyłem jego ulubionego określenia. – Dawnośmy nie gadali. Może byśmy umówili się kiedyś na jakieś żarcie?

– Sparring raczej. Ja za tajski boks się ostatnio wzięłem, wiesz? No po pierwszej walce z roboinstrukctorem to myślałem, że się na kawałki rozpadnę! Rano to mnie tak plecy bolały, człowieku, mówię ci! – Zaśmiał się. – A ty co, nadal swoje?

– Pompki, bieganie – skłamałem. – Czasami boks, czasem na strzelnicę wyskoczę.

– A gdzie chodzisz?

Kolejne podejście pode mnie robił, wszystko z uśmiechem.

– Jest taka niedaleko ode mnie – powiedziałem, wcale nie odpowiadając. Faktycznie była. Tylko ja w niej nie byłem.

– No, to się chwali. Fakt, można by pogadać, powspominać...

– Tylko trzeba uważać teraz, co się mówi – wrzuciłem swoją zanętę.

Zadziałało, bo Kojot zmrużył oczy, zacisnął usta. Odchylił się w fotelu.

– Ta sprawa Valenty. – Pokiwał głową. – Nie do wiary, powiem ci. Tak po prostu nagrywał, czujesz to? Wszystkich, jak leci!

– Nie mogłeś go... teges?

Zrobiłem wymowny gest. Kojot tylko pokręcił głową.

– Gdyby to ode mnie zależało? Od razu, druhu, z miejsca. Dajmy na to, że podczas zatrzymania stawiał opór, miał przy sobie broń, strzelił do funkcjonariusza. I nawet bym miał takiego, do którego strzelał, czujesz to? Albo i dwóch, albo pięciu. Za coś takiego... sam bym kulkę wziął, żeby zobaczyć, jak go w worek ładują.

– A tak musiałeś go puścić.

Wydmuchnął dym, zaciągnął się znów. Pudło. Oddanie pionka w rozgrywce.

– Nie ja na całe szczęście. Ale powiem ci, że kolega za ścianą... – Pokazał na skrzydło obok. – No, podobno jeszcze krwią sra ze złości.

– Ale to co, nie było na niego materiału?

Parsknął, nachylił się i oparł łokciami o biurko.

– Materiału to jest na niego kontener – syknął. – Rozumiesz? I właśnie w tym problem.

– Czekał, nie rozumiem. Ale przecież on...

Wywołał ekran, przewinał pliki. Wstukał swój kod dostępu, otworzył oko do skanowania siatkówki. Taaak, tak, właśnie tak, pomyślałem sobie. Kojot był złoto człowiek, ale zawsze lubił się pochwalić. Przyszpanować, jaki to on ważny, ile wie, co ma fajnego.

– Ej, to jest ten nowy holoprojektor? – zapytałem, nie mając pojęcia o specyfikacji sprzętu. – Ten z przenośnym obrazem?

– Nie, coś ty. Ale się obraca ładnie, patrz.

Przekręcił hologram przodem do mnie, a ja tylko spałem się cały, przelatując z góry na dół listę nazwisk. Obok każdego z nich była specyfikacja: godziny, minuty, sekundy. Liczba plików.

– Czy to...?

– Aha. To znaleźliśmy u tego fiuta w systemie.

– Ale czy to...

– Owszem, Chudy. To jest spis treści tego, co on ma nagrane.

Przewinąłem w górę, w dół, obróciłem ekran, przechyliłem... Musiałem udawać, że bardziej zajmuje mnie zabawa bajerami niż treść. Kliknąłem wyszukiwarce, wbiłem parę liter, między innymi S. „Sobkow” – mignęło mi nazwisko, a obok niego daty powstania plików.

– Cała fonoteka – powiedziałem z uznaniem, usilnie starając się zachować w pamięci stopklatkę z tego, co właśnie widziałem. Czyli Valenta miał na Sobkova jakiegoś haka! – Słuchałeś tego?

– A siedziałbym tu, jakbym słuchał? Albo cmentarz, albo własna willa, druhu. Nie, coś ty! Tylko to mamy.

– Błefuje – rzuciłem. – Sam to zrobił, przygotował się na to, że go zgarniecie.

– I co, wystraszył kogoś błefem? Przecież z jakiegoś powodu go wypuścili.

Słusznie.

– No dobra, ale... Dlaczego w takim razie gubernator? To przecież samobójstwo.

– Zemsta – skrzywił się Kojot. – Valenta miał swoją firmę w K-Merowie.

– Serio? O popatrz... Co on tam robił, w tym syfie?

– Podobno gazyfikację węgla. Miał podpisywać z K-Mer jakieś kontrakty, snuł plany, szukał inwestorów. No ale musiał komuś nadebrać na odcisk, bo mu tę firmę położyli.

O proszę. Część tego już wiedziałem, ale to ostatnie było ciekawe.

– Kojot, my to serio musimy się spotkać na spokojnie, przy flaszcze. A tak, co? Od razu o robocie gadamy.

– No nie mów, że cię to nie ciekawi! – zaperzył się towarzysz pułkownik.

– Nie no, nie chcę ci tutaj... no. Chodź, wyskoczmy gdzieś na spokojnie? Opowiesz mi, jak tam rodzina... Ten twój młody to ile już ma, z szesnaście lat?

– Osiemnaście – westchnął Kojot.

Doskonale wiedziałem, że rodzina jest w jego hierarchii tematów ciekawych o kilka klas niżej.

– I co, pewnie akademia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych? Idzie w ślady ojca? – Przekręciłem wbity w ranę nóż.

Kojot zwinął ekrany holografu, wywołał mapę miasta. Zbliżył, wycentrował na punkt. Pokazał na niego palcem.

– Widzisz?

– O której mam tam być?

– Dziewiąta wieczorem, będą już otwarci. Pogadamy na spokojnie, postawię ci dobrego drinka. Podaj numery samochodu, to załatwię ci miejsce parkingowe.

– Przyjadę metrem, dzięki.

I tak zdobędzie tę informację, jak będzie chciał. Nawet teraz sprawdzi, jak od niego wyjdę. Ale niech nie oczekuje, że podam mu to na talerzu, leń patentowany jeden!

– Jak chcesz, druhu. To co, do wieczora?

Pożegnaliśmy się, poklepaliliśmy po plecach, ruszyłem ku wyjściu. Wychodząc, zastanawiałem się: napisze notatkę ze spotkania? Musi, w końcu na kamerach widać, że u niego byłem... Pytanie tylko, co będzie w tekście.

NeoSybirsk znów śmierział, więc naciągnąłem na twarz respirator.

Słońce prażyło tak, że przesycone oparami benzyny i drobinkami oleju powietrze było chyba na krawędzi samozapłonu.

Tutaj, bliżej śródmieścia, widać było, jak otwierają się nożyce pomiędzy modą a rozsądkiem: część ludzi chodziła rozebrana niemalże do bielizny, szczytem szyku było założyć wysokie buty i rękawiczki, oczywiście z aktywnym chłodzeniem... Zamiast zasłonić się przed żarem, woleli natrysnąć na skórę warstwę mieniącego się kolorami tęczy kremu ochronnego. Nie ubierać się w coś, co ochroni przed brudem i zanieczyszczeniami, a co kwadrans korzystać z kabin dekontaminacyjnych. Oczywiście sownie płatnych.

No dobrze, czas do dziewiątej... Akurat zdążę zajechać do Kulasa. Włączyłem radio, ustawiłem filtrowanie wedle słów kluczowych: Valenta, Sobkow, węgiel, dług, podsłuchy.

To samo, wciąż w kółko, na okrągło to samo. Zbliżające się wybory, bla, bla, bla, uderzenie w osobę gubernatora, bla, bla, król gazyfikacji, pierdu-pierdu, agentura zgnięgo Zachodu, polityczna robota, zlecenie pisane łacińskim alfabetem.

Aha, czyli Valenta był już półoficjalnie agentem obcego wywiadu, pięknie. A ja nadal nie wiedziałem, gdzie szukać jego pieniędzy.

Chyba że...

Pomysł był tak debilnie piękny w swej prostocie, że aż zahamowałem ostro, przez co jadący za mną bęcwał prawie wjechał mi w dupę. Roztrąbił się, jakbym mu ojca harmonią zabił, zaczął mi wygrażać i krzyczeć coś zza kierownicy.

– Czego się pieklisz, kutasiarzu?! – zawołałem do niego w lusterko, pokazując międzynarodowy gest pokoju.

Wściekł się, depnął na gaz. Zajechał drogę typowi po lewej, wyprzedził mnie, ostro wbił na mój pas i dał po hamulcach.

Oczywiście też wcisnąłem pedał do samej podłogi. Merc stanął dęba, cały śmietnik z tyłu poderwał się z siedzenia i poleciał na przód, a ja aż zaryłem nosem w deskę rozdzielczą.

– O, ty chuju połamany... – wycedziłem, przerzucając skrzynię biegów na manual.

Silnik ryknął dziko, kiedy skoczyłem za nim w pogoń. Chciał mi uciec, myślał, że odsadzi, ale tu się pomylił: pięcioipółlitrowy silnik zassał paliwo, dwanaście cylindrów zagrało jak chyba nigdy za mojej pamięci. W kilka sekund wisiałem mu na ogonie.

Zawinął mocno w prawo, ale ja tylko wbiłem przed samochód na sąsiednim pasie i już byłem za nim. Zrobił ruch kierownicą, jakby chciał mnie staranować, a potem ostro zarzucił w drugą stronę; byłem przygotowany, zleciałem w zjazd na obwodnicę zaraz za nim.

Wyskoczyliśmy na trasę niczym dwa spienione ogiery.

Już wiedział, że mi nie ucieknie. Nie miał szans, nie był w stanie mi dorównać... Błysnął fotoradar, zaraz za nim drugi.

– No dawaj, kutasie! – wrzasnąłem. – Ja mam kasę, mogę tak się z tobą ścigać! No dawaaaaj!

Zwolnił, zrównał się ze mną. Zajmowaliśmy obydwa pasy drogi, lecącej teraz zakosami przez martwy las... I wtedy ten palant wyciągnął spod siedzenia nóż, pokazał ostrzem na mnie i zrobił symboliczny gest: już nie żyjesz.

A ja po prostu opuściłem szybę z prawej, jednym płynnym ruchem wyciągnąłem z kabury pod pachą pistolet i wycelowałem w niego.

Soczewka celownicza odpaliła się w okamgnieniu, dwa wirujące okręgi scentrowały się równiutko pośrodku jego głowy, ustawiając punkt celowniczy na optymalnej trajektorii pocisku. Palec zadrgał na spuście, byłbym już, już do niego strzelił...

...wtedy on szarpnął kierownicą w bok, złapał pobocze i został z tyłu w chmurze pyłu.

Zahamowałem, też zjechałem. Popatrzyłem na trzymany w rękę pistolet, odetchnąłem głęboko. Kurwa. Byłbym zastrzelił człowieka. Tak po prostu, za nic. Za głupotę.

Schowałem broń, wrzuciłem wsteczny i zacząłem powoli, do wtóru trąbienia przejeżdżających aut, cofać.

Zabić go nie zabiję, ale nie można było tego tak zostawić.

Wyrzuciło go daleko w pole i stał teraz, migając światłami awaryjnymi i bez sensu mieląc kołami ziemię. Musiał zawiesić się

podwoziem, bez holownika nie zjedzie... Zauważył, jak się zatrzymuję i wysiadam z mercedesa, dodał jeszcze gazu – spod kół strzeliły dwa czarne pióropusze, ale samochód ani drgnął.

Podszedłem. Po prostu spojrział na mnie i zgasił silnik, a ja wyciągnąłem pistolet i zapukałem lufą w szybę. Kiedy szkło zjechało w dół, nachyliłem się do niego.

– Wyłaż.

– Człowieku, coś ty... – zaczęła, jak gdyby mając nadzieję, że jeszcze się dogadamy.

– No wyłażżeż, suko, przecież ja ciebie w pokoju nie zostawię, kondonie ty jeden. Przecież cię, kurwa, znajdę.

– No to znajdziesz, i dobrze... – spróbował odszczeknąć.

– Znajdę i, kurwa, wyjebię jak burą sukę, i jeszcze mi za to zapłacisz, ćwierćpedale, chuju. I czego się cieszysz? – Autentycznie mi piguła skoczyła, kiedy uśmiechnął się nerwowo. – Czego się, kurwo jedna, cieszysz?!

– Ja jebię, ile ty masz lat?! – Rozłożył ręce. – Dorosły jesteś czy...

– Dorosły jestem, kurwo, ale ciebie to jebać będę, cwelino ty wywłoczna, smrodzie ty koński! Jebać będę, rozumiesz?!

Widać było, że nie wie, co ma powiedzieć. Spojrział w lewo, w prawo.

– No próbuj. – Wzruszył ramionami.

– Czego zęby szczerzysz?! Ja tu nie mam co próbować, takich niedojebanych jak ty to milion w mieście jest! Teraz bym cię tutaj, od razu, przez okno wyciągnął i gardło ci poderznął, suko, ale tutaj co drugi ma kamerę w samochodzie... Nie daj ci Panie Boże, żebym cię, suko, spotkał, bo masz wpierdol od razu. Chodź teraz, suko, i przez ramię się oglądaj.

– Dobra, dobra...

– Ja takich współczujących to na pęczki mam. Ty myślisz, długo, zanim cię znajdę? Wpierdol masz murowany. Kurwiszonie ty pierdolony, w życiu nigdy więcej nachuj nie wysuwaj z nory tego swojego ryja śmierdzącego, jasne?

– Aha...

– I czego, kurwa, mruczysz tam, suko? Ja zaraz wszystko w chuj rzucę, usiądę i na ciebie czekać będę. Jasne? Dzidochapie pierdolony, kurwo.

– Skończyłeś?

– Czego jeszcze fikasz, gnido? Czego, pytam się, fikasz?! Kiedy ostatnio wpierdol dostałeś?

– Nigdy.

– Nigdy? No to niedługo będzie!

– No co ty nie powiesz...

– Tak! Ot, kurwa, skąd wy się tacy bierzecie, ćwierćpedzie niedojebane? Suka... Kurwa, zapierdołę cię! Jasne?

– Mhm...

– Cwelu pierdolony.

– Aha...

Odcharknąłem, naplułem mu na przednią szybę, odwróciłem się i z godnością odszedłem, czując, jak w uszach dudni i łomocze krew. Ło-ho-ho! Dawno, oj, dawno sobie tak nie poużywałem. Tak, to starcie zdecydowanie należało do mnie. Saszka Chudy kontra świat: jeden do zera.

Ruszyłem z piskiem opon, zawróciłem na trasie i pogałem z powrotem do NeoSybirska.

Adrenalina powoli schodziła, nogi zaczynały się trząść jak po długim biegu. Dawno, dawno mnie tak złość nie złapała!

Najgorsze było to, że sekundę przed incydem wpadłem na świetny pomysł, którego teraz za cholerę nie byłem sobie w stanie przypomnieć. A było to coś tak genialnego w swej prostocie, że... że... No właśnie: po „że” nie było już nic dalej.

Ech, trudno. Nie pierwszy i nie ostatni genialny pomysł mojego życia przepadał właśnie w otchłani codzienności.

Zajechałem na osiedle Kulasa, zrobiłem dwie rundki pomiędzy wymalowanymi sprayem blokami, bezskutecznie usiłując znaleźć chociażby substytut miejsca parkingowego. Lokalna chuliganerka obserwowała mnie uważnie z podcieni klitek, któryś nawet włączył wszczepioną w oczodół kamerkę i wysunął obiektyw. Ciekawe, czy po prostu lubił stare samochody? Czy może transmisja na żywo już szła do potencjalnego kupca?

W końcu zostawiłem merca na tyle daleko, żeby tamtym nie chciało się do niego łązić, a sam na wszelki wypadek podszedłem pod właściwy blok okrężną drogą.

– Jeden prezydent, jeden naród, jedna Rosja! – Ponad opuszczonym placem rzeźił hologram, na którym Prezydent na zmianę strzelał z pistoletu do tarczy, z uśmiechem tulił malutkiego, cętkowanego kotka i machał do ludzi podczas parady stulecia Wielkiego Zwycięstwa. – Obywatelu! Pracując w służbach mundurowych, pracujesz dla lepszego jutra swego kraju! Zaciągnij się do rosyjskich sił ekspedycyjnych na Kaukazie już dziś!

Wdrapałem się na górę, zadzwoniłem do drzwi, pozwoliłem się przeświecić i w ogóle. Kulas nawet nie odwrócił się od swoich

ekranów, kiedy wszedłem.

– Zaciągnąłeś się? – przywitał mnie pytaniem.

W pierwszej chwili nie załapałem, o co pytał. W drugiej też nie.

– Co?

– Do armii. Nie masz ochoty pojechać na Kaukaz, Chudy?

– Ach, o tym mówisz...

– Ano, o tym. Napierdala tak od wczoraj, a ja od rana próbuję go zhakować. Bezskutecznie na razie, ale jak się uda, to wrzucę zamiast naszego Kościeja Nieśmiertelnego jakieś quality przemówienie Akwarelisty. Co jest?

– Potrzebuję rekordów medycznych – wypaliłem z grubej rury.

Spojrzał na mnie ciężko.

– Podobno jakaś kobieta zrobiła sobie lewatywę z sześciu litrów wody. Może być? Należy się piñcet.

– Zapisów. Danych – poprawiłem się. – Historii choroby czy jak to się nazywa. Dasz radę?

– Dam. – Wygasił część ekranów, wznosił dłonie nad wirtualną klawiaturą.

– Petr Matwieszuk, z K-Merowa.

Palce zatańczyły w powietrzu, po chwili Kulas pokręcił głową.

– Nie znaleziono.

– To dlatego, że nie żyje. I ściągaj mi na niego od razu wszystkie powiązania biznesowe, diagram powiązań czy jak się mówi.

– Chudy, czy ty mi za to zapłacisz? Bo wiesz, że...

Bez słowa rzuciłem na czytnik jedną z kart. Piknęło, Kulas przewinął środki na koncie. Kiwnął zdawkowo.

– Matwieszuk. Przyczyna śmierci: podobno odwodnienie. Prezes spółki... – zaciąłem się.

– Mam już typa.

– Dobra, dawaj jego powiązania, jego kartę pacjenta, czy co tam, i... wiesz co? I daj mi wszystkich z NeoSybirska i K-Merowa, którzy przez ostatnie czterdzieści osiem godzin zmarli z powodu odwodnienia.

Kulas ściągnął z głowy gogle, przekręcił się ze swym fotelem i podjechał do mnie tak blisko, że dyndający z podłokietnika worek stomijny prawie dotknął mojego kolana. Teoretycznie nie obrzydzało mnie to: z każdego coś wylatuje, albo jedną, albo inną dziurą... Ale i tak cofnąłem nogę.

– Chudy, wiesz co? Idź sobie. – Pokazał na drzwi. – Idź sobie, bo twoje prośby są zwyczajnie głupie. Czy ja ci wyglądam na punkt informacji medycznej? Idź stąd i pojedź do GosStatu, tam ci

udostępnią dane z rocznika statystycznego.

– Kulas, serio mówię.

– To potrwa. I nie będzie tanie.

– Niech będzie droższe, a szybciej – zaproponowałem.

Pokręcił głową, machnął na Szelobę. Ta szybko uprzątnęła z fotela kawałki elektroniki, które pojawiły się tam od mojej ostatniej wizyty, podała z chłodziarki oszronioną butelkę i dwie szklanki. Usiadłem. Kulas wygasił monitory i ustawił się naprzeciwko mnie.

– Valenta? – zapytał po prostu.

– Aha. Dziwne rzeczy się wokół tego typu dzieją... Widziałeś, w jakim tempie go wypuścili?

Kulas zamieszał płynem w szklance, upił łyk.

– Twierdzi, że to nie on nagrywał, a tylko wszedł w posiadanie plików. Jako praworządny obywatel zdecydował się ujawnić korupcję w strukturach władzy.

– Aha, jasne.

– Podobno wysłał pismo do Prezydenta.

– Żartujesz.

– Nie-a. Tak w każdym razie media podają. Znow nie oglądasz wiadomości, co?

Spuściłem głowę, patrząc w czubki schodzonych butów. Zerknąłem spode łba, uśmiechnąłem się do Kulasa przymilnie.

– Od czego ma się kolegów...

– Nie, Chudy. Mogę czasami robić dla ciebie, ale z tobą robić nie będę.

– Oj, no weź. Przydałby mi się ktoś zaufany do filtrowania tego ścieku informacyjnego.

– Tobie jest potrzebna przydomowa oczyszczalnia, nie partner. Jesteś pewien, że jeszcze czujesz grunt pod nogami, Chudy? Bo na mój gust to ta sprawa się rozkręca, ukryta pod powierzchnią główna turbina dopiero wchodzi na obroty.

– Zobaczymy, czy będzie zasysać, czy pchać. – Dopilem swoje, odstawiłem pustą szklankę na blat. – Zrobisz?

– Zrobię, no zrobię... Wiesz, że tego będzie pierdylion?

– Wystaw rachunek, jaki uznasz za stosowne.

Wychodząc od Kulasa, pomyślałem sobie: coś się rozrzutny robię ostatnio. Tak to dziadowałem kopiejkę do kopiejki, żydowałem i jechałem po kosztach, a tu... Ani chybi sprawka Daniłowa: otarłem się o hajlajf i nagle sam zaczynałem szastać pieniędzmi.

Było jeszcze trochę za wcześnie, żeby jechać do Kojota, więc

zajrzałem do domu, po raz pierwszy od kilku dni nałożyłem Kusto kaganiec z filtrem i wyprowadziłem go na dwór, żeby się wykasztanił jak człowiek.

Pies, oczywiście, zachował się dokładnie jak człowiek i zesrał się w połowie schodów, po czym jeszcze w to wdepnął i rozmazał.

Na ławeczce siedziała moja ekipa, typek w czapce nadal darł ryja i machał rękoma. Trzymając mocno smycz, obszedłem blok dookoła, po drodze wstąpiłem do miejscowego sklepu i kupiłem kilka puszek pożywienia. „Jedzeniem” tego nie nazwę, bo to służyło raczej podtrzymaniu funkcji życiowych, tym bardziej że baba zaczęła się awanturować, że z psami się nie wchodzi.

– Głupia suka – powiedziałem do Kusto, kiedy już wyszliśmy z tej nory braku kultury. – Zamiast się zachwycić, tak? Że taka-taka śliczna psina, tak? Prawdziwa, nienawszczepiana, nie na hormonach pędzona... Ty-ty-ty...! To się jej, głupiej piczy, coś nie podoba.

Kusto nie odpowiedział, ale po jego spojrzeniu poznałem, że w pełni się ze mną zgadza.

Przystanąłem na chwilę na placyku zabaw, spuściłem psa ze smyczy: dzieci i tak nie ma, bo za gorąco, niech sobie pobiega. Sam usiadłem na nagrzanym bujawce, zacząłem powoli kiwać się w przód i w tył: iiiik-iiijjk... iiiik-iiijjk... iiiik-iiijjk...

I wtedy ich zobaczyłem. Dwóch zupełnie normalnie wyglądających, normalnie ubranych mężczyzn w średnim wieku, stojących w cieniu pod blokiem nieopodal. Jeden palił papierosa, drugi popijał piwo z aluminiowej puszki. Rozmawiali o czymś, gestykulując oszczędnie.

Miałem zatem ogon.

Skąd ta pewność? No naprawdę, litości. To przecież elementarnie proste.

Byłem w samym sercu dzielnicy wielopiętrowych bloków, dochodził wieczór. I ci dwaj po prostu sobie stali? Pili piwo, tylko we dwóch, na stojąco, o tej porze, i jeszcze byli trzeźwi? Nie wydzierali się, nie próbowali czegoś udowodnić ani sobie nawzajem, ani światu? Ubrani w zupełnie normalne ciuchy, a nie chamskie odbłaskowe dresy z neonowymi butami?

Gwizdnąłem na Kusto, ten skończył szczać w piaskownicy i przybiegł od razu, merdając ogonem. Zapiąłem mu smycz, szybkim krokiem ruszyłem ku mieszkaniu.

Nie podobało mi się to wcale. W tej chwili mógł łązić za mną ktokolwiek: ludzie nasłani przez Valentę; ludzie przydzieleni mi

przez Daniłowa jako asekuracja; koledzy po fachu Kojota; albo nawet i siepacze, którzy kilka dni temu zlikwidowali chłopców z Nowodzierżyńskiego.

Tak czy inaczej, noszenie broni nagle przestało być tylko wyrazem paranoi.

Wróciłem do domu, szybko przejrzałem rzeczy na półkach, pochowałem co ważniejsze. Poukładałem w szufladach i szafach znaczki, żebym wiedział, jeśli ktoś je otworzy pod moją nieobecność. Zawahałem się, trzymając w ręku projektor i kartę pamięci od Daniłowa... Zostawić czy wozić ze sobą?

W końcu zdecydowałem się na wariant pośredni: zrobiłem kopię zapasową, którą wgrałem sobie w pamięć zegarka, a oryginał zawinałem w foliową torebkę strunową i wsadziłem głęboko do worka z suchym żarciem Kusto.

– Śmierdzi to trupem, nikt tam nie będzie grzebać – mruknąłem do psa, obserwującego moje poczynania z umiarkowanym zaciekawieniem.

Obmyłem się trochę i ogoliłem, chlapnąłem najmocniejszą wodą toaletową, jaką znalazłem w zakurzonej szafce. Zmieniłem koszulę na nieco bardziej wyjściową, przyliżałem włosy: można było ruszać w miasto na pogaduszki z Kojotem.



Zapalniczka już z daleka mamiała migotaniem czerwonych i różowych świateł, dudniącą zza przyciemnionych szyb muzyką i kręcącym się przed wejściem tłumem.

To jak inny świat, pomyślałem, podjeżdżając. Wszyscy młodzi, piękni, uśmiechnięci. Mający tyle czasu i wolnej gotówki, żeby bezpowrotnie roztrwonić jedno i drugie w tak pięknie hedonistycznym przybytku uciech tylko i wyłącznie ciała. Wstrzyknąć, przepalić, połknąć i wyrzygać do ścieku.

Oczywiście to były tylko pozory. Starannie wymodelowany, wypieszczony na ten jeden wieczór wygląd... Niemniej robiło to wrażenie.

Wcisnąłem się pomiędzy samochody tak wielkie i lśniące czystością, że aż poczułem ukłucie zazdrości. Nie obchodziło mnie skąd, bo doskonale wiedziałem, że nikt na coś takiego nie zarobi uczciwą pracą; ale niech mi ktoś wreszcie powie: JAK?! Jak się

w wieku lat dwudziestu kilku dorobić takiej kasy?!

Kobiety o oczach wymalowanych tak mocno, że bardziej przypominały wielkie, czarne jamy z lśniącymi w nich gwiazdami kolorowych źrenic, mieniających się neonowymi odcieniami reagujących na ruch i podniecenie soczewek.

Mężczyźni w śnieżnobiałych koszulach o przesadnie wielkich dekoltach ze wstawkami z przezroczystego plastiku.

Złoto, srebro i platyna, mieniające się wielobarwnymi refleksami drogocennych kamieni i kryształów.

Buty na obcasie tak wysokim, że stopa opierała się tylko na wyprostowanych palcach, albo z przedziwnego kształtu czubami.

Wszędzie, gdziekolwiek się obejrzeć, bijące w oczy kolory, strobobizuteria i lśniąca w ciemności tatuaże, czasami wijące się jeszcze na płatach wszczepianej specjalnie po to syntoskóry.

Niedaleko od wejścia minąłem kobietę, aż się obejrzałem: była naga! Naga, a mimo to na jej skórze przelewały się i płynęły rysunki, układające we wciąż zmieniający się wzór ubrania. Rzuciła mi przez ramię spojrzenie takie, że aż mnie ciarki przeszły, potrząsnąłem głową.

– Weź się w garść, Chudy...

O tak, Zapalniczka zachęcała do tego, aby wziąć coś w garść, to fakt.

Na podestach wiły się tancerki o kształtach, które widywało się tylko w bardzo specyficznym podgatunku filmów; na głównej scenie dawało właśnie swój występ gimnastyczne trio kobieco-męsko-transseksualne. Miałem poważny kłopot z określeniem zakresu i kierunku transowości tego trzeciego uczestnika: kobieta przerobiona na faceta? Mężczyzna zamieniony w kobietę? Coraz trudniej zdefiniować, co się dzieje i co się widzi...

Na parkiecie przewalał się tłum, falujący w rytm muzyki dudniącej z zatopionych w posadzce głośników mikrowibracyjnych. Lśniąca upiorną poświatą soczewki kontaktowe nadawały tańczącym iście diaboliczny wygląd, światło z ultrafioletowych lamp odbijało się w śnieżnobiałych wykończeniach dizajnerskich ciuchów. Kolorowe reflektory rozmazywały blaski na chromowanych powierzchniach wszczepów i protez, zatopione w opuszkach palców diody kreśliły w powietrzu esy-floresy.

A więc po to były nam dziesiątki tysięcy lat ewolucji – żeby mogąc zrobić ze swoim ciałem dosłownie cokolwiek, zamontować sobie w palcach do niczego niepotrzebne latarki.

Żeby nie wyjść na totalnego lamera, podszedłem do baru

i zamówiłem sobie drinka. Cena aż zaboliała, no ale co było robić? Nie wypadało tak z pustymi rękoma chodzić... Z drugiej strony, od lat nie piłem porządnego koniaku.

Przez chwilę obserwowałem tancerkę, kręcącą piruety na szpiczasto zakończonych, ażurowych protezach goleni i stóp. To już było za dużo – wyglądała jak jakaś mrówka albo słabo narysowana minimalistyczna grafika. Nie no, serio – ja byłem tolerancyjny, ale co za dużo, to i Kusto nie zeżre.

– No hej, przystojniaku. – Jakaś lala oparła się o kontuar obok mnie, położyła mi dłoń na prawej ręce. Nie poczułem, oczywiście, nic. – Szukasz towarzystwa?

– W zasadzie to... – Rozejrzałem się i dopiero wtedy zauważyłem siedzącego przy jednym z dalszych stolików Kojota.

– Hej, Chudy, tutaj! – Uniósł rękę.

– Hm... – prychnęła lala. – Skoro tak wolisz, to twój wybór. Ale jakby co, to chętnie na was dwóch popatrzę.

Wymamrotałem jakąś bzdurę, cokolwiek speszony. Czym prędzej przecisnąłem się do Kojota, po drodze otarłszy się o wyjątkowo apetyczną blondynę, w końcu usiadłem na pikowanej sofie. Przybiliśmy piątkę, poklepaliliśmy się po plecach.

– Ależ tu ruch! – Pokazałem na salę.

– Fajnie, co? Lubię tu przyjść, popatrzeć na ładne rzeczy. Widziałeś tamtą, o?

Widziałem. Trudno było jej nie zauważyć, wijącej się w błyszczących ciuchach i z tą kitą włosów.

– Nie uwierzysz, ale właśnie zaproponowano mi płatny seks! – zaśmiałem się, żeby pokryć zmieszanie.

Wyciągnął papierosy, poczęstował też mnie. Mentolowe... No dobra, jakoś przeżyję, nie wypadało odmówić.

– Tutaj to nic dziwnego, Chudy. Uważaj tylko, bo niektóre dziewczyny mają takie stawki, że możesz się rano zdziwić, druhu!

– Nie, właśnie... Właśnie w drugą stronę chyba.

– Że co, że ciebie ktoś wziął za męską dziwkę? Aaa-ha-ha-ha...! – Kojot ryknął śmiechem, walnął mnie tą swoją wielką łapą w plecy tak, że aż oblałem sobie spodnie drinkiem. – No to uważaj, druhu, bo...

– Nie „mnie”, Kojot, tylko nas. Mnie i ciebie.

Spowaźniał błyskawicznie, uśmiech zniknął z jego twarzy jak zdmuchnięty.

– Ej, ty, no bez jaj. Ja jestem wyrozumiały, ale jeśli jakiś pedzio miejscowy sobie myśli, że może takie rzeczy sobie rozpowiadać, to

ja mu zaraz...

– Kojot, spokojnie, człowieku. – Przytrzymałem go delikatnie, bo już zaczynał wstawać, mięśnie pod koszulą zagrały i napięły się, dostrzyknięte dawką synty. Ciekawe, swoją drogą, czy kupował naboje z hormonami po oficjalnych stawkach, czy może leciał na towarze od kogoś z naszych dilerów. – Tak mnie jakaś dziunia zagadnęła, nic strasznego. Człowieku, spokojnie, mówię, bo ci rękawy trzasną.

– Widać, co? – Kojot uspokoił się niemalże od razu, uśmiech wrócił. – Ostatnio sobie, powiem ci, wymieniłem całą górną partię mięśni razem z kręgosłupem, bo mój już zaczynał szwankować.

– Cyber...?

– E, no coś ty. Co ja, dwadzieścia lat mam, żeby się w to bawić? Kręgosłup z tytanu, jasne, bo inaczej nie dają, poza tym muszą być zaczepy pod resztę. A tutaj... – klepnął się w bark – normalna biotkanka, tylko że na siatce poliwęglanowej i dodatkowo stymulowana elektrycznie. Mówię ci, jak z tego się walnie, to nie trzeba poprawiać.

– Nie wątpię. Co pijesz? – zapytałem, żeby zmienić temat na taki, gdzie czułbym się mniej niezręcznie.

– A mam tutaj kilka swoich ulubionych. Znam właściciela, więc można spokojnie zamawiać, nie będzie lipy.

Aha, czyli w domyśle: jak się właściciela nie zna, to lipa potrafi się zdarzyć. No cóż, słyszałem o tym, że ludziom podają doprawione drinki, a potem klient budzi się z debetem na koncju... Frajera można wydoić na wiele sposobów.

– Ja jednak tradycyjnie. – Podniosłem klasykę: koniak, likier cointreau i kwaśny sok z pseudolimonki. Ot, dawno temu nauczyłem się to pić, czasami ktoś krzywo spojrział, ale niewiele mnie to obchodziło.

Stuknęliśmy się szklankami, wypiliśmy za dawne, dobre czasy. Kojot zaczął mi opowiadać, jak to on, o rzeczach mało istotnych: jakieś stare sprawy, jak się poznał z właścicielem Zapalniczki, co tam u wspólnych znajomych...

– A jak u ciebie, druhu? Czym się teraz zajmujesz? – uderzył od razu bezpośrednio, bez zapowiedzi.

– Jestem... prywatnym detektywem.

Miałem nadzieję, że nie wyczuł delikatnego drgnięcia w moim głosie. Cholera, naprawdę muszę sprawdzić, czy nie trzeba odnowić licencji, a nie pamiętam, do kiedy była opłacona.

– O, proszę. – Pokiwał głową z uznaniem. – Bardzo zacny zawód.

Część chłopaków z firmy też zakłada różne takie agencje, a to ochrona, a to wywiad gospodarczy właśnie. I co, kręci się biznes?

– Raz lepiej, raz gorzej, ale nie narzekam. Słuchaj, tutaj... Mówisz, że lokal jest bezpieczny?

– Absolutnie. Nawet jakbyś chciał potem coś, teges, to nic nie wycieknie. – Uśmiechnął się i puścił porozumiewawczo oko. – Kurczę, poznałem tu taką jedną kiedyś... Nie, nie z obsługi, to znaczy nie tancerkę. Podawała drinki, jakoś tak zaczęliśmy gadać.

Aha, „jakoś tak”. Już ja znam Kojota i jego bajerę: pewnie przyniosła mu drinka, a on zapytał, czemu dla siebie nie wzięła.

– Fajna jakaś?

– Człowieku, boska! Przynosi mi, rozumiesz, dobrze schłodzonego jaegera z sokiem żurawinowym i już chce odejść. A ja do niej: a czemu pani tylko jednego przyniosła? Ja dwa zamawiałem! Ona na to: ojej, a jaki drugi? No to ja: a to już od pani zależy, ale proszę się dobrze zastanowić!

Jak oryginalnie. Ojej. Aż się skrzywiłem w nieszczerym uśmiechu.

– I co, bezpiecznie tu jest, mówisz? Kurczę, to już chyba wyjątek w tych czasach.

– E tam! – Machnął ręką. – Ten kutasiarz Valenta to zgniłe jabłko w całym koszu.

– Aha, ale garnek kompotu od niego zaśmiardnie.

Rozłożył ręce w geście bezradności.

– No co zrobisz, druhu? Mówię ci, że jakbym mógł, tobym go... no. Uniosłem szklanke, umoczyłem usta; Kojot szarpnął solidny łyk.

– Słuchaj, a te nagrania. – Przysunąłem się do niego, ściszyłem głos, żeby w zupełności już kryła nas muzyka. – Ty serio myślisz, że on się tak mścił?

– Chudy, ja nie myślę. Ja wiem. Przecież tego słuchałem, nie?

Opa, a to ci nowina! Zrobiłem wielkie oczy, nawet nie udając.

– Serio? O jaaa... Wszystkiego?

– Nie no, coś ty. Fragmentów tylko, tych, gdzie gubernator mówił. Przecież jak sprawa poszła w mediach, to nasi byli w redakcji tego serwisu po godzinie, zabrali, co tylko znaleźli.

– A u niego w domu? Pewnie też byli, nie, i co? Nic?

– Nic. – Potrząsnął głową. – A dom to ma ładny, sukinsyn. Sam bym taki penthouse chciał... Najwyższe piętro SybirTower, czujesz? Oczywiście na wywieszce go nie znajdziesz, tylko nazwa jakiejś firmy.

– Przecież musi gdzieś to mieć, Kojot. Nie wierzę, że nie szukaliście.

– Bo ma na pewno, i to na fizycznym nośniku. Sprawdziliśmy, ale w Strumieniu nie było po tym nawet śladu. Nagrywał i od razu na jeden dysk... Ty wiesz, że on to po staremu robił? Normalne pluskwy z mikrofonem!

– No nie żartuj! – Aż się skrzywiłem.

– Mówię ci, jak było! Chamska, prymitywna technologia, jak od dziadka z garażu. I tylko ta lista plików.

– Kojot, ale za co on się mścił niby? I to tak wysoko...

– Druhu, Valenta miał firmę w K-Merowie. – Kojot przybrał swój zwyczajowy ton mentora. Teraz wyłuszczy mi wszystko czarno na białym, łopatologicznie, żeby pokazać, jaki on jest mądry. – Tydzień przed tą całą aferą cofnęli mu koncesję na gazowanie węgla. Z dnia na dzień położyli biznes, rozumiesz? Ale to już było po tym, jak mu nasi wjechali na apartament.

– Co? Byli u niego wcześniej i nic? – zdziwiłem się.

– Bo i sprawa była inna, tam chodziło o jakieś machlojki z podatkami czy coś. Zabrali mu dostęp, jakieś klucze elektroniczne do konsoli sterowania i nie mógł tym właściwie zarządzać. Pojawiły się zaległości, urząd cofnął koncesję i do widzenia.

Kojot dopił drinka, zamówił kolejnego. Ja tymczasem trawiłem usłyszane: no proszę, czyli Valenta już wcześniej miał na pieńku z władzą!

Zaraz, kiedy powstały te nagrania na Sobkova? Jedno dość wcześnie, ponad dwa miesiące temu... Potem drugie, po jakimś tygodniu, i trzecie, wyprzedzające utopienie firmy Valenty może o dzień, może dwa. Czwarte dosłownie dzień przed zabójstwem na lotnisku.

Zbieg okoliczności? Niewykluczone. Ale mocno naciągany.

– Mówisz, że typ był szantażystą? – rzuciłem z głupia frant.

Kojot ani razu nie użył tego słowa, a mimo to potwierdził.

– Głowę daję, że tak. On wszystkich nagrywał! Biznesmeni, politycy, ludzie z kręgów zbliżonych do władzy. Potem pewnie chodził i mówił: płać, bo jak nie, to pokażę twojej starej, w kogo wkładałeś swoją różową sikawkę. No, nie dokładnie, bo to tylko rozmowy były, ale...

– Aha... – zgodziłem się machinalnie.

Szantażysta, myślałem. Co to jednak za szantażysta, który zamiast brać pieniądze, jeszcze je komuś daje? A przecież Valenta przelał te trzydzieści milionów na poboczną firmę Sobkova.

Chyba że... chyba że gra szła o coś większego niż pieniądze: o szansę wejścia w biznes.

Tylko czym miałyby go szantażować?

– Kojot... – Oparłem się ciężko łokciami o stół. – To przecież bez sensu.

Nie miałem pojęcia, o czym myślał Kojot, ale widziałem, że jest tak samo zagubiony jak ja. Jemu też coś w tym wszystkim nie pasowało.

– Co konkretnie? – Uniósł brew.

– No... to wszystko. Tam przecież nie ma motywu! Po co atakować gubernatora?

Westchnął, jednym haustem osuszył szklankę. Skubany, zawsze miał niezły spust.

– Mamy dwie wiadomości, które Valenta wysłał w przeddzień afery – powiedział półgłosem. – Jedną w oryginale, z potwierdzeniem na dwie strony. Drugą tylko odzyskaną z wyczyszczonego komunikatora.

– Brzmi nieźle, dawaj dalej.

– Ta w oryginale była do gubernatora. Wyobraź sobie, że ten kutas napisał mu wprost: oddajcie mi licencję, bo jak nie, to puszczam nagrania w Strumień.

– A druga?

– Drugą wysłał Valenta do Sobkowa tego samego wieczoru, i to jest prawdziwa zagadka. Wyobraź sobie, że pisze mu coś w stylu: skoro nie będzie biznesu, to zwróć mi wiarygodność, a jak nie, to wypuszczam nagrania.

Odchyliłem się na swoim miejscu.

– Co?

– No właśnie to. Valenta żąda, żeby mu Sobkow oddał jakieś pieniądze, bo w przeciwnym razie on utraci gubernatora.

– To przecież bez sensu! – prychnąłem.

– Ano. Szkoda, że Sobkow ma dziurę w głowie na wylot, bo chętnie byśmy go zapytali, co i jak. A tak przyszło tego szczura Valentę wypuścić, bo materiał za słaby. W ogóle to...

Ale nie dowiedziałem się, co w ogóle, bo roznegliżowana panienka przyniosła tacę z butelką: na koszt firmy, powiedziała, z pozdrowieniami dla pana pułkownika. Kojot od razu zaczął ją bajerować, przyszła jeszcze jedna, zaczęła pchać mi się na kolana... Rozmowa ześliznęła się z właściwego toru i już na niego nie wróciła.

Patrzyłem na ludzi, gadałem z Kojotem o tym i owym, ale tak naprawdę to myślami byłem zupełnie gdzie indziej.

Moje śledztwo nie to, że stało w martwym punkcie, ale wciąż kręciło się wokół tych samych dwóch osób: Valenty i Sobkowa. Nie

byłem w stanie rozgryźć roli tego drugiego, do niczego mi nie pasował, ale przecucie podpowiadało, że to właśnie on będzie w tej układance kluczowy.

Niby mimochodem zagadnąłem Kojota jeszcze raz i drugi, wplotłem gdzieś nazwisko, ale nie zareagował: widać sam nie uznawał go za istotnego.

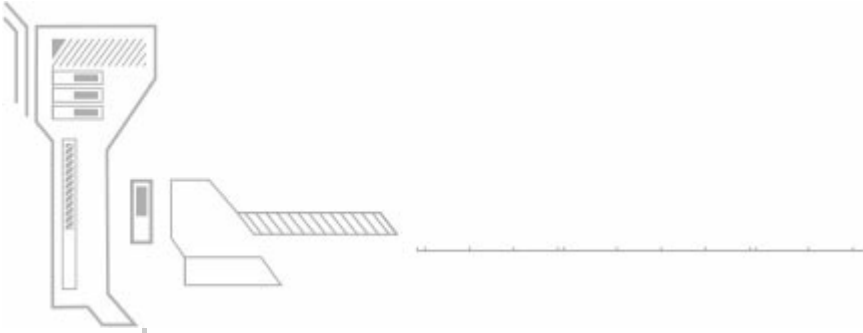
W ramach polukrowania zrzuciłem mu kilka mniej i bardziej pikantnych szczegółów ze swojego życia prywatnego, podzieliłem się informacją o wycięciu chłopaków z Nowodzierżyńskiego, którą na pewno już znał, ale nie dał po sobie poznać. Pokazałem kilka zdjęć, a potem bezlitośnie zacząłem ciągnąć rozmowę na tematy jego rodziny.

Kojot, zgodnie z oczekiwaniami, od razu skwaśniał, zaczął odpowiadać półsłówkami, aż w końcu stwierdził, że jest późno, a on ma iść jutro rano do roboty. Wypiliśmy rozchodniaka, pokręciliśmy się z jakimiś przygodnymi małolatami na parkiecie, po czym pożegnaliśmy i rozstaliśmy przed wyjściem.

No tak, po Kojota podjechał kierowca czarnym służbowym grawilotem, a ja musiałem po kielichu wsiąść za kółko.

No cóż, jakie życie – taki rap, jakie porno – taki fap.

Dotoczyłem się jakoś do domu, średnio już kontaktując z rzeczywistością, wdrapałem na swoje piętro, po omacku przeszedłem na kanapę i walnąłem się spać.



Afera podsłuchowa zatacza coraz szersze kręgi. Po ujawnieniu kolejnych nagrań, kancelaria gubernatora Akimova przestała w ogóle odpowiadać na pytania dziennikarzy...
Wierutne kłamstwa! No niech pani pomyśli sama: no po co?! Po co, ja się pytam?! Przecież nikt przy zdrowych zmysłach...
Pragniesz czegoś? My ci to damy! Moduł rzeczywistości wirtualnej MoreReal dostępny już teraz!...
...żaden z pasażerów uwięzionych w płonącym trolejbusie nie miał szans.



Obudził mnie natarczywy dzwonek komunikatora. Rozchyliłem jedno oko, potem jakimś cudem drugie... Podniosłem się do pozycji pionowej, przetarłem twarz i zerknąłem na zegarek: no tak, znów zasnąłem.

Komunikator ponownie zapiszczał, chciałem wyświetlić dzwoniącego, zamiast tego paluch nacisnął ikonkę odebrania.

Holoprojektor błysnął, wyświetlając twarz Daniłowa.

– Aleksandrze Wasiliczu, pobudka! – zawołał radośnie tamten.

– Dzień dobry, panie Daniłow – odpowiedziałem, błyskawicznie budząc się i trzeźwiejąc. Przegarnąłem włosy, otworzyłem oczy na tyle szeroko, na ile mogłem. – W czym mogę pomóc?

– Śpicie.

– Nie, nie śpię! Pracuję właśnie, tylko zegarek leżał obok...

– Spaliście, towarzyszu kapitanie, i nie próbujcie mnie okłamywać. Ja widzę, jak ludzie kłamią. – Uśmiechnął się, a kiedy nie odpowiedziałem, pokiwał głową. – Naprawdę widzę. Dobry sen to podstawa efektywnego dnia, ale nie wolno trwonić najbardziej produktywnych godzin poranka!

– Co mogę dla pana zrobić? – jęknąłem, nawet nie próbując z nim dyskutować.

– Możecie, Aleksandrze Wasiliczu, odzyskać moje pieniądze. Skoro naszego wspólnego kolegę już wypuścili, to może porozmawialibyście z nim kulturalnie? Ludziom czasem coś potrafi wylecieć z głowy, na przykład że komuś zabrali trzydzieści milionów i nie oddali.

Zaczerpnąłem głęboko powietrza, pokiwałem głową. No tak! Moja genialna myśl z wczoraj: po prostu się do tego całego Valenty wybrać i porozmawiać. Szczególnie że mi Kojot w zasadzie powiedział, gdzie go znaleźć.

– Dowiedziałem się, gdzie mieszka – pochwalilem się. Jakoś trzeba na te dwa procent w końcu zarobić.

– Zuch! I jeszcze u niego nie byliście?!

– To świeża informacja. Poza tym pozostaje kwestia Sobkowa...

– Sobkow nie ma nic do rzeczy! – Daniłow nagle zmienił ton. – Ani nikt inny! Macie odzyskać pieniądze i za to wam płacę. No już, towarzyszu kapitanie, powstań, buty wypastować i do roboty! Bez odbioru.

Hologram zgasł. Musi się chyba strasznie nudzić taki oligarcha, skoro wydzwania do cieciców z samego rana i daje złote rady... Natomiast jedno mnie cieszyło: ewidentnie trzymał rękę na pulsie, co znaczyło, że jakby ktoś jeszcze w mojej obecności niespodziewanie się odwodnił i zdechł, to istniała szansa, że się o mnie upomni.

A właśnie, à propos zdychania. Wstukałem wiadomość do Kulasa: „Jak tam, co mamy?”. Poszedłem się umyć i ogolić, dolałem wody psu, wyprowadziłem... Tymczasem przysłała odpowiedź: „Przyjeżdżaj”.

Zapakowałem się do merca i przyjechałem. Palnik słońca już wytoczył się ponad dachy bloków, powietrze było dosłownie przesycone wilgotnym, lgnącym do wszystkiego pyłem, wciskającym się we wloty nawiewów.

Spościłem się błyskawicznie i już stojąc pod drzwiami u Kulasa, czułem, jak cieknie mi po plecach.

– No i co masz dla mnie? – przywitałem go od progu.

– Proszę nie wchodzić w butach! – Babka z opieki społecznej wychyliła się z kuchni. – Dopiero co zmywane było! Pan wie, ile ja się muszę napracować?! Przecież tutaj nieszczęśliwy człowiek mieszka, sam sobie nawet tyłka nie podetrze, a co dopiero posprzątać!

Spojrzałem z niedowierzaniem na nią, na buty, na podłogę mieszkania, dosłownie lepiącą się od wszelakich substancji organicznych i nieorganicznych.

– Umyte było i mam buty zdjęć? – udało mi się w jednym pytaniu zawrzeć dwie trudne do uwierzenia rzeczy.

Z salonu wyjechał fotel Kulasa, gospodarz uśmiechnął się kwaśno.

– Nie kłopotz się, Chudy. Masz tu adres.

Puknął w swój komunikator, mój zapiszczał: odebrano.

– Kulas, jaki adres?

– Adres miejsca, gdzie dostaniesz to, o co pytałeś. – Spojrzał

wymownie w kierunku krzątającej się po kuchni baby.

– I musiałem do ciebie po to przyjechać? Nie mogłeś mi tego przesłać po prostu?

Fotel podjechał do samego końca szyny przy drzwiach, Kulas uniósł się na rękach; schyliłem się odruchowo.

– Chudy, nie wkurwiał mnie – syknął. – Nie mogłem, bo poszłoby przez Strumień. A tutaj ci przesłałem bezpośrednio przez urządzenia sparowane.

– Nie przypominam sobie, żebyśmy otwierali porty.

– My nie, ja tak. Ale nie bój się, nie będę ci grzebał w pamięci podręcznej komunikatora. I masz tam od razu parę rzeczy o tej... Ahem. O tym sklepie, który się zamknął, co właściciel nie oddał znajomemu pieniędzy.

Baba łomotała i brzęczała garnkami, syczała parową myjką i przestawiała wszystko z miejsca na miejsce, ale byłem pewien, że uszy czujne niczym radary na granicy wyłapują każde uronione słowo. Pokiwałem głową.

– To co, my się potem?

– Potem. Ale w miarę możliwości wcześniej niż ostatnio.

Nie było sensu gadać tak półsłówkami, więc skinąłem tylko Kulasowi i wyautowałem się za drzwi. Zbiegając po schodach, otworzyłem adres, pod który mam się udać... Zatrzymałem się, wróciłem, załomotałem do drzwi.

– Kulas, ciebie chyba pojebało! – wypaliłem, gdy znów mnie wpuścił. – Szpital?!

– Szpital.

– Jakbym chciał o to pytać w szpitalu, tobym...

– ...tobyś gówno dostał – przerwał mi inwalida. – A tak masz adres ziomka, z którym razem pykamy w gierki na Strumieniu. To ichni administrator IT, więc ma pełny dostęp do danych. Uprzedziłem go, że przyjdiesz.

– Super, nie ma to jak osoby trzecie. Można mu ufać?

– W tej chwili ja siedzę w bazie, a on stoi pod drzwiami na pauzie. Lezie za nim czterech typów z włóczniecami, a on ma tylko kamień w rękę.

– Co...?

– Można mu ufać, Chudy – powiedział uspokajająco.

Jeszcze wsiadając do samochodu, próbowałem zrozumieć, o co mogło mu chodzić. To jakaś metafora, powiedzenie? Rodzaj, nie wiem, tajemnego kodu hakerów?

Nieważne. Przerzuciłem adres z zegarka do nawigacji,

popatrzyłem na wytyczoną trasę: dwadzieścia dwa kilometry po najkrótszej. Pięknie.

Szpital był dokładnie tym, czego można było się spodziewać: paskudnym, betonowym pudełkiem z odpadającym tynkiem, pokrytym niezliczonymi naroślami klimatyzatorów, filtrów, wywiewów, instalowanych jedne na drugich anten, rur odpływowych i wiszących przewodów. Na parkingu oczywiście nie było miejsc, na ulicy nie było miejsc, nie było nawet miejsc na chodniku ani nigdzie indziej, więc w końcu zostawiłem merca kawał drogi dalej i poszedłem piechotą.

Już kiedy szedłem wybetonowanym podjazdem, w twarz uderzył mnie podmuch gorącego, wilgotnego wiatru. Daleko na horyzoncie majaczyły ciemniejsze chmury, nawet i samo niebo nie miało aż tak dziko błękitnego odcienia. Oho, czyżby jednak szło to od dawna zapowiadane ochłodzenie?

Minęła mnie wyjąca karetka, która zahamowała z piskiem opon przed samym wejściem. Spomiędzy rozsuwanych drzwi od razu wybiegli sanitariusze, skoczyli niczym rączę charty ku wysuwającemu się z wozu podajnikowi z noszami.

W pierwszej chwili spodziewałem się, że przywieźli kogoś z jakiegoś potwornego wypadku albo co najmniej strzelaniny, że zaraz zobaczę krew, respiratory i kroplówki... Zamiast tego okazało się, że na noszach leży sobie zadowolony z życia, w sumie nawet uśmiechnięty jegomość w średnim wieku, próbujący uprzejmie przekonać sanitariuszy, że on to może sam pójdzie, to przecież tylko zwichnięta ręka i nic mu tak naprawdę nie jest.

– Proszę leżeć i się nie wysilać. Zaraz przeniesiemy pana do osobnej sali – zapewnił przesłodzoną głosem lekarz, który już czekał w drzwiach.

No tak, posiadacz złotego ubezpieczenia, klient priorytetowy w naszym systemie opieki zdrowotnej.

Izba przyjęć była w zasadzie przedsionkiem piekła. Na ławeczkach, krzeselkach, pod ścianami, dosłownie wszędzie stali, siedzieli i koczowali ludzie; zaduch był taki, że powietrze można by kroić, podłoga lepiała się od krwi i środków czystości. Ktoś jęczał, ktoś chlipał cicho, płakało jakieś dziecko... Kilka osób na zmianę kłóciło się z rejestratorką, usiłującą jednocześnie przyjmować pacjentów, rozmawiać przez telefon i wprowadzać dane do systemu przy pomocy przedpotopowego panelu z wystającymi klawiszami i ręcznym wskaźnikiem kursora.

Próbowałem dopchnąć się do jej biurka z boku, ale dosłownie

odbiłem się od ściany ludzi. Potem usiłowałem stanąć w kolejce, ale żywy wąż jak gdyby wyczuwał, że nie przychodzę jako pacjent i niemalże samoczynnie zawijał się i splatał, wypychał mnie na bok... Wreszcie podszedłem do stojącego z boku znudzonego i spoconego ochroniarza.

– Dział IT? – rzuciłem krótko.

– Czego?

– Informatycy?

– Panie, tu szpital jest...

– Komputery?

– A, że tamci... – wreszcie zajarzył. – Tymi schodami na górę i w prawo.

Na schodach też siedzieli ludzie, jakaś matka tuliła dziecko, któremu najwyraźniej oderwał się fragment wszczepu żuchwy, i teraz ślina kapiała bokiem, przez wyrwaną pomiędzy tkankami a tworzywem dziurę... Ech, uroki naszego systemu i naszej medycyny.

Prawda była taka, że odkąd cybernetyka upowszechniła się na dobre, możliwości stały się niemalże nieograniczone: można było dowolnie wymieniać utracone kończyny, zamiast organów wewnętrznych wstawiać ich prawie niezniszczalne biodpowiedniki, praktycznie od ręki załatwiać do tej pory nieuleczalne schorzenia.

Po raz kolejny od rewolucji w połowie zamierzchłego dwudziestego wieku wydawało się, że ludzkość nareszcie zatryumfuje nad własnymi słabościami.

Tyle tylko, że w tym wszystkim pozostał element z założenia ułomny i wadliwy, nieuchronnie psujący wszystko inne: sam człowiek.

Bo co z tego, że każdy miał zagwarantowaną, ba! wpisaną do konstytucji opiekę zdrowotną, skoro realizowana ona zawsze była „na miarę możliwości”, żeby zacytować dokładne brzmienie ustawy zasadniczej?

Szybko okazało się, że owszem, każdy dostanie zamienną kończynę – ale zrobioną z przysłowiowego gównolitu, czyli ZnAlu, na podobieństwo tandetnych chińskich zabawek gnącego się i kruszącego w rękach. Owszem, była pewna pula dostępnych wszczepów, ale system szedł po najmniejszej linii oporu i przepisywał przeszczep dosłownie na wszystko.

Dla przykładu: ktoś łamie nogę, przyjeżdża do kliniki. Robią mu przeliczenie i okazuje się, że jego hospitalizacja, koszt założenia

endoprotezy stabilizującej, następnie wizyt kontrolnych, rehabilitacji i wszystkiego innego wynosi X. Dla porównania wszczepienie mu najprostszej protezy to koszt rzędu dziewięćdziesięciu procent sumy X oraz gwarancja, że dany pacjent nigdy już z określonym problemem się nie zetknie.

Zaraz, od razu powinna zapalić się lampa ostrzegawcza logiki, ale jak to? Przecież jeśli komuś dadzą protezę, to nie znaczy, że ona się nigdy nie zepsuje.

No nie znaczy. Zepsuje się – statystycznie prawdopodobnie, praktycznie być może, życiowo na pewno. Ale wtedy delikwent nie przyjdzie na izbę przyjęć, a do osobnego oddziału mechaprotetyki, który miał w budżecie zupełnie inne zaszeregowanie.

Poza tym klient z nogą złamaną i zrastającą się odzyskiwał sprawność i zdolność produkcyjną po miesiącu, dwóch. Po zabiegu amputacji i cyberprotetyki – nominalnie po trzech dniach. Logiczne więc, że wybierano opcję społecznie bardziej zasadną.

Więc jak to działało? Ano tak, że przychodzi facet do szpitala ze złamaną nogą, a wychodzi – w zasadzie wywożą go – bez nogi. Po jakimś tygodniu, dwóch wzywają, żeby przykuśtykał na przymiarkę. No tak, bo kolejki, niedobory, obciążenie systemu, logistyka, zapisy, refundacje i limity. Jak jest dobrze, to od razu wstawiają wszczep, po trzech dniach wypisują do domu. Gratulujemy, dziękujemy, do widzenia, ku chwale ojczyzny.

No i tu się zaczynają schodki, bo dają zawsze wersję budżetową. Chcesz lepszą? Dopłać. Albo teraz, albo potem sobie zamień. Albo... albo pójdź do znajomego, który prowadzi cyberklinikę, i niech on ci robi na niej ulepszenia.

Nie każdego, a w zasadzie mało kogo było na to stać, więc ludzie bali się chodzić do szpitali, próbując opatrywać się w półlegalnych ambulatoriach medycznych. Ja, na ten przykład, nie dałbym sobie uciąć palca tylko dlatego, że jest zwichnięty, i duża część ludzi myślała podobnie. W ambulatoriach, oczywiście, robotę partolili, więc prędzej czy później nasz pacjent trafiał na OIOM – i kółko się zamykało.

Przeszedłem ciemnym, wąskim korytarzem, przecisnąłem się obok stojącego pod ścianą zakrwawionego łóżka na kółkach, wreszcie stanąłem przed drzwiami z porysowaną tabliczką: „Informatyka, administrator danych, wstęp wzbroniony”.

Zapukałem i po prostu nacisnąłem klamkę. Heh, zamknięte? Spróbowałem jeszcze raz, dopiero wtedy dioda przy zamku zapaliła się na zielono: no tak, pewnie otwierane od środka.

Wnętrze pokoju wyglądało w zasadzie podobnie do nory Kulasa, chociaż bałagan był nieco mniejszy i na podłodze nie leżały resztki jedzenia. Siedzący w obrotowym fotelu, lekko nalany typek odwrócił się do mnie, już otwierał usta, zapewne żeby zrugać i wyprosić za drzwi – ale zmrużył oczy, przechylił głowę.

– Ach. Ty pewnie od Wasilija? – zapytał.

Wasilij. No tak, przecież Kulas miał też imię. Kiwnąłem twierdząco.

– Podobno masz coś dla mnie.

Jakby celowo powolnym, nonszalanckim gestem sięgnął ku konsolce, pogmerał w plastikowym pudełku po chińskim żarcu.

Zauważyłem, że na raptem dwóch ekranach jest obraz w jakikolwiek sposób związany z życiem szpitala: przełączające się kamery, na drugim przesuwają się komunikaty techniczne... Pozostałe monitory wyświetlały głównie porno, jakieś dość krwawe czystki etniczne, komputerowo renderowane filmy i chyba transmisje na żywo z jakichś gier w wirtualu.

– Masz. – Podał mi nośnik pamięci, wysuwając od razu drugie przedramię z gniazdem czipa. – Płatne od ręki.

Przysunąłem swój nadgarstek, puknąłem w zegarku potwierdzenie żądanej płatności. Informatyk tylko mrugnął okiem, na którym wyświetliło się okno powiadomienia, uniósł brew ze zdziwieniem.

– Nadal ręcznie to robisz? Człowieku, to przecież niewygodne...

– Lanie na stojąco też jest niewygodne, a mimo to mężczyźni tak właśnie robią – odwarknąłem, nie wiedząc nawet, czemu poczułem się urażony.

Typek odwrócił się do swoich ekranów, znów nasunął gogle do wirtuala: rozmowa najwyraźniej była skończona. Wszedłem, zatrzasnąłem za sobą drzwi, dioda znów zapaliła się na czerwono.

Mijałem już matkę, siedzącą z nadal chlipiącym dzieciakiem w tej samej pozycji i miejscu, kiedy uderzyła mnie myśl: ja pierniczę, przecież tam mógł zapukać i wejść ktokolwiek! Nawet przypadkiem: puk, puk, wchodzi. A, to ty? No tak, to ja. To masz, tutaj są dane z całego K-Merowa.

Oczywiście, że tamten musiałby zapłacić. A gdyby zapłacił? Aż się wzdrygnąłem na samą myśl o tym, jak debilnie prosto było wypuścić coś w Strumień.

Na przykład nagrania z gubernatorem, chwalcącym się, czyją żonę przeleciał.

Samochód zdążył nagrzać się jak głupi, ale chmury były coraz

bliżej. Czyżby jednak wymarzony deszcz? Oby.



Doturlałem się wreszcie do domu, wtoczyłem do mieszkania. Powietrze na dworze zgęstniało jeszcze bardziej, do tego stopnia, że oddech trzeba było dosłownie wypychać z płuc jak galaretę ze strzykawki. Kurtka zipała już na resztkę wydajności akumulatorów, metal wokół promienników ciepła nagrzał się tak, że prawie parzył...

Zebrałem w sobie resztkę sił i cierpliwości, wyprowadziłem jeszcze psa, który przestępował z łapy na łapę u wejścia. Potem definitywnie ściągnąłem buty i resztę ubrania, wskoczyłem pod szybki prysznic ciśnieniowy, zawinąłem się w stary, wysłużony szlafrok i walnąłem na kanapę. Dość. Dziś już się stąd nie ruszam.

Poklikałem trochę po kanałach telewizji, starannie omijając wydania wiadomości i gadające głowy. Wiem, że powinienem to oglądać, chociażby po to, żeby być na bieżąco z wydarzeniami, ale... nie. Nie byłem w stanie.

Znalazłem w końcu jakiś durny, stary film sensacyjny, popatrzyłem chwilę, jak główny bohater rozwała bandziorów w rzekomej niedalekiej przyszłości.

Czyli co tam miało być wedle prognoz? Miasta ze szkła, budynki wysokie ponad chmury, latające samochody i broń energetyczna, tak? Cycate laski, umięśnieni maczomeni, wszystko gładkie i lśniące. Kolonizacja Marsa i Księżyca, loty w nadprzestrzeni, klonowanie i teleportacja.

A zamiast tego słyszałem rytmiczne: łup, łup, łup, brzdęk, łup... To sąsiad zza ściany znów napierdalał żonę.

Próbowałem skoncentrować się na akcji filmu: protagonista wychylał się właśnie zza ściany, nieświadom, że wraży strzelec wyborowy tylko na to czeka. Wierny pies biegł już przez halę magazynową, gotów rzucić się na swego pana i uratować mu życie...

– Ty kurwo, szmato jebana ty! Myślisz, że możesz innemu obciągnąć i potem do mnie wrócić?! Tobie się wydaje, że...!

Kliknąłem pilotem, ukryte w ścianach głośniki zaczęły emitować niski, kojący szum, idealnie głuszący odgłosy spoza mieszkania. Zapłaciłem za ten system aktywnego tłumienia niemały pieniądź, ale ani chwili nie żałowałem.

Bohater już był przy schodach, przeładowywał pistolet. Ranny pies skamlał, krwawiąc, i wiadomo było, że zbliża się punkt kulminacyjny sceny.

Nadal słyszałem gdzieś na granicy postrzegania miarowe, głuche dudnienie uderzeń.

Bardziej nawet czułem w trzewiach, tak jak czuje się odgłos, kiedy ktoś pośliznie się i uderzy potylicą o betonową posadzkę. Takie suche „trzask!”, i nagle masz gęsią skórkę.

Zrobiłem głośniej, na filmie akurat zaczęli strzelać.

Patrzyłem chwilę tępo w przelewające się po ekranie kolorowe plamy, a potem po prostu zerwałem się z kanapy. Kusto też aż podskoczył, zaczął bez sensu ujadać... Wciągnąłem na dupę spodnie, narzuciłem na siebie kurtkę i tak jak byłem, w samych klapkach, wypadłem przez drzwi na korytarz, zleciałem po schodach i niczym burza przebiegłem do sąsiedniej klatki.

Domofon był zepsuty od lat, więc szarpnąłem tylko, drzwi ustąpiły. Przesadzając po dwa schodki, wbiegłem na piętro, załomotałem do drzwi, zacząłem dusić dzwonek.

– Otwieraj! – ryknąłem, cisnąc guzik tak, że w plastikowej obudowie aż coś trzeszczało.

Zachrobotał zamek wewnętrznych drzwi, potem błysnęło światelko w judaszu... Nie przestawałem walić pięściami ani na chwilę, dzwoniłem to krótkimi, to długimi sygnałami. Musiał, musiał otworzyć.

W końcu zgrzytnął zamek, drzwi szarpnięciem otworzyły się do środka, zobaczyłem za nimi zarośniętą, zapitą mordę sąsiada zza ściany.

– Czego się, chuju... – zdążył tylko powiedzieć, zanim zamachnąłem się i z całej siły zajebałem mu lampę w ryj.

Machnął rękoma i wyłożył się jak długi. Od razu chciał się zerwać, zaczął zamykać drzwi, ale ja skoczyłem już za nim, otworzyłem z kopniaka – nie lada sztuczka, jak ma się na nogach gumowe klapki! – wpadłem na niego całą swoją masą.

– Ratunku! – wrzasnęła, a chwilę po tym moja pięść trafiła go centralnie w nos, zamieniając i tak już paskudny organ w krwawą miazgę.

Widziałem, że ma na podkoszulku i na kostkach rąk krew. Znów ją lał, skurwysyn jeden, po raz kolejny od tyłu miesiący!

Zamachnął się na oślepa, nawet trafił mnie w ucho, ale to tylko mnie rozwścieczyło. Instynkty bojowe, warunkowana agresja, pamięć mięśniowa, sztuki i techniki walki, których uczyli nas

najpierw w milicji, a potem w Afryce...

Wszystko to jest gówno warte, jak się naprawdę bijesz. Wtedy są łokcie i kolana do przodu, celujesz w twarz i koniec. Kostki pięści raz po raz uderzają w miękkie i twarde, coś chrzęści i trzaska miętko.

Od czasu przeszczepu przerzuciłem się na leworęczność, ale w gniewie biłem nadal prawą – a naprawdę, naprawdę było czym bić.

– Przestań, zabijesz go! Co ty robisz?! – Żona sąsiada rzuciła się na mnie, zaczęła okładać pięściami, ciągnąć za włosy, wbijać palce w oczy i wrzeszczeć: – Ratunku! Ratunkuuu, mordują, napad! Zostaw go, zostaw, aaa! Mój Dimkaaaa, ratuuunkuuuu...!

Odciągnęła mnie w końcu, uderzyła jeszcze raz, odepchnęła w tył, na szafę. Popatrzyłem na swoją rękę, porozcinaną tak, że spod kostek wyzierała stal nierdzewna, na sąsiada z mordą niczym dobrze rozbity soja-schabowy... Na sąsiadkę z podbitym okiem, potężnym sińcem na policzku i napuchniętymi niczym dwa balony ustami.

– Woon! – wrzasnęła, tuląc do siebie męża i szlochając. – Wynos się! Aaa! Ratuunkuuuu!... Milicjaaa...!

Przesunąłem się wzdłuż szafy, wystawiając przed siebie dwie ręce i próbując zasłonić od całej tej absurdalnej, patologicznej sytuacji. Kobieta płakała i krzyczała, sąsiad pluł i kasłał krwią, ja próbowałem to wszystko jakoś zrozumieć.

W końcu wyszedłem, zamknąłem za sobą drzwi. W sieni stała pomarszczona, siwa starowinka, ubrana w pocerowany niebieski fartuszek w kwiatki i bambosze.

– To... ja... – wydukałem, próbując schować za sobą rękę.

Ujęła mnie za ramię, wyciągnęła i obejrzała zakrwawioną dłoń. Pokiwała ze smutkiem, krzywo wszczepione cyberoczy zamigotały lekko już matowiejącymi diodami.

– Dobrze pan zrobił. A jeszcze lepiej, jakby go pan zabił. Należy mu się, skurwielowi jednemu. Może pan tam wróci? Ja zeznam jakby co, że to on zaczął. I pani spod dwudziestego siódmego też jakby co powie, co będzie trzeba.

Potrząsnąłem głową, wybełkotałem coś nieskładnego i wyszedłem na korytarz. Spłynąłem po schodach, na nogach niczym z gumy przeszedłem z powrotem do swojej klatki i schowałem się w mieszkaniu.

Kusto oczywiście od razu zaczął lizać mnie po ręce, a ja zorientowałem się dopiero po chwili. No tak, przecież brak czucia.

Znalazłem pudełko serwisowe, dobrze wymieszałem przed otwarciem i nałożyłem maść regeneracyjną na porwane tkanki. Warto by było to jakoś zaszyć, żeby brzegi trochę się zeszyły... Pamiętam, jak coś mi tłumaczyli, że nie wolno, bo wtedy mogą powstać zrosty wokół ciała obcego, i że coś tam, coś tam.

Szurając klapkami, przeszedłem znów do kuchni, wyciągnąłem z szuflady w stoliku nitkę, znalazłem jakąś igłę nawet. Zawiązałem na końcu jebitny supeł, niezgrabnie nawlokłem i zacząłem szyć.

Prosta, jednostajna czynność. Jak rzadko kiedy w życiu naprawienie czegoś zamiast zepsucia. Poskładanie do kupy.

Poczułem, że mam straszną ochotę albo się napić, albo rozplakać.

Wróciłem na kanapę, film nadal leciał. I niech leci... Wygrzebałem stare nośniki pamięci, wrzuciłem w projektor i zacząłem na chybił trafił przeglądać zdjęcia.

Patrzyłem na małego chłopaka, potem na młodego kadeta, na podrostka na zakończeniu jedenastej klasy. Na czteroletniego berbecia, płaczącego, jakby go ze skóry obdzierali, kiedy źli rodzice oddali go pierwszy raz do przedszkola. W końcu na dumnego jak paw absolwenta akademii Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, składającego przysięgę na sztandar Federacji.

Moment graniczny, poczułem. Albo się rozbeczę jak baba, albo pobiegnę do sklepu po wódkę, albo... No właśnie. Albo wezmę się w garść i ogarnę życie.

Nie robiłem tego w końcu dla siebie. Nie chodziło o mnie, w każdym razie nie tylko. Ktoś mi zaufał, a ja nie mogłem go zawieść – tak jak kiedyś, dawno temu, sam zostałem zawiedziony.

Pociągnąłem nosem, otarłem zawilgocone oczy. Wyjąłem z projektora kartę, zgasilem holowizor. Włączyłem sobie na głośnikach dyżurną składankę francuskich szansonów, przyniosłem z kuchni piwo i wsunąłem w gniazdo projektora nośnik ze szpitala.

Zapaliłem papierosa, nikotyna zaczęła powoli wsączać się w płuca, uspokajając rozszalałe serce i kojąc nerwy. To znaczy: ja wiedziałem, że szlugi wyłącznie pozwalały uciszyć strach, wynikający z głodu nikotynowego.

No ale czułem się spokojniejszy, i tylko o to chodziło.

Już patrząc na ekran, pomyślałem sobie: oho, dużo tego. Lista rozwinęła się od góry do dołu, spłynęła nieco niżej... Ile? Sto dwadzieścia kilka osób?!

No tak, przecież były te cholerne upały. Nadal są zresztą, deszczu jak nie było, tak nie ma. Ludzie padali jak muchy, więc się nzbierało.

Zacząłem od sprawdzania jednego po drugim, ale odpadłem po trzydziestym którymś. Nie no, tak to mi nic nie da przecież... To jakieś dziadki borowe były, część w ogóle znajdowano na ulicach, więc pewnie bezdomni. Głupiego robota.

Wpiąłem w drugie gniazdo kartę z danymi od Daniłowa, rozwinąłem siatkę powiązań. Jak by to zrobić, żeby miało ręce i nogi? Zacząłem zaznaczać i kopiować do oddzielnego pliku nazwiska z wykresów. Mozolnie, jedno po drugim: zaznacz, kopiuj, przenieś, wklej, i następne.

Tak, na pewno można było jakoś szybciej, automatycznie. Mówiłem już, że nie lubię technologii? No to powtarzam jeszcze raz: nie lubię.

W końcu skopiowałem ostatnie nazwisko, zaznaczyłem i wrzuciłem wszystkie w wyszukiwanie na liście. System pomieścił, pomieścił, na chwilę zawisł... I podświetlił mi dobre pół tuzina rekordów!

Aż mi się gorąco zrobiło z wrażenia.

Szybko przejrzałem, odsiałem te, które na sto procent do niczego nie pasowały: stary dziad, dwuletnia dziewczynka, dwa takie same nazwiska, ale jedna osoba jest nikim. Zostały mi cztery plus Matwieszuk.

Na próbę wstukałem pierwsze lepsze z brzegu w wyszukiwarke strumieniową, kliknąłem „wprowadź” – i aż gwizdnąłem przez zęby.

No proszę, pan prezes kolejnej spółki. I jeszcze jednej, i następnej, i znów... Przejrzałem historię pacjenta w pliku oryginalnym: zdrowy jak byk, serce wymienione rok temu, porobione wysokoprzepustowe arterie. Trzeba mieć kasę na coś takiego, swoją drogą.

I bęc: podejrzenie czerniaka skóry sprzed kilku miesięcy. Niby nic wielkiego, normalna rzecz, kiedy powłoka ozonowa jest dziurawa niczym rajstopy dziwki po owocnej nocy. A mimo to interesujący zbieg okoliczności.

Kolejne badanie: po czerniaku nie ma śladu. Tak po prostu, bez wpisu o zabiegu, nic. Ozdrowiał.

Następne nazwisko, kobieta tym razem. Młoda, bogata, trzy spółki, akcje i obligacje na giełdzie, nieruchomości... I rak jajnika. Najpierw lewego, potem prawego. Potem szyjki macicy. Potem przerzut na płuca. I za każdym razem badania takie same: ojej, jest rak, a potem: o, a już nie ma.

Interesujące.

Skopiowałem nazwy ich spółek, wrzuciłem w prostą,

ogólnodostępną wyszukiwarkę rejestru przedsiębiorców, żeby sprawdzić bezpośrednie powiązania. Skopiowałem wyniki, odpaliłem plik od Daniłowa.

Jest, a jakże. I kolejna. I jeszcze jedna.

I wszystkie co do jednej zapinają się ze spółkami zależnymi od Sobkowa. Nigdy w pierwszym rządzie, ale zawsze w drugim. Minimalne konieczne oddzielenie, jak kartka postawiona przed reflektorem: dalej nie zajrzysz.

No dobrze, ale czego to dowodziło? O czym świadczyło?

Cztery, nawet pięć osób z orbity Sobkowa – tak ją zacząłem w myślach nazywać, „orbita” – umiera tego samego dnia na to samo, z tego samego powodu. W dodatku wszyscy mieli historię chorób nowotworowych, i to skutecznie leczonych... Albo przynajmniej do niepoznania zaleczanych.

Musieli coś wszyscy brać, uświadomiłem sobie. Przyjmować jakiś lek, który hamował rozwój komórek rakowych. Brali go z jednego źródła, wzięli z tej samej dostawy... I bęc, trupy.

Trefny towar? Więcej niż możliwe, wręcz pewne. Ktoś zaczął lecieć po taniości, ludzie się potruili czarnorynkowymi podróbkami.

Podrabiane leki, trefne płyny, hormony z drugiego obiegu – brzmiało znajomo.

Coś takiego gdzieś się przecież produkuje, nie? Potrzebna do tego infrastruktura, instalacje chemiczne, wręcz cały zakład. Laboratorium badawcze, w którym...

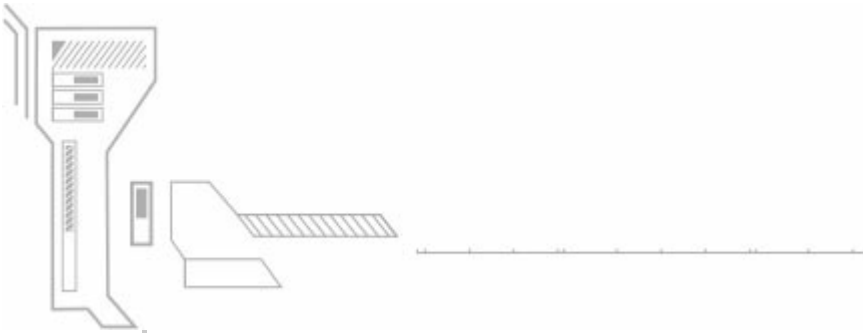
Zaraz.

Przewinąłem plik Sobkowa, zerknąłem na jedną z jego spółek. Tę, na którą Valenta przerzucił wierzytelność ze spółki Matwieszuka. Najbardziej niepozorną, niewielką, mającą w zasadzie tylko dyrektora i prezesa zarządu. Szarą, smutną myszkę z minimalnym kapitałem zakładowym pięciu tysięcy rubli.

– „Nowoczesne technologie, działalność badawczo-rozwojowa, inżynieria biologiczna i genetyczna” – szeptem przeczytałem raz jeszcze przedostatnią pozycję wpisu.

Chyba miałem już swoją faworytkę, o którą będę musiał znowu dopytać Kulasa. Tak, najpierw zrobię rozpoznanie na odległość, dowiem się, ile dam radę, a następnie trzeba się tam wybrać i zobaczyć, co w trawie piszczy.

A potem złożyć wizytę w wysokościowcu SybirTower.



...dlatego powtarzamy nasze stanowisko: wyciek z instalacji jest całkowicie niegroźny i w żaden sposób niepowiązany z...

...widoczność jest słaba, więc prosimy kierowców o zachowanie szczególnej...

Nadal nie jest jasne, kto stał za zabójstwem...

...odpowiedzialne są po raz kolejny mieszające się w sytuację Stany Zjednoczone.



Dzień wstał duszny, parny i aż gęsty od wiszącej w powietrzu toksycznej mgły.

Patrzyłem przez okno, próbując oszacować widoczność. Czterdzieści metrów? Pięćdziesiąt? Rzeczywistość powoli roztapiała się w białawożółtym tumanie, przesyconym złotawym blaskiem zawieszono gdzieś ponad

nami słońca.

Od czasu do czasu po chodniku przesuwała się ciemniejsza sylwetka przechodnia z konieczności, niosącego przed sobą groteskowo wydłużony psi pysk półmaski z filtrami. No tak, praca nie wybiera – świętek, piątek, alarm smogowy czy nie, a przecież z domu trzeba w końcu wyjść.

No, ale samochodu nawet nie będę dziś ruszał, bo NeoSybirsk nieuchronnie ugrzęźnie w korkach. Prędzej czy później wypadek, potem drugi, trzeci. Jako pierwsze stanie śródmieście, potem zator rozpełnie się po głównych ulicach, tam ludzie zaczną się denerwować i chojraczyć, zaczną się mniejsze i większe stłuczki, paraliżujące ruch.

Niestety, dziś był dzień metra i komunikacji publicznej.

Z ciężkim sercem wyciągnąłem z szafy ciemniejsze spodnie, do kieszeni kurtki wsunąłem rękawiczki pokryte warstwą elastycznego, antyseptycznego plastiku. Niestety, kontakt bezpośredni z miastem zawsze był jak wyjście robocze – na pewno się człowiek ubrudzi, warto założyć ubranie ochronne. Do tego przerzucona przez ramię torba robocza podpięta paskiem na udzie, podobnie jak moja klimakurtka spisana z magazynu w starych, dobrych czasach.

Skasowałem wczorajsze oświadczenie, wstukałem i podpisałem aktualne z dzisiejszą datą.

– Kusto, idziemy na wyjście testowe – zarządziłem, zdejmując

z wieszaka smycz i kupiony dla niego kaganiec z filtrem.

O tak, powietrze na dworze aż szczypało w oczy, więc czym prędzej wzbogaciłem stylówkę o ściśle przylegające do twarzy okulary próżniowe z żółtymi szybkami. Ściszyłem tylko do zera dźwięk, za którymś kolejnym kliknięciem udało mi się wyłączyć natarczywie wyświetlające się przed oczami reklamy.

Oczywiście nadal przelatywały mi tam jakieś obrazy i wiadomości, system komunikacji miejskiej jakimś cudem musiał już wykalkulować, że nie wsiadłem do samochodu i teraz usłudźnie podpowiadał mi drogę do najbliższych węzłów transportowych.

Czasami zastanawiałem się: jak dalece posunięta jest inwigilacja? Robiliśmy któregoś wieczora testy, celowo gadając z chłopakami z ekipy o różnych rzeczach: a to wakacje, a to wódka, nowy samochód... Przez następne kilka dni dostawałem istną nawałę reklamową ze zdjęciami piaszczystych plaż, dobrej zabawy przy flasce i uśmiechniętych pańienek opartych o lśniąco czerwone maski limuzyn.

Wspominałem już, prawda? No wspominałem, co o nowoczesnej technologii myślę. Ale chyba powoli zaczyna być zrozumiałe, dlaczego i skąd ta niechęć.

Kusto zrobił, co musiał, po czym zaczął ciągnąć z powrotem ku domowi. Ja jednak twardo dokończyłem rundkę wokół bloku, upewniłem się, że zestaw wyposażenia na ten dzień jest wystarczający, nic nie zawadza, mam wszystko pod ręką... Odprowadziłem mojego jedyne go przyjaciela, zamknąłem na cztery spusty, a sam ruszyłem w trujący labirynt NeoSybirska.

Do stacji metra może i nie było daleko – ot, przy głównym prospekcie – ale już te paręset metrów wystarczyło, żebym znów poczuł to, od czego chciałem te całe lata temu uciec.

Wszystko było brudne. Dosłownie wszystko!

Brudny, zakurzony, popękany asfalt chodnika.

Skorodowane żelazne barierki, oddzielające pieszych od ciągnącego po ulicy sznura brudnych, zakurzonych, kopcących starymi silnikami samochodów.

Brudne kikuty usychających drzew, które zarząd zieleni miejskiej – tak! wciąż mieli czelność tak się nazywać! – z uporem maniaka sadił od lat w tych samych miejscach, jak gdyby nie zauważając tego, że po dwóch, maksimum trzech latach sadzonki po prostu znikają w oczach.

Znikają, rozpadają się na kawałki. Osłabione skażoną ziemią, zatrute wyziewami fabryk, przeżarte kwaśnymi deszczami,

połamane przez pijaków. Czasami dla zabawy podpalone przez szczególnie kreatywnych chuliganów.

Widziałem swoje odbicie w brudnych, nierzadko popękanych holoszybach mijanych sklepów i zakładów. Reklamy od razu ożywały, zwracały się do mnie formą bezpłciową: wejdź, sprawdź, kup! Znajdź szczęście, popraw swoje życie! Zaslugujesz na to!

Nagle zatoczyłem się, uderzony czymś barkiem.

Prący samym środkiem chodnika byk z zewnętrznym wspomaganiami ramion i kręgosłupa obejrzał na mnie, wyrzucił zniekształconym przez respirator głosem:

– Uważaj, jak idziesz, palancie!

– Spierdalaj... – warknąłem tylko pod nosem.

Nie dość cicho, bo musiał usłyszeć. Zatrzymał się jak wryty, obrócił do mnie, pochylając byczy kark.

– Pierdolnąć ci?!

– Człowieku, uspokój się... – Potrząsnąłem głową, chcąc odwrócić się i odejść, ale on zrobił parę kroków w moim kierunku, rozkładając szeroko ręce w geście wyzwania.

– Zajebać ci w ten tępy ryj, pytam?! No i czego, czego się szczerzysz?!

Faktycznie, pozwoliłem sobie na cień uśmiechu.

– Uspokój się. Ochłoń... ochłoń, powiedziałem! – podniosłem głos, widząc i słysząc, że tamten wcisnął guzik serwo.

Wspomaganie zaszumiało, zapaliły się czerwone diody przy poszczególnych węzłach zasilania. Sukinsyn, specjalnie miał skrojoną bluzę, żeby przewody szły po wierzchu! Chciał się tym chwalić, lubił tego używać. Tacy są najgorsi.

Westchnąłem ciężko, rozpiąłem kurtkę i sięgnąłem wymownym gestem za pazuchę.

Zatrzymał się na chwilę, niepewny, ale zaraz rozciągnął w paskudnym wyszczerzu, zacisnął pięści.

– No dawaj! No dawaj, pozerze gówniany za dwie kopiejki! Wyciągnij tę rękę, ty męska pizdo, ty kurwo farbowana, a ja ci ją wepchnę tak głęboko, że...

Urwał gwałtownie, kiedy faktycznie wyciągnąłem rękę wraz z zaciśniętym w niej pistoletem.

Półcalowy, smoliście czarny otwór lufy z przepięknie chromowanym wykończeniem hamulca wylotowego spojrzął mu prosto między oczy – dokładnie tam, gdzie w tej samej chwili patrzyłem ja.

Bysior ze wspomaganiami zamrugał. Ikonka na soczewce bojowej

też mrugnęła, rozjarzyła się mocniejszym blaskiem: cel zapięty, śledzenie włączone. Kiedy on się poruszył, celownik podążył za nim, przesuwając jednocześnie moje przedramię, aby wbudowany w pistolet znacznik trzymał cel.

Przełknął ślinę. Pewnie spodziewał się noża.

– I co, gnoju, nosisz atrapę – powiedział, ale w jego głosie zabrzmiała niepewność. Ja tylko powoli pokręciłem głową na boki.

– Nie. I nie radzę ci sprawdzać, bo...

Zrobił jeszcze krok, ja kciukiem odwiódłem kurek. Elektroniczny dosyłacz zakręcił zębatkami, zamek pistoletu ze szczękiem odjechał w tył, wyciągnął nabój z magazynka i nasunął się znów w przód, wprowadzając go do komory.

Ikonka w prawym dolnym rogu mojej soczewki zmieniła kolor z pomarańczowego na zielony: broń gotowa do strzału, dziewięć plus jedna sztuka amunicji.

No tak, przecież nie upadłem na łeb, żeby chodzić po ulicy z zarepetowaną bronią!

Jednak chyba właśnie ten drobny pokaz funkcjonalności pistoletu definitywnie przekonał nadgorliwego byczka, który podniósł ręce, rozkładając szeroko palce; diody wspomagania zgasły jedna po drugiej.

– Luz, człowieku. Po prostu uważaj, jak chodzisz, co nie? Nie ma się co denerwować.

– Nie denerwuję się – wycedziłem przez zaciśnięte zęby.

Patrzyłem, jak odchodzi tyłem, potem odwraca się i znika we mgle. Dopiero wtedy wypuściłem powietrze, które uciekło z sykiem przez zawór respiratora, spuściłem kurek i uniosłem pistolet lufą do góry... Schowałem za pazuchę, zapiąłem kurtkę, rozejrzałem się.

Przez cały ten czas minęło mnie – nas, mnie i tego bysia – kilkanaście osób. Nikt nawet nie zwolnił, nie obejrzał się, a co dopiero zatrzymał. Nikogo nie zdziwiło, że ktoś celuje komuś w łeb.

Ciekawe, czy jakbym pociągnął za spust, to...

Nie.

Dość.

Nie tędy droga, Chudy.

Ruszyłem szybkim krokiem do metra, próbując ogarnąć szalejące w głowie myśli. Co się działo, co było nie tak? Sam zauważyłem, że robię się ostatnio nerwowy. Tak, miałem na warsztacie poważną sprawę i niemałe pieniądze na horyzoncie. Owszem, coś niedobrego działo się na rynku syntetycznych hormonów, a na sam mój widok prezesi spółek dostawali ataku dehydracji. Ale to nie było to.

Pistolet pod pachą, uświadomiłem sobie, zbiegając schodkami na stację. To o to chodziło!

Odkąd znów zacząłem chodzić pod bronią, wróciły stare nawyki. Cwaniakowanie do silniejszych. Agresja wobec równych. Pogarda dla słabszych, najeżdżanie na przypadkowych ludzi. Szeroko rozumiany pochuizm, w sytuacjach kryzysowych mogący przypominać odwagę.

Jak gdyby ten Saszka Chudy, którego wydawało mi się, że pogrzebałem kilka lat temu, zaczynał wykopywać się z płytkiego grobu.

A miało być inaczej. Miała być uczciwa praca detektywa, czyste pieniądze. W miarę spokojne życie. Wszystko miało się zmienić, odkąd podjąłem decyzję i wróciłem z...

Powiew gorącego, zatęchłego powietrza uderzył mnie w twarz, kiedy z tunelu wypadł lśniący światłami, kolorowy od reklam stalowy wąż pociągu. Ludzka masa zafalowała, cisnąc się bliżej krawędzi peronu i przesuwając tam, gdzie powinny zatrzymać się składy.

Drzwi otwały się z hukiem, ze środka wystrzelili ludzie. Ostatni jeszcze wychodzili, kiedy pierwsi już pchali się do środka, zabuczał natarczywy sygnał.

„Uwaga, drzwi zamykają się...”

Hurgot i zgrzyt mechanizmów, oburzone krzyki tych, co nie zdążyli jeszcze wsiąść; ktoś zaskowyczał, przytrzaśnięty, więc podwójne wierzeje rozwarły się i znów uderzyły wściekle, jak gdyby chcąc przeciąć spóźnialskiego na pół.

„Następna stacja: Zajelcowskaja. Przejście na linię Pierwomajskaja. Pasażerowie, bądźcie uprzejmi dla siebie nawzajem. Ustępujcie miejsca osobom starszym i kobietom z dziećmi. Prosimy o niepozostawianie bagażu bez dozoru. Pamiętajcie, że transport publiczny jest wspólnym dobrem wszystkich obywateli Federacji”.

Kawałek hymnu, na ekranach wyświetliła się powtórka z ostatniego orędzia Prezydenta. Jednocześnie holoprojektory rozbłysły reklamami, zaświeciły się plansze z lokowaniem produktów.

Ktoś zaczął grać głośno i natarczywie na harmonii, podłączonej do przenośnego systemu nagłośnienia, dźwięk zbliżał się. Nie wiem, jakim cudem typ dawał radę przeciskać się przez ten tłum... Byliśmy stłoczeni tak, że ja nie byłbym w stanie nawet się przekręcić, trzymałem się nagrzanego, wręcz śliskiego od niezliczonej ilości

dłoni uchwytu ledwie trzema palcami.

Tak, jazdy metrem nienawidziłem szczerze. To były te chwile, kiedy musiałem nie tylko otrzeć się, ale wręcz wytarzać w obecności współobywateli tego pięknego kraju. Doświadczyć, poczuć dotykiem i powonieniem, usłyszeć na własne uszy, jacy byli i co sobą reprezentowali ci ludzie.

– No i mówię pani, kupiłam te pierogi sojowe ostatnio. Otwieram pudełko, wszystko w porządku; przekrajam jeden, a tam w środku robaki! – ekscytowała się jedna z siedzących na plastikowej ławeczce kobitek. Dwie pozostałe słuchały jej z przejęciem, na zmianę kiwając i kręcąc głowami. – I to takie grube, mięsiste...

– Ale jak pani wzięła z mięsem, to ono chyba i tak z robaków robione?

– Ale żywe przecież! I wiją się, no jak kiedyś było normalnie! Aż się ucieszyłam, wnuczka zawołałam, mówię: „Patrz, Lońka, prawdziwe robaki!”.

– No co pani nie powie... A mnie się ostatnio w moim robokocie załęgły! Ja patrzę, a jemu futro odchodzi od metalu, a tam pod spodem aż wszystko się rusza! Obumarł mu cały płąt, musiałam nową skórkę kupować.

Przewróciłem oczami, odwróciłem głowę, starając się nie słuchać i nie słyszeć. Po przeciwległej stronie siedziało kilkoro skośnych, którzy bez skrępowania oglądali coś na przenośnym holowysświetlaczu, śmiejąc się co chwila głośno: ha, ha, ha, ha, ha!... Oczywiście, oglądali to po swojemu, gadali też po swojemu, i to na cały regulator, bo przecież po chińsku się nie da nie krzyczeć.

Chińczyków ogólnie w tej chwili było chyba więcej niż naszych. O ile centrum NeoSybirska było jeszcze jakim takim bastionem ruskości, podobnie zresztą jak bloki i stare osiedla, to duża część nowszych apartamentowców była już, delikatnie mówiąc, żółta.

Ludzie mówili, że Chinole powoli odcinają poszczególne dzielnice, zasypują swoimi, a potem wypychają naszych... Nie wiem, na ile w to wierzyć, ale napisy w całym mieście były już dwujęzyczne. Aż sam niekiedy tęskniłem do czasów, kiedy w ciemnych zaułkach zaczepiali mnie Uzbegy, Ormianie, Kazachowie albo nawet Mongołowie. Oczywiście ryzyko było takie samo, ale jakoś tak bardziej swojsko się człowiek czuł.

Pociąg najpierw szarpnął gwałtownie, dopiero potem zaczął hamować. Przepchnąłem się bliżej drzwi, wraz z resztą wysiadających wypadłem na peron, niczym dzielni piechociarze morscy wyskakujący z łodzi desantowych na nieznaną plażę pod

ostrzałem wroga. Rozejrzałem się, próbując wypatrzeć oznaczenia drogi – no tak, na górze kitajskie znaczki, nasza rodzima cyrylica niżej, na drugim miejscu.

Wielkie rugowanie ludności słowiańskiej miało miejsce tu i teraz. Wcale nie wojną, wcale nie gospodarką, a zwykłym wskaźnikiem urodzeń spychali nas do roli obywateli drugiej kategorii.

Znalazłem wreszcie właściwą drogę, zacząłem przedzierać się przez tłum ku stacji linii okrężnej.

– Siły przeznaczenia specjalnego Federacji! Specnaz: męska praca! Gwarantowana regularna płaca, możliwości rozwoju osobistego i zawodowego, mieszkanie służbowe, opieka medyczna oraz wysoki status społeczny! – wołał do mnie interaktywny plakat, na którym doskonale uzbrojony i wyszkolony Młody Człowiek kładł jednego po drugim Podłych Wrogów Ojczyzny, zupełnie przypadkiem wyglądających jak żołnierze pewnego kraju zza oceanu. – Zaciągnij się już dziś! Dotknij ekranu, aby...

– Czy ty też marzysz o idealnym ciele? Albo może pragniesz zmienić w sobie coś małego lub dużego? Małe może stać się imponująco wielkie! To, co niepotrzebnie wystaje, może zamienić się w upragnione wolne miejsce! Zapełnimy braki z naddatkiem! Odwiedź naszą klinikę już dziś i zaprojektuj swój idealny wygląd!

– Długi nie dają ci spokoju? Przyjdź do najbliższej placówki AlfaBanku i zamień je wszystkie na jeden wygodny kredyt konsolidacyjny! Nie ufaj oszustom z Zachodu, nie zaciągaj zdradzieckich pożyczek w walucie! AlfaBank, prawdziwie rosyjski bank, który sankjom się nie kłania!

– Zaświadczenia lekarskie od ręki! Bez kolejek, bez formalności, bez wyjątków! Teraz już cię nie wezmą, nie złamią ci kariery!

– Masz dość chowającego się przed tobą dłużnika? Spokojna głowa! Zadzwoń tylko do nas, a my już zajmiemy się wszystkim! Firma windykacyjna z piętnastoletnim doświadczeniem gwarantuje, że przyniosą ci te pieniądze w zębach!

– Meldunek w NeoSybirsku już teraz! Legalnie, z zaświadczeniem, bez kruczków prawnych! Dzwoń, nie czekaj!

Darło się to wszystko z oficjalnych plakatów i nieoficjalnych infowlepek, wyciągało wirtualne ręce, niemalże łąpało za rękaw. Nie zwracałem już na ten reklamowy syf większej uwagi, podobnie jak każdy inny mieszkaniec Federacji: ot, kolejny element rzeczywistości, na poziomie szumu tła. Natomiast przyznać muszę, że odwykłem, i już zaczynała boleć mnie głowa.

Przedostałem się w końcu na linię Pierwomajską, wsiadłem do

pociągu. Tutaj było nieco luźniej, nawet ze dwa miejsca siedzące były wolne... Ale ja i tak stanąłem sobie na końcu, tak żeby mieć wagon na oku. Ot, skrzywienie zawodowe.

Jakieś dwie małolaty chichotały z czegoś, co jedna drugiej pokazywała na swoim podręcznym projektorze. Projekторы naszyjne co chwila zasłaniały prawdziwe twarze dziewczyn kolejnymi ikonkami rozbawionych emotikoniek, a ja tylko starałem się dostrzec w krótkich przerwach pomiędzy jedną a drugą buźką: naprawdę je tak to śmieszyło czy po prostu obydwie udawały?



Zresztą wszystko w tym kraju było udawane albo plastikowe. Udawane jedzenie, udawana wielkość, udawana gospodarka. Udawane kobiety z plastikowymi cyckami, i nawet prezydent był plastikowy.

Jedno pocieszało: człowiek, który nałogowo robi sobie zastrzyki z botoksu, raczej nie naciśnie guzika atomowego.

Wysiadłem w końcu, chociaż fala Azjatów z plastikowymi

torbami niemalże wepchnęła mnie z powrotem do wagonu. Przepchnąłem się pomiędzy tą istną ławicą konusów, w końcu schowałem za filarem, patrząc, jak strumień opływa moją kryjówkę z lewej i prawej.

Zabuczał sygnał, lektor zaczął odczytywać swój komunikat, drzwi chciały się zamknąć – ale kilku skośnych trzymało je, reszta nadal ładowała się do środka. Drugi sygnał, trzeci...

Wreszcie ostatni Chińczyk wepchnął się do wagonika, teraz przypominającego puszkę parówek sojowych, drzwi zatrzasnęły się i pociąg ruszył.

Dłuższą chwilę zajęło mi zorientowanie się w terenie. Dawno tu nie byłem, lata całe... Metro ciągle się rozbudowywało, dodawało kolejne stacje i linie. Miasto rozwijało się, kwitło i w ogóle.

Tylko mieszkający w nim ludzie zdawali się od lat tkwić w tym samym miejscu.

– Panie, grosz dla weterana... – zaczął siedzący przy wyjściu z przejścia podziemnego menel.

W pierwszej chwili nawet nie zwoleń kroku. Bo to mało takich dziadów proszalnych jest w mieście? Powiedzą, co tylko ślina na język przyniesie, byle tylko wrzucić im coś do puszki albo i postawić darmowy posiłek w zamian za kilka łzawych historyjek o trudach niewdzięcznego życia.

Natomiast ten miał w sobie coś innego. Jakiś taki odległy, nieco już przygasły blask w oczach. Jak gdyby wstydził się tego, że musi o cokolwiek prosić.

Cofnąłem się, przykucnąłem przy nim.

– Gdzie służyłeś? – zapytałem po prostu, sięgając po portfel.

Nie musiał nawet odpowiadać. Już po jego spojrzeniu widziałem, że w ogóle ma coś, co może powiedzieć, a ja mu pomogę. Cokolwiek, bez znaczenia co. Poza tym charakterystyczne, matowo zielone wykończenie solidnej protezy prawej dłoni i wybite nad skronią oznaczenia tytanowej płytki zamiast czoła mówiły mi już więcej, niż on chciałby powiedzieć.

– Druga wojna krymska. Batalion rozpoznania, zwiad zmechanizowany... Ja nie chcę dużo, tylko żeby jakoś przeżyć! – zaprotestował, widząc, że wyciągam plastikową kartę.

– Masz. – Podąłem mu całą, a kiedy nie chciał wziąć, po prostu siłą wcisnąłem za pazuchę. – Masz, mówię! I nie siedz tu dziś w tej cholernej mgle, bo ci płuca wypali. Masz dokąd iść?

– Mam, mam. Ja dziękuję, ja...

Chciał mówić dalej, złapał mnie za rękaw, ale po prostu

wykręciłem mu się, wstałem i ruszyłem dalej, nie oglądając się za siebie.

Między innymi dlatego nie lubiłem transportu publicznego.

Prościej pewnych rzeczy nie widzieć, nie zauważać zza przyciemnianej szyby samochodu. Kiedy trzeba spojrzeć temu wszystkiemu w twarz i odejść, a nie po prostu przejść obok, jest zdecydowanie trudniej.

A ja już miałem dosyć trudnych decyzji w życiu i nie chciałem dodawać sobie niepotrzebnego balastu.

Blok Kulasa stał pośród całej masy innych, bliźniaczo podobnych wielopiętrowych pudełek wokół jednego z wielu niemalże identycznych podwórek, różniących się tylko proporcjami betonu, asfaltu i wyjałowionej ziemi. Musiałem iść wzdłuż ścian sąsiednich domów, żeby w ogóle się nie zgubić, tak gęsty był mleczny opar; dochodziłem do rogu i wypuszczałem się kilkanaście kroków w przód na azymut, niczym żeglarz próbujący nawigować we mgle.

Gdzieś tam, za tą zasłoną, był ogromny NeoSybirsk z jego siedmioma milionami mieszkańców. Zakłady produkcyjne, fabryki, instytuty badawcze; ogromne pieniądze megakorporacji; sięgające chmur wieżowce śródmieścia.

Jednak tutaj byłem tylko ja, coraz bardziej zagubiony w trującym mleku toksycznego oparu. W końcu z szarobiaławej nicości wyłoniła się szarobura ściana bloku, a na niej wymalowany gigantycznymi, odblaskowymi wołami numer, który usiłowałem znaleźć przez ostatnie pół godziny.

Sprawdziłem komunikator: Kulas odczytał wiadomość, którą wysłałem mu, wychodząc z domu. Nic nie odpowiedział, więc chyba będzie u siebie...?

Był, wpuścił mnie nawet dość szybko do klatki. Tym razem postanowiłem wjechać na górę windą; pożałowałem już w połowie drogi, no ale innego wyboru nie było.

– Windą jechałeś, aż stąd słyszałem. Życie ci niemiłe? – przywitał mnie Kulas, kiedy w końcu wszedłem do jego ufortyfikowanej nory.

– Nagły poryw serca, zupełnie irracjonalny. Ty pewnie po schodach biegasz dla zdrowotności, co?

– Tak, każdego ranka. Przyszedłeś, żeby się znęcać psychicznie nad kaleką, Chudy? Bo jakoś nie uwierzę, że miałeś ochotę mnie zobaczyć.

Zrobiło mi się trochę głupio i wstyd.

– Oj, nie gadaj już, Kulas.

– Nie gadam, Chudy. Siedzę tutaj zamknięty, sram przez dziurę

w brzuchu. Jak myślisz, kto przyjdzie do mnie z własnej woli?

Kulas ewidentnie miał gorszy dzień.

– No, ktoś na pewno... – bąknąłem.

– Ach, zapomniałem. Przychodzi do mnie baba z pomocy społecznej. Poza tym raz w miesiącu wożą mnie do kliniki na płukanie tego, co zostało z moich narządów wewnętrznych. Świetna zabawa, zapewniam cię, hajlajf normalnie. Nie mogę opędzić się od lasek, które chcą mi zmieniać worki stomijne.

– Muszę sprawdzić jedną firmę – wyrzuciłem z siebie, czując, że gospodarz będzie tylko zwiększać nacisk moralny. Spojrzał na mnie z kwaśnym uśmiechem.

– No widzisz, i od razu wszystko jasne. Wiesz, że przez ostatnie dwa tygodnie byłeś u mnie częściej niż przez ubiegłe dwa lata?

– Kulas...

– Chodź, tylko buty zdejmij, bo znowu babka będzie gderać. Nie lubi, kiedy jest coś do roboty, najchętniej mnie też by do podłogi pod prysznicem przyspawała i tylko włączała wodę. No chodź, mówię.

Wcisnąłem się do kuchni, stanąłem w drzwiach – jedynym wolnym kawałku przestrzeni. Kulas otworzył lodówkę, od dołu do góry zawałoną najtańszym żarciem w plastiku, wyciągnął pierwszy z brzegu pakiet i wrzucił do antycznej mikrofalówki. Nalał sobie wody do brudnej szklanki, pokazał ruchem ręki: do salonu.

Usiadłem pokornie na swoim miejscu petenta, a on przejechał przed monitory. Szeloba usłużnie zebrała śmieci z poprzedniego posiłku i nawet z pewną gracją rzuciła je na stertę w rogu.

– To co potrzeba, Chudy? – rzeczowo zapytał Kulas.

– Jedna ze spółek Sobkowa, które były na wykresie. Pokaż listę.

– Nie sądzisz chyba, że zostawiłem sobie kopię?

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Wreszcie Kulas skapitulował, z ciężkim westchnieniem wywołał na holoprojektorze jeden z plików. Pokazałem palcem na właściwą strukturę.

– Pełny raport finansowy – zażądałem.

– Trudno i drogo...

– To pierwsze załatwiasz ty, drugie ja. Potrzebuję kompletu danych o tym, co robili, z kim robili, za ile robili. Kto im płacił, za co, i w ogóle. Strumieni kapitału, o.

Kulas skrzywił się znowu.

– Przepływów finansowych. Ty wiesz, że to jest w centralnym rejestrze finansowym, nie?

– Już wiem. Dawaj, nie przeciągaj, Kulas. Ten sprzęt jest wart więcej niż całe moje mieszkanie i samochód, raczej ci tego opieka

społeczna nie zafundowała, więc nie pierwszy raz to robisz. – Pokazałem na stojące i wiszące na każdym dostępnym kawałku powierzchni komputery. – Na pewno masz tam dojście.

– Długo i drogo w takim razie. Na jutro.

– Kulas, na już. Na zaraz, na wczoraj. Nie będę do ciebie tutaj przez pół miasta dymać, żeby się przyjacielsko posprzeczać.

Przez jego twarz przemknął najłżejszy cień uśmiechu. Chyba po raz pierwszy, odkąd byłem u niego w szpitalu po tamtej akcji lata temu, widziałem, jak się uśmiecha.

– Zepsuł ci się transport? – zapytał miękko, prawie współczująco.

– Wypluj to słowo, człowieku. Jak on się zepsuje, to chyba tylko benzyną podlać, podpalić i do rzeki zepchnąć, bo do mercedesa części dostać... Mgła jest przecież, nawet go nie odpalałem.

– Ano. – Wychylił się zza monitora i spojrzał w kierunku, gdzie za zwałami sprzętu było okno.

– To jak, Kulas? Kasa jest, tylko zrób swoją magię.

– Poczekaj w kuchni i zamknij drzwi.

Posłusznie wyszedłem z salonu, przymknąłem za sobą, wlałem do ciasnej przestrzeni zagraconej kuchenki.

Kulas stłoczył tutaj meble z całego mieszkania, zostawiając sobie tylko dojście do lodówki i podgrzewacza... Który już dawno się wyłączył, więc wyjąłem z niego gorące pudełko, wyszukałem w jednej z górnych szafek w miarę czysty talerz i przełożyłem. Nawet łyżkę wygrzebałem z szuflady, żeby jakoś to wyglądało.

Syf koszmarny, myślałem, przeskakując wzrokiem z jednego rupiecia na drugi. Spod stert śmieci i pudeł przezierały obdrapane szafki, leżały tu jakieś worki, zafoliowane wielopaki suchego żarcia, jak dla psa, ale chyba ludzkiego... Zacieki na kuchence, ciemne plamy kopcia na suficie.

Jeśli mieszkanie mówiło coś o życiu właściciela, to lokum Kulasa było syfne, zagracone i paskudne, natomiast doskonale spełniało swoją funkcję techniczną. A moje...? Moje było idealnie czyste, równe i puste.

Słyszałem, jak Kulas gada z kimś przez komunikator, chyba się kłócąc czy coś. Potem huknęło, jak gdyby walnął pięścią w blat, znów podniesiony głos... W końcu zapadła cisza.

– No chodź! – zawołał mnie.

Szeloba otworzyła mi drzwi, Kulas jak zwykle gapił się w monitory.

– I jak, dasz radę? Bo wiesz, czas to pieniądz.

– Przypomnę ci te słowa, Chudy. Siadaj i oglądaj.

Szeloba przysunęła mi krzesło, odwróciła jeden z monitorów w moją stronę. Siadłem, kliknąłem wskaźnikiem... Byłem w środku, w bazie centralnego rejestru!

– Kulas, jesteś bogiem.

– Słabo opłacanym awatarem, Chudy. Dawaj, masz kwadrans, potem kumpel musi znów podłączyć zabezpieczenia.

Wstukalem na szybko nazwę firmy, otworzyłem odnośny wpis. Paluchy aż świerzbiali, żeby pogrzebać coś jeszcze, czułem się jak dziecko wpuszczone do sklepu z zabawkami... Ale co zrobić? Miałem tu bardzo konkretną robotę do odwalenia.

Tak, jest sobie nasza firma, jest zakres działalności. Data założenia, skromniusi kapitał zakładowy. Założyciele, udziałowcy.

O proszę! Już na wejściu niespodzianka, bo mam tam i Sobkowa, i – uwaga, werble, fanfary, czymkolwiek takowe są! – kolegę Matwieszuka. Ramię w ramię, zgodnie, bratersko założyli sobie taką malusią, tyci-tyci spółeczkę. Oczywiście potem przekazali, oddali dalej za przysłowiowy bezcen komuś, ten sprzedał dalej... Ale ja nie miałem już cienia wątpliwości, że każda z tych osób była precyzyjnie dobrana.

Orbita rozszerzała się, wzbogacała o kolejne ciała niebieskie. To już była cała konstelacja.

No i co dalej z taką firmą? No mają jakieś tam kontrakty i kontrakciki, obsłużyli dwa razy w tym roku jakąś klinikę prywatną, sprzedali wyniki badań. Tylko co z tego? Przecież nie tak się robi pieniądze!

Na pewno nie takie, za które Sobkow dostaje dodatkowy otwór wentylacyjny w głowie.

Wiedziony nagłym impulsem przełączyłem na wartość rynkową: niewiele ponad czterdzieści tysięcy. No dobra, dziesięciokrotnie ją zwiększyli, ale przez trzy lata to nic wielkiego.

Aktywa... O cie choroba jasna.

Lista ledwie zmieściła się na ekranie, rząd cyfr zamigotał u dołu i ustawił się w tak trudnej do uwierzenia wartości, że aż musiałem ręcznie przeliczyć miejsca rzędów wielkości.

Wciągnąłem ze świstem powietrze, aż Kulas spojrział na mnie z ukosa. No dobrze, to nadal były nie były miliardy, tylko miliony, ale już idące w setki! Co oni tam takiego robili?!

Firma miała stosunek wkładów finansowych do zysków jak... jeden do tysiąca? Do dziesięciu tysięcy? Finansowało ją kilkanaście różnych spółek, za każdym razem wpisujących w umowie jakieś ogólniki: no tak, damy wam ogromną kasę, a wy postarajcie się coś

z tym zrobić. No, jak zarobicie, to mamy prawo się upomnieć o jakiś tam ułamek zysków.

Oho, to było piękne: „Strony zgodnie postanawiają, że niniejsza Umowa zostaje zawarta, zaś przyszły zwrot z inwestycji określany będzie, wychodząc ze stanowiska obopólnej korzyści, biorąc pod uwagę długoterminowy charakter budowanych stosunków”. Czyli co? Że jeśli ktoś ich zapyta: ej, czemu wpompowaliście w to kasę, nie dostając nic w zamian? To oni odpowiedzą: bo zarobimy później, wszystko gra? Chyba tak.

Powiększyłem okno, zacząłem przerzynać się przez listę. Sprzęt badawczy, surowce, wyposażenie, materiały, jakaś aparatura, więcej sprzętu, wirówki, mikroskopy, coś, czego nawet nie umiałem przeczytać, szkło do... czegoś... jeszcze jakieś coś... Faktycznie tam coś robili, o dziwo, bo nie handlowali sprzętem, tylko go używali.

Dobra, to rzeczywiście było Bardzo Mądre Laboratorium. Na tyle mądre i dobrze dokapitalizowane, żeby można było w nim robić trefne leki, którymi potem będzie się zarzucać rynek i od których w końcu umierają ludzie.

Sprawdziłem listę ostatnich operacji finansowych spółki. Wedle tego, co przekazał mi Daniłow, w ostatnich tygodniach spółka zakupiła nowego sprzętu... za trzydzieści milionów bez kilku groszy. Na sumę idealnie pasującą do wierzytelności, którą Valenta przekazał Sobkowowi.

Co ciekawe, zakupiła na kredyt. I przez pewien czas – krótki, ale mimo wszystko – znajdowała się w stanie niewypłacalności, dopóki wpłaty od innych struktur nie pokryły w całości tej dziury.

Odchyliłem się, aż krzeselko zatrzeszczało niepokojąco, i założyłem ręce za głowę.

Czyli co? Valenta skonsolidował sobie wierzytelność, jaka nagromadziła mu się z działalności ze spółkami K-Mer Corp. Matwieszuk mu to klepnął, ten dał Sobkowowi te pieniądze, czy też potencjalne pieniądze, a tamten wpompował je w firmę.

Już w tym miejscu ich rozegrał, bo w zasadzie dał jednemu coś, co wirtualnie winien był mu drugi.

A potem co? Potem się mogli pokłócić, Sobkow wystawił go do wiatru, a nasz Marco zemścił się... topiąc gubernatora.

Nie no, bez sensu.

– Kulas... – odezwałem się, chcąc wyartykułować myśl, zanim ta ucieknie. – Kulas, weź mi sprawdź, w jaki sposób gubernator łączy się ze sprawą podsłuchów Valenty.

– Chudy. Jeśli od tygodnia mieszkasz w piwnicy, to pozwól, że

streszczę ci wydarzenia.

– Nie, nie tak! Czekaj. W jaki sposób gubernator łączy się z Sobkowem, o! Czy może ktoś coś podawał, że tamten był nagrany?

Kulas zamachał palcami w powietrzu, przewinał holoe ekran.

– A-ha, niewykluczone. „Pomiędzy nazwiskami nagranych pojawia się kilku dyrektorów spółki węglowej K-Mer Corp, między innymi... bla, bla, bla... Pavel S.”, o!

No tak, rzeczywiście, pomyślałem sobie: widziałem przecież nazwisko Sobkova jeszcze w plikach od Kojota. Zagmatwane to, można się pogubić... Ale przynajmniej sprawdziłem hipotezę z dwóch stron.

– No dobra, a... a możesz mi poszukać, czego miały dotyczyć nagrania? Może jakiś szurowski portal coś wyniuchał. – Od razu zawęziłem zakres zapytania, bo widziałem jego minę.

– Chudy, zawracasz mi dupę, wiesz? Dupę, której nie mam.

– Dawaj, wypoleruję ci w podzięce miskę. – Wyszczrzyłem się w uśmiechu.

– Od środka, towarzyszu kapitanie, od środka – zamruczał, w gryzając się w przepływ Strumienia.

Ekran na chwilę wypełniły doniesienia medialne, blogi, serwisy informacyjne, archiwa wiadomości, transmisje i relacje.

Siedziałem cicho, starając się nie przeszkadzać. Kulas był najlepszym łącznościowcem, jakiego znałem, i autentycznie potrafiłem mu zaufać. To fakt, że na dobre dwa lata cokolwiek o nim zapomniałem... Ale okazuje się, że śmierć kilku gnid to niewygórowana cena za odnowienie takiego kontaktu. Widać też było, że przez ten czas pogłębił swoje umiejętności, i teraz został autentycznym drapieżnikiem Strumienia.

Strumień to w ogóle dziwna rzecz. Taka sobie nasza nibywewnętrzna sieć, spinająca całą Federację w jeden organizm. Teoretycznie otwarta na widoczny z niej Internet, obejmujący większą część cywilizowanego świata; praktycznie zamykająca nas, jak szklane akwarium wrzucone do oceanu. Co prawda żaden rekin tych naszych złotych rybek nie zje, ale i rybki prędzej czy później zdechną z głodu, jeśli właściciel nie będzie im dosypywał jedzonka.

Właściciel, owszem, dobrze się swoimi rybkami opiekował, karmił je, czasami nawet zmieniał wodę... A rybki w większości były szczęśliwe.

Poza takimi osobnikami jak chociażby Kulas.

– „Znany dyrektor spółki córki węglowego olbrzyma K-Mer Corp, Pavel S., narzeka na restrykcyjną politykę gubernatora” –

tryumfalnie obwieścił gospodarz zanurzony po sam czubek głowy w nurt informacji. – „Dlaczego ten sk, kropki, kropki, kropki się doje, kropki, kropki, kropki, do naszych biznesów, niech się odp, kropki, kropki, kropki”, to cytat.

– Źródło? – Przysunąłem się bliżej, zaglądnąłem mu przez ramię.

– Jakiś niszowy portal dla miłośników teorii spiskowych. Twierdzą, że dostali część nagrań od swojego źródła w organach mundurowych. Zresztą tutaj niżej w dyskusji jest mowa, że kogoś za to aresztowali, widzisz?

Spojrzałem. Faktycznie, pojawiała się nawet nazwisko, adres zameldowania... Aż strach, że takie rzeczy hulały sobie swobodnie w sieci.

– No dobra, Kulas, a czy możesz...

Nie dokończyłem, bo nagle zawibrował mi zegarek. Zerknąłem tylko na wyświetlacz: oho. To trzeba odebrać na spokojnie.

Pożegnałem się z moim specem od informacji, na odchodne przyłożyłem czip do jego samorobnego terminala płatniczego, nawet nie patrząc na sumę, potwierdziłem przelew. Jak tylko zamknęły się za mną drzwi i szcęknęły zamki, od razu oddzwoniłem pod ostatni kontakt.

– Mykoła! – Uśmiechnąłem się, kiedy na ekranie wyświetliła się pyzata, doskonale znajoma twarz. – No co tam?

– A, dzień dobry, panie Aleksandrze, witam... Nie przeszkadzam?

Rozwalał mnie ten człowiek. Zawsze, za każdym razem pytał, czy aby nie przeszkadza. Nawet jak mu się wiosną palił warsztat, to od tego zaczął: czy nie za późno dzwoni.

– Nie, nie... – starałem się mówić półgłosem, bo dźwięk niósł się po klatce echem. – Co tam?

– No, panie Aleksandrze, bo ja mam kolejną partię gotową. To kiedy by pan mógł odebrać?

Zakląłem w myślach.

– Zaraz, niech pomyślę... Dziś nie mam samochodu, wie pan. Może jutro bym jakoś spróbował?

– Ojej...

– Tak? – starałem się, aby mój głos brzmiał na tyle spokojnie, na ile było to możliwe.

Szlag! Akurat, kiedy Cesarz mi mówił, że rynek ma kłopoty, ten zaczynał dosłownie szczać syntohormonami!

– No bo wie pan, naprawdę dobra partia wyszła. Lepsza niż fabryczna. A ja tu mam zepsutą chłodziarkę, pamięta pan? I przydałoby się, żeby to jak najszybciej odebrać, bo się rozwarstwi.

Uśmiechnąłem się, żeby przykryć grymas desperacji.

No i co ja mam z nim teraz zrobić? Co powiedzieć, żeby nie wyjść samemu na idiotę i nie wystawić człowieka do wiatru? Jak wytłumaczyć, że nie tylko nie dam rady przyjechać dziś, ale też że mogę nie mieć obecnie zbytu na produkowany dla mnie towar?

– Ile tego? – zapytałem, zmieniając temat.

– Cztery kanistry wyjdą, jak zwykle. I po kosztach się udało, bo trochę udoskonaliłem proces.

Westchnąłem ciężko. Mówienie prawdy potrafiło boleć, podobnie jak zrywanie plastra. Jedno i drugie trzeba było robić szybko.

– Mykoła...

– Tak, panie Aleksandrze?

– ...spróbuję zajrzeć dziś wieczorem – powiedziałem, sam nie wierząc we własne słowa.

Gadał coś jeszcze, ale ja pożegnałem się, wyłączyłem komunikator. Oparłem się czołem o ścianę, przymknąłem oczy.

Nie potrafiłem. Nadal nie umiałem powiedzieć komuś, z kim miałem umowę, że okoliczności zewnętrzne były takie, że nic z tego, i niech się człowiek goni na bambus. A powinienem był! Co mnie to obchodzi, że on robi swoje? Ja też robię swoje, a Cesarz nagle do mnie: no sorry, Chudy, ale okoliczności się zmieniają. No były ustalenia, ale już nie są.

A dla mnie słowo naprawdę było droższe od życia. „Ziomek powiedział, ziomek zrobił” – jak głosiło uliczne powiedzonko.

Osobiście chętnie bym wzbogacił je o jeszcze jeden człon: „ziomek pomyślał”. I to w dowolnym miejscu, czy to na początku, na końcu, czy w środku. Sam też mocny byłem tylko w gębie, przez co trafiałem potem w takie durne sytuacje.

No dobra, jakoś dam radę przecież. Pod wieczór smog powinien nieco zrzędnąć, wyjadę po zachodzie słońca. Dotoczę się do niego przed północą, wrócę do domu przed świtem.

Wyszedłem na dwór, wysłałem wiadomość Cesarzowi: „Odbiór towaru jutro wieczorem, miejsce zwyczajowe”.

Odpowiedział od razu: „Chudy, w dupie mam twój towar”.

Odpisałem: „No patrz, a ja twojej kasy nie. Jutro tam gdzie zwykle”.

Byłem już przy metrze, kiedy zegarek piknął: „Zgoda”.

No cóż, wieczorem pojedę sobie przez miasteczko akademickie, w którym ponoć mieści się nasze laboratorium, może jeszcze ktoś będzie na miejscu. Jak nie, to zobaczę, jak to wygląda, a stamtąd skoczę do Mykoły.

A teraz zjem coś na mieście, wrócę do domu i się prześpię.



Przespałem się, aha, jasne. Od razu, już. Pewnie.

Obudziło mnie wycie Kusto. Długie, przeciągłe, żalosne... Rozchyliłem jedno oko: siedział koło mnie z pyskiem zadartym ku oknu i piłował ryja.

– Kusto, zamknij mordę...! – zajęczałem, ale on nie zwrócił na to uwagi.

Zwlokłem się z łóżka, na wpół po omacku przeszedłem przez przedpokój, wyłuskałem z kieszeni kurtki kluczyki do merca. Oparłem się o parapet okna w kuchni, wyjrzałem – no tak, samochód migał światłami i wył.

Zawsze tak robił, jak się go nie odpaliło co najmniej raz na dwadzieścia cztery godziny.

Zazwyczaj działo się to w nocy; pierwszy raz w dzień, ale to pewnie dlatego, że akurat spałem. Natomiast zawsze w środku pieprzonej, najgłębszej fazy snu REM, kiedy śniło mi się coś fajnego. Zanedbanemu mercowi coś odbijało i włączał się alarm.

Zaczynał wyc, a ten debil Kusto razem z nim.

Piknąłem pilotem, w środku chyba zapaliło się światło, ale alarm nie zgasł. Czyli wersja gorsza... Okej, jeszcze raz, a potem otworzyłem i zamknąłem centralny zamek.

Podziałało, samochód umilkł, a Kusto poszedł za jego przykładem.

Wróciłem na kanapę, przykryłem się kocem.

Może zdążę jeszcze przysnąć.



Budzik odezwał się, jak zwykle, z opóźnieniem. Omal nie spadłem z kanapy, walnąłem nogą w stół, przewróciłem szklankę z resztą piwa... Kusto już dawno nauczył się rozpoznawać ten dźwięk, więc błyskawicznie przydreptał, żeby zlizać skapujący ze stolika płyn.

Mgła prawie zniknęła, widziałem już bloki po drugiej stronie ulicy. No dobra, komu w drogę, temu pistolet za pazuchę.

Pokryty warstewką matowego, lepkiego osadu samochód

mlasnął, otwierając drzwi. Silnik z trudem zassał powietrze, charknął i bluznął wszystkimi cylindrami; wycieraczki niechętnie przesunęły się po szybie, żłobiąc pierwsze wachlarze bruzd w nalocie.

Tak, to będzie długa, żmudna przejażdżka.

NeoSybirsk pół na pół uspokajał się i ożywiał. Ci, którzy uczciwie pracowali w zakładach pracy i innych szanujących się sektorach gospodarki, już ściągnęli do domów i teraz próbowali odpocząć, zalegając przy spokojnych wodopojach i paśnikach. Z drugiej strony wszyscy mięsożercy, którzy za dnia odpoczywali i regenerowali siły po poprzedniej nocy, wyruszali właśnie na łowy.

Tak przynajmniej uczyli nas w szkole, kiedy pojęcie „łańcucha pokarmowego” miało w ogóle jeszcze jakiegokolwiek przełożenie na otaczający świat.

W mojej dzielnicy było już relatywnie spokojnie, trolejbusy zwoziły ostatnich wyrobników, mrówczy ruch przy stacjach metra też słabł. Korki na trasach nie zdążyły się nawet utworzyć, bo godziny szczytu zasłoniła mgła, więc dość szybko dotarłem do małej obwodnicy i wskoczyłem na jeden z niezliczonych mostów, spinających dwa brzegi rzeki.

Potężny Ob toczył swoje bure wody, rozlany majestatycznym ściekiem pomiędzy wybetonowanymi nabrzeżami. Zachodzące słońce odbijało się krwistą czerwienią w szklanych taflach drapaczy chmur śródmieścia, błyskało w czaszach anten satelitarnych i panelach nadajników.

Nadal nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że te przeogromne budowle, zajęte w większości przez federacyjne megakorporacje firm skarbu państwa i nie tak znów odległe od nich urzędy najprzeróżniejszych służb, są tak naprawdę odpowiednikami cytadel, budowanych na podbitym terytorium.

Albo statków kosmitów, którzy przybyli z jakiegoś zupełnie innego, równoległego świata i tylko zarządzają służebną ludnością ziem okupowanych.

Trochę tak jest, pomyślałem, mijając kolejny billboard, z którego patrzył na mnie niezmiennym wzrokiem ten sam od lat Prezydent. Rządzili nami ludzie o zupełnie odmiennym horyzoncie myślowym, problemach i wyzwaniach, które wymykały się pojęciu szarego zjadacza chleba. Oderwani od rzeczywistości.

Miasteczko akademickie też wyglądało jak miejsce z innej bajki, jakkolwiek nieco mniej wrogiej. Po prostu niezrozumiałej, to tyle, ale otoczonej pewną dozą powszechnego szacunku pomieszanego

z pobłażliwym rozbawieniem.

Co innego zresztą mieliby odczuwać proletariusze wobec inteligentów?

Zjechałem pomiędzy raptem kilkupiętrowe, zadbane klocki hal inżynieryjnych i pawilony instytutów badawczych.

Wyglądało to jak istna oaza kreatywności: każdy kompleks, każdą działkę zabudowano w nieco odmiennym, a jednocześnie pasującym do sąsiednich stylu. Przewidziano miejsca parkingowe, zadaszone chodniki i ścieżki łączyły poszczególne skrzydła. Ot, w odróżnieniu od samego NeoSybirska, tutaj ktoś jeszcze myślał.

Zaparkowałem samochód o jedną uliczkę od adresu, który znalazłem w dokumentach, i dalej poszedłem piechotą. Czapka na głowę, respirator na twarz, gogle... Mało kto chadzał tutaj na spacer, ale szansa zidentyfikowania była mimo wszystko mniejsza, niż gdybym przejechał samochodem z widoczną rejestracją.

W końcu znalazłem odpowiedni budynek. Ładny, ale nieszczęśliwie wielki ani dostatni. Na pewno nie na te pieniądze, jakie się przez laboratorium musiały przewalać. Wywieszka się zgadzała, paliło się nawet światło... Pracują po godzinach? Wątpliwe, raczej cię sprząta.

A ciecie potrafią być bardzo, ale to bardzo gadatliwi.

Wcisnąłem przycisk dzwonka, nie licząc szczególnie na reakcję. Nawet jeśli sprzątaczką tam jest, to nie otworzy, bo z jakiej racji?

Miałem już pójść dalej, kiedy odezwał się brzęczyk.

Popchnąłem furtkę, zaskoczony – ustąpiła. Wszedłem na prowadzącą ku drzwiom ścieżkę, wyłożoną sześciokątami z poliwęglanów; ledwie postawiłem nogę na szczycie schodków, kiedy otworzyły się przede mną rozsuwane drzwi.

– Witamy w NovaTek Laboratories! – radosnym głosem odezwał się ukryty w suficie głośniczek. – Cieszymy się, że odwiedzasz nasze centrum badawcze. Pozwól, że uczynimy twoje życie lepszym!

– Możecie sprzątać po moim psie – warknąłem, rozglądając się po pustym korytarzu.

Nie było tu żywego ducha. Zajrzałem za kontuar, czy nie chowa się tam jakaś recepcjonistka, rozejrzałem po korytarzu... Pusto. No nic, posiedzę i poczekam.

Po jakimś kwadransie, kiedy zaczęła mi już drętwieć prostata, jednak wstałem. Na próbę podszedłem do najbliższych drzwi – aha, kibel. No dobra, przyda się na zapas.

Zrobiłem swoje, umyłem ręce, jak to w zakładzie pracy. Na korytarzu nadal nie było nikogo, więc zacząłem iść od drzwi do

drzwi. Tu zamknięte... Tu też... Opa, tu otwarte, ale ciemno, raczej nikogo nie ma. Tutaj składzik, tu znów puste pomieszczenie z dwoma biurkami.

Korytarz zakręcał, lampy zapalały się dla mnie i gasły, gdy tylko przechodziłem dalej. Wreszcie wypatrzyłem w ciemności przed sobą dwa jaśniejsze kwadraciki szybek, za którymi widać było laboratorium. To by się nawet zgadzało z tym, gdzie widziałem światło z ulicy.

– Halo? – odezwałem się, uchylając drzwi. – Jest tu ktoś?

Idealna, sterylna pustka jałowej przestrzeni badawczej. Oświetlenie bezcieniowe z paneli w suficie i ścianach, czysta biel sprzętów i minimalistycznych mebli. Tak samo biała podłoga, białe kartki wydruków. Białe mikroskopy, wirówki do probówek, komputery i... i inne hajtekowe rzeczy.

– Halo? – zapytałem jeszcze raz niepewnie, już gotów się cofnąć.

– No przecież jestem tutaj – odezwał się biały fragment białej przestrzeni, który nagle poruszył się i spojrzał na mnie wielkimi, niebieskimi oczami. – Myślałam, że pan mnie widzi. W czym mogę pomóc?

Świat zniknął.

Wszystko zlało się w jednolite, białe tło, na którym odcinały się wyłącznie te ogromne, lazurowo błękitne, idealnie wykrojone oczy z najpiękniejszymi, najgęstszymi rzęsami, jakie kiedykolwiek w życiu zdarzyło mi się widzieć.

Niewiarygodne, hipnotyzujące, wciągające w siebie.

Niczym dwa bezdenne górskie jeziora.

Dłoń w białej rękawiczce podniosła się, ściągnęła białą maseczkę z karminowo czerwonych ust.

Idealnie wykrojone wargi rozchyliły się, a potem uformowały w zapierający dech w piersiach uśmiech, pełen oślepiająco białych, doskonale równych zębów.

Podłoga zniknęła mi spod stóp. Zniknęło wszystko, zniknąłem ja. Zostały tylko te oczy i ten uśmiech... A potem dziewczyna przechyliła głowę.

– No co pan tak patrzy? Zgubił się pan? My już zamknięci jesteśmy, po godzinach pracy.

– Ja... – zdołałem tylko wykrztusić i na tej jednej sylabie wyczerpały się moje możliwości.

Była przepiękna, uświadomiłem sobie. Cudowna.

Widziałem dosłownie wycinek, zaledwie kawałek twarzy pomiędzy krawędzią idiotycznego białego czepka laboratoryjnego

a kołnierzem bezkształtnego, również białego chałatu... A już na tej podstawie, patrząc na ten perfekcyjnie ukształtowany nos, umiałem sobie wyobrazić, jak bajecznie piękna jest cała reszta.

– Że pan, to widzę. – Podeszła, ściągnęła rękawiczkę i wyciągnęła rękę. – To może ja się przedstawię pierwsza: Olga Geresowna, bardzo mi miło.

Potrząsnąłem jej dłonią, mając niejasne przeczucie, że skoro podała ją w ten charakterystyczny sposób, uniesioną wierzchem do góry, to chyba nie powinienem był zrobić tak, tylko jakoś inaczej... Ale naprawdę, czułem się, jakbym stał obok.

– Aleksander. Aleksander Khudovec, dzień dobry. Dobry wieczór, to jest.

– A może dobranoc od razu? Chociaż na to chyba jeszcze za wcześnie.

– C-co?

– Jeszcze jasno na dworze. – Wskazała w kierunku przysłoniętego roletą okna.

Stała tak i patrzyła na mnie, ewidentnie rozbawiona, a ja nie byłem w stanie zebrać myśli. Byłem tak bardzo, tak cholernie nie na miejscu pośród tego sterylnej wnętrza w moich schodzonych, brudnych ciuchach.

Tak bardzo nie na miejscu przy istocie tak zajebiście, olśniewająco, w chuj pięknej.

To nie jest tak, że można było zrobić na mnie wrażenie po kosztach. Widywało się w życiu ładne kobiety, z częścią miało nawet do czynienia. Nawet przez ostatnie parę lat trafiło się kilka przelotnych miłości, a przecież z roku na rok dziewczyny wyglądały coraz lepiej.

Odważniej w każdym razie. Bardziej oczywiście, żeby nie rzec: nachalnie. Poza tym w naszych krajach płeć piękna od zawsze potrafiła eksponować swoje wdzięki. Ukrywać co nie trzeba, eksponować co należy.

Poprawiać, zmieniać, korygować. Docinać i dodawać, aby jak najlepiej wejść w stereotypowy kanon urody, zwiększający szansę na kopulację z silnym samcem. Natomiast patrzyłem na nią i wiedziałem, czułem: ta dziewczyna jest po prostu piękna. Naturalnie piękna, bez dodatków i zmian. Prawdziwym, niedoskonałym pięknem.

Zacznalem się powtarzać w myślach, a to był zły znak.

Weź się w garść, Saszka!

...

Nie, nie tak! Nie w tym sensie, w garść. Nie w tym rozumieniu, bo...

– Szuka pan kogoś, panie Khudovec?

Przymknąłem oczy, odetchnąłem głęboko. Ogarnij się, Sasza, bo robisz z siebie błazna.

– Pracuje pani tutaj, pani Olgo, prawda? – wykrztusiłem w końcu.

– Uważa pan, że wyglądam staro?

– Co... Nie! Nie, w żadnym razie! – zaprzeczyłem, kręcąc głową. – W życiu bym nie...

– To dlaczego nazywa mnie pan „panią”? Jestem panną, jeśli o to chodzi, i tak proszę mnie tytułować.

Przełknąłem ślinę. Albo ta rozmowa zmierzała w dziwnym kierunku, albo tylko ja tak ją odczytywałem.

– Oczywiście, jak sobie pani... jak sobie panna życzy. Panno Olgo. – Uśmiechnąłem się.

Ależ to pięknie brzmiało.

– Odpowiadając na pytanie: nie, tylko tu sprzątam. Umyłam właśnie podłogę, zaraz będę pucować toalety. Może wypastować panu przy okazji buty?

System po raz kolejny zawiesił się, zamarłem z półotwartymi ustami. Potrząsnąłem głową, a ona parsknęła śmiechem.

– Pani sobie ze mnie żartuje.

– Panienka. Tak, może trochę. Oczywiście, że tu pracuję, panie Khudovec. Co innego miałabym tu robić?

Odetchnąłem. Sytuacja wracała do normy, serce powoli się uspokajało, przestawałem słyszeć szum krwi w uszach.

I tylko ona pozostawała tak samo zniewalająco, olśniewająco piękna.

– Mogłaby pani być szpiegiem – zaproponowałem. – Kradnącym nowoczesne technologie.

Zastanowiła się, wsparła piękny, szpiczasty podbródek na palcu.

– Hm, to by było ciekawe. Na pewno ciekawsze niż nudne życie naukowca.

– Nie powiedziałem, że pani życie jest nudne – zastrzegłem.

– Panny – poprawiła.

– To chyba „panienki”, jeśli już w tym przypadku?

– Ojej, ktoś pamięta jeszcze, co znaczą te słowa! – ucieszyła się, klasnęła w ręce. – To by było od „panienka”, nie „panna”, ale zgadzam się, lepiej brzmi. Może mnie pan tytułować panienką Olgą, podoba mi się.

– Zatem, panienko Olgo. Pracuje tutaj panienka, w NovaTek

Laboratories?

– No cóż, chyba tak. Ślicznie pan zaciąga po francusku, uwielbiam ten język!

– Ja? – zdziwiłem się.

– No tak, bo to jest takie „labołatoliz”. – Wykrzywiła usta, udając przesadną wymowę amerykańską. – A pan tak pięknie, miękko to wymówił, takie „labohatuła”. Zna pan francuski?

– Nie, tylko tak udaję. Mam poudawać też inne języki? Może pani też coś przy okazji poudaje?

Zaśmiała się ponownie, doceniając ripostę, ale potem nagle spowaźniała. Spojrzała mi w oczy.

– Ja nie muszę udawać – szepnęła niskim, przejmującym głosem. – Niczego.

Aż mi w pięty poszło i wróciło dreszczem po kręgosłupie. Odchrząknąłem, rozejrzałem się po laboratorium, desperacko szukając punktu zaczepienia dla zmiany tematu.

– Czym w takim razie zajmuje się laboratorium? Jeśli to nie tajemnica, rzecz jasna.

– Obawiam się, że gdybym panu powiedziała, musiałabym pana zabić. – Posmutniała, ale zaraz potem jej twarz rozświetlił uśmiech.

– A tak naprawdę to nie ma nic do ukrycia. Zna pan się trochę na biologii molekularnej?

– Ni chu-chu – odparłem zgodnie z prawdą.

– To świetnie! Ja z przyjemnością o wszystkim opowiem od początku. Zatem, jako podstawowa jednostka badawcza...

Przyznaję, że starałem się nadażyć, kiwałem głową i zadawałem nic niewnoszące pytania, ale pogubiłem się już po kilku zdaniach. Dziewczyna trajkotała jak najęta, pokazywała mi mikroskopy i skanery, włączała na holoprojektorach trójwymiarowe wykresy. Zaprowadziła mnie do salki obok, pośrodku której stało Bardzo Drogie Urządzenie, i długo opowiadała o nanocząsteczkach w krwiobiegu. Potem wróciliśmy do pierwszej salki, kazała zajrzeć w mikroskop elektronowy. Nie przestając mówić, wyciągnęła kilka tablic... Nagle urwała.

– Czy ja pana nie zanudzam? – zapytała zupełnie szczerze. – Bo ja tak mogę godzinami, wie pan?

– Wierzę. A tak do adremu?

– Słucham?

– No, do rzeczy. Co konkretnie tutaj robicie?

– Tak w bardzo dużym skrócie? Pigułki zmotoryzowane.

Musiała dostrzec w moich oczach totalny brak zrozumienia, ale

dała mi jeszcze chwilę.

– To znaczy... – Usilnie próbowałem wygonić sprzed oczu obraz tabletki ze śrubą napędową, powoli prącej ku odległemu światłu przez ciemną otchłań mojego jelita. – Co dokładnie?

– Och, to taki stary pomysł, jeszcze z początków wieku. Potem weszły wszczepy i cybernetyka, więc to zarzucili, ale teraz wraca do łask. Niech pan sobie wyobrazi pigułkę.

– Już. – Nadal walczyłem z tym samym obrazkiem, tylko że teraz pigułka była niebieska i parła ku nieco innemu otworowi wylotowemu.

– I ona ma w środku taki jakby...

– Nie, proszę, nie idźmy tą drogą. Może nieco bardziej naukowo?

– No dobrze. Zatem konstruujemy leki, które działają dokładnie tam, gdzie powinny.

– Jak przeciwbólowe na reklamach? – upewniłem się.

– Dokładnie tak. Tyle tylko, że nasze, w odróżnieniu od tamtych, naprawdę to robią. To bardzo ważne w wypadku substancji, które powinny działać punktowo, na przykład tylko w określonym odcinku jelita albo... albo w bardzo konkretnej części ciała.

– Na przykład w prostatie.

Popatrzyła na mnie uważnie.

– Specyfiki, które ma pan na myśli, nie działają na prostatę. Prostata to gruczoł i nie wpływa na funkcje erekcyjne u mężczyzn. Za to jest związany z inną częstą przypadłością, to znaczy inkontynencją.

– E, czym?

– Nietrzymaniem moczu. To często symptom powiązany, charakterystyczny dla pewnego wieku. Pan ma... ile lat, czterdzieści osiem?

– Czterdzieści cztery – burknąłem, nagle dotknięty w mojej niedotykalnej samczej dumie.

– Zatem rozumiem, skąd akurat taki przykład. Zaburzenia czynności seksualnych...

– Nie! – spłoszyłem się. – No co pani! Ja nie używam, ja nie potrzebuję! To tak tylko... Tylko przykład!

No co miałem jej powiedzieć? Że to mi pierwsze przyszło na myśl, bo akurat to schorzenie skojarzyło mi się z Matwieszukiem? Przecież nie zapytam jej, czy te ich tabletki z silnikiem zabijają ludzi!

– A nie ma pan problemów z erekcją? – zapytała, filuternie mrużąc oczy.

– Nie. Nie miałem nigdy.

– A z prostatą?

– Nie.

– Mam zbadać?

Nagle poczułem się bardzo, ale to bardzo niepewnie. Ta dziewczyna mogłaby być moją córką, jakbym się uparł, a mimo to czułem, że czerwienię się jak uczeń!

– Te tabletki...

– ...zmotoryzowane – przytaknęła ochoczo, punktowo zmieniając tor myślenia.

– Tak. Czy to już produkt, który mogę kupić?

Posmutniała.

– Nie, niestety nie. Do tego jeszcze daleka droga, w tej chwili jesteśmy w fazie drugiej.

– Aha. To znaczy w jakiej?

– Przed testami klinicznymi. Na tę chwilę, niestety, musi pan radzić sobie ze swoją prostatą sam.

– Dziękuję, nie muszę. A kiedy przejdzie tę fazę, to... co?

– Potem faza trzecia i komercjalizacja, miejmy nadzieję. – Rozpromieniła się, znów demonstrując ten przecudowny, olśniewający uśmiech. – I wielki sukces finansowy! Będziemy wszyscy bogaci, niewyobrażalnie bogaci, a ja będę sławna. Moje nazwisko będzie można znaleźć w podręcznikach szkolnych, a portrety będą wisieć w pracowniach biotechnologii.

Ona w to wierzyła. Serio. A ja, patrząc na nią, też zaczynałem wierzyć. Nigdy nie widziałem kogoś, kto tak bardzo, tak radośnie, jak dziecko żył marzeniem.

– Więc mówi pani, że to dochodowy kierunek? – zapytałem jeszcze.

– Tak, oczywiście! Długofalowo, ma się rozumieć. Ale za dziesięć, piętnaście lat to będzie żyła złota!

No dobrze, najwyraźniej na tym moje dochodzenie tutaj się kończyło. Uśmiechnąłem się, próbując jak najmniej pokazać żółte od nikotyny zęby, pokiwałem głową.

– No cóż, dziękuję paniencie za pouczającą wycieczkę. Może sam skorzystam kiedyś, jeśli dożyję. Przyjmujecie zapisy już teraz?

Uśmiechnęła się przepięknie.

– Zapamiętam pana i szepnę słówko komu trzeba. I zapraszamy na testy, gdyby chciał pan zaryzykować!

– No cóż... do widzenia, dobranoc.

– Do widzenia, panie Aleksandrze.

Idąc przez ciemny korytarz, nie to, że czułem, ale wiedziałem, że czegoś nie zrobiłem.

Zatrzymałem się przy wyjściu, drzwi rozsunęły się bezszelestnie.

Już wiedziałem, czego nie zrobiłem. Doskonale wiedziałem. Spierdoliłem na całej linii. Gównno ze mnie, nie prywatny detektyw!

Westchnąłem ciężko, pomacałem przez kurtkę tkwiący pod pachą pistolet.

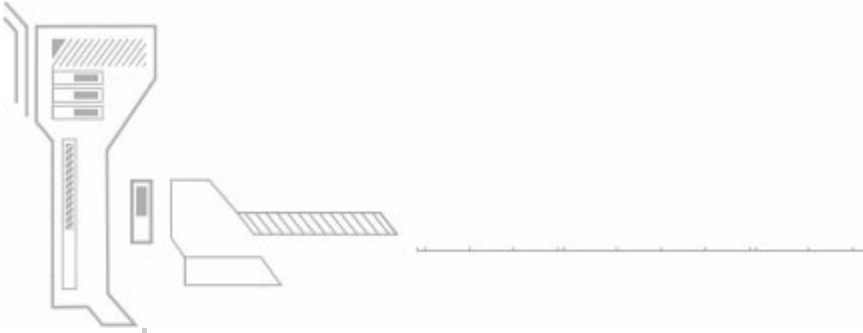
No już, Saszka. Bądźże mężczyzną!

Obróciłem się na pięcie, zdecydowanym krokiem ruszyłem z powrotem. Lampy zapalały się jedna po drugiej, a ja czułem, jak łomocze mi serce, pompujące w żyły adrenalinę... Ale tak było trzeba.

Popchnąłem podwójne drzwi do laboratorium, stanąłem szeroko na nogach, tak jak nas uczyli.

Nabrałem tchu.

– Umówi się panienka ze mną na kawę? – wyrzuciłem z siebie.



Mamy już prawie północ, więc pora na trochę muzyki!
Jeśli tego właśnie chcesz, to dzwoń już teraz! Zmiana płci,
kastrowanie chemiczne, wszelkie modyfikacje dostępne już teraz!...
Nie wiem, naprawdę nie wiem, czemu miałyby to służyć.
Ale skoro ktoś ma takie życzenie, to nie widzę powodu, żeby...
...dzwoń teraz!



Mercedes mruczał przyjemnie, reflektory cięły mrok snopami białego światła, muzyka grała równym dudnieniem.

W głowie miałem pustkę, na ustach błąkał się leciutki uśmieszek.

Byłem szczęśliwy.

Nie wiedziałem do końca dlaczego, nie byłem pewien, co się stało, ale było mi z tym autentycznie, radośnie dobrze. Lekki ucisk w żołądku i gardle, suchość w ustach. Soczewka bojowa co rusz włączała się samoczynnie, wskaźnik celu wariował, próbując dać mi do zrozumienia, że najwyraźniej mierzę sam siebie pod pachę, jednocześnie trzymając kierownicę.

Wiedziałem za to, jak nazywa się ten stan, i niepomniernie bawiła mnie sama jego świadomość.

– Naprawdę, Saszka, w twoim wieku... – mruknąłem sam do siebie, skręcając z głównej trasy w boczną dróżkę.

No co zrobisz? No nic nie zrobisz. Tak się zabawnie złożyło, tak wyszło. Nie mamy wpływu na to, kogo stawia nam na drodze ślepy los. A może nie taki ślepy?

Do tej pory nie wierzyłem w przeznaczenie. Bardzo starałem się nie wierzyć.

Chyba powoli zaczynałem.

Zwolniłem, przejeżdżając przez już uśpioną o tej porze wieś. Małe, niskie chatynki, obite grubą blachą pancernie płyty.

Nie mam pojęcia, jak ludzie dawali radę tutaj żyć. Za co? Po co? Jak? Prąd mieli tylko rano, do południa, i bodajże wieczorem, od czwartej do ósmej. Co oni tu robili w ogóle, skoro rolnictwo już od lat nie istniało? Część mogła dojeżdżać do pracy na podmiejskich farmach białka i soi, a reszta?

Wegetowali tak sobie, czekając na śmierć. Siedzieli w rozwalających się domkach o małych oknach i spadzistych

dachach bez klimatyzacji, ciągnąc zanieczyszczoną wodę gruntową ze studni. Jedli byle co, parali się byle czym.

Czyli w zasadzie to samo co my, mieszkańcy wielkich bloków miasta.

Ale dziś, tego wieczora, ja nie byłem taki jak cała reszta mieszkańców Federacji. Ja byłem wyjątkowy. Przydarzyło mi się coś jedyne w swoim rodzaju, a poczucie szczęścia aż zapierało dech.

Umówiłem się na randkę!

Zadrzałem, przypominając sobie jej spojrzenie, kiedy zapytałem. Podniosła oczy znad mikroskopu – te oczy! Te piękne, chłodno błękitne, lekko smutne oczy – i ściągnęła dłońią w białej rękawiczce maseczkę z twarzy. Potrząsnęła głową, uśmiechnęła się delikatnie.

„Myślałam, że już pan nie zapyta” – powiedziała. A mnie jakby piorun strzelił.

Reszta była jak sen, jak majak. Wymieniliśmy się numerami komunikatorów, ona zdziwiła się niepomniernie, że nie ma mnie w żadnej sieci społecznościowej. „No ale jak to? Jak nie ma pan profilu, to pan nie istnieje!”

Normalnie, odparowałem, wiek zobowiązuje. Poza tym co ja miałbym tam pokazywać? Nie będę przecież robił sobie gołych fotek do lustra.

„A szkoda” – powiedziała, a ja niemal połknąłem język.

Przyspieszyłem, kiedy znów otworzyła się przede mną równa wstęga drogi. Poprawiłem uwierający pas bezpieczeństwa... Wciągnąłem brzuch, potem wypuściłem go luźno. Kurczę, kiedyś tak nie występował! Jakoś wygodniej mi się siedziało. A może to tylko wrażenie?

Trzeba się chyba będzie za siebie wziąć, skoro młódki już mówią, że staro wyglądam. Chociaż nadal nie wiem, żartowała tak sobie? Mówiła serio? Podobało jej się to czy wręcz przeciwnie?

Mamusiu, jaka ona była piękna.

Mała, niemalże niewidoczna dróżka chowała się pomiędzy kikutami martwego lasu, prowadząc zygzakami gdzieś w suchą gęstwinię. Ubiegłego lata wybuchł tutaj pożar, spaliło się wszystko... Od tamtej pory było tu jeszcze bardziej upiornie i odstręczająco.

Nie wiem, jak Mykoła znalazł to miejsce, ale ukryte było idealnie.

Kiedyś musiał tu być jakiś zakład przemysłowy. Wszystko pewnie upadło lata, może i dziesięciolecia temu, a że rozbiórka była zupełnie nieopłacalna, to tak sobie stało i niszczało powoli. Wyłożona betonowymi sześcianami dróżka to pojawiała się, to znikiała, tu i ówdzie pojawiały się w niej zapadliny dziur.

Wyłączyłem duże światła i jechałem niemalże na pamięć, żeby nie ściągać na siebie niepotrzebnej uwagi. Kto miałby mnie widzieć? Nie wiem, ktokolwiek przypadkiem jadący drogą. Ostrożności nigdy dosyć.

Wreszcie dotoczyłem się do zatoczki w lesie, gdzie droga w ogóle ginęła pod zwalonymi pniami. Od czasu do czasu ktoś się tu zapuszczał, ale potem zawracał i odjeżdżał: ot, taka sobie dowcipna dróżka donikąd.

Zaparkowałem merca pomiędzy drzewami, wyjąłem z bagażnika zakupy i dalej ruszyłem piechotą.

Niebieska zorza wisząca ponad miastem odbijała na tyle dużo światła naszego megalopolis, że nie musiałem nawet włączać latarki. Świat w odcieniach upiornego, świetlówkowego błękitu prezentował się zupełnie nierzeczywiście, martwy las wyglądał jak dekoracja narysowana na kawałku plastiku.

Z ciemności wyłoniła się przekrzywiona brama, obok niej kawałek płotu z betonowych prefabrykatów i stara budka stróża. Ścieżynka poprowadziła mnie obok obłupionego z tynku, dosłownie rozpadającego się na kawałki budynek z cegły, dalej po prawej były jakieś domki i hale... Ale ja szedłem ku starej kotłowni.

– Mykoła, ej, to ja! – zawołałem już z daleka.

Pośród mroku rozbłysła lampa, zalewając mnie i spory kawałek okolicy jaskrawobiałym, oślepiającym światłem. Zmrużyłem i przysłoniłem oczy, nie podchodząc bliżej; Mykoła niby mnie znał, ale nigdy nie odważyłem się zaryzykować.

– Panie Aleksandrze! Panie Aleksandrze, niech pan wchodzi, niech wchodzi przecież! Już myślałem, że się pana nie doczekam.

Lampa zgasła. Poprzez tańczące wszędzie zielono-czerwone plamy ledwie widziałem jaśniejszy prostokąt otwartych drzwi i stojącą w nim ciemniejszą sylwetkę Mykoły oraz jego Psa.

W zasadzie to przez Psa się poznaliśmy, Mykoła i ja.

Jechałem akurat trasą, a ten wylazł mi na drogę. Tak po prostu – w jednej chwili przed tobą pusta droga, a ułamek sekundy później uderzasz w dwustukilogramowe cielsko, które wskoczyło ci prosto pod koła.

Oczywiście wystraszyłem się koszmarne. W pierwszej chwili chciałem odjechać. W końcu skąd miałem wiedzieć, co się dzieje? Może to kolejna sztuczka bandytów?

Ale widziałem w lusterku, jak tamten leży na boku i przebiera łapami, bezskutecznie próbując wstać.

Sam miałem Kusto, który był wtedy o wiele młodszy i jeszcze tak

nie śmierdział. Czy chciałbym, żeby ktoś go tak po prostu potrącił? No nie, raczej nie.

Zawróciłem, wysiadłem z samochodu. Jakimś cudem władowałem tego potwora do bagażnika, zawiozłem do najbliższego warsztatu. Tamtejszy macher w pierwszej chwili wystraszył się, ale w końcu wziął go na podnośnik, za którymś razem dezaktywował, prawie tracąc przy tym rękę. Pospawał, poskładał. Sprawdził elektrykę... Usunął zwarcie na płycie głównej, zainkasował niezły grosz.

Kiedy po wszystkim włączyliśmy Psa, ten od razu odgryzł łańcuch, na którym go podwiesiliśmy, i ruszył na azymut do domu. A ja, z czystej ciekawości, pojechałem za nim drogami.

I w ten sposób znalazłem Mykołę w starej fabryce.

On sam nigdy o sobie nie opowiadał, ja nie pytałem. Skąd miał wojskowego technoowczarka? Jakim cudem zdołał przeprogramować maszynę tak, że słuchała tylko jego? Skąd wiedział to, co wiedział? I dlaczego wybrał życie eremity? Nie miałem pojęcia.

Natomiast od tamtej pory przyjeżdżałem do niego, przywożąc najbardziej potrzebne rzeczy: pastę żywnościową, filtry do wody. Paliwo, baterie, podzespoły. Odczynniki... Miałem pewną stałą listę rzeczy, takich jak choćby chustki higieniczne, a poza tym on sam czasami o coś prosił.

Na pomysł tego, co stanie się zarówno jego, jak i moim źródłem utrzymania, wpadliśmy stosunkowo późno.

– Panie Aleksandrze! – Mykoła wyciągnął do mnie mechaniczną rękę, poklepał drugą, nieco bardziej ludzką, po plecach. – Dobrze pana widzieć.

Zawsze używał tej przedziwnej, ultraoficjalnej formy. W ogóle o nikim nie mówił inaczej niż per „pan”, przez co niejednokrotnie miałem wrażenie, że jest... No, nie to, że niedorozwinięty, ale na pewno autystyczny. Idealnie, precyzyjnie, uprzedzająco ugrzeczniony. Jak gdyby nie rozumiał istoty dobrych manier, ale wiedział, że właśnie tak należy robić.

Uśmiechnąłem się, patrząc w jego jedyne ludzkie oko.

– Mykoła. Ano, i nawzajem. Dostanę herbatę?

– Oczywiście, panie Aleksandrze, już wstawiam! Już, chwilka, tylko się woda zagotuje.

Herbata. Kolejny przedziwny rytuał. Niezależnie od pogody, temperatury, pory dnia i nocy, zawsze herbata. Gorąca, tak słodka, że aż lepka. Skąd ją brał? Nie miałem pojęcia, ale była pyszna.

Wszedłem za nim do pomieszczenia pełniącego wszelkie możliwe role: pokoju, sypialni, kuchni, pracowni, warsztatu... Laboratorium. Uśmiechnąłem się do Psa, który przysiadł na swojej stacji dokowania i tylko wodził obiektywami kamer za dwoma ludźmi.

Ciekawe, czy odbierał mnie inaczej niż jego? To znaczy czy w jakiś sposób przeliczał sobie procent tkanki ludzkiej i sztucznej? Czy uważał, że Mykoła jest mu bliższy niż ja?

Sam nie byłem pewien, czy mój gospodarz jest nawet człowiekiem. Kto powiedział, że to, co wygląda w nim na ludzkie, właśnie takie jest? Może był jakąś wczesną wersją testowego cyborga z zaawansowaną sztuczną inteligencją, który uciekł z wojskowego laboratorium. Potrzebował, owszem, minimum naszego pożywienia, żeby utrzymać biotkankę, ale chyba tylko po to. Uproszczony układ trawienny, aparat mowy, trochę cyberskóry i hajda. Patrząc na to, co jadł i w jakich warunkach mieszkał, było to nawet prawdopodobne.

Druga teoria, wcale nie mniej prawdopodobna, była jeszcze straszniejsza: Mykoła BYŁ człowiekiem. Kiedyś. I z jakiegoś powodu, którego nie chciałem nawet rozważać, nawszczepiali w niego tyle cybernetyki, że więcej się nie dało – inaczej by zwariował. Była przecież ta nieprzekraczalna granica, poza którą mózg mówił: okej, dość, najwyraźniej mnie nie ma, nie żyję. Dlatego nie dało się przeszczepiać mózgow w maszyny – i w sumie dobrze.

Nie miało to znaczenia, dopóki potrafił w swojej destylarni pędzić najlepszą syntadrenalinę, jaką znał NeoSybirsk.

Lekko pordzewiała robotyczna dłoń podała mi ostrożnie spodeczek ze stojącą na nim szklanką, pełną gorącej, gęstej od cukru, tak mocnej, że niemalże czarnej herbaty. Szkło zabrzęczało dopiero, kiedy wziąłem je swoją ułomną lewą ręką. Mykoła uśmiechnął się, pokiwał głową.

– Dobra?

Siorbnąłem, parząc sobie język. Kolejny element rytuału: musiałem napić się od razu.

– Najlepsza – powiedziałem, wcale nie kłamiąc.

– Tak jak mówiłem, panie Aleksandrze, mam dla pana cztery kanistry. – Mykoła pokazał ręką pod ścianę. – Jak zwykle, trzy synty i jeden pseudokort. Syntadrenalina wyszła wybitna tym razem.

– Ile? – zapytałem.

– Ponad dziewięćdziesiąt procent.

Zakrztusiłem się herbatą, oblałem spodnie. Odstawiłem szklankę.

– Ile konkretnie?

– Dziewięćdziesiąt koma siedem jeden trzy.

Prawie dziewięćdziesiąt jeden procent. O półtora procent więcej niż najlepszej próby produkcja przemysłowa. Raptem pięć procent odległa od teoretycznie możliwej najwyższej zawartości synty w dowolnym płynie.

– I to... – Pokazałem drżącym palcem na plastikowe kanistry.

– Tak, panie Aleksandrze. Rozumie pan, chciałem uzyskać możliwie równy produkt, więc tym razem przemieszałem zawartość przed zlaniem do pojemników.

Przez chwilę analizowałem to, co usłyszałem.

– To znaczy, że... – powiedziałem powoli, żeby nie pogubić się we własnych myślach – że te dziewięćdziesiąt z groszem...

– Koma siedem jeden trzy.

– To już wartość uśredniona, tak? Ile zatem miała pierwsza struga?

– Dziewięćdziesiąt dwa koma sześć.

Zapadła cisza. Cisza tak idealna, że dało się słyszeć miarowy pomruk maszynerii, cały czas mielącej chemikalia w przylegającej do pomieszczenia sali.

Spróbowałem sobie to wyobrazić jako wartość zapisaną cyframi: dziewięć, dwa, przecinek i szóstka.

Ponad dziewięćdziesiąt dwa procent.

Nie to, że nie znałem nikogo, kto by czymś takim handlował. Nawet o nikim takim nie słyszałem! Nie przypuszczałem w ogóle, że to możliwe!

...

A teraz Cesarz mówił mi, że w mieście spada popyt, bo na rynek wszedł jakiś duży gracz. I ja niby miałem z tego powodu dać do zrozumienia Mykole, żeby podciął skrzydła swojemu geniuszowi. Bo tak. Bo wolny rynek, bo kapitalizm. Uśmiercić nienarodzone marzenie dlatego, że taka była potrzeba chwili.

No tak, bo nie wspomniałem jeszcze o jednym: Mykoła robił to, co robił, dla sprawy. Miał taką idée fixe, że da radę wyprodukować idealnie czystą syntadrenalinę, bo twierdził, że to możliwe. Że da się zrobić syntę, rozpuszczoną wyłącznie w syncie.

Przez kilka lat byłem przekonany, że to tylko takie gadanie. Owszem, robił postępy, udoskonalał produkt. Niedawno przełamał magiczną barierę osiemdziesięciu dziewięciu procent, co było sukcesem samym w sobie i zarazem zagwarantowało nam pozycję głównych dostawców w NeoSybirsku.

Ale to? To było pieprzone objawienie!

– Wszystko w porządku, panie Aleksandrze? Ja wiem, że pewnie wolałby pan, żeby tamtą wysokoprocentową zlać oddzielnie. Ja przepraszam, ale dopiero po czasie pomyślałem.

– Nic się nie stało – wycharczałem, nieopatrznie pociągnąwszy naprawdę duży łyk herbaty, która poparzyła mi nawet zęby. – Jest świetnie. Doskonała robota, Mykoła.

– Och, to cieszę się bardzo. W tej chwili powinienem być w stanie skrócić proces produkcyjny, więc kolejna transza...

– Nie.

Spojrzałem w jego oczy. Oko, to jest. Nawet ono wyrażało w tej chwili tyle bezbrzeżnego smutku, tyle żalu i zawodu, że aż mnie samemu zrobiło się głupio. To było jak kopnięcie śpiącego psa.

Odchrząknąłem, przywołałem na twarz uśmiech. Mykoła też uśmiechnął się niepewnie, w jego oku zapaliła się nadzieja.

On nie może być człowiekiem, pomyślałem.

– Nie – powtórzyłem. – Jeśli mamy coś... takiego... to żadnych przyspieszeń. Żadnego robienia po łebkach ani chodzenia na skróty. Mniejsze partie, jeśli trzeba, Mykoła. Albo inaczej: jeśli spadniemy poniżej dziewięćdziesięciu i pół procent, to cała partia idzie w kanał.

Przez chwilę patrzył na mnie. Pies też uniósł i obrócił do mnie swój... pysk czy jakkolwiek nazwać to coś, co miał w miejscu głowy.

– My... – powtórzył Mykoła.

– No, oczywiście, że to ty odpowiadasz za proces – poprawiłem się. Powiedziałem to akurat tak, żeby brzmiało mniej jak żądanie albo ultimatum. W końcu nie był moim niewolnikiem. – Ale uważam, że powinniśmy...

– My. My, panie Aleksandrze.

Zamrugalem, próbując odczytać emocje z jego częściowo tylko ludzkiej twarzy.

– No tak. Ty i ja.

– My. Nigdy nie miałem współnika, panie Aleksandrze. Nigdy nie pracowałem z kimś razem.

On na pewno nie jest człowiekiem, dotarło do mnie. Uciekł z jakiegoś ultratajnego wojskowego laboratorium, mordując przy okazji cały personel, i pewnie władował się na ogrodzenie elektryczne. Wyjarało mu większość pamięci i to dlatego zachowuje się jak upośledzony. Zabrał po drodze technoowczarka, bo nie miał nikogo ani niczego innego. A tak naprawdę jest śmiercionośną maszyną, która dopiero uczy się, jak udawać człowieka.

Pewnego dnia zabije też mnie. Z czystej ciekawości. Żeby sprawdzić, co mam w środku.

– Zawsze jest pierwszy raz – rzuciłem truizmem.

– Partnerzy.

– No, współnicy. Niech będzie. Ale Mykoła, zaklinam na wszystkie świętości! Żadnej fuszerki teraz. Ja będę przyjeżdżał rzadziej, dobrze? A ty nie spiesz się. Rób dopiero wtedy, kiedy wszystko będzie przygotowane.

– Nigdy nie robię inaczej, panie Aleksandrze. Moje metody produkcyjne są w pełnej zgodności...

– ...z najlepszą wiedzą na moment ich podjęcia, wiem.

Dopiłem herbatę, wyciągnąłem ku niemu nadgarstek z czipem. On już miał przyłożyć wmontowany w rękę czytnik, ale zawahał się.

– Nie. Jeśli robimy to razem, to nie może mi pan płacić. Od tej pory moja produkcja jest wkładem w naszą spółkę. – Uśmiechnął się maniakalnie. – A pan, panie Aleksandrze, zapewnia materiały eksploatacyjne, zbyt produkcji oraz informację zwrotną od użytkowników. Musimy przecież zbudować bazę zadowolonych klientów!

Cyborg, pomyślałem sobie. Właśnie podpisałem cyrograf z pieprzoną maszyną, która rozbierze mnie na części tylko po to, żeby sprawdzić, gdzie mam duszę. I robi to bez cienia emocji, jeśli tylko nie dotrzymam warunków niepisanej umowy.

Z drugiej strony, obcięcie jego i tak głodowego wynagrodzenia do zera było kuszące.

– Zgoda.

Splunął w mechaniczną rękę, wyciągnął do mnie.

– Proszę splunąć, panie Aleksandrze, i przybić. W taki sposób zawiera się święte umowy.

Naplulem na rękę, potrząsnąłem jego dłonią.

Zabije mnie jak nic.

Pomógł mi odnieść kanistry, a potem stał z Psem u nogi, patrząc, jak wykręcam i odjeżdżam.



Do NeoSybirsk dotarłem nocą tak późną, że nawet nasza aurora sybiralis zaczynała blednąć w obliczu nadchodzącego świtu kolejnego dnia.

Było nawet niemalże przyjemnie, ulice wedle naszych standardów świeciły pustkami – to jest nie stały w korkach. Aż

wbrew rozsądkowi uchyliłem sobie szybę w samochodzie, pozwalając, żeby pęd śmierdzącego, ale mimo wszystko chłodnego powietrza owiewał mi twarz.

Kusto oczywiście zlał się i zesrał w przedpokoju, a ja w to wlałem. Zanim najpierw posprzątałem po nim, potem wziąłem w tej właśnie kolejności: flaszkę z lodówki i prysznic, usiadłem na kanapie i włączyłem holowizor, to za oknem było już jasno.

Gotów byłem już zacząć narzekać w myślach. Na moją gównianą pracę, na gówniane miasto, na gówniany świat. Bardziej z przyzwyczajenia niż realnej konieczności; zawsze urządziłem sobie taki festiwal żalów przed snem.

Zamiast tego uśmiechnąłem się, przypominając sobie te błękitne, przepiękne oczy.

Wypiłem duszkiem pół szklanki wódki na pusty żołądek, z hukiem otworzyłem drzwi do dawnej sypialni. O rany, na dobrą sprawę nie byłem tutaj, odkąd... No, odkąd mieszkalem sam, tylko z Kusto. Czyli już dobre dwa lata.

Pstryknąłem światłem, ale oczywiście nie zapaliło się. No tak, mimo upływu miesiący żarówka o dziwo sama się nie naprawiła.

Po omacku, potykając się o leżące wszędzie kartony, foliowe worki, jakieś brzęczące i ciężkie rzeczy, wpadając na czające się w ciemnościach przedmioty, zdołałem przedostać się na drugą stronę pokoju. Szarpnięciem rozsunałem ciężkie, zakurzone kotary, wpuszczając do środka światło właśnie wstającego dnia.

O kurde, jaki tu był syf. Przez lata wrzucałem tutaj wszystko, co mogło się przydać, ale nie było potrzebne, i po prostu zamykałem drzwi. Jakieś stare ubrania. Pudła pełne papierów – papiery! Sam materiał mógł mieć teraz niezłą wartość na skupie, bo to jeszcze celuloza była! Nośniki pamięci w formatach, do których nikt już dawno nie miał czytników. Nawet stara kanapa, której nie chciało mi się taszczyć na dół po schodach, więc przepchnąłem tutaj i zapomniałem.

Gdzieś pośrodku pokoju, skryte pod warstwami niechlubnej historii, stało podwójne łóżko małżeńskie. Wielki, nieporęczny, niemożliwy do ukrycia dowód mojej najbardziej haniebnej pomyłki i największego rozczarowania.

– No co się gapisz? – ofuknąłem Kusto, który zajrzał do starej sypialni przez uchylone drzwi. – No dobra, może i masz rację. Nie wszystko było złe, przesadzam trochę. Ale mówię o samej początkowej idei.

Wyczyściłem przejście ku drzwiom, sapiąc i prycając,

wyciągnąłem spod sterty ubrań nieludzko ciężką, starą ławeczkę do ćwiczeń z nadal tkwiącą w uchwytach sztangą. Chciałem wywlec ją do przedpokoju, ale na szczęście opamiętałem się: gdzie niby dalej wstawię tego potwora? Ustawiłem pod ścianą, jako tako wytarłem mokrą szmatą.

Położyłem się na próbę, ująłem gryf sztangi. Ciekawe, ile tutaj jest? Zdjąłem z uchwytów, opuściłem na klatę...

...

...ledwie podniosłem i ciężko sapiąc, odwiesiłem z powrotem.

Co ja, przykręciłem tutaj wszystko, co miałem? Nie no, tam w rogu zostało jeszcze kilka ciężarków. I co, że niby ja tym kiedyś ćwiczyłem? Porąbało mnie?!

Zdjąłem połowę, znów ułożyłem się na ławeczce. O, od razu lepiej! Potem przestawiłem pochylnię, seria brzusków... I odwrotnie, twarzą w dół. I na nogi... I znów sztanga...

Przestałem dopiero, kiedy coś słyszalnie trzasnęło. Tak po prostu: trzask! Słyszysz to w kościach czaszki i myślisz: o-o... Niedobrze.

Ostrożnie wstałem, stanąłem prosto. Jedna ręka... druga... dwie nogi. Kręgosłup działa. Skręt tułowia w lewo, w prawo. Nie, wszystko w porządku, o dziwo nic nie boli. A już myślałem, że naderwałem mięsień.

– W pewnym wieku to się zdarza – mruknąłem, przedrzeźniając niebieskooką panią naukowic.

Dosłownie zlany potem wtoczyłem się pod prysznic, odkręciłem wodę. Najpierw ciepła, potem coraz chłodniejsza, wreszcie zimna... Wyskoczyłem z kabiny, parszając i prychnając jak źrebak. O tak! Zapomniałem, jakie to dobre.

Jak nowo narodzony normalnie. Wytarłem się, ubrałem, wyprowadziłem Kusto. Dzień był piękny, radosny, ludzie już kręcili się po ulicach, a ja czułem, jakby wyrastały mi skrzydła.

Wstukąłem wiadomość do Cesarza, że mam towar do odbioru. Niech myśli, co z tym zrobić, a ja popracuję.

Wróciłem do mieszkania, odpaliłem holoprojektor. A zatem to laboratorium to ślepy zaułek, tam nie robią nic śmiernego. Popatrzmy dalej, skoncentrujmy się na panu Valencie. Skoro i tak mam się do niego wybrać, to...

Nawet nie zauważyłem, kiedy głowa opadła mi na piersi, a ja zasnąłem.

Po raz pierwszy od lat na trzeźwo, bez gorzały.

Jak przysłowiowe niemowlę.



„Spałem jak niemowlę” – chciałoby się powiedzieć.

Tylko to by znaczyło, że obudziłem się po dwóch godzinach z płaczem, bo się zesrałem.

Tymczasem ja obudziłem się dopiero pod wieczór, świeży, radosny i w ogóle w najlepszym możliwym humorze oraz formie. Czując, jak przyjemnie ciągną mnie wszystkie dawno nieużywane mięśnie, ubrałem się, wyprowadziłem i nakarmiłem Kusto, w międzyczasie zrobiwszy drobne zakupy w osiedlowym sklepiu.

Potem zrobiłem coś jeszcze dziwniejszego, bo przebrałem się w wyciągnięte z dna szafy dresy, założyłem respirator, wcisnąłem w uszy słuchawki i wyszedłem, żeby pobiegać.

Ludzie na ulicach patrzyli na mnie, myśląc zapewne: no debil, no! Ja przebiegałem koło nich, ledwie łapiąc dech szeroko rozwartymi ustami, zalewając się potem, czując, jak kolana wołają o zlitowanie, i myślałem: no debil, no!

Bieganie. Oj tak. Nic tak nie męczy. Nic tak nie pokazuje, w jakiej jesteś formie i ile jesteś wart.

A raczej: w jakiej formie nie jesteś. I że gównie jesteś wart.

Wymięknęłam w połowie zamierzonego dystansu i po prostu zawróciłem. No nie dałbym rady, nie ma szans! Dobiec – tak, ale wrócić?! Nie, nic z tego.

Stopniowo, po kawałku. Trzeba odbudować kondycję.

Przecież biegało się po siedem, po dziesięć, po piętnaście kilometrów w Afryce! Dawno, dawno temu, fakt, ale tak było.

Wdech, wydech. Wdech, wydech. Lewa, prawa, lewa, prawa. Po trzy równe kroki na jeden cykl. Tik-tak, tik-tak, tik-tak. Jak stary zegarek.

Bez systemów chłodzących, w zwyczajnych butach na twardej podeszwie. Po piachu, po bitych drogach, po błocie. W gorszym upale niż ten tutaj. W rojach moskitów, które tam jeszcze wtedy się trzymały w lasach tropikalnych.

Lasy Afryki... Wielkie, dumne i zielone. Kiedy wylądowaliśmy tam, ja i cała reszta naszej kompanii, nie mogłem w to uwierzyć: ale jak to? Tyle zielonego?

I tlen, dosłownie rozrywający nienawykłe do czystego powietrza płuca.

Siedem lat w Légion Étrangère, elitarnej Legii Cudzoziemskiej. Siedem długich lat potu, krwi i żelaza, odcisków na nogach i rękach,

pracy od świtu do zmroku tak wyętej, że plecy aż trzeszczały. Marszów na orientację, przerzutów z miejsca na miejsce, odpraw, skoków na spadolotniach. Dzikich, bezpardonowych akcji bojowych, gdzie zasada była prosta: jeśli człowiek w przyrzędach celowniczych nie jest biały, pociągasz za spust.

Siedem lat. O dwa lata krócej, niż przewidywał kontrakt. Wróciłem, owszem, bez ręki, z wmontowaną zamiast niej wojskową protezę, ale nie dlatego wróciłem.

Wróciłem bez honorowej odprawy, jako podwójny dezertor.

Dla swoich, tutaj, na zawsze noszący zamię kogoś, kto zdradził Siły Zbrojne Federacji i poszedł walczyć pod obcą flagą. Kto w zasadzie powinien trafić do więzienia... Gdyby nie zapewnienia Kojota, który sprawie przeciwko mnie ukręcił łeb przez wzgląd na wspólną służbę w milicji.

Dla swoich, tam, jako kolejna twarz na tablicy hańby. Jeszcze jeden, który nie wytrzymał trudów służby i uciekł, nie domykając kontraktu. Bez prawa noszenia munduru z białym kepi, bez emerytury weterana.

Mimo to wróciłem. Wróciłem dokładnie z tego powodu, z którego początkowo wyjechałem.

A mogłem zostać. Gdybym został, nikt nie miałby do mnie pretensji. No, znów przesadzam: prawie nikt. Dwie osoby by się znalazły, ale czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

Kto wie, może ona byłaby w taki sposób szczęśliwsza? Może właśnie dlatego odeszła, bo liczyła na to, że mimo wszystko nie wrócę? Że będę tylko twarzą w komunikatorze i comiesięcznym żołdem, spływającym na konto.

Ale ja musiałem wrócić. Wróciłem i do dziś byłem z tej decyzji dumny, chociaż wszystko inne się spierdoliło.

Dysząc jak przepalony tłumik, dobiegłem pod klatkę, oparłem się ciężko o ścianę przy zsybie. O kurde, o kurde, o kurde... Zaraz zemdleję, zaraz mi krew skronie rozsadzi, serce wyskoczy z piersi, płuca się zapadną...

– O, pan kapitan! – przywitali mnie okupujący ławeczkę ziomale.
– Pan kapitan o formę dba?

– Dobry... wieczór... chłopcy... – wyrzuciłem z siebie trzy słowa na trzech oddechach.

– To pan kapitan poważny trening dziś urządził. Ile, dwa kilometry, trzy?

– Pięć... – zdołałem wycharczeć.

– Ha, widzicie? I to jest wzór cnót obywatelskich! – Wania

pokazał na mnie ręką, wciąż trzymającą butelkę piwa. – Biega człowiek, dba o siebie! I pewnie jeszcze palenie pan kapitan rzucił?

– Jestem... w trakcie...

Aż zdziwiłem się, słysząc własne słowa. Tak? No dobra, spróbujmy.

– Że się panu chce... – pokręcił głową jeden z kolegów Wani. – W taki upał? To ja tutaj się pocę, jak na pana patrzę.

– ŻOŁNIERZ, BACH-BACH! – wydarł się chodzący dziś bez koszulki wytatuowany typ, do tej pory szczający pod ścianą bloku. Zasalutował, ledwie trzymając pion. – PLUTON NAPRZÓD, BIEGIEM MARSZ, WROGA NA FARSZ! NORMA DZIENNA DO WYROBIENIA, OSTRA PIZDA DO ROZDZIEWICZENIA!

Zacząłem już trzęsącymi się rękoma otwierać drzwi, kiedy Wania przysunął się do mnie i zaszeptał konspiracyjnie:

– Panie kapitanie, bo sprawa jest...

– Dziś... nie mam – sapnąłem, powoli odzyskując dech. Co mi do łba strzeliło, żeby po całym dniu upału biegać?! – Poczekajcie.

– Panie kapitanie, ale ten, no. Ja nie o tym. Bo z jednym znajomym rozmawiałem takim.

– I...?

– I pan kapitan to się pewnie na broni zna, i dba o formę. Pewnie nawet kung-fu was uczyli w armii, i Systemy, i Kombat-5.

Drzwi w końcu ustąpiły, pociągnąłem skrzydło na siebie. Musiałem się napić i usiąść, w dowolnej kolejności.

– No i?

– No i ten znajomy mówi, że jest robota do wzięcia. Że potrzebni są obrotni ludzie do trudnej fuchy.

Spojrzałem na Wanę takim wzrokiem, że aż spuścił oczy.

– Czy ja wyglądam jak najemnik? – zapytałem.

– Nie, panie kapitanie, jak tak tylko... No. Po sąsiedzku pomyślałem. Podobno dobrze płacą, trzeba wejść siłowo na jakiś zakład czy fabrykę.

– Niezainteresowany.

Zatrzasnąłem mu drzwi przed nosem, mimo że chciał chyba coś jeszcze powiedzieć. Złapałem się poręczy po obydwu stronach, zacząłem stopień po stopniu wspinać się na schody. To tak na dociągnięcie treningu! Dziesięć procent końcowych ćwiczeń daje ci dziewięćdziesiąt procent rezultatów!

Doszedłem do dwóch trzecich mojego piętra, cofnąłem się i wezwałem windę.

Żeby przestawić nogę nad progiem do mieszkania, musiałem

ręką podnieść ją za nogawkę.

Pierwszy odruch: lodówka, zimne piwo. Pstryknęła otwierana puszka, aromat dwutlenku węgla uderzył w nozdrza. Rozchyliłem usta, przymknąłem oczy...

Otworzyłem oczy, przechyliłem puszkę nad zlewem i wylałem złocisty napój do ścieku.

Wyciągnąłem z szafy zakurzony dzbanek z filtrem, umyłem, zdezynfekowałem. Umyłem jeszcze raz. Zalałem kranówką. Postawiłem na stole, bez przekonania patrząc, jak bąbelki powietrza powoli ulatują ku górze.

Wyjąłem z szafki szklanę. Postawiłem obok.

Nie no, nie wierzyłem, że to robię.

Nalałem do szklanki bezbarwnego, bezwonnego płynu. Przeżegnałem się, zamknąłem oczy i szybko, na trzy łyki opróżniłem. Odstawiłem z hukiem na blat.

Jeszcze żyłem.

Nalałem drugą, wypilem. Trzecią... Potem przyssałem się bezpośrednio do dziobka dzbanka, wydużdałem prawie litr.

Kusto patrzył na mnie z korytarza.

– Wodę piję, tak! – warknąłem do psa. – Jak zwierzę.

O dziwo, nie czułem się źle. Wziąłem prysznic po raz drugi, ogoliłem się i nawet chlapnąłem wodą po goleniu... Czułem się dobrze. Wreszcie, po raz pierwszy od lat, robiłem coś ze swoim życiem.

Sprawdziłem komunikator. Cesarz odpowiadał: „Chudy, chyba z byka spadłeś. Nie mam co z tym robić. Przyjedź mimo wszystko. Pogadamy”. No, czyli nie mogli być tak źle, co?

Skasowałem, napisałem i podpisałem nowe oświadczenie.

No dobra, zatem najpierw pojedziemy na Zaporę, oddamy towar. Potem chyba trzeba by w końcu odwiedzić pana Valentę w SybirTower, co?

Zobaczymy, jak cwaniak zaśpiewa, kiedy zastukam do jego drzwi.



Kiedy podjechałem pod Zaporę, na parkingu nie było nikogo.

Wysiadłem z samochodu, nawet nie gasząc silnika. Rozejrzałem się w jedną, w drugą stronę... Widok był, owszem, piękny: za plecami tylko jednolita toń Zbiornika, przede mną strome brzegi

doliny. Po lewej i prawej asfalt drogi.

Natomiast nie tego się spodziewałem, nie tego oczekiwałem.

Rozpiąłem kurtkę, żeby łatwiej sięgnąć do pistoletu. Chociaż, co mi po nim tutaj? Na takiej przestrzeni lepiej się sprawdzi strzelec wyborowy. Zająć wygodne stanowisko, ustawić się, broń na dwójnóg, cel i... bach.

Nagle zrobiło mi się nieswojo, rozejrzałem się jeszcze raz. W zasadzie było mnie tu widać jak na strzelnicy.

Nie, nie miałem manii prześladowczej.

Jeszcze nie.

Usiadłem plecami do betonowego płotka, tak żeby z przodu mieć burtę samochodu, po lewej otwarte drzwi, a po prawej ścianę elektrowni na Zaporze.

To wcale nie paranoja, powtarzałem sobie. To tylko... ostrożność. Nic nagannego.

Kiedy w oddali rozległ się narastający warkot silnika, ręka sama sięgnęła ku kaburze. Ostrożnie wychyliłem się zza maski merca, próbując rozpoznać samochód... Uff, zauważyłem błękitnawe reflektory: to Cesarz. Wreszcie.

Wyszedłem z ukrycia, z godnością poprawiłem kurtkę. Założyłem ręce na piersiach, obserwując, jak tamten wykręca szerokim kołem i ustawia równoległe do mnie.

– Długo coś – przywitałem go, kiedy w końcu nie bez trudu wygramolił się z kabiny.

– Nie denerwuj mnie, Chudy. Nie boisz się tutaj tak sterczeć?

– Nie, no coś ty. – Zgarbiłem się odruchowo, siłą woli powstrzymałem, żeby nie obejrzeć przez ramię.

– Czyli nie słyszałeś o rajdzie na Priobsk.

No nie, nie słyszałem. Ale zaraz pewnie usłyszę.

– Co się znów odjechało...? – jęknąłem.

– Ktoś uderzył na ekipę Dimy Glinina. Porządnie uderzył, ostro. Na rympał, w środku dnia, w samo południe, na ich terytorium.

Przełknąłem ślinę.

– Ilu?

– Tylko trzech, dwaj w szpitalu, powinni przeżyć. O dziwo dali radę się obronić, bo jakiś przechodzień uczynnie zadzwonił po milicję. Chudy, to nie przelewki, człowieku! I na pewno nie pora na spotkanie się na odludziu.

– Cesarz, mam towar. – Podszedłem do bagażnika.

– W dupę sobie wsadź swój towar! Ty wiesz, o ile spadły ceny przez ostatnie czterdzieści osiem godzin? Ja w tej chwili mógłbym

kupować od naszych konkurentów i sprzedawać frajerom, co jeszcze się nie skumali, jak bardzo przepłacają! – rozindyczył się Cesarz, nawet nie racząc iść za mną. – Ktoś nas zaczyna wypychać na margines, Chudy! A jeśli tak dalej pójdzie...

– Dziewięćdziesiąt jeden procent.

Cesarz urwał, wytrzeszczył oczy. Nie jest łatwo coś takiego zrobić, kiedy ma się zamiast nich dwie wąskie szparki.

– Chudy, ćpałeś – stwierdził.

Wyciągnąłem spod podłogi jeden kanister, wsunąłem w otwór korka automatyczny multimiernik laboratoryjny. Urządzenie zassało próbkę, przetrawiło, piknęło i zapaliło zieloną diodę. Nawet nie patrząc na wynik, podałem mu ekranikiem do przodu.

Spojrzał. Sięgnął za pazuchę, wyjął swój miernik i wręczył mi bez słowa.

Zmierzyłem, oddałem. Spojrzał znowu.

– Chudy, skąd to masz? – zapytał, zaglądając mi do kufra.

– Z tego samego źródła co zawsze. Masz, porozdawaj próbki ludziom. Nawet za darmo.

Wyciągnąłem jeden kanister, drugi, trzeci... W końcu czwarty, oznaczony czerwonym kółkiem pseudokortyzonu. Cesarz patrzył na mnie jak na zjawisko z innego świata.

– Chudy. Człowieku. Co ja z tym zrobię?

– Rozdaj, mówię.

– Za darmo...?

– Jak nie ilością, to jakością z nimi zagramy. No tak? – Puknąłem go w ramię. – Konflikt asymetryczny!

Nie był przekonany, patrzył na stojące na ziemi kanistry, jak gdyby bojąc się je wziąć.

– Ja nie chcę konfliktu, Chudy – powiedział w końcu.

– I pewnie dlatego właśnie wynająłeś Trzydziestegoczwartego, jako typowe rozwiązanie pokojowe. No właśnie, dlaczego go tutaj nie ma?

– Pilnuje naszego magazynu. Chudy, oni w końcu przyjdą po nas, wiesz?

– I chuj! – Rozłożyłem ręce. – Niech przyjdą! Cesarz, ja pierdolę, człowieku! Masz jeszcze siurka w spodniach czy już golisz cipkę? Niech, kurwa, przyjdą!!

Głos odbił się echem od ściany elektrowni, przetoczył echem po toni Zbiornika, wrócił poszeptem od dalekiego brzegu. Spojrzałem na Cesarza oczami, w których płonęła dzika odwaga.

– Ćpałeś – stwierdził, kiwając głową.

– Gównu wiesz, Cesarz. Jestem czysty i trzeźwy. Zacząłem ćwiczyć, piję wodę.

– Od kiedy...?

– Od dziś – przyznałem z pewnym zażenowaniem, czując, jak bolą mnie mięśnie, których istnienia nawet nie podejrzewałem.

– Czyli po prostu ci odjechało, Chudy, albo przechodzisz spóźniony kryzys wieku średniego. Albo znalazłeś sobie dupę i masz nagły wyrzut hormonów do mózgu.

Czasami mnie irytowała jego przenikliwość.

– Spierdalaj – mruknąłem. – Nie boję się, rozumiesz?

– Nie, nie rozumiem, ale widzę. Dobra, dawaj ten towar... Przynajmniej się nie przegrzeje, jak ten poprzedni.

Załadowaliśmy baniaki do jego samochodu. Chciał mi zapłacić, ja tylko potrząsnąłem głową.

– Za darmo, mówię. Próbką nadchodzącej jakości.

Splunął na ziemię z niezadowoleniem, bez słowa wpakował się na fotel. Spojrzał jeszcze na mnie ciężko, rzucił na odjezdne:

– Pilnuj się, Chudy. Brązowe chmury się zbierają, czuję nadciągającą gównoburzę.

Zostawił mnie dumnie stojącego w obłoku spalin i kurzu.

A ja się naprawdę nie bałem. Dotarło to do mnie: nie bałem się. No przyjdą po nas, no przyjdą. Nie oni pierwsi i zapewne nie ostatni.

– Nie boję się! – ryknąłem w kierunku Zbiornika.

A potem wsiadłem do swojego starusieńkiego merca i potoczyłem się ku miastu, ku potężnym monolitom wysokościowców śródmieścia.



SybirTower była po prostu przeogromna.

Już z daleka można się było domyślić, że spiralnie skrecona iglica wieży musi być niemała. Ha, „niemała”! Widać ją było z każdego punktu NeoSybirska, a rozświetloną w szacie nocnej iluminacji dało się przy dobrej pogodzie dostrzec z pięćdziesięciu kilometrów.

Jednak dopiero teraz, kiedy stanąłem u jej podnóża, mogłem ocenić pełne rozmiary budowli.

Nie miałem problemu ze znalezieniem miejsca parkingowego. W zasadzie to stanąłem sobie pod samym wejściem, mając po lewej i po prawej wolne koperty.

Za pieniądze, które skasował z mojego konta parkometr, mógłbym wynająć sobie pokój w hotelu i jeszcze egzotyczną dziewczynę, żeby mnie nosiła na barana do baru i z powrotem... Pewnie mieszkańcy i stali goście zostawiali samochody i modne grawiloty na parkingu podziemnym, gdzie abonament wynosił więcej, niż zarabiałem w miesiąc.

Ciekawe, pomyślałem sobie, kto temu całemu Valencie płaci za apartament? Bo jeśli jego firmy miały pieniądze, to on też je miał... prawda?

Tego w każdym razie miałem zamiar się trzymać.

Drzwi rozchyliły się przede mną i potem zamknęły tak samo bezszelestnie, twarz owionął przyjemny podmuch chłodnego powietrza z klimatyzatorów. Na dworze wciąż wisiał duszny skwar, wszystko lepiło się od wilgotnego brudu... Słońce powoli zachodziło, ale do nocy było jeszcze daleko.

– Dobry wieczór, witamy w SybirTower. – Nienagannie ubrany recepcjonista podniósł się zza kontuaru. – Pan do kogo?

Omiotłem wzrokiem wiszącą za nim tablicę z nazwami firm. Było ich tutaj ze dwieście!

– Ja, e... MVtech! – Odetchnąłem z ulgą, widząc logo znane z wielokrotnie przeglądanych plików. Co za tupet, żeby nazywać firmy własnymi monogramami... Poza tym było na samej górze, tak jak mówił Kojot: najwyższe piętro.

– Mogę poprosić o identyfikację tożsamości? Dobrze, dziękuję... Winda po lewej.

Wszedłem do lśniącej polerowanym metalem puszką, drzwi zasunęły się, winda ruszyła.

Akurat zadzwonił komunikator: Daniłow. Westchnąłem ciężko, przesunąłem zieloną słuchawkę w górę.

– Dobry wieczór, towarzyszu kapitanie! – radosnym głosem obwieścił niebieski hologram. – Jak tam postępy w naszej sprawie? Mam nadzieję, że prze pan naprzód, prosto ku kryjówkom naszych wrogów!

– Witam pana, dobry wieczór... Podziwiam za wycucie czasu.

– O? Proszę jaśniej, Aleksandrze Wasiliczu!

– Tak się składa, że ustaliłem miejsce pobytu naszego dłużnika.

– Ha! I co, windami jeździcie, zamiast z wizytą zejść do niego! Wstyd, nieróbstwo!

– Właśnie do niego jadę.

Daniłow odchylił się w fotelu, pokiwał głową z uznaniem.

– Zuch! Udzielam wam, towarzyszu kapitanie, pochwały

z wpisem do akt. Wiedziałem, że dacie sobie radę, dobrze wam z oczu patrzy. Duchy nie kłamią.

Musiał zauważyć jakiś dziwny grymas na mojej twarzy albo właśnie wystudiowany brak reakcji, bo nachylił się nad kamerką tak, że jego nos i błękitne okulary zajęły większość hologramu.

– Tu nie ma się co głupawo uśmiechać, towarzyszu kapitanie – powiedział.

– Nie no, gdzieżbym śmiał.

– Ja się duchów i czarów nie boję. Moja babka jest szamanką i to ona mi powiedziała, żebym właśnie do was zadzwonił z tą pracą. Duchy zmarłych się nie mylą.

– Duchy... zmarłych – powtórzyłem machinalnie.

– Zmarli nie oszukują, towarzyszu kapitanie. Nie mają już w tym interesu. A teraz do boju, zawsze naprzód! Nasza sprawa jest słuszna, zwycięstwo będzie naszym, wrogowie poniosą karę. Bez odbioru.

Po prostu się rozłączył.

Zamrugalem, potrząsnąłem głową z niedowierzaniem. Czyli multimilionerzy-oligarchowie serio nie mają nic lepszego do roboty wieczorami, tylko wydzwaniać do podwykonawców i dawać im złote rady w formie ludowych powiedzonek?

Babka szamanka, której duch polecił mnie do wykonania tej roboty. No pięknie.

Ciekawe, czy wynagrodzenie też będzie w formie waluty duchowej?

Ding! Winda zwolniła i stanęła, drzwi rozsunęły się. Wyszedłem na wyłożony miękkim dywanem korytarz, oświetlony przez zachodzące nad NeoSybirskiem słońce, zagładające przez przeszkloną ścianę.

W pierwszej chwili myślałem, że będzie trudniej... ale było tutaj tylko dwoje drzwi: jedne niewłaściwe i drugie z tabliczką MVtech. No tak, dwa apartamenty, zgadza się?

Tak dla porównania: korytarz metrażem mniej więcej dorównywał mojemu mieszkaniu.

Stanąłem przed podwójnymi drzwiami w okładzinach z naturalnego kamienia, wziąłem głęboki oddech. Uniosłem dłoń i wcisnąłem płytkę dzwonka.

Nie otworzy, przeleciała mi przez głowę myśl. Nie ma bata! Nawet jeśli tam jest, skurczybyk, to pewnie spojrzy w kamerę i będzie udawał, że go nie ma. Bo niby dlaczego miałby mnie wpuścić? Ja sam bym siebie nie wpuścił. W takiej sytuacji...

Szczęknął zamek, drgnęła klamka, drzwi otworzyły się.

Na progu stał nikt inny jak sam Marco Valenta.

Przyznam, że zatkało mnie. Tak po prostu wziął i mi otworzył! Ubrany wyjściowo: w nienagannie białą koszulę, ogolony, wypachniony. Nie jak ukrywający się dłużnik, bynajmniej.

– Tak? – zapytał.

– Aleksander Khudovec – przedstawiłem się, żeby zyskać na czasie. – Ja w sprawie biznesowej. Mogę wejść?

– Wie pan, akurat szykujemy... No dobrze, zapraszam. Kwadrans?

– Wystarczy.

Władowałem się do lśniącego marmurami przedpokoju, szybko otaksowałem wnętrze. Jeśli istniało coś takiego jak ekskluzywny minimalizm, to właśnie w tym stylu urządzono apartament. Jednolite połączenie ścian z geometrycznymi ozdobami, świecący sufit. Gospodarz ruchem ręki zaprosił mnie dalej, przeszliśmy do...

„...salonu”, chciało się powiedzieć, ale słowo zdecydowanie nie oddawało istoty pomieszczenia.

Wielka, otwarta przestrzeń, pełna kanap, foteli i dziwnego kształtu mebli o trudnej do określenia funkcji. Na samym środku palił się gazowy kominek wielkości mojego prysznica, przez przeszkloną ścianę zaglądało słońce zachodzące ponad widocznym za rzeką miasteczkiem akademickim.

Widok, przyznaję, zapierał dech w piersiach. Wcześniej widziałem NeoSybirsk z takiej perspektywy tylko na zdjęciach. Wszystkie dzielnice jak na dłoni, arterie ulic, większe place, parkingi, osiedla, gmachy urzędów... Bure plamy martwych lasów i jałowych pól, daleko za nimi potężne szklane hale farm żywności.

Tak musieli patrzeć na świat bogowie z wysokości swoich domów wśród obłoków, pomyślałem. Niewidzący pojedynczych ludzi, niezdolni dostrzec ich nawet jako całościowej masy, a mówiący zbiorczo: „ludzkość”.

Tak, to było mieszkanie na miarę kogoś, kto uważał, że prawa i problemy widocznego het, w dole szarego świata go nie dotyczą.

A ja miałem być tym, który sprowadzi bogów do parteru.

– Piękne, prawda? – Stanął obok mnie z rękoma w kieszeniach, również podziwiając widok. – Jak tylko mi deweloper pokazał prospekt, pomyślałem sobie: muszę to mieć. Najwyższe piętro, najwyższa półka cenowa, ale co z tego? Człowiek staje się tym, czym się otacza, myśli o sobie tak, jak widzi się w lustrze.

– I to działa? – zapytałem grzecznie, mając nieco inny, ukształtowany przez okoliczności życiowe pogląd na kwestie

osiągalności rzeczy drogich.

– Tak! Jak się obudzić w takim miejscu, popatrzeć na to, to od razu się wierzy, że wszystko jest możliwe. I jest!

– Fascynujące. Ale ten apartament nie jest pana własnością, zdaje się? Widziałem nazwę firmy na wywieszce.

– To bez znaczenia. Nie liczy się to, ile człowiek ma, ale ile może.

Powiedział typ, który chwilę wcześniej dał mi do zrozumienia coś wręcz przeciwnego.

Obserwowałem go z ukosa, próbując zaszeregować do jednego z gatunków ludzi. Raczej okrągłe policzki, niewielki perkaty nos, drobny podbródek... Starannie wypielęgnowana bródka, mająca zapewne dodać nieco powagi jego na wskroś chłopięcym rysom, nieco zbyt wąsko osadzone oczy.

Z wyglądu nie był typem drapieżnika, a raczej niegroźnego roślinożercy.

Jednak to właśnie on od kilku dni trząśł głównymi wydaniem wiadomości i to właśnie jego nie mogła utrzymać u siebie podkomendna Kojotowi Federalna Służba Bezpieczeństwa. To on na miękko, bezrefleksyjnie ukradł trzydzieści baniek jednemu z bonzów K-Mer Corp.

– Wychodzi pan dokądś? – zapytałem, patrząc na wiszącą na oparciu krzesła marynarkę z mieniącą się kolorami tęczy poszetką.

– Nie, nie. Dziś jest wyjątkowy wieczór, świętujemy naszą rocznicę... Anna, pozwól, mamy gościa!

Odwrociłem się, serce zabiło mocniej. Przez pomieszczenie szła ku nam kobieta, absolutnie piękna, wręcz zjawiskowa. Doskonale wyrzeźbione łydki, silne uda, wąska talia... Pełny biust i grzywa falujących włosów.

Niemalże widziałem doczepione do jej ciała metki z cenami.

– Anna Pawłowa. – Wyciągnęła do mnie pachnącą perfumami dłoń.

– Aleksander, bardzo mi miło.

Potrząsnąłem jej ręką, próbując nie patrzeć w dekolt. Z wielkim trudem, bo zwiewną sukienkę specjalnie tak uszyto, żebym to robił... Zresztą to był ciuch z rodzaju tych, których więcej nie było, niż było.

Przez wycięcia w materiale wyglądały wszczepione w jej skórę wstawki z cyberpleksi. Jakby ktoś porobił w niej okienka, przez które widać przesuwające się węzły mięśni, ścięgna i tętniące naczynia krwionośne.

Ugh... Widziałem to już parę razy i nadal nie mogłem zdecydować, czy to jeszcze niezdrowa fascynacja, czy już

obrzydzenie? A dziewczyna ewidentnie lubiła ten klimat, bo miała je wstawione asymetrycznie na rękach, na nogach... Cholera, nawet na podbrzuszu!

Nie wiem, może kogoś to kręciło. Dla mnie wyglądało, jakby kogoś wybiórczo obedrzyć ze skóry, i kojarzyło się tylko z samosądami w Afryce.

– Aniu, możesz już powoli wyjmować szampana i nalewać do kieliszków, ja zaraz przyjdę. – Uśmiechnął się do niej, delikatnie klepnął w jądrny pośladek. – Chyba że zostanie pan z nami?

– Nie, dziękuję. – Potrzęsnałem głową.

Skubany, był dobry. Uderzał dokładnie tam, gdzie czuł, że mogą biec moje myśli. Jak ta cholerna recepcjonistka z hotelu... Czyżby też był nawszczepiany analityką? Całkiem możliwe.

Dziewczyna odeszła, stukając obcasami i kręcąc tyłkiem. Valenta zerknął na mnie z ukosa, uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Śliczna jest, co? Mówię panu, złoto nie dziewczyna. Tak się rozwinęła przez ten rok... W dodatku jeszcze maluje obrazy i nawet ma kupców. O, to jej praca, niech pan popatrzy!

Spojrzałem na wiszący nieopodal bohomas. Dla mnie wyglądało to, jakby ktoś zamknął chorego na padaczkę w ciemnym pokoju z losowymi farbami, a potem wszystko wystawił na miesiąc na balkon zimą.

– Bardzo ciekawe.

– Prawda? No mówię panu, wspaniała jest. Ja wiem, że to... – Zrobił ruch ręką, pokazując na okolice swojego ramienia i uda. – To potrafi dziwić i też nie byłem na początku przekonany. Ale ostatnio zrobiła sobie taki od mostka aż do kości łonowej, uwierzy pan? Widoki są niesamowite, kiedy widzę, jak się to porusza, gdy...

– Zna pan niejakiego Daniłowa? – zapytałem od niechcienia.

Klasyczna zagrywka: on uderza w swoje, ja puszczam mu kontrę, żeby wziąć z zaskoczenia. Zmarszczył brwi, skrzywił usta.

– Nie jestem pewien, ale nazwisko coś mi mówi?

– Prezes rady nadzorczej K-Mer Corp.

– Ach, tego Daniłowa! Nie, niekoniecznie, ale robię interesy z jego ludźmi.

– „Robił” pan raczej.

Uśmiechnął się tak promiennie, jakbym właśnie powiedział mu, że wygrał w szkolnej loterii fantowej.

– Tak? Coś się zmieniło?

– Wygląda na to, że jest im pan winien trzydzieści milionów.

– Trzydzieści milionów... Ach, mówi pan o TYCH trzydziestu

milionach.

Jak gdyby miał ich nie wiadomo ile, sukinsyn.

– Trzydzieści milionów, które przelał na pana Matwieszuk, a które pan dał Sobkowowi – uszczegółowiłem.

Rozłożył ręce.

– Niestety, obawiam się, że ma pan nieprecyzyjne informacje, panie Aleksandrze. Jak rozumiem, jest pan pełnomocnikiem pana Daniłowa, tak?

– Jestem człowiekiem, któremu powierzono zadanie odzyskania tych pieniędzy.

– No cóż, zatem powinien pan chyba rozmawiać z panami Sobkowem i Matwieszukiem. Albo ich prawnymi spadkobiercami w każdym razie. To oni odpowiednio przyjęli te pieniądze i dali mi je do ręki. Poza tym ja nie brałem w tym nawet udziału.

Miał tupet, bydlak, i kłamał mi w żywe oczy.

– Powiedział pan, że dali je panu do ręki.

– Skrót myślowy. – Wzruszył ramionami. – Pieniądze otrzymała jedna ze spółek, której tak się składa, że byłem założycielem. Nie jestem w stanie osobiście kontrolować każdej kopiejki, która każdego dnia przepływa przez moje wehikuły finansowe.

– Dane z rejestru wskazują, że był pan i nadal jest nie tylko założycielem, ale też właścicielem i dyrektorem V4Invest.

– Tak? Cóż, to znaczy, że jeszcze nie zaktualizowano bazy danych o najnowsze wpisy. Sprawa, o której pan mówi, nie dotyczy mnie, a spółki.

– Pana spółki – nie ustępowałem.

– Ale nadal nie mnie osobiście. Owszem, mam świadomość tego, że pan Sobkow doprowadził do pewnych... – zawahał się – opóźnień w uruchomieniu mechanizmu, który miał dać zwrot na poczynionej przez V4 inwestycji. Niemniej nie poczuwam się do odpowiedzialności za jego błędy.

– Niech zatem pokryje pan straty K-Mer Corp z innych źródeł.

Ani jeden mięsień nie drgnął w jego niegroźnej, roślinożernej twarzy.

– Powtarzam panu: nie brałem tych pieniędzy. Ani nie brałem pieniędzy, ani nie spiskowałem przeciwko gubernatorowi, jeśli o tym też chce pan porozmawiać! – Roześmiał się. – Nic nie ukradłem, więc nie mam nic do oddania.

– Pan Daniłow jest odmiennego zdania.

– Zatem możemy spotkać się, Daniłow i ja, a wytłumaczę mu, że jest w błędzie.

– Lepiej byłoby, żeby pan te pieniądze po prostu oddał.

Westchnął i pokręcił głową, wyraźnie rozbawiony.

– Nie brałem tych pieniędzy, panie Aleksandrze, zatem nie oddam. Pan ma sprawę do firmy, nie do mnie. Ja nie jestem czarodziejem, trzydziestu milionów z kapelusza przecież nie wyciągnę.

– Czego miała dotyczyć inwestycja, którą zarządzał Sobkow?

Zawahał się, poruszył ustami.

– To był typowy instrument krótkoterminowy. Nic, co miałyby wpływać na naturę zobowiązań zaciągniętych przez spółkę.

– Jeden z wielu podobnych instrumentów, zdaje się. Tam przewijały się o wiele większe pieniądze.

– Tak. – Spojrzał mi prosto w oczy. – Ale nie moje, więc nie miałem do nich dostępu. I nadal nie mam. Gdyby nie to, że utracono moją spółkę gazyfikacyjną, to V4 spłaciłaby zobowiązania po tygodniu. Stało się, jak się stało. Proszę składać zażalenia do gubernatora.

– Zatem twierdzi pan, że nie odda tych pieniędzy?

– Ja niczego nie twierdzę, panie Aleksandrze. Nie mam ani co, ani z czego, ani komu oddawać.

Facet był zapętłony na kilkunastu wrytych głęboko w mózg komunikatach i nie było możliwości, żeby go wybić z utartych kolein myślenia. Nie dziwota: wyglądał na kogoś, kto rano staje nago przed lustrem i przez kwadrans wali konia, krzycząc sam do siebie, że da radę, świat należy do niego, a on jest zwycięzcą.

Znałem takich, i niestety wiedziałem, jak potoczy się dalej scenariusz.

On chyba jeszcze nie.

No cóż, tym bardziej niemiłe będzie zaskoczenie.

Rozmowa nie miała sensu, więc pożegnałem się kulturalnie. On od razu zmienił ton: tak, dziękuję, zapraszam. Zawsze miło porozmawiać, proszę koniecznie pozdrowić pana Daniłowa. Jak tylko V4 odzyska aktywa od spółki Sobkova, możemy rozmawiać o spłacie.

Słowem, jedno wielkie nic: typ przychodzi grać w pokera, zamiast kart ma w ręku etykiety wycięte z pudełek po kanapkach, a na pożegnanie mówi, żebyśmy zagrali znów.

Zjechałem windą, już stojąc u stóp budynku, zadarłem głowę i popatrzyłem w górę: wydawało mi się, że widzę jego apartament, rozjarzony światłem. Pewnie piją teraz szampana, zaraz się będą gzić, a ten zjeb będzie się gapić, jak przez folię na brzuchu jego laski

widać poruszającego się...

Potrząsnąłem głową: nie. Nawet nie chciałem o tym myśleć. Po prostu nie.

Wsiadłem do samochodu, zerknąłem na zegarek: dochodziła dziesiąta, idealnie. Akurat w pół godzinki dojadę na miejsce, rozsiadę się i będę czekał na naszą panią naukowic.

Olga. Jakie zwarte, krótkie, a zarazem mocne i dźwięczne imię!

Kawa o wpół do jedenastej wieczorem to nie do końca typowy napój, ale powiedziała, że dopiero wtedy skończy pracę, ogarnie się i dotrze na miejsce. Poza tym, jak to ujęła? „Po NeoSybirsku zdecydowanie milej jeździ się nocą”?

Nie powiem, jest w tym sporo racji.

Byłem w połowie drogi, kiedy umysł z pewnym opóźnieniem połączył kilka obrazów, które do tej pory błąkały się po obrzeżach świadomości.

Kiedy wyszedłem z SybirTower, po drugiej stronie ulicy stało dwóch typów, ćmiących papierosy. Dokoła pusto jak w głowie polityka, a oni sobie stoją i palą.

Kiedy wsiadałem do samochodu, to ruszyli gdzieś pospiesznym krokiem.

A teraz od pewnego już czasu miałem w lusterku wstecznym te same podłużne światła tego samego wozu.

– Szszlag... – mruknąłem, skręcając nagle w boczną uliczkę na pomarańczowym świetle.

Może to moja nadmierna ostrożność, może już paranoja. No gadało dwóch typów... Tak samo jak tamci, których widziałem na osiedlu. No jechał sobie tą samą drogą samochód. Normalna rzecz przecież.

Ale dla trzydziestu baniek to i ja bym mógł kogoś...

Zrobiło mi się gorąco: światła pojawiły się w oddali, samochód zjechał w ten sam skręt, ale już na czerwonym.

Przyspieszyłem, silnik warknął głośniej, wkręcając się na obroty. Tamci też dodali gazu.

Cholera, miałem ogon.

– Mapa! – rzuciłem nieco zbyt szybko i nerwowo, komputer nie rozpoznał polecenia. – Mapa! Dawaj mapę, złomie... Mapa!

Przedemną zamigotał hologram siatki ulic, czerwona kropka oznaczyła moją maszynę.

Zobaczmy, na ile dobrze znają miasto.

Wyskoczyłem znów na główną arterię Ippodromskiej, potem, wciąż nabierając prędkości, zawinąłem w Chmielnickiego,

prowadząc ich ku starszym dzielnicom.

Był nie jeden, a dwa samochody, uświadomiłem sobie. Pewnie chcieli mi zajechać drogę i odciąć wyjazd.

– Nie uczcie ojca dzieci robić! – warknąłem.

Mieli mocne maszyny, bo zaczęli się zbliżać. Ja szczególnie nie gazowałem, ale w tej chwili chodziło o coś innego: musieli mieć wrażenie, że mnie dogonią. Że liczy się tylko to, żeby skrócić dystans, że muszą być jak najbliżej.

Oj, byli dobrzy. Co najmniej jedna załoga miała porządnego asystenta jazdy, bo mieścili się pomiędzy innymi wozami dosłownie o grubość lakieru, wyprzedzali agresywnie na trzeciego, nierzadko wciskając się na przeciwległy pas ruchu.

Ja tylko podkręciłem muzykę i wcisnąłem gaz do dechy.

Rozświetlone iluminacją domy NeoSybirska przelatywały obok mnie kolorową smugą, neony na ulicach zlewały się w pojedynczą wstęgę. Samochody zdawały się stać w miejscu, gdy doganiałem je i zostawiałem za sobą, po czym znikwały w lusterku, połykane przez zmniejszającą się perspektywę.

Dawno, dawno tak nie jechałem przez nocne miasto!

Ostry wiraż, rzeczy na tylnym siedzeniu poleciały z hurgotem i brzękiem najpierw na jedne, potem na drugie drzwi, gdy na granicy poślizgu wyprowadziłem merca na prostą.

Tak, już widziałem, że tamci mieli napęd na przód, amatorzy. Hamowanie przed skrętem, potem nadrabianie na prostej; moje gumy tylko piszczwały, siwy dym ciągnął się za rufą wozu, gdy wchodziłem bokiem w kolejne skrzyżowania.

Prawie mnie mieli. Już widziałem we wstecznym lusterku twarze kierowcy i pasażera bliższego samochodu... Sukinsyn, otworzył szybę z prawej i wystawił broń!

Zawinąłem ostro w lewo i prawo w tej samej chwili, gdy pistolet bluznął płomieniem. Kula przeniosła, poleciała gdzieś w wielomilionowe miasto, zapewne trafiając w szybę, czyjs samochód albo fasadę nowo odrestaurowanego budynku. Ostro grają!



Kolejny zakręt, długa prosta, a na jej końcu rondo.

Znałem je doskonale, bo lata temu robiliśmy tutaj z moją dawną ekipą drifty. Idealnie równy, idealnie bezsensowny okrąg asfaltu z kolejnym nikomu niepotrzebnym pomnikiem pośrodku. Jedna droga dojazdowa, trzy, teoretycznie odchodzące od niego, zaślepione betonowymi blokami. Tak samo od lat.

Spojrzałem w lusterko, minimalnie zwolniłem. Kolejny strzał, wydawało mi się, że kula gwizdnęła niebezpiecznie blisko... Skurwysyny, nie odpuszczali!

Drugi samochód jechał nieco z tyłu, wysuwając się na sąsiedni pas ruchu. Słabszy silnik sprawił, że brakowało im trochę odległości, ale i tak skutecznie blokowali mi wyjazd.

Myśleli, że mają mnie w potrzasku, że nie ucieknę.

Wpadłem na rondo, skręciłem fajerę, depnąłem gaz i szarpnąłem ręczny. Opony zawyły jak potępione, mercem zarzuciło w lewo, potem w prawo, gdy zdołałem nie wlecieć w krawężnik.

Kolejny błysk strzału z daleka, ale ja już schowałem się za piedestałem pomnika generała, któremu domalowaliśmy kiedyś

rumieńce na twarzy i cycki na spizowym mundurze. Złapałem za wiszące bezużytecznie pasy, przemocą wcisnąłem sprzączkę w nieużywany zaczep.

Gaz, trzymać kierownicę! Któreś koło straciło przyczepność, podbiło mnie w górę, ostra kontra, jakoś zmieściłem się na wewnętrznej łuku, wyskoczyłem niczym z procy na drugą stronę. Teraz mieli mnie jak na widelcu, akurat dojeżdżając do ronda.

Mieli rację – to faktycznie był ślepy zaułek, a ja mogłem wyłącznie wyskoczyć z powrotem na nich.

Tylko że trzeba być skończonym debilem, żeby pchać się w takie miejsce za starym, wkurwionym wilkiem.

Przód pierwszego samochodu właśnie wysuwał się z uliczki, kiedy ja byłem na wysokości zjazdu, którym wpadłem na rondo. Drugi wóz już zwalniał, stając bokiem, żeby zagrozić mi wyjazd.

Ale ja nie miałem zamiaru z tego ronda zjeżdżać.

Zorientowali się o ułamek sekundy za późno, kiedy już włączyłem długie światła i wcisnąłem gaz do dechy, lecąc wprost na nich.

– Legio Patria Nostra!* – ryknąłem na cały głos motto bojowe z Afryki.

Przez chwilę widziałem ich twarze, niemalże białe w snopach światła moich reflektorów, a potem dwuipółtonowy mercedes z całą siłą pierdolił w drzwi od strony kierowcy.

Huknęło, jakby ktoś kopnął duże kartonowe pudło, zabrzączało tłukące się szkło. Poduszki wystrzeliły wszystkie naraz, w ułamku sekundy zamieniając wnętrze mojego wozu w miniaturową zgniatarkę. Serdecznie przypieprzyłem twarzą w wypełniony gazem materiał, a świat nagle zrobił się dziwnie cichy i odległy.

Poczułem, że jestem obok tego wszystkiego.

Doskonale znałem to uczucie, wiedziałem, skąd się bierze, jakie są objawy, jak długo potrwają... To jak z upojeniem alkoholowym: wiesz, że masz w czubie, i co z tego? Nic na to nie poradzisz. Ciało zdaje się należeć do kogoś innego, mózg przesiada się z fotela kierowcy na tylne siedzenie pasażera.

Jak wtedy, w Afryce, kiedy dostałem.



Pamiętałem to jak dziś: nagle upadam na ziemię, odgłosy

strzelaniny cichną. Patrzę na dziurę w brzuchu, chcę zatamować krwawienie, ucisnąć ranę... Ale prawa ręka jest tylko krwawym ochłapem, z którego wystają nierówne kawałki kości.

Leżę tak i myślę: koniec. Już po mnie. Pozamiatane, Saszka. Nie wrócisz, nie zobaczysz żony, nie przytulisz...

I wtedy nachyla się nade mną Kulas, który wtedy jeszcze nie był Kulasem. Wtedy to był młodszy kapral Wasilij Stepanovich, który razem ze mną uciekł z Federacji za granicę, żeby zaciągnąć się do Legii.

Nachyla się, zarzuca mnie sobie na plecy jak worek kartofli i zaczyna biec.

Gdyby nie Kulas, tobym się tam wykrwawił. Zdechłbym, a jakieś czarnuchy pastwiłyby się nad moim trupem, nagrywając to wszystko na tanie kamerki internetowe.

Jednak nie zdechłem, bo Kulas mnie wyciągnął.



Tylko że tutaj go nie było, a ja musiałem wydostać się sam.

Namacalem klamkę, otworzyłem drzwi i wytoczyłem się na zewnątrz. Gaz już uchodził z poduszek, pachniało gorącym metalem i topiącym się plastikiem, w oczy biły migające chaotycznie światła awaryjne. Nogi miałem jak z waty.

A mimo to musiałem działać. Właśnie dlatego musiałem działać, bo tamci byli w nie lepszej formie.

Mercedes wbił się w bok ich wozu solidnie, aż miło było popatrzeć. Siła uderzenia odrzuciła samochód dobre trzy metry i obróciła wokół własnej osi tak, że stali do mnie lewym tylnym skosem. Drzwi od strony kierowcy praktycznie przestały istnieć, widziałem wiszącą w pasach na przesuniętym w bok fotelu kukłę z głową zwieszoną pod nienaturalnym kątem.

No tak, uderzenie boczne – przed tym mało co chroni. Szczególnie kiedy twoim samochodem jest jakieś nowoczesne, ultraekonomiczne i dzięki temu bardzo szybkie, poliwęglanowo-aluminiowe, pełne elektroniki, ważące może dziewięćset kilogramów gówienko. Możesz mieć poduszki, proszę bardzo. Poduszka powietrzna, owszem, zamortyzuje twoją inercję.

Ale nie zatrzyma wzmocnionego wewnętrznym orurowaniem, obłożonego w tłoczoną z blachy żelaznej maskę

dwunastocylindrowego silnika mercedesa, wsadzonego w dodatkową klatkę antyuszkodzeniową, który po prostu przebije się i przez burtę twojego samochodu, i przez twoją poduszkę, i przez ciebie.

Nie mam pojęcia, kto jeździł tym samochodem wcześniej, ale musiał mieć ciekawe życie, wnosząc po zaszpachlowanych przestrzelinach w karoserii. Ja tylko, można powiedzieć, dokończyłem jego dzieło, dodatkowo wzmacniając i tak już solidny pojazd.

Sięgnąłem za pazuchę, wyciągnąłem pistolet. W samą porę, bo pasażer z rozbitego wozu wygramolił się na zewnątrz i właśnie przesunął mi po oczach czerwonym promieniem wskaźnika laserowego.

Nie to, że zanurkowałem – po prostu rymsnąłem na ziemię.

Huknął strzał, szyba w drzwiach merca pokryła się drobną siateczką pęknięć i osypała mi na głowę deszczem ostrych odłamków.

– Ty skurwielu! – zawyłem, dając ognia dwa razy praktycznie na oślep i wybijając szerokie dziury w miękkiej blasze wrażego samochodu. – Ty wiesz, jak trudno dostać do tego części?!

Tamten strzelił ponownie, kula brzęknęła o asfalt może metr od mojej głowy.

Zaraz zjawi się tu tamten drugi i wezmą mnie w krzyżowy ogień, a wtedy marny mój los.

Zerwałem się, w biegu dałem ognia, rozbijając dwie szyby w drzwiach pasażerów i przypadkiem zamieniając głowę i tak już martwego kierowcy w mielonkę. Soczewka bojowa wyświetlała migoczące komunikaty po francusku, wskaźnik miotał się, próbując zidentyfikować cel, rudymmentarny program taktyczny pokazywał potencjalne trajektorie strzałów.

Strzał, strzał, strzał!

Znów rzuciłem się szczupakiem, przetoczyłem na bok, szorując barkiem o nagrzaną słońcem asfalt, wyjechałem ślizgiem z za maski rozbitego samochodu.

Stał tam, wystawiając przed siebie pistolet z przedłużonym magazynkiem.

Dobrze wyczuł miejsce, gdzie mogę się pojawić, ale celował nieco zbyt blisko samochodu i przedniej szyby – myślał, że pójde na łatwisnę i będę biec. Że się będę oszczędzać.

Odruchowo zaczął ściągać spust, widząc ruch.

Dwa pistolety bluznęły ogniem jednocześnie.

Jego strzał poszedł wyżej, nade mną, posyłając kolejną kulę w parną neosybirską noc.

Mój precyzyjnie tam, gdzie zastygł migający wskaźnik celu na soczewce.

Trafiłem go w mostek, stanowiący najpewniejszy cel dla programu kalkulującego prawdopodobieństwo skutecznego strzału.

Prawie dwustugramowy pocisk o heksagonalnie naciętym czubku musiał grzybkować już na kości, bo dosłownie poderwał mężczyznę w powietrze, przemielił jego płuca i oskrzela, po czym wyszedł plecami, zabierając ze sobą sporą część górnego odcinka kręgosłupa.

Palce trupa zacisnęły się konwulsyjnie, jego pistolet raz jeszcze bluznął ogniem, głucho jęknęła przestrelona tuż obok mojej nogi karoseria samochodu.

Ten z drugiego samochodu lada chwila...

Właśnie wypadł skądś z boku, pojawił się dosłownie znikąd i kopnął mnie prosto w pysk. Chciałem skierować na niego lufę, ale przechwycił moje przedramię, szarpnął – strzał poszedł w bok.

No tak, miałem cybernetyczną rękę, owszem. Ale tylko od łokcia w dół, więc reszta nadal działała na zwykłych mięśniach. Miałem nadzieję, że będzie próbował wyrwać mi broń, ale trzymał twardo, odciągając rękę na bok. Przed twarzą błysnął mi długi ząbkowany nóż.

O, panie dzieju. Niedobrze.

Wypuściłem pistolet, wykręciłem dłoń i chwyciłem go za nadgarstek, jednocześnie próbując nie pozwolić mu, by mnie zadzgał jak prosiaka.

Był silny i chyba dopakowany hormonami, bo przygniatał mnie samą masą, wił się i rzucał, usiłując znaleźć słabe miejsce w obronie. Wbiłem mu kolano w pachwinę, ale on tylko sapnął, zaszumiły ukryte gdzieś pod skórą zbiorniczki ciśnieniowe, pompujące bojowe dopalacze.

Ironiczne, nie? Zostać zabitym przez gościa, który mógł w sumie jechać na moim towarze.

Nóż był coraz bliżej mojego gardła, milimetr po milimetrze podsuwając ostrą jak brzytwa krawędź ku miękkiej skórze.

– Dobranoc – wycharczał zabójca, czując już krew.

A wtedy ja złamałem mu lewy nadgarstek.

Tak po prostu pomyślałem o tym, w którą stronę powinna poruszyć się moja cybernetyczna dłoń, a ona to zrobiła. Nie to, że odznaczała się jakąś szczególną siłą albo zdolnościami bojowymi;

miała taką siłę jak normalna ludzka. Tylko że bez ludzkich ograniczeń, a zrobiona była z metalu.

Wystarczyło.

Chrupnęło paskudnie, lewa dłoń typa wykręciła się pod takim kątem, że każdy gitarzysta musiałby spojrzeć na to z zazdrością. Syntadrenalina nie stłumiła bólu, niedoszły oprawca zaskowyczał i minimalnie rozluźnił chwyt.

Puściłem jego okaleczoną rękę, podbiłem ramię z nożem i trzasnąłem go z byka prosto w nos. Odepchnąłem od siebie, zrzuciłem tak, że poleciał plecami na karoserię samochodu, osunął się po słupku od strony pasażera.

Szansa jedna na milion.

Wyprężyłem się i wciąż leżąc na asfalcie, z całej siły kopnąłem obiema nogami w otwarte drzwi samochodu, które z impetem poleciały na zawiasach, aby zatrzaskać się we właściwym miejscu.

Tyle tylko, że pomiędzy nimi a ramą samochodu była ludzka głowa.

Trzasnęła kość, typ zawył dziko z bólu, szarpnął się cały, ale ja kopnąłem jeszcze raz, uderzając dokładnie tak samo, jak młotkiem do łupania orzechów. I jeszcze raz! I jeszcze...!

...poczułem, jak coś mi pęka w okolicy podbrzusza, zaboląło jak cholera...

I znów, i jeszcze raz!

W końcu opadłem na ziemię, dysząc ciężko. Tamten drgał w konwulsjach, z pękniętej głowy sączyła się krew przemieszana z szarawym płynem, jucha waliła mu z nosa i uszu.

– Dobranoc, chuju – wysyczałem, czując, jak przy każdym oddechu boli mnie podbrzusze.

Niedobrze. Niedobrze. Niedobrze.

Drżącymi rękoma obmacałem kurtkę. Nie, nie trafili mnie, nie dźgnęli, ale coś tam było pod spodem. Coś niedobrego, jak krwiak albo guz, albo cholera wie co. Coś paskudnego, co bolało, ciągnęło, odbierało mi dech w piersiach...

Niemalże płacząc z bólu, rozpiąłem suwak, kurtka strzeliła na bok – a spod koszuli pokazało się COŚ.

Jakby mi nagle obok pępka wyrósł drugi żołądek. Albo, nie wiem, głowa niemowlaka. Przez cienką, naprężoną skórę przebijało coś czerwono-fioletowego, tak cholernie bolesnego, że czułem, jak zwieracz pęcherza zaczyna się poddawać.

– Kurwaaa...! – zajęczałem, próbując wstać.

Nie no, nie ma szans, chyba pęknę.

Przytomnie zabrałem z asfaltu pistolet, za trzecim razem wsunąłem do kabury. Na poły czołgając się, kraćkając na czworaka i kuśtykając zgięty w pół, zdołałem dojść do samochodu. Przesunąłem się bokiem po wgiętej masce, po kilkuset kilometrach i paru latach cierpienia dotarłem do drzwi kierowcy... Wpadłem do środka, pomiędzy sflaczałe poduszki, i chyba dopiero wtedy popuściłem.

– Kurwa, kurwa, kurwakurwaaaa...

Nawet nie zamykałem drzwi, po prostu włączyłem silnik. Odpalił, odpalił... Cud! Ruszyłem powoli, drzwi siłą inercji przymknęły się, ja tylko je dociągnąłem.

– Nawigacja... szpital... – wysapałem. – Najbliższy.

Tak, mogłem zadzwonić. Tak, przyjechałoby po mnie. I co? Co bym powiedział? Jak wytłumaczyć trzy trupy, w tym jednego z dziurą po kuli z pistoletu, którego nominalnie nie miałem?

Każdy ruch był galaktyką bólu. Na pierwszym zakręcie gryzłem wargi do krwi, na drugim popłakałem się.

Czułem, jak coś próbuje się ze mnie wydostać.

I obawiałem się, że wiem, co to.

Ja sam, chcący wywrócić się na lewą stronę.

Nawigacja rzeziła coś, komputer pokładowy wyświetlał ostrzeżenia we wszystkich odcieniach oranżu i czerwieni, soczewka bojowa dostawała pierdolca.

Czułem, jak odpływam.

Wreszcie dotoczyłem się na podjazd szpitala, gdzie celowo dałem gazu i wbiłem się w tył stojącego w zatoczce ambulansu, a potem pozwoliłem sobie zamknąć oczy i pogрузić w otchłani półzapomnienia, pełnej ostrego, kłującego bólu.

Dość szybko rozległy się głosy, ktoś otworzył drzwi do samochodu, zaczął świecić mi w twarz latarką, wołać coś do innych, potrząsnął mnie za ramię... Zajęczałem rozdzierająco, trzymając się za podbrzusze.

Wyciągnęli mnie, ułożyli na noszach, ktoś podwinął koszulę i gwizdnął przeciągle. Nacisnął delikatnie wokół wystającej mi z brzucha głowy niemowlaka – aż szarpnąłem się, zawyłem z bólu.

Zaczęli deliberować, co ze mną zrobić. Przybiegła ochrona, zjawiała się milicja. W końcu ktoś przytomnie przytknął mi do nadgarstka przenośny czytnik.

– Prywatnie? Czy na powszechną opiekę? – zapytał.

Spróbowałem odpowiedzieć, ale nie dałem już rady, popukałem tylko ręką w czip: prywatnie.

Od razu się wszystko ruszyło. Pojawili się sanitariusze, błyskawicznie wtoczyli mnie do środka, wwieźli windą na górę... Potem ktoś zaczął mnie rozbierać, ja prawie zemdlałem w trakcie. Wkłuli mi coś, chyba przeciwbólowy, zadawali pytania o jakieś bzdury, na które oczywiście nie byłem w stanie odpowiadać.

W końcu pojawiła się nade mną oślepiająco biała, okrągła lampa stołu operacyjnego.

Miałem już przymknąć oczy i zapaść w błogi niebyt, kiedy lampę zasłoniła twarz.

Owszem, miał na głowie ten zabawny, zielonkawy czepek. Tak, usta i nos zasłaniała maseczka z gazy. Ale poznałem go po oczach. I widziałem, że on też poznał mnie.

– Nie, nie... – zajęczałem, kręcąc głową. – Ja nie chcę...

Typ, który parę dni temu przyhamował mi przed maską. Ten sam, którego zepchnąłem na pobocze, zwymyślałem i któremu groziłem bronią.

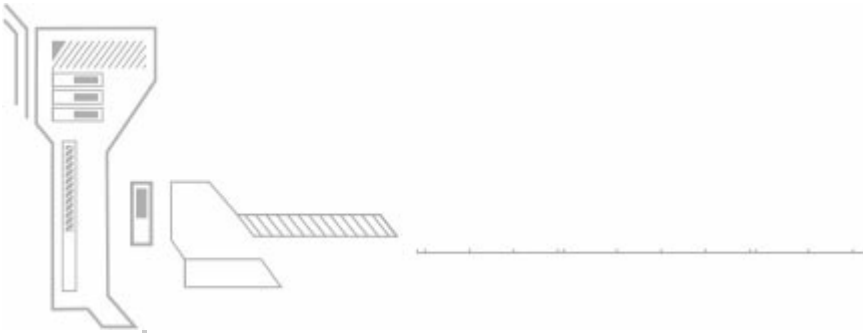
Teraz w fartuchu chirurga.

Uśmiechnął się i spojrzał na kogoś stojącego po drugiej stronie stołu.

– Wyłączcie go – powiedział.

A potem odpłynąłem.

* Legia naszą ojczyzną. (przyp. red.)



Służby zjawiły się bardzo szybko, lecz nawet pomimo akcji ratunkowej mężczyzny nie udało się...

...ubiegłej nocy. Podpalenie zarejestrowały kamery drona monitoringu, lecz...

...wyrób medyczny, który odmieni twoje życie! Teraz, już, dziś, zaraz! Zadzwoń, napisz, zaprogramuj swoją przyszłość!

...rewolucyjna kuracja antynowotworowa twoją jedyną szansą na uniknięcie nieuniknionego.



Obraz był tak rzeczywisty, jakby to zdarzyło się wczoraj.

Świat się trzęsie, podskakuje w rytm kroków niosącego mnie młodszego kaprała Stiepanowicza. Widzę strzęp swojej prawej ręki, który też trzęsie się i podskakuje, przy każdym ruchu tryskając krwią, ściekającą po poszarpanych tkankach, plamiącą klimakurtkę i ściekającą na bok wzmacnianych spodni kaprała.

Świat jest gdzieś obok, nierealny, odległy, nieistniejący.

Wiem, że Stiepanowicz nie zdąży. Nie ma szans, żeby mnie doniósł. Fizycznie nie ma szans. Wóz medyczny jest za daleko, a ja krwawię jak zarzynane prosię.

Mimo to on biegnie dalej, sadząc długie, sążniste susy tymi swoimi potężnymi kulasami.

Jesteśmy już przy wozie, podbiegają ku nam ludzie – i wtedy dzieje się coś dziwnego.

Stiepanowicz po prostu łamie się w pół, przewraca i leci na ziemię. Ja też lecę na ziemię, uderzam barkiem o kamienie. Leżę tak, widzę nieco bliżej kikut swojej prawej ręki, a dalej Stiepanowicza. Konkretnie połowę Stiepanowicza, bo druga leży obok. Jakby ktoś wziął ludzika z ciasta i rozerwał na pół.

Potem powiedzieli mi, że musiał go trafić snajper z wukaemu. Wypatrzył nas sobie, palant czarny, i pewnie chciał ustrzelić dwóch jedną kulą. Ale musiał mieć źle wyregulowany celownik i kula poszła za nisko, prosto w miednicę niosącego mnie przyjaciela i towarzysza broni.

Stiepanowicz jakimś cudem przeżył, chociaż potem wielokrotnie powtarzał, że nie powinni byli go ratować. Że wolałby zginąć jako bohater, niż żyć jako kaleka.

Ja też przeżyłem. I też wielokrotnie powtarzałem mu, że

wolałbym zginąć, niż żeby miało stać się coś takiego.

Jednak życie to kurwa i chuj, więc w dupę sobie możemy wsadzić nasze życzenia.



Obudziłem się na sali pooperacyjnej. Odruchowo sięgnąłem lewą ręką ku prawemu przedramieniu: proteza była na miejscu. Uff, więc to nie ta sala, nie ten raz.

Nadal musiałem być nieźle ućpany, bo rzeczywistość pływała i falowała. Oczy przymykały się same, potem zrobiło mi się zimno, zacząłem się trząść... Usta miałem spękane, język przyrósł do podniebienia chyba na stałe, gardło jakby mi ktoś piachem przesypał.

Powoli, bardzo powoli odzyskiwałem zdolność logicznego rozumowania.

No dobra, byłem w szpitalu. Poprzedni wieczór, strzelanina, tamci trzej... I nagły ból podbrzusza. Nawet teraz czułem tam opatrunki, ale cokolwiek było pod nimi, miało już normalny, zbliżony do płaskiego kształt mojego brzucha.

– Dzień dobry! Jak się czuje nasz pacjent? – rozległo się od drzwi.

Nie, nie, to nie mogła być prawda. Błagam, niech to nie będzie prawda. Powoli obróciłem głowę, spojrzałem na lekarza w białym kitlu.

To była prawda.

Typek podszedł do mnie, absolutnie fachowo podniósł kołdrę. Sprawdził, czy cewnik dobrze siedzi, odkleił opatrunek. Obejrzał to, co najwyraźniej pod tym opatrunkiem było. Przeczytał na doczepionym do łóżka monitoru najnowsze wyniki badań.

– Pan Aleksander Khudovec. – Uśmiechnął się do mnie. – Miło móc przypisać nazwisko do twarzy. Ja się nazywam Rumiancev, Igor Rumiancev. Jak pan widzi, jestem lekarzem chirurgiem i miałem przyjemność pana operować.

– Panie doktorze...

– Tym większą, że operacja zakończyła się pełnym sukcesem. Miał pan dość paskudny przypadek *hernia umbilicalis*, czyli popularnej przepukliny. Na całe szczęście szybka akcja mojego zespołu pozwoliła zniwelować problem, śmiem twierdzić wręcz, że bezszwowo.

– Panie doktorze, ja muszę...

– Musi pan jeszcze trochę odpocząć. – Uśmiech nie schodził z jego twarzy. – W zasadzie to dziś wieczorem mógłbym już wypisać pana do domu, ale chyba dla pewności potrzymamy pana do jutra rana. Siatka nie daje zazwyczaj odrzutów, jednak akurat przez ten czas wchłonie się pięknie i zrośnie. Chce pan zobaczyć?

Opadłem na poduszkę, kiwnąłem tylko głową. Ściągnął opatrunki, zadowolony z siebie pokazał na mój wysmarowany antyseptykiem, wygolony na gładko brzuch.

No fakt, była tam niewielka, różowawa kreska blizny po spajaniu tkanek. I trochę bolało dokoła, ale nic poza tym.

– Widzi pan? Jak nówka sztuka. To co, da pan radę poleżeć do jutra?

– ...tak.

– Dam panu naklejkę, o. – Wyciągnął z kieszeni elastyczną płytkę, położył mi obok ręki. – Może pan sobie przyczepić w samochodzie, żeby wszyscy wiedzieli, jak pan odważnie znosi trudy życia.

– Ja... – spróbowałem po raz ostatni, ale on tylko uśmiechnął się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Wymacałem płytkę, podniosłem ku twarzy.

Na tle flagi Federacji stał ubrany w mundur, zadowolony z siebie, kreskówkowy zwierzak. Bodajże wiewiórka, chociaż ostatnie wymarły w naszej okolicy dobre piętnaście lat temu. Wiewiórka trzymała nowy karabin systemu Kałasznikowa, a pod nią widniał napis: „Dzielny pacjent”.

Opadłem na poduszkę, zamknąłem oczy.

Dawno nie zostałem tak upokorzony. Gorzej się chyba już nie da.

Okazało się, że da – wieczorem pielęgniarka przyniosła mi basen i twardo czekała, aż coś w niego zrobię.



Nazajutrz rano dostałem wypis, wraz z nim kluczyk do szafki, gdzie znalazłem swoje ciuchy. Nawet uprali i wyprasowali wszystko, buty nigdy nie były takie czyste, koszula aż pachniała... I klimakurtkę mi oddali do renowacji! Nic, tylko do szpitala się kłaść!

Pod złożonymi w kosteczkę ubraniami leżał rachunek. Przeczytałem kwotę, mina od razu mi zrzedła. No nieźle.

W tym tempie zadatku od Daniłowa nie wystarczy mi do

pierwszego, a przecież lipiec już się kończył.

Zapiąłem na ręce zegarek, tylko pobieżnie przejrzałem listę wiadomości i nieodebranych połączeń. No tak, cały dzień wczoraj dobijał się do mnie sam Daniłow, wysłał nawet kilka gniewnych tekstów, że jak nie mam czasu odebrać, to może on nie będzie miał czasu mi zapłacić.

No i wiadomość od Olgi. „Wygląda na to, że są rzeczy ważne i ważniejsze”. Ani słowa więcej.

Kurwa.

Miałem już zacząć odpisywać, ale odpuściłem sobie. Po kolei. Najpierw wróćmy do domu.

Odebrałem samochód z przyszpitalnego parkingu, uiściłem niemały rachunek za postój. O dziwo, pistolet był pod siedzeniem, gdzie zdążyłem go wrzucić, nim na dobre odpłynąłem.

Na wyjeździe podpisałem kwity dla milicji, zeznałem krótko: dostałem ataku przepukliny, żeby nie obciążać systemu opieki zdrowotnej, sam dowiozłem się pod szpital. Straciłem panowanie nad pojazdem, uderzyłem w ambulans. Tak, pokryję straty, oczywiście, a potem będę się chandryczył z ubezpieczycielem o zwrot.

Wreszcie ruszyłem w drogę.

Podbrzusze, owszem, nadal ciągnęło, ale to było nic w porównaniu do bólu sprzed dwóch dni. Dotykałem wrażliwego miejsca przez kurtkę, sprawdzając, czy boli i czy czuć tę siatkę... Nie, gdzie tam! Może minimalnie coś tam odstawało, i tyle.

Zaparkowałem cokolwiek rozbity wóz na swoim miejscu, skinąłem ekipie nierobów, dzisiaj walących piwo w resztkach parku po drugiej stronie ulicy. Ostrożnie, powoli wszedłem po schodach.

Nawet nie będę opisywał tego, co Kusto zrobił z mieszkaniem przez dwa dni mojej nieobecności. Po co się denerwować jeszcze raz?

Powoli, nie przesilając się, tak jak przykazał lekarz, posprzątałem wszystko. Posprzątałem nawet nieco więcej, przygotowałem trochę śmieci do wyniesienia, posegregowałem stare rzeczy. Wyczyściłem lodówkę. Umyłem łazienkę.

Dopiero kiedy blok po drugiej stronie ulicy rozjarzył się łuną powoli zachodzącego słońca, usiadłem na kanapie, żeby dogonić świat.

Zadzwoiłem do Daniłowa. Odebrał dopiero po piątym sygnale, witając mnie od razu stekiem wyzwisk.

– ...kurwa! Ja was wszystkich nachuj powypierdalam!

Darmozjady, lenie, bumelanci! – darł się niebieski ludek. – Przepadają na dwa dni, ani słowa! Co to ma być w ogóle! Jakim prawem, ja was znajdę, nogi z dupy powyrywam!

– Byłem u Valenty.

Umilkł od razu. Sapnął ciężko.

– Nie mówili wam, że starszym niegrzecznie jest przerywać, Aleksandrze Wasiliczu? Nie nauczyła mama w domu, hę?! Bo jak nie to, to ja was zaraz...

– Jak od niego wyszedłem, chcieli mnie zabić.

Za drugim razem podziałało. Przysunął się bliżej, jego twarz zajęła cały hologram.

– Ale nie zabili.

– Nie – potwierdziłem oczywiste.

– Zuch, towarzyszu kapitanie! He, he, he! – roześmiał się nagle, klepnął w stół, aż zahuczały głośniki. – At, miałem rację, że to lepsze ziółko, ten Valenta!

Uśmiechałem się, kiwając głową. Bo co miałem mu powiedzieć? Że owszem, próbowali mnie stuknąć, ale na sto procent w zupełnie innej, niepowiązanej sprawie? I że potem trafiłem do szpitala jak jakiś dziadek, co się zesrał, podnosząc walizkę na przystanku? Przecież mnie ukrzyżuje ten człowiek.

A tak nawet go nie okłamałem.

– Byłem w szpitalu, ale już w porządku. Tamtych trzech było, trzech zlikwidowanych.

– Zuch! Mój chłopak, dobrze! – pochwalił Daniłow, ale zaraz się skrzywił. – Chociaż, jednego mogliście wziąć żywcem.

– Trzech było, towarzyszu dowódco. – Zdecydowałem się go polechtać w miękkie podbrzusze. Widać, że podziałało, bo uśmiechnął się jak podrapany za uszami kot. – Dwa pistolety, jeden nóż bojowy. Nie chciałem zabijać, ale tak wyszło.

– I dobrze. Niech wiedzą nasi wrogowie, że to nie przelewki! – Uderzył pięścią o dłoń.

– Jutro podejmuję działania. Mam do umówienia spotkanie z osobowym źródłem informacji, insiderem w jednej z firm.

Znów nie było w tym ani słowa nieprawdy.

– Pieniądzy wam starcza? – nagle zapytał Daniłow.

– Tak – odpowiedziałem z trudem. Miało się jeszcze swój honor.

– Dobrze. Gdyby coś, cokolwiek było potrzebne, to powiadamiacie. Ja wszystko pokryję. Och, i jeszcze jedno. Towarzyszu kapitanie?

– Tak jest?

Zdjął okulary, zajął w kamerkę, patrząc wprost na mnie.

– Ja ten dług z firmy wezmę na siebie. Rozumiecie? Bo przez tego złodziejaska, tego Valentę, po raz pierwszy od piętnastu lat mamy stratę i nie będzie dywidend dla udziałowców. W mojej firmie! I ja teraz swoimi pieniędzmi zapłacę co do grosza!

– Tak... – przełknąłem ślinę – jest.

– Bo dla mnie, towarzyszu kapitanie, trzydzieści milionów to tyle, co splunąć! O! – Dmuchnął w pięść, rozwierając palce i pokazując pustkę pomiędzy nimi. – Dla mnie to nie są pieniądze. Ale teraz, teraz to ja widzę, że chodzi o zasady. Mojego człowieka zaatakowali? Wojna!

– Wojna... – powtórzyłem.

– Więc zbierajcie siły, Aleksandrze Wasiliczu. I działajcie z umiarem, wedle zapotrzebowania, bo to już nie firmowe, a moje pieniądze będziecie wydawać. – Uśmiechnął się tak szeroko i słodko, że aż mnie coś zabolalo w żołądku. – A ja za swoimi pieniędzmi na koniec świata pójdę. Nikomu nic nie zabierać, ale swojego ani okruszka nie pozwolić wziąć!

– Tak jest...

– A teraz do dzieła! Odpoczywajcie, a jutro do walki. Zawsze naprzód i ani kroku wstecz! Bez odbioru.

Rozłączył się, zostawiając mnie samego z Kusto.

No dobra, okej. Czyli... co? Udało mi się zamieść pod dywan swoje równoległe ciemne sprawy za cenę antagonizacji oligarchy, który teraz był przekonany, że atak wymierzono przeciwko mnie jako jego wysłannikowi. W dodatku odebrał to osobiście i zamierzał wrzucić w ten burdel trzydzieści baniek własnej gotówki.

– „Z umiarem, bo to moje wydajecie, a ja za swoim na koniec świata pójdę” – powtórzyłem sobie jego słowa.

Nie miał pewnie nic złego na myśli, w każdym razie nie dla mnie. Mimo wszystko zabrzmiało to złowieszczo. Bo jeśli przepieprzę jego hajs, to potem ja będę mu winien.

Pięknie. Coraz piękniej.

Otworzyłem komunikator, przewinąłem nieprzeczytane wiadomości do tej jedynej, która mnie interesowała. „Wygląda na to, że są rzeczy ważne i ważniejsze” – przeczytałem znów. Już miałem coś odpisać... Ale zupełnie nie wiedziałem ani co, ani jak.

Zamiast tego zacząłem mozolnie, jeden po drugim czytać i odpowiadać na pozostałe czaty. No tak, człowieka nie ma dwadzieścia cztery godziny, a tutaj od razu dramat... Opa, to ciekawe było, od Cesarza: „Chudy, uważaj na siebie, serio, bo ja

mam ogon”.

Rychło w czas takie dobre rady. No cóż, ale to przynajmniej zawęzło krąg ludzi, którzy mnie chcieli utłuc: chodziło o nasze sprawy, a nie o trzydzieści milionów.

W każdym razie jeszcze nie.

Włączyłem już w zasadzie siłą przyzwyczajenia wykresy od Daniłowa, zacząłem w tę i we w tę obracać trójwymiarowe struktury siatek powiązań. Dopiąłem do nich informacje niedawno otrzymane od Kulasa. Rozłożyłem szerzej do tej pory spłaszczoną strukturę spółek zależnych. Odsunąłem na bok laboratorium.

Valenta był nie w ciemię bity, umiał się maskować. Widać, że to typek, co trzyma karty przy orderach, nie zostawia żadnych luźnych końców, za które można by złapać. Wszystko było czyste, z punktu widzenia firm autentycznie nie miałem do czego się przyczepić. No więc skoro nie firmy, to co?

Ludzie.

Myśl była tak genialna w swej prostocie, że aż potrząsnąłem głową. Faktycznie! Mógł się zabezpieczyć przed podobnymi prześwietleniami, ale na jego orbicie na pewno znajdowały się osoby, które byłyby dla niego kluczowe. Przecież nie daje się takiej spółki quasi-zależnej byle komu, nie? No nie!

Nie daje się i już. Wypiszesz komuś pełnomocnictwo, dasz mu prawo do podejmowania decyzji w twoim imieniu, a on – co? Oczywiście, że od razu cię wydyma.

Morał był prosty: komuś musiał ten Valenta nie to, że ufać, ale zawierzać swoje sprawy. I tego kogoś trzeba teraz znaleźć.

Zacząłem przełączać firmy na skład osobowy, pozmieniałem poszczególne nazwiska na różne kolory. Znów mozolna dłubanina, kawałek po kawałku, jedno po drugim. No ale co miałem lepszego do roboty? Przecież nie będę się...

Co miałem lepszego do roboty?

Westchnąłem, włączyłem komunikator. Wybrałem kontakt do panienki naukowiec i wstukałem krótkie: „Przepraszam. Nieprzewidziane okoliczności zewnętrzne. Dostanę drugą szansę?”.

Wysłałem. Odczytała prawie od razu. Nie odpisała nic.

No i chuj, no i cześć.

Zatopiłem się w pracy, zrobiłem tylko przerwę, żeby nakarmić Kusto i samemu coś zjeść. Rzut oka na komunikator: nadal nie odpowiedziała.

Firmy, struktury, spółki podległe. To była niezła układanka, ale dało się zauważyć logikę: on sam nazywał kolejno zakładane byty

prawne wedle określonego klucza, zazwyczaj dodając do nich dookreślenia. M4Investments, M4Group, M4Tech. Potem inny rzut: MVInvest, MVGroup, MVTech. Przy czym te najciekawsze, w których zbiegało się najwięcej nitki, nazywały się w ogóle nijak. No nie wiem: Corvette. Albo chociażby Osaka Bay.

I właśnie tam, w tych siedzących pośrodku małych pajęczynki pozornie pustych spółkach, zaczęło najpierw pojawiać się, a potem powtarzać jedno nazwisko. Gennadij Piliarski.

– Gennadij Piliarski... – Uśmiechnąłem się do ekranu. – No dzień dobry panu.

Typ był idealnym pasażerem. Zawsze na tylnym siedzeniu, zawsze jako wice- albo współ-. Miał funkcje może i mało istotne, ale dające mu ciągły wgląd w działalność spółki. Świetnie posadowiony pilnowacz, przekazujący polecenia od faktycznego szefa do komórek wykonawczych.

Dlaczego nie on był prezesem czy dyrektorem? Ano dlatego, że dzięki temu nie musiał się nigdzie podpisywać. Nie było go widać w rejestrach czynności prawnych, a co najważniejsze, za nic nie odpowiadał.

Tamci to byli pionki wystawione na bicie; on był figurą, dowodzącą frontem.

Wstukałem na szybko wiadomość do Kulasa, wrzuciłem tam tylko nazwisko typu. On zrozumie, zacznie kopać, a ja po wyniki przejadę się do niego już osobiście.

Na dobranoc wyczyściłem pistolet, nieużywany aż tak intensywnie od lat, i doładowałem amunicją. Tak mnie kusilo, żeby chlapnąć sobie chociaż szklaneczkę czystej!

Ale nie, powtórzyłem sobie: nie. Pora schudnąć, ogarnąć nałogi.

Zerknięcie na komunikator: cisza.

Naciągnąłem na siebie koc i skuliłem się na kanapie. Przez odsłonięte okno lała się błękitnawa poświata tańczącej nad NeoSybirskiem trującej zorzy.



Obudziło mnie wpadające przez okna szarawe światło nowego, podobno radosnego dnia.

Spojrzałem na zegarek: szósta rano.

– Kuurrrr... – zmełłem przekleństwo.

Zwlokłem się z kanapy, próbując ogarnąć: co się stało? Dlaczego, po co wstałem tak potwornie wcześniej? Nigdy mi się to nie zdarzało...

A, no tak: położyłem się na trzeźwo.

Kusto przybiegł, ciesząc się jak głupi. O tej porze to mnie nie widział już kilka lat, i ja jego też nie, prawdę mówiąc... Przykucnąłem przy psie, chociaż jeszcze trochę zachowawczo, żeby nie nadwyrężyć skądinąd ładnie zamkniętej rany.

Bolało mnie wszystko. Wypadek, walka, potem jazda w stanie połowicznej agonii z bólu, kolejna stłuczka, zabieg. Trochę tego było. A mimo to nie czułem się źle. Bolało, owszem, ale mięśnie jak gdyby mówiły: żyjesz.

Wyszliśmy z Kusto na spacer, wyniosłem śmieci, wyrzuciłem część przygotowanych toreb z dużego pokoju. Było nawet ładnie, jeszcze nie gorąco. Szarobłękitne niebo pomiędzy blokami dopiero nabierało intensywności barwy, w dolinach ulic nadal panował zbawczy chłód. Ludzie już kręcili się po ulicach, od pobliskiej arterii prospektu niósł się narastający szum.

Gdyby jeszcze dodać tutaj zielone drzewa, trawę i śmigające po niebie ptaki, zmyć graffiti ze ścian, byłby to letni poranek taki, jaki zapamiętałem z dzieciństwa.

Ażbym sobie pobiegał, szczerze powiedziawszy, ale słowa lekarza o nieprzesilaniu się jakoś mi utkwily w pamięci. Dlatego też zrobiliśmy tylko wolną rundkę po dzielni. Kusto wysrał się w piaskownicy. Ja tęsknie popatrzyłem na pordzewiałe drążki do ćwiczeń. Wróciliśmy do domu.

Przekopałem szafki, znalazłem coś, co nawet nie było pseudomięsem ani pseudoserem. Wyciągnąłem z otchłani lodówki nieotwarty kartonik mleka sojowego, zalałem geometryczne płatki śniadaniowe zrobione ze sprasowanej skrobi i nie wiedzieć czego jeszcze.

Grzebiąc łyżką w miseczce i przeżuwając pozbawioną smaku breję, zacząłem dalej myszkować po spółkach Valenty.

No tak, potwierdzało się: ten Piliarski musiał być dla Valenty powiernikiem, prawą ręką albo wręcz skarbnikiem. A tacy ludzie zawsze wiedzą, gdzie leżą pieniądze.

Piknął komunikator: o, Kulas! Co on, nie spał całą noc, że o takiej porze pisze? Wyświetliłem wiadomość: „Przyjeżdżaj, ale dopiero pod wieczór, muszę odpocząć”. Czyli faktycznie dopiero się kładł. Na szybko odpowiedziałem: „Nie ma sprawy, będę koło szóstej”.

Wyłączyłbym, ale wzrok ześliznął się na wczorajszy czat. Moja

wiadomość, wysłana, dostarczona, odczytana...

Już miałem powiedzieć, że olana, kiedy okienko zapulsowało i pojawiła się odpowiedź. Z bijącym sercem puknąłem palcem w ekranik. Sapnąłem ciężko.

„No trudno, bywa. Tak pomyślałam właśnie. Dziś o tej samej porze?”

Prędko wysłałem uśmiechniętą buźkę, wstukałem: „Super, ojej, dzięki wielkie! Tak, tym razem będę na pewno”, i w ogóle, i no ten, teges.

Wysłałem, odetchnąłem z ulgą: przynajmniej jedna sprawa naprostowana.

Było tak idiotycznie wcześnie, że nawet nie wiedziałem, co się o tej porze robi. Z ćwiczeniami jeszcze przerwa, na Kulasa czekam, tam cisza, tam spokój...

Kusto zaskowytał, wymownie popatrzył w kierunku wciąż zagraconego pokoju.

– A pomożesz chociaż? – zapytałem.

Od razu wlaźł na swoje posłanie i schował łeb pod kocem. Ja, niestety, nie miałem tej możliwości, więc podniosłem cztery litery z kanapy i powlokłem się ku mojej prywatnej stajni Augiasza.



Zanim się obejrzałem, południe przyfrunęło i przeleciało obok, pora niedoszłego obiadu minęła nie wiedzieć kiedy, podwieczorek nieśmiało zaskrobał do drzwi łapą Kusto, którego pęcherz już ledwie-ledwie się trzymał... Dochodziło wpół do szóstej, kiedy w końcu z ciężkim jęknięciem opadłem na kanapę.

Byłem wykończony, ale przynajmniej sypialnia znów zaczynała przypominać sypialnię. Popakowałem i wywaliłem wszystkie stare, niepotrzebne ciuchy, stare i być może potrzebne poustawiałem w workach koło śmietnika. Wymiotłem kurz, przetarłem skromny księgozbiór, nawet umyłem podłogę.

Pot ciurkiem leciał mi po plecach, w krzyżu ciągnęło dzikim bólem, mięśnie jakby mi ktoś ostrzyknął solą. A przecież nie robiłem nic takiego! Ot, trochę się poruszałem.

Zapaściłem się, taka była prawda.

Wreszcie wbiłem pod prysznic, naciągnąłem na grzbiet świeży podkoszulek. Wyprowadziłem Kusto, skasowałem i napisałem nowe

oświadczenie, wreszcie odpaliłem cokolwiek sfatygowanego mercedesa i ruszyłem do Kulasa.

Trochę się mojemu automobilowi oberwało, nie ma co. Nie mówię już nawet o wgiętej masce czy karoserii... To było nieistotne, bo wszystko trzymało w kupie wypawane ze stali wewnętrzne orurowanie.

Ale przestrzelina? Trafił go któryś sukinkot, trafił i przedziurawił! W przednich drzwiach pasażera ziała dziura na wylot, aż świzczało powietrze, kiedy jechałem. Od środka było jeszcze gorzej, a kula utkwiała w oparciu fotela.

Wepchnąłem w dziurę kawałek szmaty, którą zazwyczaj woziłem pod fotelem, ale i tak widziałem, że tam jest.

– Szmata w moim pięknym mercu! – warknąłem, zjeżdżając z obwodnicy. – Szmata w dziurze w moim pięknym mercu. Skurwiele, niedojebańcy!

Więcej w tym moim gadaniu do siebie było strachu niż agresji.

No, fakt pozostawał faktem: blisko było. Naprawdę blisko. Gdyby zamiast jechać za mną, robić te wszystkie cyrki, próbować urządzić pościg po ulicach miasta, po prostu do mnie strzelili, jak wychodziłem z SybirTower – to umarł w butach, trup na miejscu.

A tak żyłem, jechałem sobie moim starym gruchotem. Zaś tamtych pewnie właśnie przewozili z milicyjnej kostnicy do zakładu utylizacji.

Pod blokiem Kulasa jak zwykle nie było miejsc, więc porzuciłem brykę byle gdzie i ostatni odcinek drogi pokonałem piechotą, dźwigając torby z zakupami. Tym razem pod klatką też stało kilku lokalnych ćwoków, ale kulturalnie przepuścili mnie, jedynie otaksowawszy. Któryś chyba skomentował klimakurtkę, ale na szczęście drzwi już się zamknęły, więc doleciało do mnie tylko kilka początkowych, gardłowych sylab.

Załomotałem do pancernych drzwi, kamera jak zwykle obróciła się, spojrzała ciekawskim okiem. Zamek zgrzytnął i szczęknął, wpuszczając mnie do okratowanego przedsionka.

– Hej, Kulas, zaopatrzenie przyszło! – zawołałem.

Skanery przesunęły się w górę i w dół, szcztując i analizując strukturę moich tkanek, w końcu odezwał się wewnętrzny brzęczyk. Ściągnąłem buty, potupałem do legowiska, w którym czaił się już najlepszy spec od wywiadu elektronicznego, jakiego znałem w całym NeoSybirsku.

– Chudy, ja zaczynam podejrzewać, że ty po prostu lubisz do mnie przychodzić – przywitał mnie gospodarz, zajadający właśnie

bieda-pilaw z plastikowego pudełka.

– Prawdziwy? – Pokazałem palcem na parujący ryż z kawałkami czegoś.

– Na tyle, na ile się da. Twoje szczęście jest moim szczęściem, a że faktycznie ostatnimi czasy zjawiasz się często... Chcesz? Zamówiłem dwa pudła po dziesięć sztuk, dowieźli niedawno.

Potrząsnąłem głową.

– Nie, nie lubię wieprzowiny, nawet fałszywej. I co z tym Piliarskim?

Kulas mlasnął, wywołał kilka obrazów na holoprojektorze.

– Ciekawy typ. Wygląda na zawodowego ogarniacza firm, pośrednika i powiernika. Widzisz to? Lista spółek, które zarejestrował przez ostatnie trzy lata.

Nachyliłem się do ekranu, cmoknąłem z uznaniem. Było tego parędziesiąt sztuk jak nic, porozrzucanych po całej Federacji.

– Zobacz na to. – Kulas pokazał na kilka spółek po kolei.

– Jialininggele. Musi być nieźle ustawiony, żeby pod tym adresem mu pozwalali się zakładać.

– On tam mieszka. Tutaj jest jego samochód z tego roku, tu sprzed dwóch lat. Obydwa na RU39 zarejestrowane.

Gwizdnąłem z uznaniem. No tak, najdalej wysunięty na zachód okręg naszej pięknej, dumnej Federacji, istny przyczółek prawdziwych wartości, otoczony zewsząd siłami zgniętego Zachodu. Nasz lokalny raj podatkowy i miejsce, gdzie przewalały się naprawdę duże pieniądze.

Miejsce, które dla mnie również było mocno szczególne. Miałem związanych z nim sporo wspomnień, zarówno dobrych, jak i bolesnych... A teraz pojawiła się też iskierka zupełnie niespodziewanej nadziei, że może będzie okazja tam pojechać.

– Masz adres typa?

– Do znalezienia. Jak rozumiem, będzie ci potrzebny bilet do kompletu? Bo już zacząłem przeglądać, jak można załatwić.

– A dałbyś radę zamówić... transgraniczną?

– Rozmowę? Ja nie. Ale znam kogoś.

– Nie wiem, co ja bym bez ciebie zrobił, Kulas. – Poklepałem go po plecach z nieudawanym uznaniem. Kulas odwrócił się do mnie, przekrzywił głowę.

– Nie miałbyś ręki. A nie, poczekaj: i tak nie masz, więc na jedno wyszło. Za to co ja bym bez ciebie zrobił, hm... Na spacer bym sobie poszedł. Dupę bym sobie podtarł, a nie brzuch. Ruchał laski naprawdę, a nie tylko w wirtualu.

Tak, między innymi dlatego przestałem do Kulasa przychodzić. Często żartował ze swojego kalectwa, a ja zawsze miałem wrażenie, że każdy jego żart jest podszyty wszechogarniającym, przejmującym żalem.

Żalem do mnie, rzecz jasna.

– Kulas. Bez ciebie to ja bym tam zdechł, rozumiesz? Uratowałeś mi życie. – Przykucnąłem obok jego fotela, nie zwracając uwagi na wiszący obok worek cewnika.

Odsunął się ode mnie, machnął ręką.

– Tak sobie tylko gadam, Chudy. To samo byś dla mnie zrobił, no nie?

– Wiesz przecież, że tak.

Chyba tak. Nie wiem. Nikt tak naprawdę nie wie, dopóki się w danej sytuacji nie znajdzie. Nie lubiłem takiego naginania hipotetycznej prawdy o sobie, ale co zrobić? Tak się w Legii odpowiadało, tego oczekiwali towarzysze broni, to człowiek sam chciał usłyszeć.

– No więc nie pierdol smutów, Chudy. Skąd miałem wiedzieć, że tamta mała do mnie strzeli? Nie wiedziałem. Czy gdybym wiedział, postąpiłbym inaczej? Też nie wiem. Na szczęście nie muszę nad tym myśleć. I ty też nie powinienes.

Jakbym słyszał własne myśli. I jak tutaj nie cenić takiego człowieka?

– Coś jeszcze ciekawego o Piliarskim? – zapytałem, żeby zmienić temat.

– Jest jeden ciekawy myk. Nie uwierzysz, ale typ ma paszport. I korzysta z niego.

Gwizdnąłem przez zęby. No, no, no... Czyli kolega był wyjazdowy! Nie dziwota, że właśnie w Jialiningele sobie siedział, bo tylko stamtąd latały samoloty na Zachód.

– Zrzuć mi info na niego. To, co już masz, i to, co możesz jeszcze znaleźć – zażądałem. – I wiesz co, Kulas... Przewietrz tutaj czasami. Posprzątaj.

Spojrzał na mnie dziwnie.

– Chudy, brałeś coś? – zapytał po prostu.

– Nie, ale przestałem pić i palić.

Pokiwał głową z uznaniem.

– Gratuluję. Jeszcze przejdź na wegetarianizm i zacznij co niedziela biegać do cerkwi. Co to za jedna?

Westchnąłem, pokazałem mu zdjęcie w sieci społecznościowej.

– Fajna – skwitował.

– Ano.

– I co, pewnie wstydzisz się mieć takich znajomych. Że niby ja też powinienem być czyściutki i pachnący, jak przyjdziecie na ślub prosić?

– Kulas, odpierdol się, dobrze? Po prostu patrzę na ciebie i dupę żal mi ściska, że taki spec jak ty mieszka w takim syfie! Że człowiek, który miał na tyle jaj, żeby mnie wynieść spod ognia, w tej chwili myśli i mówi o sobie, jakby był półtrupem! Nie toleruję takiego myślenia i nie pozwolę ci tutaj po prostu zgnieć!

Te ostatnie słowa po prostu wykrzyczałem. Nie wiem, co mnie tak nagle uderzyło, ale wezbrała we mnie żółć, gromadzący się latami smutek i złość.

Nie na niego: na siebie. Na to, że przypomniałem sobie o kapralu Stiepanowiczu dopiero wtedy, kiedy stał mi się potrzebny.

Kulas ze stoickim spokojem wytarł z policzka kropelkę mojej śliny, uśmiechnął się smutno. Pokiwał głową, poklepał mnie po prawej ręce, w której nie miałem ani trochę czucia.

– Ja też cię lubię, Chudy. I dobrze cię widzieć. Każę potem Szelobie posprzątać trochę, okej?

– Okej – burknąłem, ukradkiem ocierając oko wierzchem dłoni.

Nigdy nie rozumiałem, dlaczego po prostu zaakceptował to, co się stało. Okej, bioniczne nogi były potwornie drogie, o tym wiedziałem doskonale. Tak, w jego przypadku była też kwestia uszkodzeń kręgosłupa... Ale przecież to wszystko dało się zrobić! Nie brakowało mu przecież pieniędzy, skoro miał w domu taki sprzęt.

A on po prostu tkwił w tym, wsadzony w niklowaną miszkę, zapadający się coraz głębiej w otaczającą go mierzwę i świat wirtualny. Ucieczka, wyparcie? Na pewno.

Mógłbym go obsobaczyć od góry do dołu, powiedzieć coś mądrego. Tyle tylko, że sam też od wielu rzeczy uciekałem i byłoby mi głupio go pouczać – tym bardziej, że Kulas by to zauważył i od razu mi wytknął.

– Znajdę ci lot, jeśli chcesz się tam pokręcić i poszukać. Może od razu wzięłbyś dla mnie jedną rzecz? – Kulas przeleciał po kolejnych ekranach swoich spraw na holorzutniku. – O, ten moduł, widzisz? Bo mają tam dostawcę, ale typ nie chce tego wysyłać aż do nas.

– A czemu nie do Moskwy? Stamtąd by ktoś odebrał.

– Bo tam kradną paczki. – Wzruszył ramionami z rozbijającą szczerością.

– Da się zrobić, jeśli nie jest to nic gabarytowo dużego ani szczególnie nielegalnego. Bo nie jest, prawda? Nielegalne?

– Powiedzmy, że nie kupisz tego w Federacji, ale za posiadanie nic ci nie grozi. To na kiedy ten bilet? Najwcześniej znajdę na... – Zsunął gogle na oczy, pomachał rękoma w powietrzu. – Na dziś wieczorem. Akurat się spakujesz i polecisz. Ostatnie miejsce, niedrogo.

Zawahałem się. Jeśli drugi raz wystawię Olgę, to trzeciego nie będzie.

– Nie.

– Nie. No dobra. Wybredni się zrobiliśmy... To kolejny dopiero pojutrze. Pasuje?

Pokazał mi cenę. Do tego hotel, jedzenie droższe nawet niż u nas, przejazdy, inne wydatki. No cóż, jeśli Daniłow pokryje wydatki, to było mnie na to stać.

O ile Piliarski faktycznie tam był, ale musiałem jakoś to sprawdzić.

– Rezerwuj – zdecydowałem. – Jakies lokum, do tego transport na miejscu.

– Się robi, towarzyszu kapitanie. Saszka...

– Hm?

– Nie daj się zabić.

Spojrzałem na Kulasa, ale on był już po czubek głowy zanurzony w Strumieniu, patrząc i dotykając czegoś zupełnie innego. Ze mną był tylko jego głos i słuch, pozostałe zmysły hulały po przestworze wirtualnego świata Federacji.

– Nie mam zamiaru – mruknąłem. Co innego miałem powiedzieć?

– Wiesz, ten Valenta, Sobkow, cała ta układanka... Pogrzebałem w tym kierunku trochę.

– I...?

Uniósł gogle, popatrzył na mnie.

– Tam się przewijają poważni ludzie, Chudy. Bardzo poważni, bardzo wpływowi ludzie. Nie bezpośrednio, nie w tej twojej konstelacji...

– Orbicie – poprawiłem.

– Dla mnie może być nawet galaktyka, bez znaczenia. Valenta to w sumie zwykły aferzysta, jak na to patrzę, ale ten drugi to grubsza ryba.

– Na szczęście zatem już pływa brzuchem do góry. Coś jeszcze? Bo jak nie, to...

Urwałem, czując wibrację z komunikatora. Zerknąłem na wyświetlacz: Cesarz. Wygrzebałem z kieszeni zakurzony wsad cichomówiący, wcisnąłem w ucho, podniosłem jeden palec

i spojrzałem na Kulasa: chwilę, okej? Ten tylko zrobił gest: nie krępuj się.

– No co tam? – rzuciłem pozornie beztroskim głosem, jednocześnie czując, jak strach ściska mnie za gardło. Cesarz nigdy do mnie nie dzwonił, o ile nie działo się coś naprawdę poważnego.

– Chudy, przyjedź do mnie na Świątynię – zatrzeszczał głos w słuchawce. – Jak najszybciej.

– Cesarz, nie wiem, czy...

– Już.

Po prostu się rozłączył. Kulas musiał zobaczyć moją minę, spojrzał pytająco, ale ja tylko pokręciłem głową: nie trzeba.

Rozliczyliśmy się, zabrałem nośnik z kolejną porcją informacji i czym prędzej pognałem do Cesarza.



Jechałem swoim mercem powoli, wręcz ostrożnie, rozglądając się na lewo i prawo.

W tych rejonach NeoSybirka bywałem rzadko, i to nie dlatego, że nie miałem tu nic do roboty. Po prostu była to jedna z tych dzielnic, których starałem się aktywnie unikać.

Spod niemalże wchodzących na drogę budynków obserwowały mnie zarazem wystudiowane obojętnym, jak i niezobowiązująco wrogim wzrokiem pary oczu o najróżniejszych krojach i odcieniach. Skośne, półksiężycowate, schowane pod charakterystycznymi fałdami powiek albo znów wielkie i brązowe, połączone wydatną kreską włochatej monobrowi.

Wedle oficjalnej linii propagandy byliśmy kulturowym i etnicznym monolitem; jeśli komuś chciało się czytać konstytucję, to zaczynała się od słów: „My, naród wieloetniczny”. „Federacja nie potrzebuje mniejszości, to one potrzebują Federacji” – podobno powiedział kiedyś nasz Prezydent.

Nie wiem, co musiał wtedy ćpać.

Uzbecy, Kazachowie, Czeczeni, Azerowie, Ormianie, Gruzini, Polacy, Ukraińcy, Turcy... A przede wszystkim Chińczycy.

I jeszcze trochę Chińczyków.

I znów Chińczycy.

Wszechobecni, drobni, skośnoocy. Dla mnie jednakowi, jak z jednej sztancy. Kupujący we własnych sklepach, jedzący we

własnych restauracjach, wysyłający dzieci do własnych szkół. Mówiący własnym językiem.

Powoli, rok po roku, kilometr po kilometrze, miasto po mieście kolonizują całą Syberię.

Jeszcze w latach mojej młodości mówiło się, jak to Chińczycy wchodzili na dziko przez granicę. Jadą sobie pogranicznicy terenówką przez las, a tu nagle przecinka. A na przecince żółtki rzną drzewa, korują i ładują na ciężarówki, dalej stoją już baraki dla robotników, tartak, przenośna kotłownia.

No co, mieli do nich strzelać? Jeden patrol przeciwko kilku tysiącom ludzi? Zresztą, nawet jakby wezwali armię, to nic z tego – zanim nasi przyjeżdżali po dwóch, trzech dniach, to tamtych już nie było. Sam miałem kilka takich interwencji w czasach służby w milicyjnym specnazie, że wbijamy desantem, a tam tylko wielkie łyse pole i pniaki po drzewach. Sto hektarów? Pięćset?

Potem zaczęli wchodzić na nasze pola. Brali ziemię w dzierżawę na trzy lata i tak ładowali nawozów, że zbierali urodzaj po kilka razy w roku. Półtorametrowe zboże, dynie po dwadzieścia kilo. Rząd się cieszył, że to cud, że tacy mądrzy ci Chińczycy... A oni wypalali ziemię tymi nawozami na metr w głąb i przenosili się na kolejną działkę, zostawiając nam nieużytek.

Teraz pól już nie było, lasy dawno wycięto, więc przestawili się na ostatnie, co nam pozostało: podbój miast.

Cesarz był inny. On był z normalnej szkoły, uczył się w mojej klasie, gadał po rusku, pił wódkę i palił szlugi w szóstej klasie. Tak, powtarzał, ma na nazwisko Yeong, ale na imię już Dima. I on nie jest ani ruski, ani żółty, tylko miejscowy.

Minąłem najgorsze getto, w końcu dotarłem do prawie-że-normalnej dzielnicy niższych bloków i drobnego przemysłu, w której mieściła się Świątynia.

Przybytek stał wciśnięty pomiędzy zakład augmentacyjny a warsztat mechanika samochodowego – w zasadzie idealny target dla klienteli Cesarza. Już jak podjeżdżałem, widziałem, że kilku stojących pod wejściem karków taksuje mojego mercedesa, pokazuje na coś palcami, komentuje... Zwolniłem demonstracyjnie, zatrzymałem się i opuściłem szybę, patrząc na nich wymownie.

Jeden oderwał się od grupy, rozkołysanym krokiem podszedł do mnie, schylił się do okna i oparł wielką łapą o drzwi. Widziałem, jak ustawił się bokiem – pewnie wzmocniony kręgosłup nie pozwalał mu na normalny zakres ruchów. Wielka, brodata twarz też przechyliła się, zajrzała przez opuszczoną szybę.

– Dima jest? – zapytałem krótko. Jeszcze lepiej by było, jakbym mu dmuchnął w twarz dymem z papierosa, ale przecież rzuciłem.

Osilek zmierzył mnie wzrokiem, na chwilę zawiesił spojrzenie na nonszalancko rozpiętej kurtce i wystającej spod niej rękojeści pistoletu.

– Pan Yeong jest u siebie – zadudnił.

Pokazałem na pusty kawałek chodnika nieco dalej.

– Można tu zaparkować?

Typ wzruszył ramionami, wysunął się z okienka. Zawinałem przed śmietnikiem, idealnie wpasowując się pomiędzy kontener a poobtłukiwany słup latarni. Powoli wysiadłem z merca i rozejrzałem się, celowo niespiesznym ruchem zapinając kurtkę. Niech wiedzą miejscowe szumowiny, że przyjechał ktoś, kto się ich nie musi bać.

Och, bałem się. To naturalna reakcja organizmu, pozwalająca uwolnić adrenalinę i przyspieszyć reakcje w sytuacji zagrożenia. Tylko durnie się nie boją.

Natomiast wiedziałem, że tutejsi są jak bezdomne psy – przynajmniej te, których nie zęzarli jeszcze żółci – i zaatakują, kiedy tylko wyczują strach.

Popchnąłem ciężkie, żelazne drzwi z szybkością z kuloodpornej pleksi i wszedłem do Świątyni.

W pierwszej chwili niemalże odbiłem się od wiszącego w środku powietrza. Uderzyło mnie w twarz niczym obite grubym materiałem siedzenie stołka, z którego właśnie podniósł swój spasiony tyłek wielki, spocony grubas. Na chwilę zwolniłem, poczułem, jak oczy zaczynają łzawić... Ale zebrałem się w sobie i zacząłem przeć naprzód niczym kanalarz przedzierający się przez sięgającą mu do piersi zawartość kolektora ściekowego.

Zapach był... – no, nie do pomylenia z czymkolwiek innym.

Ciężka, dusząca woń przyklejonego do podłogi potu, przesyconego wychodzącymi przez skórę sterydami, anabolikami i syntetycznymi hormonami.

Smród zakiszonych skarpet i przyklejonych do stóp rozchodzonych butów.

Subtelny aromat naskórka, wtartego w radełkowane uchwyty sztang.

Zabrzęczały opuszczane obciążniki, załomotały odstawiane na podłogę hantle. Potężne, dalece tylko przypominające ludzi sylwetki wstawały z ławeczek i odrywały się od wspomaganych hydraulicznie maszyn w miarę, jak zagłębiałem się coraz bardziej

w halę jednej z najbardziej nielegalnych siłowni NeoSybirska.

Same siłownie były jak najbardziej zgodne z przepisami. Każdy ma prawo ćwiczyć, nieprawdaż? Normalna rzecz, że jak ktoś nie ma uczciwej pracy, to musi coś cały dzień robić.

Anaboliki i sterydy również nie stanowiły w dzisiejszych czasach niczego niezwykłego. Przecież chyba nikt nie wierzył, że ci wszyscy ludzie doszli do takiej formy wyłącznie ciężką pracą i wyrzeczeniami, co nie? Gdyby tak było, to mistrzowie kulturystyki wywodziliby się z odlewni aluminium.

Wszczepy i augmentacja... no cóż. Ten temat już był poruszony.

Tak więc: żadne z trzech powyższych nie stanowiło rażącego naruszenia prawa, etyki ani zdrowego rozsądku.

Ale jeśli połączyć je w jedno – niech nas Bóg ma w opiece.

Typ, obok którego przechodziłem, właśnie podnosił jedną ręką sześćdziesięciokilogramowy hantel, pocąc się przy tym tak, że woda dosłownie się z niego lała przez skórę. Siedzący przy nim skośnooki technik patrzył z zadowoleniem na podłączoną do wszczepów swojego pacjenta stację diagnostyczną, pokazującą wykresy obciążenia i wydajności syntetycznych mięśni, delikatnie regulując pokrętełami ciśnienie w poszczególnych zespołach tkłków.

To było jak warsztat tuningowania, tylko że tutaj wszczepiało się czipy na silnik, montowało wtryski nadtlenu azotu i wykręcało na maksymalne obroty nie samochody, a ludzi.

– Czego? – Drogę zastąpił mi wielki, włochaty Czeczen z dwiema mechanicznymi rękami i całym zestawem siłowników na barkach.

Ci ludzie tutaj nie pieprzą się w tańcu, pomyślałem sobie. Ciekawe, czy na szczególnie ważne wyjścia woskowali się na gorąco, doczepiali sobie na barkach spojery i montowali specjalnie poszerzone, chromowane końcówki odbytu?

– Cesarz dzwonił. Kopę lat, Timur.

Czerń zarostu w dolnej części twarzy Timura rozdzieliła się, ukazując dwa rzędy złotych zębów. Olbrzym klepnął mnie po ramieniu, ja mimo wszystko odwzajemniłem uśmiech. No cóż, pewnie będę miał siniaki.

– Jest na zapleczu, bracie, razem z resztą. – Odsunął się, wyciągnął chromowaną rękę ku drzwiom.

– Resztą?

– Zobaczysz sam. Masz broń, bracie?

Skinąłem tylko zdawkowo głową, wyjąłem pistolet i oddałem. Zważył go w rękę, nawet pokiwał z uznaniem: wreszcie coś, co nie tonęło w jego ogromnej dłoni.

Wyminąłem go i coraz szybszym krokiem wszedłem na tylne pokoiki tego znamienitego przybytku ciała, które rzekomo jest świątynią ducha. Przeszedłem przez skład nieoznakowanych puszek i torebek, minąłem kolejnego z generycznych skośnych, napełniającego jednorazowe naboje iniektorów. W końcu kiwnąłem głową ochroniarzowi i bez pukania władowałem się do gabinetu Cesarza.

Oj, było źle.

Było bardzo, bardzo źle.

To stało się jasne, kiedy pierwszą rzeczą – nie osobą przecież – jaką zobaczyłem, okazał się Trzydziestyczwarty. Zakuty w pomalowaną na zielono stal olbrzym ustawił się zaraz za biurkiem Cesarza, dymiąc z rur wydechowych chodzącego na jałowym biegu silnika. Skrzywił się, kiedy wszedłem, spojrzał na siedzącego na kanapie Wołka.

Wołek, czyli człowiek od mokrej roboty, rozwalony na wytartej pseudoskórzanej sofie w tym swoim nienagannie skrojonym, szarym garniturku.

Przy stoliku bracia Welmir, zajmujący się dystrybucją i ochroną dostarczanego Cesarzowi towaru.

Poza tym jeszcze podpierający ścianę Zheng, będący podobno kuzynem Cesarza.

Wycior, pełniący rolę nadwornego rusznikarza i zbrojmistrza.

Walera, zajmująca się spinaniem całego aparatu administracji w działającą całość.

I kilku mniej istotnych ludków, których znałem z widzenia.

Słowem, niemalże cała zorganizowana grupa przestępcza, wulgarnie nazywana „gangiem” albo wręcz „bandą”. Niemalże.

– Chudy, dobrze, że jesteś. – W głosie siedzącego w wielkim, dopasowanym do jego gabarytów fotelu Cesarza niemalże było słycać ulgę. – Możemy zaczynać.

Skinąłem wszystkim po kolei, podałem rękę najbliższemu. Kogoś brakowało.

– A gdzie... gdzie Gawryła? – zapytałem.

– Gawa nie będzie i właśnie dlatego tu jesteśmy. Walera, bądź tak dobra...?

Światła przygasły, zaszumiał grzejący się holoprojektor. Po chwili ze skrzyńeczki na suficie spłynął w dół trójwymiarowy obraz.

– To są zdjęcia, które dostałem dzisiaj. Dostarczone kurierem, nadane w centralnym urzędzie pocztowym bez adresu zwrotnego. Zrobione, jak rozumiem, wczoraj. Razem ze zdjęciami dostaliśmy to.

Patrzyłem na przeskakujące obrazy: ulica, samochody, ludzie. Nagle jedna z maszyn zajechała drogę innej, zatrzymuje się. Przez otwarte drzwi wyskakują ludzie, zaczynają niemalże na oślep strzelać do stojącego za nimi wozu. Szyba pokrywa się pajęczkami pęknięć, w masce wykwitają dziury.

– Zatrzymaj – rzuciłem przez ściśnięte gardło.

Walera spauzowała, ja podszedłem do hologramu. Pokazałem palcem na jeden fragment:

– Powiększ to, proszę.

Nie musiałem pytać o szczegóły, bo sytuacja mówiła sama za siebie. Samochód z tyłu należał do Gawryły i dlatego Gaw nie weźmie udziału ani w tym, ani w żadnym innym spotkaniu. Ktoś po prostu, brutalnie, na rympał go rozwalił w biały dzień. I to rozwalił nie z byle czego.

Walera zaznaczyła fragment, wrzuciła na przybliżenie, wyostrzyła. Przykucnąłem, żeby jeszcze upewnić się w tym, co i tak było dla mnie oczywiste.

Pokazałem palcem na trzymany przez jednego z zamachowców karabin.

– To jest AK-X – powiedziałem.

Bracia Welmir poruszyli się, żywo zainteresowani. Trzydziestyczwarty zawarczał coś, głos odbił się głucho od stalowego kołnierza wokół jego szyi.

– To nie ma znaczenia, Chudy. Ważne jest to...

– Nie, nie. To ma ogromne znaczenie, bo to nie jest broń, którą możesz kupić na rynku. Moi znajomi z oddziałów MWD dopiero się na to ślinią, a jeden się chwali, że już strzelał. Rozumiesz?

– Rozumiem, Chudy, ale naprawdę istotne jest ultimatum dołączone do zdjęć. Va1?

Obrazy poleciały dalej. To nawet nie były zdjęcia, a wycięte z filmu klatki, i to co najmniej z dwóch kamer. Na samym końcu ujęcie wybitej bocznej szyby auta, zmasakrowane kulami ciała na fotelach. Zbliżenie na zamienioną w miazgę twarz Gawryły. Na tym pokaz się skończył, znów zapaliło się światło.

– Jakie ultimatum? – zapytałem, czując, że mózg jednocześnie przetwarza w tle jakąś inną informację. Jakby procesor złapał niesprecyzowany proces, niewidoczny, ale spowalniający cały system.

Cesarz rzucił na stół kartkę plastiku z wypalonymi literami szybkodruku.

– „Z nami albo przeciwko nam”, najkrócej mówiąc. Dziś rano była

jeszcze na wylocie z miasta próba zamachu na Krótkiego, ale sobie poradził, zdołał uciec. Zadzwoił do mnie z drogi.

– Mnie też próbowali stuknąć – odezwałem się.

Wszyscy spojrzeli na mnie z zaciekawieniem. Tylko Cesarz nie był zdziwiony, bo wiedział, jakiej jakości jest mój towar. Dla reszty byłem tylko jednym z dostawców.

– Nic nie mówiłeś, Chudy. Nie przyszło ci do głowy, że to ważna informacja?

– Ciężko się gada pod respiratorem – odparłem wymijająco.

– Byłeś hospitalizowany? Kurwa! Przecież tyle razy mówiłem, żeby z ranami po walce nie chodzić na państwówkę! Jeśli ktoś to sprawdzi...

– Prywatnie zrobiłem.

Minimalnie minąłem się z prawdą. Po co miałem im tłumaczyć, jak było? Nie ma co niepotrzebnie komplikować rzeczywistości.

– Czyli mamy już trzy ataki na naszych...

– Za mną łążą – podniósł rękę Wycior.

– Czy wy naprawdę jesteście jacyś niedorozwinięci?! Przecież o takich rzeczach się melduje! Od tej pory każde, każde podejrzone spotkanie, każda osoba, każde podejrzenie! Zrozumiano?

Pokiwaliśmy głowami.

– Chudy, gdzie ciebie chcieli zdybać?

– Na rondzie koło osiedla Krasnoje. – Sięgnąłem po list, przebiegłem oczami po tekście. No tak, typowo: od tej pory to nasze terytorium, pracujecie dla nas, nie stawiajcie oporu. Podpisane: Zarnicki. – Co to znów za jeden, ten Zarnicki?

Cesarz skrzywił się.

– Jeden z tych nowych w mieście. Od roku już robi podejścia pod handel syntą, teraz chyba złapał sponsora albo ktoś mu dobrze kryje plecy. Ty chyba znasz kogoś w strukturach?

– Znam – westchnąłem. – Spróbuję popytać.

– Dobrze. Panowie i pani, ogłaszam pogotowie bojowe. Szykujemy się do wojny.

Trzydziestyczwarty zaskrzypiał, podnosząc w górę pancerną pięść, reszta zamruczała twierdząco. Ja też kiwnąłem: co innego mieliśmy zrobić?

Nie byłem fanem tych ulicznych porachunków, ale sprawa wyglądała poważnie. Poza tym mnie też dotknęła albo prawie dotknęła, a z Gawryłą znaleźliśmy się długi czas.

Rozwalili go razem z żoną. Paskudnie. Takich rzeczy nie puszcza się płazem.

– Mamy coś jeszcze? – Zerknąłem na zegarek.

– Nie, to tyle.

Wychodząc ze Świątyni, wstukałem wiadomość do Mykoły: „Uważaj na siebie, pilnuj terenu”.

Odpowiedź przyszła niemalże natychmiast: „Zrozumiałem”. Sucha, lakoniczna, bez ładunku emocjonalnego. Stwierdzenie faktu.

Wróciłem szybko do domu, umyłem się, ogoliłem i piasnąłem porządną, francuską wodą kolońską, wyciągniętą z zakurzonych czeluści szafki. Wbiłem się nie bez trudu w odświeżone, jasne spodnie, dopiąłem wyjściową koszulę... Cholera, skurczyło się to wszystko w praniu czy jak? Wyprowadziłem i nakarmiłem Kusto, a potem zarzuciłem na plecy kurtkę i wyruszyłem na naprawdę ważne spotkanie.

– Co to za adres w ogóle...? – mruczałem do siebie, rozglądając się na lewo i prawo znad kierownicy samochodu. – Co to są za dzielnice, czy to w ogóle jeszcze to samo miasto?

Nigdy nie jeździłem po osiedlach otaczających kampusy uniwersyteckie i miasteczko akademickie, uważając je za coś w rodzaju odrębnego terytorium. Rzeczywiście, było tutaj inaczej, ludzie byli jacyś tacy bardziej... No nie wiem, czyści? Uporządkowani może raczej. Niższe bloki, skwery ze sztucznymi drzewami filtrującymi zanieczyszczenia.

Oczywiście to wszystko było tylko iluzją, fasadą. Już w drugim rzędzie od ulicy stały normalne dwudziestodwupiętrowki, widziałem zaćkane parkingi, smutne sklepy samoobsługowe, migające natrętnymi neonami lokale i wystające wprost na środku placyków dla dzieci rury, odprowadzające spaliny z tuneli pod miastem.

Ta sama chora tkanka tego samego organizmu – tylko że ten fragment relatywnie częściej przemywano antyseptykiem.

W końcu znalazłem podany mi adres, zawinąłem na płatny parking. Z bólem serca przytknąłem czip do złodziejomatu, maszyna od razu pobrała opłatę wstępną i spisała mi z konta kaucję. Za co ta kaucja, co ja niby tu mogę zrobić? Pobrudzić im asfalt?

Kawiarnia była... no, ładna była, nie powiem. Dawno nie byłem w ładnym lokalu, a tutaj nawet sympatycznie pachniało. Oczywiście obsługiwał android.

– Dzień dobry, panie... Aleksandrze. – Niby-ludzki kelner zawahał się, uśmiechnął nieszczerze. Aha, czyli jeszcze mieli niski poziom dostępu do danych, więc dostawali z systemu tylko moje imię. – Co mogę panu podać w ten piękny wieczór?

– Czekam na koleżankę – odparłem wymijająco, obserwując drzwi.

Ciekawe, w czym przyjdzie? Kobiety w tych czasach ubierały się... no, różnie się ubierały. Przeważnie, jak na mój gust, aż zbyt kobieco. I dlaczego akurat to miejsce? Przecież tyle jest restauracji i w ogóle, a to taka... no, kafejka na rogu przy czteropasmowym prospekcie.

Co to ona mówiła? Że dobry dojazd i będzie miała gdzie zaparkować, jakoś tak. Ale dlaczego miałyby nie mieć...

Myśl przerwał mi zbliżający się nie to, że ryk, ale wręcz wizg motocykla. Jak gdyby ktoś włączył na hali produkcyjnej ogromną piłę cyrkularną do cięcia płyt kompozytowych, która właśnie podjeżdżała do mnie coraz bliżej, tracąc powoli obroty.

Aż wychyliłem się ku oknu. Ciekawe, kto też jeździ takim potworem?

Czarno-czerwona smuga przemknęła ulicą, wyhamowała niemalże do zera, wcisnęła się pomiędzy samochody w skręcie i wyjąc motorem, zjechała w prawo, łamiąc przy okazji chyba wszystkie możliwe zasady ruchu drogowego.

Ktoś zahamował, ktoś inny zatrąbił, ale dosiadająca potwora postać tylko uniosła wysoko zaciśniętą w pięść dłoń z wysuniętym środkowym palcem – rękawiczka zamigotała czerwonymi diodami, pokazując całą głębię ostentacyjnej pogardy dla świata. Motocykl zaryczał, skoczył w bok, zawinął w uliczkę.

Nie, to nie mogła być prawda.

Czarno-czerwony potwór przesunął się powoli za oknami, ryknął raz jeszcze i zgasił silnik. Podpory wysunęły się automatycznie, blokada nasunęła na koło. Motocyklista zsiadł, szeroko wymachując nogą obłóconą w błyszczący, czarny materiał, idealnie opinający się na tyłku.

Wyjątkowo kształtnym, zupełnie niemęskim tyłku.

Podniosłem się powoli zza stolika. Gdybym miał na głowie czapkę, to pewnie bym ją teraz powoli ściągnął i zaczął miętolić w rękach, garbiąc się na podobieństwo chłopca pańszczyźnianego, mającego lada chwila stanąć przed obliczem swego bojara.

A potem Olga ściągnęła kask, przegarnęła w tył wysypujące się ze środka włosy. Zobaczyła mnie przez szybę, pomachała radośnie i ruszyła do środka.

Stałem tak jak dureń, patrząc, jak zbliża się ku mnie w czarnym motocyklowym kombinezonie ze wzmocnieniami na kolanach i łokciach. Tak bardzo inna od tamtego białego anioła nauk ścisłych, którego widziałem raptem parę dni temu.

– Dobry wieczór, Sasza! – Bez cienia skrupowania podała mi rękę po męsku. Nie wiedzieć czemu, jak ten dureń zgiąłem się w pół i archaicznym gestem cmoknąłem ją w dłoń. – Ojej! Jaki pan Aleksander szarmancki!

– Panno... to jest panienko Olgo, to dla panienki.

Wyciągnąłem zza pleców bukiet, który kupiłem za dzikie pieniądze w jednej z nielicznych zielonych kwiaciarni. Drugą ręką czym prędzej chciałem ściągnąć folię, wyszło trochę niezgrabnie, ona roześmiała się... Zanurzyła idealnie kształtny nosek w kolorowe kielichy frezji.

Tak przynajmniej nazwała je kwiaciarka, frezje. Ładne były i fajnie pachniały. Jak odświeżacz do powietrza.

– Piękne! – Przycisnęła kwiaty do piersi, pokręciła głową i uśmiechnęła się tak cudownie, że lampy aż na chwilę przygasły.

Usiedliśmy, android znów podszedł lekko sztywnym krokiem i zapytał, co podać. Olga zamówiła jakieś frymuśne coś z karty; ja w pierwszym odruchu byłbym wziął koniak, ale...

– Sok pomidorowy? – zapytałem cokolwiek niepewnie. Android uśmiechnął się sztucznie.

– Oczywiście. Naturalny, świeży czy na miejscu?

Przez chwilę zastanawiałem się nad różnicą pomiędzy tymi trzema, ale kolejność chyba definiowała klasę.

– Na miejscu – zdecydowałem.

– Doskonały wybór, panie Aleksandrze i pani... panno... panienko Olgo. Zaraz przyniosę.

Zdziwiłem się trochę. To, że tamten zaciął się, to jedno, ale że ona miała wgrany w system niestandardowy zwrot osobowy? Wydawało mi się, że wymyśliliśmy to razem całkiem niedawno.

– Dbaj pan o zdrowie. To się chwali, rzadkość w tych czasach. Gdyby wiedział pan, czego dodają do rzeczy, które można kupić w sklepach! – pochwaliła. – To co mi pan powie? Poza tym, że jest panu bardzo przykro za niedoszły poprzedni raz.

– Jest mi bardzo przykro za niedoszły poprzedni raz. – Schyliłem głowę w geście skruchy.

– I co ma pan na swoją obronę?

– Obawiam się... obawiam się, że nic, co mógłbym panience powiedzieć.

– Ach. A gdybym nie była panienką?

Serce szarpnęło się gwałtownie, wraz z nim wyczuwalnie drgnęło kilka innych organów. Świdrowała mnie absolutnie nieustraszonym, lekko rozbawionym spojrzeniem tych niebieskich,

lekko smutnych oczu, uśmiechając się przy tym tak, że blask aż kłuł.

– Obawiam się, że sama narzuciła mi panienka dobre wychowanie.

– No właśnie! Skąd ten zwyczaj, proszę mi powiedzieć?

Nachyliłem się przez stół, ona też przysunęła się do mnie.

Pachniała spalinami, wiatrem, smogiem i nagrzanym plastikiem. Ani nuty perfum, żadnego zapachu szamponu, kremu, odżywki czy czego tam używały kobiety, nic.

A mnie aż zakręciło się w głowie.

– Legia Cudzoziemska – szepnąłem.

– Ojej. Służył pan we wraźych, imperialistycznych siłach zgniłego Zachodu? Jakie to ciekawe! I mieliście tam zajęcia z archaicznej etykiety, tak?

– Nie, ale jest tam pełno Polaków – parsknąłem. – Nauczyli mnie trochę języka, no i paru dziwnych zwyczajów.

– A niech pan powie coś po polsku? – Przekrzywiła głowę.

– Kurła, japjerdoliustary, pszprszyryszypyszyszy – wyrzuciłem z siebie kilka pierwszych słów, które jako tako zapadły mi w pamięć. Pierwsze było typowym przerywnikiem, drugie wyrażeniem zachwytu, trzecie chyba uprzejmym podziękowaniem.

– Och, jak ślicznie! A to całowanie w dłoń to skąd? Chyba nie witają się w taki sposób?

Boże, jaka ona była piękna. Mógłbym być jej ojcem, a gapiłem się na nią jak w obrazek. Doskonale wiedziałem przy tym, że się gapię, i ona też wiedziała.

– Nie, nie. Tak się witali z kobietami, kiedy chcieli... kiedy chcieli... e...

– Zrobić na nich wrażenie – dokończyła.

– Delikatnie to panienka Olga ujęła, tak.

– Działało?

– Pytanie raczej, czy działa nadal.

– Musiałby pan sprawdzić.

Przełknąłem ślinę. Rozmowa z tą dziewczyną była jak jedzenie pączków posypanych kokainą i nafaszerowanych żyłkami.

Na całe szczęście przyszedł kelner, postawił przed nią jakieś dziwaczne ni to ciasto, ni to placek i koktajl w wysokiej szklance; ja dostałem mój sok, w zasadzie taki sam, jak ten co piłem z Daniłowem. Ona od razu wysupłała z foliowej torebki widelczyk i wgryzła się w danie z apetytem.

Siedzieliśmy tak, gadając o wszystkim i o niczym, a ja czułem, jak w nią wsiąkam. Trajkotała jak najęta, skakała po tematach, co rusz

robiąc wycieczki na pogranicze spraw damsko-męskich i wycofując się krokiem tak tanecznym, że zostawałem tam sam, rozglądając się wokół: co ja tu robię?

I te oczy. I ten uśmiech. Ten nosek i ten podbródek...

– Czy kompensuje pan sobie braki przyrodzenia długością lufy?

Zakrztusiłem się, oplułem sokiem. Kelner przyniósł ściereczki, przeprosił mnie: to na pewno wina maszyny, ostatnio też puściła smar. Zaraz wymieni, przeprosza raz jeszcze. Na koszt kawiarni.

– Słucham? – zapytałem nieśmiało, mając nadzieję, że się przesłyszałem.

Przesiadła się bliżej mnie, założyła nogę na nogę. Wsparła głowę na splecionych dłoniach.

– Pytałam, czy ma pan kompleks... niewystarczającej męskości. – Wymownie spojrzała ku mojemu podbrzuszu.

Podążyłem za jej wzrokiem, czym prędzej zasłoniłem się ręką: trochę soku chlapnęło mi prosto na krocze i wyglądałem teraz, jakbym dostał okresu.

– Nie, skąd ten pomysł?

– Nosi pan pistolet. Niemały pistolet zresztą... pół cala?

– Koma czterdzieści pięć.

– Ale wie pan, ten kompensator odrzutu na końcu... To atrybut falliczny, wie pan o tym?

Skąd wiedziała? Owszem, mogła zauważyć kształt kabury pod kurtką. Albo mignęła jej rękojeść. Ale hamulec wylotowy? Skąd mogłaby wiedzieć?

Otwierałem usta, żeby powiedzieć coś, co pozwoliłoby mi minimalnie zyskać na czasie, ale ona tylko przegarnęła włosy na bok, nachyliła się do mnie i szepnęła na ucho:

– Skanery na wejściu do laboratorium.

Włosy stanęły mi dęba na całym ciele. Nie tylko one zresztą. Odsunąłem się odrobinę, spojrzałem na nią z niedowierzaniem.

– I... wpuściła mnie panienka, wiedząc, że miałem broń?

– Aha! – Znów była radosną, ufną dziewczynką o wielkich, niebieskich oczach.

– Ale ja mogłem... mogłem być kimkolwiek!

– Tak. Ale nie był pan. Był pan tylko sobą albo aż sobą. Nie da się być kimś innym.

To było tak absurdalnie trywialne i głębokie zarazem, że mózg na chwilę mi się zawiesił. Na szczęście Olga sięgnęła widelczykiem do swojego talerza, odkroiła sobie kolejny kawałek ciasta.

– A gdybym panią napadł? Sterroryzował?

Oj, to był błąd. Oblizwała widelczyk, przekręciła głowę ku mnie.

– Mogłoby być ciekawie – odparła z szerokim uśmiechem.

Co ja tu robię? – nagle uderzyła mnie myśl. Mam do znalezienia trzydzieści baniek, ludzie umierają na sam mój widok, jakieś ćwoki chcą mnie zabić, a ja umawiam się na randki!

Umawiam się na randki.

O rany. To była randka. Byłem na autentycznej, prawdziwej randce... I czułem się, jakby to była moja pierwsza.

– Ehm... – odchrząknąłem. – Lubi panienka jeździć motorem?

– Motocyklem – poprawiła mnie. – Ja w ogóle lubię, panie Aleksandrze. Lubię, jak mi się podoba. A pan nadal nie powiedział mi, po co przyszedł do mojego laboratorium?

No tak. Wlazłem tam na rympał i w sumie nie pomyślałem o tym, żeby przygotować jakąkolwiek legendę. Potem zacząłem z nią gadać, potem się umówiliśmy... I jakoś do tej pory nic nie przygotowałem.

Musiałem coś powiedzieć. Na szybko. Coś, co będzie miało odpowiednią siłę obalającą i nie będzie kłamstwem, bo ona się na pewno zorientuje.

– Koch... – ugryzłem się w język w ostatniej chwili. – Próbowali mnie zabić.

Jej oczy rozszerzyły się wyraźnie, zamrugła.

– Co? Jak to... Ej, zaraz. Pan chciał powiedzieć coś innego!

– Mam katar sienny, niewyraźnie mówię. Normalnie no, próbowali mnie zabić.

Przysunęła się tak blisko, że aż poczułem ciepłość jej ciała, złapała mnie za łokieć. Silna była, silniejsza, niż się wydawało.



– Wtedy? – zapytała, ścisząc głos. – I pewnie wszedł pan do mnie, żeby się ukryć! A jak tylko poszli, to...

– Nie, nie wtedy. Przedwczoraj. I dlatego nie przyszedłem.

– O rany! Ale jak to... Jak, kiedy, dlaczego?! Niechże pan opowiada!

Nawet nie przeszło jej przez myśl, że mogłem skłamać. Uwierzyła. Tak po prostu, bez zastrzeżeń, bez nieufności czy chociażby cienia zwątpienia.

– Trzech. Jechałem już tutaj, byłem... No, byłem na mieście. Zobaczyłem za sobą dwa samochody, chciałem je zgubić. Wsiedli mi na ogon.

– Jakie?

– Co jakie?

– Jakie samochody? Ja sobie to muszę wyobrazić!

Popatrzyłem na nią. Przymknięte oczy, na rozchyłonych ustach błąkał się uśmiezek, rozmarzony wyraz twarzy... Zmiałem w kulkę i schowałem do kieszeni instynktowną chęć zrobienia czegoś romantycznie głupiego, spróbowałem cofnąć się myślami do

tamtego wieczora.

– E... Jeden na pewno starszy model lady półterenowej. Drugi... drugi był dalej, chyba beemka?

– Kolor?!

– Stalowoszary i granatowy. Zielonkawe światła w beemce.

– Widzę – szepnęła.

– Chcieli mnie docisnąć, ale wyprowadziłem ich na ślepe rondo. Jak pierwszy wjeżdżał, to zdążyłem objechać dokoła i na pełnej kurwie wbiłem się w nich z boku!

Aż pisnęła, podskoczyła na siedzeniu i wbiła mi paznokcie w rękę.

– I co dalej? Opowiadaj, Saszka, podoba mi się!

Postarałem się w miarę wiernie odmalować sytuację. No, może było w mojej opowieści nieco więcej latających wokoło kul, skakania i ukrywania się za samochodami, i walki trochę bardziej teatralne. Jak w telewizji, no co? Każdy lubi sobie przykoloryzować tu i tam.

Otworzyła oczy dopiero, kiedy skończyłem. Dyszała ciężko, szybko, oczy jej błyszczały... Widziałem po żyłe pulsującej na szyi, jak musi walić jej serce.

– Dziękuję – szepnęła, a potem pocałowała mnie w policzek.

Tak po prostu. Po prostu na chwilę zatrzymała cały świat wokoło. Zostałem tylko ja i ten palący chłodem ślad.

– Ale... za co? – wykrztusiłem, kiedy ona sięgnęła po swój koktajl.

– Za opowieść i za szczerość. Już się nie gniewam, że nie przyszedłeś. Aha, a dlaczego chcieli cię zabić? Czy nie możesz powiedzieć?

– Wolałbym nie... Ol'g. – Uśmiechnąłem się.

– Jak chcesz, Sasz. Ale musisz mieć ciekawe życie.

– Szczyrze? Średnio. Ot, tak sobie wegetujemy na naszym kwadracie.

Coś przemknęło przez jej twarz. Cień smutku?

– My? – Uśmiechnęła się. – Bardzo chciałabym ją poznać, o ile nie będzie zazdrosna.

– To... W zasadzie to „on”.

– Ach. No cóż. Ciekawie. Może zatem chciałabym poznać go jeszcze bardziej? Jak ma na imię?

– Kusto.

Spojrzała na mnie dziwnie. Musiał mi drgnąć w twarzy jakiś mięsień, musiałem się czymś zdradzić, a ona już wiedziała, że żartuję.

– Kusto jest psem – nie wytrzymałem w końcu.

– Pies! Masz psa, aaa! – zapiszczała. – O Boże, jak ja kocham psy!

Jaki, jaki?!

– Stary i śmierdzący, ale kochany. Czekał, mam gdzieś zdjęcie...

Wyświetliłem z zegarka minihologram: ja rozwalony na kanapie, Kusto ze zwieszonym jęzorem włożący mi na głowę.

– Śliczny jest! – Pacnęła mnie w ramię pięścią. Naprawdę była silna. – Nie waż się o nim tak mówić.

– Podobno jaki pan, taki kram.

– Tym bardziej zatem.

Potem rozmowa zeszła na jakieś mniej istotne tory. To znaczy: głównie ona mówiła, a ja się zachwyciałem. Opowiadała mi coś o nanocząsteczkach, o pigułkach z silniczkami, odczynach, gruczołach... A ja słuchałem, patrząc w jej piękne oczy.

– Muszę lecieć – oświadczyła w końcu. – Bo urwałam się tak trochę na dziko, a mam jeszcze trochę dziś do poczytania. Fajnie było. Powtórzymy?

– Zdecydowanie! Kiedy?

– Wtorek?

Pokręciłem głową.

– Może być problem, mam wyjazd.

– O! A dokąd, jeśli to nie tajemnica? Może razem pojedziemy?

– Moim?

– Albo moim, albo na dwa. Fajnie by było, jakbyś miał motocykl.

– Nie, nie wiem. Nie przekonują mnie jakoś, za mało punktów podparcia. Lecę do Jialininggele.

– O, to Moskwa po drodze, super! Pozdrów Kreml ode mnie.

– Tranzytem tylko, jak to w biznesie. Dwa, trzy dni i będę z powrotem. Odezwę się.

Zebrała włosy, zwinęła w kok. Spojrzała na mnie z ukosa.

– A ja będę czekać. Do widzenia, Sasz.

– Na razie, Ol'g.

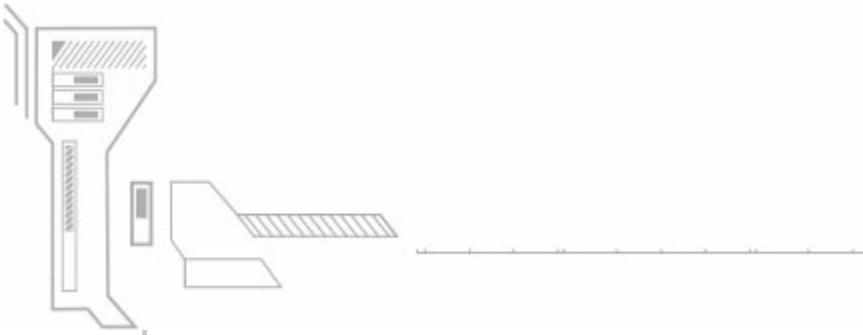
– I pomyśl o tym motocyklu.

– Nie ma szans.

Podawała mi rękę, ja znów cmoknąłem ją w idealnie gładką, wypielęgnowaną dłoń. Potem nałożyła i zapięła kask, uśmiechnęła się do mnie samymi oczami, opuściła szybkę.

Odwróciła się i wyszła z lokalu, zostawiając mnie z głową pełną myśli i rachunkiem.

Tego wieczora zasnąłem na kanapie, przeglądając oferty kupna czarno-czerwonych potworów.



...wzmożonym ruchem lotniczym. Władze nadal starają się bagatelizować sytuację, ale...

...głęboki kryzys...

Nigdy nie było lepiej! Mówię pani, naprawdę! Starcza mi na jedzenie, na leki i na mieszkanie, czego chcieć więcej? Niech żyje nasz Prezydent!

...odebrano wszystko, co tylko mieli.



DING! – Dzień dobry, szanowni pasażerowie. Rozpoczęliśmy zniżanie do lądowania w porcie lotniczym imienia Kim Jong Una w Jialininggele. Prosimy o zapięcie pasów i ustawienie oparcí foteli w pozycji pionowej. Linie lotnicze ChinaAir dziękują za...

Złapałem się za czuprynę, z trudem przesunąłem zastany kark tak, aby ustawić głowę w pozycji pionowej. To już? No pewnie już... Dwie i pół godziny, nawet się człowiekowi zdrzemnąć nie pozwolą w drodze.

Wnętrze samolotu powoli ożywało, ludzie zapinali pasy, szeleścili torebkami. Ktoś wstał, żeby wepchnąć do schowka aluminiową walizkę, inny oczywiście musiał właśnie teraz przypomnieć sobie, że chce mu się do toalety, i kłócił się ze stewardessą: ale ja tylko na chwilę, zaraz wrócę!... Płakało dziecko, już czujące w uszach zmianę ciśnienia, ludzie ręcznie regulowali zawory w hydraulice implantów.

Wychyliłem się zza siedzącego obok grubasa z dwiema sztucznymi nogami i wszczepionym na stałe respiratorem, zerknąłem w owalny bulaj. Samolot akurat przechylał się, więc idąca do toalety babka wrzasnęła i poleciała bezwładnie na Bogu ducha winnych ludzi. Podniósł się rwetes, ktoś zaczął krzyczeć, przeklinać... A ja patrzyłem sobie na panoramę naszej Atlantydy Północy.

Miasto było nieporównanie mniejsze od NeoSybirska, to rzucało się w oczy od razu. Ot, taki sobie kleks na mapie, przecięty i poszatowany na kawałki przez kanały płynącej do morza rzeki. W nieco przesuniętym ku jednej stronie centrum stało kilkanaście wieżowców, widać było lądowiska dla śmigłowców i wertyplanów. Obwodnica, na której już nawet teraz, pomimo wczesnej porannej

pory, tworzył się korek... Takie sobie prowincjonalne miasto, jakich wiele.

A jednak nie takie samo. Byłem w najdalej wysuniętej na zachód enklawie Federacji, ze wszystkich stron otoczonej przez zagony podłej, kapitalistycznej, burżuazyjnej i imperialistyczno-ekspansjonistycznej Unii.

Chociaż, tak prawdę powiedziawszy, z Federacji została tutaj tylko flaga.

– Plosie zapio paa. – Stewardessa puknęła mnie w ramię, wymownie pokazała gestem, co mam zrobić.

– Co? A, zapiąć pas. Już, już...

Co najmniej połowa pasażerów samolotu miała skośne oczy i non stop gdakała coś po swojemu. Oczywiście rejwach był niemożliwy, no bo przecież Chińczyk nie umie mówić szeptem, nie? Musi mieć te swoje modulacje i długości dźwięków, bo inaczej głupoty gada. Więc darli się wszyscy cały czas, krzyczeli do siebie i machali rękoma.

Na szczęście dałem radę przysnąć i wywieziony z Moskwy ból głowy nieco ustąpił, ale przysięgam, że kiedy schodziliśmy do lądowania, to miałem ochotę modlić się o katastrofę.

Odstałem swoje w kolejce, wsunąłem w końcu nadgarstek z czipem do skanera. Laser zaświecił mi po oczach, telemetria szczyła proporcje twarzy.

– Pan w jakim celu? – zapytał mnie czyściutkim rosyjskim bardzo zmęczony i smutny celnik o podkrążonych oczach.

– Turystyka. Dawno tu nie byłem... Sporo się zmieniło, co?

Popatrzył ciężkim wzrokiem na stojących za mną w ogonku Azjatów, pokręcił głową.

– Witamy w Jialininggele, mimo że rzygać mi się chce za każdym razem, jak to muszę powiedzieć. Życzę miłego pobytu i jak najszybszego powrotu.

Przeszedłem przez skanery, w końcu odebrałem bagaż i wyłoniłem się z budynku lotniska. Od razu opadli mnie taksiarze, dla odmiany czarniawi i brodaci.

– Brat, taksy trzeba? Zawiozę!

– Taksy do miasta, tanio.

– Taksy, taksy, najtańsze taksy.

– Do miasta pewnie, brat? Ja zawiozę! Najszybciej jadę.

– Taksówka, brat? Taksy? Po całym mieście!

Wypatrzyłem w końcu jednego starego, wąsatego gościa z protezą połowy twarzy, który po prostu stał pod filarem i ćmił papierosa, najwyraźniej mając wszystko wokół w dupie. Zabrałem

walizkę niskiemu, kędzierzawemu typowi, który już zaczął ładować ją do bagażnika, podszedłem do upatrzonego kierowcy.

– Do miasta ile? – zapytałem.

– Dla pana? Czterysta.

– A dla innych?

– A to różnie. Jak były republiki związkowe, to pięćset. A złotych za tysiąc od ryja i za bagaż dopłata.

Wrzuciłem walizkę do starusieńskiego, wysłużonego moskwicza, rozsiadłem się na obłożonej sztucznym miśkiem tylnej kanapie. Mój kierowca spokojnie, wręcz z godnością dopalił papierosa, też zajął należne mu miejsce, nawet zapiął pas. Puknął w ikonkę licznika starego typu, jeszcze z ekranem dotykowym, dopiero potem odwrócił się do mnie.

– Dokąd?

– Apartamenty Silver, w samym centrum. To przy...

– Wiem, nie musi mnie pan uczyć. Całe życie w tym mieście, to przynajmniej drogę człowiek zna.

Patrzyłem przez okno, próbując zrozumieć i wyczuć to miasto. Nie było mnie tutaj kawał czasu, ponad dwa lata...

Niby niedługo, a jednak strasznie dużo.

– Ja pamiętam, rozumie pan, jak to kiedyś wyglądało – odezwał się mój kierowca.

– Kiedyś?

– No, zanim jeszcze ta zaraza się rozpełzła. Ja tutejszy jestem, uwierzy pan? Ojciec tutejszy, dziadek tak samo, i pradziadek zaraz po wojnie się sprowadził.

„Wojnie”. Pewnie miał na myśli nie ostatnią, a jeszcze TAMTĄ wojnę. Tę, o której mało kto już pamiętał.

– To pewnie niejedno pan widział... – zagadnąłem bardziej z grzeczności.

– Panie, żebym ja panu opowiedział. Ech, kiedyś to porządne miasto było, wie pan? Jeszcze zanim ta łysa kurwa, co nazywa się Prezydentem, oddała nas za miskę soczewicy tym żółtym pederastom, co ją każdego dnia ruchają w usta.

Zdębiałem. Za taki tekst nawet w NeoSybirsku można było zostać natychmiastowo zhaltowanym na pobocze, wyciągniętym z wozu i odwiezionym na najbliższy posterunek milicji, gdzie już czekała ekipa z pionu politycznego MWD. A tutaj? Typ rzucił go ot tak, lekką ręką.

– To jak kiedyś było? – postanowiłem nie ciągnąć tematu. On jednak obejrzał się na mnie znowu, zaśmiał ochryple.

– No co, co się pan tak spał? Pan pewnie ze stolicy, co?

– NeoSybirsk.

– O, i taki pan nerwowy? A ja pamiętam, jak kiedyś mój znajomy stamtąd się mądrzył: nam nic nie zrobią, dalej nas przecież nie ześlą... I co, jednak znaleźli, gdzie zsyłać? No już, już, niech pan oczami nie przewraca, ja już o polityce nie będę. O ludziach opowiem, chce pan?

Chciałem.

Dowiedziałem się, jak to coraz trudniej jest kupić normalne jedzenie, a nie sojowy makaron albo syntoryż. Jak ceny idą w górę, a mieszkańcy uciekają do innych okręgów Federacji. O tym, jak jego kolegę, też taksówkarza, kilku brodatych zarznęło wibronożami, bo nie mieli czym zapłacić za kurs.

– Mówię panu, nas tutaj zostało, nie wiem, może pięć procent? Może mniej nawet. Rosjan, w sensie, takich prawdziwych, jak ja i pan. I coraz mniej jest. Ja może ostatni jestem, co rodzinę tutejszą miał, nie wiem.

– A dzieci? – zapytałem, widząc obrączkę na palcu i zdjęcia przyklejone do deski rozdzielczej.

– He, panie kochany. Córka już dziesięć lat, jak na Zachodzie, więc nawet nie wiem, czy żyje, co u niej... Ale z dobrym człowiekiem pojechała, więc da Bóg, że w porządku. A syn w armii służy, na Dalekim Wschodzie stoją. Żonę tam znalazł...

– To dobrze chyba? Wnuki są już?

– Są, ale co to za wnuki, jak żółte wszystkie! Jak mi zdjęcie najmłodszego przysłali zaraz po urodzeniu, to ja patrzę i myślę: no dziewczynka, no! A on ma siurka takiego, że chyba przez mikroskop go szukać... Ech, co to się porobiło, panie kochany. A pan ma żonę, dzieci?

– Rozwiedziony.

– Ano, zdarza się i tak. Nie zawsze się ludzie dogadają w życiu, czasami trzeba pójść swoją drogą. O, i już prawie jesteśmy.

Samochód zjechał w zatoczkę przy apartamentowcu, rozliczyliśmy się, życzył mi na tyle miłego pobytu, na ile to możliwe.

Moje lokum już czekało: prawie dwukrotnie większy metraż niż ten, na którym mieszkałem, łazienka z prysznicem i wanną... Wanna! Kusilo mnie, żeby wykąpać się od razu, ale postanowiłem sobie: nie. To zrobię w ramach nagrody, wieczorem.

Ochlapałem tylko twarz, przegryzłem cokolwiek w upiornie drogiej restauracji na dole i uprzednio zamówionym w miejscowej wypożyczalni samochodem ruszyłem w miasto.

Jialininggele było typowym produktem naszych czasów, tak zwanym miastem eklektycznym. Piękny eufemizm pozwalający nie mówić o braku szerszego zamyśłu i „usankcjonowanej samowoli budowlanej”, czyli na dobrą sprawę łapówkarstwie na najwyższych szczeblach władzy.

Budynki stały byle gdzie i byle jak, każdy dostępny spłachetek ziemi zajmowały pomniejsze dobudówki, zakłady i szeregowy kwaterunkowce, pośród których kłębił się skośnooki tłum.

Na ulicach panował absolutny chaos, jednoosobowe skutery wciskały się przed maskę, wymuszały pierwszeństwo, trąbiły, migwały światłami i przewoziły tak absurdalne ilości towaru, że parę razy aż przyhamowałem tylko po to, żeby popatrzeć.

Ze ścian wyskakiwały natrętne, sięgające aż ponad ulice hologramy z napisami po chińsku. Kreskówkowe postacie o nierealistycznie wielkich oczach machały do mnie, śmiały się ogromnymi ustami, płonily sztucznym wstydem i krzyczały przez głośniki komercyjnego systemu nagłośnienia samochodu, którego nijak nie dawało się wyłączyć.

Można było uwierzyć, że pomyliłem samoloty i zamiast na północny zachód poleciałem na południowy wschód.

Zanim dojechałem tam, gdzie próbowałem dotrzeć, byłem już konkretnie wkurwiony i znowu zaczęła boleć mnie głowa.

Zwolniłem, wjechałem kołami na wysoki krawężnik; pseudokamienny spiek zazgrzytał o podwozie. Sprawdziłem jeszcze raz adres na tabliczce z tym, co podał mi Kulas... No tak, teoretycznie to było tutaj.

Wysiadłem z przysłowiową duszą na ramieniu.

Byłem w samym sercu jakichś pieprzonych islamistycznych slumsów. Z co najmniej trzech różnych miejsc leciała charakterystyczna, jękliwa muzyka z przelewającą się linią melodyczną zdominowaną przez plumkające na wysokich tonach struny. Ściany pokrywały robaczki napisów, wśród których nawet ja od razu zidentyfikowałem charakterystyczny glif Drugiego Kalifatu, zapamiętany jeszcze z pobytu w Afryce. Przez brudne, poplamione szyby pobliskiej kawiarni bacznie przyglądało mi się kilku czarniawych, brodatych typów, podających sobie ustnik plazmowej fajki.

A mimo to i tak czułem się tutaj bezpieczniej i bardziej na miejscu niż wśród identycznych, nijakich, wiedzionych mentalnością roju Chińczyków.

Zapiąłem kurtkę pod samą szyję, wsunąłem rękę do kieszeni

i wymacałem wyciągnięty spod fotela samochodu kastet. Nie wiedziałem, na ile ładunków wystarczy baterii, wołałbym w ogóle go nie używać, no ale też z gołymi rękami w życiu się w takie miejsce nie będę pchał.

W miarę jak wspinałem się na coraz wyższe piętra, poziom życia mieszkańców wyraźnie spadał.

Przez otwarte drzwi widziałem wąskie, ciasne wnętrza, z których nieodmiennie patrzyły na mnie dziecięce oczy – czarne i błyszczące niczym kulki do gry. Na schodach wisiała ciężka, dusząca woń przepalonego łożu, tanich perfum, kadzideł i potu, wbijanego we wszechobecne dywany przez bose stopy.

Spiętrzone w szafkach, pod szafkami i wokół szafek u drzwi buty układały się w mozaiki zależności oraz koligacji rodzinnych, wyznaczających w tym mikroświatku ramy tego, co komu wolno, należy i co jest „haram”, zabronione przez religię i obyczaj.

W końcu stanąłem przed drzwiami z numerem dwieście osiemdziesiąt dwa. Poczekalem, aż serce nieco się uspokoi, a ja znów będę mógł oddychać – trening na dziś zaliczony! – i zapukałem mocno, zdecydowanie.

Na początku rozjazgotał się pies, zaraz po nim drugi. Potem rozległo się wołanie starszego dziecka, płacz młodszego, ktoś zaczął się drzeć podniesionym głosem. Wreszcie wszystko to ścichło, huknęły zatraskiwane w mieszkaniu drzwi. Kamera w futrynie zapaliła się, spojrzałem w szklane oko.

– Ktoś ty? – zachrypiał głośnik.

– Sasza, od Kulasa z NeoSybirska – odezwałem się na tyle pewnym głosem, na ile byłem w stanie.

Cisza. Ktoś taksował mnie wzrokiem, rozważał usłyszane. Drzwi za moimi plecami zachrobotowały, uchyliły się; wyrzwał zza nich brodaty, ponury typ, ewidentnie trzymający coś za plecami.

– Czego pan chcesz? – odezwał się sąsiad z naprzeciwka.

– Ja tutaj...

– Czego, pytam się? – powtórzył z akcentem tak mocnym, że ledwie rozróżniałem, gdzie kończy się jedno słowo, a zaczyna drugie.

– Ja tutaj do Izmaela Sołtanowa.

– Czego, pytam po raz ostatni?

Obróciłem się do niego bokiem, wkładając dłoń do kieszeni. Facet od razu wysunął się zza drzwi, uniósł i wycelował we mnie wysokonapięciowy pistolet elektryczny.

Sukinsyny.

– Słuchaj pan, nie chcę kłopotów. – Podniosłem ręce nad głowę uspokajającym gestem. – Sołtanow, on tutaj mieszka? Bo taki dostałem adres. Nie było na zewnątrz tabliczki znamionowej, więc...

– Czego?

Poczułem się, jakbym trafił do lokacji ze źle napisaną listą dialogową.

– Do Izmaela Sołtanowa, od Kulasa z NeoSybirska. Towar mam dla niego odebrać – powtórzyłem po raz kolejny.

Typ od razu zmienił się na twarzy, opuścił pistolet i odsunął się na bok w drzwiach. Pokazał ruchem głowy na przedsionek mieszkania.

– Wchodź pan.

– Ale ja do...

– To ja jestem Sołtanow.

Obejrzałem się na drzwi, za którymi nadal ujadły psy i płakały dzieci. Coś tu nie grało, coś było nie tak... Zbyt wiele widziałem przekrętów w życiu, żeby tak po prostu wleźć do obcego mieszkania w obcym mieście.

– Numer zamówienia? – zapytałem przytomnie. Brodacz przewrócił oczami.

– Dwa jot pe jeden trzy gie em siedem de. Powiedziałem wejdz, nie stój tak.

Rad nierad władowałem się do środka, grubas zatrzasnął za mną pancerne drzwi. No tak, na ścianie wisiał starego typu, gruby na dobre dwa cale monitor, na którym widziałem obraz klatki schodowej z perspektywy mieszkania naprzeciwko. Czyli co, taka zmyłka? Dogadał się z ludźmi, postawił u nich swoją kamerę. Jak wpadnie FSB, to ekipa szturmowa wzrusza ramionami: no trudno, pudło, informator kłamał. Sołtanow płaci tamtym za drzwi i straty moralne, interes kręci się dalej.

– No dobra, ale... – Pokazałem na interkom.

– Głośnik się spalił, muszę wymienić. To co z tym towarem?

– No... odebrać mam, nie? Kulas mówił, że już zapłacił.

Przez chwilę tamten patrzył na mnie bez słowa. Słyszałem niosący się z pokoju obok jazgot reklam z holoprojektora, w sąsiednim pomieszczeniu buczała i warczała automatyczna drukarka objętościowa. Samo miejsce było dość paskudne, w zasadzie idealnie trafiało w kanon Kulasa: brudne, odrapane ściany, wiszący w powietrzu zapach sfajczonego plastiku przemieszanego z charakterystyczną wonią przypalonego przez procesor żywności jedzenia z głębokiej mroźonki.

Ot, taka sobie nora, gdzie robiono rzeczy na tyle technologicznie zaawansowane i drogie, że poczta Federacji nie chciała ich wozić. I do tego połowicznie tylko legalne.

– No więc? – ponagliłem brodacza.

– Tak. Odebrać towar do NeoSybirska, aha. To pojedziemy teraz.

– Zaraz, ale Kulas mówił, że mam tylko odebrać.

– No. To teraz pojedziemy.

Nie podobało mi się to. Ni cholery mi się to nie podobało. No ale co miałem zrobić? Coś mi tutaj nie pasowało, typ był ewidentnie lewy. Ale kto był w tych czasach prawy?! Obiecałem Kulasowi, że towar odbiorę, i co mu niby mam potem powiedzieć? Że jego opłacone zamówienie przepadło, bo ubzdurało mi się, że podany kontakt kręci?

Sołtanow – nie miałem pojęcia, czy to naprawdę on, ale coś musiałem założyć – wbił się w ciężkie, schodzone buciory, narzucił na przepoconą koszulę pseudoskórzaną kamizelkę z mnóstwem suwaków i kieszeni. Wziął jeszcze z półki prostokątny piterek, spojrzał wymownie na drzwi: idziemy.

Nawet nieszczególnie się zdziwiłem, że nie poprowadził mnie do swojego samochodu, a tylko niedwuznacznie zatrzymał się przed klatką, żebym to ja poprowadził ku mojemu.

– Pierwszy raz u nas? – zapytał, kiedy już ruszyliśmy.

Był tak wielki, że aż sam musiałem przesunąć się na swoim siedzeniu nieco w bok, żeby nie dotykać jego włochatego, spoconego ramienia. Zdawał się w najmniejszym stopniu nie krępować tym, że bez zaproszenia władował mi się na gapę.

– Bywałem już, ale jakiś czas temu – odparłem wymijająco.

– No, bo widzę, że taki pan ubrany mocno. – Spojrzał na moją klimakurtkę. – Tutaj się aż tak nie trzeba zasłaniać, bo zanieczyszczenia wiatr nad morze wyciąga. I jak się u nas podoba?

Za oknem przesuwały się szare, identyczne sześciany obdrapanych bloków z ciągnącymi się na wszystkie strony nitkami przewodów, spinających je na podobieństwo zasnutych pajęczyną pudełek w sklepie z niepotrzebnymi rzeczami. Przedemną i za mną sznurem ciągnęły się po dziurawej drodze brudne, niemodne samochody, w których siedzieli źli, smutni, szarzy ludzie.

Pijaczek idący zakosami po chodniku skręcił gwałtownie na jezdnię, ja równie gwałtownie zahamowałem. Zatrzymał się, treść jego żołądka jednak bujnęła się w przód żółtawą falą, trysnęła przez usta i chlapnęła na asfalt przed samym samochodem.

– Bardzo ładnie.

Zawsze o to pytali w Jialininggele, za każdym cholernym razem. Jak gdyby czuli, że żyją w chlewie, i desperacko usiłowali się sami do tego nie przyznawać.

– Tutaj w lewo pan skręć, o – pokazał paluchem mój pasażer.

Zagłębialiśmy się coraz dalej w labirynt kilkunastopiętrowych wieżowców, przeplatanych stojącymi byle gdzie i byle jak halami warsztatowo-usługowymi. Nawigacja dawno już się zgubiła, ja miałem tylko bardzo ogólne pojęcie co do tego, gdzie w ogóle jesteśmy. No tak, tam nadal były drapacze chmur w centrum, czyli to był... północny wschód? Czy zachód? Jakoś tak po drodze przejechaliśmy nawet przez rzekę, ale nie zarejestrowałem, w którym kierunku.

– Nie prościej by było po obwodnicy? – zaproponowałem nieśmiało, ale mój przewodnik tylko machnął ręką.

– Nie, nie tutaj. O, o, o! Tym zjazdem teraz i dołem pod trasą.

Minęliśmy zabytkowy, pewnie co najmniej dwustuletni fort z czerwonej cegły, oklejony przybudówkami domków i kiosków, niczym porośnięty plamami pleśni i koloniami grzybów trup. Szeroka wstęga sześciopasmowej autostrady na chwilę zakryła niebo, kiedy wjechaliśmy pomiędzy istny las filarów i przypór, ale zaraz wyłoniliśmy się z drugiej strony.

Nie podobało mi się to coraz bardziej.

To nie były nawet osiedla mieszkalne, a zwykłe slumsy. No tak, okej – raz już użyłem tego słowa, dobra. Tylko że tam, u Sołtanowa, to były paskudne, zapuszczone, ale mimo wszystko bloki. A tutaj?

Tutaj otaczały nas zwykłe rudery. Zbudowane z pospawanych, ponitowanych kawałków blachy i plastiku, wsparte jedna o drugą jak siedzący na ławeczce menele. Podwórkami wylażące prosto na wijącą się zakolami dróżkę; ścieki lały się rurami prosto do studzienek kanalizacji burzowej.

Zza brudnych, popękanych szyb patrzyły na nas twarze z wymalowaną całą gamą emocji: od otwartej wrogości do pomieszanej z niechęcią podejrzliwości. Twarze białe, czarne, smagłe, żółte... Mrugające sztucznymi oczami, pokryte plamami po defektach genetycznych.

– Tędy.

Skręciłem posłusznie, chociaż kosztowało mnie to niemało wysiłku. Sam bym w takie miejsce się nie pchał... Ale Sołtanow zdawał się czuć dość komfortowo.

– Daleko jeszcze?

– Tutaj.

– Ale...

– No tutaj, mówię! Stój pan, dojechaliśmy.

Zahamowałem pośrodku ciasnego zaułka, rozejrzałem w lewo, w prawo. Chciałem coś powiedzieć, ale mój pasażer już otworzył drzwi, zaczął gramolić się na zewnątrz.

– Ej, ale tutaj go nie zostawię! – zawołałem, stając na progu kabiny.

– Zostaw pan! Idziemy, idziemy. Szybko pójdzie.

Zatrzasnąłem drzwi, klnąc na czym świat stoi, zamknąłem samochód i pospieszyłem za Sołtanowem, już znikającym za najbliższym zakrętem. Jak na swoje gabaryty, poruszał się zaskakująco zwinnie; widać było, że jest w swoim naturalnym środowisku.

Schodki, rozwidlenie, przejście przez wąskie podwóreczko. Jakiś warsztat, składzik części wszelakich. Dwaj spawacze podnieśli głowy znad roboty, jeden uniósł maskę z przydymionego plastiku i powiedział coś w języku, którego nie udało mi się nawet w przybliżeniu zidentyfikować.

Chińczycy. Dużo, bardzo dużo Chińczyków. Tylko Sołtanow smagły i brodaty, a ja biały.

Sołtanow zatrzymał się nagle przed żelaznymi drzwiami, pokazał na nie ręką.

– Tutaj.

– No i? – Spojrzałem na niego, na wejście.

– Pukaj pan, to tu przecież. Chcesz pan swój towar, to pukaj.

– To nie mój towar – zawarczałem, a potem załomotałem mocno: raz, drugi, trzeci!

Przez chwilę panowała cisza, potem po drugiej stronie ktoś zadziamał po kitajsku. Sołtanow też odkrzyknął coś w tym samym pięknym, subtelnym narzeczu, tym razem sam uderzył w drzwi otwartą ręką, a kiedy szcęknęły zasuw, naparł na nie z całej siły ramieniem i zwyczajnie władował się do środka.

Drobny Chińczyk odskoczył w tył, zaczął krzyczeć coś po swojemu, machać rękoma, że pewnie nie wolno, że nie możemy wejść... Mój przewodnik po prostu odepchnął go na bok, na ścianę, wołając na cały głos:

– Huang! Huang, to ja, Sołtanow... Huaaang!

Kitajec chciał chyba rzucić się za nim, ale ja tylko przycisnąłem go ramieniem do ściany, dźgnąłem wyciągniętym palcem między oczy: nie szarp się, grzecznie tam!

– Huang! – ryknął mój nowy brodaty przyjaciel, z kopa otwierając

kolejne drzwi.

Skoczyłem za nim, chcąc wytłumaczyć, że może ociupinkę zbyt agresywnie prowadzi negocjacje. Nie chcieliśmy w końcu doprowadzić do niepotrzebnych napięć, a każdy konflikt da się rozwiązać, jeśli tylko usiąść i o tym porozmawiać, obficie cytując ponadczasowych klasyków...

Wpadłem w te same drzwi i zamarłem.

Nie chodziło wcale o to, że Sołtanow stał, rozłożywszy ręce, i patrzył prosto w lufę pistoletu, który trzymał kolejny Kitajec. Problemem nie było nawet to, że następni dwaj właśnie wstawali od żelaznych stołów warsztatowych, a tamten z korytarza jednak ruszył za nami.

Nie. To były dekoracje.

Problemem było to, co leżało na tych stołach, co unosiło się w kadziach z solanką i co właśnie kręciło się w wolnoobrotowych bębnach polerskich, zajmujących dosłownie każdy wolny kawałek przestrzeni tego ultra-hiper-mega-quad-damage-nielegalnego warsztatu.

Kurwa dzika jego mać, zasrany, ciapaty, obrzezany kozojebca brodac Sołtanow.

Bursztyn.

Bursztyn, będący tutaj, w Jialininggele, najbardziej absurdalnie wyjętą spod prawa substancją, jaką można było sobie wyobrazić.

Pieprzona zastygnięta żywica sprzed milionów lat, która stała się podobno początkiem samego miasta i jego bogactwa, a teraz okazała się początkiem jego końca.

Ale to naprawdę nie był czas na dygresje.

Sołtanow ryczał coś po swojemu i machał rękami, stojący naprzeciwko niego Kitajec też wrzeszczał, powoli przechodząc z koloru żółtawego w odcienie pomarańcza. Darli się na siebie w jakiejś przedziwnej mieszance języków, rozumiałem co czwarte słowo, ale nawet tego wystarczyło, żeby zrozumieć: mowa była o pieniądzech.

Dużych pieniądzech. Nie wiem, kto komu czego nie oddał, ile był winien albo na czym oszukał, ale jedno było pewne.

Sprawy i tak miały się źle, a teraz toczyły się wyłącznie w gorszym kierunku.

Lawinowo. I w każdej chwili wszystko mogło eksplodować.

A ja byłem w środku tego wszystkiego.

Kiedy stojący na korytarzu Kitajec sięgnął za pazuchę, wyciągnął pistolet i wycelował Sołtanowowi w potylicę, a drugi szcęknął

otwieranym nożem sprężynowym, zrozumiałem: żarty się skończyły.

Brodaty grubas nagle umilkł, spokorniał, zwiesił głowę... I zerknął ku mnie z ukosa. Takim wymownym, wiele znaczącym spojrzeniem. Z gatunku tych, po których powinno stać się dla mnie jasne, że to już. Że to teraz.

Ty gnoju, pomyślałem sobie, nagle rozumiejąc, co jest grane. Ty wyrachowany, brzuchaty gnoju.

Bo jego „teraz” znaczyło ni mniej, ni więcej, jak „teraz ty”.

W sensie że niby ja.

– Ha, Soltanoo! – tryumfalnie zapiał jeden z Chińczyków. – Ty pśychoi tu, ty myśli Huang boji! Huang nie boji, Huang mądyy! Ty wzię długi Losjan, długi Losjan nic nie da!

Stojący obok mnie Kitajec pomacał rękaw mojej kurtki, przejechał paluchem po wciąż widocznych miejscach, z których odpruwałem pagony i dystynkcje. Wydał pogardliwie policzki.

– Leją Etlanże – prychnął.

– Nie dotykaj – poprosiłem grzecznie, czując, jak moja prawa dłoń sama wsuwa się do kieszeni.

– Leją Etlanże dezelte. Kultka z lynek, taa? Luski kupi kultka lynek. Leją Etlanże.

– Nie mów o rzeczach, o których nie masz pojęcia...

Chińczyk zaśmiał się, odcharknął i splunął na miejsce, gdzie powinien pysnić się zielono-czerwony proporzec Legii Cudzoziemskiej.

– Leją Etlanże gównno!

Wiele mógłbym znieść. Wiele znosiłem. Przez cholerne siedem lat w Légion Étrangère wyzywano mnie od najgorszych, opluwano, głodzono, gnębiono na wszelkie sposoby... Poniewierano moje ciało, umysł, cześć i godność, imię i nazwisko. Ale nawet tam, w zapomnianej przez Boga i ludzi Afryce, jedna rzecz była święta.

Sztandar i barwy samej Legii Cudzoziemskiej.

I to był właśnie ten moment, kiedy z menu rozgrywki zniknęły jakiegokolwiek opcje dialogowe.

Zareagowałem odruchowo, zupełnie instynktownie, niemalże nie myśląc. Nie, inaczej: w ogóle nie myśląc.

Zawinąłem się i z całej siły kopnąłem grubasa Soltanowa pod kolano.

Wrzasnął z zaskoczenia i bólu naraz, wyrzucił ręce w górę, po czym złożył się jak scyzoryk, lecąc od razu pionowo w dół na jedną nogę, niezdolną o własnych siłach utrzymać całej wagi jego ciała.

Celujący mu do tej pory w potylicę Chińczyk zupełnie odruchowo pociągnął za spust. Pistolet huknął i błysnął, podmuch szarpnął kędzierzawymi włosami, kula wycięła na głowie nie do końca symetryczny przedziałek i trafiła centralnie w stojącego przed Sołtanowem, zdumionego Huanga.

A wtedy ja wyszarpnąłem z kieszeni rękę, która zatoczyła krótki łuk i nasadzonym na palce pirokastetem uderzyła stojącego po mojej prawej stronie typa prosto w zęby.

Pirokastet to paskudna rzecz. Niby działa jak zwykły kastet – ot, taki sobie kawał żelaza, żeby dodatkowo kogoś skrzywdzić, ale niekoniecznie od razu zabić. Typowa, prymitywna broń ulic i ciemnych podwórek, za którą jeszcze cię nie wsadzą, a najwyżej wlepią zawiasy.

Tylko że nasi chałupniczy inżynierowie pomyśleli sobie kiedyś: ej, a jakby tak dodać do niego dopalacze? Domontować karbowaną, zębatą przednią płytkę, pod którą będzie kilka niewielkich ładunków pirotechnicznych, zwiększających siłę uderzenia. O ile zwiększających? Nie no, nie aż tak, bez przesady. Dwukrotnie. No może trzykrotnie, ale to już maksimum.

Czyli w zasadzie efekt był taki, jakby kogoś uderzyć młotkiem. Pneumatycznym.

Oczywiście prawa fizyki obowiązywały nadal, więc tak zwana „siła ef” działała w obie strony. Nierzadko ofiara trafiała do szpitala ze zgruchotaną szczęką, a użytkownik z połamanymi palcami albo zwichniętym nadgarstkiem.

Trzeba było do pirokastetu mieć mocną, sztywną, zdolną wytrzymać siłę odrzutu rękę.

Na przykład cybernetyczną.

Trzasnęło głośno, niesiona falą uderzeniową chmurka dymu strzeliła na boki idealnie okrągłym pierścieniem wyładowania. Głowa Chińczyka odskoczyła w tył jak na zawiasie, wyrzucając w górę istną fontannę czerwonych kropelek przemieszanych z białawym bryzgiem śliny i drobinkami potrzaskanych na sieczkę przednich zębów.

Sołtanow jeszcze wciąż upadał, zakrywając rękoma głowę, kiedy stojący dokładnie naprzeciwko mnie Kitajec wyrzucił z rękawa podwójne ostrze bionicznego noża.

Pieprzone żółtki, oni zawsze lubowali się w takich dziwacznych, posranych broniach! Byłem ustawiony do niego pod absolutnie fatalnym kątem, na wykroku, i widziałem go ledwie kątem oka... Nie odwróć się, nie ma szans!

Doskoczył do mnie dosłownie jednym susem, poruszając się o wiele, wiele za szybko. No tak, puszczone po wierzchu wygolonej na łyso czaszki przewody prowadziły pewnie do wbudowanego w łopatkę układu generatora pobudzającego, który stymulował korę mózgową i przyspieszał reakcje. U nas było to zakazane, a u nich produkowało się tego całe kontenery.

Bliźniacze, pokryte opalizującą powłoką nanocząsteczek klingi zatoczyły krótki łuk i wbiły mi się prosto pod żebra.

To jest „prawie wbiły”. Zabolało, owszem, aż mi się ciemno przed oczami zrobiło, ale wszyta pomiędzy warstwy klimakurtki poliwęglanowa siatka wytrzymała uderzenie. Legia jednak dbała o swoich, a walki w barach były na porządku dziennym.

Krzyknąłem z bólu, Chińczyk wrzasnął tryumfalnie, jakkolwiek przedwcześnie. Chciałem odwinąć mu się łokciem, jednak zablokował cios, ciął mnie jeszcze raz zdradziecko, pod pachę, ale pancerz znów wytrzymał. Ścisnąłem jego rękę pod ramieniem, obróciłem się, uderzyłem niezgrabnie lewą ręką, próbując wyswobodzić dymiącą prawą dłoń.

Jeśli tylko sięgnę go pirokastetem, to jestem w domu!

On też o tym wiedział i nie zamierzał do tego dopuścić. Uderzył ostrzami, celując w twarz. Udało mi się cudem odchylić głowę tak, że tylko kilka pasm siwawych włosów poleciało w bok, ściętych niczym ciosem brzytwy.

Kopnięcie, pudło, blok, bolesny cios trafił mnie w okolice podbrzusza. Aj, aj, niedobrze, szybki był! Zaczynał celować w twarz, a mnie zwyczajnie nie starczało refleksu. Bałem się tylko, że...

Tak, to była zmyłka, blef. Chwycił mnie za lewą rękę, bo już zorientował się, że prawa jest mechaniczną protezą. Wykręcił nadgarstek, w jego oczach błysnął dziki tryumf.

Przygotowałem się na ból.

Trzasnęło.

Ból nie nadszedł, nie uderzył falą, nie zalał umysłu płynnym ogniem.

Za to Chińczyk zamarł, stężał jak zatrzymany w pół ruchu cybermanekin. Gałki jego oczu skoczyły w górę i w dół, zjechały ku nasadzie nosa... Spomiędzy zębów ze świstem wydostało się powietrze, znad uszu uniósł się dymek.

Wypuścił moją dłoń, przechylił się i przewrócił na bok.

Za nim na podłodze póležał Sołtanow ze swoim wysokonapięciowcem w ręku.

Kitajec, który przypadkiem postrzelił Huanga, stał niczym słup

soli z dymiącym pistoletem w dłoni, patrząc na krwawiącego z rozoranego ramienia szefa. Tamten wił się i jęczał, ale rana nie była chyba śmiertelna... Nie czekając na rozwój wypadków, nie dając życiu szans na zrobienie czegoś głupiego, zupełnie nieprofesjonalnie walnąłem niefortunnego strzelca w brzuch – pirokastet huknął, żółty złożył się wpół, osunął na kolana, porzygał i opadł nieprzytomny na ziemię.

Stanąłem w rozkroku nad nożownikiem i wzniosłem rękę, gotów załadować mu kontrolną lepę w ryj, ale dostrzegłem, że nie było takiej konieczności. Sołtanow musiał trafić go z elektryka prosto w kark, któredy szły podłączone bezpośrednio do głowy przewody, i zapewne dzięki temu jednostronnie szczęśliwemu zbiegowi okoliczności usmażył mu mózg.

Przestąpiłem nad nieruchomym siepaczem, zamachnąłem się i profilaktycznie kopnąłem z woleja jeszcze tego pierwszego, z ustami zamienionymi w krwawą dziurę.

Sołtanow już gramolił się z podłogi, przeładowując swój pistolet. W końcu wsunął zapasowy ładunek w rękojeść, wycelował w leżącego na podłodze Huanga.

Złapałem go prawą ręką za przedramię, ścisnąłem. Skrzywił się z bólu, spojrzał na mnie złym wzrokiem.

Pokręciłem głową: nie.

– Puszczaj pan! – sapnął. – Chcesz pan swój towar czy nie?!

– Bierz, co są ci winni albo i co tylko chcesz. Bierz i wynosimy się stąd – warknąłem.

Sołtanow chciał wyrwać mi rękę, ja jednak trzymałem mocno. Może i do słabych nie należał, natomiast jak cybernetyczna proteza zaciśnie palce, to nie ma zmiłuj... W końcu sam go puściłem, a on rozmasował przedramię. Spojrzał z nienawiścią na leżącego w kałuży krwi, bladego Huanga, który chyba też szykował się do utraty świadomości, splunął pogardliwie.

Patrzyłem tylko, jak wywała na ziemię zawartość szuflad, zgarnia sobie do kieszeni co większe bryłki ciepło złotego minerału, kruszcu czy czymkolwiek tam był bursztyn. Potem bezceremonialnie obszukał wszystkich Kitajców, zabrał im portfele. Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kurtki Huanga kilka kart kredytowych, podetknął tamtemu pod nos.

– Teraz kwita jesteśmy, gównu ty żółte! A jak jeszcze raz mnie wystawisz, to mój człowiek...

– Nie jestem twoim człowiekiem – przerwałem mu. – Panie Huang, ja tu jestem przypadkiem, to wy pierwsi wyciągnęliście

broń. Przepraszam, że tak wyszło, a teraz sobie już idziemy.

– Przecież oni...!

– Idziemy, powiedziałem.

Rozglądałem się jeszcze po drodze, czy gdzieś tu nie ma kamer, ale chyba nie było. Wolałbym, żeby nie mieli mojej twarzy utrwalonej na nośniku, szczerze mówiąc... Jialininggele mogło mi być jeszcze przydatne.

Otworzyłem Sołtanowowi, wymownym gestem pokazałem, żeby wsiadał. Zatrzasnąłem za nim drzwi, próbując nie patrzeć na przyglądających się nam wytatuowanych ludzi, wsiadłem za kierownicę i czym prędzej ruszyłem.

– Gdzie jechać? – warknąłem.

– Tutaj w prawo. Nie, nie tu, w drugą... O tak. I teraz w trzecią w prawo.

Kręciliśmy, zawijaliśmy i kluczyliśmy po zaułkach. Ponad nami, obok nas cały czas wiła się wstęga obwodnicy, to bliższej, to znów bardziej odległej. W końcu wyjechaliśmy na jakąś większą ulicę, pojawiły się holoreklamy, widać było nawet propagandowy plakat z Prezydentem na tle wielkiego orła Federacji. Odetchnąłem z ulgą.

Jak tylko podjechaliśmy do pierwszej stacji benzynowej, zahamowałem gwałtownie, zjechałem na bok. Wyłączyłem silnik i odwróciłem się, patrząc na Sołtanowa ciężkim wzrokiem.

– No co? – Spojrzał tak, jak gdyby nic się nie stało. – Zatankować pan musisz? To śmiało, ja poczekam.

– Ile?

– Co ile?

– Ile był winien.

Zawahał się chwilę, machnął ręką.

– Wystarczy tego, co się znalazło.

– Ile, pytam?

– No... osiem tysięcy.

Osiem tysięcy. I dla takich pieniędzy prawie ukatrupiliśmy czterech ludzi. Żółtych, czarnych, białych, to już bez znaczenia, ale ludzi. Myślących, czujących, mimo wszystko na swój sposób wyjątkowych.

A dla mnie życie ludzkie było warte o wiele, wiele więcej.

– Dwie trzecie z tego, co będzie ponad ósemkę, idzie dla mnie – wyrzuciłem z siebie jednym tchem.

Skinął tylko głową.

– Zgoda.

Odpaliłem silnik, wykręciłem tyłem i znów wyjechałem na drogę.

W głowie miałem chwilowo pustkę, przed oczami tylko stopklatkę z trafionym w zęby Chińczykiem i malowniczym, krwawym rozbryzgiem wokół jego ust.

Sołtanow dłuższy czas nie mówił nic, tylko patrzył za okno, na mijane budynki. W końcu opuścił szybę, wyciągnął i zapalił ciśnieniowego papierosa.

– Rozpłeniła się ta żółta zaraza. – Wydmuchnął dym za okno. – Jeszcze dziesięć, dwadzieścia lat temu tyle ich nie było. A teraz nie ma gdzie nogi postawić, żeby jakiegoś nie nadepnąć. Cholerni imigranci.

„Imigranci”. Nie to, żeby sam Sołtanow, brodaty i smagły, był tutaj rdzenną ludnością, bo przecież należał do też niemałej diaspory Uzbeków, od dziesięcioleci trzęsących kryminalnym podziemiem miasta. Natomiast faktycznie, jego przodkowie siedzieli tutaj bodajże od końca ubiegłego wieku, więc zdążyli zapuścić korzenie. A tamci byli, no cóż, od niedawna.

– Ile to, trzydzieści lat jakoś? – zapytałem.

– Dwadzieścia dziewięć. Uwierzysz pan, że te fiuty chcą za rok robić z tej okazji festyn? Że niby trzydziestolecie Jialininggele!

– Kaliningradu – mruknąłem.

Kaliningrad. Tak się to miejsce kiedyś faktycznie nazywało. Jeszcze mgliście pamiętałem, jak w telewizji mówili, że okręg zmienia nazwę i że miasto też będzie się inaczej nazywać. Były z tej okazji nawet jakieś protesty, miały być demonstracje i wielka akcja opozycji, ale w efekcie wszystko się rozeszło po kościach.

Chińczycy w mieście byli jeszcze od początków wieku. Podobno byli, tak przynajmniej słyszałem. Ściągnęli ich tutaj nasi, żeby ogarnąć i uporządkować wydobywanie bursztynu, wypłenić kradnącą wszystko na lewo i prawo mafię.

Faktycznie, udało się. Złota rzeka jantaru popłynęła równym nurtem, w końcu nie przemytem za granicę, a prosto do magazynów zajmującej się monopolistycznym wydobywaniem korporacji.

Chińskiej korporacji.

Oczywiście w zamian za to przybysze ze wschodu rozbudowali miasto, dodali infrastrukturę, w końcu uregulowali kwestię energetyki i wody pitnej. Postawili planowaną od dziesięcioleci elektrownię jądrową, przekształcili zamuloną zatokę w potężny port.

Wszystko to, rzecz jasna, żółtymi, zręcznymi rączkami własnej siły roboczej, ściąganej do miasta całymi tysiącami.

No i w końcu, jako że i tak stanowili już większość, wystąpili do

naszego Prezydenta z propozycją: zmieńmy nazwę miasta, bo nam tak będzie wygodniej. I tak je już tak nazywamy.

A on się zgodził, i z Kaliningradu zrobili Jialininggele.

Dokładnie tak wymawiali tę nazwę zółci. Tylko tak potrafili odczytać nasze litery, powtórzyć dźwięki. Tyle rozumieli z naszego pisma, naszej kultury, sposobu myślenia i życia.

Miasto faktycznie rozkwitło, bo Chiny od razu poprzestawiały wszystko na szachownicy polityki. Nie było już tak szczelnie zamkniętej granicy, można było nawet wpiąć się nie tylko w Strumień, ale też w zachodni Internet. Podobno bliżej Unii nawet łąpało ichnie programy telewizyjne. Pozakładała tutaj swoje filie masa zachodnich firm, mimo wszystko chcących handlować z objętą sankcjami Federacją.

Potem zrobili specjalną strefę ekonomiczną, zaczęli dawać ulgi podatkowe, granty na rozwój, szmery-bajery i cuda na kiju. Pięknie to wyglądało, pewnie, kasa się kręciła aż miło – tylko że nie trafiała już do naszego budżetu, a ponad głowami Federacji do Chin.

Faktycznie, było tak, jak powiedział tamten taksjarsz: oddaliśmy miasto za miskę soczewicy.

A to, że bursztyn nadal trafiał na lewo do nielegalnych zakładów? Oczywiście, że trafiał. Tylko że siedzieli w nich już nie Rosjanie, a Chińczycy albo Uzbegy. Im bardziej drakońskie były kary za nielegalny obrót, tym wyższe ceny osiągał materiał na czarnym rynku, bo całą legalną produkcję brano na pniu do Chin.

– Skurwysyny, oszukańcze żółte chujki. – Sołtanow wyjął niedopałek z ustnika i wyrzucił za okno. – Ładnie żeś pan ich załatwił. Ale mnie to nie trzeba było bić. U nas za takie coś to ręce ucinają od razu.

– Ja już mam uciętą, więc jesteśmy kwita.

– Mhm. Ale dobrze żeś się pan sprawił. A może byśmy tak od razu...

– Nie – przerwałem mu natychmiast. – Ja tu tylko towar odbieram.

– No dobrze, trudno.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu, obydwaj rozważaliśmy po cichu opcje. W końcu odchrząknąłem, odezwałem się jako pierwszy:

– Chociaż, jakby się dało... Jest tutaj, w mieście, jeden człowiek podobno.

– Podobno więcej niż jeden, ale i tak znajdziemy. – Sołtanow kiwnął głową. – Na kiedy?

– Powrotny mam za dwa dni.

– O, to spokojnie. A dziś ja zapraszam na kolację do nas, do restauracji. Baraninę pan lubi? Mamy tutaj swoją hodowlę mięsa, genetyka prosto z gór brana.

Zaburczało mi w brzuchu.



Kolacja była faktycznie świetna. Sołtanow musiał mieć jednak jakieś wyrzuty sumienia, że tak po prostu, bezczelnie mnie wykorzystał... Miałem mu to trochę za złe, ale też nie robiłem z tego powodu wymówek.

No tak, miał zaległy problem z chińskimi bursztyniarzami. Pewnie ocenił od razu, że ja mogę dać sobie radę, a przede wszystkim, że jestem nietutejszym frajerem i nawet nie zorientuję się, dokąd jedziemy.

Gdyby coś mi się stało, to temat byłby inny. A tak, no cóż – wyszedłem obronną ręką, zgarnąłem dolę i jeszcze zyskałem cenny kontakt.

Sołtanow dotrzymał słowa i pomiędzy drugim a trzecim daniem podał mi mapkę z zaznaczonym miejscem i wpisanym adresem, gdzie Piliarski nie to, że był zameldowany, ale faktycznie przebywał. Tak po prostu.

Oczywiście dostałem też paczkę dla Kulasa, a jakże. Leżała sobie zafoliowana w mieszkaniu, do którego na początku przyszedłem.

– Jakby coś było trzeba tu, w mieście... – Popatrzył na mnie, potem spojrzął znacząco na swojego brata, siedzącego po mojej drugiej stronie. – To dawaj pan zawsze znać.

Kiwnąłem oszczędnie głową.

– Niewykluczone, że się kiedyś przyda. A z mojej strony to samo w NeoSybirsku.

– Nie nasz rejon, ale kto wie? – uśmiechnął się gospodarz.

Nie wątpiłem, że coś znajdą. Akurat tutaj, w Jialininggele, uzbecka mafia walczyła z Chińczykami o dostęp do bursztynu, natomiast musieli prowadzić też inne linie działalności.

Chcieli mnie po wszystkim, po kolacji, wyciągnąć jeszcze na rejs po nocnych klubach.

– Najlepsze kobiety! – zachwalał Sołtanow. – Białe, żółte, opalone, blade! Mają nawet kilka nawszczepianych, te się dopiero ruszają! Chodź pan, nie trzeba nic przecież robić, ale to rozrywka dla

mężczyzn!

Wykręciłem się, podając jakieś w swoim mniemaniu przekonujące usprawiedliwienie, że mam jeszcze coś do załatwienia i w ogóle. Widziałem, że nie takiej odpowiedzi się spodziewali: skoro już przelaliśmy razem krew i przełamaliśmy się chlebem, to pewnie i ogórasa wypadło zakisić.

No trudno, nie dziś. Naprawdę miałem coś ważniejszego.

Wróciłem do apartamentu, jeszcze po drodze zdzwoniwszy się z podanym przez Kulasa kontaktem. Kazał czekać, no to będę czekać... Usiadłem w fotelu, włączyłem jakiś debilny program, nalałem sobie wódki z minibaru i czekałem.

Aha, miałem podobno nie pić. No dobra, trudno. Ten jeden raz będzie w ramach urlopu.

Ale na trzeźwo nie dam rady, tego byłem pewien.

Kiedy komunikator w końcu zadzwonił, aż podskoczyłem. Trzęsącymi się rękoma przełączyłem holoprojektor na odbiór, wrzuciłem transmisję z naszego Strumienia.

Najpierw pokazało się kilka bramek przekierowania, potem jakieś ideogramy po chińsku, coś alfabetem łacińskim, potem kolejne znaczki, ale już inne. Czekałem, zaciskając zęby. Jeszcze jeden ekran oczekiwania: wywoływanie, oczekiwanie, oczekiwanie, oczekiwanie... Łączenie... Ładowanie transmisji...

Nagle ekran zamigotał, a potem pokazał się na nim obraz: wygolony niemal na zero, opalony chłopak. Piksele były tak straszne, że twarz była nieledwie kilkoma ciemniejszymi plamami, oświetlenie pewnie też szwankowało.

Tamten obejrzał się przez ramię, nachylił do swojej kamery i odezwał niepewnym półgłosem:

– Halo?

Poczułem, jak coś ściska mnie za gardło.

– Sania...? – dałem radę wykrztusić.

– ...tata?

– Sania!

– Tata! Tato, ale jak?! Jesteś w Europie? Dlaczego nie mówiłeś, że przyjedziesz?! – nagle zatrajkotał mój syn, potem spłoszył się, ściszył głos: – Tata! Tata, jak ja się cieszę...

– Sania, synku... – wybełkotałem, czując, że struny głosowe odmawiają mi posłuszeństwa.

Dwa lata. Pieprzone dwa i pół roku nie widziałem go, nie słyszałem. Nie miałem z moim chłopakiem kontaktu od momentu, kiedy tutaj, w Jialininggele, wsadziłem go w towarzystwie dawnego

towarzysza broni do samolotu, który miał zawieźć go na jakże odległe, słoneczne południe Francji.

Wiedziałem, że przeszedł testy, że się dostał, i to tyle. Miałem jego przybrane imię i nazwisko, do tego podany przy zaciągu numer komunikatora. Tylko tyle prześliznęło się przez nową żelazną kurtynę, oddzielającą dwa równoległe światy polityki.

A teraz widziałem go – całego i zdrowego. W mundurze Legii.

I byłem dziko dumny.

– Synku. – Otarłem łzę wierzchem dłoni. – Jak ja się cieszę, że cię widzę!

– Tato! Tato, dostałem się! Jestem w pierwszym, jak to po rosyjsku, phime diwizija...

– Dywizji. Pierwsza dywizja, czyli szturmowi, brawo!

– Tak! I w tym roku będę miał już promocję, będę kapralem! Tato, ja mam ci tyle do opowiedzenia, tyle się nauczyłem...

– Sania, synku kochany. Zdrowy jesteś? Dajesz radę?

– Na początku ciężko było. – Pokiwał głową. – Tak jak mówiłeś. Dwa pierwsze miesiące nie karmią, trzeba samemu jedzenie zdobywać. I dużo krzyczą. Ale po francusku już normalnie rozmawiam, wiesz? I bez problemu się dogaduję... A jak u ciebie? Jak mama?

– Mama. U mamy w porządku, synku, pozdrawia cię bardzo! Kusto jeszcze żyje, ja remont skończyłem... Zdrowi jesteśmy, całujemy cię mocno! I dumni jesteśmy, ja jestem dumny!

Bełkotałem, co tylko ślina na język przyniosła, jękałem się, powtarzałem. Dwa lata! Jak zamknąć dwa lata tęsknoty i bezradności w tak krótkiej rozmowie?!

– Tato, a jak tam u nas, w mieście? Dużo się zmieniło?

– Tak, tak! Dobudowali ten dom na rogu w końcu i nową linię metra mają otwierać. I nawet naszą klatkę odmalowali!

– Nie?!

– Naprawdę! Ledwieś wyjechał, a tutaj remont... Sania, aleś ty zmężniał!

– No, dużo tutaj nam każą ćwiczyć, tato. Po dwanaście godzin dziennie cały czas i pływanie... Pływać się nauczyłem porządnie! Jak wrócę do domu, to się ścigamy!

Miałem nadzieję, że nie zauważył, jak twarz ściągnęła mi się w grymasie.

– Tak, synku! Pokażesz mi wszystko! Jaki ja jestem z ciebie dumny!

– Ja z siebie też, tato! A powiem ci, że teraz... – nagle umilkł,

wyprostował się, rozejrzał.

– Co się dzieje, synku? – zaniepokoiłem się.

– Ktoś idzie, tato. Będę musiał kończyć, bo jest już cisza nocna, a ja się schowałem tutaj.

– Sania, synku...

– Muszę kończyć, tato. – Spowaźniał nagle. – Kocham cię i dziękuję. Na razie.

– Sania!

Ekran zamigotał i zgasł, pokazało się logo firmy telekomunikacyjnej.

Siedziałem tak, patrząc z niedowierzaniem w pusty hologram. Wydawało mi się, że w powidokach wciąż jeszcze widzę jego twarz, że obraz nadal odznacza się wśród cząsteczek projekcji. Przed chwilą był tam, słyszałem go! Mój chłopak, mój pierworodny i jedyny.

– Sania... – powtórzyłem szeptem raz jeszcze, a potem rozplakałem się.

Wszystkie emocje, które przez te dwa lata spychałem na dno świadomości, nagle wezbrały falą i chlusnęły przez oczy w strumieniach łez. Cały strach o tego dzieciaka. Każda nieprzespana noc wypełniona rozmyślaniami o nim. Każdy dzień, w którym starałem się zagłuszyć ojcowską miłość nawalem pracy.

Niezliczone pytania od znajomych, którzy wiedzieli, że Sania poleciał zaciągnąć się do Legii: co u niego? Jak tam? Odzywał się? Pewnie jesteś dumny?

Kłamałem. Co innego miałem robić? I wtedy, i teraz. Co, co, no co niby miałem powiedzieć temu dzieciakowi?! Że jego matka ani razu nie zadzwoniła, żeby zapytać, czy coś może o nim wiem?!

Dał radę. Przetrwał. Wybronił się. Poradził sobie.

Sam. Bez nas, beze mnie.

Dał radę!

Sania. Mój dzieciak. Mój syn. W tej chwili jedyny sens mojego istnienia.

To przez niego, to dla niego sam odszedłem z Legii przez zakończeniem kontraktu. Uciekłem, nazwijmy rzecz po imieniu! Wymknąłem się nocą, zostawiając papiery. Bez dyplomu nienagannej służby.

Zdeztererowałem. Porzuciłem przybraną rodzinę, żeby spróbować uratować własną. Udało mi się tylko połowicznie – straciłem żonę, ale utrzymałem syna.

I te dwa lata temu posłałem go w tę samą drogę, której nie dałem

rady przejść do końca sam. Bogatszego i mądrzejszego o moje doświadczenie. Z głową pełną marzeń o lepszej przyszłości, którą naprawdę miał teraz w zasięgu ręki!

„Kiedy wrócę do domu...”

On jeszcze nie rozumiał, że nie wróci. Nie mógł mieć pojęcia, że ja załapałem się na przysłowiowy ostatni pociąg, zanim wprowadzili ten nowy przepis o pełnej biometrii na kamerach i ustawę penalizującą karnie służbę w obcych siłach zbrojnych.

Wysyłając go tam, wysłałem z biletem w jedną stronę do innego, lepszego świata – licząc się z tym, że nigdy już nie wróci do Federacji.

Że nigdy więcej nie będę mógł go przytulić.

Nie wiem, jak długo zanosilem się łkaniem, wtulając twarz w zimne poduszki. Nie zauważyłem momentu, kiedy w moim ręku znalazła się butelka. Potem dowlokłem się do barku, odkręciłem kolejną...

A potem noc nie wiedzieć kiedy zmieniła się w szarówkę dnia.



Człapiąc klapkami, wychynałem z apartamentu dopiero po południu, kiedy koszmarny ból głowy zelżał na tyle, że byłem w stanie rozchylić oczy. Dawno nie miałem takiego kaca... ale też dawno nie popiłem wódki piwem, a potem koniakiem, a potem winem najpierw czerwonym, a potem białym.

Zostawiłem na recepcji napiwek i prośbę o sprzątnięcie, a sam zamknąłem się w gorącej, parnej i ciemnej saunie.

Godzinę cierpienia i sześć zimnych kąpeli później poczułem, że jest lepiej. Ożłopałem się wody z dyspensera, żeby mieć czym się pocić, wróciłem jeszcze na kwadrans... Potem już basen, prysznic, a na końcu siłownia. W międzyczasie taktyczne rzygnięcie, jeszcze więcej wody, znów basen.

Było dobrze. Żyłem.

Wróciłem do apartamentu, spojrzełem na niedopitą butelkę. Odkręciłem korek, z ciężkim westchnieniem wylałem wszystko do umywalki. No tak, kiedyś trzeba rzucić definitywnie. To był chyba właśnie ten moment.

Przed oczami miałem cały czas twarz mojego Sani.

Oddałem go do Legii dzieciakiem, a teraz, po dwóch latach,

patrzył na mnie mężczyzna. Rosły, umięśniony, mimo że nadal chudy jak szczapa. Ten sam, taki sam, a mimo to zupełnie inny.

Wszystko, co robiłem do tej pory, robiłem dla niego. Wrzucałem każdy uciulany grosz na konto w zagranicznym banku, którego samo prowadzenie kosztowało mnie więcej, niż wydawałem miesięcznie na własne utrzymanie... Ale było warto.

Wiedziałem, że jeśli tylko da radę przejść moją drogę, unikając moich błędów, to osiągnie rzeczy bajeczne.

Nawet jeśli miało to znaczyć, że nigdy więcej nie będę go mógł wziąć w ramiona, bo oddzielać nas będzie granica Federacji.

Sprawdziłem, czy plamy krwi zeszły ze spodni, narzuciłem na grzbiet zacerowaną już nie wiem po raz który klimakurtkę i ruszyłem w kierunku centrum Jialininggele.

Jak patrzyłem na stare mapy, to kiedyś była tutaj jakaś centralna wyspa w rozwidleniu rzeki, mosty pomiędzy brzegami... Teraz wszystko to stało się jednolitą płytą zbrojonego betonu, na której stały wieże biurowców, straszących rządkiem pokracznych znaczków po chińsku. Ulice dosłownie obstawione były restauracjami, gdzie wołający po chińsku Chińczycy obsługiwali wybierających z menu po chińsku Chińczyków, serwując im chińskie potrawy.

I nie chodziło o to, że ich było więcej. Tu w ogóle nie było naszych! Kiedy jechałem samochodem, to jeszcze wyglądało jako tako, mimo że parę razy się zgubiłem, po prostu nie umiając odczytać znaków.

Ale potem? Normalnie oglądali się za mną, kiedy szedłem ulicą. Ktoś mi nawet zdjęcie zrobił!

Kilka razy porównałem przekazany mi przez Sołtanowa adres z tym, co pokazywał holowyświetlacz na biurowcu: niby takie samo było. No dobra, raz kozie śmierć, drzwi do środka i hajda.

– Dział-dział-dział-dział! Dział-dział-dział? – uśmiechnęła się recepcjonistka o wyglądzie szesnastoletniej gwiazdki z rysunkowego porno. – Dział-dział!

– E, bo ja szukam... – Szybki rzut oka na zegarek z danymi, otrzymanymi jeszcze od Kulasa. – LeadBullet. Do pana Piliarskiego, dyrektora.

– Liedbuliee, dwudeste siume pjetloo. Panaziłaa?

– Khudovec. – Przystawilem nadgarstek do czytnika.

Bramka otwarła się bezszelestnie, winda dzyńknęła, otwierając zapraszająco podwoje. Dobrze, że chociaż cyfr używali tych samych co my.

Na górze wyszedłem do swoistego hallu – korytarz, sześć par drzwi z interkomami. Na jednych widać było lśniąco dumnie tabliczkę z logo firmy, pod nią nieco mniejszą z nazwiskiem rezydenta. Czyli Sołtanow nie kłamał.

Przynajmniej nie tym razem.

Wdusiłem przycisk, po chwili zapaliło się oko kamery.

– Tak? – rozległ się głos.

– Dobry wieczór, ja do pana Piliarskiego. Nie za późno?

– Nie, oczywiście, że nie. Zapraszam.

Brzęczyk, popchnąłem drzwi. Coś dziwnie łatwo poszło.

Piliarski czekał na mnie przy wejściu do swego gabinetu. Podobnie jak wielu innych biznesmenów, mieszkał w lokalu firmy, bo dalsza część apartamentu wyglądała już jak jego prywatne mieszkanie. Widziałem miękką kanapę, na holoprojektorze leciał trójwymiarowy film, tam chyba była kuchnia... Przywitał mnie szerokim, niemalże szczerym uśmiechem, wyciągnął rękę.

– Pan Khudovec, tak? Bardzo mi miło, Gennadij Piliarski do usług. Zapraszam do siebie.

Od razu zaklasyfikowałem go jako typowego najemnika korporacyjnego. Spodnie z przykrótkimi nogawkami, zielonkawe skarpetki, okulary starego typu w idiotycznie grubej oprawce i do tego zupełnie niepasująca do twarzy, starannie wymodelowana broda.

Zresztą samo lokum też znamionowało człowieka, który nie do końca wie, jak spożytkować łatwo zarobione pieniądze.

Wytarłem nogi w wycieraczkę z prawdziwej tkaniny, powiesiłem kurtkę na ozdobnym wieszaku z naturalnego, potwornie drogiego drewna. Przeszliśmy do gabinetu, usiadłem na miękkim, obrotowym fotelu. On zajął miejsce za biurkiem, otworzył holonotatnik.

– Pan Khudovec, Aleksander Khudovec. Och, pan aż z NeoSybirska? Kawał drogi, nie ma co... No tak, widzę, że zajmuje się pan dosyć specyficzną działalnością.

Otworzyłem usta, zamknąłem. Skąd, jakim cudem tyle wiedział?! Potem zrozumiałem: przecież zalogowałem się na dole. Wystarczyło, że był podpięty do tutejszego systemu ewidencji, i za odpowiednią opłatą ściągał sobie dane każdego, kto tu przychodził.

Wywiad gospodarczy, zanim jeszcze klient przestąpi twój próg. Sprytne. Tym razem chciał zrobić na mnie wrażenie, pokazać, ile to on nie może... No i dobrze. Skoro stroszył piórka, to najlepiej będzie uderzyć go zniecacka.

– Marco Valenta – rzuciłem krótko.

Spojrzał na mnie, uśmiechnął się znowu. Tym razem jednak był to już jedynie wyuczony, nawykowy grymas.

– Słucham?

– Marco Valenta, pański klient. Słynny właściciel wytwórni fonograficznej? Autor słuchowisk? Na pewno czytuje pan prasę nie tylko lokalną, ale też federacyjną. Od kilku tygodni nie można szafy otworzyć, żeby w niej nie siedział z dyktafonem.

Potrząsnął głową, zamknął holonotatnik i przesunął dłonią po okularach. Zrobił to już wcześniej, ale w drugą stronę, jak tylko przyszedłem. Ciekawe, czy miał tam kamerę? I czy właśnie ją włączył, czy wręcz przeciwnie?

– Nie mam pojęcia, o kim pan mówi, panie Aleksandrze. Proszę mi powiedzieć, czy pański syn już skończył studia?

O, ty chujku niedomyty, pomyślałem sobie. Musiałeś nieźle się wystraszyć, skoro od razu przechodzisz do gróźb osobistych... Ale widać, że po pierwsze nie wiesz tak dużo, jak byś chciał, żebym w to wierzył.

A po drugie, wybrałeś bardzo, bardzo zły przykład na takie podjebki.

– Nie, w tym roku robi licencjat. – Uśmiechnąłem się czarująco. – A pan, jak rozumiem, zajmuje się zarządzaniem majątkiem, powierzonym przez Valentę.

– Powtarzam, że nie wiem, o kim pan mówi.

– Nie musi pan, dopóki powie, gdzie są jego pieniądze. Bo co do tego, że jakies gdzieś są, nie mam wątpliwości.

Wsparł się łokciami o stół, spojrzał na mnie znad okularów. Teraz grał poważnego pana biznesmena, pouczającego szaraczka znikąd.

– Drogi panie Aleksandrze. Skoro trafił pan do mnie, to rozumiem, że wie pan też, czym się zajmuję. Rzeczywiście, pośredniczę w zarządzaniu określonymi aktywami na zlecenie klientów i prowadzę ich optymalizację w przeróżnych... destynacjach. Faktycznie, jednym z moich klientów był pan Valenta, który...

– Daniłow.

– Słucham?

– Daniłow. Proszę sprawdzić to nazwisko. Teraz.

Wywołał znów notatnik, wstukał litery. Widziałem, jak najpierw obojętnie przewija ekrany, a potem uśmiech dosłownie znika z jego twarzy. Poprawił się w fotelu, dotknął okularów.

– Tak, widzę. – Prawie gotów byłbym uwierzyć, że go to nie wzruszyło. – W czym mogę być pomocny? Bo jeśli pan Daniłow szuka dobrej lokaty kapitału...

– Kapitał pana Daniłowa w wysokości trzydziestu milionów został już ulokowany przez pańskiego klienta, pana Valentę właśnie. A teraz pan Daniłow stara się ustalić, gdzie konkretnie. Pośrednik, przez którego przeszły pieniądze, niejaki pan Sobkow, utracił niestety zdolność do podejmowania czynności cywilnoprawnych. Czy wyrażam się jasno?

– Naprawdę, nie rozumiem powiązania.

– Czy. Wyrażam. Się. Jasno? Jeśli nie znajdę tego ja, to sprawą zajmą się inni ludzie. Jeszcze poważniejsi ode mnie.

Teraz widziałem, że się wystraszył. A ja w sumie nawet nie kłamałem, bo byłem pewien: jak nie ja, to ktoś inny.

– Nie mam pojęcia...

– Proooszę. – Podniosłem dłoń, pokręciłem głową. – Jesteśmy obydwaj dorośli. Nie wymagam od pana naruszenia etyki zawodowej ani niczego w tym guście. Wystarczy, że wskaże mi pan kierunek, w którym mam szukać.

– Jak bardzo się panu spieszy? I pańskiemu mocodawcy, rzecz jasna.

„Mocodawca”. Zawsze podobało mi się to określenie.

– Mogę poczekać do jutra – odrzekłem. – Rozumiem, że musi pan się... zastanowić.

– Chciałbym, owszem.

Nie było sensu go naciskać za bardzo. Pożegnałem się, zapowiedziałem, że wpadnę jutro pod wieczór. Sam też ledwie trzymałem pion, czułem, jak po plecach ścieka mi strużkami pot. Koniec picia, naprawdę bierzemy się za siebie.



Nazajutrz zacząłem od basenu.

Serio. Nie takiego szpitalnego, tylko hotelowego. Nieszczególnie dużego, ale za to pełnego chłodnej, krystalicznie przejrzystej wody. Potem pożywne, lekkie śniadanie, spacer i siłownia.

Pokręciłem się po mieście, a raczej po tym, co z niego zostało. Zajrzałem nawet do wirtualnego muzeum, gdzie Chińczycy pokazywali z dumą, jak piękne było to miejsce, zanim oni się tu

zjawili. Odwiedziłem lokalny bazar, gdzie około połowy ludzi miało jeszcze właściwy kolor skóry, wzrost i kształt oczu.

Nie mając co robić, poszedłem do dzielnicy Uzbeków, poszukać sklepu Sołtanowa Młodszego. Faktycznie, udało mi się, chociaż już za mną szło kilku miejscowych... Pooglądałem towar, pogadałem z właścicielem o niczym.

Wreszcie, wiedziony przedziwnym impulsem serca i umiejętnie podprowadzany przez samego handlarza, pokazałem na jeden z leżących w przeszklonej gablocie wisiorów.

– Ile?

– Tysiąc siedemset. Ale jak dla pana, to tysiąc dwieście.

Skrzywiłem się. Nadal było to... no, dużo. W cholerę dużo. Czy była szansa, że mój „mocodawca” spojrzy przez palce i zwróci mi koszty delegacji? Tak fifty-fifty, pięćdziesiąt procent.

Czyli albo zwróci wszystko, albo nic. A średnia pomiędzy tymi dwoma pojęciami to połowa.

Sześćset, już do przyjęcia.

– Poproszę. – Skinąłem, zadowolony z siebie.

Cięższy o prezencik i wyrzuty sumienia, wróciłem do apartamentu, żeby jeszcze się dobić na siłowni. Jakoś trzeba było w końcu zabić czas... Wreszcie, kiedy słońce zaczęło chować się za wieżowcami centrum, wziąłem szybki prysznic i czując, jak boli mnie dosłownie wszystko, zbiegłem po schodach na dół.

Gdy wsiadłem do samochodu, to uświadomiłem sobie, że mogę nie dać rady z niego wysiąść.

Wieczór był wręcz przyjemny, rześki. Wiał niewielki wiaterek, skwar dnia odpływał gdzieś ku morzu i nawet dało się wytrzymać.

Opuściłem szybę, gapiąc się na przechodzące ulicami kobiety... No nie da się zaprzeczyć, że żółci z natury byli paskudni, ale mieli kasę i pojęcie o tym, jak powinna wyglądać ładna dziewczyna.

Tutejsza moda była jeszcze dziwniejsza niż w NeoSybirsku. Tam pod wieczór królowały na klubowych trotuarach wysokie buty, niklowane szpilki i głębokie, schodzące aż za pępek dekolty; tutaj kobiety z jakiegoś powodu zakładały ciężkie, nieproporcjonalnie wielkie buty, upodabniające je do postaci z kreskówek, i równie absurdalne wełniane rękawy, zasłaniające dłonie. Widziałem przedziwne kolory cieni do powiek i kuriozalnie wygięte w dół kreski na oczach... Tak, to była prawdziwa egzotyka.

Zaparkowałem pod biurowcem Piliarskiego, przeszedłem przez recepcję i wjechałem na górę. Przycisnąłem brzęczyk dzwonka.

Ciekawe, jak to jest: mieć tyle kasy? Mieszka sobie typ w takim

miejscu, może wszystko kupić. Ja tobym wykupił sąsiednie dwa kwartały i zakazał wejścia skośnym.

Nie no, nie byłem rasistą, bynajmniej. Po prostu widziałem, że nasz naród wymiera i musimy się bronić.

Wcisnąłem guzik jeszcze raz. Co on, śpi?

Cisza. Nikt nie odpowiadał. Cholera, nie, tylko nie to: dał nogę! Jeśli Daniłow dowie się, że miałem go w garści i wypuściłem, to mi łeb ukręci!

Zupełnie odruchowo, nie licząc na nic, nacisnąłem na klamkę i popchnąłem drzwi.

Ustały.

Ups...

Zajrzałem przez szczelinę, czując, jak od razu szybciej zabiło mi serce. Tak, mógł po prostu nie zamknąć. To się zdarza.

Ale doświadczenie nauczyło mnie, że to nie tak działa.

– Halo? – odezwałem się, sięgając za pazuchę. Szlag! Przecież nie miałem tu ze sobą broni! – Halo, jest tu kto? Otwarte było, ja tylko sprawdzam, czy wszystko w porządku!

Nie wiedziałem, czy nie ma tu kamer, więc robiłem sobie potencjalne alibi.

Zajrzałem do gabinetu: czysto, porządnie, wszystko na miejscach. Salon: poukładane, porządnie i schludnie, aż miło. Swoją drogą, pachniało tu pieniędzmi i luksusem.

Nie było go. Normalnie go nie było! Widziałem na dywanie ślady odkurzenia, więc apartament już sprzątnięto. Zmył się!

– Szlag! – warknąłem, prostując się. Nie było sensu się skradać.

Wszedłem do kuchni. No tak, tutaj też aż czuć zapach środków czyszczących. Zmywarka jeszcze ciepła, musiała niedawno skończyć program. W środku dwa talerzyki, dwa zestawy sztućców, dwa wysokie kieliszki.

Pięknie. Spakował się, zamówił sobie luksusową kurwę, zaruchał i wyjechał.

Bez szczególnej nadziei zajrzałem do przepysznie urządzonej łazienki, też wypuconej na błysk. Zaraz, ale skoro wyjechał... I co, zostawiłby swoje kosmetyki? To dopiero trzeba mieć kasy, żeby wziąć tylko rzeczy osobiste i wyjść z założenia, że resztę się kupi.

W garderobianej szafie wisiały równymi rządami koszule, ubrania i garnitury, stały karnymi parami buty. Chciałbym mieć dziesiątą część tego, szczerze mówiąc.

Marudząc pod nosem, wparowałem do sypialni – i zamarłem w progu.

Piliarski był tam, na łóżku. Leżał sobie nagusieński na brzuchu, skóra aż świeciła się od oliwki do masażu... Spoglądająca w sufit twarz miała w sobie wyraz błęgiego, rozluźnionego spokoju.

Leżał na brzuchu. A patrzył w sufit.

Nagle zrobiło mi się gorąco. Podszedłem ostrożnie, pospiesznie wyciągnąłem z kieszeni grube, jednorazowe rękawiczki. Dotykałem czegoś tutaj? Chyba tylko szaf, to zaraz się wytrze.

Nie, nie zaraz.

Teraz. Już.

Przeszedłem się po mieszkaniu, wycierając jednorazowym ręcznikiem wszystkie miejsca, których mogłem dotknąć choćby przelotnie, dopiero potem wróciłem do sypialni.

No, widok miał stąd piękny – panoramiczne okno na miasto, wielkie łóżko, lustro na ścianie. Tylko po co to człowiekowi ze skręconym karkiem?

Nie było śladów walki, nic. Ktoś po prostu ukreślił mu łeb w trakcie masażu. Jednym zdecydowanym, mocnym ruchem.

Akurat teraz, kiedy dotarłem do niego ja.

W pierwszej chwili miałem ochotę uciec. A jeśli zabójca czeka też na mnie? Jeśli teraz idzie korytarzem?!

Saszka, uspokój się, durniu. Gdyby chcieli cię zabić, to już byś nie żył. Nie ty byłeś najwyraźniej celem.

I nie zabójca, a zabójczyni. Kobieta. Ta sama, która stuknęła Sobkowa na lotnisku... A ja dziwiłem się, że taki mało męski chód miała tamta postać i takie zwinne ruchy.

Ot, do czego prowadzi równouprawnienie.

Przyszła do niego, wprosiła się na kolację. Zaciągnęła do łóżka, pobawiła się, a potem ukreśliła łeb jak kociakowi. Posprzątała wszystko, wytarła ślady... Pieprzona perfekcyjna pani domu.

Czyli musiał ją wcześniej znać.

Na szybko przejrzałem szuflady, sprawdziłem miejsca, gdzie mogły leżeć nośniki danych. Znalazłem nawet otwarty sejf, w którym samych kredytokart było na parędziesiąt tysięcy... Ktokolwiek tu był, przeczesał wszystko przede mną i nie szukał wcale pieniędzy.

Przez chwilę mnie kusiło, ale potem pomyślałem: nie. Pieniądzy do grobu nie zabiorę, nie ma co samemu na siebie bata kręcić.

Bez szczególnej nadziei sprawdziłem jego komputer i holonotatnik... Wszystko wyczyszczone, wyzerowane, system nawet się nie włączał.

Posprząтали go do zera.

Czyli... co? Valenta zlecił jego zabójstwo? Bzdura! Więc ktoś musiał, ale... ale po co?

Ścisnąłem głowę rękoma.

Zupełnie mi się to wszystko nie składało w całość, czułem się, jakbym próbował gonić jakąś cholerną fatamorganę. Co znajdę kawałek układanki, to mi go wyrywają z ręki!

Ale to znaczyło również, że jestem mimo wszystko na właściwym tropie.

Wróciłem jeszcze raz do sypialni, żeby mieć pewność, że niczego nie przeoczyłem. No tak, ubrania Piliarskiego leżały sobie złożone na równą kupkę. Spodnie, koszula, skarpetki w kolorze pomarańczowej papryki, majtki z logo, które samo z siebie kosztowało najniższą krajową. Kilka bransoletek, wisioerek, pierścionek... Po co facetowi biżuteria? I te pedalskie okulary.

Okulary.

Drżącą ręką podniosłem je, przejechałem po skrzydełku, ramiączku czy jak to się tam nazywa. Na lewym szkłe wyświetlił się zielonkawy hologram, zamigotał napis: potwierdzenie dostępu, czekam na weryfikację.

O cholera. O cholera, o cholera jasna.

Nie wierząc w to, co robię, dwoma palcami rozchyliłem powiekę trupa szerzej. Oko było straszne, szkliste i puste, pozbawione życia... A co najgorsze, odjechało w bok. Przycisnąłem je opuszkami, powoli przekręciłem tak, żeby patrzyło w górę. Nałożyłem zimnemu, blademu truposzowi okulary.

Groteska. Czysta groteska.

Kiedy zajrzałem w nie ponownie, na szkiełku już jarzyły się opcje wyboru menu. Udało się!

No dobra, teraz tylko... No właśnie. Jak je zabiorę, to się po jakimś czasie wyłączy. Oka mu nie wyłupię. Więc musiałem ogarnąć temat tutaj, siedząc przy łóżku umrzyka i okazjonalnie mu je zakładając.

Nałożyłem pedalskie infogogle i zacząłem mozolnie przerzynać się przez sterowane ruchami gałki ocznej ustawienia.

Nie znałem tego modelu ani systemu operacyjnego. Część menu była w ogóle po chińsku, część po... arabsku? A fragmenty w ogóle po europejsku, to jest po angielsku.

Metodą prób i błędów znalazłem opcję parowania urządzeń, mimo że po drodze ktoś do Piliarskiego dzwonił, a ja widząc przed sobą twarz jakiegoś nalanego grubasa, z wrażenia aż szarpnąłem się w tył, trzasnąwszy głową o ścianę: widzi mnie?! Nie, nie widzi... Poczekalem, aż mu się znudzi i rozłączy, wróciłem tam, gdzie

byłem.

Zrobiłem głęboki wdech. Wóz albo przewóz... Spojrzałem wymownie na ikonkę transferu danych.

Zegarek zawibrował, przyjmując transmisję. Długo, bo dużo tego było, żeby tylko mi starczyło pamięci na dysku, bo przecież w Strumień tego nie wrzucę.

Siedziałem, patrząc z zaniepokojeniem, jak pasek zapełnienia karty pełźnie w prawo... Wreszcie, kiedy już-już myślałem, że całość się rypnie, zamigotał zielony komunikat: transfer ukończony.

Wyłączyłem, wytarłem i odłożyłem okulary Piliarskiego na miejsce. No dobra, nic tu po mnie, nie będę przecież czuwał przy zwłokach.

Teraz tylko bezpiecznie wrócić do apartamentów, zamknąć się w pokoju, przeżyć do jutra i dojechać na lotnisko w jednym kawałku.

Potem będzie z górki.



DING!

Rozkleiłem powieki, przetarłem twarz dłonią. To już...? No najwyraźniej już.

Poprawiłem się w fotelu, zapiąłem pas. Za oknem widać było zalaną krwawą łuną zachodzącego słońca ogromną, szaroburą chmurę smogu, spod której tu i ówdzie wyglądały kawałki chaotycznej siatki ulic miasta. No tak, NeoSybirsk w pełnej krasie.

Samolot pieprznął w pas startowy, jakby zabicie nas wszystkich było celem życia pilota. Ludzie i tak zaczęli klaskać jak debile, a mnie zrobiło się za nich wstyd.

Oczywiście nie podjechaliśmy do rękawa, tylko podstawili dwa stare busy i wypuścili nas po schodkach.

Kiedy wyłoniłem się z wyjścia do samolotu, powietrze dosłownie oblepiło mnie, jak nałożony zaraz po kimś, jeszcze gorący, wilgotny i śmierdzący foliowy płaszcz.

Smród rozgrzanego asfaltu, spalin, dymu węglowego i chemikaliów na chwilę aż odebrał mi dech.

Ludzie tłoczyli się na schodkach, przepychali i wślizgiwali sobie na plecy, idąc w ślimaczym tempie. Obok busa stał też radiowóz na migawkach, obok niego dwóch znudzonych byczków w mundurach

lustrowało tłum. No tak, pewnie znowu polują na imigrantów. Albo szpiegów. Albo przemytników.

Wszystko dla dobra ojczyzny.

Byłem już w połowie drogi do autobusu, kiedy jeden z milicjantów ożywił się, oderwał od wozu. Szedł prosto do typka przede mną, który wyraźnie wystraszył się, wtulił głowę w ramiona.

Gliniarz ominął go i stanął przede mną, podniósł rękę, każąc mi się zatrzymać.

– Obywatelu, można na stronę?

– Co się stało? – zapytałem, szczerze zaskoczony.

– Zapraszamy na stronę. Mogę prosić rękę do czytnika?...

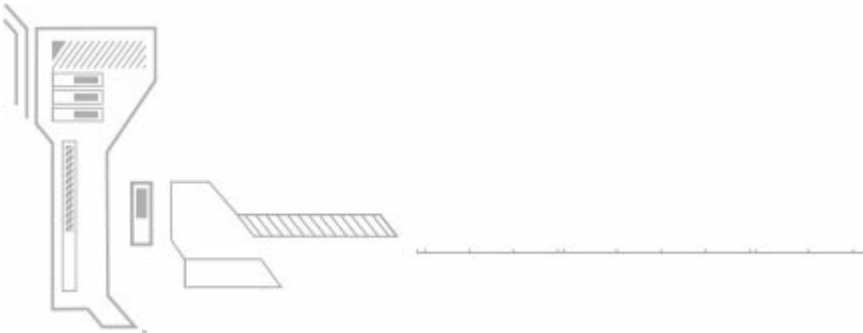
Dziękuję. Panie Khudovec, jest pan proszony z nami.

– Ale w jakiej sprawie?

– Zabójstwa. Mówi to panu coś? Zapraszam do wozu, w środku chłodniej będzie.

No pięknie, po prostu pięknie.

Witamy w domu.



...coraz bliższych wyborów. W tej chwili wcale nie jest tak oczywiste, że zwyciężyć ma...

...najlepszego z okazji Dnia Górnika i Kolejjarza! Prezydent złożył życzenia weteranom pracy, po czym...

...zarekwirowanych narkotyków. Milicja wciąż ustala personalia przemytników, lecz...

W takim razie powstaje pytanie: kto?



To nie ja.

Kojot popatrzył na mnie ciężko, pokręcił głową.

– A kto mówi, że to ty, Chudy? Siadaj. Napijesz się?

Nie no, jasne. Zabrali mnie na migalkach spod samolotu, przywieźli prosto do gmachu FSB, doprowadzili pod gabinet zastępcy naczelnika – ot tak sobie, po prostu. Jako osobę zupełnie niezwiązaną ze sprawą.

– Dawaj, trzeba to... Ahem... Dla mnie woda. Albo sok pomidorowy, jak masz?

Jeszcze cięższe spojrzenie.

– Druhu, sprawa jest niefajna, wiesz? A ciebie się żarty imają. Białe czy kolorowe?

– Woda, mówię ci. I nie zrobiłem tego.

– Czego?

Pytanie było podchwytliwe.

– Kojot, nie pogrywaj ze mną w swoje kagiebesznickie gierki. Chcesz mnie wziąć na wariograf? Tu i teraz?

– Hm. Nie miałem zamiaru, ale skoro nalegasz...

Z biurka przed nim wysunął się monitor, bliżej mojego fotela w górę wyjechała kolumna, z której oddzieliło się kilka pomniejszych wysięgników z przeróżnymi dziwnymi końcówkami.

– Pozwalają ci na to w pracy? – prychnąłem. – Myślałem, że życie erotyczne pracowników to ich własna sprawa.

– Powyżej kapitana można macać podkomendnych, powyżej majora podkomendne. Podbródek na podpórce, patrz na wprost. Gotów?

– Bardziej nie będę. Nie zrobiłem tego, Kojot.

Przez chwilę analizował wykresy na ekranach, potem uniósł brew i uśmiechnął się półgębkiem.

– Albo tak dobrze się kontrolujesz, Chudy, albo faktycznie mówisz prawdę. Skąd wiesz o czym mowa, druhu? Przecież nawet nie zadałem pytania.

– Ale to nie ja, Kojot. Zabójstwo? No serio, powinienes mnie lepiej znać. Nie mam pojęcia, kto go stuknął.

– Ich, Chudy. Nie słyszałeś, że było trzech?

– Nie słyszałem. Trzech? Ale jak to? Piliarski był przecież w apartamencie sam.

– Cholera, nie...?

– No to ci mówię. Musiałem cię ściągnąć, bo znaleźliśmy na miejscu nietypową łuskę z dość nietypowej broni. Wygląda znajomo?

Wyciągnął z szuflady i podał mi zafoliowaną gilzę. Dobrze, że zrobił to już po tym roboczym wariografie, a nie przed... Bo to była gilza z mojego pistoletu. Wszędzie bym poznał to charakterystyczne zarysowanie po pazurze ekstraktora.

– No, wygląda znajomo – przyznałem.

– Twoja?

– Parę lat temu pewnie tak. Wiesz przecież, że zutylizowałem moją kłamkę.

Nonszalancko założyłem łokieć na oparcie fotela, jednocześnie desperacko myśląc: co jest grane? O czym on mówi?! Ktoś podrzucił łuskę z mojego pistoletu do mieszkania Piliarskiego? Ja sam miałem ją w kieszeni i wypadła?

– Gdzie?

– W rzece – warknąłem.

– Chudy, postaraj się współpracować. Jesteś pewien, że nikomu jej nie puściłeś dalej? Bo to bardzo nietypowy kaliber i nietypowa lufa, jak na NeoSybirsk. I kiedy nagle trafia się trup, który ma w sobie idealnie pasujący pocisk...

I wtedy zrozumiałem. On wcale nie mówił o Piliarskim, tylko o tych trzech bałwanach, o których ja sam już prawie zdążyłem zapomnieć!

– Serio aż trzech ich było? – postarałem się wykoleić rozmowę. – Bo wiesz, ja o jednym tylko słyszałem. Tam na rondzie, tak?

– Aha. Jeden z odstrzelonym dekle, drugi z wyrwanymi plecami. Trzeci z głową otwartą jak dojrzały arbuz.

– Fiu, fiu... Jakies porachunki gangów pewnie. A nie myślałeś, żeby...

Urwałem, bo zaczął mi wibrować komunikator. Daniłow dzwonił. Idealnie, po prostu świetnie.

– Odbierz, druhu, nie krępuj się – zachęcił Kojot.

– Nie, to... nikt istotny.

Odrzuciłem połączenie. No cóż, o to będę martwić się potem.

– Czyli mówisz, że nie wiesz, kto to?

– Jest tak, jak powiedziałem.

Kojot miał nosa do ludzi, a skoro już udało mi się go okłamać – przypadkiem i bezkarnie – to wołałem nie przeginać pały i trzymać się bezpiecznej wersji zeznań.

– Bo wiesz, Chudy, to najpewniej wojna gangów o rynek syntetyki. Ty kiedyś trochę w tym kręciłeś, co?

– Kojot, proszę cię. Ja tylko próbuję przeżyć do pierwszego. Mam chłopaka za granicą i horom curke.

– Daj znać, jakbyś coś wiedział w każdym razie. Po co latałeś do Jialininggele?

Bydlak, lubił takie szybkie torpedy puszczane w przedział pasażerski.

– Kupić prezent dziewczynie – wypaliłem bez namysłu.

– Kupiłeś?

– Kupiłem. Niech twoi sprawdzą w kieszeni ukrytej od środka na wieku walizki, tylko potem mają oddać.

– Nie ma potrzeby. Fajna jakaś?

Bez chwili zawahania wywołałem z telefonu zdjęcia, pokazałem mu Olgę. Pokiwał głową z uznaniem.

– Niezła.

– Inteligentna – odparowałem, czując lekkie ukłucie... czegoś.

– Młodziutka.

– Urocza. Mam ci pokazać jej inne zdjęcia czy już mogę wrócić do domu?

– Poczekaj, zorganizuję ci podwózkę.



Kiedy pod obdrapaną klatkę bloku zajechał czarny grawilot na rządowych numerach, z którego wysiadłem z walizką w ręku ja, lokalne dresiki, kolokwialnie rzecz ujmując, ochujały.

– Ło, panie kapitanie! Ale się pan kapitan ustawił! – przywitał mnie Wania.

– NO, KURWA, JA NIE MOGĘ, NO JAKA LIMUZYNA! JAKBY SAMEGO PREZYDENTA PRZYWIEŻLI NORMALNIE! CO JA

NORMALNIE NO, TO NIE MOGĘ NO, NIE WIERZĘ W TO, CO MOJE OCZY WIDZĄ! – wydarł się ten chudy, rzucając jednocześnie rękoma na boki.

– Cześć, chłopaki. Co tam nowego? – Skinąłem im głową.

– Pan kapitan to światowy człowiek, widać od razu. Ano, w mieście po staremu, nie? Tutaj taka pani wyprowadzała pieska pana kapitana...

Czyli zachowywali czujność, dobre chociaż to.

– Sąsiadka, zgadza się.

– No, no! Tak pomyśleliśmy, że pan kapitan gdzieś wybył właśnie... I że nie zapomni o nas, jak wróci.

– Nie zapomniałem, chłopaki. Coś się znajdzie.

– I wie pan. – Wania konfidencjonalnie ściszył głos. – Mówią, że dobra robota jest do wzięcia. Jeden znajomy znajomego zna człowieka, co zbiera ekipę. I ja od razu o panu kapitanie pomyślałem. Ja bym mógł szepnąć słówko.

– Dziękuję, pomyślę. – Machnąłem ręką. Jeszcze czego, żeby mi ochlapus spod bloku miał coś załatwiać.

– Podobno ma być przejęcie zakładu jakiegoś.

Spojrzałem na niego uważniej. Ten sam temat po raz kolejny... Niedobrze. Czyli ktoś naprawdę, naprawdę był zdecydowany.

– Gdzie?

– A to ja się dowiem! – ucieszył się Wania. – I jak coś, dam znać od razu.

– Dobra, dobra. To co, chłopcy, miłego dnia...

Wdrapałem się na swoje piętro, zapukałem do sąsiadki. Ucieszyła się, że mnie widzi, zaczęła opowiadać, jaki to Kusto jest pieszczoł, że w sumie to ja mogę tak częściej, że byli na spacerze aż pod stacją metra...

– Kusto, chodź. – Cmoknąłem.

Stał tam i patrzył na mnie, przechyliwszy łeb. Spojrzał pytająco na sąsiadkę: serio?

– No idź do pana! – ponagliła go, wyraźnie zawstydzona.

– Kusto, zdrajco, bydlaku! Judaszu jeden! Za miskę soczewicy mnie sprzedałeś...

– Oj, bo my tutaj się trochę porozpieszczaliśmy – przyznała się sąsiadka. – I jedzonko dobre było, i spał ze mną w łóżku.

– Wynaturzeńcu ty paskudny! Do ludzi cię ciągnie... Marsz do domu, ale to już! – Pokazałem palcem na nasze drzwi.

Kusto niechętnie, ale przeczłapał przez korytarzyk, spojrzał na mnie: ale na pewno? Potem stulił uszy i posłusznie wlaźł do

przedpokoju. Ja też postawiłem walizkę, ściągnąłem buty... Uff, wreszcie na swoich śmieciach.

Wpasowałem się tyłkiem w wygniecione na kanapie miejsce, zacząłem przeglądać wszystko, co przez kilka dni nawarstwiło się w komunikatorze. Oczywiście federacyjna łączność nie sięgała do Jialininggele, więc dopiero teraz zaczynały mi spływać powiadomienia: wiadomości, nieodebrane połączenia, zdjęcia... Zacząłem od oddzwonienia do Daniłowa.

– Dzień dobry, towarzyszu dowódco, kapitan Khudovec melduje się! – wyszczekałem, jak tylko na holoprojektorze pojawiła się jego twarz.

Chyba trafiłem, bo rysy oligarchy złagodniały, uśmiechnął się nawet.

– He, he, dzień dobry, towarzyszu kapitanie! Co to za nieobecność na łączach? Nagana przed szeregiem wam się należy!

– Wybaczcie, towarzyszu dowódco, ale delegacja wypadła. Są wieści.

– Ha! No to już, towarzyszu kapitanie, meldujcie! Koszty usprawiedliwione?

– Śmiem tak twierdzić, prześlę zestawienie. Trochę roboty z tym było, ale znalazłem powiernika Valenty.

– Powiernik! – wkurzył się nagle mój rozmówca. – Pieniądzy szukacie, kapitanie! Co mi po ludziach? Gotówka ma być!

– Tak jest. Tylko że sam Valenta nie ma nic na siebie zapisane. Nawet mieszkanie ma na firmę.

– W chuju mam jego firmy! Zezreć je może i wysrać, jak dla mnie, byle gównem ze złota było! Szukajcie pieniędzy, kapitanie, idźcie po zapachu waluty! A zestawienie kosztów do mnie, przejrzę i zobaczę, na co żeście moje pieniądze wydawali. Bez odbioru!

Chyba myślał, że wyłączył kamerkę, bo odchylił się w tył, mamrocząc coś pod nosem. Patrzyłem chwilę, jak stuka w klawisze, potem przegląda Strumień. Zaśmiał się, pewnie widząc zabawny obrazek. Potem przełączył na inne okienko...

Widziałem to wszystko, nie śmiejąc nawet drgnąć, żeby nie wyszło, że go podglądam.

W końcu sięgnął po szklankę z herbatą, spojrział w inną stronę. Wykorzystałem moment, czym prędzej zerwałem połączenie.

– W co ty się wpakowałeś, Saszka? – mruknąłem sam do siebie.

Kolejny na liście był Cesarz, który zdążył zadzwonić do mnie... dziewięć razy. I to o różnych porach dnia i nocy. No, no, no...

– Chudy! – wydarł się dosłownie pół sygnału po tym, jak do niego

zadzwońm.

– Cesarz, siema. Co się...

– Chudy, już myślałem, że cię dorwali! Człowieku, gdzie się podziewał?!

– Jestem, już jestem. Co się dzieje?

– Chudy, zbieraj dupę w troki i wal do mnie, ale to już, na jednej nodze!

– Cesarz, dopiero wróciłem, i...

Obrócił komunikator tak, że bym zobaczył pokój, w którym akurat był. Słowa uwięzły mi w gardle. Cesarz znów zajrzał w kamerkę.

– Kiedy będziesz?

– Już, zaraz. Zbieram się i jadę. Na ostro?

– Na ostro, Chudy.

Komunikator zgąsł. Już zbierając się i nakładając z powrotem buty, odczytałem wiadomość od Olgi: „Hej, Saszka! Jak wrócisz do siebie, odezwij się koniecznie. Może znów gdzieś skoczmy? PS Tak, podrywam cię”. Skubana.

Odpisałem: „Jestem, żyję, spróbujmy dziś wieczorem”.

Odpowiedziała prawie od razu: „Super! Jest takie miejsce fajne, zaraz wyślę koordynaty!”.

Boże słodki, w którego zasadniczo nie wierzyłem, za jakie grzechy? Czy to wszystko mogło się jeszcze bardziej skomplikować?

Na samym końcu była wiadomość od Mykoły: „Kolejna partia gotowa, jakość jak poprzednio”.

Czyli mogło.

I jeszcze Kusto się z radości zesrał w korytarzu.



Pod Świątynią panował mocno nietypowy jak na tę porę dnia tłok. Zaparkowałem dopiero za rogiem, szybkim krokiem idąc ku przybytkowi... Co jest grane? Tyle samochodów, kilka busów nawet, wszystko na ciemnych szybach.

Pod ścianami budynku stali mocno charakterystycznie wyglądający ludzie, całymi sobą dający do zrozumienia: my tu tylko stoimy. Żaden z nas nie ma w kieszeni nic poza śmieciami. Jesteśmy tutaj, bo lubimy sobie postać latem, w upalnym skwarze, na dworze. W kurtkach i długich spodniach, a niektórzy w wojskowych butach.

Siłownia była pusta, na drzwiach migotał napis: dziś nieczynne. Przeszedłem pomiędzy instrumentami tortur, już teraz czując w kościach, że szykuje się coś grubego.

Słyszałem dobiegający z zaplecza gwar głosów, ponad który od czasu do czasu wybijały się głośniejsze zdania; ktoś o czymś perorował, inni mu przytakiwali, kolejny wcinał się w słowo. Przy drzwiach stał nie jeden, ale dwóch ochroniarzy z naszej ekipy.

Popchnąłem drzwi i wparowałem do środka.

Centralnie pod kilka łuf, do których od razu dołączyło jeszcze kilkanaście innych, w najprzeróżniejszym kalibrze i długości.

– Spokojnie, to tylko Chudy! – zawołał Cesarz.

– Tylko. Jak to miło zostać adekwatnie przywitany – warknąłem, rozglądając się po twarzach znanych bardziej, mniej i wcale. – Dzień dobry, panie i panowie, cioty i pederasici.

Dawno, oj, dawno nie widziałem takiej zbieraniny w jednym miejscu. I nie miałem tu wcale na myśli „naszej” ekipy, na czele z Wołkiem i Trzydziestymczwartym, który słysząc moje słowa, zaświszczał turbiną i zadymił z niezadowoleniem. O nie.

Cesarz zebrał tutaj wszystkich z dzielni, którzy tylko nadawali się do czegokolwiek. Emerytów, pamiętających jeszcze czasy, gdy dopalacze przyjmowało się w formie tabletek. Wytatuowanych, pokrytych bliznami zabijaków o pustych twarzach. Młodych na tyle głupich, że strach było ich w cokolwiek wtajemniczyć.

Ale nie byliśmy tu sami.

– Co oni tu robią? – Pokazałem ruchem głowy na chłopaków z ekipy Sadovskaya.

– Chudy, siadaj. Mamy sytuację i...

– Nie, Cesarz. Nie mamy żadnej sytuacji, dopóki mi nie powiesz, co jest grane. Co oni tu robią?

– Możesz sobie iść, jak ci nie pasuje. Tam są drzwi. – Siedzący pośrodku swoich ludzi Taran wstał, założył ręce na piersiach. – Nie potrzebujemy go. Cesarz, potrzebny ci on?

– Taran, ja ci tylko powiem, że... – zacząłem już, ale Cesarz pociągnął mnie za rękaw, dosłownie wepchnął do sąsiedniego pomieszczenia.

Jak tylko zamknęły się za nami drzwi, od razu wybuchł harmider. Cesarz przetarł twarz dłonią, spojrział na mnie wściekle.

– Chudy, czyś ty się z byka urwał?! Ty wiesz, co ja musiałem zrobić, żeby oni tu przyjechali?

– Urwać z księżyca, spaść z byka. Ruski ci szwankuje, Cesarz, i nie, nie wiem. Zaprosić ich pewnie. A może obciągnąłeś Taranowi,

co? Bo jeśli myślisz, że będę z tym fiutem chociaż sekundę pod jednym dachem, to...

– Będiesz, Chudy, owszem. I nie życzę sobie takiego pieprzenia, przynajmniej od ciebie.

– Życzyć to sobie możesz psa wysmażonego albo krwistego.

– To było niemiłe, Chudy.

Westchnąłem ciężko, przewróciłem oczami.

– Masz rację, przepraszam. Byłem w Jialininggele i mam zaburzoną równowagę rasową.

– Ano, tam na ulicach wszędzie zółto i skośno, sam bym nie wytrzymał. Tego, no więc, Chudy, mamy wojnę.

Zamrugąłem, mając nadzieję, że się przesłyszałem albo Cesarz pomylił słowa.

– Co?

– Wojnę mamy. Dostałem przedwczoraj kolejną wiadomość od tych nowych. Wiedzą, gdzie się spotykamy na Zaporze.

– Ustawka? – jęknąłem.

– Ustawka, owszem. Grupa Tarana ma ten sam problem, więc pojawiają się tam razem. Mogę na ciebie liczyć, prawda? Chudy?

– Możesz – powiedziałem, sam nie mogąc uwierzyć w te słowa.

– Dasz radę schować dawne urazy do kieszeni? Tylko na ten jeden wieczór, Chudy.

– A ty wiesz, że Taran sprzedałby własną matkę? Ja nie ufam mu nawet na jotę.

– Nie musisz, dopóki będziecie strzelać w tę samą stronę.

Ha, w sumie prawda.

– Kiedy? Nie mów, że...

– Dziś, punkt dwudziesta.

No tak, mogłem się domyślić. Dlaczego miałyby się to odbyć w jakimkolwiek innym terminie niż ten, kiedy próbowałem akurat umówić się na randkę? Na szybko wstukałem wiadomość do Olgi, że właśnie mi się skomplikowało wszystko. Ona odpisała: „Okej, spoko, to daj znać”.

„Jak przeżyję, dam. A w razie czego będziesz mnie reanimować” – napisałem i wysłałem, nim zdążyłem się zastanowić.

„Okej. Usta-usta czy wolisz inne kombinacje?” – odpowiedziała błyskawicznie. Przełknąłem ślinę.

– Chudy, masz coś ważniejszego do roboty? – warknął Cesarz, otwierając drzwi. – Bo wiesz, swoim kolegom z podstawówki jeszcze zdążysz przesłać na grupowym czacie ten ultrazabawny rysunek potem. Teraz próbujemy ustalić plan.

– Już, już. Prowadź, wielki wodzu.

Wyszliśmy w zaduch przesycony dymem papierosów, smrodem potu, adrenaliną i zapachem smaru do broni.



Zapora jarzyła się luną lamp, widoczna już z daleka jako lśniący szereg punkcików, niczym nanizane na żyłkę perły. Teoretycznie do umówionej godziny mieliśmy raptem pięć minut, ale Cesarz zarządził: spóźniamy się taktycznie, niech tamci będą pierwsi.

Zjechaliśmy w boczną dróżkę, żeby przygotować się psychicznie, fizycznie i sprzętowo.

W związku z powyższym w kolejności: nie zrobiłem nic; odlałem się pod drzewem; podszedłem do półciężarówki, z której Wycior zaczynał rozdawać uzbrojenie.

Władowałem się na pakę, zacząłem przebierać i przekładać broń krótszą i dłuższą. Nie. Nie, nie. To też nie... O, to było coś! Wyciągnąłem mocno sfatygowany, ale nadal chyba działający subkarabinek zachodniej produkcji. W sumie z podobnym się biegalo w czasach Legii, tylko że to tutaj była mocna bieda-wersja.

I tak zamierzałem użyć go wyłącznie na początku, zanim zewrzemy dystans, a potem przerzucić się na pistolet.

– No już, ruchy! Nie ociążać się, brać, co dadzą! – wołał Cesarz, klaszcząc w ręce. Wyglądał dość zabawnie w przymalej na jego tuszę kamizelce kuloodpornej, hełmie z pełną zasłoną balistyczną i z karabinem tak wielkim, że lufa aż szorowała po ziemi. Cóż, pozycja szefa zobowiązywała. – Pamiętajcie, żeby strzelać celnie, więc nie idziecie tam na pokaz! Nikt nie będzie patrzył, czy ładnie to wygląda!

Nie miałem już głowy, żeby zwracać mu uwagę, że bredzi trzy po trzy i w zasadzie zaprzecza sam sobie.

Patrzyłem, jak zarówno nasi, jak i ludzie Tarana obchodzą się z bronią, i słabo mi się robiło. Na moich oczach typ załadował magazynek w gniazdo, zarepetował i złożył się do przyrządów, celując prosto w kolegę. Inny z kolei kręcił się to w lewo, to w prawo, trzymając na ramieniu automatyczną śrutówkę z magazynkiem bębnowym.

Będzie dobrze, jeśli w ogóle dojedziemy na miejsce, nie pozabijawszy się po drodze.

Trzydziestyczwarty majestatycznie przechadzał się pomiędzy żołnierzami, zagrzewając ich do boju, sprawdzając systemy i w ogóle spełniając się w swej roli ciężkiej jednostki przełamania frontu. Silnik ryczał, rury wydechowe bluzgały kłębamii czarnego dymu, płyty pancerza zgrzytały i jęczały, trąc o siebie niczym w ruchomej walcowni stali.

– Do boju, bracia! Nie bójcie się, bo w takim ogniu właśnie hartuje się stal naszych serc! – ryczał. – Wróg pierzchnie, Armia Czerwona rozbije w puch czarne hufce faszyzmu! Za naszą Ojczyznę, za Prezydenta!

W pewnym sensie go niechętnie podziwiałem. Był w swoim szaleństwie konsekwentny, miał w sobie jakąś romantyczną, wręcz heroiczną prostotę. Typ identyfikował się płciowo jako czołg, ale kto miałby mu w tych czasach tego zabronić? No przecież nikt. Szczególnie po tym, jak już sobie zamontował cały ten szpej.

Cesarz zerknął na zegarek, poprawił pijącą pod pachami kamizelkę.

– Gotowi? No to do wozów i naprzód! Chudy, prowadzicie!

Świetnie, czyli jeszcze miałem być pierwszą linią ataku. Zamiast posłać na front tego pancernego półgłówka, który z radością dałby się postrzelać, albo jakieś mięso armatnie, to co robi nasz pan generał? Wystawia jedyne go człowieka, który w ogóle umie się obchodzić z bronią palną.

Spoko, w Afryce nie takie wisty wycinałem.

Jechaliśmy we czterech mocno zdezelowanym wozem, prowadzonym przez Stiope, podpiętego przewodami bezpośrednio do układu kierowniczego. Gnał zdecydowanie zbyt szybko, ledwie mieścił się w zakrętach, opony jęczały i piszczwały, a mimo to cieszył się jak głupi do sera... No tak, ale w końcu samochód poniekąd był teraz nim, prawda? Każdy mechanizm, każdy element wozu był dla mózgu naszego kierowcy przedłużeniem jego układu nerwowego.

Czasami mnie to bawiło, jak się z takim zrigowanym kierowcą zaczynało rozmawiać. Komentarze w stylu „czekaj, muszę zjechać na pobocze, bo mnie swędzi lewa tylna opona” albo „o rany, ale mnie w zbiorniku zassało, trzeba zatankować” były absolutnie bezcenne.

No ale teraz nikomu nie było do czczych pogaduszek. To jest: prawie nikomu, bo siedzący na przednim siedzeniu Wołk obejrzał się na mnie, uśmiechnął.

– No i co, panie Sasza? Znów razem.

– Mhm...

– Ciekawe, kogo tam zastaniemy. Ja wspominam cały czas tych Japończyków, powiem panu. Ci to chociaż umieli walczyć.

– Mhm...

Ja jakoś nie podzielałem jego sentymentu do zadymy sprzed roku, kiedy faktycznie nadzialiśmy się w mieście na ekipę z Kraju Kwitnącej Wiśni. Do dziś miałem paskudną bliznę po cięciu kataną, a obwody chłodnicze kurtki czasem szwankowały, mimo że za naprawę zapłaciłem niezły grosz.

Ja tam miałem nadzieję, że będzie to, co zazwyczaj: bezładna zbieranina bez sensu marnujących amunicję amatorów, uważających, że pistolet trzymany bokiem strzela głośniej i groźniej.

Natomiast sama liczebność naszej armii mówiła mi, że pakujemy się w konkretne gówno.

Zapora była coraz bliżej, widziałem nawet stąd ustawione na parkingu samochody. Dwa, cztery, sześć... Dużo. Nas też trochę było, ale już widziałem, że wcale nie będziemy mieli spodziewanej przewagi liczebnej ani zapewne ogniowej. O, światła prześliznęły się po ciężarówce z otwartą krypą, z której zeskakiwali ludzie z bronią.

– E... – odezwał się siedzący obok mnie Maks, ściskający między kolanami dwulufowy pistolet maszynowy.

– No cóż, panowie, niemało ich, to prawda – zgodził się Wołk. – Panie Sasza, co pan proponuje? Bo wygląda na to, że przypadł nam w udziale zaszczyt wystąpienia w roli harcówników.

– A plan Cesarza? To znaczy podjechać, ustawić się, przemówić z nimi?

– A co zrobiliby pan, gdyby to oni zaczęli robić taką pajacjadę?

– Wystrzelałbym jak kaczki – przyznałem bez chwili zawahania.

– No więc uważam, że nie należy dawać im takiej możliwości względem nas. Czasy regimentów piechoty i linii ognia skończyły się wraz z odwrotem Napoleona spod Moskwy... A zatem plan taktyczny?

Patrzyłem na coraz bliższych przeciwników. Oni też patrzyli na nas, widziałem malujące się na ich twarzach napięcie. Dzieliło nas może siedemdziesiąt metrów, może mniej... Idealny dystans, żeby zrobić coś głupiego.

Pytanie brzmiało: kto zrobi to pierwszy?

Byliśmy coraz bliżej, samochód zaczął hamować, ustawiając się bokiem, aby też zjechać na parking. Ktoś po tamtej stronie podniósł rękę, zawołał coś...

– Napierdalamy! – warknąłem przez zęby, a potem krzyknąłem: – Napierdalamy z pieśnią na ustach!

Wychyliłem się pomiędzy fotelami, szarpnąłem gwałtownie za hamulec ręczny. Opony zaskrzeczały, samochód zarzucił bokiem, kierowca wrzasnął z przerażeniem – a ja pociągnąłem za klamkę drzwi i dosłownie wypadłem na zewnątrz.

Nierzadko od tego zależy wynik bitwy. Od jednego, pozornie idiotycznego ruchu, który ktoś wykona na początku. Wojownicy w średniowieczu rozbierali się do naga i rzucali na swoich opancerzonych wrogów, żeby pokazać pogardę dla śmierci. Szkoci pokazywali Anglikom, co mieli i czego nie mieli pod kiltami. Miałem kiedyś znajomego w szkole, który na początku każdej bitki grupowej walił jednego ze swoich sojuszników w ryj... I zawsze wygrywał, bo przeciwnicy głupieli.

A ja zawsze skakałem ze spadochronem jako pierwszy i nieodmiennie z wrzaskiem wbiegałem na pałę do bronionych budynków. Bo wiedziałem, że ostrożny ranny żołnierz to obciążenie dla kompanii. Zaś ostrożny martwy żołnierz to frajer.

Odważny żołnierz – żywy, ranny czy też nawet martwy – zawsze był i na zawsze pozostawał jebanym bohaterem.

Przetoczyłem się po żwirze, nawet nie wstając, wycelowałem i od razu pociągnąłem krótką, mierzoną serią po tamtych. Karabin plunął ogniem, niemalże w tej samej chwili wykwitły czwórdzielne kwiaty ognia w odpowiedzi.

Bydlaki, planowali to samo. Chcieli nas rozwalić na podjeździe, a ja po prostu ubiegłem ich o sekundę.

Właśnie o tę kluczową, decydującą sekundę.

Słyszając pisk opon i ryk silników, zerwałem się na równe nogi i nie przestając ani na chwilę strzelać, pobiegłem ile sił w nogach, ku zagradzającemu wjazd na teren elektrowni wodnej betonowemu profilowi. Jeśli nie teraz, to...

I właśnie w tym momencie mózg krzyknął do nadnerczy: dawaj! Impulsy pobiegły po ścieżkach neuronowych, pobudzając wszystkie możliwe gruczoły do produkowania hormonów.

Ale jedna z tych ścieżek miała dobudowane rozwidlenie, gdzie cienkie, liczące sobie setną część milimetra druciki oplatały odpowiednią wiązkę nerwów, a potem biegły pod pachą, przy kościach ramienia, przez staw łokciowy – aż do znenawidzonej przeze mnie protezy prawej ręki.

W takiej ręce to jest sporo miejsca, jak kości i stawy zastąpić metalem i mechaniką. Sporo pustego miejsca, które aż się prosi, żeby je konstruktywnie wykorzystać.

Zaś matka natura i Legia Cudzoziemska nie znoszą próżni.

Nie używałem tego zbiorniczka od lat i nie wiedziałem, czy w ogóle zadziała. Ot, trochę dla zasady powiedziałem Cesarzowi przed wyjazdem: daj trochę tego mojego towaru. Nie pytał, dał, a ja napełniłem dwustumililitrowy pojemnik z tłoczkiem najczystsza syntą, jaką znał NeoSybirsk.

I teraz właśnie poczułem, jak o wiele doskonalszy substytut naturalnego hormonu pod ciśnieniem wchodzi mi w żyły.

Świat zwolnił.

Nagle wszystko to, co jeszcze przed chwilą było tylko chaosem rozmazanych plam i bezładnych obrazów poskładanych z wrażeń cząstkowych, scaliło się w jedną, krystalicznie przejrzystą panoramę wydarzeń.

Dokładnie widziałem stojących naprzeciwko nas ludzi. Najemników, co do jednego ubranych w jednolite, pozbawione dystynkcji uniformy. Brodate twarze, wydatne nosy, oczy w ciemnej oprawie... Typowy towar eksportowy republik na południu, przez ostatnie pół wieku wytrwale anektowanych kawałek po kawałku przez naszą miłującą pokój Federację. „Goście ze Stanów”, nazywaliśmy ich pogardliwie: Tatarstan, Turkmenistan, Kazachstan, Beludżystan, Absurdystan.

Karabiny w ich dłoniach pluły nierównym ogniem, a ja widziałem każdą osobną kulę, lecącą po własnej trajektorii. Część miała pistolety, paru ścisnęło w dłoniach strzelby samopowtarzalne.

Ilość szczegółów była wręcz porażająca. Przerażająca. Przytłaczająca.

Podobno ćpuny na syntadrenalinie potrafiły po prostu patrzeć przed siebie, podczas gdy ich mózgi powoli zamieniały się w jajecznicę, smażąc od nadmiaru bodźców, których synapsy nie były zdolne przetworzyć.



Cieężko się dziwić, jeśli człowiek potrafi wyartykułować sam do siebie tyle myśli pomiędzy jednym a drugim krokiem.

Wybiłem się z obydwu nóg i skoczyłem szczupakiem. Przeleciałem kawałek w powietrzu, kula śmignęła mi przed samym nosem, a potem uderzyłem ciężko o żwir, przejechałem spory kawałek na kłacie, wsunąłem się za żelbetowy profil.

Nasi już podjeżdżali, coraz to nowe samochody stawały z piskiem opon. Żołnierze Cesarza wysypywali się z wozów, od razu kryli przed ostrzałem albo padali na ziemię w krwawych bryzgach.

Wdech, wydech, wdech. Wstrzymaj powietrze, wypuszczaj powoli.

Wychyliłem się zza osłony i dałem ognia mierzonymi, pojedynczymi strzałami.

Błysnął płomień wylotowy, łuska brzęknęła i wirując, poleciała w bok, odrzut kopnął mnie w ramię, posyłając falę uderzeniową przez trzymające karabin dłonie i przedramiona, aż ku barkom. Człowiek, którego widziałem w metalowym kółeczku przeziernika, wyrzucił ręce w górę i wypuszczając pistolet, osunął się na ziemię.

Lekkie przesunięcie korpusu w lewo, od razu ku kolejnemu celowi. Palec wskazujący zgiął się trzy razy: pach, pach, pach! Trzy kule, dwie w celu – jedna w kamizelce kuloodpornej, druga w lewym ramieniu. Siła uderzenia lekko obróciła przeciwnikiem w tył, poprawiłem jeszcze dwa: pach, pach!

Trawers dalej w lewo, przez kolejnego: pach, pach! I opadłem w dół, w moje ukrycie, nawet nie patrząc, czy trafiłem, czy spudłowałem.

Karabiny trzeszczały i terkotały ogłuszająco, dudniły basem pistolety. Ktoś krzyczał, ale głos tonął w kakofonii dźwięków.

Obok mnie przesunął się rozmazany kształt: to Wołk ruszał w swój zabójczy taniec. Wzięłem wdech, pstryknąłem selektorem ognia i wychyliłem się, żeby przykryć go ogniem.

Strzelanie serią nie jest wbrew pozorom głupie. Trzeba tylko wiedzieć, kiedy i po co się to robi.

Rój kul pomknął ku wrogom, gotów wgryźć się w ciało i szarpnąć pancierzami. Zamek został w tylnym położeniu, od razu wcisnąłem przycisk zrzutu, druga ręka sięgnęła po zapasowy... Wstawić, dobić, dosłać nabój do komory.

Puściłem kolejną serię, wyskakując jednocześnie ze swego ukrycia. Na czas, bo zaraz odezwały się karabiny, zasypujące moją pozycję ołowiem; i tak długo tam siedziałem.

Wyprułem resztę amunicji niemalże na ślepo, w ogólnie pojętym kierunku przeciwnika. Wpadłem ślizgiem za zaparkowany pod płotem samochód, odrzuciłem dymiący karabinek, rozpiąłem kurtkę i sięgnąłem po pistolet.

Soczewka zamigotała, wyświetlając siatkę celownika i wykresy statystyk organizmu.

No to teraz sobie potańcujemy.

Wychyliłem się zza postrzelanej maski, jakaś zabłąkana kula uderzyła w szybę tuż obok, sypiąc wokół okruchami szkła. Widziałem biegnącego pomiędzy maszynami człowieka z pistoletem, on też zobaczył mnie, obrócił się, kierując broń...

On dopiero musiał zgrywać oko z dłonią, a moje stanowiły w tej chwili jedność.

Z wylotu lufy wykwitła kula ognia, odrzut szarpnął pistoletem w górę, bas wystrzału uderzył po uszach. To jednak była broń, to był kaliber! Tamtym rzuciło w bok jak kawałkiem szmaty, zniknął mi z widoku.

Kątem oka zarejestrowałem, że nasi już zajmowali bliższe pozycje ogniowe, podciągając rozciągniętą, bezładną grupą.

Przebiegłem w bok, pomiędzy ślepe, betonowe ściany elektrowni na Zaporze, dopadłem plecami do nagrzanego muru. Kilka oddechów, wychylenie z bronią przed sobą, ruch – strzał! Nawet nie wiedziałem, czy trafiłem, ale nie było czasu na myślenie.

Wykorzystując kawałek wolnej przestrzeni, puściłem się biegiem.

Po lewej już harcował sobie Wołk, poruszający się z niehumanoidalną wręcz gracją pomiędzy sylwetkami napastników. Dwie zagięte szaszki śmigły w jego dłoniach, nanokompozytowe klingi szabel kreśliły błyskawice, przecinając z taką samą łatwością stal, tkaninę, ciało i kość.

Na moich oczach wybił się z obu nóg, wykręcił w powietrzu piruet ponad głową jednego ze strzelców i opadł zaraz za jego plecami, tnąc na krzyż. Bryznęła krew, strzeliły iskry z przewodów zasilania. Zanim wróg opadł na ziemię, Wołk był już dalej, dosłownie uchylając się przed kulami następnego przeciwnika.

Tamci jednak też nie przyjechali nieprzygotowani, a kilku ich kosiarzy wpadło już pomiędzy połączone oddziały Cesarza i Tarana.

Na moich oczach jakiś napakowany elektroniką typ z dwiema sztucznymi rękami gołymi dłońmi przebił się przez mostek jednego z naszych młodziaków, otworzył wciąż żywemu i wrzeszczącemu klatkę piersiową, a potem podniósł krwawiący zewłok i cisnął na maskę samochodu. Obrócił się, złapał drugiego z ludzi za karabin, po prostu wyrwał mu broń z rąk i uderzył niczym maczugą z taką siłą, że głowa tamtego rozpękła się na pół.

Był niebezpiecznie blisko Cesarza i Zhenga, a ja nie miałem nawet zasięgu na strzał. Ktoś ze stojących przy nich naszych też zorientował się, poderwał pistolet – ale donośnie huknął strzał usadowionego daleko za pozycjami tamtych snajpera, niedoszły bohater z pistoletem padł na ziemię jak lalka z podciętymi sznurkami.

Harcownik najemników krzyknął tryumfalnie, ruszył, dosłownie rwąc podszwami butów ziemię – i wtedy z naszych linii wytrysnął ogień.

Właśnie tak. Z oślepiająco białej chmury płomienia wyrwały się podłużne kreski fosforyzująco żółtego blasku, które pomknęły prosto ku nadmiernie butnemu napastnikowi. Pierwsza uderzyła go w ramię, sypnęła iskrami, okręciła wokół własnej osi. Druga szarpnęła w okolicach podbrzusza, wyrrywając w bryzgu krwi i dymu potężną dziurę, po czym wirując i kręcąc się spiralą rykoszetu, poleciała dalej, w mrok... Trzecia przeleciała obok głowy, a czwarta uderzyła w miednicę, dosłownie rozrywając potężne ciało

na części chwilę przed tym, jak zniknęło w nawałnicy kolejnych pocisków smugowych.

– Naprzóóóóó! – zaryczał Trzydziestyczwarty przez wbudowany w hełm laryngofon, wyłaniając się z chmury dymu. Reflektory na pancerzu błysnęły, dwa snopy światła przecięły mrok i prześliznęły po wojskach przeciwników. – Do boju, synowie Federacji! Nie będzie obcy...

Kula brzęknęła o jego pancerz, skrzesła iskrę i zrykoszetowała gdzieś w bok.

Wojownik urwał, z niedowierzaniem przesunął lewą dłoń w pancernej rękawicy po wymalowanym na płycie czołowej wizerunku dobrotliwie uśmiechniętego Stalina, na którego czole widać było teraz równiutkie, okrągłe wgłębienie.

Jeszcze jeden pocisk trafił go w ramię, potem cała seria zabręczała o pomalowane na zielono blachy.

Trzydziestyczwarty ryknął wściekle i rozłożył ręce, jak budzący się do życia tytan z otchłani. Pancerna płyta z wąską szczeliną wizury podniosła się z napierśnika, zabudowane na plecach głośniki zadudniły werblami bębnow i zaryczały głosem spiżowych surm.

– Wstaawaaaaaj, strrana agromnaja...!!! – zawył chór ze starego, trzeszczącego nagrania.

Żywy czołg wyrzucił przed siebie lewe przedramię, na którym otworzyła się wachlarzem trójkątnych płyt tarcza balistyczna. Wsunął lufę wukaemu w przygotowane wycięcie, jak średniowieczny rycerz kopię, i ruszył naprzód, zalewając wrogów istnym szkwałem ołowiu.

Przez chwilę patrzyłem zauroczony, jak ten żywioł wcielony prze krok za krokiem przez pole boju, ściągając na siebie ogień, ale potem potrząsnąłem głową.

On robił to właśnie po to, żebyśmy my mogli posuwać się dalej.

Wyrzalem z za ciężarówki, szybką przebieżką dopadłem do niewielkiej budki wartownika. Zerknięcie z za rogu, zarejestrowałem ruch: strzał, strzał! W odpowiedzi zagrało kilka karabinków, rwąc i krusząc beton narożnika.

Cholera, dużo ich było. Do tego naprawdę dobrze strzelali.

Wychyliłem się z drugiej strony, ale od razu odskoczyłem, kiedy dwóch schowanych dalej strzelców zaczęło bić po mojej pozycji.

No cóż, niewykłuczone, że dotarłem do najdalej wysuniętego przyczółka. Teraz pozostawało tylko...

Zegarek zawibrował, odruchowo zerknąłem: kurwa, Kojot! Nie miał kiedy?!

Zrzuciłem połączenie, wychyliłem się, dałem ognia raz i zaraz drugi; wydawało mi się, że tamten akurat wysunął się, więc powinien dostać! Jak dobrze pójdzie, to...

Znów telefon, znów Kojot. Znów odrzuciłem.

Pomiędzy samochodami mignęła postać najemnika. Dałem ognia, tamten skoczył w bok, puszczał w moją stronę krótką serię. Walka zaczynała wchodzić na coraz krótszy dystans, nasi dociskali, pod osłoną ognia Trzydziestegoczwartego podchodząc coraz bliżej, coraz śmielej.

Zauważyłem unoszącego się ponad polem bitwy drona. Nie nasz, na sto procent... Przycelowanie, strzał – maszyna sypnęła iskrami, poleciała w bok, ciągnąc za sobą pióropusz ognia i dymu.

Zegarek znów zawibrował: wiadomość. Kurwa mać!

„Chudy. Oddzwonź w tej chwili, bo każę cię aresztować. Nie zartuję”.

Ja pierdolę.

Strzeliłem w jedną, w drugą stronę, osunąłem się plecami po ścianie i wybrałem numer. Kojot odebrał od razu i już po minie widziałem, że jest wkurwiony.

– Chudy! – warknął.

– Kojot, kopę lat! – Rozejrzałem się cokolwiek nerwowo, jakaś zabłąkana kula brzęknęła o beton metr nade mną, aż wtuliłem głowę w ramiona. – Co tam dobrego?

– Chudy, druhu, nie pieprz. Gdzie jesteś?

Kilka nakładających się na siebie serii z karabinów, pomiędzy nimi suchy, rwany trzask pistoletów. Wycie marszu bojowego z głośników utonęło w dudnieniu dwudziestomilimetrowego działka.

– Ja, eee... Na mieście jestem.

– Gdzie, pytam?

– W centrum – skłamałem.

– Na pewno, druhu? Na pewno jesteś w tej chwili w mieście? – Kojot zaciągnął się papierosem, dmuchnął dymem w kamerę. – A nie gdzie indziej?

Przebiegający może dziesięć metrów ode mnie człowiek upadł na ziemię, brocząc krwią z przestrelonego płuca.

– A gdzie miałbym być?

– Chociażby na Zaporze, druhu.

Twarz Kojota była niczym wyciosana z kamienia. Zamrugalem.

– No nie no, coś ty... Co ja bym tam robił?

– Tak tylko się upewniam. To dobrze, że tam cię nie ma, Chudy,

bo zaraz tam będą moi chłopcy. Głupio by wyszło, nie? Ha, ha.

– Ha, ha – zgodziłem się.

– To miłego wieczora, druhu.

Po prostu rozłączył się.

Wdech, wydech.

– Cesarz! – ryknąłem. – Cesaaaaarz! Jadą tutaj psy, musimy się zrywać! Odwróóóó!

Strzeliłem za siebie, pobiegłem niemalże na oślep w kierunku samochodów. Ludzie mijali mnie, krzyczeli, strzelali... Ktoś złapał mnie, pokazał: tam! Ale ja tylko wyrzuciłem z siebie:

– Jadą, psy jadą!

– Co...?! – Tamten nie dosłyszał.

– Cesarz, zwijamy się! – krzyknąłem raz jeszcze, machając rękoma i pokazując w kierunku NeoSybirska.

Stojący na pacy półciężarówka przywódca naszej ekipy spojrzał na mnie, obejrzał się ku miastu. Daleko na drodze już widać było migające błękitem koguty na ciągnących kolumną milicyjnych wozach. Jasne, że włączyli je tylko po to, żebyśmy ich zobaczyli i zaczęli uciekać. Nikt przy zdrowych zmysłach nie ładowałby się w środek strzelaniny.

– Odwróóóó! – ryknął Cesarz ile sił w płucach. – Przekazać wiadomość! W tył, w tył! Zbierać ludzi, w tył...!

I w tej chwili spoza krawędzi Zapory wyskoczył wertyplan. Rycząca czterema wirnikami i błyskająca oślepiającym błękitem maszyna z oznaczeniami specnazu FSB przeniosła się ponad polem walki, wzniecając tumany kurzu i niemalże przewracając ludzi na ziemię samą siłą podmuchu. Snopy światła przecięły ciemność, omiotły zaparkowane samochody.

– Federalna Służba Bezpieczeństwa! Rzucić broń, jesteście aresztowani! – zadudniły megafony. – W razie sprzeciwu użyta zostanie nieproporcjonalna siła!

Jednocześnie otwarły się drzwi przedziału załogi, z których zaczęły jeden po drugim wypadać czarne sylwetki żołnierzy desantu.

Plecaki raketowe bluznęły płomieniami i dymem, amortyzując spotkanie z ziemią ubranych w pełne serwopancerze szturmowców. Jeden wylądował na dachu któregoś z busów – trzasnęły szyby, blacha wgłębiała się jak skorupka jajka, a żołnierz tylko przeturlał się na bok, miękko osiadł na nogach.

– FSB, ręce do góry! – krzyknął przez głośnik do stojącego tyłem któregoś z ludzi Tarana.

Tamten nie zaczął nawet się obracać, kiedy specnazowiec strzelił mu serią w plecy. Potężne, wspomagane pociski uderzyły strugą żelaza ciągnącego za sobą pióropusze ognia, dosłownie rozrywając na strzępy plecy i klatkę piersiową ofiary.

Kolejny desantowiec wylądował pomiędzy dwoma z naszych, roztrzając ich na boki siłą podmuchu hamujących silników rakietowych. Jeden od razu dostał metrowej długości elektropalką z podłużnymi szynami przewodzącymi – błysnął i trzasnął łuk wylądowania, człowiek poleciał w tył niczym szmaciana lalka.

Drugi zdążył odwrócić się, wycelować i nawet wystrzelić.

Niepotrzebnie.

Kula trafiła ubranego od stóp do głów w czarny, wspomagany pancerz balistyczny żołnierza w piersi, przebiła pierwszą warstwę pomalowanego w oznaczenia milicji laminatu i ugrzęzła pomiędzy warstwami kevlaru, nanowłókien i kompozytu. Szturmowiec zachwiał się tylko, wyrzucił przed siebie lewą dłoń, jakby chcąc zasłonić przed kolejnym strzałem.

Nieszczęsny idiota pociągnął za spust jeszcze raz, tym razem trafiając w miejsce, gdzie u normalnych ludzi jest głowa – ale kula tylko zrykoszetowała od hełmu, scalonego z podbródkiem i wielofunkcyjną zasłoną twarzy, w której paliły się czerwienią okulary kamer niczym ślepiea pająka.

Zintegrowana pod lewym przedramieniem specnazowca gardziel skróconej strzelby rzygnęła ogniem, dosłownie zmiatając nadmiernie wrywnemu bandycie pół głowy.

Ludzie rzucili się do wozów, usiłując ratować się ucieczką. Samochody jeden po drugim ruszały z piskiem opon, czym prędzej próbując wyrwać się z milicyjnego kotła. Nie dało się nie zauważyć, że na razie sił organów prawa i porządku nie wystarczy jeszcze, aby czy to obezwładnić, czy zastrzelić wszystkich... Nadal była szansa na ucieczkę, bo radiowozy, jak zwykle, spóźniały się.

Cesarz machał rękami, wykrzykiwał rozkazy przez megafon i próbował ogarnąć ten burdel. Z kolei Taran, nie czekając ani chwili, czmychnął do swego pancernego SUV-a, zostawiając sojuszników z konieczności na pastwę losu.

Miał rację: teraz każdy niech się troszczy o siebie.

Dopadłem do pierwszego z brzegu motocykla, wskoczyłem na siodełko. Kopnąłbym rozrusznik, ale te nowoczesne modele miały wszystko w elektronice, nawet nie było kluczyka, żeby przekręcić!

Silnik zarzęził i ryknął, a ja od razu przekręciłem manetkę gazu. Zawinąłem tylnym kołem, okręcając maszynę zadem do strzelaniny,

puściłem hamulec. Szarpnęło, rzuciło mną w tył: łał, ależ to miało odejście!

Pochyliłem się nisko, przylepiłem do kierownicy i mrużąc łzawiące od pędu powietrza oczy, skierowałem motocykl na boczną dróżkę.

Oby tylko nie było tam blokady.



– Fajny! To twój?

Spojrzałem na ukradziony nie wiedzieć komu motocykl. Przy potworze, na którym przyjechała pod knajpkę Olga, wyglądał jak może i bojowy, ale zdecydowanie niedomyty kundel stojący obok rasowego, wystawowego dobermana.

– E... W zasadzie chwilowo tak.

Jak tylko udało mi się wydostać z objazdów i zrozumiałem, że nie zostanę tej nocy aresztowany przez FSB, wysłałem jej wiadomość: „Jadę, będę za pół godziny”. Odpowiedziała w typowo kobiecym stylu: „Ojej, a ja jeszcze w proszku”.

Kiedy przyjechałem, oczywiście już czekała, otoczona przez tłumek ciekawskich podrywaczy.

W czarno-czerwonym kostiumie motocyklowym, opiętym na każdej krągłości jej ciała, z włosami splecionymi w długi warkocz, wyglądała zjawiskowo. I ta idealnie gładka twarz porcelanowej laleczki z minimalną tylko ilością makijażu, tak bardzo kontrastująca z wręcz wyzywającymi kształtami potężnej maszyny!

– Nie myślałeś, żeby zainwestować w kask? – zaśmiała się, na przywitanie polizała kciuk i starła mi z czoła jakiś większy kawałek brudu. – Poza tym... Ojej, czym ty jesteś pochlapany? To krew? Krew!

– Olga, możemy wejść do środka? – zaproponowałem. – Obmyłbym się trochę. Przepraszam, że ja taki nieogarnięty, ale prosto z... e... drogi.

– To krew!

W jej głosie nie było słyhać ani strachu, ani nawet zaniepokojenia. Tylko fascynację.

– Tak – przyznałem.

– Twoja?

– Nie no, chyba nie. Chociaż nie wiem, trochę się działo... Typie,

odpierdol się! Panienska jest ze mną!

Już kiedy podjeżdżałem, wokół Olgi skakał jakiś przylizany gostek w przezroczyście płaszczu. Podrywacz jakich wielu, mięśnie pół na pół z siłowni i ze stołu operacyjnego... Tylko mózgu się nie da zmienić. Odskokzył w tył, wyraźnie spłoszony, ale zaraz zebrał się w sobie, zarzucił włosami.

– Ty! Ty se nie pozwalaj, siwy! Za takie teksty to można kosę pod żebro zarobić!

W jego ręce błysnęło tęczową poświatą ostrze ślicznego, dizajnerskiego noża niby-bojowego.

Tłumek wokół nas zaszumiał, zafalował, potencjalni gapie od razu utworzyli koło. Darmowa rozrywka zawsze była w tych wyższych dzielnicach mile widziana, szczególnie taka z krwią... Ale ja byłem zbyt zmęczony.

Westchnąłem, pokręciłem głową i rozpiąłem kurtkę. Wymownie pokazałem mu rękojesc tkwiącego pod pachą pistoletu.

Olga, jakby wyczuwając sytuację, objęła moje przedramię, przytuliła się głową do barku. Aż mnie dreszcz przeszedł, szczerze mówiąc.

Typek popatrzył na nas, na moją broń. Tak, to mógł być straszak, owszem. Ale ci, co nosili straszaki, wyciągali je od razu na początku dyskusji.

A po prawdziwą broń sięga się na ułamek sekundy przed jej końcem.

Uniósł ręce do głowy, cofnął się w tłum.

Olga ani drgnęła.

– Halo? – mruknąłem do niej.

– Ćśś... Robię sobie stopklatkę tej sceny – szepnęła.

– To znaczy taki mentalny obraz w pamięci? Żeby przywoływać wspomnienia?

– Nie, głuptasie! – roześmiała się. – Naprawdę robię stopklatkę z soczewki medialnej i zrzucam Strumieniem w chmurę. No chodź, obmyjesz się, a potem powiesz, gdzie byłeś.

Knajpa była typową, paskudną hipsteriadą – bananową meliną zaprojektowaną, zbudowaną i prowadzoną tak, żeby wyglądać jak jeden z undergroundowych klubów nocnych na przedmieściach. Wygoleni na łyso, nawszczepiani i wytatuowani ochroniarze przy wejściu. Migające czerwone i niebieskie światła, dużo niczemu niesłużących elementów z żelaznej siatki, kawałki armatury i nitowane tregry... Tylko co z tego, skoro kible były tak czyste, że można by z nich pić?

Klientela też zupełnie nie w moim stylu. Wymuskane, upindrzone bezpłciowce, udające przestępców. Zbyt głośny śmiech, pokazowe ruchy.

Jako tako obmyłem pysk, zmoczyłem włosy. Nie wyglądałem, szczerze mówiąc, jak ktoś, kto wybrał się na randkę z dziewczyną, byłem spocony i brudny. Chociaż kurtkę z grubsza przetarłem zmoczonym ręcznikiem, a co najważniejsze, przepłukałem usta wodą, bo przecież, wybiegając z domu, nie umyłem nawet zębów.

A kto wie, jak rozwinie się noc?

– Kopsnij jedną – poprosiłem typa obok, który akurat wyciągnął pudełko turbomiętovek.

Nadal nie wyglądałem dobrze, bo wchodzący do łazienki dandysi patrzyli na mnie dziwnie. Ale tak szczerze? Miałem to w dupie. Oldze zdawało się to nie przeszkadzać. Wręcz fascynowało ją chyba to, że towarzyszy jej coś tak szorstkiego, mało kolorowego i niskotechnologicznego.

– Co my tu robimy? – zapytałem, gdy w końcu odnalazłem ją w tłumie.

Zdażyła zająć stolik, zamówić drinki i w ogóle czuła się jak ryba w wodzie. Gdy podszedłem, kulturalnie spławiła typa, który już się do niej przysiadł, z uśmiechem pokazała mi miejsce.

– Lubię tu przychodzić. – Wzruszyła ramionami. – To takie odwrócone zoo. Ty siadasz, a zwierzęta chodzą wokół ciebie.

– Sam bym wokół ciebie chodził – mruknąłem.

Była piękna. Zapierająco dech w piersiach piękna, urocza i w ogóle... ach! Musiała zauważyć, że oczy robią mi się maślane, bo roześmiała się, szturchnęła mnie w ramię.

– Ej, Saszka! Baczność, żołnierzu, tylko mi się tutaj nie zakochaj! Gdzie kwiaty, tak w ogóle? Rozpuściłeś mnie!

– Dziś bez kwiatów, ale mam coś dla ciebie. – Sięgnąłem za pazuchę, wyjąłem z kieszeni zapakowany w pudełeczko wisiorek.

– Jeej! Prezent! O rany, jakie to romantyczne, iiiik! – zapiszczała. – Przywiozłeś? Dla mnie?

– Ano, tak wyszło. Otwórz, zobacz, czy ci się podoba.

Rozerwała folię, niemalże ukręciła wieczko. Otworzyła. Opadła na kanapę ze wzrokiem utkwionym w oprawiony w srebro bursztyń.

– To jest... Sasza, to jest piękne. Wzruszyłam się, wiesz?

Wyjąłem wisiorek, pokazałem, żeby się okręciła tyłem, i zapiąłem jej łańcuszek na szyi. Tak, zdecydowanie jej pasowało.

– Rewelacja. – Pokiwałem głową.

– Och, ty! Potrafisz ująć damę za serce. To co, za kolejne

spotkanie?

Stuknęliśmy się szklankami. Ona umoczyła usta, ja w trzech łykach wydołem od razu połowę szklanki... Dziko chciało mi się pić, jak zawsze po syncie, a poza tym desperacko potrzebowałem rozluźnienia.

...

...cholera, jutro po raz kolejny zaczynam nowe życie, po raz kolejny definitywnie rzucam alkohol.

Odchrząknąłem, uśmiechnąłem do niej.

– Cieszę się, że dotarłem. I przepraszam, że tak w ostatniej chwili pisałem.

– No coś ty! To powiedz, gdzie te porachunki były?

– E...

Zdębiałem. Ona zauważyła to, bo pokręciła głową z dezaprobatą.

– No co? Pachniesz gazami wylotowymi na kilometr, wszędzie bym poznała zapach prochu. A klamka też nieźle popracowała chyba, aż się smar pozapiekął.

– Skąd...? – wykrztusiłem tylko.

Przekręciła głowę i znów nią potrząsnęła, jakbym był mało pojętym uczniakiem. Westchnęła, patrząc na mnie z udawanym wyrzutem.

– Sasza, no naprawdę. Takie rzeczy przecież wynosi się z domu. Jak się nazywam?

– Olga...

– Pięknie. A na nazwisko? Pamiętasz jeszcze?

– Gere... – zająknąłem się, a ona pokiwała. – Geresowna. Czyli twoim ojcem był...

– Jest, dziękuję, że pytasz. Wiktor Geresow.

O kurwa, kurwa mać... Geresov. Człowiek, który trząsał NeoSybirskiem, kiedy ja byłem jeszcze zupełnie małym szcylem, biegającym na posyłki przy dilerce na dzielni.

Widziałem go jeszcze kiedyś potem, lata później, jeszcze zanim sam wstąpiłem do milicji.

Wysoki, postawny, mroczny. W idealnie skrojonym garniturze. A za nim trzymająca go za rękę, nieśmiało wyglądająca zza nogawki ojca, przestraszona zgromadzeniem otaczających ją bandytów kruszynka.

– O chuj... – wydukałem tylko.

Olga spojrzała na mnie, a potem parsknęła śmiechem.

– Tatusi się ucieszy, jak mu powiem, że jeszcze go pamiętają. Tak więc, panie Khudovec? Opowie mi pan, co zbroił tej nocy? Bo ja aż

się trzęsę cała do takich opowieści!

– Se-serio?

Właśnie przez takie „opowieści”, przez takie wieczorne powroty, zaczęliśmy się z matką mojego Sańki kłócić. To zawsze było problemem. Ona twierdziła potem, że to przeze mnie. Że właśnie przez to zaczęła zaglądać do kieliszka. A ta tutaj? Wariatka, jak nic.

– No pewnie! To mów, co było grane? Ale ze szczegółami.

Córka Geresova. No tak, istniało pewne podobieństwo, kiedy tak na to spojrzeć.

Oparła brodę na splecionych dłoniach, zatrzepotała rzęsami.

Wariatka, jak mi Bóg miły.

A ja nie lepszy.

– No więc...



Wracałem do domu na cudzym motocyklu, szczęśliwy ponad wszelkie pojęcie. Zasiadzieliśmy się, pogadaliśmy w noc... O wszystkim tak naprawdę.

Ja poopowiadałem jej trochę rzeczy, których pewnie nie powinienem. Ona w zamian uraczyła mnie opowieścią o tym, jak musiała dorastać bez ojca, który był „w pracy za granicą”, a tak naprawdę to odsiadywał wyrok. Potem zeszło znów na jej laboratorium, na pigułki zmotoryzowane, nanotechnologię... Na broń i walkę wręcz. Motocykle.

Próbowała mnie namówić, żebym kupił sobie ścigacz. Ja przekonywałem ją, że wolę mieć cztery punkty podparcia. Ona na to, że też czasem lubi, ale to w zasadzie zależy od towarzystwa.

Czułem, jak w nią wsiąkam, tonę w tych lekko smutnych oczach.

Pożegnaliśmy się koło drugiej w nocy, dostałem na dobranoc całusa w policzek. Niby przyjacielskiego, ale... ale chyba nie do końca.

Na zegarku wisiało kilkadziesiąt powiadomień od Kulasa i reszty ekipy, więc przeglądałem je po kolei, stając na światłach.

FSB zgarnęło sporo spóźnialskich, ale na całe szczęście druga ekipa weszła od tamtej strony i najemników też chyba nieźle przetrzebili.

Ten aresztowany, tamten zabity, o tym nie wiadomo...

Wyglądało na to, że zorganizowane grupy przestępcze Cesarza

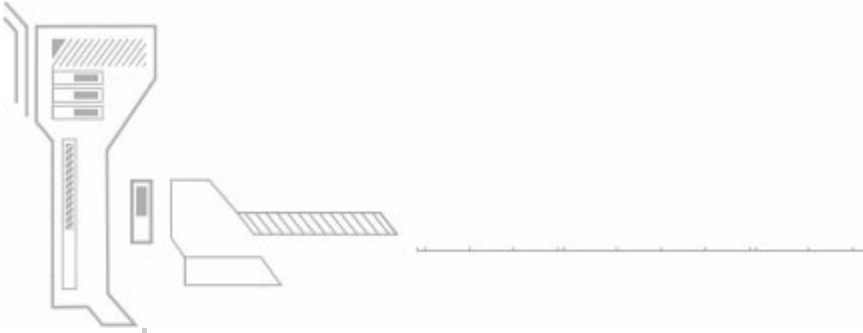
i Tarana chwilowo utraciły zdolność podejmowania działań.

Wśród tego wszystkiego zawieruszyła się jedna wiadomość od Kulasa. Widziałem ją najpierw, potem przypadkiem usunąłem, przypomniałem sobie o niej dopiero pod domem, wywołałem z kosza. Wyświetliłem.

I aż przysiadłem na ławeczce.

„V4Invest wyzerowane. Szereg innych spółek też. Apartament wystawiony na wynajem. Ptaszek nam ucieka, Chudy”.

Nigdy nie ma tak dobrze, żeby nie mogło być gorzej.



...już za parę dni. W tej chwili jest więcej niż jasne, że urzędujący od ośmiu lat gubernator Akimov pożegna się ze stołkiem, lecz...
...nielegalną demonstracją przy użyciu gazu paraliżującego i armatek ultradźwiękowych...
Najwyższa chińska jakość, przystępna federacyjna cena!...
...osadzony w miejscu pozbawienia wolności.



Powoli wstawał blady świt, a ja wciąż patrzyłem z niedowierzaniem na zmieniającą się w czasie rzeczywistym sytuację finansową naszego dłużnika. Pociągnąłem solidny łyk napoju energetycznego – całą zgrzewkę kupiłem w całodobowym przy stacji metra. Przetarłem czerwone, piekące oczy.

– Kulas, sprawdź status tej... jak ona... – Pstryknąłem palcami.

– SilverInvest – podpowiedział Kulas, rozwalony w swoim fotelu dowodzenia. – Mam ją właśnie na tapecie... W tej chwili wyprzedają aktywa.

– Dokąd? Kto bierze?!

– Udziały na okaziciela, więc nierejestrowane. Widzę tylko, jak znikają im z wykazu.

– Szszlag...!

Od prawie dwóch godzin przyglądaliśmy się wspólnie z Kulasem, jak sypie się misternie budowana przez nas siatka powiązań. Nie było sensu panikować, próbować interweniować przez ataki hakerskie ani nic takiego.

Mogliśmy wyłącznie obserwować, jak niewidoczne ekipy wyburzeniowe odpalają kolejne ładunki.

Zapamiętywać, analizować. Próbować zgadnąć, w którym miejscu należało zacząć kopać w ruinach, żeby znaleźć resztki skarbu.

– On będzie uciekać – mruknąłem. – Zaszyje się w jakiejś norze i tyle go znajdziemy.

Kulas uśmiechnął się, spojrzał na mnie z ukosa.

– My? Proponujesz mi spółkę, Chudy?

Potarłem odrastającą szczecinę na podbródku.

– W tej chwili szansa na to, że go wytropię sam, jest zerowa. Na to, że zrobimy to razem: minimalna. Łatwo dzielić przysłowiołą

skórę na niedźwiedziu, więc nie widzę przeciwwskazań.

– Pasuje, szczegóły ustalimy później. Mówisz więc, że ten Piliarski nic nie powiedział?

– Niewiele w każdym razie, a potem już trudno było z nim porozmawiać.

Spojrzelśmy obydwaj na stojący osobno komputer, już od godziny mielący informacje wyciągnięte ze zdjętych nieboszczykowi okularów. Okazało się, że tamten miał je w jakichś dziwnych, zachodnich formatach, przy konwersji część danych mogła ulec, jak to ujął Kulas, „korupcji”.

– Poczekamy, a ja na razie posprawdzam jego samego. Weź patrz na to, pilnuj i jakby coś, to wołaj. A ja tymczasem...

Opuścił oparcie fotela, naciągnął na oczy swoje gogle i wsunął dłonie w rękawice. Widziałem, jak rozluźnia się, odpływając w odmętę Strumienia.

No cóż, mnie pozostawało trzymanie warty. Wszystko i tak się nagrywało, Szeloba kończyła właśnie składać kolejną jednostkę, którą mieliśmy zamiar przeznaczyć tylko pod archiwum danych, ale obydwaj byliśmy zgodni: oko i umysł człowieka wciąż działały nie to, że lepiej, ale inaczej od komputera.

Spółki przechodziły jedne pod drugie, łączyły się, przerzucały aktywami... Klasyczna karuzela. Nie mam pojęcia, jakim cudem Kulas zdołał wpiąć się w system ewidencji gospodarczej w czasie rzeczywistym, ale widowisko było zaiste fascynujące.

O, już jedna zniknęła. I teraz druga, wchłonięta przez inną... Niby wszystko normalne, niby w porządku, ale widać też było, jak zmniejsza się widoczna na ekranie wartość aktywów.

Nasz dłużnik czyścił firmy i wyprowadzał z nich gotówkę.

Obraz zaczynał mi się lekko rozjeżdżać. Jednak nieprzespana noc, zmęczenie fizyczne i zjazd syntadrenalinowy to zabójcze połączenie. W końcu puknąłem Kulasa w ramię.

– Słuchaj, ja zaliczam zgon. Obudź mnie za trzy godzinki, co...?

– Jasne – mruknął, pogrążony po czubek głowy w Strumieniu. – Śpij.

Zamknąłem tylko oczy i zniknąłem.



Gdy obudziłem się wreszcie sam, dochodziło już południe.

Na placu boju zostały dosłownie cztery firemki, wydojone niemalże do cna z aktywów i z cokolwiek niejasną sytuacją księgowo-dokumentacyjną.

Ot, typowe miny, zostawione na drodze pościgu: zajmujesz taką za długi właściciela, zadowolony przepisujesz na siebie, żeby chociaż cokolwiek uszczknąć. Siedzisz sobie spokojnie, a za miesiąc przychodzi do ciebie pismo, że jesteś komuś winien bańkę. Albo dziesięć. Bo tamta spółka zaciągnęła zobowiązania i się nie rozliczyła. Nie wiedziałeś? No trudno, ryzyko zawodowe.

Najzabawniejsze było to, że znałem ludzi, którzy w ten sposób pospłacali długi: nowy właściciel uregulował fikcyjne zobowiązania, kasa trafiła z powrotem do nich, a wtedy rozliczyli się z frajerem jego własnymi pieniędzmi. Klasyka gatunku.

– Co z nim? – Ziewnąłem rozdzierająco.

Kulas kończył właśnie opakowanie jakiejś straszliwie śmierdzącej papki, wedle opisu na wieczku mającej być „potrawką z grzybami”.

– Cisza. Postawiłem alerty, gdzie tylko się dało... I jeszcze w wiadomościach o nim mówią.

– O, pokaż!

Przeskoczył kilka kanałów, wywołał transmisję na duży rzutnik. Skąpo ubrana reporterka o umalowanych oczach i cyckach jak dwie piłki raportowała przejętym głosem, dziwnie zarzucając głową i okazjonalnie unosząc brwi... Kto tych ludzi uczy mimiki? Czy oni mają w telewizji pojęcie, jak to dziwnie wygląda?

– ...biznesmena okazały się złudne. Marco V., znany jeszcze do niedawna jako „król gazyfikacji”, zasłynął ujawnieniem podsłuchów, kompromitujących urzędującego gubernatora okręgu oraz szereg innych osobistości ze świata polityki i biznesu. W tej chwili do siedzib kilku jego firm wkroczyły służby, działające na polecenie prokuratury...

– Cholera, spłoszyli go – warknąłem.

Kulas mlasnął, pokręcił głową i rzucił puste pudełko na podłogę.

– Nie. Takie akcje, jak to, co się działo ze spółkami, planuje się długo wcześniej. Też musieli go obserwować i weszli, mając nadzieję, że coś złapią... O, patrz, patrz!

Pokazał palcem na jedną ze spółek, która nagle zmieniła kolor z zielonego na czerwony. Nad nazwą zamigotał napis: areszt prokuratorski aktywów. Uderzyłem z pasją o poręcz fotela.

– Pięknie. Czyli teraz nie jakiś prywaciarz, tylko skarb Federacji będzie płacić te fałszywki!

– I bardzo dobrze, Chudy. Kto jak kto, oni zapłacą zawsze... A my znajdziemy człowieka.

– Rzuć ogłoszenie na wolny rynek – zdecydowałem.

– Co?

– Rzuć ogłoszenie, mówię, że szukamy Valenty. Przecież tego skurwiela trzeba będzie teraz ręcznie szukać, spod ziemi wygrzebać... Kasa dla każdego, kto da o nim użyteczne info!

– Chudy, FSB nas zgarnie, zanim zdążę dopisać. Przecież oni też wszystko monitorują...

– Nie zgarnie. Która jest...? Cholera, jeszcze wcześniej. No nic, trudno. Kulas, uważaj na siebie tutaj, ja się niedługo odezwę.

– Gdzie znów cię niesie? – zawołał za mną, ale ja już zerwałem się i zacząłem przedzierać ku wyjściu.

Chyba miałem pomysł, o co może w tym wszystkim chodzić.



Śmierdzący. Wymięty po nocy spędzonej u Kulasa.

Przeziąknięty wczorajszym potem, zarośnięty, głodny i niewyspany.

Stałem sobie, oparty o burtę mojego merca, i czekałem.

Park Gorkiego był jednym z nielicznych elementów zieleni, jakie ostały się w NeoSybirsku. To zabawne, że człowiek mimo tych tysięcy lat ewolucji i zupełnego oderwania się od swojego naturalnego środowiska nadal miał słabość do kolorów: zieleń uspokaja, błękit pozwala odetchnąć. Oczko wodne osadzone w trawie na tyle niskiej, żeby nie ukrywało się w niej żadne zagrożenie, daje poczucie spokoju.

Drzewa i krzewy wyglądały tutaj przepięknie. Bujna, rozkrzewiona zieleń, kolorowe klomby, gęste krzewy obsypane kwieciami. Wietrzyk szeleszczący w koronach, śpiew ptaków i śmiech dzieci.

Oczywiście nic z tego nie było prawdziwe. Większość drzew była zwykłymi hologramami, ukrywającymi wyloty nadmuchów powietrza i głośniki, odtwarzające nagraną ścieżkę ambientu. Trawa oraz najbliższe wytyczonych ścieżek krzaki były zrobione z doskonale imitującego naturalną tkanę plastiku, dalej stały zwykłe sztuczne rośliny. Wodę cały czas filtrowały potężne systemy pomp, żeby nie osadzała się na niej szara warstewka pyłu.

Jedyną zaletą były generatory ozonu i tlenu, dzięki którym w okolicy w ogóle dało się oddychać bez maski. To jest dopóki któryś z nich nie zaiskrzył i nie eksplodował kulą ognia, jak w czerwcu tego roku.

Przebiegający obok młodzi, piękni, radośni i nienagannie czysti ludzie patrzyli na mnie jak na niepasujący element krajobrazu. Dla nich musiało to wyglądać tak, jakby w bajkę dla dzieci ktoś nagle wkleił scenę z czarno-białego pornosu moralnego niepokoju: na ułamek sekundy rozmowy cichły, twarze ściągały się zdziwieniem – ale potem mijali mnie i wszystko wracało do normy.

– Obywatelu, tu nie wolno parkować. – Milicjant w końcu zdecydował się do mnie podejść.

Spojrzałem ciężko na młodziutkiego, nawet sympatycznego z wyglądu lejtnanta. Tatuś musiał nieźle zabulić, żeby chłopanie dostał przydział właśnie tutaj.

– Ja nie parkuję. – Rzuciłem peta na ziemię i roztarłem nogą. Tak, nawet nie zauważyłem, kiedy sam wskoczył mi w usta. I nie mam pojęcia, co wymięta paczka robiła w schowku na mapy. – Ja się tylko zatrzymałem. Widzicie, towarzyszu milicjancie? Pojazd nie jest zamknięty, kierowca znajduje się w pobliżu.

Popatrzył na mnie, na mercedesa, znów na mnie. Już wcześniej przechodził w tę i w tę kilka razy, pewnie mając nadzieję, że zreflektuję się i odjadę sam.

No nie odjechałem, przykro mi.

– Tutaj jest zakaz. – Pokazał na nieodległy holoznak.

– Wiem – przytaknąłem.

– Więc muszę prosić, żeby pan odjechał.

„Prosić”. Boże dobry, na co to przyszło, żeby milicja miała człowieka o coś „prosić”! No ale chłopanie słusznie miał obawy: zdezelowany, poobijany mercedes. Szyby świeżo wstawione, więc widać, że poprzednie musiały ulec rozbiciu. W wyniku, na przykład, potrącenia kogoś. Albo przestrzelenia przez kogoś.

A i ja pewnie wyglądałem dziś, oględnie rzecz ujmując, niezachęcająco.

– Zaraz odjadę. Poczułem się słabo, musiałem wziąć proszki.

– Jakie? – zainteresował się.

– Te, które połknąłem. Teraz wam już nie pokażę, towarzyszu milicjancie.

– No więc niech pan odjedzie.

– Mówię przecież, że zaraz. No już, przecież mundurowy z mundurowym się jakoś dogada, nie? Kapitan Khudovec, do usług

pana lejtnanta.

– Lejtnant Andreyenko, miło mi. – Aż zasalutował. – Ale niech pan kapitan już odjedzie.

– Zaraz, tylko... O, już jest. Siemano, Kojot!

Nadbiegający ścieżką do joggingu Kojot również mnie dostrzegł, pomachał i skręcił w tę stronę. Sukinkot, dobrze się trzymał, jak tak na niego popatrzeć w ruchu! Dobiegł, ściągnął z twarzy półmaskę zarazem filtrującą smog i limitującą dostęp tlenu, przegarnął w tył mokre od potu włosy.

– No cześć, druhu! A co ty tu robisz?

– Towarzyszu pułkowniku. – Młody lejtnant zasalutował. – Bo ja właśnie zwracałem panu kapitanowi uwagę...

– Bardzo słusznie, a teraz spocznij, odmaszerować. Pan kapitan pewnie ma do mnie jakąś sprawę, co?

– Jakbyś zgadł – mruknąłem. – Przejdziemy się?

– A może lepiej przebiegniemy? Tutaj jest taka trasa, o tej porze tam takie dwie się rozciągają... No mówię ci, jak na nie czasem patrzę, druhu, to aż mnie...

– Nie, Kojot, jestem cokolwiek sfilcowany.

– Ale w ogóle jesteś tutaj. – Oczy Kojota błysnęły groźnie. – A nie gdzie indziej. Na przykład w celi.

– Albo w górskim kurorcie, tak. To co, idziemy?

– Idziemy.

Otworzyłem samochód, wrzuciłem do środka swój zegarek z komunikatorem. Kojot też wyciągnął z ucha antenkę, krzywiąc się, wyłuskał dwoma palcami baterijkę z gniazda przy skroni i położył na podszybiu. Ruszyliśmy we dwóch ku ścianie zieleni.

– Valenta wam uciekł – zdecydowałem się zaatakować.

– Nam nikt nie ucieka, druhu. Czasami cel tylko zmienia położenie.

– Aha. To w takim razie zmienił na takie, którego nie znacie. Jestem ci winien przysługę, Kojot.

Pokiwał głową, patrząc na przebiegającą w oddali kobietę.

– Niejedną, Chudy. Niejedną.

– Czego od niego chcecie?

Obejrzał się leniwie w lewo, w prawo. Machnął ręką ku gęstwinie krzaków.

– Mnie się chce łać. A tobie, Chudy? Nie czujesz gwałtownego parcia na pęcherz?

– Mogę czuć...

– To poczuj.

Przedarliśmy się przez sztuczne zarośla, ja przypadkiem nadepnałem na głośnik, imitujący trzel kanarka albo innego skowronka. Skąd mam wiedzieć, skoro ani jednego, ani drugiego nigdy nie słyszałem? Potem wleźliśmy w hologram i stanęliśmy pod zardzewiałą, brzydką i nieforemną kopułą nawiewów powietrza, imitujących delikatny zefirek.

Huczalo jak sto nieszczęść, ale właśnie o to przecież chodziło. Stanęliśmy obok siebie w rozkroku.

– Skrzyżujmy strumienie – zaproponowałem. Kojot parsknął śmiechem.

– Ej, to nie fair! Ja nie umiem, jak ktoś rozśmiesza. – Spoważniał, warknął półgębkiem: – Chudy, on cały czas ma te nagrania.

– Nośnik fizyczny?

– Na pewno, bo w Strumieniu by tego nie chował.

– To go znajdź po prostu i mu to odbierz.

Kojot skrzywił się, strząsnął ostatnie krople i podciągnął spodniki.

– To nie takie proste, Chudy. Musiałbym zrobić to osobiście, żeby mieć pewność, że wszystko jest... szczelne. Że nic nie trafi w niczyje brudne łapy.

I wtedy zrozumiałem, czego naprawdę chce ode mnie Kojot.

– O kurwa – sapnąłem, patrząc na niego. Uśmiechnął się smutno, pokiwał znacząco głową.

– Ano, trafnie żeś to ujął, druhu. Każdy ma swoje słabości, prawda?

– Ale przecież to nie może...

– Może, i dokładnie tak zadziała. Kolejka chętnych na moje miejsce jest długa, a ja za bardzo kocham moją Annuszkę, żeby pozwolić komukolwiek wyciągać takie nieistotne gówno na światło dzienne.

Nie powiedziałem nic, tylko oparłem się o ścianę i spuściłem głowę. Bo i co było do powiedzenia? Kojot może i był skończoną szują, ale zawsze krył swoich.

I teraz nadeszła pora, że to on raz jeden jedyny potrzebował czyjejś łaski.

– Znajdę go, Kojot.

– Wiem, druhu. A ja będę ci wdzięczny do końca życia. Natomiast jeśli zdecydujesz się zrobić coś niegodnego przyjaciela... – Położył mi dłoń na ramieniu i ścisnął. Nieszczególnie mocno, ale wiedziałem, że gdyby chciał zamknąć swoją mechaniczną dłoń do końca, to ani mięso, ani kość by mu w tym nie przeszkodziły. – ...to znajdę cię,

Chudy, wyciągnę spod ziemi, wywlokę z najciemniejszej dziury i rozerwę na strzępy. Ciebie i twojego psa.

– Kusto do tego nie mieszaj.

– No dobra, z psem faktycznie nieco się zagalopowałem. Ale rozumiesz powagę sytuacji.

– Jasne.

Poklepał mnie po plecach i bez słowa odszedł ku ścieżce.

Zadarłem głowę ku górze, odetchnąłem ciężko. Nie ma co, obraz sytuacji robił się z dnia na dzień coraz ciekawszy.



Byłem ledwo żywy, słońce paliło, jakby chciało spopielić wszystko na ziemi, bolał mnie dosłownie każdy mięsień... A mimo to pojechałem za miasto do Mykoły, by mieć pewność, że przynajmniej u niego wszystko w porządku.

Pies musiał usłyszeć mnie jako pierwszy, bo wyszedł na ścieżkę, kiedy szedłem od zaparkowanego samochodu z siatkami pełnymi zakupów.

Zatrzymałem się; on też stanął bez ruchu, po prostu patrząc na mnie. Dziwne, bo nigdy tak nie robił.

Czułem, jak taksuje mnie czujnikami, sprawdza bicie serca i ciepłość ciała.

Cokolwiek niepokojące to było, prawdę rzekłszy: co mogło dziać się w głowie takiej istoty? Procesor na pewno przetwarzał informacje, jakieś synapsy iskrzyły i wysyłały impulsy. Wahał się? Myślał? Czy tylko czekał na mój ruch?

Odwrócił się, potruchtał w kierunku opuszczonego zakładu.

– Dzień dobry, panie Aleksandrze! – Mykoła wyszedł przed główny budynek, odebrał ode mnie siatki, jak gdyby te nic nie ważyły. – Jak się pan czuje? Wszystko w porządku?

– Bywało lepiej, prawdę mówiąc.

– Powinien pan się wypać i porządnie odpocząć. Prowadzenie pojazdu mechanicznego w stanie obniżonej koncentracji może być...

– Wiem, tak.

Weszliśmy do pachnącego chemikaliami wnętrza, ja usiadłem na swoim miejscu przy stoliku, nakrytym pociętą, postrzępioną ceratą, Mykoła wziął się za szykowanie swego napoju bogów.

– Jak tam w mieście, panie Aleksandrze? – zapytał pozornie

z głupia frant.

Mykoła nigdy nie pytał o NeoSybirsk. W ogóle nie pytał o nic poza swoją pracą.

– Dobrze, dziękuję? – odpowiedziałem nieśmiało.

– Bo tak trochę o tym myślałem, panie Aleksandrze. Tak czysto teoretycznie.

„Tak trochę” w kategoriach Mykoły oznaczało „po szesnaście godzin każdego dnia, odkąd się ostatnio widzieliśmy”. Zaś „teoria” była niczym innym, jak „praktyką, której jeszcze nie wdrożono”.

– Zamieniam się w słuch.

Przyniósł mi czarną, parującą herbatę, aż mętłą od rozpuszczonego w niej cukru. Spociałem się na samą myśl o pierwszym łyku.

– Panie Aleksandrze, otóż dokonałem obliczeń i uważam, że moglibyśmy podwoić objętość produkcji bez strat na jakości.

– Mhm... – mruknąłem wieloznacznie.

No tak, zupełnie o tym zapomniałem: Mykoła był przekonany, że jesteśmy współnikami i właśnie wykonujemy pierwszy krok na drodze ku fantastycznej karierze jako neosybirscy królowie syntadrenaliny.

– Więc w tej chwili potrzebowałbym tylko uzupełnić pewne braki w aparaturze. Nic wielkiego, zapewniam pana. Należy po prostu zabezpieczyć się przed możliwością powstania wąskich gardeł w ciągłym procesie produkcyjnym.

Na chwilę zapadła cisza. Słysząc było jedynie, jak buczą generatory i szumi maszyna, niestrudzenie, kropelka po kropelce, tłoczona coraz bardziej zbliżoną do ideału syntę w plastikowe kanistry.

Nie byłem pewien, w jaki sposób opisać mu obecną sytuację w mieście. Jak powiedzieć, że Cesarz i Taran na chwilę zjednoczyli siły tylko po to, żeby chapnąć się z najemnikami, których najwyraźniej opłacał nowy, agresywny gracz na i tak wąskim już rynku?

Upiłem jeszcze łyk herbaty, poświęcając paręset ugotowanych żywcem kubków smakowych w zamian za chwilę do namysłu.

Byłem zbyt zmęczony, żeby kłamać albo próbować upiększać rzeczywistość.

– Pojawiła się nowa ekipa i wygląda to słabo – rzuciłem w końcu.

– Jedną sekcję w ogóle zdjęli. Inni mają problemy. Nasi próbowali stawić opór, była... no, walna bitwa była. Są straty, część aresztowanych, z innymi nie wiadomo, co się stało. Rynek leci na

łeb na szyję. Mnie próbowali zabić.

– Och, nas też.

Zamrugalem, patrząc na niewyrażającą dokładnie niczego, spokojną, wiejsko-naiwną twarz Mykoła. Przynajmniej na tę jej cwiartkę, która przypominała człowieka.

– Co?

– Próbowali nas zabić – powtórzył Mykoła z tym lekko nieobecny, dyżurnym uśmiechem.

– Co?

– Próbowali...

– To słyszałem już. Kto, jak? Kiedy? Co się stało?

Wstał, pokazał mi ruchem ręki, żebym poszedł za nim. Pies też podniósł się ze stacji ładowania, potruchtał przy nodze swego pana.

Na zasłanym gruzem i śmieciami podwóreczku na tyłach fabryki piętrzyły się trzy idealnie równe, jak od liniiki usypane przyzmy świeżej ziemi. Każda licząca tak, no... u podstawy sześćdziesiąt centymetrów na jakieś dwa metry. Dokładnie tyle, ile powinno mieć światło grobu, żeby zmieściło się tam ciało.

– Mykoła... – Ze świstem wciągnąłem powietrze, ścisnąłem nasadę nosa.

– Tak, panie Aleksandrze?

– Opowiedz mi, co się stało.

– Przyszli nocą, panie Aleksandrze. Od strony drzew, samochód z kierowcą zostawili jakieś dwa kilometry stąd. Krótka broń automatyczna w dużym kalibrze pistoletowym, systemy termowizyjne, komunikatory.

– I co zrobiłeś?

– Zaproponowałem im herbatę.

Przymknąłem oczy, policzyłem do dziesięciu. Kiedy otworzyłem, Mykoła nadal tam był, patrząc na mnie z pełną ufnością.

– A oni co? Niech się domyślę, zaczęli strzelać?

– Na szczęście wziąłem taką ewentualność pod uwagę, więc całość odbyła się poza laboratorium.

Nawet nie pytałem, w jaki sposób ich zabił. Chyba wołałem nie wiedzieć. Łatwiej było mi żyć w nieświadomości tego, kim Mykoła jest i co potrafi.

– No dobrze, ale mówiłeś, że był samochód z kierowcą. Widzę trzy groby. Czyli tamten uciekł?

– Bynajmniej, panie Aleksandrze. Uważa pan, że wypadło pochować wszystkich razem? Bo jeśli tak, to mogę jeszcze...

Podniosłem dłoń, potrząsnąłem głową.

– Nie, nie, tak tylko się chciałem upewnić. Masz jakąś teorię, kim byli? Dla kogo pracowali?

– Obawiam się, że nie.

– No cóż, w takim razie...

– Wyekstrahowałem z jednego czip pamięci, na którym powinny być zapisane dokładne informacje.

Zamrugałem ponownie, przekrzywiłem głowę. No tak. „Teoria” a „praktyka”. Dla Mykoła to, co istniało na pewno, nie było przecież teorią.

– Pokaż mi – zażądałem.

Zaprowadził mnie do magazynku. Zazwyczaj stały tam odczynniki chemiczne, kawałki maszyneryi i wszelkie elementy urządzeń, z których mój dostawca konstruował maszyny, produkujące jego markowy produkt. Tym razem na jednej z półek leżały jeden obok drugiego trzy porządne pistolety maszynowe, zestawy łączności i temu podobne parafernalia ludzi od mokrej roboty.

Mykoła podał mi przezroczyste, plastikowe pudełko, w którym leżała idealnie czysta, zapewne zdezynfekowana i wysterylizowana kostka czipa, wyciętego z tkanki mózgu wraz z cieniutkimi niteczkami podłączeń neuronowych.

– Użyłem kwasu, który rozpuścił tkankę organiczną – wyjaśnił. – To najlepszy sposób.

Aha, czyli pewnie wyjął tamtemu cały mózg. Ciekawe, czy już post mortem, czy też jeszcze na żywcą?

– Mogę to zabrać? Przepuściłbym przez komputer, może coś znajdzie.

– Tak, oczywiście. Tutaj i tak nie mam wyposażenia, panie Aleksandrze, a wolałbym nie wpinać jej do swojego zapasowego gniazda. To jednak ryzykowne, scalać własny umysł z innym.

„Zapasowe gniazdo”. Przełknąłem tylko ślinę, starając się upchnąć informację do właściwej szufladki. Może kiedyś, jeśli dożyję emerytury, usiądę sobie z fajką na bujanym fotelu i wezmę się za rozwikłanie zagadki tego, kim i czym w ogóle był Mykoła.

Na razie priorytetem pozostawała kwestia, jako się rzekło, dożycia.

– Mykoła, słuchaj. Sam widzisz, co się dzieje. Dlatego też uważam, że w obecnej sytuacji musimy... nieco przewartościować naszą współpracę. Zastanowić się, jakie ramy będą najkorzystniejsze.

– W pełni się zgadzam, panie Aleksandrze. Chciałem zaproponować dokładnie to samo!

Uff. Czyli chociaż raz logika mnie nie zawiodła. Jeśli doszedł do identycznych co ja wniosków, to teraz będzie z górki.

– Rozumiesz więc, że skoro sytuacja jest, jaka jest... Skoro próbują nas fizycznie wyeliminować. Skoro rynek dołuje. To jedynym logicznym wyjściem jest... – zawiesiłem głos.

– Oczywiście, natarcie pełnymi siłami!

Zacisnąłem powieki.

– Co...?

– Panie Aleksandrze, proszę posłuchać. – Delikatnie ujął moje ramię, niczym psycholog tłumaczący coś straumatyzowanemu dziecku. – Czy sądzi pan, że może być gorzej? Czy też sytuacja osiągnęła najniższy możliwy punkt wykresu?

– Zawsze może być gorzej, ale trudno mi to sobie wyobrazić.

– Zatem jesteśmy w idealnym momencie koniunktury, aby inwestować, i dokładnie to powinniśmy zrobić. Nie mam co prawda wystarczającej ilości danych, ale...

Danych. Dane. Informacja. Analityka. Wnioskowanie. Pomysł był tak zaskakujący, że aż zapowietrzyłem się na chwilę.

Podniosłem rękę, nabrałem tchu. Musiałem powiedzieć to teraz, poprosić go teraz, bo za chwilę mogłem zapomnieć.

– Mykoła. Czy gdybym udostępnił ci pewne, nazwijmy to, informacje wsadowe... Mocno rozproszone, pofragmentowane... Czy sądzisz, że byłbyś w stanie na ich podstawie dokonać, nie wiem, analizy prawdopodobieństwa? Określić położenie jednego z wielu elementów, wyliczyć niewiadomą w otwartym układzie współrzędnych?

Uśmiechnął się prostym, szczerym, wieśniaczym uśmiechem.

– Oczywiście, panie Aleksandrze. Z przyjemnością zrobię to dla pana. W końcu jesteśmy współnikami.

Splunąłem w dłoń, wyciągnąłem rękę.

– Interesy z tobą to czysta przyjemność, Mykoła.

Nie miałem pojęcia, czy będzie w stanie zrobić to, na co miałem nadzieję. Ale jeśli tak... To cała reszta jego mrzonek o wspólnym biznesie i giełdowych bredni o inwestowaniu, kiedy inni wyprzedają udziały, stawała się nieistotna.

Odebrałem od niego kolejne cztery kanistry nikomu w tej chwili niepotrzebnej synty i kortyzonu, dopiłem ohydnie słodką herbatę i ruszyłem w drogę powrotną do NeoSybirska.

Jakiś kajet chyba zacznę prowadzić czy co? Bo ilość spraw piętrzyła się lawinowo.



Byłem na obwodnicy, kiedy zadzwonił do mnie Daniłow.

– Towarzyszu kapitanie, baczność! Co tam w naszych sprawach?!
– zaczął bez ogródek.

– Wszystko dobrze, towarzyszu dowódco, melduję posłusznie.
Wkrótce...

– Na mnie patrzcie! Co to za brak szacunku dla starszych?

– Prowadzę. – Skrzywiłem się przepraszająco, wyprzedzając jakąś sierotę wlokącą się, jakby chciała, a nie mogła.

– A, to inna sprawa. Nie za szybko jedziecie?

– Nie, nie...

– Dobrze! Ostrożność na drodze miarą odpowiedzialności obywatela. Ja też szybko nie jeżdżę, bo strach... Zresztą strach to jest do stu sześćdziesięciu, a potem już pochuj! He, he, he...! To co tam mówiliście?

– Zaczynamy go powoli namierzać. Jeszcze kilka dni, i powinno być coś konkretnego, bo chyba w końcu znalazłem rokujących konsultantów.

– Zuch! Ja dziś przylatuję do was w interesach. Co robicie późnym wieczorem, towarzyszu kapitanie? Napilibyśmy się wspólnie czegoś, zjedli kolację.

– Nie widzę przeciwwskazań... Gdzie?

– Hotel Ojczyzna, tam się zatrzymam. Jak będziecie w pobliżu, dajcie znać.

– Tak jest!



Wpadłem do siebie, oporządziłem Kusto i nawet cokolwiek zjadłem. Dopiero potem, zupełnie bez sensu odwracając kolejność, wziąłem prysznic i poćwiczyłem... Ech, tyle były warte moje postanowienia. Ale przynajmniej z piciem się udawało.

Chyba, bo już się pogubiłem, ile razy rzucałem który nałóg i kiedy po raz ostatni.

Chciałem chwilę popracować, ale usiadłem na kanapie i zwyczajnie zamknęły mi się oczy.



Obudził mnie natarczywy sygnał dzwonka: Kulas.

– Chudy, przyjeżdż.

– Zaraz... – mruknąłem, próbując ogarnąć rzeczywistość.

Było już po południu, na dworze wisiał najgorszy możliwy skwar, a mnie nasuwał łeb. Ech, lata już nie te, organizm nie nadążał z regeneracją.

Zebrałem się, wygrzebałem z szafy ostatni czysty podkoszulek. Zebrane w koszu na pranie ubrania po prostu zwinąłem w kulę, którą przemocą wepchnąłem do pralki. Nie lubiłem robić prania, bo opcja suszenia nie działała już od roku, a rozwieszzone najlepiej schło na korytarzu i nie dawało się wtedy przejść. Sprawdziłem komunikator, pobiadoliłem wspólnie z ekipą nad losem aresztowanych i ruszyłem do Kulasa.

Czekał już na mnie, wyraźnie zaaferowany.

– Mamy ślad – rzucił w ramach przywitania.

– Dawaj!

– Zrobiłem to, co powiedziałaś, Chudy. Jak ostatni debil rozpuściłem wici... I wyobraź sobie, że ktoś się odezwał.

– No mów w końcu!

– Widzieli go na lotnisku. To znaczy nie Valentę, a człowieka wyglądającego dokładnie jak on. Tylko w ciemnych okularach i z ciemną szczeciną brody na policzkach. Przy nim wysoka, szczupła blondyna.

– Mało takich...? – jęknąłem, rozczarowany.

– Mało. Popatrz sam.

Wywołał na ekran zdjęcia dwóch wirtualnych kart identyfikacyjnych. Już na pierwszy rzut oka poznałem i Valentę, i tę jego plastikową dziunię... Natomiast dane opiewały na zupełnie kogoś innego.

Gwizdnąłem przez zęby.

– Sukinsyn... Dał radę ogarnąć lewe papiery. Skąd to masz?

– Wyobraź sobie, że znajomy znajomego z zaprzyjaźnionej ekipy pracuje tam na odprawie. No i zobaczył dziwnie znajomą twarz, zrobił sobie zrzuty i zachował.

– Kiedy?!

– Przedwczoraj. Szczwany lis najpierw dał nogę, a potem dopiero zaczął sprzątać.

Złapałem się za głowę. Kiedy ja lądowałem, tamta parka już

czekała na ten sam samolot, lecący wahadłem z powrotem. Minęliśmy się o kilkadziesiąt metrów!

– Czyli jest tam... Kurwa, kurwa! Kiedy najbliższe wolne bilety?

– Trzy dni. Sorry, Chudy, próbowałem i tak, i siak. Kitajcy wszystko zajmują, jak tylko się pojawi.

Dobra, tylko spokojnie. Nadal miał nad nami przewagę, ale powoli zawężaliśmy mu pole ruchu. Poza tym nie sędzę, żeby wiedział już o Piliarskim! Przyleci tam, już przyleciał pewnie, zadzwonił... Odczekał i wybrał się sam. Znalazł puste mieszkanie zaplombowane przez policję.

Co zrobi dalej? Hm...

– A jak te dane, co je przywiozłem?

– Ekstrahują się, już niedługo. Jak tylko się zrobią, to...

Odchrząknąłem znacząco.

– Kulas, ja... Ahem. Wiesz, że uważam cię za wysokiej klasy specja, prawda?

Obrócił się w fotelu przodem do mnie, złożył dłonie na brzuchu.

– Ale...?

– Ale uważam, że nie damy rady tylko we dwóch. Ani ty, ani tym bardziej ja. Uważam, że należy zwrócić się po pomoc do osób trzecich.

Nie miałem pojęcia, jak zareaguje.

Wiedziałem, że nie lubi ludzi z założenia. Był jeszcze gorszym samotnikiem i abnegatem niż ja.

W porównaniu z Kulasem ja byłem mistrzem fitnessu, panem i władcą kuchni oraz istnym maestro prac domowych. Tłumy dosłownie szalały za mną, a ja nie mogłem nasycić się ich zainteresowaniem.

A teraz proponowałem mu, żeby wprowadzić do jego przytulnego gniazdka butwy i mierzwy kogoś jeszcze.

– Okej.

– C-co? – Myślałem, że się przesłyszałem albo on pomylił słowa.

– Okej, spoko. No co, co taki zaskoczony jesteś? To przecież naturalne, że samemu się nie ogarnie. Ty chyba nie myślisz, że ja to wszystko sam robię?

Szczerze mówiąc, właśnie tak myślałem.

– Nno dobra, to ja bym... Hm. Przywiózł go tutaj chyba, nie?

– Ja do niego nie pobiegnę, sorry.

– Nie o tym mówię! Tutaj mamy dane, dostęp, wszystko... Tak, tak zrobimy. Poczekaj.

Wstukałem wiadomość do Mykoły, pytając, czy gotów byłby

przyjechać ze mną do NeoSybirsk w wiadomej sprawie. Odczytał. Czekałem chwilę na odpowiedź, potem spojrzałem na Kulasa. On wzruszył ramionami: no co?

– Chudy, jeszcze żeby nie było wątpliwości: gazę tego tajemniczego konsultanta bierzesz na siebie ty. Jasne?

– Pewnie – przytaknąłem. – On jest dość, e, specyficzny, ale chyba...

Urwałem, bo komunikator zawibrował powiadomieniem o odpowiedzi. Mykoła pisał: „Oczywiście, Panie Aleksandrze, to żaden problem. Z przyjemnością w końcu odwiedzę Pańskie piękne miasto”.

– Chyba...?

– Bardzo specyficzny – powtórzyłem, pisząc jednocześnie do Mykoły, że przyjadę po niego niezadługo. – Kulas, za jakieś dwie, trzy godziny z nim tu wpadnę i zobaczymy.

– Jasny temat.



Czując się trochę jak chłopak na posyłki, znów załadowałem swój tyłek w merca ze szczerym zamiarem pojechania po Mykołę. Nie miałem pojęcia, jak zareaguje ani co zrobi... Natomiast samochód przywitał mnie znajomym plumknięciem i pomarańczową kontrolką: halo, maszyna też człowiek, jeść musi.

Zajechałem na najbliższą stację, chociaż miałem chwilę wahania co do wyboru dystrybutora. Daniłow jeszcze nie przelał mi zwrotu kosztów delegacji, fundusze gwałtownie się kurczyły.

Z drugiej strony, nie można zacząć dziadować teraz, kiedy wreszcie na horyzoncie widać pierwsze namacalne sukcesy.

Wybrałem, jak poprzednio, linię premium. Pracownik od razu doskoczył do mnie, gnąc się w ukłonach i zachłystując grzecznościami, odkręcił korek wlewu... Już miałem wziąć się pod boki, jak jakiś bojar na włościach, kiedy zadzwonił komunikator.

Hm, ciekawe – nieznaną numer. Przesunąłem ikonkę w prawo.

– Słucham?

Na miniaturowym wyświetlaczu pojawiła się twarz mężczyzny w średnim wieku o wyraźnych kościach policzkowych.

– Uhm, dzień dobry? Czy pan Aleksander Khudovec?

– Tak, słucham. Od razu mówię, że nie jestem zainteresowany...

– Ja w sprawie ogłoszenia.

Ogłoszenia! Aż mnie to zelektryzowało. No proszę! Jedna wędka zarzucona, a rybki aż się kotłują!

Coś jednak mi nie grało.

– Jakiego ogłoszenia? – zapytałem ostrożnie.

Przecież w tym, co Kulas rzucił w Strumień, nie było o mnie ani słowa. A na pewno nie było tam mojego komunikatora.

– Wiem, że poszukuje pan aktywów pewnej osoby. Tak się składa, że chyba idziemy w tym samym kierunku.

– Przepraszam, nie dosłyszałem pańskiej godności, panie...?

– Dmitrijew, Maksim Dmitrijew. Tak się składa, że do niedawna byłem dyrektorem jednej ze spółek, które też zostały pokrzywdzone w wyniku... działań tej osoby. Czy moglibyśmy się spotkać?

– Tak, myślę, że tak. Teraz jestem trochę zajęty co prawda. Jutro?

– Obawiam się, że to sprawa niecierpiąca zwłoki. Sam pan widzi, w jakim tempie nikną jego aktywa. Nalegałbym na spotkanie dziś, jeśli to nie problem.

Zerknąłem na zegarek. Przylatywał Daniłow, wyrobię się ze wszystkim? No wyrobię... I może od razu zjem tę obiecaną kolację. A potem, już z pełnym żołądkiem, pojedę po Mykołę.

Kiwnąłem głową pracownikowi stacji i podsunąłem nadgarstek pod czytnik.

– Mogę być w hotelu Ojczyzna w ciągu godziny – zaoferowałem.

– Doskonale. Zatem jesteśmy umówieni, do zobaczenia.

Ojczyzna. Skąd ci ludzie biorą pieniądze, żeby je taką lekką ręką przepuszczają? No ale skoro on zaprasza na spotkanie, to niech i on zapłaci.

Nie chciało mi się już jeździć w tę i we w tę, przebierać i robić wszystkich tych cyrków, więc tylko prysnąłem się dyżurnymi perfumami ze schowka. Trochę zbyt wieczorowe, przeważnie używałem ich, idąc do nocnych klubów, ale będą musiały starczyć.

No dobra, tempo wydarzeń rosło. Kto wie? Może jeszcze zdążę gdzieś w tym roku wyskoczyć na zasłużone i uczciwie zarobione wakacje!

Merc ryknął radośnie, a ja wykręciłem i pomknąłem z powrotem ku strefie śródmieścia.



Zbliżał się już wieczór. Szklane ściany drapaczy chmur płonęły żywym ogniem zachodzącego słońca, gorące powietrze falowało ponad połaciami asfaltu.

Zaparkowałem, o dziwo, nawet blisko samego hotelu, i to dobry kwadrans przed czasem.

No dobra, załatwmy to szybko, zobaczymy, co ma ciekawego do powiedzenia ten jegomość, a potem obtańczę spotkanie z mocodawcą. Przynajmniej będzie się czym pochwalić!

Ten cały Dmitrijew już na mnie czekał, rozwalony na skórzanym fotelu w rogu baru. Zerwał się od razu, podbiegł z wyciągniętą ręką.

– Panie Khudovec! Cieszę się, że już pan jest, dobry wieczór.

– Dobry wieczór, Sasza Khudovec, prywatny detektyw, do usług. W czym mogę pomóc?

– Wygląda na to, że możemy pomóc sobie obydwaj. Czego pan się napije?

Wywołałem hologram menu. Bardzo, ale to bardzo kusila mnie krwawa marijka: sok pomidorowy i wódka, mmm... Ale w końcu zdecydowałem się na opcję bezalko. Gość wziął sobie podwójne bacardi z czymś tam, do tego poprosił o miseczkę pistacji. Kelner skłonił się i pobiegł szykować zamówienie.

– A zatem, panie Aleksandrze. – Mój rozmówca posłał mi uśmiech. – Jak już mówiłem, byłem prezesem jednej ze spółek, które poniosły w wyniku działalności pana Marco Valenty znaczącą stratę.

– Której? – zapytałem od razu rzeczowo.

– SilverTech. Zajmowaliśmy się...

– Tak, wiem.

Wiedziałem, bo nazwa faktycznie mi się przewinęła, i nawet gdzieś mignęło mi jego nazwisko.

– Jak pan zatem też wie, działania Valenty doprowadziły do powstania po naszej stronie straty w wysokości niemalże półtora miliona rubli. Ja, na całe szczęście, zdążyłem rzucić papierami, zanim do tego doszło, więc nie poniosę za to odpowiedzialności... Ale mój następca jest w o wiele gorszej sytuacji.

Prychnąłem, pokiwałem głową.

– Grunt to wiedzieć, kiedy wyskoczyć z tego pociągu do wielkich pieniędzy.

– Dokładnie. Więc, jak pan rozumie, mam teraz dość czystą sytuację i...

Urwał, gdy kelner przyniósł nasze drinki i przekąskę. Podniósł się, odebrał od niego tacę, podziękował skinieniem głowy.

– Zawsze ktoś przylezie, co? – Skrzywiłem się, po czym przełknąłem ślinę.

Pistacje! Jadłem to cudo tylko raz w życiu i były absolutnie bajeczne. Takie jak... jak małe, zielone orzeszki, zamknięte w łupinkach! Nie czekając na niego, sięgnąłem do miseczki, od razu rozłupałem jedną i wrzuciłem do ust, rozgryzłem.

Przymknąłem oczy, gdy smak eksplodował miękkim, soczystym chrupnięciem.

Jak będę kiedyś bogaty, to tylko to będę jadł.

– No niestety. Jak już mówiłem, mam czystą sytuację i teraz nic nie przeszkadza mi, aby pomóc panu w odnalezieniu tych aktywów. – Też sięgnął po orzeszka. – Tym bardziej że transakcje pana Valenty z nami były dość dobrze udokumentowane.

– Mhmm... – mruknąłem, zapijając kolejną pistację sokiem.

Tak prawdę mówiąc, to byłem koszmarne głodny. Dopiero teraz to do mnie dotarło!

– Więc rozumie pan, że idziemy w tę samą stronę. Pan, jak rozumiem, działa na zlecenie K-Mer Corp?

– Tak, w zasadzie... tak. Zresztą mam tutaj niedługo spotkanie z prezesem ich rady nadzorczej.

– Panem Daniłowem, tak? – zainteresował się Dmitrijew.

– Tym samym. Udało mi się zgromadzić już pewne materiały, ale powiem panu, że sam Valenta... to tylko kawałek większej całości.

– Naprawdę? Ciekawe, czy nasze puzzle będą do siebie pasować. I co, przekazał pan już coś do nich? Jakież informacje?

– Nie. – Potrząsnąłem głową. – Oczywiście, że nie, bo nie mam na razie konkretów.

– Ach. No cóż, moja informacja na pewno zatem przybliży pana do rozwiązania tej zagadki.

– Nie wątpię. Jaka to informacja?

– Tak jak mówiłem, byłem prezesem SilverTech. Spółki pana Valenty prowadziły z nami interesy.

– Tak.

– Interesy, które mamy bardzo dobrze udokumentowane. Strata, jaką ponieśliśmy, to sumarycznie półtora miliona rubli, więc suma niebagatelna. Jako że moja pozycja pozwala mi na podzielenie się pewną informacją, która może być przydatna też panu, to chciałbym zaproponować działanie wspólnie. W końcu idziemy w tym samym kierunku.

Dopiłem swój sok, wrzuciłem do ust jeszcze jednego orzeszka, czekając na konkrety. Zegarek zawibrował: Daniłow się

niecierpliwili i pytał, kiedy będę.

„Kwadrans” – odpisałem.

– A zatem? – przynagliłem typa.

– A zatem do rzeczy. Posiadamy bardzo ciekawą dokumentację transakcji, jakie pan Valenta zawierał z SilverTech. Zawierał przez swoje spółki zależne, rzecz jasna. Strata, którą wygenerowały te działania...

On nie miał mi nic do powiedzenia, uświadomiłem sobie. Powtarzał po raz trzeci albo wręcz czwarty te same puste teksty. Może sprawdzał tylko, ile wiem?

– Co pan proponuje? – przerwałem.

– Udostępnię panu te dokumenty. Oczywiście w zamian za stosowną kompensację.

– Ile?

– Półtora miliona dla spółki, sto pięćdziesiąt tysięcy dla mnie.

Zakrzusłem się orzeszkiem, rozkaszałem.

– Pan chyba raczej żartować?

– Bynajmniej.

– Nie ma szans. Raz, że chce pan dla siebie niewiele mniej, niż mógłbym z tego wyciągnąć ja. Dwa, wątpię, aby pan Daniłow się na coś takiego zgodził. Ale jeśli poczeka pan na niego...

– No cóż, trudno: nie dogadaliśmy się. Do widzenia.

Dopił drinka, wstał i zapiął marynarkę. Skinął mi głową na pożegnanie, po drodze rozliczył się z kelnerem i po prostu ruszył do wyjścia.

Patrzyłem za nim, autentycznie osłupiały. W pierwszej chwili myślałem, że to jakiś teatralny błąd, ale chyba jednak nie.

Aż mi się gorąco zrobiło: no co za typ! Przyłazi i z dupy chce prawie dwóch baniek za jakieś papiery, o których nawet nic nie powie.

Albo faktycznie mnie macał, sprawdzając, co wiem.

Nasłany przez Valentę? Ale przecież tamten już się zwinął z miasta, więc co go to obchodziło?

Ściągnąłem kurtkę, odłożyłem na oparcie fotela. Aż się spociłem przez tego durnia!

Wbiłem wiadomość do Daniłowa: „Jestem, czekam”.

Może chociaż ten okaże się rozsądniejszy, powie coś bardziej do rzeczy. W sumie to polubiłem gościa. Dziwaczny był, chimeryczny, ale miał swój styl. I to ciągle ubieranie się na niebiesko.

Wytarłem twarz dłonią. Co jest, klimę wyłączyli, że tak gorąco...?

Podniosłem się i ruszyłem w kierunku, gdzie wcześniej

widziałem znaczki toalet. Ochłapię się zimną wodą, to mi się lepiej zrobi na pewno. Nie wiem, duszno tu jakoś... Czułem, jak pot ścieka mi po plecach, serce waliło jak oszalałe.

Pić mi się też chciało.

Już w korytarzyku do toalety poczułem, że coś jest srogo, ale to srogo nie tak. Zaczynało kręcić mi się w głowie, w usta jakby ktoś nasypał suchego piachu. Wtoczyłem się przez drzwi, dopadłem do kranu, zacząłem jak kto głupi chleptać zimną wodę. Nabrałem jej w dłonie, chlapanąłem na twarz... Nie pomogło. Czułem się, jakby ktoś mi odpalił w brzuchu ładunek zapalający.

Niedobrze. Niedobrze. Nawet gorzej niż źle. Zawał mam czy co...?

Dosłownie trzymając się ściany, wróciłem do lobby, ale było słabo. Bardzo słabo. Miałem wrażenie, że serce ledwie daje radę przepychać krew przez żyły, głowa bolała mnie już tak, że myślałem, że zaraz pęknie.

Prawie potknąłem się o własne nogi, wybełkotałem przeprosiny, bo niemalże wpadłem na kogoś. Widziałem już siedzącego przy jednym ze stolików Daniłowa, więc postarałem się wyprostować i iść godnie.

– Witam towarzysza kapitana! – Głos dobiegł do mnie jak zza ściany. – Co dobrego?

– Melduję...

Nie zdołałem dokończyć, bo nogi ugięły się pode mną i poleciałem jak kłoda prosto na stół.

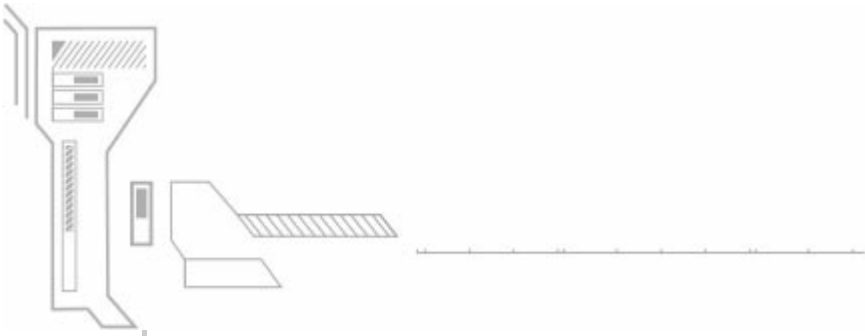
Brzęknęło szkło, trzasnął plastik.

Pode mną był miękki dywan. Nade mną ogromna, pusta przestrzeń sali barowej, w której unosiła się konstelacja punkcików żyrandola. Zamknąłem oczy, rozchyliłem – świat na chwilę przysłoniła mi twarz w błękitnych okularach.

Daniłow coś mówił, ale ja już go nie słyszałem.

Odpływałem coraz dalej i dalej.

Byli ludzie, głosy i światła. Ktoś wołał. Potem moje ciało zrobiło się dziwnie lekkie, owionął mnie wiatr... I wszystko zniknęło.



-
-
-
-
-



O budziłem się. Pozornie się wydaje, że człowiek wybudza się z niebytu stopniowo. Ze przyptywa i odpływa świadomość, świat faluje i tańczy.

Naprawdę to właśnie tak wygląda: otwierasz oczy i myślisz sobie: o, jestem.

Wspomnienia napływają dopiero potem, etapami.

Wokół mnie była poprzecinana kreskami światła gęsta ciemność. Pachniało czymś dziwnym, gryzącym w nos, nieznanym, ale miłym, jak zapomniane, trudne do określenia wrażenie z dzieciństwa. Była tam też nuta benzyny, smrodek spalin, charakterystyczny odór spalającego się węgla... Ale przede wszystkim pachniało czymś, czego nie czułem bardzo, bardzo dawno.

Drewnem i trawą. Wyschniętą łąką. Świeżością.

Było... tak, w głowie było o wiele więcej. Ale to tylko wspomnienia, kawałki tego, co było wcześniej.

Światła, ludzie z latarkami na głowach. Huk wbijający się przemocą w bębenki uszne. Wrażenie wznoszenia się i opadania, blask bijący w oczy. Kołyszące się nade mną plastikowe worki z płynami, połączone do mnie całym systemem rurek. Maszyny, monitory.

A potem znów nic. Tylko wiatr, szarpiący włosy i wpadający do ust przez rozchylone, suche i popękane wargi. Ciemne, granatowe niebo usiane jaskrawymi jak nigdy kropkami gwiazd.

Tu też byli ludzie, też były latarki, ale inne, mniejsze. I ludzie byli zupełnie inni, drobni. Nieśli mnie gdzieś, w jakieś małe, ciasne i duszne miejsce, gdzie dym aż zatykał dech w piersiach.

A potem był... ból. Ból całego ciała, niczym kwas akumulatorowy rozlewający się po żyłach, palący żywym ogniem każdy fragment

tkanki.

Pamiętam, że krzyczałem, rzucałem się, ale trzymali mnie mocno.

Gdzie ja w ogóle byłem?

Poruszyłem się, ale mięśnie odezwały się tak strasznym cierpieniem, że tylko zajęczałem przez zęby. Miałem wrażenie, jakby przebiegła po mnie drużyna specnazu.

Ograniczyłem się do poruszenia oczami, które też, swoją drogą, bolały.

To była jakaś szopa albo komórka. Sklecona z kawałków blachy falistej, płyt warstwowych i kompozytu, pokrytych plastikiem i folią. Światło dnia przebijało przez szczeliny w ścianach, w stożkach jaskrawego blasku wirował gęsty kurz.

Zdawało mi się, że słyszę głosy. Tak, ktoś tam rozmawiał, ktoś się śmiał... I był odgłos, wydawany przez jakieś zwierzę, którego nazwy nawet teraz nie pamiętałem. Tak robiła ta, no, e... koza? Owca? Albo krowa? Małe i białe takie w każdym razie.

Spróbowałem po raz drugi poruszyć ręką, z trudem zdołałem położyć ją sobie na twarzy i odgarnąć w tył wchodzące do oczu włosy.

Na lewym nadgarstku zauważyłem zabandażowaną ranę, jak po otwarciu żył. Na prawym tylko nacięcie, przez które widać było metal protezy. Co ja, próbę samobójczą miałem?

Rozważania przerwała mi kaskada blasku tak silnego, że aż zapiekło w oczy. Odruchowo zacisnąłem powieki, zauważyłem tylko, że ktoś stanął w otwartych drzwiach: ciemniejsza sylwetka na tle oślepiającej bieli.

Światło zgasło, drzwi się zamknęły. Nie słyszałem nawet kroków, jak gdyby nie było podłogi albo ten ktoś nie nosił butów. Albo miał bardzo, bardzo miękkie podeszwy. Z gatunku tych, jakich nie używa się w mieście.

Poczułem na czole dotyk dłoni, otwarłem oczy. Zielone i czerwone plamy i zygzyki, a pomiędzy nimi ledwie widoczna twarz. Wąskie, ciemne szparki oczu z wydatną bruzdą powiekową. Krótki, spłaszczony nos. Cała konstelacja zmarszczek... Kobieta musiała mieć z osiemdziesiąt lat. A może mniej? Nie miałem pojęcia, jak starzej się ludzie poza cywilizacją.

Błysnęła latarka, zaświeciła mi w twarz.

– Odpoczywaj – powiedziała kobieta głosem, który nawet poprzez dziwny akcent wydał mi się dziwnie znajomy.

Chciałem o coś zapytać, ale ona tylko potrząsnęła głową.

Zawieszona na opasce paciorki zadzwoniły, zaszeleściły o siebie, zafalowały – a ja poczułem, jak zapadam się w nicość.



Po raz kolejny pamiętam, że obudziłem się, kiedy ktoś karmił mnie kumysem.

O tak, kumys. Smak, którego nie da się zapomnieć: lekko musujące, sfermentowane, słone i kwaśne mleko. Tego po pierwszym spróbowaniu albo się nienawidzi, albo kocha ponad życie.

Ja akurat nienawidziłem.

Zajęczałem, obróciłem głowę w bok, usiłując wypluć to, co już miałem w ustach. Ktoś delikatnym, ale stanowczym ruchem przekręcił moją twarz we właściwą stronę, nacisnął palcami na policzki. Jak z karmieniem krnąbrnego dzieciaka: bez przemocy, ale i tak zrobisz to, co masz zrobić.

Wierzgnąłem, parsknąłem i znów pogrzeżyłem się w niepamięć.



Nie wiem, ile razy tak budziłem się i odpływałem. Gdzieś po drodze była chyba noc i zimny poranek, po którym obudziłem się pod stertą gryzących, szorstkich koców. Potem znów dzień i wieczór, bo zachodziło na czerwono słońce.

Aż w końcu, chyba jakoś rano, uświadomiłem sobie, że mogę poruszyć się, podnieść i nawet usiąść.

Wcześniej już zidentyfikowana szopa okazała się tak naprawdę malusienką, ciasną i duszną klitką – tak małą, że nawet stanąć bym w niej nie dał rady.

Okazało się, że jestem całkowicie nagi, ale znalazłem swoje ubrania, leżące na kupce w rogu. Powoli, kawałek po kawałku, robiąc przerwy dla odpoczynku, naciągnąłem gacie i spodnie, zdołałem wbić się w koszulkę. Nałożyłem na siebie całą resztę, a potem podczołgałem na czworaka do drzwi, dopiero tam stanąłem na nogi, garbiąc się i gnąc, jak paragraf.

Popchnąłem drzwiczki, schyliłem się w niskim przejściu i wyłoniłem, mrużąc oczy, w nieznaną rzeczywistość.

Słońce uderzyło mnie w twarz gorącym, ale nie aż tak lepkiem i piekącym, jak w mieście. Było ciepło, rześko, świeżo. Aż czułem, jak tlen drażni nienawykłe płuca.

Stałem... hm, jak by to opisać?

Najprościej będzie powiedzieć: stałem pośrodku czyjegoś podwórka.

Niskie, prymitywne budynki okalały nieforemnym czworokątem placyk wydeptanej, ubitej na twarde klepisko ziemi, na której bawiły się w kłębach kurzu umorusane, rozczochrane dzieci. Wokół stolika pod ścianą antycznej, drewnianej chatki siedziało kilkoro niskich, jak wyjętych z minionej epoki ludzi.

Niskich, o okrągłych, pełnych twarzach i wąskich półksiężycach skośnych oczu. Po prostu siedzieli sobie, gadali o czymś, gestykulując żywo i podając jedno drugiemu zapalonego papierosa.

Poruszyłem się. Jeden z dzieciaków pokazał na mnie plastikowym pistoletem i zawołał coś głośno. Reszta czeready wrzasnęła unisono, po czym, piszcząc i przepychając się, rzuciła w wąskie przejście pomiędzy garażem a wygódką.

Ludzie nawet nie spojrzeli w tę stronę, nadal zajęci rozmową. Powoli, na nogach jak z waty, ruszyłem ku nim.

W oknach antycznej drewnianej chatki stały rachityczne roślinki, koronkowe firanki odznaczały się lekko przyżółkniętą bielą za brudnymi szybami. Wybebeszony samochód, stojący na podeście remontowym, straszył zwisającymi przewodami i rozrzuconymi wszędzie dokoła trzewiami rur i filtrów.

Stały tutaj rzeczy, które do tej pory widywałem chyba tylko w filmach dokumentalnych. Czy to, o tam, to był traktor? Chyba tak... I nawet miał doczepione z tyłu te cośki do przegarniania ziemi. Zarówno chatka, jak i dwa z doklejonych do niej budyneczków miały własne kominy, pod ścianami stało pocięte i poukładane w równych rzędkach drewno.

Gdzie ja w ogóle byłem? I jak się tu znalazłem?!

Cofnąłem się w czasie, pomyślałem, albo w ogóle umarłem i trafiłem do jakiegoś czyścica przejściowego.

Może to jakiś konstrukt, uderzyła mnie kolejna myśl. Nie wiem, podali mi coś, porwali, i teraz siedziałem w stworzonej przez kogoś wirtualnej rzeczywistości. Słyszałem o takich rzeczach, że podpinali mózg delikwenta na krótko do maszyny i tam przesłuchiwali, karmiąc do woli bodźcami bólowymi bez konieczności kaleczenia ciała.

Nie, to było zbyt zaawansowane, nawet jak na wirtual. Ten

poziom szczegółowości, sensoryki... A poza tym nigdy w życiu nie byłem w takim miejscu!

Siedzący na rogu stolika mężczyzna w czapce stuknął siedzącą obok kobietę, powiedział coś po ichniemu i pokazał na mnie ręką. Umilkli, obrócili się ku mnie.

– Dzień dobry – odezwałem się, stając przy stoliku. – Ja... nie wiem, skąd się tu wziąłem. Nazywam się Aleksander, jestem z NeoSybirska.

Mężczyzna pokazał mi na plastikowy taboret u szczytu stołu, więc przycupnąłem na nim. Podali mi papierosa, dym uderzył w nozdrza... Zaciągnąłem się, bo co miałem zrobić? Rozkaszałem się od razu, oddałem z powrotem. Co oni, zwiniętą folię tam palili?!

– Ja... khem, khem, ehe... Możecie powiedzieć mi, gdzie jestem?

Sześć par oczu nadal patrzyło na mnie z uprzejmą obojętnością. Nie no, wehikuł czasu odpadał, bo jeden mężczyzna miał prymitywny wszczep zamiast lewego oka i kawałka twarzy, drugi – trzy mechaniczne palce u jednej ręki. No dobrze, ale w takim razie pozostawała kwestia geografii.

Chciałem coś powiedzieć, słowa uwięzły mi w gardle. Wstałem od stolika, patrząc w bok, wyszedłem za węgiel chatki, podszedłem do płotu.

Góry.

Ogromne, wyniosłe, czyste i majestatyczne. Bodące ostrymi, ośnieżonymi szczytami niebo tak błękitne, że aż oczy bolały od patrzenia na nie! Ani śladu szaroburej mgiełki smogu, idealne wybarwienie całego nieboskłonu.

I dopiero teraz zrozumiałem, zidentyfikowałem coś, co słyszałem już od jakiegoś czasu.

Cisza.

Panowała tu absolutna, idealna, piękna cisza. Nie było szumu samochodów, ciągłego warkotu silników, wycia syren, rwanego harmidru klaksonów, buczenia wentylatorów i dudnienia tramwajów. Nic – ale takie naturalne i kojące nic.

Potrząsnąłem głową, wróciłem do ludzi, którzy widząc mnie, znów urwali rozmowę.

– Gdzie jesteśmy? Gdzie?

Nic, zero reakcji. Jedna z kobiet uśmiechnęła się tylko.

– Rozumiecie w ogóle po rosyjsku? Ja... ja jestem z NeoSybirska. NeoSybirsk, duże miasto. Duże domy? – Pokazałem na chatkę, zrobiłem rękoma ruch w górę. – Duże! Duuuże, aż do nieba. Duże domy ze szkła. Ja: duże miasto ze szkła. Wy: gdzie? Gdzie?

– My tutejsi – odezwał się ten ze wszczepem oka.

Aż usiadłem z zaskoczenia. Siedząca obok kobieta od razu podała mi papierosa, ale odmówiłem gestem dłoni.

– No dobrze, ale gdzie... gdzie jesteśmy? I jak ja się tu w ogóle znalazłem?

Popatrzyli po sobie, jakby zastanawiali się, czy w ogóle i ile mogą mi powiedzieć.

– Przywieźli pana – rozległ się głos od strony chatki.

W drzwiach stała kobieta. Niemłoda, może pięćdziesięcioletnia... To jest niestara, chciałem powiedzieć! Sam już byłem bliżej tej granicy niż dalej. Podobnie jak i reszta, ciemnowłosa, o okrągłej twarzy i wąskich kreskach oczu. Ewidentnie ludność z gór Ałtaju, jakieś plemiona i powoli wymierające lokalne społeczności.

– Oni? – Podniosłem się.

– Ludzie mojego brata ciotecznego. On też był, kazał panu przekazać, że jak pan wydobrzeje, ma wracać do roboty. Inaczej to powiedział, ale taki był sens.

– Brata... ciotecznego... – powtórzyłem.

– Podobno pracujecie razem. Albo raczej pan dla niego.

Cesarz? Nie no, Cesarz był Kitajcem przecież, a ci ludzie to jacyś Ingusze albo inni Buriaci. Kogo jeszcze znałem, kto...

– Daniłow? – zapytałem.

– Wadim, tak.

– Daniłow jest pani bratem ciotecznym?!

Nawet zapomniałem zdziwić się, że Daniłow miał jakieś imię. W sumie zabrzmiało to chyba niegrzecznie, ale... kurde no! Tamten był multimilionerem, a ci żyli jak sto lat temu!

– Nasi rodzice byli rodzeństwem, więc tak się to nazywa. Altangerel Rinchinsengenovna Daniłowa. – Wyciągnęła do mnie rękę, podchodząc.

– Khudovec Aleksander Wasilicz – przedstawiłem się również z imienia i otczestwa. – Altangerel Richni... Rinchisigin... Rinnichisenege...

– Gerel wystarczy.

– Gerel, może mi pani wyjaśnić, co się stało? Bo mam w pamięci dziurę.

– Przywieźli pana śmigłowcem. Wadim, jego ludzie, kilku lekarzy.

– Śmigłowcem... – powtórzyłem.

– Tak, wylądowali na łące. Chce pan zobaczyć?

Kiwnąłem, nawet nie czując się na siłach, żeby kontestować przepływającą obok rzeczywistość. Przeszliśmy za szopę, Gerel

pokazała na wspinającą się ku wzgórzom, wypłowiałą od słońca połąć suchej trawy, na której przesuwały się szaro-białe kropki jakichś zwierząt stadnych.

– O tam, na tym kawałku usiedli. Zazwyczaj takim mniejszym przylatuje Wadim, ale tym razem musieli się zmieścić. No i wyciągnęli pana z tą całą aparaturą...

– Aparaturą?

– Był pan nieprzytomny. W zasadzie to umierający, z tego, co zrozumiałam. Nigdy nie widziałam tylu kroplówek naraz, swoją drogą. – Uśmiechnęła się. – No i nie wiedzieli, co panu jest.

– I...?

– I dlatego zabrali pana aż tutaj, do babki.

Babka. Daniłow coś wspominał o swojej babce. Że niby czarami się zajmuje?

– Babki... szamanki? – uściśliłem.

Gerel tylko skinęła głową.

– Dokładnie tak. Dwa dni z panem siedziała w komórce, okadzała, śpiewała. Wzywała duchy przodków, czerpała siłę z ziemi i nieba. Jak ręce, nie bolą?

– N-nie... – Obejrzałem zabandażowane nadgarstki.

– Babka dobrze sobie radzi z leczeniem, ale oczy już nie te, więc ja musiałam szyć. Potem trzeba zmienić opatrunki, bo i z higieną u niej... no, na poziomie tradycji. – Uśmiechnęła się przepaszająco.

– Ale żyje pan.

– Żyję. Chyba żyję, tak, chociaż boli mnie wszystko... Co się w ogóle stało, co mi było?

– Chce pan ją zapytać? Sama najlepiej wytłumaczy.

Wszedłem za nią do sieni, potem do kuchni po prawej. Pełno zakopconych garnków, słoiki z przetworami na ścianach, pod sufitem suszyły się pęczki jakichś ziół. Na stole leżały do połowy pocięte warzywa, jak gdyby zostawione w trakcie roboty... Dopiero teraz zorientowałem się, że Gerel przepasana była kraciastym, poplamionym fartuchem.

Ze stojącej w rogu, schowanej za przedpotopową lodówką wersalki, nakrytej jakąś niebywałą ilością koców i pledów, podniosła się i spojrzała na mnie babulina.

Była – no, była stara, to nie ulegało wątpliwości. Pomarszczona jak zbyt długo leżący na słońcu rodzynek, siwiusieńska... Uśmiechnęła się bezzębными ustami, pokazała na mnie palcem i zamemlała coś po swojemu.

– Babcia Yumsun mówi, że szybko pan wstał. Że silny w panu

duch.

– Ja... proszę podziękować babci za... cokolwiek dla mnie zrobiła.
– Skłoniłem się i położyłem dłoń na sercu. Od zawsze miałem wpojony zabobonny wręcz szacunek do starszych i po prostu nie umiałbym nie podziękować takiemu komuś, choćbym i nie miał za co. – Niech pani spyta, co mi było?

Przetłumaczyła, w odpowiedzi babcia wyrzuciła z siebie dość długi i głośny elaborat. Patrzyłem, jak macha rękoma nad głową, składa je w kształt zrywających się do lotu ptaków, drzew kołyszących się na wietrze. W końcu staruszka rozkasłała się, sięgnęła po stojącą na parapecie puszkę coca-coli.

– Babcia Yumsun mówi, że ktoś rzucił na pana klątwę.

– Tylko tyle?

– W zasadzie tak. Musiała wygnać z pana złego ducha, który zamieszkał we krwi.

– Aha. I co, wygnała, jak rozumiem?

Patrzyłem na tę staruszkę z powątpiewaniem. Nie wyglądała ani na kogoś szczególnie bystrego, ani na... No w ogóle nie wyglądała.

Dopiero teraz zauważyłem, że na lodówce wisi maska. Prymitywna, chamska wręcz, zrobiona z kawałka plastikowej płyty, a może beczki? Krzywo wycięte otwory na oczy, włosy z plastikowego sznurka. Pokryta namazanymi markerem, wydrapanymi czymś ostrym ni to wzorami, ni to rysunkami. Z dowieszonymi kawałkami metalu, zapewne brzęczącymi przy każdym ruchu.

Przełknąłem ślinę, przymknąłem oczy. Pamiętałem tę maskę. Pamiętałem, jak wypływałem z odmętów zapomnienia, a ona była nade mną, wypełniała cały świat. Rytmiczne, wznoszące się i opadające dudnienie bębna. Dzikie, nieartykułowane wrzaski i zawodzenia.

Aż dreszcz przebiegł mi po plecach. Nagle ta babcia nie wydawała się już tak śmiesznie bezradna i skurczona, słaba na swoim posłaniu.

Ona też zauważyła, że spojrzałem na nią inaczej, bo roześmiała się i pogroziła mi palcem.

– Wygnała klątwę z pana ciała, tak. – Gerel zdawała się zupełnie nie angażować w to, co tłumaczyła, jak gdyby sytuacja nie była dla niej niczym niecodziennym. – Mówi, że zła krew jest w słoiku.

W pierwszej chwili pomyślałem, że się przesłyszałem.

– Co?

– Zła krew jest w słoiku – cierpliwie powtórzyła kobieta.

Dopiero teraz zauważyłem, jak bardzo jest podobna do Daniłowa.

Babcia pokazała sękatym palcem na półkę. Podążyłem za jej wzrokiem: faktycznie, pośród zapeklowanych liści, korzeni i nie wiedzieć czego jeszcze stał tam jeden słoiczek, do połowy wypełniony czymś gęstym i czarno-czerwonym.

– Ach. No cóż. I co z nim zrobić dalej?

Potok moich słów przetworzonych na przedziwny język w głowie Gerel zaszumiał w jedną stronę, zaskrzeczał w drugą.

– Mówi, że to pana krew, więc pan ją zabierze ze sobą. W tej ziemi i tak drzemie już wystarczająco dużo zła.

Sięgnąłem na półkę, z mieszanymi uczuciami zdjąłem słoiczek. No fakt, to była krew, już częściowo ścięta.

– Mogę to wyrzucić? – zapytałem. – To znaczy nie w tej chwili, ale jak babcia nie będzie widzieć.

– Nie mam pojęcia. Na pana miejscu bym tego nie robiła, skoro babcia mówi, żeby wziął pan ze sobą.

Aha. No dobra, super po prostu.

– Dobrze. Proszę jeszcze raz podziękować ode mnie w takim razie. Jeśli mogę się jakoś odwdzięczyć, to też proszę mi podpowiedzieć, co i jak.

Gerel zapytała babcię, ta zaśmiała się, powiedziała coś po swojemu i wykręciła do mnie policzkiem.

– Babcia mówi, że może ją pan pocałować.

– ...co?

– Mówi, że od wielu, wielu dziesięcioleci nie pocałował jej taki wysoki, postawny i przystojny mężczyzna. Chyba pana polubiła.

Oparłem się o plecy kanapy, cmoknąłem babulę w policzek aż klasnęło. Ona zaśmiała się głośno, zmierzwiła mi włosy, jakbym był jednym z jej wnuków, i machnęła ręką: ajj ty, niegrzeczny ty!

– No dobrze, to... – Uśmiechnąłem się do babci, doskonale wiedząc, że nie rozumie nic z tego, co mówię. – To co dalej?

– Pewnie będzie chciał pan wrócić do siebie, do miasta.

– Tak, nie ukrywam, że... Ile byłem nieprzytomny?

– Cztery dni.

– Cztery dni?!

Wyszliśmy z chatki. Dzieci kotłowały się wokół stojącego przy szopie ciągnika, dorośli nadal rozmawiali o czymś przy swoim stoliku.

– Cztery dni, tak. Dziś wieczorem Lygcyk Ramdasanbunowicz będzie u nas swoim wozem, podwiezie pana.

– Dziękuję. Ja... naprawdę dziękuję. I jeśli mogę coś zrobić dla

babci albo dla pani, to proszę tylko powiedzieć.

Gerel wzięła się pod boki, pokręciła głową.

– Więcej niż Wadim, panie Aleksandrze? Czy myśli pan, że mieszkamy tak, bo nie moglibyśmy inaczej?

– Ja nie powiedziałem...

– Ale pomyślał pan, i to widać. Ja to widzę, widzi to babcia Yumsun. Widzą to też inni. Tylko panu wydaje się, że umie oszukiwać ludzi tak samo dobrze, jak w mieście. A co najważniejsze, że umie pan oszukiwać siebie samego.

– Daniłow pomaga wam zatem. A wy tej pomocy nie chcecie.

– Jego darem dla rodziny jest to, że możemy mieszkać tak, jak chcemy. On też mieszka tak, jak chce, i nikt nie ma mu za złe tego, że porzucił góry i naszą ziemię... Mimo że komuś innemu babcia nie pozwoliłaby przekroczyć progu.

– Babcia. No właśnie, Gerel: ile babcia ma lat?

– Sto dwadzieścia.

– Ile?!

– Sto dwadzieścia. Dokładnie tyle, ile bogowie przepisali człowiekowi jako okres jego życia.

– Piękny wiek, nie ma co... – Pokręciłem głową z uznaniem. W tych warunkach, bez dostępu do medycyny! – Czyli musiała urodzić się jeszcze przed...

– Proszę nie zawracać sobie głowy kalendarzem: babcia Yumsun ma sto dwadzieścia lat, odkąd ja sięgam pamięcią.

Pokiwałem tylko, nie mając siły kontestować otaczającej mnie rzeczywistości.

Posiedziałem u nich do wieczora, udając, że przysłuchuję się rozmowom.

Ktoś przyszedł, czegoś chciał, poszedłem razem z innymi mężczyznami ładować drewno na przyczepę. Potem zwieźliśmy je do szopy, pocięliśmy prymitywnymi, ręcznymi piłami.

Wszędzie wokół, jak okiem sięgnąć, były tylko ośnieżone szczyty i las, a pośród nich tkwiła ta osada: cztery obejścia na krzyż, jedna ręczna pompa, jeden słup generatora wiatrowego i kilka paneli solarów. Tyle. Większość drzew była martwa, tylko nieliczne wystawały zielonymi strzałami spomiędzy morza szaro-żółtych kikutów. Natomiast słyszałem kilka razy śpiew ptaków, raz w oddali przesunęła się sylwetka zwierzęcia: koń, krowa, jelen? Nie miałem bladego pojęcia, nie umiałem w przyrodę.

Tak – tutaj, daleko u stóp potężnego łańcucha gór Ałtaju, przyroda jeszcze się trzymała. Dziesięć, może dwadzieścia lat,

i resztkę lasu zniknie, a wraz z nią znikną zarówno ci, jak i wszyscy podobni im ludzie.

Minęło popołudnie i wieczór, a transportu nie było. Zaprosili mnie do wspólnej kolacji, zjedliśmy... no, trudno powiedzieć co. Chyba ryż, do tego kawałki mięsa i jakieś rośliny. Wszyscy, jak jeden mąż, żłopali coca-colę z puszek.

– Babcia bardzo ją lubi – wyjaśniła Gerel. – Więc któregoś razu Wadim nam przywiózł.

– Ile?

– Trudno powiedzieć, kontener stoi za domem.

Nadeszła noc. Ciemna choć oko wykol, majestatyczna, posepna i milcząca. Całe niebo usłane było gwiazdami i tylko daleko na północy punkciki bladły, odpychane przez bladawą lunę.

– NeoSybirsk? – zapytałem siedzącej na ławeczce obok Gerel.

– Dokładnie tak.

– Ten znajomy, ten od samochodu. Myślisz, że...

– Przyjedzie. Nie teraz, to za godzinę. Albo jutro. Ale przyjedzie.

Zacisnąłem zęby. Nie umiałem tak, nie potrafiłem! Czas to pieniądz, planowanie, gospodarka zasobami i masa innych rzeczy! Pracujemy na akord, śpimy na akord, nawet odpoczywamy na akord! Wszystko po to, żeby zarobić określoną ilość pieniędzy, które po przejściu na emeryturę pozwolą nam siedzieć na ławeczce, patrzeć na grzejące słońce i komentować pogodę.

Dokładnie na to, co ci ludzie i tak robili przez całe życie.

Sprawdzałem już kilka razy, ale jeszcze raz puknąłem zegarek: nic, cisza, wyszukiwanie sieci. Nie miałem zasięgu, nie miałem autokalendarza, nie miałem zegarka. Nie miałem nic poza sobą.

I czułem, że potrafiłbym do tego przywyknąć.

Daleko w oddali rozległ się warkot silnika, błysnęły potrójne światła reflektorów. Snop światła omiół kawałek lasu, zawinął i zaczął przesuwając się w bok, po zboczu.

Podniosłem się: zaraz tu będzie! Jednak Gerel pociągnęła mnie za rękaw.

– Proszę usiąść, jeszcze sporo.

– Ale jest blisko...

– W górach wszystko jest blisko, tylko tutaj czas mierzy się na dni, a nie kilometry. Proszę siadać.

Rzeczywiście, zanim maszyna dojechała do zabudowań, minęło jeszcze... no, sporo. Klekocząc tłumikiem, wyjąc na zbyt wysokich obrotach i piszcząc paskiem klinowym, wszechochód wtoczył się na podwórko. Kierowca, nie zwracając uwagi na ujadające i rzucające

się do kół psy, zakręcił zwinnie i zajechał pod sam ganek. Silnik zarzęził i zgasł z klangorem luźnych części, reflektory zgasły. Zrobiło się zupełnie ciemno.

Trzasnęły drzwi, z szoferki wyskoczył mężczyzna – podobnie wyglądający, podobnie ubrany, używający podobnie niezrozumiałego języka jak tubylcy. Wysokie gumofilce, wyświechtane spodnie, rozpięta szara kurtka, czapka z daszkiem... Gdyby nie zawieszony na szyi pęk kluczy, to mógłbym go pomylić z którymkolwiek z miejscowych.

Przywitaliśmy się, ja oczywiście nawet nie dałem rady wyłuskać jego imienia spośród innych dźwięków. Gerel wytłumaczyła mi, że Lygysk Ramdasancośtamowicz przywozi im czasami zapasy z sąsiedniego chutoru na handel, ale teraz muszą go nakarmić, nim ruszy dalej.

Nawet nie pytałem, co oznacza tutaj pojęcie „sąsiedni”.

Lygysk zjadł, pogadał o czymś z tutejszymi, poszedł na chwilę do babci. W końcu machnął na mnie ręką: ruszamy!

– Gerel, dziękuję. I proszę jeszcze raz podziękować babci. – Uśmiechnąłem się, trzymając w ręku słoiczek pełen własnej krwi.

– Każdy robi, co może i czego wymaga od niego sytuacja. Proszę tylko zrobić to samo dla Wadima, bo to w gruncie rzeczy porządny człowiek.

Babcia wyjrzała przez okno, zawołała coś po swojemu. Gerel pokiwała głową, spojrzała na mnie poważnie.

– Babcia mówi, że cola jest zdrowa. Dobrze robi na żołądek i że pan też ma ją pić.

– Ach. No cóż, dziękuję za dobrą radę.

Podąłem rękę każdemu z członków rodziny, domowników i rezydentów gospodarstwa, nawet dzieci przyszły się ze mną pożegnać. Babcia jeszcze pomachała... Wskoczyłem do szoferki od strony pasażera, maszyna zawarczała i ruszyła z miejsca.

Wszędochód kołysał na wybojach, mój kierowca, którego imienia oczywiście już zapomniałem, kręcił kierownicą w lewo i prawo, wybierając drogę na podstawie sobie tylko wiadomych przesłanek. Jechaliśmy zupełnie na przełaj, od czasu do czasu tylko w świetle reflektorów mignęła stara, zarośnięta chwastami koleina.

Wokół mieliśmy wyłącznie ciemność, z której czasami wyłaniały się i zaraz znikwały martwe drzewa, zbocza pagórków czy ciemne otchłanie dolinek. Czarne niebo rozciągało się ponad nami ogromną kopułą, na której mrugały obojętne gwiazdy.

Chyba nigdy w życiu nie czułem się jeszcze tak bardzo mały,

nieistotny i zagubiony. Nawet tam, w głębokiej Afryce, wszystko miało... no, jakąś orientację, kierunek. Były lokalne siły, byliśmy my, byli próbujący nas pozabijać bojownicy. Mieliśmy mapy, satelity i wszystko miało sens.

A tutaj? Po prostu jechałem nie wiedzieć skąd i nie wiedzieć dokąd z człowiekiem, który nawet nie mówił po rosyjsku.

Kierowca zapytał o coś bardzo grzecznie, ja niepewnie kiwnąłem: okej? Kliknął przełącznikiem, z głośniczków posypała się lawina dźwięków w przedziwnym języku do wtóru równie dziwnej, jękliwo-brzęczącej muzyki.

– Aaaal-suuu-geee-deee, czyyy-myy-dee-meeee – zaczął śpiewać tamten, wyraźnie ukontentowany. – Aaaa-suuu, aaaaal-suuuuuu, czyy-my-ree-myyy-aaaal-suuu....

Szoferka bardziej przypominała mały domek niż wnętrze samochodu. Wszędzie wisiały i leżały dywaniki, wmontowano tutaj mikrofalówkę i lodówkę, z tyłu widziałem półki z jedzeniem... Firaneczki z frędzelkami, kołyszące się proporczyki i obowiązkowe zdjęcie Prezydenta oprawione w udający złoto tandetny plastik.

Patrzyłem za okno, w przesuwającą się ciemność. Oczy zamykały się same, wóz kołysał mnie do snu, silnik mruczał słyszalną gdzieś na granicy pomiędzy snem a jawą kołysankę.

Nawet nie wiem, kiedy odpłynąłem.



Obudziło mnie szarpnięcie i gasnący silnik. Rozejrzałem się: co jest, co się stało...?

Skrzypnęły drzwi, poczułem podmuch chłodnego powietrza niosącego ze sobą zapach spalin. Kierowca zatrzymał wóz i wysiadł, przeciągnął się... No tak, przerwa dla pęcherza.

Wygramoliłem się, zeskoczyłem z drabinki. Zbliżał się już świt, wszystko wokół spowijała szarawa, mleczna mgielka. Było zimno! Nie to, że chłodno, ale wręcz lodowato, przejmująco do szpiku kości. Na trawie wisiała rosa, buty dosłownie po kilku krokach miałem już całe mokre.

A mimo to było pięknie. Tak cicho, spokojnie i pusto.

– Złóżmy hołd naturze. – Ziewnąłem, rozpinając rozporek.

Nigdy nie sikałem w tak epicko malowniczych okolicznościach.



Słońce nie zdążyło jeszcze podnieść się nazbyt wysoko ponad górami, kiedy dojechaliśmy do drogi.

Droga! Nie to, że asfalt, zwykła gruntówka i tyle. Ale w ogóle była to już cywilizacja!

Samochód od razu rozwinął lepszą prędkość, mój towarzysz też zaczął gadać do mnie coś po swojemu. Widać było, że lubi swoją dzicz, ale jednak tutaj się zupełnie inaczej jechało!



Przed południem dojechaliśmy do asfaltu.

Miałem ochotę normalnie wyskoczyć z szoferki i ucałować nawierzchnię szosy. Tak! Dojechaliśmy, udało się! To teraz do miasta będzie już niedaleko!

– NeoSybirsk, daleko? – zapytałem kierowcy.

– NeoSybirsk! – Machnął ręką w lewo. – NeoSybirsk!

– No tak, tak. To co, jedziemy?

Coś było nie tak. Wszędochód, owszem, dojechał do asfaltu, ale stanął, wychylając ponad czarną wstęgę drogi tylko czubek nosa. Jak pies podwórkowy, który podchodzi do otwartej bramy, do tej pory wyznaczającej granicę jego świata, i ostrożnie wygląda poza magiczną linię.

A kierowca patrzył na mnie wyczekująco i uśmiechał się przy tym dobrodusznie. Tak jakby wszystko było już jasne i ustalone, a on zrobił swoje.

– NeoSybirk tam? Jedziemy? – Pokazałem w lewo, na niego i na siebie, na pojazd.

Pokiwał głową, potem pokręcił: tak, zrozumiałem, ale nie. Zaćwierkał po swojemu, pokazał na mnie, na drogę, w kierunku, gdzie rzekomo było miasto. Na siebie, klepnął w kierownicę, zrobił gest wykręcania i pokazał ku górom.

Ach. No tak. Czyli Gerel, mówiąc, że Lygysk mnie podwiezie, miała na myśli właśnie to: kawałek mnie podwiezie.

Lygysk. Tak miał na imię. Na sam koniec sobie przypomniałem.

Podąłem mu rękę, z kwaśnym uśmiechem wygramoliłem się z szoferki. Lygysk pomachał mi przez szybę, wykręcił na asfalcie

i warcząc silnikiem, pojechał gruntówką z powrotem.

– Nooo dobra... – powiedziałem sam do siebie, jako że nikogo innego nie było widać. – Komu w drogę, temu czas. W tamtą stronę niby. Spoko.

Uszedłem może pięćdziesiąt kroków, kiedy rozległ się sygnał klaksonu i warkot silnika: wszędochód wyłonił się z gruntówki, wjechał na asfalt i ruszył za mną.

Ha! Czyli jednak nie taka była umowa! Przemyślał, złapały go wyrzuty sumienia i teraz po mnie wracał!

Stanąłem i poczekałem, aż zrówna się ze mną.

Zapisały hamulce, drzwi szoferki otworzyły się. Lygysyk uśmiechnął się szeroko i podał mi sześciopak coca-coli.



Szedłem sobie środkiem asfaltu, kopiąc przed sobą pustą puszkę po coli i zastanawiając nad sensem tego wszystkiego.

Uszedłem jakieś... no, jeśli mnie nogi nie myliły, to dobre cztery kilometry. Zaczynało robić się gorąco, mimo że słońce nie paliło tutaj aż tak, jak w mieście, a ja miałem tylko cztery puszki gazowanego, słodkiego napoju, który najchętniej popijałbym wodą.

No i słoiczek z własną krwią, ale to tak czysto informacyjnie.

Przez ostatnią godzinę, bo tyle pewnie już maszerowałem, nie minął mnie ani jeden samochód. Wiedziałem, że statystycznie, w końcu, jakiś musiał tędy jechać – ale nawet wtedy pozostawała kwestia kierunku. Owszem, dla mnie droga prowadziła tam, gdzie szedłem, ale ktoś mógł ją też jechać w drugą stronę.

Tak, nie miałem o czym myśleć. Zasięgu nadal nie było, pejzaż był przerażająco monotony: góry i martwe drzewa.

Do tej pory słyszało się tylko o tym, że katastrofa ekologiczna, że ocieplenie i w ogóle. No tak, niby zabrakło kilku ogniw łańcucha pokarmowego i całość zaczynała się sypać... Ale co to obchodzi człowieka w mieście, gdzie te ogniwa i tak nie występowały?

Dopiero tutaj dało się odczuć, jak dalece posunięty był rak, toczący tę krainę. Brak owadów, wybitych przez opryski z czasów mojej młodości, doprowadził do wyginięcia części roślin. Te z kolei pociągnęły za sobą niektóre krzewy, grzyby i mchy, potem poszły drzewa... Ptaki zdechły od chemii, większych zwierząt nie było już w ogóle.

Cisza, pustka, bezruch. Tylko wiatr od czasu do czasu świszczwał w огоłoconych z liści koronach drzew, stojących w pionie tylko dlatego, że nie zdążyły się przewrócić.

– Wszystko to bez sensu – warknąłem.

Siedzieliśmy tam, w NeoSybirsku, i udawaliśmy, że wszystko jest w porządku. Każdy zamknięty w bąblu własnych spraw, widzący tylko czubek własnego nosa. Niby wolni, mogący przemieszczać się jak chcemy i kiedy chcemy, z dostępem do radia, telewizji i wiedzy prawie-że-całego świata.

Jednak miałem teraz wrażenie, że w tamtych czterech gospodarstwach, przycupniętych na zapomnianym od Boga i ludzi końcu świata, mieszkało więcej ludzi naprawdę wolnych, niż widziałem przez całe wcześniejsze życie.

Przecież jak się nad tym zastanowić, to...

Ale myśl urwała się w połowie i uciekła, gdy za mną rozległ się potężny, donośny ryk klaksonu. Dźwięk uderzył mnie w potylicę, odbił się echem od stoków, potoczył po dolinie... Aż podskoczyłem, obejrzałem się: ciężarówka! Ogromna, osiemnastokołowa fura wytaczała się zza zakrętu.

Kierowca musiał mnie już dostrzec, ale i tak zacząłem krzyczeć, machać rękoma, jak rozbitek na bezludnej wyspie. On mignął jeszcze światłami, zaczął hamować, aż w końcu pneumatyka strzeliła powietrzem, wóz stanął.

– Dokąd to? – zawołał do mnie przez uchyloną szybę.

– NeoSybirsk! Albo gdziekolwiek, próbuję... próbuję do miasta wrócić!

– Wsiadaj!

Czym prędzej obiegłem ogromną, hurgoczącą na jałowym biegu ciężarówkę i wgramoliłem się do kabiny od strony pasażera.

– Dziękuję, dziękuję stokrotnie! – wyrzuciłem z siebie. Kierowca wyciągnął do mnie chromowaną rękę z czerwono-niebieskimi wykończeniami:

– Dimka!

– Sasza!

– Co ty tu robisz, człowieku? – Dimka położył dłoń na gnieździe kierownicy, skrzynia biegów zgrzytnęła, silnik zawarczał głośniej i ruszyliśmy. – Tutaj przecież nawet stacyjki dokowania nie ma!

– No, właśnie do domu próbuję wrócić! Tak się złożyło, że w jedną stronę miałem transport, a z powrotem mnie wysiudali.

Przecież nie powiem mu prawdy, nie? I tak by nie uwierzył. Sam bym sobie nie uwierzył.

– NeoSybirsk, mówisz. Daleko dla mnie i nie w tę stronkę, ale na bazce na pewno ktoś się trafi. Bo ja surowiec wiozę, widziałeś?

Widziałem. Pnie kilkusetletnich drzew, okorowane i pocięte w równe bale. I tak już były martwe, a przecież suchych nawet na deski nie potną, więc parę lat temu ktoś w rządzie wpadł na genialny pomysł: będziemy produkować żywność bio!

Z biodomieszką, to jest. I w ramach tego programu do każdego, nawet najbardziej syfnego plastikowego produktu przeróbki chemicznej, udającego jedzenie, dodawano od trzech do pięciu procent naturalnego, niemodyfikowanego materiału organicznego. Z naturalną celulozą i tkankami roślinnymi, korzystnie wpływającymi na trawienie i przemianę materii!

Owszem, było dokładnie tak: żarliśmy wszyscy trociny.

– Daleko w ogóle?

– Będzie ze sto dwadzieścia kilometrów...

– E, to nie tak źle.

– Do bazki. – Spojrzał na mnie z politowaniem. – A stamtąd jeszcze dobre pięćset do miasteczka.

Pięćset. No dobra, jakoś się przeżyje. Jak na nasze, syberyjskie miary, to wcale nie było daleko. Daleko to do Moskwy było, o! Albo do Jialininggele, albo na Korsykę. Ech, piękna Korsyka, słoneczne i radosne Calvi...

Westchnąłem sobie od serca, patrząc na przelatujące za oknami martwe drzewa i jałową ziemię. Dimka musiał odebrać to jako sygnał mojej desperacji, bo aż docisnął lekko gaz.

– No już, nie martw się. Raz-dwa przeskoczmy, ja tam popróbuje z chłopaczkami pogadać, żeby ktoś cię wziął i nie okradł po dróżce. Pieniążki masz?

– Y... mam? – zapytałem, odruchowo sięgając do kieszeni klimakurki po portfel. O dziwo, miałem. – Mam, tak.

– No to spokojna główka! U nas, w Federacji, za pieniądze wszystko kupisz!

– „Zdrowia wam dużo, szczęścia i wszelkich łask bożych, pieniędzy brak, ale wy się tu trzymajcie” – zacytowałem jeden z dyżurnych tekstów któregoś z minionych marionetkowych premierów kraju.

– O, to, to! Nie no, poczucie humoru jest, morale wysokie, to wszystko gra!

Wyciągnąłem z za pazuchy dwie puszki coli, podałem mu jedną. Przyjął z uznaniem, otworzył, stuknęliśmy się od razu... Potem on wyjął piersiówkę.

No co, miałem dobremu człowiekowi odmówić? Przecież się nie da. A to przecież nie picie, tylko sytuacja towarzyska.

Ale jak wrócę – tym razem praktycznie z za grobu – to biorę się za siebie na porządku.

Tym razem już na pewno.



Baza dla ciężarówek była dokładnie tym, czego można było się spodziewać – absurdalnie wielkim, wybetonowanym placem, zastawionym całymi rzędami dalekobieżnych potworów.

Stojące tu ciężarówki musiały przejeżdżać setki, a może i tysiące kilometrów, zwożąc z całego południa okręgu wyszabrowane przyrodzie zasoby naturalne: drewno, kamień, żywicę, resztki ziemi uprawnej... Odciąganą ze studni głębinowych czystą wodę i wyrywane z najgłębszych pokładów minerały.

Pośrodku tego wszystkiego, niczym gniazdo jakiejś matki roju – mimo że nigdy takowej nie widziałem, ale tak się przecież mówiło – tkwił piętrowy budynek punktu administracyjno-dyspozytorskiego, połączonego ze stacją paliw, przyłączem do ładowania akumulatorów, skupem dóbr wszelakich, motelem pracowniczym oraz obowiązkową stołówką i wyszynkiem oraz burdelem.

Zajechaliśmy tam dopiero pod wieczór, bo oczywiście okazało się, że droga jest na sporym odcinku zamknięta.

Erozja gleby pozbawionej naturalnego spoiwa z korzeni drzew i traw musiała doprowadzić do powstania jakiegoś ciekłu wodnego i spory fragment jezdnii po prostu zapadł się, osunął w dół zbocza. Dimka wylazł z szoferki, patrzył, mierzył i klął, ale w końcu jakoś wykręcił i pojechał objazdem... Liczącym, bagatela, kolejne dwieście kilometrów.

Kiedy wreszcie weszliśmy do zadymionego, obskurnego baru, prosto w dudniącą tandetną muzykę i walące po oczach światła, poczułem się, jakbym wchodził na galę na samym Kremlu. Co za przepych, co za luksus, komfort i oszałamiająca wygoda!

Zamówiliśmy po byle czym do jedzenia, ja przemocą powstrzymałem się przed wzięciem kieliszka wódki.

– Bezalkoholowe – wyrzuciłem z siebie jakże obco brzmiący zlepek dźwięków.

Kilku siedzących przy stolikach brodatych, ponurych typów

spojrzało na mnie niechętnie, jeden nachylił się do drugiego i warknął coś, patrząc nieprzyjaźnie. Siedzący najbliżej przy kontuarze ostentacyjnie przesiadł się dwa miejsca dalej.

– No, Sasza, to teraz zjemy kolacyjkę, a potem poszukamy ci podwózczeni dalej!

Dimka zdawał się być w swoim żywiole. Znał tutaj połowę ludzi, druga połowa znała jego znajomych i w ogóle widać było, że to zamknięte środowisko.

Nieco raziło tylko nagminne używanie przez tych wielkich, zarośniętych, surowych mężczyzn form zdrobniałych: dróżka, samochodzik, lasek, objeżdżik, mostek... Można było odnieść wrażenie, że im ktoś bardziej spedałał język, tym większą cieszył się estymą wśród kolegów.

Wiedziony nagłym przeczuciem, sięgnąłem do nadgarstka, aktywowałem zegarek: tak! Tak, miałem zasięg, była sieć!

Mina mi zrzedła, kiedy zobaczyłem spływające powiadomienia: wiadomości, poczta głosowa, nieodebrane połączenia... O mamusiu. No tak, byłem poza siecią od prawie tygodnia, a życie biegło naprzód.

Zacząłem powoli, mozolnie przekopywać się przez zaległości zawodowe, towarzyskie i polityczne.

Cesarz pisał, że kolejni z naszych byli wyłapywani przez milicję. Ktoś ewidentnie musiał puścić farbę, bo psiarnia wchodziła na rympał do domów, pod konkretne adresy.

Kulas: „Halo, ziomek, zapomniałeś o mnie czy twoja nowa dupa cię połknęła?”

Kojot słał do mnie wiadomość za wiadomością: „Druhu, co jest, gdzieś ty zniknął?!”

Olga: „Sasza, co jest, bo przepadłeś, martwię się. Daj znak życia”.

Kolejni nasi zgarnięci na dołek.

Kulas: „Sasza, wal się, idę spać”.

Mykoła: „Panie Aleksandrze, czekałem na Pana. Rozumiem, że zatrzymały Pana ważne sprawy, proszę się nie przejmować, ja nie popędzam, bynajmniej...”. Uśmiechnąłem się do własnych myśli: przynajmniej jeden, który potrafił skomponować wiadomość zgodnie z regułami współistnienia społecznego.

Cesarz: „Był nalot na Świątynię”.

Kojot: „Co się dzieje, Sasza?!”.

Kulas: „Żyjesz w ogóle? Dzwoniłem, nie odbierasz. Jest trochę nowych info”.

Olga: „Sasza, podobno miałeś jakiś wypadek, zgarnęli cię do

szpitala. Kurwa, kurwa, kurwa mać! Nie jestem w stanie cię zlokalizować, jakbyś pod ziemię się zapadł. Mam nadzieję, że żyjesz. Serio. Bardzo”.

Kulas: „Chudy, zniknąłeś z sieci, wcześniej wyhaczyłem cię w rejestrze szpitali. Od kiedy masz ubezpieczenie w pakiecie platinum?”.

Kojot: kolejne dwanaście nieodebranych połączeń...
...i tak w kółko.

Nagle zrobiło mi się gorąco: nie było mnie w domu już tyle dni, a Kusto został sam. W tej jednej, absurdalnej chwili, po tym, jak otarłem się o śmierć i zostawiłem tysiąc do połowy rozbabranych spraw, najbardziej przeraziło mnie właśnie to, że zostawiłem tego spasionego kundla samego w domu na tyle dni.

Przeżyje? Powinien przeżyć, ma z czego czerpać energię. Nie było gorąco, może się nie odvodni. Może. Miałem nadzieję.

– No i mamy dla ciebie transporcik! – Dimka klepnął mnie w ramię tak, że aż wypuściłem z ręki aluminiowy widelec. – Sierioża jedzie do NeoSybirsk akurat, może cię zabrać!

Sierioża był przeciwieństwem mojego dotychczasowego kierowcy: wielki, ponury, smagły i brodaty, z owłosionymi łapami i w tej takiej śmiesznej czapeczce, w jakiej widuje się czasem muzulmanów z mniejszości. Wyglądał raczej na zamachowca samobójcę niż tirowca, no ale darowanemu nie zagłada się w zęby.

Zapłaciłem za swoją oraz ich kolację i lokum, zostawiłem jeszcze Dmitrijowi niewielką linię kredytową na przyszłość. No, tyle mogłem zrobić, skoro czip znów zaczął działać, nie? Pożegnaliśmy się, przesiadłem się do nowego wozu i ruszyliśmy.

Sierioża nie odezwał się do mnie ani słowem. Autentycznie. Przez całe pół tysiąca kilometrów milczał jak zaklęty, wpatrując się złym, nienawistnym wzrokiem w drogę przed nami. Ja też milczałem, bo i o czym gadać?

Daleko przed nami, na północy, przelewała się błękitną poświatą zorza ponad wciąż odległym, a jednak z każdą chwilą coraz bliższym, śpiącym NeoSybirskiem.

Główną atrakcją wycieczki była przerwa etniczno-duchowa. Kiedy słońce wychynęło zza horyzontu, Sierioża zahamował gwałtownie i zgasił silnik. Wyszarpnął spod swojego fotela zwinięty w rulon dywanik, wyskoczył z szoferki. Zatrzasnął z hukiem drzwi.

W pierwszej chwili myślałem, że coś się zepsuło, a on zaraz położy się na tym pledzie i wsunie pod samochód...

Ale on zamiast tego rozesłał sobie dywanik na asfalcie, uklęknął

twarzą ku wschodowi i zaczął się modlić.

Obserwowałem go z kabiny, jak schyla się raz po raz i dotyka czołem ziemi, wypinając przy tym w moją stronę wielki, ledwo mieszczący się w spodniach tyłek.

Nie do końca wiedziałem, co powinienem zrobić... No co, wyskoczyć i zacząć go małpować? To pewnie obraza religijna, łeb mi ukręci ani chybi. Siedzieć tak z nogami na desce rozdzielczej i gapić się na niego? To z kolei otwarte lekceważenie.

W końcu zdecydowałem się na wariant zachowawczy – zdjęłem brudne gicze z szyby i siedziałem tak, twardo czekając, aż skończy. Wrócił tak samo zły, jak wyszedł, bez słowa huknął drzwiami i włączył silnik.

No cóż, w końcu religia miłości.



Aż sobie odetchnąłem z ulgą, kiedy na horyzoncie wreszcie pokazały się spowite burym obłokiem smogu wieżowce NeoSybirska.

Dom! Paskudny, brudny, zatłoczony, nie do życia, agresywny i prymitywny, roszczeniowy, zaborczy i drapieżny, niebiorący pod uwagę holistycznej równowagi środowiska naturalnego... Natomiast dom, i to w dodatku mój.

Ciekawe, ile mi umknęło? Na pewno wybory, to już widziałem w doniesieniach medialnych, które z nudów przeglądałem sobie na zegarku. Okazało się, że gubernator Akimov jednak przegrał, i teraz zamiast niego miał być jakiś Zelencev, o którym nigdy wcześniej nie słyszałem. Jeden aparatczyk na miejsce drugiego – dla mnie nic to raczej nie zmieni.

Sierioża bezceremonialnie wysadził mnie przy obwodnicy. To jest sam się wysadziłem, bo on po prostu zjechał na przystanek i zatrzymał się. Nawet nie spojrzał, nie pożegnał się, nie rzucił ani słowem, nic.

No cóż. Wysiadłem i zatrzasnąłem drzwi, a on ruszył, zostawiając mnie w czarnej chmurze spalin.

– Cholerny świat... – warknąłem, próbując podpiąć się do usług miejskiej sieci.

Nie było mnie kilka dni, potem wypłynąłem paręset kilometrów stąd, znów zniknąłem i teraz pojawiłem się. Nie dziwota, że system

mnie wylogował i teraz pytał, czy to aby na pewno ja się próbuję znów dostać do Strumienia. Znów te hasła, których nigdy się nie pamięta, durne zabezpieczenia, odczyty siatkówki i inne bzdury.

Wreszcie piknęło: witamy! Czym prędzej zamówiłem taksówkę w pierwszej z brzegu korporacji, mimo że jak mi wyświetliło cenę dojazdu, to aż się pode mną nogi ugięły: ładnie, nie ma co! Taniej by wyszło coś wypożyczyć na cały dzień...

Ale co z tego, skoro wypożyczalni nigdzie w okolicy nie było? Tylko beton estakad, rozjazdy i ślimaki autostrady, huk walących obwodnicą samochodów i ten samotny, nikomu niepotrzebny przystanek z rozkładem sprzed półtora roku.

Przemyślałem sprawę, zmieniłem destynację: nie mój dom, a hotel, pod którym został mercedes. Oczywiście poprzedni kurs musiałem anulować, ale i tak mi za niego policzyli, zaś kolejny kosztował jeszcze więcej.

Witamy w domu, pieniądze na stół i ręce do góry.



Kiedy wreszcie dotarłem do mieszkania, nie miałem siły już na nic. Byłem zmęczony, brudny, niewyspany, głodny, chciało mi się lać...

Ale Kusto przeżył!

Przeżył, bo dorwał się do szafki, w której trzymałem worek z jego karmą. Oczywiście podrapał pazurami całe drzwiczki, niemalże wygryzł w nich dziurę, sam worek wywlókł na środek kuchni, rozerwał na strzępy, granulat rozsypał dosłownie wszędzie, po całej podłodze... Ale dał sobie radę!

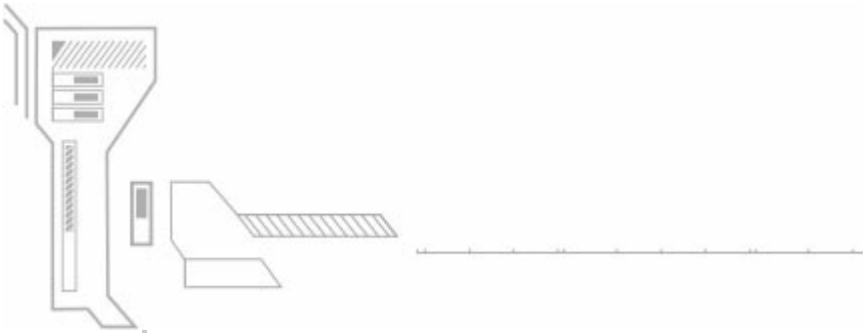
Wedle wszelkich znaków na ścianach i podłodze popijał suche wodą z ciekącego kibla, co ostatecznie utwierdziło mnie w przekonaniu, że słusznie zrobiłem, tak długo ociągając się z naprawą spłuczki.

Ucieszył się jak głupi, ja też ucieszyłem się jak głupi, a potem zacząłem na niego wrzeszczeć.

Schował się pod łóżko, ledwie go ugadałem, żeby wylazł, wziąłem na smycz i zaprowadziłem do sąsiadki.

Sam wyciągnąłem z szafy wiadro ze szmatami, szczotkę i szufelkę, po czym zabrałem się za sprzątanie nie tylko tego, czego zjeść nie dał rady, ale przede wszystkim tego, co dał radę zjeść, przetrawić i wydalić... Konsekwentnie zmieniając przy tym miejsce.

W zasadzie lepiej od szufelki sprawdziłaby się łopata.
To miało być długie, bardzo długie popołudnie.



...przemówieniu gubernatora elekta Zelenceva. Powiązany z lokalnymi kręgami przemysłowymi, może on stać się...
Nadal nie wiadomo, kto był zleceniodawcą wykonania nagrań. Nie chce się wierzyć, że sam Valenta miałby być na tyle...
...paradę z okazji Dnia Młodego Żołnierza. Młodzież tłumnie wzięła udział w obchodach, uświetnionych obecnością dowódcy pułku...



Sasha. Gdzieś ty był? Nie przyszło ci do głowy, żeby chociaż napisać? Powinieneś się wstydzić.

Westchnąłem ciężko, rozłożyłem ręce.

No co miałem Oldze powiedzieć? Przecież że nie prawdę. Sam zresztą nie wiedziałem, jaka ta prawda miałaby być!

Tak, tak: do niej napisałem jako pierwszej, do niej pierwszej zadzwoniłem. Z nią pierwszą umówiłem się na wczesny obiad – „lunch”, jak to sama określiła – kolejnego dnia.

Knajpa, której adres mi podała, była na tyle wykwiniona, że aż głupio mi było zaparkować pod nią merca. Wysoka moda, haute couture, wysokie obcasy, wysokie ceny, wysoko zadarte nosy obsługi. W pierwszej chwili kelner zaczął mnie grzecznie przekonywać, żebym poszedł gdzie indziej, ale potem zreflektował się: ach tak, pan Khudovec, rzeczywiście. Panna Geresowna już czeka.

– To było... no, nieoczekiwane. – Uśmiechnąłem się nieprzekonująco. – Jak to tego typu rzeczy.

– No dobrze, ale co ci było?! To coś poważnego?

Przed oczami stanął mi słoiček, wstawiony na półkę lodówki.

– Trudno powiedzieć. Taka przypadłość nieokreślona. Pewnie coś związanego z przegrzaniem i odwodnieniem.

Odwodnienie organizmu, tak głosiły wszelkie diagnozy, do jakich dostałem się w centralnym rejestrze medycznym jeszcze wczoraj wieczorem.

Gdyby nie Daniłow, byłoby po mnie. To on wezwał po mnie obsługę najlepszego prywatnego szpitala, która zdesantowała się śmigłowcem dosłownie dziesięć minut później. Podłączyli mnie pod aparaturę, wpięli wenflon, zaczęli tłoczyć wodę i dopiero potem powieźli na diagnostykę.

Oczywiście wszystko na jego koszt.

Miałem prawie czterdzieści stopni gorączki, pociłem się jak świnia. Pompowali we mnie średnio dwa litry roztworu fizjologicznego na godzinę... przez pięć godzin. Cały ten czas nie mogąc ustalić przyczyny.

Tak, brzmiało znajomo. Dla Daniłowa też, i stąd jego decyzja, żeby powierzyć mnie babce szamance. Reszta była, jak to mawiał poeta, milczeniem.

– Odwodnieniem? – zdumiała się Olga.

– No, z grubsza tak.

– Sasza, ale wiesz, że ja się znam na medycynie? Tak tyci-tyci się znam. Może dasz mi spojrzeć na wyniki i ja wtedy...

– Nie, nie ma potrzeby. Serio. Za dużo pracowałem, musiałem się zbyt szybko spać na ostatnim spotkaniu.

– A z kim się spotykałeś?

– Z... – zawahałem się.

No tak. Przecież to nie było tak, że spotkanie było przypadkowe, prawda? Byłem niemalże pewien, że tamten pajac mnie zwyczajnie, ordynarnie otruł. Był przecież ten znamieny moment, kiedy wziął od kelnera tacę z napojami! I dopóki nie zacząłem pić, to podawał nowe kawałki układanki, żeby mnie zachęcić.

Nawet pistacje wziął słone, żebym na pewno pił. Ot, bydlak!

A jak tylko zacząłem pić, stracił zainteresowanie i już tylko powtarzał te same brednie. Brał mnie na przeczekanie. Dmitrijew, tak? Ze spółki SilverTech.

Oczywiście pozostawało pytanie, czy nasz delikwent jeszcze żyje, ale to zamierzałem sprawdzić w następnej kolejności.

– No więc? – ponagliła mnie.

– Z... klientem jednym. – Machnąłem ręką. – Nikim aż tak ważnym.

– I spałeś się, bo nie był ważny? Kręcisz coś, Sasza.

– Nie kręcę...

– A dlaczego masz zabandażowany nadgarstek? To wygląda jak cięcie po żyłach! Sasza...?

Westchnąłem znów, patrząc w te jej piękne, błękitne oczy. Ech... Nie umiałem jej skłamać w twarz.

– Zamówimy coś? – zaproponowałem niemalże błagalnym tonem.

O dziwo, odpuściła. Tak po prostu, na miękko, bez cienia urazy – a ja tylko i wyłącznie po raz kolejny poczułem dziwne drgnięcie w miejscu, gdzie kiedyś miałem jakieś uczucia do kogokolwiek, poza moim Sańką i Kusto.

Zamówiliśmy, zaczęliśmy jeść. Ona opowiadała mi znów o swoich pigułkach, potem zeszło na motocykle i samochody... Koniecznie chciała wyciągnąć mnie na wspólną jazdę. No fakt, miałem tamten ukradziony nie wiedzieć komu ścigacz, nawet patrzyłem w Strumieniu na kombinezony – ale trochę nie do tego w tej chwili mi było.

– Pójdź w takim razie ze mną do klubu – rzuciła pomysł.

No dobra, do trzech razy sztuka. Klient nie, jazda nie, to teraz musiałem już się zgodzić.

– Kiedy, dokąd?

– Pójdiesz? Naprawdę?! Ojej, hiii, jak fajnie! – zapiszczała, aż przebierając nogami z radości. – Dziś wieczorem! W naszym Area51 grają Vlad&Mir, znasz ich, prawda?

– N-nie. Ale poznam.

– Koniecznie! To najlepsi DJ-e w całym okręgu, a może i w Federacji! Nie no, to ja muszę cię trochę podszkolić w dobrej muzyce, staruszkule! Czego ty w ogóle słuchasz?

– Radia – skłamałem, ale zaraz poprawiłem się: – Nie no, mam kilka ulubionych... e... rytmów. Głównie basowych.

Olga skrzywiła się paskudnie.

– Popsa. Słuchasz jakiegoś chamskiego, ruskiego disco, zgadza się?

– Wcale nie, to...

– Wymień jeden tytuł utworu. Nie wykonawcy, nie składanki. Utworu.

Podniosłem rękę na znak kapitulacji, a ona tylko pokiwała głową jak diagnozujący pacjenta lekarz.

– No już, nie pluj w twarz leżącemu – poprosiłem.

– Nie pluje. No, chyba że sam poprosisz. Dziś o dziewiątej wieczorem, Area51. Możesz założyć te swoje džinsy i białą koszulę, to jest takie fajne retro.

Uśmiechnąłem się i od razu uniosłem szklankę z sokiem pomidorowym, nie będąc pewnym, jak długo dam radę maskować bolesny grymas.



Kiedy zajechałem pod opuszczoną fabrykę Mykoły, przywitała mnie cisza. Taka napięta, nieprzyjemna cisza.

Jeszcze ruszając z NeoSybirska napisałem mu, że przyjadę: odczytał, ale nie odpowiedział. No dobrze, pomyślałem sobie, w końcu nawet on nie zawsze musi reagować jak maszyna.

Ale teraz, idąc ku milczącym ruinom, zacząłem mieć coraz gorsze przeczucia.

– Mykoła! – zawołałem głośno.

Cisza, tylko echo odezwało się pomiędzy pustymi budynkami. Sięgnąłem za pazuchę, powoli wyjąłem z kabury pistolet. Nie podobało mi się to, oj, nie podobało... Ani Mykoły, ani jego Psa? To byłby pierwszy raz, kiedy żaden z nich nie wyszedł na przywitanie!

Kiedy wszedłem do hali produkcyjnej, zrozumiałem: nie ma ich tutaj.

Aparatura w większości zniknęła, a to, co zostało, leżało na podłodze w kawałkach. Metodycznie, konsekwentnie, precyzyjnie potłuczone, porozbijane i połamane na drobne kawałeczki, potem polane benzyną i podpalone. Wszędzie poniewierały się kawałki zwęglonych kartek. W powietrzu unosił się zapach rozpuszczalników i odkażaczy... Wszystkie regały, stołki, półki i okna były wytarte i umyte do czysta.

Nie było szklanek, czajnika ani posłania dla Psa. Mykoła zwinął swój warsztat, zatarł ślady i wyniósł się.

Na podwóreczku z tyłu pojawiły się jeszcze dwa świeże kopczyki ziemi. Takie same jak poprzednie, wręcz identyczne – więc nie, nie były to płytkie groby mojego dostawcy i jego pupila.

Przyszli po niego drugi raz. On przekalkulował ryzyko: prędzej czy później go dojadą, a ja najwyraźniej go porzuciłem. Posprzątał i zniknął.

– Szlag...! – krzyknąłem, z pasją uderzając dłonią o udo.

Spóźniłem się. Skrewiłem. Może gdybym posłuchał rozumu, a nie serca, to...

Ło-ho-ho.

Jakiego znowu serca? – zapytałem sam siebie. Powoli, spokojnie, towarzyszu kapitanie. Owszem, spotkałem się najpierw z Olgą, bo – no, była miła, i to tyle. A mnie dobrze spędzało się z nią czas. Ale nie spieszmy się z wyciąganiem pochopnych wniosków.

Obszedłem fabrykę dookoła, ale moje podejrzania tylko się potwierdziły: nie było ich nigdzie.

Kiedy wróciłem do samochodu, stali tam obydwaj: Mykoła i jego Pies.

– Dzień dobry, panie Aleksandrze – odezwał się ten pierwszy jak gdyby nigdy nic.

– Mykoła! Co się stało?! Już myślałem, że zniknąłeś! Wszedłem tam i...

Zająknąłem się, urwałem. Obok bagażnika mercedesa leżało też kilkanaście mniejszych i większych skrzynek oraz pół tuzina równo zwiniętych, okręconych czarną folią pakunków.

– Och, panie Aleksandrze, zdenerwował się pan. Niepotrzebnie, jakkolwiek bardzo to miłe – uśmiechnął się Mykoła. – Świadczy to o pewnym przywiązaniu emocjonalnym, sięgającym być może nieco głębiej niż zwykła zależność biznesowa.

Podszedłem bliżej i odruchowo uściśnąłem wyciągniętą rękę, nie mogąc oderwać wzroku od popakowanych manatków. Bo to było właśnie to: spakowany dobytek życia Mykoły oraz posłanie i stacja dokowania Psa.

Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu nie miałem nawet cienia wątpliwości, że wszystkie pakunki razem wzięte będą zajmowały objętość, plus minus pięć procent, trzystu pięćdziesięciu litrów.

Dokładnie tyle, aby zmieścić się do mojego bagażnika, a Psa wsadzić na tylną kanapę.

Potworne podejrzenie zakiełkowało mi z tyłu głowy.

– Mykoła... – Przełknąłem ślinę. – Bardzo się cieszę, że nic ci nie jest.

– Przyszli po mnie. Znowu.

Dałbym sobie głowę uciąć, że w jego lekko metalicznym głosie zabrzmiała nuta dumy.

– Tak, widziałem. Ale co ma znaczyć... to?

Obiema rękami pokazałem na bagaże, ewidentnie przygotowane do załadowania w mój samochód.

– Nie lubię dużych miast, panie Aleksandrze. Sądzę, że wręcz nie powinienem się w nich pokazywać. – Mykoła spuścił głowę. – Tyle tylko, że w obecnych okolicznościach nie mamy wyboru.

– My?

– Tak, panie Aleksandrze. Obawiam się, że przez jakiś czas będę zmuszony skorzystać z pańskiej gościnności.

Aż mi szczeka opadła.



Wracałem do miasta, mając wrażenie, że to ktoś inny siedzi za kierownicą.

Mykoła nie odzywał się na szczęście ani słowem. Siedział spokojnie obok, przypięty, i gapił się w okno, zapamiętując i chłonąc widoki. Pies zwinął pod siebie odnóża i leżał grzecznie na podłodze za jego fotelem.

A ja myślałem. Myślałem tak intensywnie, że aż mnie głowa bolała.

Z jednej strony, strata laboratorium stanowiła przejściową niedogodność. Jeśli u Cesarza było aż tak krucho, to i tak nie byłoby komu mojej syntadrenaliny rozprowadzać po rynku.

Z drugiej, wszystko wokół zmieniał się jak w kalejdoskopie, a ja chyba nie byłem fanem aż tak dalece posuniętych zmian.

Co ja z nim zrobię?!

Otworzyłem schowek, wygrzebałem jakieś stare okulary i czapkę z daszkiem.

– Masz, załóż to. I nie waż się zdejmować! – zastrzegłem.

Posłusznie naciągnął czapkę, wsunął na nos okulary. W swoich wyświechtanych, materiałowych spodniach, nieodłącznym wełnianym sweterku w serek i długim, burym prochowcu wyglądał teraz jak rasowy ekshibicjonista... Albo typ czekający pod podstawówką na przerwę obiadową z karabinem szturmowym za pazuchą.

Wyglądał jak cieć i tylko to się liczyło – szanse na to, że zainteresuje się nim ktokolwiek, drastycznie zmaleły.

– Pojedziemy do mnie – powiedziałem w końcu.

– Tak.

– Dam wam tam jeden pokój.

– Tak. – Mykoła zachowywał się, jak gdybym tylko odhaczał poszczególne kratki przy liście rzeczy w jego głowie.

– Potem zawiozę cię do Kulasa. Człowieka posiadającego dane wsadowe, o których ci mówiłem.

– Pamiętam, panie Aleksandrze.

– A potem...

Zawahałem się, urwałem. Sam nie wiedziałem, co „potem”. W zasadzie to byłem obecnie w oku cyklonu nieogarnięcia i desperacko próbowałem poskładać do kupy jakąkolwiek spójną wersję wydarzeń.

– Potem się zobaczy – zdecydowałem.

Zajechaliśmy pod samą klatkę, dociążony merc zazgrzytał podwoziami o krawężnik, ledwie zdołałem wtoczyć się na swoje miejsce... Wysiadłem jako pierwszy i ruszyłem ku i tak już zainteresowanym dyżurnym ciućmokom na ławeczce, żeby od razu

ściągnąć na siebie całą uwagę.

– O, pan kapitan! No tak coś słyszeliśmy, że pan już z wakacji wrócił! – ucieszył się Wania.

– DOBRA RZECZ TAKI ODPOCZYNEK, KURWA, JA TO JUŻ Z PIĘĆ LAT NIGDZIE NIE BYŁEM, O, ALE JA TOBYM SE GDZIEŚ WYJECHAŁ!

– wydarł się ten chudy. – A TYLKO W TYM SMRODZIE TRZEBA SIEDZIEĆ!

Kątem oka widziałem, jak Mykoła wyjmuje z za fotela złożonego w prawie że foremną kostkę Psa i zaczyna nieść ku wejściu do bloku. Nawet nie miałem siły zastanawiać się, ile waży stalowy korpus technoowczarka i jak on to w ogóle robi.

Przysunąłem się do chłopaków bliżej, sięgnąłem za pazuchę, jak gdyby szykując się do wyjęcia portfela. Cztery pary lekko przepitych oczu zabłysnęły radośnie, z wyczekiwaniem śledząc każdy mój ruch.

– No cześć, dzień dobry, panowie.

Jak tylko Mykoła minął mnie i wszedł do klatki, wyjąłem pustą dłoń i zapiąłem suwak, żeby nie wypuszczać tłoczonego przez nawiewy chłodnego powietrza. Widziałem, jak rysujące się już radosne uśmiechy tamtych nagle wyginają się podkówkami w dół.

– Co nowego?

– Pan kapitan się przeprowadza? To my pomożemy!

– Nie, takie tylko...

A potem zastanowiłem się: co ja będę sam to dymał? Mykoła niech siedzi w domu. Ja przecież sam nie dam rady. To znaczy dam! Ale to nie moje i jakoś tak, no.

Chyba pora zacząć kaskadować zadania do wykonania.

– Poczekajcie na mnie chwilę, zaraz wam powiem, co i jak! – zastrzegłem, piknąłem pilotem do alarmu i popędziłem za Mykołą.

Czekał już pod drzwiami, nadal trzymając uspionego Psa jak wielkie, nieporęczne, żelazne pudło. Nawet się chyba nie zmęczył, co wyłącznie potwierdzało moje podejrzenia: jego człowieczeństwo było rzeczą zarazem nabytą, jak i zbywalną.

Otworzyłem drzwi, puszczając go przodem. Kusto najpierw rzucił się radośnie, potem zamarł w miejscu, obnażył zęby i zaczął ujadać.

– Cicho! Cicho, Kusto, głupi kundlu! Cicho, mówię, cholero jedna! – zacząłem uspokajać, próbując zacisnąć wielki, zaśliniony ryj, żeby nie dać mu szczekać. Przecież wiedziałem, że jak da głos na drugim piętrze, to słyhać go na jedenastym. – Mykoła, tam, do tamtego pokoju!

Zamknąłem wciąż wściekłego Kusto w kuchni, absolutnie

spokojnego Mykołę w nadal zagraconym salonie. Potem obydwu w mieszkaniu, a sam poszedłem nadzorować moich tragarzy.

Czekali już przy wozie. Zwarci, gotowi, chyba nawet chętni.

– To co, panie kapitanie? My pomożemy? – Wania zdawał się wręcz palić do roboty.

– Dobra, to w takim razie robimy tak... Wszystko, co jest w kufrze, nosicie pod windę. Nie rzucać, nie zgniatać, ostrożnie z tym i spokojnie. Ty do windy, ty, e...

– JEGOR! – wrzasnął chudy krzykacz, który ani na chwilę nie przestawał przestępować z nogi na nogę i machać rękami.

– Jegor, ty do windy i wszystko ładujesz do środka. Ja tutaj, przy wozie, a wy nosicie. Jasne? Ty jesteś Jegor, a wy...

– Pasza! – pokazał żółte zęby ten z wszczepionymi pochłaniaczami i kamerką na czole.

– A ja Anton! – po raz pierwszy za mojej pamięci odezwał się ostatni, ten z brzuchem piwnym i tatuażami.

Otworzyłem im kufer.

– No to już, do roboty.

Szło im nawet sprawnie. Oczywiście potykali się o własne nogi, śmiali się do siebie jak bydłęta, cały czas o czymś gadali i w ogóle trzeba ich było pilnować... Ale dzięki temu ja stałem sobie, oparty o drzwi pasażera, a oni robili czarną robotę.

Kiedy w końcu podniosłem klapę podłogi bagażnika, pod którą zamiast koła zapasowego leżały cztery kanistry z syntą, chłopaki wpadli w istny amok ze szczęścia.

– Ja, ja! Ja poniosę! – rzucił się Wania.

Zaczęli się przepychać, krzyczeć na siebie... W końcu uciszyłem ich, dałem każdemu po jednym i zatrzasnąłem bagażnik. Donieśli to do windy, tam kulturalnie wyprosiłem Jegora i sam zająłem jego miejsce.

– Panie kapitanie, to może być coś nam pan, teges, no... – przymilnie zaczął Wania.

Wcisnąłem przycisk, rzuciłem przez zamykające się już drzwi:

– Czekajcie na dole, zaraz będę wychodzić.

Tak, przydaliby się też przy noszeniu do mieszkania, ale do siebie ich nie wpuszczę. Niedoczekanie.

Zziajany, spocony i zmęczony wepchnąłem ostatnie pudło za próg, zatrzasnąłem drzwi. Otworzyłem najpierw Kusto, przywitałem się z kundlem, dopiero potem zaprowadziłem go do salonu, gdzie czekali Mykoła i Pies.

– Grzecznie tylko. – Pogroziłem mu palcem i otworzyłem drzwi.

Kusto zdębiał. Po prostu zamarł w bezruchu, chyba nawet oddychać przestał.

Pies podszedł do niego powoli, wysunął mechaniczną szyję i wystawił czujniki. Kusto podkulił pod siebie ogon i zaczął się cofać.

Pies zrobił dwa kroki do przodu, potem też się cofnął. Usiadł na zadzie, Kusto też usiadł.

– Chyba się polubią, panie Aleksandrze – uśmiechnął się Mykoła.

– Tak, na pewno. Ruszamy?

– Ja jestem gotów, panie Aleksandrze.

Odciągnąłem z kanistra działkę dla moich ćpunków, dolałem wody Kusto, który nadal wpatrywał się w siedzącego nieruchomo Psa. Sam wyszedłem pierwszy, jedną ręką podałem pijaczkom działkę, drugą piknąłem alarm w samochodzie... Mieszkańcy ławeczki nawet chyba nie zauważyli, jak Mykoła przeszedł mi za plecami i wsiadł do mercedesa.

Szybka wiadomość do Kulasa: „Jedziemy”.

Już wykręcałem, kiedy Wania zerwał się z ławeczki, ruszył ku mnie kłusem. Dopadł do wozu, załomotał w maskę.

Opuściłem szybę.

– Połamię ci ręce, jak jeszcze raz tak zrobisz – zagroziłem.

– Panie kapitanie, panie Chudy! Bo ten znajomy znajomego, co ja mówiłem, nie? To konkretna robota jest...!

Wrzuciłem bieg, delikatnie przydepnąłem pedał gazu.

– Niezainteresowany.

– Baryszewo chcą przejąć i szukają ludzi! Tak pomyślałem, że może pan kapitan...

Zahamowałem gwałtownie.

– Nie! – powiedziałem dosadnie, po czym ruszyłem z piskiem opon.

Baryszewo. Po raz trzeci już ten sam temat, ta sama robota, krążąca po rynku. Nie miałem wątpliwości, że chodziło o tego samego nowego gracza, z którym nie tak dawno chapnęliśmy się na Zaporze.

Jeśli ogłoszenie werbunkowe doszło aż tak nisko, to znaczy, że tamci się nie certolą i idą pełnym frontem.

Niedobrze. Naprawdę trzeba było zagęszczać ruchy, a potem szukać sobie pracy w branży innej niż handel nielegalnymi hormonami.

Kulas odpowiedział jeszcze w połowie drogi: „Wbijaj, przecież ja tu czekam”.



– Kulas, to jest Mykoła. Mykoła, to Kulas.

– Dzień dobry, panie Kulas. – Mykoła wyciągnął rękę do siedzącego na fotelu inwalidzkim hakera. Ten z pewnym zawahaniem podał mu dłoń, potrząsnął.

– Chudy, mogę cię prosić do kuchni? – zapytał przesłodzonym głosem.

Wyszliśmy, zostawiając Mykołę samego. Kulas wjechał za mną, prawie że przyciskając mnie do szafki, i zamknął drzwi.

– Osiemdziesiąt siedem procent – syknął, podnosząc się do mnie.

– Rozumiesz? Osiemdziesiąt siedem procent!

– Ale... co?

– Tkanki nieorganicznej u twojego gościa! Tyle mi pokazał skaner na wejściu! Czy ty masz pojęcie, kogo albo co przyprowadziłeś?!

Spojrzałem na niego, rozłożyłem bezradnie ręce.

– Nie. I ty pewnie też nie. Ale przypuszczam, że będzie mógł nam pomóc, bo...

– Dość. Możesz mi powiedzieć, gdzie ty w ogóle był? Bo nie wiem, czy wiesz, Chudy, ale tutaj się ludzie o ciebie martwią!

Przyznam, że trochę mnie to ruszyło.

– Otruli mnie – przyznałem z rozbijającą szczerością.

– Jak widać, nie dość skutecznie. Kto?

– Dmitrijew, były prezes SilverTech. Tak się przynajmniej przedstawił, chociaż mam wątpliwości, czy to faktycznie był on. Jak na zdjęciach patrzyliśmy, to podobny, ale... Sam rozumiesz.

– Sprawdzi się. Dobra, zobaczmy, co ten twój robot ma do powiedzenia.

Mykoła stał dokładnie tak, jak go zostawiliśmy. Uśmiechnął się do Kulasa.

– Ma pan tutaj piękną kolekcję sprzętu, panie Kulas. Szczególnie podoba mi się zaaranżowanie arachnopoda na suficie, to bardzo praktyczne rozwiązanie. Widzę jednakże, że spora część wyposażenia znajduje się w stanie suboptymalnym?

– Pałą się styki – warknął Kulas, odpalając monitory. – Szeloba, podaj okulary.

– Z przyjemnością pomogę panu z naprawami. Tak się składa, że znam się trochę na elektronice, a nawet pobieżna wizja sugeruje, że ponad dziewięćdziesiąt procent urządzeń może odzyskać pełną sprawność. Niech zgadnę: zasilanie padało przy dużym obciążeniu

danymi ze Strumienia?

– Palily się transformatory.

– Cóż, to pobieżna opinia, i tak też mogą sugerować objawy. Sam transformator w modelu ZG-24 jest jednak dwumodułowy, więc bez trudu da się dokonać napraw. Pokażę panu potem, jeśli będzie pan miał czas.

Kulas popatrzył na naszego gościa z uznaniem, pokiwał głową.

– Czemu nie. To co, zobaczmy to?

– Zobaczymy, oczywiście.

Ekran i holoprojektory rozbłysły danymi, wyekstrahowanymi z przywiezionych przeze mnie okularów po Piliarskim. Spółki, miasta, konta, osoby, transakcje... Kalendarz! Ten drań prowadził kalendarz spotkań, więc była szansa, że coś się z tego wygrzebie.

Zaczęli przerzucać się pomysłami, Mykoła mocno wciągnął się w temat. Kulas nawet znalazł dla niego przyłącznie, ten założył uproszczone okulary do przeglądarki, żeby być na bieżąco z poszukiwaniami.

– Więc skoro ta spółka miała powiązanie ze strukturą celową, to ktoś musiał to gwarantować – mówił Kulas.

– Ma pan absolutną rację. Sugeruję poszukać w katalogu H13... O, proszę! Niech pan będzie łaskaw wyekstrahować te cztery zapisy i przetrzucić w swój plik.

– Zrobione. No proszę, może coś nawet z tego nam wyjdzie.

– Jestem tego pewien, panie Kulas. Czy miałby pan możliwość zajrzenia do bazy danych rejestru państwowego?

– Wpięty na sztywno. Czego szukamy?

– Ivan Sofyanin.

– Sofyanin... Jest. Czterech aż.

– Proszę pokazać... Ach tak. To będzie ten.

– Hm. Dobra robota, Mykoła.

– Ależ dziękuję, panie Kulas. To doprawdy przyjemność pracować z panem.

Stałem tak i patrzyłem na nich, pogrążonych w wirtualnym świecie. Aż mi się przykro trochę zrobiło: spiknąłem swojego hakera ze swoim dostawcą, a w efekcie czułem się, jakbym stracił obu. Jak wtedy, kiedy przyprowadzasz kogoś do kolegi na komputery i tamci grają, a ty czujesz się jak piąte koło u wozu.

– Kulas. Kulas... Ej, Kulas! – zawołałem.

Ściągnął gogle, popatrzył na mnie przekrwionymi oczami.

– No co?

– Długo wam zejdzie?

– Pojęcia nie mam. Jak masz coś do roboty, to rób. Dam znać, jak wykopiemy jakikolwiek konkret.

No dobra, czyli przynajmniej kwestię Mykoły miałem chwilowo z głowy.

Pora zajrzeć do Cesarza.



Świątynię zastałem pustą, niemalże wymarłą. Owszem, było otwarte, ale panował tu jakiś dziwny, złowróżbny wręcz spokój.

Zauważyłem, że drzwi są nowe, a pod ścianami siłowni leżą nie do końca zmiecione okruchy szkła. Czyli rajdy milicji dotarły aż tutaj... Bywalcy przybytku pewnie zdecydowali nie bez słuszności, że parę dni przerwy od ćwiczeń nikomu nie zaszkodzi.

Natomiast w ogóle paliło się światło, więc pewna ciągłość systemu była zachowana.

Wszedłem na zaplecze, spoglądając w czujne oko obserwującej mnie kamery.

– Halo? – odezwałem się. – Jest tu ktoś?

Z przyzwyczajenia zapukałem do drzwi gabinetu, który zajmował Cesarz, nacisnąłem kłamkę.

Za biurkiem siedziała Walera.

– Syn marnotrawny powraca. – Uśmiechnęła się nieszczercze.

– Val, no hej. Jest Cesarz?

Val była osobą, której nigdy nie byłem w stanie do końca rozgryźć. Historia naszych stosunków była... ahem. No właśnie.

Kiedyś, jakiś rok temu, poszliśmy sobie razem do klubu, potem na dysko, potem do innego klubu. A potem w ogóle wylądowaliśmy u niej. I lądowaliśmy tak regularnie przez jakieś dwa tygodnie, a potem jakoś się tak samo rozeszło po kościach.

Tylko że rok temu byłem rok młodszy i rok głupszy. Teraz już wiedziałem, że u kobiet nic nie dzieje się „samo”, „jakoś tak” ani „po prostu”. Jeśli facet prześpi się z kobietą, to zawsze na jej widok będzie się do wspomnień ciepło uśmiechać – a kobieta na jego widok będzie się krzywić z nienawiścią.

Bo one nie umiały przejść nad tym do porządku dziennego. Była codzienna obojętność, tak, a poza granicą intymności czekały tylko albo miłość, albo nienawiść.

I miałem wrażenie, że Walera mnie właśnie nienawidzi.

Złożyła te swoje piękne, czerwone usta w ciup, odchyliła się na skórzanym fotelu i położyła nogi na biurku. Bardzo długie, bardzo zgrabne, bardzo ładnie zrobione nogi w wysokich butach.

– Cesarza aresztowali, Chudy.

– O. Nie wiedziałem.

– Nie? No proszę. A ja myślałam, że będą cię o takich rzeczach informować.

– Oni?

– Oni, Chudy. I ty dobrze wiesz, kogo mam na myśli.

Sięgnąłem ku suwakowi kurtki, rozpiąłem go nonszalanckim gestem do połowy i przegarnąłem włosy w tył. Tak, zrobiło mi się nieprzyjemnie gorąco, to raz. Dwa, nie podobał mi się ani ton, ani kierunek tej rozmowy, a w ten sposób mogłem sięgnąć po...

– Odradzam – rozległ się zza moich pleców głos Wołka.

Obejrzałem się przez ramię: no tak, stał tam w swoim nieodłącznym skrojonym na miarę garniturze. Bez broni. W każdym razie bez widocznej broni, ale nie miałem wątpliwości, że nie był bezbronny, bynajmniej.

– Mieliszmy pewną... różnicę zdań, Wołek i ja. – Walera podniosła się zza biurka, przeciągnęła niczym kotka. – On twierdzi, że to nie ty sprzedałeś ustawkę psiarni.

– Był tam, zaraz obok mnie. Ryzykował nie mniej niż ja – odezwał się naczelny brzytew ekipy Cesarza. Byłej ekipy Cesarza, o ile właściwie rozumiałem sytuację. – Ja pierwszy go usłyszałem, jak zawołał, że po nas jadą. Gdyby nie on, wszystkich by nas tam zgarnęli.

– Zatem jako pierwszy wiedział, że jadą. Ja uważam, że nas sprzedałeś, Chudy, i należy cię stuknąć.

Zerknąłem jeszcze raz na Wołka, potem na nią. Na pewno miała broń.

– Werdykt? – warknąłem, cofając się pod ścianę. Walera skrzywiła się.

– Nierozstrzygnięte.

– Tym razem pana puścimy, Sasza – uśmiechnął się niewesoło Wołek. – Ale jeśli, nie daj Boże, znów mielibyśmy się spotkać... Sam pan rozumie.

Nie mogłem uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Potrząsnąłem głową.

– Cesarz wam wszystko wyjaśni.

– Cesarz ma dostać pięć lat, panie Sasza. Być może wyjdzie po dwóch za sprawowanie. Zaś my... my chwilowo musimy zastanowić

się, jak postępować dalej.

– A co się zmieniło?

– Otóż Zarnicki przysłał nam ultimatum.

Valera bez słowa odpała holoprojektor, na którym wypłynęło nagranie: nalana, lekko zarosnięta twarz mężczyzny w średnim wieku z wymalowaną w cyfrowy kamuflaż protezą prawej górnej połowy twarzy. Na pierwszy rzut oka dało się poznać byłego wojskowego albo inny specnaz... Nagranie było ściszone, ale wyłapywałem pojedyncze słowa: warunki, terytorium, handel, siła. Moje.

– Zatrzymaj – poprosiłem.

– Chudy, nie sądzisz, że...

– Zatrzymaj i cofnij, mówię! Jeszcze kawałek, o... Teraz, stop!

Był taki moment, że mężczyzna schylał i przekrzywiał głowę na bok. Na błyszczącej, łysej czaszce wyraźnie widać było wytatuowany nad uchem ciąg sześciu cyfr, a nad nim prymitywny, nieco rozmyty, ale wciąż czytelny rysunek płonącego granatu.

Legia Cudzoziemska.

– Dwa osiem jeden cztery... – szepnąłem sam do siebie. – Zarnicki.

Oczywiście, że nie było to jego nazwisko, pod którym miałyby służyć w Légion Étrangère, ale pierwsza litera zawsze była taka sama. Cztery cyfry na sześć. I mało, i dużo. Trzeba będzie popytać.

– Co, podoba ci się? – prychnęła Walera.

– Nie do końca, nie mój styl. Ja wolę włosy na głowie, a gładko na reszcie, ten pewnie ma odwrotnie. Nie nawłaziło ci w zęby, jak mu polerowałaś gałę?

– Ty...!

– Spokój – powiedział Wołk. – Walera, nie wygłupiaj się. Sasza, niech pan niepotrzebnie nie prowokuje. Niech się pan stąd zabiera i lepiej nie wraca.

Pokiwałem głową, ruszyłem ku wyjściu. Już miałem minąć Wołka, ale ten zrobił krok w bok, zastąpił mi drogę. Wyciągnął rękę.

– Powodzenia, panie Sasza. To była dobra akcja, tam, na Zaporze.

– Niezgorza, Wołk. – Ucisnąłem jego dłoń. – Obyśmy się nie spotkali.

– Też mam taką nadzieję.

Wyszedłem, nawet nie zamykając za sobą drzwi. No cóż, kolejny problem rozwiązywał się, że tak powiem, w sposób ostateczny.

Ciekawe tylko, co ja ze sobą zrobię dalej?

Zresztą chyba wiedziałem.



– W czym mogę pomóc?

Odwróciłem się od wieszaków. Sprzedawca właśnie wyłonił się z zaplecza, do drzwi miałem raptem dwa kroki. Jeden sus i jestem na zewnątrz.

– Chciałbym kupić, e... koszulę. – Uśmiechnąłem się niepewnie.

– Oczywiście, proszę pana. Jaką konkretnie?

Popatrzyłem na wszystkie koszule, wiszące karnymi rządami na ścianach. Mieli tu chyba wszelkie możliwe rozmiary, kroje, fasony i co tam jeszcze tylko istnieje.

Nabrałem głęboko tchu.

– Białą.

Sklep był bardzo, bardzo ładny. Na tyle ładny, że aż zastanowiłem się, czy aby nie przesadziłem trochę z półką cenową.

Natomiast moja poprzednia biała koszula, moja jedyna porządna biała koszula, nie nadawała się po akcji z otruciem w NeoSybirsku i następującą po nim rehabilitacją w... nie wiem nawet gdzie. W szopie na podwórku.

Wszystko wokół mnie waliło się i paliło w zastraszającym tempie.

Ludzie umierali podczas rozmów albo dla odmiany niemalże skutecznie usiłowali mnie otruć.

Firmy składały się jak domki z kart.

Kule śmigły nad głową, pieniądze znikwały bez śladu, a Kusto srał w przedpokoju. Co innego można robić, gdy wszystko nieubłaganie toczy się ku krawędzi otchłani?

Otóż to – iść z niedawno poznaną, dwukrotnie młodszą od siebie panią naukowiec na tak zwany clubbing.

Sprzedawca chyba czekał, że wykażę się jeszcze jakimś dalej posuniętym gustem, ale w końcu uśmiechnął się nieszczercze i zacząć wyciągać z szuflad zapakowane w folię koszule. Przeszedłem do przymierzalni, zacząłem mocować się z opakowaniami i kłuć w palce o zdradziecko pochowane w materiale szpilki.

Byłem akurat w połowie mierzenia trzeciej, kiedy zadzwonił komunikator: Daniłow.

– Witam towarzysza dowódcę! – postarałem się, żeby mój głos brzmiał w miarę możliwości radośnie.

– Gdzie moje pieniądze, towarzyszu kapitanie?! – wydarł się tamten. – Gdzie zwycięstwo, gdzie winni oszustwa?!

– Pracuję nad tym. W tej chwili...

– W tej chwili się w jakieś przebieranki bawicie, z gołą dupą latacie! Ja wszystko widzę! Niedoczekanie wasze, zarazo tęczowa! Tfu!

Obróciłem się tak, żeby oligarcha jednak nie widział mojego odbicia w lustrze z tyłu.

– Towarzyszu dowódco, bo ja...

– Ja wam życie ratuję, ludziom głowę zawracam! Helikopterem was pięćset kilometrów wiozę, za rękę trzymam, po nocy babkę budzę! A wy, wy nawet mi się odwdzięczyć nie chcecie?! Na darmo moje pieniądze tylko przesrywacie!

– Ja wcale nie...

– Pokażcie mi metkę z ceną, ale to już!

Posłusznie podsunąłem opakowanie pod kamerkę. Daniłow podniósł okulary z niebieskimi szklami, chwilę wczytywał się w etykietkę.

– To we frankach cena? – zapytał.

– Gdzie tam! Ruble rosyjskie, nasza waluta.

– A, to w porządku. To kupcie sobie dwie od razu, he, he. Niech będzie, że i za moje. Ale powtarzam! – znów podniósł głos. – Jak nie będzie efektów, to wszystko co do kopiejki każę zwrócić!

– Tak jest.

– Zrozumiano?

– Tak jest.

– No to już, do wykonywania zadania bojowego wróć! Bez odbioru.

Rozłączył się. Popatrzyłem na etykietkę na opakowaniu: franki szwajcarskie? Jaki był kurs, jeden do... stu dwudziestu? Stu pięćdziesięciu? I ten niebieski karzeł myślał, że byłoby mnie na to stać? Że w ogóle przyszłoby mi to do głowy?

Najwyraźniej jego było.



Gdy wróciłem do domu, ekipa żulików już na mnie czekała.

– Panie kapitanie, panie Chudy! – Wania aż podbiegł do samochodu. – Byli po pana!

Aż mi się gorąco zrobiło.

– Kto?

– No... ludzie jacyś. Pytali o pana, gdzie pan mieszka.

– Czarniawi?

– Aha! – pokiwał Wania. – Brodaci, poważni tacy mocno.

– I coście powiedzieli?

– Że pan kapitan mieszkał tutaj, ale się wyprowadził. – Wziął się pod boki, zadowolony z siebie.

Prymitywne. To znaczy dla nich pewnie był to szczyt przebiegłości... Ale po takich mętach nikt by się nie spodziewał, że w ogóle będzie im się chciało kręcić.

– Dawno byli? – Rozejrzałem się.

– No, tak z... półtorej godziny będzie, jak się zebrali. Ale był z nimi jeden taki jeszcze, nasz. Ruski, to jest. Blondyn. I pozostali się go słuchali bardzo.

– KURWA, CO ZA LUDZIE NO, JA NIE MOGĘ, ŻE TACY W OGÓLE SIĘ TU POJAWIAJĄ! – wrzasnął chudzielec, to jest Jegor. – MYŚLĄ SE, ŻE MOGĄ NASZEGO PANA KAPITANA WYDYMAĆ!

– Nikt mnie nie wydyma, chłopaki. Ale dzięki, żeście...

– Proponowali nam kasę, jeśli pana kapitana sprzedamy. – Wania uśmiechnął się chytrze.

O, ty szczywany draniu. I ja teraz będę musiał zapłacić ci tyle, ile rzekomo chcieli ci dać tamci, tak? Niedoczekanie.

– I? – Przekrzywiłem głowę.

– I żeśmy ich posłali do stu diabłów! – zarechotał Pasza.

– ŚWINIE WY, KONFIDENTY! BRACI SIĘ NIE TRACI! – wrzasnął Jegor, zadzierając głowę ku niebu.

– Chyba nie myślał pan kapitan, że my byśmy go sprzedali byle komu?

– Nnie no, ja... Ile wam dawali? – Sięgnąłem po portfel.

Uśmiechy zniknęły z ich twarzy, zamarli bez ruchu. Wania spojrzał na mnie, autentycznie dotknięty.

– Pan kapitan sobie żartuje, prawda?

O kurczę. No tego to się naprawdę nie spodziewałem: moje zbiry naprawdę były moje. Lokalne, osiedlowe, z mojej dzielni. Czyli jednak istniało jeszcze coś takiego jak poczucie bandyckiego honoru.

Odchrząknąłem, zapiąłem kurtkę. Poklepałem Wanię po ramieniu.

– Nie no, chłopaki, przecież ja was znam, nie? Tak się tylko drocę... Dzięki wielkie.

– No nie ma za co przecież! My dla swoich to przecież jak dla rodziny!

– RODZINA TO POTĘGA!

– My byśmy pana kapitana za nic w świecie! Pan przecież nasz tutaj jest, nie?

– Dobrze, dobrze już – uspokoilem ich, żeby przypadkiem nie zaczęli się ze mną obściskować. – A słuchajcie, jeszcze takie jedno pytanie mam. Ta robota, co krąży po rynku, tak? Pojawia się tam jakieś nazwisko?

– Zarnicki – odezwał się Anton bez chwili zawahania.

Zarnicki. Czyli dobrze przypuszczałem, że od samego początku za cały ten bajzel odpowiadał jeden i ten sam człowiek.

Ech. Zarobię kasę od Daniłowa, wezmę Olgę i wyjadę stąd w cholerę.

– No dobra, chłopcy, to ten, no... Dzięki raz jeszcze!

Wbiegłem na górę, wyciągnąłem z barku i zaniósłem im flaszkę. Skoro naprawdę nie wzięli i nie chcieli kasy, to wypadało się jakoś odwdzięczyć!

Kusto spał na swoim posłaniu, Pies tylko uniósł czujniki, kiedy wszedłem. No cóż, widać czworonogi się jakoś dogadały.

Zerknąłem na zegarek: no tak, dochodziła już ósma wieczorem, najwyższa pora była się szykować. Niech chociaż ten wieczór obejdzie się bez głupich niespodzianek.



– Sasza!

Przełknąłem ślinę, patrząc na zmierzające ku mnie miarowym, rozkołysanym krokiem modelki zjawisko.

– Olga. Wyglądasz... bajecznie.

Okręciła się jak fryga. Króciutka sukienusia uniosła się jeszcze nieco wyżej, pukle włosów zawirowały. Zadzwonily łańcuszki i bransoletki, błysnęła szpilka obcasa.

Wspięła się na palce, objęła mnie dłonią za kark i nachyliła się ku szyi.

– Wiem – szepnęła.

Aż mi się w głowie zakręciło od ciężkiego, słodko-korzennego zapachu perfum. I ten makijaż, te bajecznie długie rzęsy i olśniewający uśmiech... Cudowna.

Widziałem kątem oka, jak kilku facetów bezczelnie gapi się na jej nogi. Jeden odwrócił się do kolegi, pokazał ku nam palcem. „Szczęściarz” – wyczytałem z układu ust.

Miał typ świętą, cholerną rację.

Area51 było jednym z najsłynniejszych, najdroższych i zarazem najbardziej zamkniętych klubów NeoSybirska. Przy wejściu zawsze stała długa, zawinięta kilkakrotnie kolejka. Bramkarze bezlitośnie odsyłali z kwitkiem każdego, kto nie spełniał ich całkowicie uznaniowych kryteriów wejścia.

Olga obeszała ogonek bokiem i puknęła wielkiego, napakowanego byka w ramię.

– Cześć, Vik.

– Olga! – ucieszył się goryl. – No czeeeeść, śliczna... Co tam?

– Ano, przyszliśmy się pobawić trochę, mordo. Wpuścisz nas? To jest Sasza.

Bramkarz zmierzył mnie ponurym wzrokiem, a potem spojrzał na nią i znów zamienił się w wielkiego, pluszowego miśka.

– Pewnie, wchodźcie. – Machnął głową.

Klub był ogromny, głośny, pełen przecinających zadymioną przestrzeń promieni laserowych projektorów, hologramów i kłębiących się wielobarwnym tłumem ludzi.

– Chodź, tam zawsze jest wolny stolik! – krzyknęła Olga, ciągnąc mnie za sobą.

Wysforowałem się na przód, zacząłem torować jej drogę w tłumie, w końcu wypatrzyłem wolne miejsca i pokazałem: tam!

Muzyka już dudniła, DJ-e krzyczeli coś przez głośniki. Mężczyźni, kobiety oraz wszelkie formy pośrednie i kombinowane wiły się na parkiecie, dymy snuły się obłokami po sali, nakładając na hologramy i zaburzając głębię percepcji.

Uśmiechnąłem się do siebie: jednak warto było odgrzebać w szufladzie stare, wysłużone wkładki douszne, które nadal skutecznie filtrowały dźwięki z zewnątrz.

– Często tu przychodzisz? – zawołałem do Olgi, kiedy wreszcie usiedliśmy.

Dziewczyna podniosła palec, przesunęła czipem nad gniazdem czytnika wbudowanym w stolik, otwierając linię kredytową i wywołując menu.

– Zdarza się od czasu do czasu. Nie zawsze mam czas, poza tym ostatnio jest sporo pracy... A tobie zdarza się czasem wyjść po klubach?

– Nie. – Otworzyłem menu, położyłem na czytniku swój czip.

– Ach. I może jeszcze powiesz, że nie umawiasz się z nikim?

– Nie. W każdym razie nie regularnie.

– Praca?

– Też. I podobno zachowania aspołeczne.

– No proszę, to jest nas dwoje. – Zaśmiała się. – Słuchaj, jak to jest?

– Z czym?

– No, taki facet jak ty. Kawał byka, przystojny...

– Daj spokój. – Puknąłem w najprostszego drinka, jakiego jeszcze znałem z karty.

– No serio! Masz śliczne oczy, wiesz, Sasza? Szkoda, że nie jesteś kobietą. Od razu bym się na ciebie rzuciła.

Uniosłem brew.

– A tak?

– A tak to musisz mi najpierw kupić... – Długi paznokcie stuknęły w wyświetloną na blacie stolika pozycję z menu. – To. Nie mam pojęcia, co to będzie, ale chcę sprawdzić. Lubisz nowości?

– Nieszczególnie. Za to podobno jestem dobry w rutynie.

– Brzmi fascynująco. To jak to jest, że takie ciacho nie ma jeszcze nikogo?

No tak. Chwila prawdy. I teraz wybór: skłamać, prześliznąć się wokół faktów? Czy zagrać va banque?

Z sufitu spłynął dron, postawił na stole dwie szklanki. Upiłem łyk: nawet niezłe.... Do diabła, znów wziąłem coś z alkoholem! Ech, cholerny świat.

Za stary byłem na takie gierki.

– Sześć lat po rozwodzie.

– To się zdarza. – Uśmiechnęła się. – Ale przynajmniej nie jesteś gejem. Broń przestrelana, sprawna i gotowa!

Zakrztusiłem się swoim drinkiem, parsknąłem śmiechem, ale zaraz spoważniałem.

– Olga, ja... Olga, ja nie wiem, czy to jest dobry pomysł.

– Co? – Nachyliła się.

– To wszystko. Ty, ja, ten wieczór. Nie zrozum mnie źle, proszę! Jesteś, kurde... Jesteś chyba najśliczniejszą istotą, jaką widziałem w życiu.

– Och, dziękuję. – Zatrzepotała rękami.

– Natomiast ja, Olgo... ja jestem już towarem wybrakowanym, i to z niezłym przebiegiem.

Wzięła mnie za rękę.

– Sasza. Nie oświadczam ci się. Jeszcze nie, w każdym razie... – Zrobiła znaczącą pauzę, puściła szelmowskie oko. – To tylko wyjście razem do klubu. Nic więcej.

– Nic więcej?

Wzruszyła ramionami. Obojczyki też miała śliczne.

– No, nie wiem, gdzie się ta noc skończy, nie? Może mnie gdzieś zabierzesz, w jakieś fajne miejsce...

– Na strzelnicę – rzuciłem.

– Ojej! A ty wiesz, że to by było super?! – Aż podskoczyła. – Nooo! Sasza, ja chcę na strzelnicę potem! Albo do klubu bokserskiego i pobić się w klatce... Walczyłeś kiedyś w klatce?

Ta dziewczyna jest pojebana, pomyślałem. Nawet jak na obecne pokrętne standardy, jest po prostu nienormalna... A mnie się to podoba.

– Nie. Ale strzelałem do Murzynów w Afryce.

Jej oczy zrobiły się tak wielkie, że aż poczułem, jak w nie wpadam.

– No cooo tyyyy?! Tak naprawdę?!

– Siedem lat w Legii, droga koleżanko.

– Widziałeś nosorożce?!

– Nie, znacznie wcześniej już je wytępili. Ale inne rzeczy widziałem... Słyszałem ciszę sawanny o świcie i las tropikalny w południe. Byłem na cmentarzysku słoni, stałem pod baobabem. Mam zdjęcia, pokażę ci.

– Cudownie! – zapiszczała.

– Ech, to było... Olga, to było prawdziwe, rozumiesz? Nie takie jak tutaj, plastikowe i udawane. Napompowane silikonem, wszczepione sztucznymi feromonami. Zawinięte w plastik, jak nasze żarcie... Piekielnie prawdziwe mięso na prawdziwym ognisku, uwierzysz? Świeże!

– Nie z zamrażarki... Łaaaał...

– No, żebyś wiedziała. Świeże, prawdziwe, naturalne... Piękne. I ty też jesteś taka piękna.

Komplement był tak czczy i wyświechtany, że aż mi się głupio zrobiło.

Chyba jedna kobieta na miliard by zrozumiała coś takiego tak, jak powinno zostać rozumiane. Przyjęła, nie próbując oceniać. Nie zastanawiała się, jak banalny i prymitywny to tekst.

Tak, jedna na miliard.

I właśnie ta jedna siedziała przede mną, wpatrując się we mnie tymi wielkimi, smutnymi oczami.

– Olga, ja...

– Ćśś... Stopklatkę robię – szepnęła. – Okej, już. Słuchaj, Sasza, to dlaczego wróciłeś? Ja bym została!

– Też bym został. Wróciłem, żeby ratować rodzinę.

– Nie udało się. – Pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Udało, Olga. Udało, bo... mam syna.

Zapadła cisza. To jest o tyle, o ile było to możliwe w dudniącym muzyką i wrzaskami klubie. Patrzyła na mnie, a ja patrzyłem na nią.

Skrewiłem. Powiedziałem prawdę, a teraz zostanę za to ukarany. Rozwodnik to jeszcze do łyknięcia. Dzieciaty? Dyskwalifikacja na wejściu.

– O cholera, Sasza, jakie to jest zajebiste! – wyrzuciła w końcu z siebie.

– C-co? – nie rozumiałem.

– To, że mi o tym powiedziałeś. O ja cię kręcę, Sasza. Ty naprawdę nie kłamiesz.

– No... Kłamię. Ale tobie nie chcę. Tak, mam syna. I psa.

– To już wiem! – Machnęła ręką. – Pokaż fotkę.

Przytomnie pokazałem nie Kusto, a Sańkę. Przyjrzała się, oceniła. Pokiwała głową.

– Ni cholery niepodobny – skwitowała. Wzruszyłem ramionami.

– Wiem, wszyscy tak mówią. Ale mój. I to dla niego właśnie wróciłem.

– Prawdziwy mężczyzna, towar deficytowy. Tata też zawsze mówił: rodzina to świętość.

„Tata”. Geresow, jego mać!

– Co się z nim dzieje? Z tatą w sensie? – zapytałem.

– A żyje sobie na emeryturze. Swoje odsiedział, uspokoił się. Wyszalał, wyszumiał za młodu... A teraz jego nieodrodnej córeczce się chce tego, czego nie wolno jej było kiedyś widzieć.

– Pójdziemy na strzelnicę – zdecydowałem, duszkiem wypijając zawartość szklanki. – I pobić się po ryjach do klatki, jeśli naprawdę jesteś aż tak pieprznięta. Będziemy chodzić po mieście do świtu, a potem odwiezę cię do domu i pocałuję w rękę na dobranoc... Nie przyjechałaś na moto?

– Nie no, coś ty, w makijażu? Zostałby w kasku! – zaśmiała się.

– Ale najpierw, panienko Olgo, pójdziemy potańczyć.

Szliśmy właśnie na parkiet, kiedy zegarek zawibrował. Wyciszyłem wszystkie powiadomienia, więc to mógł być tylko Kulas. Wiadomość była krótka.

„MAMY GO”.

Świat zawirował, zatrzymałem się, oparłem o filar.

– Olga! – zawołałem. – Poczekaj!

Cofnęła się, zajrzała mi w twarz z zaniepokojeniem.

– Co jest, Sasza?

– Praca... Już, chwilę, tylko odpowiem.

„Gdzie!?” – wstukałem. Odpowiedź przyszła praktycznie od razu: „Emiraty”.

O cholera jasna.

No dobra, tam się dostać, to trzeba...

Kolejna wiadomość: „Już znalazłem i rezerwuję bilety. Pakuj się. Wylot pojutrze”.

„Przyjąłem” – wbiłem wiadomość. Po chwili dostukałem: „Będę miał bagaż. Załatw”.

„Załatwione”.

– Co jest? – Olga nie odpuszczała.

Odetchnąłem głęboko, potrząsałem głową. No, koniec naszej sprawy już było widać.

– Nic takiego. Duży temat ogarniam i chyba dam radę... Znaleźliśmy figuranta.

– „Figurant”, mrau. Podoba mi się określenie. Opowiesz?

– Kiedyś.

– Za miesiąc? Za rok? – Przekrzywiła głowę.

– Za dziesięć lat? – zaproponowałem.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie.

Patrzyliśmy, a w tych spojrzeniach było... było coś, czego nawet nie odważyłbym się nazwać.

W końcu Olga uśmiechnęła się, pociągnęła mnie za rękę: chodź!

Nie stawiałem oporu, pozwoliłem zawlec się na parkiet. Muzyka dudniła, tłum falował, ona ruszała się jak utkane z mgły zjawisko...

Świat był piękny.

Jeśli miałem tam lecieć, to trzeba było wybawić się na zapas.

Wróciliśmy z parkietu, Olga zaczęła się do mnie kleić. Nie to, że pchać się do czegokolwiek, bynajmniej, natomiast była po prostu blisko. Czulem ciepłość jej ciała, czulem zapach włosów, i było mi z tym dobrze.

W pewnej chwili przejechała mi dłonią po kłacie, zjechała niżej na brzuch. Już otwierała usta, żeby rzucić jakimś ciętym tekstem, ale nagle spojrzała w dół, jej oczy rozszerzyły się.

– Ej, Sasza, a co ty tam masz?

– Gdzie? – Aż spojrzałem w okolice podbrzusza.

Kto wie co tam mogła wypatrzeć? Może, nie wiem, rozporzka nie zapiąłem?

– No tu, pod koszulą... Nie mówiłeś, że coś sobie robiłeś!

Schyliłem się, dłonią odsunąłem materiał na bok i zdębiałem.

Coś mi się świeciło na brzuchu.

– E...

– Sasza, pokaż!

Nasuwały akurat ultrafioletowe stroboskopy, a w ich świetle coś rozbłyskało i gasło pod koszulą. Widać było niewyraźny, nierówny, lekko obły kształt... Co ja, pochlapałem się czymś?

Chciałem rozpiąć guziki, ale Olga ubiegła mnie, rozchyliła koszulę – i parsknęła śmiechem.

– Sasza, no ty niemożliwy jesteś! Co ty w tej siwej głowie masz?!

Nie wiem, co miałem w głowie. Wiem jednak, co miałem na brzuchu.

Pod cienką warstwą skóry odznaczał się nieforemny, narysowany od ręki, fluorescencyjny kutas.

Kutas z gatunku tych, co się na szybko maluje na tablicy, kiedy wyjdzie nauczycielka – dwa okrągłe jajka, wystrzeliwująca z nich pękata parowa prąca, zaznaczony półokręgiem żołądź i kreseczka przedziałka. Taki typowy przykład twórczości ściennopodwórkowej.

Miałem na brzuchu kutasa. Świeącego w ciemności, fluorescencyjnego kutasa.

W pierwszej chwili myślałem, że to rysunek, chciałem zetrzeć – ale świeciło nie na skórze, a pod nią. Jakbym miał tam coś, co...

Pod skórą.

Zabieg na przepuklinę.

Siatka, wszczepiona mi przez lekarza, którego wcześniej zwyzywałem.

...o cholera.

– Sasza, to jest zajebiste! – zachwycała się Olga. – To jest... wow! Tak bardzo odważne i takie misterne! Czemu się nie chwaliłeś?!

– Nie było okazji – wymamrotałem, jednocześnie zapinając koszulę.

– Nie, nie, zostaw, daj popatrzeć! To jest... łaaaa! Świeże, ambitne, odważne!

– Tak.

No co miałem jej powiedzieć?

Miałem na brzuchu kutasa. Ten mściwy palant, ten ugrzeczniony wszarz musiał mi go narysować na siatce, którą potem wszczepił w miejscu pęknięcia mięśni. Fluorescencyjną farbą w dodatku.

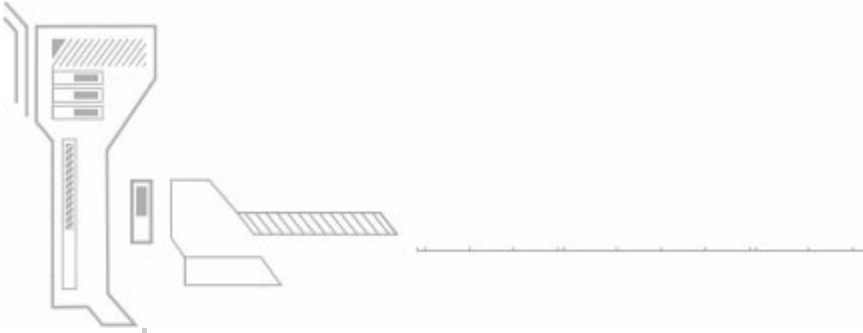
Siatka już się rozpuściła i wchłonęła, a malunek powoli, milimetr po milimetrze wypływał ku skórze. Ot tak, żebym nie od razu się kapnął.

Nogi mu z dupy powyrywam, jak z tych Emiratów wrócę.

A na razie...

...spojrzałem w te wielkie, piękne oczy...

Noc była jeszcze młoda i kto wie co mogło się wydarzyć?



...niedawnych wydarzeń staje się coraz bardziej jasne: polityka wewnętrzna okręgu wymaga daleko idących reform. Stare struktury skostniały, potrzeba więcej nowej krwi. Tylko rotacja pokoleń...

Cały czas trwa śledztwo w sprawie strzelaniny w pobliżu elektrowni wodnej. Prokuratura nadal twierdzi, że chodziło tylko o porachunki gangów, ale jaką mamy gwarancję, że nie wodzą nas za nos?! Przecież człowiek, który parę tygodni temu nagrywał elitę samorządu, pozostaje na wolności! I ja się pytam: kto tego Valentę kryje?!

NovaTek Laboratories – rewolucyjna formuła przeciwzmarszczkowa i odmładzająca już wkrótce w sprzedaży! Ja pani tam mówię, wszystko to jest gówno warte.



Zacznę od tego, że nie – nie wylądowaliśmy w łóżku.

Moglibyśmy, ale oboje bardzo, bardzo staraliśmy się do tego nie doprowadzić.

Nie było nawet pocałunku na pożegnanie, mimo że już tańczyliśmy wokół siebie porozbijanymi, zakrwawionymi ustami, stojąc pod drzwiami jej apartamentowca. Dłonie przesuwaly się po świeżych, nabiegających dopiero krwią siniakach, powybijane palce wplatały się we włosy... Ale w końcu odsunąłem się, skłoniłem głowę podpatrzonym kiedyś na filmie gestem, cmoknąłem ją w dłoń i odszedłem.

Odszedłem, czując jej wzrok na pośladkach i dudnienie serca w skroniach.

To była najdziksza, najbardziej obłąkana randka mojego życia. Klub nocny. Potem strzelnica. Drugi klub, tym razem ze striptizem, gdzie Olga zamówiła nam prywatny stolik z tancerką, na którą patrzyła tak łakomym wzrokiem, że... O matulu najśłodsza.

A potem poszliśmy do siłowni i klubu, ale tym razem walk, gdzie przebraliśmy się w stroje sportowe i na oczach ludzi biliśmy się po ryjach.

Mówiąc „my”, mam na myśli właśnie to – ja biłem się z nią.

Ależ mi władowała, niech ją! Ona umiała się bić, a co najgorsze – lubiła się bić. Choć kilka razy sieknąłem ją tak, że nie powinna się podnieść, a raz wydawało mi się, że aż chrupnęło jej żebro, to wstawiała, ocierała krew i lała mnie dalej.

Nie dziwota więc, że noc zakończyła się bez części łóżkowej – chyba ku obopólnej uldze.

A teraz siedziałem sobie, przykładając do poobijanej twarzy lód, na pokładzie samolotu schodzącego do lądowania.

DING!

– Dzień dobry, szanowni pasażerowie. Rozpoczęliśmy zniżanie do lądowania w porcie lotniczym imienia Kim Jong Una w Jialininggele. Prosimy o zapięcie pasów...

– Dzianinindeje... – mruknąłem, przedrzeźniając lektorkę.

– Jialininggele! – ucieszył się siedzący obok mnie żółtek, pokazał za okno. – Jialininggele!

Tym razem co prawda nie miałem zamiaru spędzać w mieście dłużej, niż było to konieczne. Zamierzałem pojawić się tutaj jako pasażer czysto tranzytowy.

Jialininggele było już de facto terytorium nienależącym do Federacji, a zatem też niepodlegającym pod sankcje, duszące nas od czasów drugiej wojny krymskiej. Jako że było tutaj tylu Chińczyków, a tym ostatnim mało kto był w stanie czegoś skutecznie zabronić, to i sam okręg stanowił w zasadzie bazę przerzutową na cały świat.

Jednak wydostanie się stąd wymagało kilku składników.

Przede wszystkim potrzebowałem zameldowania, więc pojechałem taksówką do tych samych co poprzednio apartamentów i wynająłem sobie pokój na okrągły tydzień. Kto wie jak długo mi zejdzie? A przykrywkę mieć musiałem, żeby system migracyjny cały czas widział, że jestem tu wpisany.

Po drugie, należało znaleźć kogoś, kto mógł załatwić mi miejsce na pokładzie jednego z tak zwanych ciemnych samolotów, kursujących pomiędzy enklawą a kilkoma punktami na mapie świata.

O ile mój nowy przyjaciel z miasta na pewno miał z Chińczykami na pieńku, to znając koleje losu i biznesu, aż nadto dobrze wiedziałem: kto się czubi, ten się lubi. Tak, Sołtanow mógłby być takim właśnie kontaktem... Ale, szczerze mówiąc, nie znałem go zbyt dobrze.

Powiem więcej: wnioskując z tego, na ile go poznałem, za nic nie zawierzyłbym mu swojej skóry.

Dlatego też, nie zwlekając, wysłałem wiadomość do człowieka, z którym już dwa razy wcześniej robiłem podobną kombinację, czyli do Miszy Goriunowa.

Misza zareagował błyskawicznie, oddzwaniając na numer.

– Sasza! No coś ty, znowu u nas?! – zatrzeszczał jego głos, zniekształcony przez słaby zasięg.

– Misza, cześć. Słuchaj, potrzebny mi transport.

– Lokalnie czy dalej?

„Lokalnie” oznaczało dla niego wypożyczenie samochodu – gorszego bądź lepszego, czasami też z wyposażeniem dodatkowym,

takim jak chociażby pirokastet.

– Dalej.

– Przyjedź, adres pamiętasz.

Misza prowadził swój zakład w jednej ze spokojniejszych dzielnic, odciętej od ścisłego centrum Jialininggele linią kolejową i pasmem rzeki – a więc nie tak atrakcyjnej dla Chińczyków. Poprosiłem taksjarza, żeby wysadził mnie uliczkę wcześniej, i resztę drogi przeszedłem piechotą.

– Sasza! – Gospodarz osobiście otworzył mi pancerną furtkę w równie pancерnej bramie. – Człowieku, ile ja cię nie widziałem!

No fakt, fizycznie to nie widzieliśmy się ponad dwa lata, odkąd odprowadzałem tą samą drogą mojego Sanię.

Poznaliśmy się z Miszą wieki temu przypadkiem w Moskwie, przy okazji jakiejś sprawy – on wtedy prowadził tu tylko warsztat, ktoś mu czegoś nie dostarczył albo za coś nie zapłacił... Od słowa do słowa, zgadaliśmy się, nawet trochę wypiliśmy, pokręciliśmy po stolicy razem.

Potem ja ruszałem zaciągnąć się do Legii i jak przyleciałem tutaj, to on zaoferował się: spoko, pomogę ogarnąć lot. Miał już wtedy swój samochód, którym woził ludzi po okręgu, i to on odwiózł mnie na lot.

No i te dwa lata z hakiem temu to jeden z jego samochodów – piękna, czarna limuzyna z kierowcą – zawiozła na lotnisko Sanię i mnie, a potem odwiozła tylko mnie.

– Kopę lat, Misza.

Objęliśmy się po przyjacielsku, pokleпалиśmy po plecach, aż zadudniło. Lekko złapał mięska przez ten czas, zaokrąglił się... Czyli biznes szedł jak należy.

Weszliśmy do jego domku, ja od razu zrzuciłem buty, jak nakazywało dobre wychowanie. Misza spojrział na mnie wymownie, bez słowa rozpiąłem kurtkę i podałem mu pistolet chwytem do przodu.

– Fiu, fiu... To ten sam? – Obejrzał broń.

– Cały czas.

– Czyli lecisz gdzieś dalej. Chyba że wracasz do starych znajomych? I w ogóle co ci się stało, Saszka? Wyglądasz, jakbyś wpadł pod ciężarówkę!

– Nie, dla mnie tam już nie ma powrotu. – Pokręciłem głową, patrząc na swoją poobijaną, posiniaczoną mordę w lustrze. Ciekawe, jaki kolor przybrały po tych kilkunastu godzinach sińce na zębrach? – Poza tym młode pokolenie też musi mieć swoje pięć

minut. A nic mi się nie stało, taki... przyjacielski sparring.

– Przyjacielski, mówisz. Ja bym się od takich przyjaciół trzymał jak najdalej.

No popatrz, a ja właśnie mam ochotę się jak najbardziej zbliżyć, pomyślałem sobie, a na głos powiedziałem tylko:

– Życie lubi zaskakiwać, Misza. Jak tam twoje dzieciaki?

Usiedliśmy, wyciągnął trochę jedzenia, wystawił flaszkę. Pokazał mi zdjęcia, poopowiadał o rodzinie, domu, normalnym życiu... Zawsze podziwiałem go za to, że potrafił stworzyć sobie takie śliczne, niemalże wiarygodne dekoracje do egzystowania.

Poziom płynu we flaszcze zaczął opadać, mniej więcej w połowie Misza rozkręcił muzykę na pełny zycher, ściągnął i odłożył na półkę swój komunikator. Ja też odpiąłem zegarek, rzuciłem na kanapę.

To był sygnał: teraz można porozmawiać.

– Muszę dostać się do Emiratów – powiedziałem bez wstępu.

Skinął głową.

– Czas?

– Jak najszybciej. I tak już jestem spóźniony.

– Mhm. Lot powrotny kiedy?

– Nie mam pojęcia. Dzień? Dwa? Pięć? Mam niby kilka adresów do sprawdzenia, ale...

– Jasne. Załatwimy otwarty w takim razie. Ty wiesz, że tam jest...

– zawahał się. – Że tam już lepiej nie będzie?

– Tak mówią, ale co zrobisz? Nie mam ochoty, za to muszę.

– Jak mus... – nalał po pół szklanki, ujął swoją i brzęknął o skraj mojej – to mus.



Dwa dni później zjawiłem się na lotnisku w Jialininggele, niosąc tylko nieduży bagaż podręczny.

Jakkolwiek wielki był tutejszy port lotniczy, to ja miałem udać się do najstarszej, najmniejszej i najbardziej obskurnej jego części – mianowicie do zbudowanego jeszcze na początku powoli mijającego wieku terminala dla lotów wewnętrznych na terenie Federacji.

Skąd taki pomysł? Ano, w tej chwili samoloty startowały stąd co godzinę. Shanghai, Chengdou, Guangzhou, Ho Chi Minh City... Wszystkie leciały na wschód, z międzylądowaniem w Moskwie.

A ja wybierałem się na zachód i na południe.

Ustawiłem się pod brudną, wyświechtaną ścianą, położyłem torbę na aż lepkiej podłodze. Kilkanaście osób już czekało: co do jednego mali, drobni i żółtawi, o czarnych, prostych jak druty włosach i nijakich twarzach.

Każdy z nich miał ze sobą gigantyczną ilość bagażu, wyglądającego tak, jak gdyby wybierali się na nasz osiedlowy bazar. Kraciaste, obwiązane styronowym sznurkiem torby z plastiku. Posklejane taśmą reklamówki. Przedpotopowe walizki, owinięte folią spożywczą. Potworne ilości wypchanych, powiązanych sznurówkami reklamówek.

Czułem się jak jedyny biały turysta, który przypadkiem zabłąkał się na jakąś głęboką prowincję egzotycznego kraju Dalekiego Wschodu i teraz czeka, aż na przystanek zajedzie rozklekotany autobus.

– O, dzień dobry koledze! – radośnie zawołał już z daleka ciągnący za sobą wielką walizę biały.

No co ja poradzę? Przecież w odróżnieniu od innych, a podobnie jak ja, był biały. Mógłbym na modłę amerykańską mówić: rasy kaukaskiej. Tyle tylko, że żaden jankes nigdy na Kaukazie nie był, bo tam białych też przecież nie ma.

– Dzień dobry – odwzajemniłem powitanie. – Pan też... tam?

Typek podholował walizę do mnie, zrobił gest udawanego otarcia potu z czoła. Sądząc po koszuli i złotym sygnecie, musiał być z Moskwy. Tak, na pewno Moskwa: tylko tam nosiło się lakierki z zadartym czubem.

– „Tam”! He, he, jak ładnie to kolega określił. Ano, czasami trzeba wywieźć co nieco! – Klepnął w walizkę, jak gdyby była wypchana kasą, i zaśmiał się z własnego żartu. – A kolega skąd?

– Nie stąd – mruknąłem.

Typ należał chyba do gatunku, na który miałem od zawsze reakcję alergiczną: wysoki, zadbany brunet z bródką i w brązowych butach do brązowego garnituru. Nie wiedzieć czemu, ale odkąd pamiętam, uznawałem instynktownie, że człowiek wyglądający w taki sposób nieodmiennie i nieodwołalnie musi być dupkiem.

Co najgorsze, ostatnie czterdzieści z groszem lat życia tylko utwierdziło mnie w tym przekonaniu.

– I co, daleko tak?

Co to go obchodziło? I co to w ogóle za pomysł, żeby pytać o takie rzeczy nieznanym?

Na całe szczęście grupka stojących obok nas Chińczyków akurat rozwrzeszczała się wniebogłosy, zwalniając mnie z konieczności

odpowiadania. Odsunąłem się, wcisnąłem w najdalszy kąt poczekalni. Co z oczu, to z serca.

Po jakiejś godzinie pod bramką zjawili się dwóch Chińczyków, którzy zaczęli sprawdzać bilety. Tak po prostu – masz bilet, to wchodzisz. Żadnych paszportów, odprawy, wyświetlonego numeru rejsu, komunikatów, nic.

Teraz nie robiło to na mnie aż takiego wrażenia, jak za pierwszym razem. Pamiętam jednak, jak bardzo uderzyło mnie wtedy: ostateczny dowód na to, że wszystko da się kupić, podrobić i ukraść.

Nawet interkontynentalny rejs samolotem.

Wpuścili nas przez ciemny, ciasny i śmierzdzący rękaw do równie ciasnego, obscurnego samolotu. W środku już kłębił się tłum: ludzie upychali do schowków powiązane sznurkiem bagaże, przepychali się w tę i w tę w tę pomiędzy siedzeniami, gestykulowali, krzyczeli... Ja dopchnąłem się tylko do swojego miejsca, usiadłem posłusznie i wbiłem wzrok w podłogę.

Nie to, że byli tutaj tylko żółci. Byłem więcej niż pewien, że dwóch albo trzech z pasażerów jest z Europy, było też kilkoro naszych. Ci jednak starali się nie zwracać na siebie uwagi, doskonale przecież wiedząc, że stąpają po bardzo cienkiej linii.

Kto usiadł zaraz obok mnie? No oczywiście, że ten dupek z Moskwy.

– Ha, kolega już tutaj! Mogę ja przy oknie? – uradował się typ w brązowym garniturze.

Pokazałem mu tylko tabliczkę nad miejscem, bilet.

– Pan tutaj – mruknąłem.

– No tak, ale może się zamienimy? Ja lubię przy oknie siedzieć!

Spojrzałem ciężko na niego, potem na zalepiony ciemną folią bulaj, znów na niego. Chyba zrozumiał, bo wepchnął walizę do schowka i usiadł obok. Siedzieliśmy tak w coraz bardziej nagrzewającym się wnętrzu, oddech za oddechem zużywając drogocenny tlen. Chińczycy oczywiście wyciągnęli już pozawijane w folię kanapki, zaczęli otwierać pudełka z ryżem, rozsypywać to wszystko na ziemię... Zamknąłem oczy, udając, że mnie tam nie ma.

Wreszcie maszyna zatrzęsała się i ruszyła, nawiewy zaczęły podawać powietrze. Czuję, że przemieszczamy się, wyjeżdżamy na pas... Potem silniki zawyły głośniejsz, nabierając obrotów, aż w końcu samolot skoczył naprzód.

Inercja wcisnęła mnie w fotel, a potem ucisk w gardle i osuwający się w okolice miednicy żołądek dały nieomylnie znać, że

wystartowaliśmy.

– Ciekawe, jak to z góry wygląda? – Typek w garniturze wychylił się i sięgnął przede mną, żeby złapać za odstający kawałek zasłaniającej okno folii.

– Człowieku, nie rusz tego – poprosiłem go grzecznie.

– No co? Ciekaw jestem. Nie wiem, w czym problem.

– Nie rusz – powtórzyłem.

Odpuścił, obrażony zaczął patrzeć w drugą stronę. Ja tylko rozejrzałem się, czy nigdzie nie widać obsługi, i szybkim ruchem przyglądziłem oderwany kawałek. Cholera wie, czemu żółtki te okna zaklejają? Pewnie mają w tym jakiś swój cel.

Samolotem rzucało, ludzie kwitowali każdy taki gwałtowniejszy ruch wybuchem okrzyków, zawołań i gwaru... A dla mnie to było jak kołysanka. Miałem fotel przodem do kierunku lotu, nie trzeba było szykować się do skoku, o co tu więcej prosić?

Skrzyżowałem ręce na piersiach, zamknąłem oczy i zwiesiłem głowę. Każda okazja dobra, żeby nadrobić nieprzespane noce.



Śniło mi się coś naprawdę porąbanego. Był tam Valenta, była też Olga i Daniłow, który nie wiedzieć czemu jeździł żółtą wyścigówką wokół NeoSybirska i rozrzucał na lewo i prawo węgiel. Ja przed kimś uciekałem, chciałem się schować, ale nogi miałem takie ciężkie, jak przyklejone, i mimo że przebierałem nimi, to ledwo ruszałem się z miejsca... A potem pośliznąłem się, wypadłem przez okno i zacząłem lecieć w dół, ku ziemi.

Samolot huknął, podskoczył, zapiszczał kołami o pas: wylądowaliśmy.

Przetarłem twarz, zerknąłem na zegarek. Coś za szybko, to pewnie międzylądowanie. Gdzie? Nie miałem nawet pojęcia. Pojawiła się stewardesa, zaczęła wyczytywać z listy nazwiska ludzi, którzy podnosili się z foteli, łapali bagaże i przepychali się ku wyjściu.

– Ciekawe, gdzie jesteśmy. – Sąsiad w garniturze nachylił się ku bulajowi. – A jakby tak...

– Nie – uciąłem krótko.

Część pasażerów wysiadła, zamiast nich doszli inni, wyraźnie mniej liczni.

No tak, pewnie lot był mocno kombinowany, bo teraz pojawili się brodaci, smagli i kędzierzawi – może Turcy?

Patrzyłem sobie na to kiedyś na mapie i gdyby lecieć do Emiratów prosto z NeoSybirsk, to zajęłoby to raptem pięć godzin. Tylko co z tego, skoro się nie dało? Musiałem robić koło przez Moskwę, a potem Jialininggele, a dopiero stamtąd zygzakami zdążać do celu.

Obróciłem się na bok, podłożyłem pod głowę łokieć.
Odeśpię za wszystkie czasy.



Obudziły mnie wrzaski i szamotanina.

Ktoś uderzył mnie po nodze, potem dostałem czymś w głowę. Sąsiad na siedzeniu obok darł się, klął jak szewc, rzucał i wierzgał... Dwaj chińscy stewardzi usiłowali wyciągnąć go z siedzenia.

– Nie dam się! – krzyczał. – Bydlaki wy! Tutaj mam, tutaj będę siedział! Nie wstanę! Nigdzie nie idę!

Z bulaja zwisał zerwany pas folii, a przez dziurę widać było piękne, błękitne niebo i bielusięńkie kłębki obłoków, a pod nimi przesuwaną się ziemię.

Stewardzi odsunęli się, przegrupowali i znów rzucili na ciekawskiego. Ten odskoczył ku mnie, szarpnął folię jeszcze raz, zrywając z okna.

– Faszyci! – zawył.

Odepchnąłem go zdecydowanie: sam się z nimi szarp, jak zacząłeś!

Któryś Chińczyk złapał go za włosy, pociągnął, ten machnął na oślep ręką, trafiając stewarda w zęby. Żółtek krzyknął, łapiąc się za rozbite usta.

I wtedy dociążona sprężynowa pała świsnęła, przecinając powietrze, i trzasnęła mojego sąsiada w bark. Ten wrzasnął głośno, przejmująco – pała uderzyła jeszcze raz, tym razem trafiając go w wewnętrzną stronę uda.

Potężny, nabity mięśniami żółtek sięgnął jedną ręką, złapał garniturka za rękę i wykręcił, a drugą fachowo uderzył pałką po skosie, prosto w brzuch. Drugi ochroniarz podbiegł od strony dziobu samolotu, zamachnął się i wałnął swoją pałą na oślep.

Brązowy garniturek zaskowyczał, zacharczał, zgiał się wpół –

pała opadła kolejny raz, tym razem trafiając w kark.

Ja tylko odsuwałem się coraz dalej i dalej, wciskając w ścianę.

Okładali go na oślep, raz za razem.

W końcu osunął się na podłogę, zasłaniając tylko rękoma głowę, a oni lali go dalej.

Potem zaczęli flekować, jeden fachowo kopnął obcasem od góry w głowę.

Wreszcie przestał się ruszać, a wtedy oni złapali go jeden za rękę, drugi za nogi i powlekli zakrwawionego na tył maszyny.

Nie trzeba dodawać, że typek już nie wrócił. Nie pojawił się ani na drugim międzylądowaniu, ani w trakcie lotu potem...



...ani też gdy zesliśmy w dół i w końcu ciężko usiedliśmy na popękanych asfalcie lotniska docelowego.

Ludzie poderwali się, zaczęli pchać ku wyjściu. Ja odczekałem, aż wyjdą wszyscy, wstałem, przeciągnąłem się i rozejrzałem. Wyjąłem ze schowka walizkę po garniturku.

Grzech przecież, żeby miało się zmarnować.

Kiedy stanąłem w wyjściu z samolotu, od razu owionęło mnie gorące i suche powietrze. Była już noc, lampy lotniska jarzyły się białymi punkcikami... Dalej zaś niepodzielnie królowała smolista, atramentowa ciemność ponad piaszczystymi wydmami pustyni, rok po roku odbierającej to, co i tak od zawsze należało do niej.

Było gorąco, pioruńsko gorąco. Dłonie od razu mi się spociły, poczułem, jak spodnie zaczynają obcierać uda, na czole zaperliły się krople. Niby była noc, więc wedle ich standardów było „zimno”, a ja już bałem się tego, co będzie działo się jutro w dzień.

Zszedłem po pordzewiałych, rozchwierutanych schodkach i wlokąc za sobą walizę, wsiadłem do autobusu, który też pamiętał lepsze czasy.

Pasażerów nie było wcale wielu, z początkowej obsady zostało może dziesięć, może piętnaście osób. Kto w końcu miałby jakikolwiek interes, żeby latać do Emiratów?

Wzbudzając tuman kurzu, przejechaliśmy po zapiaszczonej płycie lotniska, wysiedliśmy przy terminalu. Fotokomórkę dawno już ktoś wyrwał, zostały po niej tylko przewody, więc jakiś cieć ręcznie otworzył nam jedną połówkę pękniętych szklanych drzwi

i wpuścił do środka.

Hala przylotów była ogromna, imponująca wręcz. Potężna struktura ze stali i aluminium, nieregularnie cięte płyty szkła... Poustawiane tu i tam nowoczesne, geometryczne rzeźby, wyłożone marmurem i piaskowcem korytka, po których dnie miała ciurkać sobie krystalicznie czysta woda. Starannie zaaranżowana zieleń, wśród której przybywający tutaj miał poczuć się jak w lepszej, bardziej komfortowej, luksusowej wersji własnego domu.

Teraz jednak wszystko to było ciemne, puste i ciche.

Martwe rośliny stały nieruchomo w suchych donicach, w pustych sadzawkach zbierały się tylko śmieci i kurz.

Rzeźby pokreślone podpisami i wydrapanymi nożem rysunkami były ledwie widoczne: zresztą, kto ich potrzebował, kogo miałyby zainteresować?

W boksach po sklepach i wypożyczalniach samochodów piętrzyły się puste plastikowe butelki, zakurzone płyty warstwowe i niedopałki.

Ciemne holokrany patrzyły na nas popękkanymi, ultracienkimi powierzchniami matowych luster.

W martwych gniazdach ładowania zbierał się kurz.

Ustawiliśmy się krótkim ogonkiem do jedynej działającej z kilkudziesięciu budek odprawy. Siedzący tam przy pojedynczej lampce, znudzony celnik z wielkimi wąsami zupełnie bez emocji patrzył na dane, wyświetlające się na przekłamującym kolory monitorze.

Każdy podchodził, przystawiał nadgarstek do czytnika, a on, nawet nie patrząc, nie czytając danych, tylko klikał: zatwierdzone... zatwierdzone... zatwierdzone...

Tak, potem była bramka wykrywacza, tyle że niedziałająca. Prześwietlenie bagażu, ale nikt nie siedział przy ekranie.

Przeszedłem przez świecącą pustkami, dawno już porzuconą strefę bezcłową i przez otwarte na stałe drzwi wyszedłem przed martwe lotnisko. Przywitało mnie gorąco, niczym nieróżniące się od upału we wnętrzu: w końcu nikt nie marnował tutaj prądu na klimatyzację. Z głośników zaparkowanych wzdłuż chodnika kilkunastu samochodów sączyła się jękliwa muzyka, światło dosłownie jednej latarni wyciągało z mroku chaotyczny postój taksówek.

Poza okręgiem światła rozciągało się istne morze powoli połykanego przez pustynię asfaltu i betonu, z którego wystawały słupy nikomu niepotrzebnych już lamp.

Nad wszystkim tym królowała niepodzielnie czarna, nieprzenikniona i milcząca obojętnością noc.

Wziąłem pierwszą z brzegu takse. Kierowca nawet nie pytał o adres, nic: po prostu wrzucił moje bagaże do kufra, włączył silnik i ruszył przed siebie, dymiąc z rur wydechowych nie do końca przepalonym, słabo rafinowanym dieslem.

Nie musiał pytać. Tutaj była tylko jedna droga i tylko jedno miasto, do którego można było dojechać.

Autostrada ciągnęła się przed nami i za nami przeogromną wstęgą asfaltu, wyłaniając z czerni i znikając w niej, gdy tylko światła samochodu prześliznęły się dalej. Kierowca kluczył pomiędzy wyrwami, omijał nawiane przez piach wydmy i porzucone nierzadko na środku drogi, podziurawione kulami, wypalone i pordzewiałe samochody.

Przejeżdżaliśmy chyba pod wiaduktem, na którego szczycie pełgał pojedynczy punkcik świetlny ogniska. Zdawało mi się, że widziałem sylwetki siedzących przy ogniu ludzi, zawiniętych w długie, białe szaty. Obok nich przysadzisty, wołokowy namiot i jakieś zwierzęta.

Tak to musiało wyglądać kiedyś, przed wiekami, nim prawdziwa cywilizacja przyszła z elektryczności – i tak wyglądało teraz, gdy już odeszła.

Nawet nie zauważyłem momentu, kiedy wjechaliśmy do samego miasta. W pewnej chwili po prostu zorientowałem się, że po lewej i prawej mamy już ulicę, a reflektory taksówki odbijają się w zakurzonych, popękanych szybach kiedyś luksusowych sklepów.

Przesunąłem się bliżej drzwi i przykleiłem twarz do szyby, próbując wypatrzeć coś więcej w mroku.

Widziałem, jak na tle rozgwieżdżonego nieba przesuwały się ciemne, milczące kształty. Kilkudziesięciopiętrowe wieżowce, potężne kwartały biurowe, siedziby firm, hotele... Nie to, że bloki mieszkalne, ale apartamentowce o szerokich, kaskadowych tarasach niegdyś pełnych zieleni.

Nisko ponad horyzontem wisiał pomarańczowy, wielki księżyc, ale jego światła było zbyt mało, abym cokolwiek dostrzegł... No nic, wycieczkę po mieście duchów zostawię sobie na jutro.

Taksówka skręciła w bok, kierowca, o nic nie pytając, zaparkował przy jednym z nielicznych budynków, gdzie jeszcze paliło się światło. Bez słowa podsunął mi czytnik, ja bez pytania przystawiłem nadgarstek: tutaj nie było cennika, płaciło się tyle, ile żądał usługodawca.

Otworzyłem drzwi i próbując nie myśleć o tym, że czuję się, jakby ktoś dmuchał mi w twarz suszarką do włosów, przetruchtałem po schodkach do wejścia.

W środku chyba nawet działała klima, bo było minimalnie chłodniej. Siedzący za kontuarem czarniawy typek nie podniósł się, zmierzył mnie tylko znudzonym wzrokiem.

– *Ahlan wasahalaan bik iila madinat Dubai* – odezwał się.

– E... *parlez-vous français?* – odparowałem, żeby nie być gorszym.

Podstawił mi czytnik, ja przyłożyłem nadgarstek. Ekran wyświetlił mój dowód, ale zamiast liter były jakieś idiotyczne znaczki; on też się wkurzył, zaczął coś zmieniać w ustawieniach systemu. W końcu zawołał z zaplecza drugiego, młodszego. Ten odhaczył dwie opcje, zmienił stronę kodową, uśmiechnął się do mnie przeprasząco.

W końcu szczytali moje dane, pobrali z karty opłatę i kaucję w tak absurdalnej wysokości, że aż dwa razy sprawdziłem stan konta. No, no, no... Widać, że tutejsze ceny jeszcze nie dogoniły zmienionej rzeczywistości.

Mój pokój był mały, obskurny i najzwyczajniej w świecie śmierdzący. Nietrudno było się domyślić, że wcześniej stanowił część jakiegoś większego apartamentu, teraz podzielonego na kilka mniejszych klitek ścianami z prefabrykatów. Walnąłem swoje i nie swoje bagaże pod ścianę, zrzuciłem przepocone ubranie i wskoczyłem pod prysznic na kredyty.

Kiedy z deszczownicy poleciała lekko zatęchła woda, a ustawiony przed twarzą licznik zaczął nabijać cyferki, po prostu zamknąłem oczy.



Obudziłem się za wcześnie, zdecydowanie za wcześnie. Nawet nie dlatego, że prosto w twarz zaświeciło mi wstające słońeczko: po prostu zrobiło się nagle tak gorąco, że nie byłem w stanie uleżeć w łóżku.

Już z okien swojego pokoiku widziałem część panoramy martwego miasta i przyznaję: wrażenie było piorunujące.

Jeden z moich znajomych był tutaj i opowiadał mi co nieco, więc niby byłem przygotowany. Na coś takiego jednak człowiek nigdy nie jest przygotowany.

Jeszcze dwadzieścia, trzydzieści lat temu Dubaj i w ogóle całe Emiraty były pępkiem świata. Miasto zbudowane od zera pośrodku jałowej pustyni, postawione niczym gniewna pięść wzniesiona ku niebu: tak, człowiek potrafi wszystko!

Umiemy stworzyć żyzną oazę na pustkowiu.

Potrafimy odsolić wodę i przetworzyć energię słońca na prąd.

Śpimy na ropie, więc zasobna przyszłość nasza, naszych dzieci i wnuków jest zagwarantowana.

Przyjeżdżali tu wszyscy, miały swoje biura największe światowe firmy i banki. Każdy szanujący się bogacz kupował tu dom albo chociaż apartament; mieszkający w sięgających chmur szklanych wieżach multimilionerzy nawet nie dotykali przeznaczonej dla zwykłych śmiertelników ziemi, przemieszczając się wszędzie śmigłowcami.

A potem przyszedł kryzys.

Tak po prostu, z tygodnia na tydzień złoto zamieniło się w popiół. Druga wojna krymska i wywołane przez nią sankcje wstrząsnęły do głębi całą architekturą świata gospodarki, powodując potężne przetasowania w globalnej finansjerze.

Włodarze Emiratów zagrali najbezpieczniej, jak potrafili, decydując się na pełną, otwarcie deklarowaną neutralność.

W efekcie odwrócili się od nich i jedni, i drudzy.

Podobno wytrzymali dziesięć lat, zanim przyszli do USA na kolanach i z czapką w dłoniach. Stany, oczywiście, wyciągnęły pomocną dłoń – i wprowadziły swoje nowe, drapieżne firmy wydobywcze.

W ciągu kolejnych dziesięciu lat Ameryka wydrenowała Emiraty z ropy co do kropli, a potem sobie poszła, zostawiając niegdysiejszego giganta samemu sobie.

Jedna po drugiej firmy zwinęły się, ludzie zaczęli wyjeżdżać. Hotele podupadły, lotnisko straciło dynamikę. Firmy budowlane przeniosły się gdzie indziej.

Dubaj zaczął gnić za życia.

Teraz, za mojej pamięci, było to miasto duchów, kawałek po kawałku pożerane przez pustynię.

Pozbawiona filtracji i nawadniania metropolia znikła w oczach.

Piach przesypywał się po wyłożonych marmurem korytarzach. W pozostałościach apartamentowców gnieździł się potomkowie Beduinów.

Na porośniętych suchą trawą polach golfowych pały się stada kóz.

Podobno w niektórych posiadłościach nadal można było znaleźć skarby ze złota, platyny i diamentów, porzucone przez właścicieli, którzy wynosząc się stąd, woleli zamiast nich zabrać kilka butelek wody więcej. Mój znajomy był takim właśnie poszukiwaczem skarbów, przekopującym się przez te współczesne ruiny... Ale to było kilka lat temu.

Dziś nie było tutaj naprawdę, ale to naprawdę nic.

Patrzyłem na porzucone, szczerbate wieżowce. Widziałem, jak wiatr zarzuca tumanami mialkiego piachu, ziarenko po ziarenku zasypującego recepcje, sale negocjacyjne, wykwintne restauracje i parkingi, na których stały już na zawsze nikomu niepotrzebne luksusowe samochody.

Teraz w mieście zostali tylko desperaci.

Tak, istniała tu nadal wężutka kasta oligarchów, szejków i milionerów, którzy stwierdzili: nie potrzeba nam państwa, damy sobie radę sami. Każdy z nich posiadał własne elektrownie, stacje filtrowania wody, słowem własną infrastrukturę. Żywili i utrzymywali swoje prywatne armie, mieli farmy żywności... Czasy wczesnoplemienne.

Poza nimi można tu było znaleźć tylko wyrzutków, mimo wszystko lgnących do sławy Dubaju jako miasta-azyłu, bezpiecznej przystani poza jurysdykcją światowych sądów.

I to właśnie pomiędzy nimi miałem nadzieję znaleźć naszego dłużnika.

Kupiłem w recepcji hotelu – notabene jedyne wcięż działającego – biały płaszcz, opłaciłem prawo pobytu na kilka dni. Dostałem zupełnie nieaktualną mapę i garść bezużytecznych porad w łamanym rosyjskim... Znać, że nasi nadal bywali tu częstymi gośćmi.

– Valenta? – zapytałem bez szczególnej nadziei, potem pokazałem zdjęcie. – Marco Valenta?

Typek pokręcił głową, rozłożył ręce. Nawet jeśli tamtego widział, nie wolno mu było o tym mówić; ot, takie reguły miasta.

Za dzikie pieniądze wypożyczyłem sobie terenowego łazika, wrzuciłem do niego butelkę wody. Za pazuchę wsadziłem pistolet, do kieszeni puszkę coli, która zawieruszyła mi się z wyprawy do babci szamanki... Ruszyłem pozwiedzać ten szkielet miasta.

Dubaj za dnia robił jeszcze straszniejsze wrażenie niż nocą. Błękitne niebo, złocisty piasek – i wystające z niego resztki ongiś wspaniałej cywilizacji, teraz wartej mniej niż beton, z którego wzniesiono wieżowce. Jechałem powoli, rozglądając się na lewo

i prawo, próbując wniknąć w sposób myślenia Valenty.

Bo przecież dla niego to wcale nie był koniec. Zapewne uważał, że to przejściowa niedogodność, wycofanie się na z góry upatrzone pozycje. Wiedział, że musi zalec na dnie, ale z drugiej strony nie będzie chciał oddalać się zbyt od tego, co uważał za centrum wydarzeń.

Miałem w zegarku opracowaną przez Kulasa i Mykołę listę potencjalnych lokacji, gdzie Piliarski mógłby umieścić naszego Valentę. Nawet nie próbowałem ich pytać, jak to zrobili, skąd wiedzieli, na podstawie czego... Ot, praca operacyjna, i tyle.

Tylko że oni siedzieli sobie tam, w spokojnym, bezpiecznym NeoSybirsku, żarli gównem z plastiku i gadali o pierdołach. A ja musiałem to wszystko sprawdzić organoleptycznie.

Zatrzymałem samochód na zapiaszczonym parkingu pod pierwszym pasującym adresem, wysiadłem z nagrzanego wnętrza na upiornie nagrzaną ulicę.

– *Bonjour, je cherche Marco Valenta* – zatrajkotałem w języku Villona i Voltaire'a, wchodząc do pomieszczenia, w którym siedzieli bywalcy jednego z działających apartamentowców.

Zapadła cisza, kilkanaście par oczu zwróciło się ku mnie jak na starym westernie.

– Szukam Marco Valenty – powtórzyłem po rosyjsku.

Od stołu bilardowego oderwał się wielki, wytatuowany typ. Dwa pomarańczowe wszczepy oczu jarzyły się złym blaskiem, po protezie potylicy biegły kolorowe przewody augmentowanego systemu hormonalnego... Z jakiegoś powodu od razu uznałem, że to jeden z naszych.

– Spierdalaj, łowco nagród! – charknął po rusku. Ano, swój swojego pozna.

– Szukam tego człowieka. – Podniosłem lewą rękę, wyświetlając hologram zdjęcia Valenty, a jednocześnie prawą wyjąłem z kabury pistolet i wycelowałem w kierunku wytatuowanego, który wychodził właśnie na prostą ku mnie. Zwolnił, zatrzymał się, uniósł ręce. Każdy nagle traci rezon, spoglądając w wylot lufy. – Widział go ktoś? Słyszał o nim?

Cisza. No tak, nie spodziewałem się więcej: tutaj po prostu wszyscy wszystkich kryli. Cóż, będę próbować do skutku.

Skreśliłem w myślach pierwszy adres, ruszyłem w objazd po kolejnych.

Miasto duchów nieodmiennie witało mnie tak samo: niechętną ciszą, wrogimi spojrzeniami. W kilku miejscach, które wytypowali

dla mnie Kulas z Mykołą, faktycznie znalazłem pochowane po ruinach, dość umiejętnie zamaskowane mieszkanca. No, bardziej lisie nory – dobry widok na podejście, własny zapas wody, pomontowane na dachach baterie solarne.

W jednej takiej kryjówce ktoś nawet był, więc przysiadłem sobie dwa domy dalej i siorbiąc odfiltrowaną z własnego potu wodę, czekałem. Prędzej czy później wyjdą przecież, pokażą się...

Wyszli – trzech mężczyzn, wnosząc po wyglądzie i wyposażeniu, płatnych zabójców. Nawet tacy jak oni musieli się czasami przyznać i przeczekać burzę, którą przeważnie sami prowokowali. Ciekawe, interesujące, ale to nie ich szukałem i na pewno nie ich chciałem znaleźć.

Pierwszy dzień upłynął mi właśnie pod takim znakiem. Już wracając do hoteliku, powziąłem twarde postanowienie: jak tylko moja noga postanie w NeoSybirsku, pójdę sobie na basen. Prawdziwy, z wodą bez domieszki chemii i w ogóle. I kupię sobie zgrzewkę czystej wody, którą będę trzymać w lodówce tak długo, aż na butelkach osiadzie szron.

A przede wszystkim wezmę długi, zimny prysznic.

Słońce zaszło, punktowo zrobiło się ciemno. Jakby ktoś wajchę przełożył: pach, i jest noc.

Zjadłem byle co z przywiezionych ze sobą zapasów, posiedziałem trochę w fotelu, patrząc na martwą metropolię. Miasto błyskawicznie pogrążyło się w mroku, po pustych ulicach poniosły się jęśliwe nawoływania muzułmańskich modlitw... Dalej, na przedmieściach widać było pojedyncze kropki świateł i pomarańczowe punkty ognisk.

Ciemność, spokój. Ciekawe, czy mój NeoSybirsk też czeka podobny los? Czy pewnego dnia ludzie zaczną uciekać, przeprowadzać się gdzie indziej? A może...

Nie wiem jednak, co „może”, bo jakoś tymczasem głowa opadła mi na piersi i zasnąłem.



Tym razem wstałem jeszcze wcześniej, ledwie słońce wychyliło się zza horyzontu. Lekka przekąska w garść, dwie butle wody do wozu i naprzód, zanim ze zwykłego upału zrobi się upał nieludzki, przerażający, iście piekielny.

Zostało mi do objechania dosłownie pięć lokacji. Czemu akurat te, skąd poprzednie? To one figurowały na liście nieruchomości, będących własnością jednej ze struktur Piliarskiego. Oczywiście, mógł mieszkać w nich, jak widać, ktokolwiek...

Ale należało przerobić wszystkie opcje, prawda? To się nazywało: technologia pracy.

Minąłem potencjalny cel, zaparkowałem samochód w resztkach centrum handlowego kawałek dalej. No nie chciało mi się piechotą iść, ale co ja zrobię? Nawyki z Legii silniejsze, nigdy się nie podchodzi drogą na wprost.

Niedobudowany wieżowiec wznosił się klatką z betonu i aluminium, do połowy wysokości już obłożoną zmatowiałymi, zakurzonymi płytami szyb. Widziałem panele solarne doczepione do wyższych pięter, na zapleczu działała nawet instalacja drenująca zasolone wody gruntowe. Wyglądało na to, że gnieździło się tutaj jeszcze kilku ostatnich rezydentów.

Na dole funkcjonowała nieformalna recepcja: dwóch ponurych, brodatych arabusów podniosło się z krzeseł, kiedy wszedłem przez rozsuwane drzwi. Jeden wymownie przerzucił na przód zmodyfikowany karabinek bezłuskowy systemu Kałasznikowa.

– Piliarski – odezwałem się do nich od razu, uprzedzająco. Wyciągnąłem z kieszeni kurtki swój dowód, pomachałem przed oczami: szansa na to, że znają i potrafią odczytać cyrylicę, była bliska zera. – Gennadij Piliarski. Mieszkam tutaj, moje apartamenty. *Comprenez-vous?*

Pokazałem palcem na siebie, na górę, że niby tam jest moje lokum. Jeden skrzywił się, ale drugi pokiwał głową, rozciągnął się w uśmiechu złotych zębów:

– Orrajt, jes, jes! Gudmorning, majfriend!

– Ja ci dam majfriend, ciapaty brudasie jeden – odparłem z uśmiechem, kierując się ku schodom na górę.

Nawet nie miałem zamiaru sprawdzać, czy winda zadziała. Poza tym, jeśli tym przyjdzie do głowy powiadomić mieszkańców apartamentu – o ile jacyś byli – to w wypadku, gdyby tamci mieli zamiar uciekać, statystycznie raczej skoczą ku schodom.

Nie przyszło. Wdrapałem się na siódme piętro, odsapnąłem nieco: oj, kondycja już nie ta, a jakoś nie mogłem wziąć się za te ćwiczenia. Zalewając się potem, doczłapałem jeszcze trzy piętra wyżej, na najwyższą zabudowaną kondygnację.

Korytarz, kilkoro drzwi. Znalazłem te z właściwym numerem. Nadal dysząc ciężko, stanąłem nieco z boku, żeby mi ktoś nie strzelił

prosto w piersi, i przycisnąłem guzik dzwonka. Zaćwierkotał jakąś pretensjonalną, irytującą melodyjką. Poczekalem chwilę: nic, cisza, zero...

Już odwróciłem się, żeby odejść, kiedy zapaliła się lampka interkomu.

– Czego? – warknął głos po rosyjsku.

– Ja, eee... szukam pana Gennadija – podałem ten sam tekst, co wszędzie. – Bo pieniądze mu chcę oddać.

Logiczne, nie? Jakbym chciał zabrać, to i tak nikt nie otworzy. A z frajerem chętnie każdy pogada.

– Nie ma go – znów odezwał się głośnik.

– Ale... to jego mieszkanie?

– Nie ma go, mówię.

– No dobrze, przepraszam w takim razie. A może mi pan powiedzieć...

– Stiopa, kto to? – nagle usłyszałem w interkomie trzeci głos.

Tak jak gdyby ktoś podszedł do rozmawiającego i zajrzał mu przez ramię, a mikrofon przypadkiem wychwycił pytanie. I teraz pewnie patrzyli obaj w ekran... Pozna mnie, nie pozna?

Kamerka zgasła: poznał, wyłączył komunikator.

Ale ja też rozpoznałem głos: Valenta.

I to był ten moment, kiedy wszystko rozstrzygało się w przysłowiowych ułamkach sekund.

On tam był. Był też z nim ktoś inny. Na pewno nie jego kobieta, raczej ochroniarz. Ja byłem tu, oni byli tam. Poznał mnie, wiedział, kim jestem.

Skoczyłem w bok, jednocześnie rozpinając kurtkę jedną ręką i sięgając drugą po pistolet.

Odwiedzenie kurka, zamek sam skoczył w tył, wprowadzając nabój do komory. Przycelowanie w futrynę obok zamka, siatka celownicza zapięła się minimalnie później, niż ja ustawiłem przyrządy celownicze w jedną linię.

Palec ściągnął spust.

Pierwsza kula wyleciała przez drzwi w momencie, kiedy ja już oddawałem strzał. Drugiej nie zanotowałem, bo ogień u wylotu lufy i szarpnięcie broni pochłonęły całą moją uwagę; trzecia i czwarta poszły już bardziej w lewo, niebezpiecznie w moim kierunku.

Drzwi nie były pancerne! To zmieniało postać rzeczy.

Spojrzałem centralnie na nie, strzał! Potem nieco w prawo, ku domofonowi – strzał!

W odpowiedzi ze środka znów zagrzechotał pistolet maszynowy.

Jeszcze jeden strzał w zamek, odskoczyłem w bok, pod ścianę. Zabrzęczała tocząca się łuska, kawałek posiekanej kulami marmurowej płyty oderwał się od ściany i z łoskotem roztrzaskał o podłogę.

Wdech, wydech, wdech, wydech, wstrzymaj powietrze.

Przeskoczyłem przed drzwiami, w biegu raz jeszcze dałem ognia centralnie w środek, dopadłem do drugiej strony. Nic.

Albo na mnie czekał, albo...

Wielu rzeczy nas uczyli w Legii, ale na pewno nie zastanawiania się.

Kopnąłem z całej siły w drzwi, te wypadły z jękiem z rozwalonego zamka i uderzyły w ścianę. Odczekałem chwilę, kolejny wydech, wdech – skok do środka, rzut plackiem na glebę, broń przed sobą!

O matulu słodka, ale mnie zaboląły odbite jeszcze przez Olgę żebra.

Spokój, tylko dymiące łuski na podłodze. I krew, czyli jednak go trafiłem. Nie czekał tu, w korytarzu, więc pewnie był dalej.

Jak będę wchodził, to mnie wyjmie na czysto.

Sukinsyn.

Podniosłem się, dysząc ciężko, przesunąłem wzdłuż ściany. Tak, tam musiał być salon albo inny hol i on gdzieś tam się przyczaił. Znając życie i domorosłych ochroniarzy za dychę, to za kanapą. A teraz krwawi i na mnie czeka.

A ja muszę wykonać pierwszy ruch. I nie mam pojęcia, co...

Coś twardego uwierało mnie w biodro. Sięgnąłem do kieszeni, wymacałem obły, zimny kształt puszkki coca-coli. Twardy, metalowy walec z zawleczką.

I wtedy do głowy przyszedł mi zupełnie idiotyczny, błazeński wręcz pomysł.

Schowałem pistolet do kabury, wyciągnąłem puszkę i potrząsnąłem konkretnie. No, to będzie głupie, srogo głupie...

– Granat!! – wrzasnąłem na całe gardło, przytknąłem zawleczką i z zamachu rzuciłem puszkę za róg pokoju.

Syczący, ciągnący za sobą brązowy pióropusz pocisk odbił się od ściany, dodatkowo wzburzony płyn siknął ze zdwojoną mocą, posyłając wirującą puszkę na sam środek salonu. Ktoś zahurgotał i gwałtownie poderwał się z ukrycia, chcąc jak najszybciej dopaść zbawiennego schronienia, jakie mogło dać mu inne pomieszczenie.

Wyskoczyłem zza rogu, złapałem w celownik bojowy rozmazany kształt biegnącego na łeb na szyję ochroniarza i dwa razy

ściągnąłem spust.

Pistolet huknął, skoczył w rękę.

Rozmazany kształt plasnął na ziemię i nabrał ostrości, jednocześnie gwałtownie tracąc płyny ustrojowe.

Przebiegłem od razu na drugą stronę pokoju, po drodze kopnąłem upuszczoną przez tamtego broń. Przypadłem do ściany, podniosłem drugą ręką pistolet maszynowy... Powinien mieć jeszcze kilkanaście kul w magazynku.

Cisza. Oddychałem szybko, gwałtownie, serce waliło mi jak oszalałe. Mógł być jeszcze jeden albo i dwóch!

Szybko skoczyłem do sąsiedniego pomieszczenia, omiotłem bronią, dopadłem do okna, celując we wnękę niedokończonych łazienki... Czysto, raczej czysto. Starąłem się jednocześnie nie spuszczać z oka wyjścia, żeby mi ptaszek nie dał dyla, więc zerkałem to tu, to tam...

– Porozmawiajmy! – rozległ się nagle głos Valenty.

Zamarłem. To mogła być pułapka, to na pewno była pułapka. Przyjdę do niego, a on mnie zastrzeli. Albo każe to zrobić komuś innemu.

Nie. Gdyby był ktoś inny, to już by do mnie strzelali, pomyślałem.

Więc został tylko on.

Zauważyłem stojące na stoliku w salonie dwa kieliszki. Dwa. Przecież z ochroniarzem raczej nie pił.

– Wychodź! – zawołałem. – Mam twoją kobietę!

Chwila ciszy.

– Ale przecież Anna jest tu ze mną – odezwał się tamten skądś z głębi apartamentu.

Debil. No debil, jak mi Bóg miły! Skoro wie, że ja blefuję, to mógłby mnie pociągnąć, udać, że uwierzył. A ten: nie, przecież nie... Chyba że naprawdę nie miał już dokąd ani za co uciekać.

– Wychodź! – powtórzyłem.

Zaszurały zbliżające się kroki. Przytuliłem się do futryny, żeby mieć jak najlepszy kąt ostrzału na cały hol, zacisnąłem rękę na chwycie pistoletu, skaczącego za nerwowymi ruchami gałki ocznej.

Wyszedł. Po prostu wyszedł do mnie z rękoma w górze, a za nim ta jego plastikowa lala.

Widać było, że to już nie ten sam człowiek. Schudł wyraźnie, lekko poszarzał na twarzy. Wyhodował kilkudniową bródkę. Owszem, nadal równo przystrzyżoną, ale zmianę dało się dostrzec od razu.

I tylko oczy były te same – pełne blasku nadziei, żarzące się

irracjonalnym oczekiwaniem tego, że los mimo wszystko się odmieni.

– Panie Aleksandrze! – Zdołał przywołać na twarz uśmiech.

Nie, nie „przywołać”. On się uśmiechnął. Szczerze, promiennie, radośnie.

Nie „tak jakby” się cieszył – on się faktycznie cieszył.

Musiał mieć mózg już tak przeżarty przez te kołczingowe brednie i powtarzane mantry trenerów osobistych, że naprawdę, autentycznie w to wszystko wierzył. A przede wszystkim wierzył w siebie.

– Ręce w górze trzymaj! – warknąłem, widząc, że chce je opuścić.

Błyskawicznie uniósł łapy wyżej. Tak, dopiero w twarzy jego kobiety zobaczyłem prawdziwy strach. Ona patrzyła na leżącego w kałuży krwi ochroniarza i doskonale wiedziała, że żarty się skończyły.

– Oczywiście, oczywiście! Ale nie ma powodu do takiej nerwowości, panie Aleksandrze. Może naprawdę porozmawiamy na spokojnie?

– Dawaj komunikator!

Odpiął, podał bransoletkę zegarka. Pokazałem ruchem, że mają oboje siadać na kanapie, sam cofnąłem się do korytarza i przymknąłem drzwi. Wróciłem: siedzieli w tym samym miejscu, on klarował jej coś półszepem.

Przejrzałem historię połączeń: przez ostatnie dziesięć minut nie dzwonił do nikogo, nie wysyłał wiadomości. Czyli nie musiałem obawiać się, że nagle wpadnie tu kawaleria.

– Siedzieć! – poleciłem, a sam na szybko, nie spuszczać ich z oka na dłużej niż chwilę, obszedłem apartament.

Niedokończony drugi salon, wielka kuchnia z zagospodarowanym tylko jednym rogiem. Trzy sypialnie, z czego w jednej rozbabrane łóżko z dużą ilością ciuchów dokoła, a w drugiej prosty materac i dwie torby podróżne. Łazienka, pusty balkon przysypany piachem i śmieciami.

Bez holoprojektora, bez telewizji, bez stałego dościa do Strumienia ani Internetu.

To naprawdę była ostatnia kryjówka, zrozumiałem. Żadna tymczasowa baza operacyjna, wcale nie lokal przejściowy na drodze ku czemuś lepszemu. To autentycznie było miejsce, do którego się ucieka, gasi światło, naciąga kołdrę na głowę i ma nadzieję, że nic złego się nie stanie.

No cóż, tak się przezabawnie złożyło, że właśnie stałem się ja.

Wypiąłem z pistoletu maszynowego magazynek, wyrepetowałem nabój z komory. Znów wsunąłem magazynek na miejsce i z tak przygotowaną, roboczo unieszkodliwioną bronią wróciłem do salonu.

Siedzieli obok siebie, karnie i posłusznie. Z rozmachem huknąłem peemem o blat stolika, kładąc go ręką ku Valencie. Strzelił oczami na broń, na mnie, znów na broń... Przełknął ślinę, odchylił się na kanapie.

Wiedział, po co to zrobiłem. To było jak danie ostatniej szansy, z której on musiał dobrowolnie zrezygnować.

Przekręciłem sobie fotel przodem do nich, rozsiadłem się wygodnie, trzymając rękę z bronią na podłokietniku. Lufa pistoletu posłusznie podążała za ruchami moich gałek ocznych.

– Trzydzieści milionów rubli – powiedziałem powoli i dosadnie.

– Panie Aleksandrze, przecież mówiłem panu już. Nie mam...

– Trzydzieści. Milionów. Rubli – powtórzyłem. – Ani kopiejki więcej, ale też ani kopiejki mniej. Trzydzieści milionów, które pana firmy były winne K-Mer Corp, a które teraz są winne osobiście panu Daniłowowi.

– Ależ to są długi firm, nie moje!

– Tylko że firmy są pańskie. Proszę, bo ja naprawdę nie mam ochoty przechodzić przez to po raz kolejny. Jestem tutaj, więc to chyba jasne, że będziemy szli za panem do końca.

– Ale ja mówię panu, to nie moje długi! Nie mam tych pieniędzy, przecież ich nie brałem! Gdybym wziął, to mógłbym oddać, a tak? Ja ich naprawdę nie mam.

Cały czas patrzył mi w oczy, mówił z lekkim uśmiechem, na luzie. Doskonała kontrola mimiki i ruchów. Piękny przykład człowieka, który naprawdę panował nad sobą. Gdybyśmy targowali się o coś albo gdyby próbował mnie do czegoś przekonać, to pewnie puściłby mnie z torbami.

Ale to nie były rozmowy biznesowe, a on nie miał w ręku nic, co mogłoby mnie zainteresować. Ja zaś nie byłem negocjatorem, a wyłącznie egzekutorem.

– Trzydzieści milionów, panie Marco. Upłynnił pan aktywa, polikwidował firmy. Ma pan tę gotówkę.

– Nie! Naprawdę nie. To poszło na spłaty innych zobowiązań, a ja teraz rozkręcam kolejny biznes. Może pan też chce zarobić? – ożywił się. – Niech pan przekona Daniłowa, że go spłacę. Za rok, dwa, trzy, ja to odrobuję, i jeszcze zarobię dziesięć razy tyle! I wtedy wszyscy będą zadowoleni...

– Nie. Pieniądze tu i teraz, dziś.

Zaśmiał się, przewrócił oczami.

– Ale ja mówię, że nie mam!

Musi kłamać, pomyślałem. Przecież miał ten apartament, miał ochroniarza. Za coś przyleciał tutaj.

Dopóki będę uprawiał z nim szermierkę słowną, to będę na jego gruncie, na jego zasadach. Albo nie ugram nic, albo on, nie daj Boże, przekona mnie, żebym mu odpuścił.

– Nie ma pan. – Skrzywiłem się. – A ochroniarz nie chciał mnie zabić. I wcale nie pan mu kazał tego zrobić.

Strzelił oczami w bok, na trupa w kałuży krwi.

– Stiopa spanikował. – Uśmiechnął się.

– Nie. Stiopa nie spanikował, tylko takie miał rozkazy. Miałem zginąć, tak samo, jak zginęli Matwieszuk i Sobkow.

– Co? – Potrząsnął głową.

– Proszę nie udawać. Oni wszyscy byli w to zamieszani i chodziło tylko o te pieniądze i o podsłuchy. Jedno kryło drugie.

– Nie! No co pan? To przecież Sobkow mnie w to wciągnął!

– Bzdura.

– Mówię panu! Ja tylko usłyszałem na nagraniu jedną ich rozmowę. Wtedy, co mówili, że mają problem z gubernatorem i potrzebują pieniędzy. I to on mi potem powiedział: wejdź w to z nami, tam jest niewiarygodna stopa zwrotu! W momencie, kiedy miałyby ruszyć ta technologia, to my wszyscy...

– Dość. Trzydzieści milionów.

– Ale to ważne! Jeśli nie zrozumie pan tego, to...

On tak mógł w nieskończoność. Gadałby i gadał, mydlił mi oczy, urabiał i przerabiał. Z tego przecież żył, to było jego specjalnością: ugadywanie ludzi. I prędzej czy później ugadałby też mnie.

Tyle że mnie nie było na to stać.

Podniosłem pistolet, wycelowałem mu pomiędzy oczy. Siedząca obok kobieta podskoczyła i pisnęła, ale on tylko rozłożył ręce.

– Panie Aleksandrze, co pan? Jeśli mnie pan zabije, to Daniłow już nigdy nie odzyska tych pieniędzy. Pan mnie powinien właśnie na odwrót: chronić!

– Trzydzieści milionów – warknąłem.

– Mówię panu, że...

Spojrzałem na Annę, pistolet podążył za mną. Kobieta zastygła w bezruchu, wielkie oczy rozszerzyły się jeszcze bardziej.

A potem spojrzałem jej na piersi. Ześliznąłem się wzrokiem po dekolcie, po odkrytym brzuchu.

Aż ku idealnie gładkiemu, lśniącemu brokatową mgiełką do ciała kolana.

I ściągnąłem język spustu.



Dawno, dawno temu, w innym życiu, robiło się różne rzeczy.

Człowiek wybijał zęby. Łamał ręce i nogi. Jeździł po długi z nożycami hydraulicznymi, w które wsuwało się palce delikwentów.

To były dawne, złe czasy, o których naprawdę wolałem zapomnieć. Tylko czasami zdarzało mi się budzić w nocy z czołem zlanym potem, kiedy taka czy inna scena wracała nazbyt przekonującą wizją. Kiedy w uszach rezonowało echo czyjegoś krzyku.

Skończyłem z tym raz na zawsze, kiedy wstąpiłem do Legii. Raz na zawsze zamknąłem ten rozdział, pochowałem starego siebie. Tamten Sasza umarł i pogrzebałem go.

A jednak, jak się okazało, czasami upiory przeszłości powracają, aby nas nawiedzać.



Pistolet kopnął i huknął basem, wypluwając kulę.

Walec ołowiu śmignął przez półtora metra dzielące wylot lufy od celu. Przebił rzepkę kolana, jakby to był papier, zgruchotał łączenie stawu, zamieniając po drodze w sieczkę główki kości udowej i piszczeli, porwał na strzepy więzadła i wyskoczył przez łokotkę, zabierając po drodze całą torebkę stawową. Zagrzebał się w plastiku i gąbce kanapy, poszarpał sprężyny, aż w końcu przebił tylną ściankę mebla i wyrwał dziurę w marmurowej posadzce.

Kobieta wrzasnęła dojmująco, wysoko. Szarpnęła się w bok, kopnięciem drugiej nogi niemalże przewróciła stolik, chwyciła za przestrzeloną nogę i poleciała z krzykiem na podłogę, zaczęła wic się z bólu.

Valenta też krzyknął, rzucił się za nią, wyciągnął ręce – i zamarł, patrząc w dymiący otwór lufy pistoletu.

– Trzydzieści milionów rubli – wycodziłem.

– Coś ty zrobił?! – krzyknął, chwytając się za głowę. – Człowieku, no coś ty! Coś ty...! Jezu, Jezu, przecież ona się wykrwawi!

– Trzydzieści milionów – powtórzyłem przez zaciśnięte zęby.

Żołądek zwinął mi się w supeł tak bardzo, że aż czułem, jak rzygi podchodzą do gardła. Rzeczywistość popłynęła rzeką, miałem wrażenie, że siedzę na karuzeli, a w uszy i nos ktoś tłoczy mi pod ciśnieniem słoną wodę.

Valenta skoczył ku niej, przypadł na kolana, chciał złapać za ranę.

Nie bardzo było za co, szczerze mówiąc. Noga trzymała się na strzępach skóry, spod spodu widać było różową kość i białawe kawałki osteowszczepów... No tak, pewnie przedłużała sobie nogi, a jakże. Krwawiła przez to nieco mniej, ale jucha i tak lała się strumieniem, przy każdym jej ruchu wszystko przesuwawało się i chrzęściło, ona krzyczała, tamten coś do niej wołał.

Stałem nad nimi z pistoletem, wycelowałem w jej drugie kolano i zapiąłem celownik.

– Trzydzieści milionów! – krzyknąłem na Valentę.

Spuściłem kurek, potem celowo odwiódłem. Wiedziałem, jakie wrażenie robi ten pusty gest i odgłos na maluczkich.

I w tym momencie on pękł.

Widziałem w jego oczach, jak nagle podjął decyzję. To był ten moment, że albo rzuci się po leżący na stoliku pistolet maszynowy i spróbuje mnie zabić, albo też zrobi, cokolwiek mu się każe. Każdy, każdy! Każdy ma to miejsce, na które można nacisnąć i w którym da się go złamać.

A u tego nieszczęsnego bałwana okazała się to być właśnie ta wypindrzona, wypacykowana, nadmuchana lala.

– Proszę, nie... – powiedział matowym głosem, wyciągając przed siebie ręce błagalnym gestem.

– Niestety. Dostałem wyraźne polecenia i mam do wykonania pracę.

– Ja naprawdę, naprawdę nie mam tych pieniędzy! – zaszlochał. – Błagam! Przecież ona krwawi, czy ja mogę ją...

Sięgnąłem wolną ręką do paska, odpiąłem kieszeń medyczną i rzuciłem na podłogę obok niego. Zrobił gest, jakby chciał wyciągnąć po nią dłoń już nią teraz, ale ja tylko przydepnąłem pakiet.

– Trzydzieści milionów.

To był blef. To jest wijąca się, szlochająca i krwawiąca kobieta nie była, naturalnie, blefem. Ale jeśli on teraz powie, że nie, że nie ma,

nie może, nie potrafi, to ja... to ja zwyczajnie nie dam rady zrobić nic więcej. Już teraz kręciło mi się w głowie, ledwie powstrzymywałem nudności, brakowało mi oddechu.

Valenta podniósł na mnie wzrok. W oczach miał najprawdziwsze, nieudawane łzy.

Sięgnął do zegarka, wywołał panel połączenia.

– Już, ja... Panie Aleksandrze, ale może jakaś zniżka? Ja nie mogę aż tak...

– Co do kopiejki.

Patrzyłem z lekkim niedowierzaniem, jak otwiera kolejne firmy i struktury, ustawia uwierzytelnione notarialnie transakcje. Sukinsyn, jednak coś jeszcze miał! Wierzytelności, kilka nieruchomości, jakieś udziały, prawo własności tu, roszczenie tam...

– Na kogo?

– Na mnie – rzuciłem krótko.

Byłem tu, na miejscu, i mogłem przerzucić mu dane z czipa. W ten sposób wszystko przejdzie od razu, bez konieczności robienia kilku kółek po systemach informatycznych.

Przygotował listę, wtedy ja otworzyłem transmisję, on ściągnął dane. Spojrzał na mnie pytająco, kiwnąłem głową.

Kliknął ikonkę zatwierdzenia.

Lista zniknęła od niego, pojawiła się u mnie. Przeleciałem na szybko wzrokiem: trzydzieści, może nawet nieco ponad. Odsetki ustawowe za debilizm.

– Proszę, czy mogę teraz... – zajączał.

– Dzwonź po pomoc, jeśli masz do kogo. I dobrze ci radzę, nie pokazuj się ani w NeoSybirsku, ani w ogóle w Federacji.

Wycofałem się z salonu, dopiero stojąc w korytarzu, opuściłem pistolet. I tak wiedziałem, że ten obraz – trup w kałuży krwi, płacząca kobieta z przestrelonym kolanem, klęczący nad nią Valenta, co myślał, że złapał już Boga za nogi – wypali mi się pod powiekami i będzie moim dyżurnym koszmarem na najbliższe lata.

Niestety, każdy płacił swoją cenę na rzecz świata, w którym przyszło nam żyć.

Wyszedłem na korytarz, trzymając się ściany, doczłapałem do windy. Na szczęście przyjechała relatywnie szybko...

Diabli nadali to wszystko.

Cofnąłem się do mieszkania, stanąłem w wejściu do salonu. Valenta próbował nieumiejętnie założyć zintegrowany opatrunek na nogę kobiety, ta łkała cicho, ale widać było, że musiał już podać jej jakieś środki znieczulająco-uspokajające.

Zobaczyła mnie, gwałtownie wciągnęła powietrze i zbladła jeszcze bardziej. On podniósł głowę, zamarł.

Myśleli, że przyszedłem dokończyć robotę.

Poniekąd tak było.

Wycelowane w niego pistolet, wyciągnąłem przed siebie otwartą rękę.

– Nagrania – rzuciłem przez zaciśnięte zęby, czując, jak żołądek podchodzi mi do gardła.

Patrzył na mnie przez chwilę, a potem bez słowa podniósł się, poczłapał do sypialni. Po chwili wrócił, niosąc zapakowany w grubą, plastikową torebkę miniaturowy holodysk. Podał, ja wziąłem i wycofałem się.

Winda na szczęście czekała, nacisnąłem guzik parteru.

Kiedy tylko drzwi zamknęły się, a klatka ruszyła, wsparłem czoło o chłodny metal. Ręce dygotały mi jak w febrze, czułem płynący po plecach pot.

Żeby tylko nie dać po sobie poznać, żeby tylko ci na dole się nie kapnęli.

Zazgrzytały rozsuwające się drzwi, wyszedłem do holu. Dwaj ochroniarze spojrzeli na mnie, ja tylko myślałem: słyszeli strzały, nie słyszeli...? Grała muzyka, ktoś łomotał młotkiem na parterze, mogli nie słyszeć.

Minąłem ich, wyszedłem na dwór. Żar uderzył mnie w pysk, tego było już za dużo – odbiegłem za róg i porzygałem się w piach.

Jak kot. Jak dziecko, jak złotodziób po pierwszej akcji. A przecież nie takie się rzeczy kiedyś robiło!

Odwykłem, zmiękłem na starość.

No i kobieta.

Szlag.

Otarłem usta, odcharknąłem i splunąłem resztkami śniadania. Poczekalem, aż uspokoi mi się oddech, ruszyłem do samochodu. Tam będzie chłodniej, tam mam wodę.

Wsiadłem, włączyłem klimę, przyssałem się do szyjki butelki i przymknąłem powieki.

Nadal miałem przed oczami roztrzaskane w *driebieżgi* kolano Pawłowej, w uszach wibrował mi jej przeraźliwy krzyk. Na samą myśl zakręciło mi się w głowie.

Odczekałem, aż zawroty i nudności miną, aktywowałem zegarek. Sprawdziłem: tak, cholera, tak! Naprawdę zrobił te transakcje, i teraz na moją skromną osobę wisiało...

...zliczyłem na szybko...

...trzydzieści cztery miliony trzysta dwadzieścia tysięcy rubli z niewielkim ogonem.

Majątek.

Fortuna.

Bogactwo.

I jeszcze uciskający w udo dysk z kompromatem na pół NeoSybirska.

Zrobiło mi się gorąco, potem zimno. Rozejrzałem się w lewo, w prawo, zamknąłem i zablokowałem drzwi. Włączyłem silnik, ruszyłem z piskiem opon i pociąłem po zapiaszczonej ulicy.

Byłem bogaty i miałem wiedzę. A to znaczyło, że byłem potencjalnym celem. I wcale mi się to nie podobało.

Zerknąłem w lusterko: nikt za mną nie jechał. Ale to nie znaczyło, że...

Szarpnąłem kierownicą w bok, kiedy pędząca z naprzeciwka czarno-czerwona kreska sportowego ścigacza przemknęła obok mnie, zostawiając za sobą obłok kurzu. Szlag! Że też ktoś jeszcze po tym mieście w ogóle jeździł na dwóch kółkach!

Zjechałem na bok, wyłączyłem samochód.

Spokojnie, Sasza.

Tak, udało ci się.

Nie, nie masz czego się bać.

Tak, trzeba jak najszybciej się tego pozbyć.

Tak, musisz tu zostać jeszcze tych kilka dni, a potem wrócić żywy do domu.

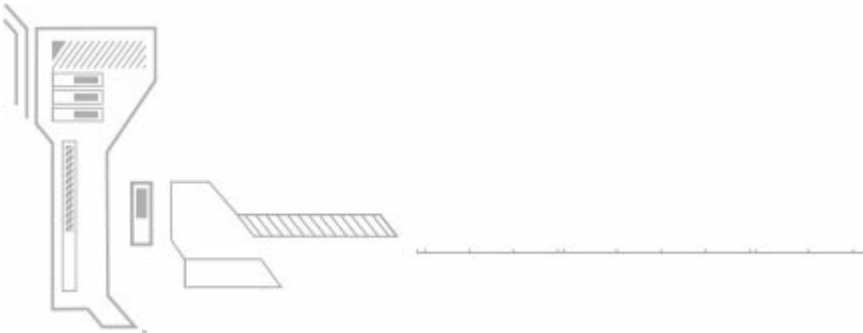
Dasz radę?

Dam.

No więc spokojnie, bez gwałtownych ruchów. Kawalek po kawalku. Posiedzimy w pokoiku, ponudzimy się. Odeśpimy stracone lata. Poćwiczymy. Popatrzymy w noc i posłuchamy ciszy, ściskając w spoczonej dłoni pistolet.

Odpaliłem wóz i ruszyłem powoli ulicą martwego za życia Dubaju, rozglądając się uważnie na wszystkie strony.

Po raz pierwszy od lat autentycznie zatęskniłem za domem.



...wciąż utrzymują się upały. Stowarzyszenie Emerytów Zakładów Produkcyjnych wystąpiło do gubernatora elekta z petycją, żądając, aby ten po objęciu urzędu...

...narastające napięcie w stosunkach międzynarodowych. Unia Europejska grozi naszej Ojczyźnie wprowadzeniem kolejnych sankcji, ale Rada Federacji zdecydowanie odiera bezpodstawne zarzuty...

...zawsze świeże produkty! Przyjdź już teraz, sprawdź naszą ofertę!



Towarzyszu dowódco, melduję posłusznie: mamy to!

Daniłow aż się zapowietrzył, otworzył i zamknął usta. Machnął dłonią zaciśniętą w pięść, huknął w blat, aż podskoczyły leżące na nim notatniki.

– Zuch! Brawo, towarzyszu kapitanie! Gdzie macie? W torbie?!

Zadzwoiłem do niego, jak tylko dotarłem na lotnisko i odebrałem bagaż. Siedziałem na plastikowych, klejących się od brudu siedzonkach, oczy aż mnie piekły z niewyspania i zmęczenia... Ale uśmiechnięty byłem od ucha do ucha.

Udało się!

– Przelał na mnie aktywa – powiedziałem, wsłuchując się w słodycz tych słów.

– Na was?! Ha! A wy teraz mi nie oddacie, co? Eee, he, he, he! – Daniłow roześmiał się, pogroził mi palcem. – Nawet nie myślcie, towarzyszu kapitanie!

– Nie śmiałbym – odparłem zgodnie z prawdą.

Naprawdę bym się nie odważył. Poza tym przez te pięć dni prawie nie spałem. Budził mnie ledwie szelest, na każdego patrzyłem jak na wroga. Cały czas na lotnisku i pomiędzy transferami przesiedziałem w kiblu. W cholernym Jialininggele nawet nie wyszedłem z lotniska, wołąc czekać dwanaście godzin na transfer.

Paranoja.

– Zaraz do was lecę! Hotel ten, co za pierwszym razem, dziś wieczorem! Gdzie go dorwaliście, powiedzcie mi jeszcze?!

– Emiraty. Nie było łatwo, ale...

– Za wszystko się rozliczymy! Róbcie kosztorys, a ja już wyliczam wam premię uznaniową! Dziś wieczorem w Ojczyźnie, miejsce to

samo co zwykle! Zamawiajcie na mój koszt, bez odbioru!

Kiedy hologram zgasł, ja wypuściłem ze świstem powietrze i opadłem do tyłu. Jeszcze teraz przebić się przez korki, nie udławić gęstym smogiem, który udawał w mieście powietrze, nie trafić w wypadek i dotrzeć do domu.

Byłem wyczerpany, ledwo żywy. Ale musiałem odegrać jeszcze ten ostatni akord symfonii.



– O, pan kapitan! No, myśmy się już o pana martwili!

Dyżurne pijaczki spod klatki aż wstały, kiedy wysiadłem z samochodu. Słońce prażyło chyba jeszcze gorzej niż w Emiratach. Zawieszona w powietrzu mgiełka z toksycznych gazów i dymu lepiła się do skóry i zapierała dech w piersiach. NeoSybirsk dudnił, huczał i aż wibrował, echo niosło się pomiędzy betonowymi sarkofagami wielopiętrowych bloków.

Byłem tu raptem dwie godziny, a już bolała mnie głowa.

– No dzień dobry, chłopcy, dzień dobry. Jak tam beze mnie? – przywitałem się z każdym po kolei. Wania wysunął się naprzód, ewidentnie pretendując do roli nieformalnego przywódcy.

– Pusto bez pana kapitana. Siedzimy tutaj, patrzemy, jak ten pana służący wyprowadza pieska.

– To nie mój służący. – Pokręciłem głową. – A poza tym...

– JA TO BYM CHCIAŁ MIEĆ SŁUŻĄCEGO! ALE JA BYM GO JAK CZŁOWIEKA TRAKTOWAŁ, JAK CZĘŚĆ RODZINY! NO PRZECIEŻ TO TEŻ CZŁOWIEK, NIE?! NO! A NIE ZWIERZĘ!

– Podobno jakaś strzelanina była na Gusiewce. Nawet w telewizji podawali, że gangi walczą – półgłosem powiedział Wania, wymownie unosząc brwi.

Aha, świetnie. Czyli miasto nadal się kotłowało we własnym sosie, a ten cały Zarnicki nieustająco dociskał starych graczy. Ekipa z Gusiewki nigdy nie była szczególnie bliska mojemu sercu, ale w końcu „wróg mojego wroga” czy jakoś tak.

Tylko że mnie to chwilowo nie dotyczyło. Ja miałem do odebrania moje dwa procent.

Przeprosiłem chłopaków, wdrapałem się na piętro. Zazgrzytałem kluczami w zamku, popchnąłem drzwi.

I od razu zastanowiłem się: czy to aby moje mieszkanie?

Pachniało czystością. Sterylną wręcz czystością. Meble lśniły, jak zaraz po montażu cztery lata temu. Nie było kurzu na półkach.

Z kuchni wytoczył się Kusto, wpadł z radości na ścianę i rzucił się na mnie całą masą, prawie zwalając z nóg. Puściłem torby, od razu usiadłem na czystej podłodze, zacząłem czochrać go, targać za uszy i próbować nie dopuścić do tego, żeby wielka, zaśliniona morda zrobiła to, na co miała ochotę, czyli przykleiła się do mojej.

– Psie! Niedobry, gruby, głupi psie! Tęskniłeś do tatusia? No tęskniłeś?! Pewnie, że tęskniłeś... A tatuś do ciebie!

Z dawnej sypialni wyłonił się Mykoła, zaraz za nim wyjrzał na korytarz jego Pies.

– Och, dzień dobry, panie Aleksandrze. Witamy w domu. – Uśmiechnął się i złożył dłonie, niczym kamerdyner witający powracającego z zamorskiej podróży magnata. – Jak pańskie sprawy? Czy nasza informacja okazała się przydatna?

– W punkt, Mykoła, w punkt! W dzie-sią-tkę!

Podniosłem się, uściśnąłem mu mechaniczną dłoń, poklepałem po żelaznym ramieniu.

– Czyli odzyskał pan pieniądze?

– Z nawiązką! A jak tutaj, jak sobie daliście radę?

– Och, śmiem twierdzić, że nie najgorzej. Zgodnie z ustaleniami nie rozstawiałem aparatury, ale...

– Ale? – zaniepokoiłem się.

– No cóż, panie Aleksandrze. Miałem sporo wolnego czasu, więc pomyślałem, że mogę dokonać określonych optymalizacji w pana lokum.

Przebił się do sąsiadki, pomyślałem. Dobudował windę towarową.

– Mianowicie?

Zaprosił mnie gestem do kuchni, pokazał na lśniące meble.

– Sprzątnęliśmy i doprowadziliśmy do porządku część przeznaczoną do przygotowania posiłków. Pozwoliłem sobie też dokonać pewnego remanentu w składziku produktów. Niestety, byłem zmuszony zutylizować część zapasów. – Skrzywił się. – Ze względu na rażące przekroczenie terminu przydatności do spożycia.

– Okej... – Zajrzałem do szafki, w której karnymi rządками stały równiutko poustawiane torebki.

– Zaś z reszty, pamiętając datę pańskiego lotu powrotnego, przygotowałem sernik.

– Co?

– Sernik. Takie staromodne ciasto. Znalazłem przepis w zasobach

Strumienia.

– Co?

– W archiwach Strumienia znajduje się...

– Nie, poczekaj. Zrobiłeś... ciasto?

– Tak. Proszę spojrzeć.

W lodówce – białej, lśniącej, chyba odkażonej i wybielonej – stał sernik. Najprawdziwszy, domowy. Taki jak kiedyś, w zamierzchłych czasach dzieciństwa, robiła babcia. Z brązową, lekko popękaną skórką i wyższymi bokami.

Nachyliłem się, ułamałem kawałek i z nabożną czcią włożyłem do ust.

Smak eksplodował na języku, aromat zalał mi zatoki.

– Poza tym wyregulowałem spłuczkę w toalecie, załatałem przeciek pod prysznicem i dokleiłem odpadające kafelki. Och, i usunąłem zwarcie w instalacji elektrycznej – wymieniał dalej Mykoła. – Jest jednak coś, co może pan uznać za pewne przekroczenie moich kompetencji jako gościa i dyżurnego opiekuna lokum.

Sernik nadal zajmował większość moich dostępnych myśli.

– Mianowicie...?

Mykoła poprowadził mnie do sypialni, otworzył drzwi prowadzące do tego składziku śmieci i niechcianych wspomnień.

Śmietnik zniknął.

Po prostu zniknął. Przede mną była idealnie czysta, świeżo odmalowana, uporządkowana sypialnia z idealnie zasłanym podwójnym łóżkiem małżeńskim i równiutko ustawionymi, lśniącymi czystością instrumentami do ćwiczeń.

Wszedłem, zupełnie poważnie zastanawiając się, czy powinienem zdjąć buty.

Mykoła wymienił nawet wykładzinę na podłodze. Poza tym zaszpachlował i zamalował dziurę w ścianie, którą kiedyś po pijaku wybiłem sztangą... To jest coś z nią zrobił, bo dziury nie było. Na regale stały książki, uszeregowane wedle rozmiarów, kolorów i odcieni grzbietów.

– Pozwoliłem sobie spakować do pudeł pańskie, ahem, pamiątki rodzinne. Nie byłem pewien, czy chce pan je eksponować, więc zostawiłem do późniejszej decyzji.

– Słusznie zrobiłeś, Mykoła. A gdzie ty...

Zauważyłem dopiero teraz: sprzątnął też przeszklony balkon. Wywalił wszystkie kartony, wyniósł wiadro zgniłych rok temu ziemniaków. Umył szyby. Wstawił stary materac, zdjęty z łóżka po

Sańce, i wyciągnął przedłużacz do stacji dokowania dla Psa.

Urządził w sypialni apartament, a sam na dobrą sprawę spał na dworze.

– Nie wiem, czy tak może być, panie Aleksandrze. Jednak pozwoliłem sobie też uprać i poukładać wszystkie pańskie rzeczy.

– Może być – sapnąłem.

Czułem się, jakbym z hotelu wrócił do hotelu. A on naprawdę witał mnie jak majordomus.

– Jest pan zadowolony, panie Aleksandrze?

– Tak, tak! – zapewniłem pospiesznie. – Bardzo. Tylko uchetałem się nieco na wyjeździe... Pozwolisz, że wejdem pod prysznic? Mam wieczorem spotkanie, może się jeszcze zdrzemnę wcześniej.

– Naturalnie. Ręczniki leżą w szafce po lewej na górze, obok środków czystości.

Schowałem się w łazience i zamknąłem drzwi na skobelek, który już nie latał, bo Mykoła dokręcił śruby.

Czy to jeszcze było moje mieszkanie?



Zajechałem pod hotel, zaparkowałem mojego mercedesa na podziemnym parkingu. A co, stać mnie było! Ochroniarze patrzyli na mnie krzywo, kiedy szedłem z ogorzałą twarzą, w wytartych dżinsach i wyświechtanej klimakurtce przez lobby, ale żaden nawet się nie ruszył z miejsca.

I dobrze. Wiedźcie, chamy, że pan przyjechał i pan dziś będzie keszować dużą robotę!

Zamówiłem sobie prawdziwe jedzenie z prawdziwym pićciem, rozsiadłem na miękkiej kanapie. Tak. To był czas na świętowanie, czas na relaks i zasłużoną nagrodę.

W domu panował porządek, w mieście chaos. I trudno. Byle u mnie na podwórku było dobrze.

Sprawdziłem jeszcze raz aktywa na koncie: było wszystko, co do jednej pozycji.

A więc Valenta nie oszukał mnie, nie wysterował. Konkretnie, staromodnie przyciśnięty do muru po prostu pękł i oddał wszystko, co miał, byleby ratować zdrowie i życie.

Wzdrygnąłem się, czym prędzej odgoniłem nieprzyjemną myśl.

Tak, udało się.

Udało się w najprostszy, najbardziej oczywisty, prymitywny i siłowy z możliwych sposobów. Cała ta intryga sprowadziła się do tego, że trzeba było ciuścoka znaleźć, nastraszyć do nieprzytomności i pokazać, że inaczej nie będzie.

A jednak...

...

Jednak coś mi w tym nie pasowało. Te wszystkie firmy, struktury i wehikuły finansowe, laboratoria, firmy badawczo-rozwojowe. Ogromne pieniądze, których Valenta zdawał się być tylko okruczem.

Niewyjaśnione śmierci w końcu: Sobkow, Matwieszuk i kilku innych. Próba wyłączenia z gry mnie.

Najprościej byłoby zakładać: tak, to wszystko robił Valenta, to on za tym stał.

A jednak czułem, wiedziałem, że tak nie było.

To nie jego kaliber, nie jego styl.

Gdzieś tam zostało coś o wiele, wiele większego, niż byłem w tej chwili w stanie objąć. Jakaś ogromna konstelacja, o którą sam Valenta zaledwie się otarł, coś, co zmiotło go poniekąd samą siłą podmuchu, jak leżącego przy drodze śmiecia.

Ale to nie dotyczyło mnie. Ja dostałem swoją małą grządkę do obrobienia, wypielilem więc chwasty, wytoczyłem od sznurka ścieżynki i równiutko grabiłem tak długo, aż znalazłem niepasujący element.

Tak, byłem z siebie dumny.

Daniłowa dostrzegłem z daleka: ubrany na niebiesko, z niebieską walizką i niebieskim neseserem tuptał tymi swoimi zabawnymi, drobnymi kroczkami wprost ku mnie. Bagaże po prostu rzucił na ziemię, rozłożył szeroko ręce i klasnął głośno.

– Brawo, towarzyszu kapitanie! He, he, he! – Objął mnie, poklepał po plecach. – Bra-wo!

– Dziękuję pokornie, towarzyszu dowódco. Przyznaję, nie było łatwo...

Machnął ręką, po raz kolejny nie dając mi się pochwalić trudami zawodu.

– Furda z tym! Grunt, żeście go znaleźli i załatwili jak trzeba. Zamówiliście mi jedzenie?

– Nie no, nie wiedziałem, kiedy przyjedziecie...

– Trzeba było przewidywać! Dla mnie tę ich zupę rybną, do tego sałatka cesar, ale bez krewetek. I sok pomidorowy!

Potrząsnąłem głową, posłusznie ruszyłem do baru zamówić. No

cóż, mój oligarcha życzył sobie, żebym został jeszcze jego *concierge*? Proszę bardzo. Za odpowiednią stawkę to mogę mu nawet tylek wycierać niebieskim papierem toaletowym.

Kiedy wróciłem, ten już czekał. Usiadłem, on odłożył na bok czytnik. Zatarł ręce.

– No, towarzyszu kapitanie! To gdzie te aktywa, dawajcie! Ja już mam port transakcyjny otwarty, wszystko czeka. Ile tam tego?

– Ponad trzydzieści cztery.

– Zuch! I jeszcze więcej nawet przyniósł, niż było zakontraktowane. Od naddatku będzie dla was dziesięć procent ekstra!

Hojnie, nie powiem.

– Tak wyszło. Dał, ile akurat miał.

– Ha! Babka zawsze mówiła, że do grobu pieniędzy się nie zabierze.

Z jakiegoś powodu nie spodobała mi się ta konkretna mądrość ludowa. Zabrzmiało to nie tyle źle, ale jakoś tak złowieszczo. Aż powiało chłodem.

– Nie no, aż do tego nie doszło...

– Przecież że nie! Musiał żyć jeszcze, jak oddawał. Ale powiem wam, towarzyszu kapitanie... – Daniłow ściszył głos, nachylił się ku mnie. – Ja na waszym miejscu bym tak ostro nie grał. To się potem człowiekowi na zdrowiu odbija, wspomnienia ciągną się latami. Ja też, he, he, swoje nabroiłem, pewnie! Ale innym takie okrucieństwo odradzam. Odebrać życie to sprawa ostateczna.

O cholera.

Jakie życie? Przecież ona jeszcze żyła.

Wykrwawiła się?

Co się stało?

Przysunąłem się do Daniłowa, odchrząknąłem.

– To... aż takim się echem rozeszło?

– Tutaj nie doszło, nie martwcie się. Ale jak ich znaleźli, to od razu mnie znajomy powiadomił.

– Znaleźli?

Westchnął, włączył swój tablet. Przewinał kilka zdjęć, potem podał mi prostokątną tabliczkę wyświetlacza. Spojrzałem i zdębiałem.

– Poważnie żeście ich urządzili, towarzyszu. Bez litości, powiem wam. Ochroniarz, rozumiem, to konieczność. Tamten szczur, pal lichu, ale kobieta... Ostro, mocno.

– ...

– Podoba mi się wasz styl. Czynów nie pochwalam, ale styl mi odpowiada.

Nie mogłem oderwać oczu od zdjęcia. Jednego, drugiego, trzeciego. Czwartego.

To była jatka. Krew na podłodze, na ścianach, ściekająca po oknach. Rozlana ciemną plamą po łóżku.

Ciała musiały poleżeć trochę, nim ktoś je znalazł. W tym skwarze, w tym słońcu rozkład postępował błyskawicznie... Ale też tak samo na wszystkich trzech trupach.

Znów zrobiło mi się zimno.

Ktoś tam wszedł i po prostu wykończył zarówno Valentę, jak i tę jego lalkę. Nie żałując ani stali, ani ołowiu. Artystycznie, z pewnym poczuciem stylu i wdzięku. Ktoś, kto nie tylko umiał zabijać, ale też chyba to lubił.

Ktoś, z kim musiałem minąć się o kilka godzin. A może tylko kilkanaście minut.

Ktoś, kto przylazł po moim śladzie, tak jak po Piliarskiego w Jialininggele.

– Tak – wykrztusiłem w końcu.

– Skromny! To też lubię. Ale na przyszłość, towarzyszu kapitanie, proszę o trochę mniej rozmachu. Jakkolwiek, powiem wam, już kilku znajomych się mnie o was pytało.

Cholera. Jasna. Ciężka. Nie, nie, nie. Nie chciałem wracać do przeszłości, nie zamierzałem zostać siepaczem oligarchów.

Niebieski papier toaletowy to jedno, krew na rękach to co innego.

– Proszę, mam to wszystko tutaj. – Wyświetliłem listę, udostępniłem dane do transakcji.

Daniłow zatarł ręce, zaczął klikać w swoje urządzenie. Ja, szczerze mówiąc, czułem się cokolwiek obok. Jakbym oglądał wszystko z siedzenia pasażera.

– Ha! No proszę! To teraz... – Oligarcha nagle zamarł, potrząsnął głową. Spojrzał na mnie.

– Coś nie tak?

– Towarzyszu kapitanie, gdzie aktywa?

– No... tam. Tutaj jest pełna lista przecież. – Pokazałem palcem.

– Nie. To nie są aktywa. To są... to są różne rzeczy. Widzicie? O, tutaj: wierzytelność. Tu znów jakieś roszczenie nie wiem do kogo. To znowu procentowy udział w nieruchomości, może i ładnej, ale procentowy. Tutaj udziały w spółce. Znów wierzytelność... Gdzie gotówka?!

– Mówiłem przecież, że to nie gotówka – pisałem.

Prawda była taka, że sam nawet w to nie patrzyłem. Aktywa to dla mnie aktywa, nie? W odróżnieniu od pasywów.

Najwyraźniej Daniłow widział w tym i rozumiał z tego więcej. A raczej: mniej. I teraz był zły.

– Ale to są jakieś długoterminowe zabawki! – ryknął. – Ja gotówkę straciłem żywą, a to... To trzeba będzie sprzedawać, dochodzić swoich praw!

– To miał, to oddał.

– W dupie z takim oddawaniem! Na co mi nieruchomości na kiju w czarnej dupie?! Ja takich nieruchomości bym mógł sobie sto kupić...!

– To trzeba było sobie kupić! – nie wytrzymałem w końcu napięcia.

Ucichł. Zamarł. Odchylił się w swoim fotelu, upił łyk soku pomidorowego. Zjadł kilka łyżek zupy, którą nie wiedzieć kiedy przyniosła kelnerka.

A ja, szczerze mówiąc, też przekroczyłem jakąś magiczną granicę pochuizmu, i było mi już wszystko jedno.

– Może i kupię. – Daniłow uśmiechnął się przebiegle znad talerza.

– Oddał, co tylko miał. Więcej nie było, sam widziałem. W takiej chwili człowiek nie skłamie – wyrzuciłem z siebie ciąg kilku umiarkowanie połączonych logicznie zdań.

Skoro Daniłow wierzył, że to ja ich załatwiłem? No trudno, niech i tak będzie. Skoro nie zrobię z tym nic innego, to niech będzie mi to zaliczone jako coś na korzyść.

– No tak, tak. Prawda.

– Widziałem wszystko, co miał. Oddał z nawiązką.

– Tak, ale... – Daniłow wyskrobał resztkę zupy, wysiorbał z łyżki.

– Inaczej się umawialiśmy, towarzyszu kapitanie.

Oho. Czyli co, robota wykonana, a my będziemy renegeować wynagrodzenie?

– Umówiliśmy się na dwa procent od odzyskanych pieniędzy – powtórzyłem nasze ustalenia.

Daniłow pokiwał głową, sięgnął za pazuchę po notatnik. Otworzył na którejś z poprzednich stron, puknął pisakiem w ekran, wyraźnie zadowolony.

– Tak jest. Dwa procent od odzyskanych pieniędzy. A ile konkretnie pieniędzy odzyskaliście, towarzyszu kapitanie?

Odchrząknąłem, upiłem łyk soku pomidorowego. No tak, fakt. Nie za bardzo miałem co powiedzieć, żeby samemu nie zapędzać się w kozi róg.

– Te aktywa są do odzyskania – powiedziałem. – Innych bym nie wziął.

– Oczywiście, towarzyszu kapitanie. Oczywiście. Tylko że takie odzyskanie wymaga jednego składnika. Wiecie czego?

Wiedziałem. Oczywiście, że wiedziałem.

– Czasu.

– Czasu. I teraz pytanie, towarzyszu kapitanie: co z tym zrobimy? Bo przecież umawialiśmy się na płatność po wykonaniu zadania. A zadanie nie zostało wykonane.

– Nie, zaraz, powoli. Jak to, nie zostało wykonane? Wykonane, tylko że w pewnej części, więc...

– Stop. – Daniłow podniósł rękę. – Nie da się w pewnej części zrobić czegoś, co ma być zrobione w całości. Zapłacilibyście, towarzyszu kapitanie, za samochód złożony w osiemdziesięciu procentach? No raczej nie. To się w moich czasach nazywało „towar wybrakowany”. Znacie takie pojęcie?

Kiwnąłem głową: znałem.

– Mogę więc poczekać, aż...

– Nie. Ja nie lubię mieć długów i nie kupuję towaru, do którego miałyby być doczepiona jakakolwiek historia. Żadnego ogona, który ma się ciągnąć.

– Ale przecież możemy umówić się na procent po realizacji!

– A jeśli z tych waszych aktywów odzyskam połowę? – Daniłow przekrzywił głowę łobuzersko. – Albo dziesięć procent? Albo, co też jest możliwe, nie trzydzieści cztery, a sześćdziesiąt osiem milionów? Ja nie chcę wam płacić aż tak dużo, towarzyszu kapitanie. Mogę zapłacić sporo, ale nie aż tak dużo.

– To znaczy ile? – jęknąłem.

– Pomyślmy... Byliśmy umówieni na dwa procent, tak? No więc ja jestem w stanie dać wam teraz, w tej chwili, koma dwa procenta. Czyli dwa promile.

Rządek cyfr w mojej głowie gwałtownie, z szumem przesuflował się do niższej wartości. Nadal niebagatelnej, ale niższej. Wielekroć niższej.

– A jeśli się nie zgodzę?

– To się nie dogadaliśmy. – Daniłow rozłożył ręce.

– Ejże, zaraz! Ale przecież...

– Zwróć wam wydatki, towarzyszu kapitanie, i oczywiście dam niewielkie wynagrodzenie za pracę fizyczną. Ale nie trzeba mi było tego oddawać, a dopiero potem zaczynać rozmowy!

Zarechotał, zadowolony z żartu.

A mnie, prawdę powiedziawszy, pękła przysłowiowa żyłka.

Jednym ruchem wychyliłem sok, odstawiłem z hukiem szklanke i wstałem od stolika. Zapiąłem kurtkę, uśmiechnąłem się do niego nieszczerze.

– Do widzenia – rzuciłem oschle.

Odwrociłem się na pięcie i ruszyłem ku wyjściu.

Wszystko, dosłownie wszystko we mnie krzychało: NIE! CO TY ROBISZ, CZŁOWIEKU! WRÓĆ TAM, PRZEPROŚ, UPADNIJ MU DO NÓG! NIE KOŃCZ TEGO TAK!

Ale ja szedłem dalej, nie wierząc w to, co robię.

I wiedziałem, że...

– Towarzyszu kapitanie, stać! W tył zwrot, do stołu negocjacji wróć! – dogoniło mnie wołanie.

Stanąłem. Odetchnąłem. Wróciłem i usiadłem.

– Koma pięć – powiedziałem.

– To teraz ja mam wyjść? – Daniłow rozłożył ręce. – Koma dwa pięć, tu i teraz.

– Koma trzy.

– Koma trzy, niech będzie.

Cholera, za szybko się zgodził. Znów to samo uczucie, co na początku rozmów z nim: a mogłem powiedzieć więcej.

Podąłem mu rękę.

– Ustalone.

– Miło się z wami robi interesy, towarzyszu kapitanie. I będę miał dla was jeszcze jedną ofertę. Pracujcie dla mnie.

Uniosłem brew.

– Jako kto? Najemny morderca?

– He, he-he, ehheh. Nie. Jako szef mojej ochrony. Nie podoba mi się człowiek, którego mam w tej chwili, i będę go wyrzucał w cholerę. A wy macie styl i swoją godność.

– Nie jestem zainteresowany. – Potrząsnąłem głową.

– Nawet nie wysłuchaliście warunków.

– Bo nie jestem zainteresowany. Ja pracuję sam, na swoim. Czasami mi się udaje lepiej, a czasami gorzej, ale zawsze swoje.

Uśmiechnął się, zdjął i przetaił niebieskie okulary niebieską szmatką.

– Nie jesteście zadowoleni z siebie, towarzyszu kapitanie. To trudne uczucie, i znam je bardzo, bardzo dobrze... Ale tak czasami już bywa. Jednak ja słowa dotrzymuję, więc premię i tak wam wypłacę. Proporcjonalnie mniejszą, oczywiście, ale słowo się rzekło. Aha, no i zapraszam was na moje wesele.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie obydwoj.

– Gratulacje, wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia – powiedziałem w końcu.

– Nie takiej nowej, ale dziękuję. Ja dwoje dzieci już mam, dwie córki. – Daniłow pokiwał głową, jakby czekając na moją reakcję. – Ale dopiero się żenię. Pod koniec września. Jak będę w NeoSybirsku następnym razem, to wam przywiozę zaproszenie.

– Jasne, dziękuję bardzo.

Aha, już mi przywiezie. Ilu ja znałem takich pajaców, czego oni mi nie obiecywali! „Przyjedź do mnie, to polatamy helikopterem”, „mam willę nad morzem, wpadaj, kiedy chcesz”, „na Nowy Rok robię największą imprezę w mieście”. Każdy, dosłownie każdy hołubił człowieka i lał mu miód na uszy, dopóki tylko go potrzebował.

Daniłow był jednak chyba częściowym przynajmniej wyjątkiem: wyjechał z tym tekstem dopiero po tym, jak mnie wydoił i wydymał na kasę.

– Przywiozę, zobaczycie. To co, gotów odebrać gotówkę?

– Gotów.

Przeliczył jeszcze raz, pokazał mi: trzydzieści milionów razy koma trzy. Do tego dodać: cztery miliony trzysta dwadzieścia trzy tysiące dwieście dwadzieścia jeden rubli i trzydzieści siedem kopiejek razy jeden koma czterdzieści dwa. Procent, oczywiście.

Sto pięćdziesiąt tysięcy z groszami. Suma, przyznaję, nadal niebagatelna.

Minus to, co zdążyłem do tej pory dostać jako zadatek, oraz minus koszty poniesione na Kulasa i innych.

Taki słodko-gorzki trochę ten cukierek.

Daniłow wprowadził sumę, kliknął „zatwierdź”. Mój zegarek zawibrował, sygnalizując, że przelew dotarł.

– Mówię: chodźcie pracować do mnie – powtórzył, doskonale czując mój nastrój.

– Niezainteresowany – również powtórzyłem.

– No cóż, oferta aktualna jeszcze jakiś tydzień. Potem wywalam tego, którego mam, i biorę kogoś z ulicy. To co, wypijmy za sukces?

Wznieśliśmy szklanki soku pomidorowego, Daniłow rzucił się na swoją sałatkę, jakby od tygodnia nic nie jadł.

A ja, prawdę powiedziawszy, jakoś straciłem apetyt.



Jechałem przez NeoSybirsk, czując w gardle dziwny ucisk.

Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że coś mi umknęło. Że jakiś pociąg odjechał z mojej stacji, podczas gdy ja zawiązywałem sznurówki. Coś przeleciało mi obok nosa, a ja nawet nie wiedziałem co.

To miała być robota życia. Złoty strzał. A wyszło z tego... No cóż, wyszło z tego fajne, dochodowe zlecenie, ale nie aż tak znów lukratywne.

Przed godziną miałem na koncie aktywów na trzydzieści cztery bańki. Teraz... teraz miałem sporo, ale to sporo mniej. I zaraz jeszcze mniej będzie.

Wstukałem wiadomość do Kulasa: „Podaj namiary na konto, przeleję ci kasę”. Prawie wysłałem, ale skasowałem. Pojadę do niego i tyle.

Akurat rzucił mi się w oczy drogowskaz na szpital. Prawda, byłem w okolicy, więc pomyślałem sobie: a co, można! Wpadnę tam, wyładuję frustrację na tym, pożał się Boże, lekarzynie dowcipnisiu.

Zajechałem na parking z piskiem opon, trzasnąłem drzwiami i ruszyłem jak czołg.

– Dzień dobry, chciałbym złożyć skargę – zacząłem z wysokiego C.

Ufarbowana na rudo, wytatuowana, tłusta baba z recepcji spojrzała na mnie ze znudzonym obrzydzeniem.

– Proszę wziąć numerek i ustawić się w kolejkę.

Obejrzałem się na ludzką stonogę, wychodzącą spod drzwi sali przyjęć i zawijającą aż za róg korytarza. Potrząsnąłem głową.

– Nie, nie chcę mieć zabiegu. Chcę złożyć skargę na zabieg, który już mi wykonano.

– Proszę wziąć numerek...

– Chcę rozmawiać z pani przełożonym.

Ruda spojrzała na mnie ciężko, obróciła się na krześle.

– Ała Fiodorowna! – ryknęła. – Tutaj przyszedł taki jeden i się awanturuje!

Ała Fiodorowna wyjrzała przez uchylone drzwi, wysunęła się z zaplecza niczym gotowa do ataku żmija. Kilku petentów, opartych wcześniej o kontuar recepcji, profilaktycznie odsunęło się dalej, od razu spoglądając w inną stronę.

– Słucham pana.

– Chcę złożyć skargę na niewłaściwie wykonany zabieg chirurgiczny – powtórzyłem.

Ała Fiodorowna rozciągnęła się w martwym, pozbawionym

ciepła uśmiechu.

– Naturalnie. Proszę wypełnić nasz formularz na stronie szpitala, podać dokładne dane swoje oraz lekarza, który dokonywał zabiegu.

– To była operacja – sprostowałem.

– Tym bardziej zatem. Proszę wpisać w odnośne pole, czego dotyczy pańska skarga oraz co pana zdaniem jest nie tak. Jeśli się da, to załączyć zdjęcia opisane w prawym dolnym rogu pańskim imieniem, nazwiskiem oraz datą urodzenia i miniaturką fotografii z dowodu tożsamości.

Zmarszczyłem brwi.

– Zaraz, powoli. Niby że mam wam wysłać zdjęcia tego, co jest nie tak, i na każdym z nich dać swoje personalia i foto? To chyba wbrew jakimś przepisom o ochronie danych osobowych?

– Taka jest polityka szpitala.

– Ale nie sądzi pani, że to niezgodne z przepisami?

– Taka jest polityka szpitala. W końcu konsylium lekarskie musi widzieć, co jest panu nie tak.

Nie uśmiechało mi się to. Czyli co, powinienem napisać, że mam na brzuchu fosforyzującego fiuta, jeszcze dodać zdjęcia i się pod nimi podpisać? Pięknie, nie ma co. Ciekawe, czy tacy doktorzy z konsylium to sobie zachowują co lepsze zdjęcia, żeby potem śmieszkować ze znajomkami przy piwie.

– Dobrze, co dalej? – warknąłem.

– Jeśli pana skarga zostanie rozpatrzona pozytywnie, szpital przekierowuje roszczenie odszkodowawcze na lekarza, który wykonywał zabieg.

O, i właśnie o to mi chodziło! Niech mi zapłaci teraz za swoją dowcipność.

– Operację.

– Skoro pan tak twierdzi. Tak czy inaczej, muszę poinformować, że szpital jako taki nie ponosi żadnej odpowiedzialności za błędy ani uchybienia pracującego w nim personelu. Jeśli lekarz przyzna, że doszło do uchybienia...

– Jak to jeśli?! A co niby, jeśli nie?

– ...jeśli lekarz przyzna, że doszło do uchybienia, to zobowiązany będzie do naprawienia szkody w całości. W wypadku źle wykonanego zabiegu oznacza to zazwyczaj ponowne, całkowicie bezpłatne przeprowadzenie poprzednio nieudanego zabiegu. Oczywiście koszty bloku operacyjnego, amortyzacji sprzętu i powiązane bierze na siebie winny uchybienia.

– To znaczy lekarz – uściśliłem.

Żmija zza kontuaru pokiwała łbem.

Już miałem pytać o coś dalej, kiedy uderzyła mnie pewna subtelność właśnie usłyszanego: „ponowne” przeprowadzenie.

– A niech mi pani powie, ten ponowny zabieg przeprowadza inny lekarz, prawda?

– No co pan! – prychnęła Ała Fiodorowna. – Ten sam przecież. Inaczej by nielogiczne było, żeby kto inny za niego poprawiał. Niesprawiedliwe.

– Ale przecież to on mi ten zabieg spieprzył! – Rozłożyłem ręce w geście desperacji.

– No tak. I niech teraz naprawia.

– A jak znów coś nie tak zrobi?!

– Za którymś razem przecież się nauczy. Do skutku.

Otworzyłem usta. Zamknąłem. Przełknąłem ślinę, odwróciłem się i na sztywnych nogach wymaszerowałem z tego domu wariatów. Nie wiem, czy ten dzień mógłby potoczyć się jeszcze gorzej.



Owszem, mógł, i potoczył się.

Byłem już prawie pod blokiem Kulasa, kiedy jakiś posraniec wyskoczył mi prosto pod koła. Oczywiście nie zdążyłem wyhamować, wzięłem go na maskę... Chyba nic mu się nie stało, i tak był tak ućpany i nawszczepiany, że zaraz pobiegł dalej.

Tylko że reflektor mi zbił i wgniół blachę, bydlak jeden.

Zajechałem na miejsce zły na cały świat. Na siebie, na Daniłowa, na debila lekarza, na idiotycznie stawiane znaki drogowe, na NeoSybirsk, martwego Valentę i w ogóle każdego i wszystko, co tylko na myśl mi przyszło.

Cholerne, pieskie życie! Przekłęte miasto, idiotyczny kraj i pieprzony świat, w którym przyszło mi żyć.

Kulas chyba poznał, że minę mam nietęgą, bo nie zadawał głupich pytań i nie próbował być mądrzejszy, niż ustawa przewiduje. Zdałem krótki raport: tak, znalazłem Valentę, wyrwałem mu z gardła kasę. Nie, nie ja go załatwiłem, mimo że tak to może wyglądać.

– I co, rozliczył się ten twój niebieski? – zainteresował się Kulas.

– Można tak powiedzieć. Dla ciebie starczy, dla mnie będzie i jeszcze na flaszkę zostanie. Dawaj namiary.

Spięliśmy dwa końce przelewu, ruble popłynęły szeroką strugą. Owszem, nastrój tylko mi się pogorszył. No to zostało jeszcze jedno.

– Teraz posłuchaj mnie uważnie. – Wyjąłem z kieszeni holodysk.

Kulas pojął w lot. Widziałem, jak błysnęły mu oczy.

– Chudy, czy to są...

– Chyba tak. Zakładam, że tak. Ale nawet nie zamierzam sprawdzać.

Trzymałem w ręku zbiór danych, zdolnych wynosić ludzi na wyżyny i strącać ich z piedestału. Nagrania chwil słabości, zapisane niefortunne słowa, złapane poza kontekstem niepolityczne myśli. Coś, dzięki czemu Valenta stał się królem, carem i bogiem życia.

A potem pojawił się Saszka, który przestrzelił kolano jego kobiecie.

– Zniszcz to, Kulas. Zrób tak, żeby nośnik przetrwał, żeby tego nie wyjąć z folii, ale żeby dane przepadły. Na pewno jest na to sposób.

– Chudy, jesteś pewien? Bo jak wrzucę to do magnetycznej wirówki, to nie da się odtworzyć.

– Jestem pewien. Zrób to.

Westchnął, wziął ode mnie nośnik. Przejechał kawałek na swoim fotelu, włożył dysk do czegoś, co wyglądało jak kuchenka mikrofalowa z pancernymi drzwiczkami. Nastawił czas, kliknął przycisk startu, urządzenie zabuczało nisko.

– Robi się. No dobra, Chudy, to co? Miło było, znów znikasz? – zapytał.

– Ej, nie bądź niemiły. Mówisz tak, jakby to był koniec.

– A nie jest, Chudy? Zrobiłeś swoje, ja też swoje zrobiłem. Zapobiegliśmy wspólnie kryzysowi na poziomie niemalże federacyjnym, za co nikt nam nawet nie podziękuje.

– Tylko w dupę kopnie jeszcze – dodałem z kwaśnym uśmiechem.

– Otóż to. Jak będziesz coś miał, to pamiętaj o mnie, a i ja o tobie nie zapomnę... Naprawdę fajnie było z tobą popracować.

Podąłem mu rękę, poklepałem po ramieniu.

– Z tobą też, Kulas, z tobą też. Cieszę się, że się z Mykołą dogadaliście. To dziwny typ, ale porządny.

– Zajebisty jest! – ucieszył się. – Łeb jak komputer, spokojny, rzeczowy. A, no właśnie, bo on mówił, że tam jakieś kłopoty wyszły... Co z nim, siedzi u ciebie?

– Gdzieś musi. Wiesz, Kulas, przy tej sytuacji w mieście...

Zamrugąłem. Wziąłem głęboki wdech, powoli wypuściłem powietrze.

Sytuacja w mieście, tak. To jest ten element, który do tej pory

traktowałem tylko li jako wątek poboczny. Coś nieistotnego, raczej przeszkadzającego niż pomagającego w rozgrywce z moim oligarchą.

Duzi gracze najwyraźniej odpadali jeden po drugim. Nawet gubernator spadł przecież z rowerka. Skoro poważne drapieżniki wymierały, to nadchodziła epoka ścierwojadów.

A gdyby tak...

Tak czysto teoretycznie...

Gdyby ten jeden raz spróbować...

– Chudy, co jest? – Głos Kulasa wyrwał mnie z zamyślenia. Zamachałem rękoma, próbując jakoś uporządkować nagle tłoczące się wokół głowy myśli.

– Kulas... – powiedziałem powoli. – Pamiętasz, wspomniałeś o tej robocie na zakładzie baryszewskim?

– No. Co z nią?

– Dasz radę znaleźć tych ludzi i sprawdzić, czy to aktualne?

– Dam. Aktualne jest, bo dziś rano mi znów wybiło. Nikt nie chce się za to wziąć chyba.

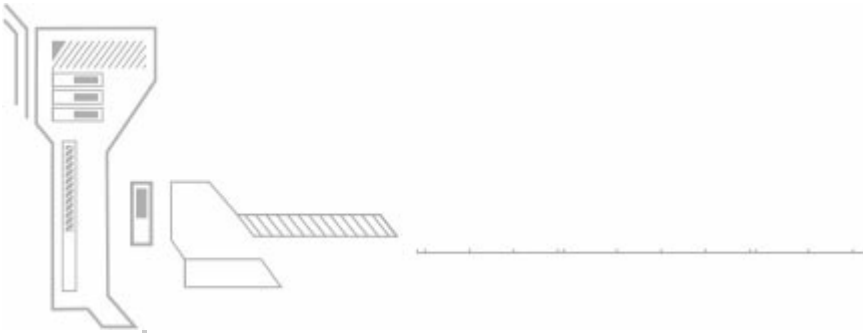
– Znajdź ich.

Teraz to on spojrzał na mnie dziwnie.

– Chudy. – Poprawił się na swoim fotelu. – Chudy, coś ty znów wymyślił?

Wdech, wydech. Usta same rozciągnęły się w cokolwiek maniackalnym uśmiechu.

– Weźmiemy tę robotę, Kulas. Przejmiemy Baryszewo dla Zarnickiego.



Dobry wieczór, NeoSybirsku! Po raz kolejny wita się z wami wasz ulubiony prowadzący, który od razu mówi: lato w tym roku mamy naprawdę upalne! Nie wiem jak wy, ale ja...
...tymczasowe przerwy w dostawie energii elektrycznej. Zakład usług komunalnych zapewnia, że awaria nie potrwa...
...coraz trudniej żyć. No co ja, mam pani kłamać? Ledwie do pierwszego starcza! Całe życie pracy dla tego kraju, i co z tego mam?!...
...w tych czasach każdy musi myśleć tylko o sobie.



Zajechałem mercedesem pod miejsce, którego namiary Kulas dostał w wiadomości kontaktowej od potencjalnego zleceniodawcy. Ot, taka sobie ślepa uliczka – dwie betonowe ściany zakładów przemysłowych, z trzeciej strony opuszczony, przeznaczony do wyburzenia blok.

Aż mi się włosy na karku jeżyły: istna pułapka na szczury. Ja przyjeżdżam pierwszy, tamci dopiero potem, blokując mi wyjazd.

No ale trudno. Trzeba było podjąć ryzyko.

Czekałem na nich, oparty o maskę samochodu i próbując zwalczyć w sobie przemożną chęć sięgnięcia po leżące w schowku papierosy. Nie to, że czułem fizyczną potrzebę, raczej utrwalony nawyk dawał o sobie znać: zawsze w sytuacji stresowej paliłem.

Tym razem naprawdę, naprawdę było czym się stresować.

Warkot samochodów usłyszałem już z daleka. Niskie, miarowe mruczenie wielkich silników, co najmniej dwie, może trzy maszyny. Odgłos przelewał się pomiędzy blokami, zdawał oddalać i przybliżać, czasami cichł zupełnie – aż wreszcie w uliczce dalej błysnęły światła reflektorów.

Była północ, ponad NeoSybirskiem przelewała się niebieskawym blaskiem trująca zorza polarna. Piękna pora i piękne okoliczności przyrody, żeby zacząć pracować dla niedawnego wroga.

Albo dostać kulkę w ciemnym zaułku.

Trzy terenowe wozy zaparkowały kilkanaście metrów ode mnie. Silniki i reflektory zgasły, otworzyły się drzwi.

No tak – z pierwszego wysiadło dwóch siepaczy z bronią i w kamizelkach, dwaj kolejni zostali w środku. Ze środkowego wyszedł ubrany w luźną, wojskową kurtkę blondyn z włosami zaczesanymi do tyłu, zaraz za nim wyłonił się zwalisty ochroniarz. Ruszyli ku mnie powoli, rozglądając się na boki.

Soczewka bojowa minimalnie wzmacniała światło, więc widziałem ich dokładnie. Brodate twarze żołnierzy, kamuflaż miejski i zestawy komunikacyjne, biegnące po skórze przewody wszczepów.

Kasa, pomyślałem, straszna kasa! To nie był kolejny z miejskich gangów, próbujący wyrwać sobie kawałek miejsca do życia. Ci ludzie byli forpocztą o wiele większej, zorganizowanej i konkretnie finansowanej operacji.

– Aleksander Khudovec? – zapytał blondyn, stając w pewnej odległości.

– To ja. Z kim mam przyjemność?

– Kapral Anton Zarnicki.

O proszę, czyli nasz łysy boss najwyraźniej miał młodszego brata. No faktycznie, widać było pewne podobieństwo.

– Kapitan Aleksander Khudovec, Pięćdziesiąty Ósmy Powietrznodesantowy Pułk Wojsk Wewnętrznych. Gdzie służyliście, kapralu?

– Gdzie twoi ludzie? – zapytał, ignorując moje pytanie.

– Nie tutaj. Po co ciągnąć ze sobą wszystkich?

– Musimy wiedzieć, że masz ich wystarczająco dużo do przeprowadzenia operacji.

– To moje ryzyko. Tak, mam ich wystarczająco. – Wzruszyłem ramionami. – A ja muszę wiedzieć, z kim mam do czynienia. Gdzie służyliście, kapralu?

– W specnazie, nie mogę więcej powiedzieć.

Aha. Jasne. Pewnie. Akurat w „specnazie” to służyłem ja, żeby weselej było. I dwie trzecie moich znajomych. A jaśnie panicz Zarnicki Junior był chyba zwykłym pajacem, co to lubił sobie pochodzić w wojskowych ciuchach i poudawać kogoś, kim nie jest. Skoro brat był w Legii, to może i on sobie w ten sposób przedłużał pewne części ciała?

– Chcieliście, żeby ktoś zrobił coś, czego wy najwyraźniej nie jesteście w stanie. Tacy duzi chłopcy, takie duże pukawki. – Pokazałem na dwóch czarniawych najemników. – A rączki nie sięgają do własnego siurka?

Wkurzył się, od razu to widziałem. Jak to chłopanie, któremu ktoś dał do zrobienia Bardzo Dużą Robotę, ale który nie miał w tym żadnej wprawy ani otrzaskania. Takie podjebki i złośliwości były przecież na porządku dziennym właśnie po to, żeby sprawdzić: czy ktoś się kontroluje, czy jest tak zwanym frajerem, łosiem.

A to, wedle wszelkich znaków na jego czerwieńszej mordzie,

był zwykły łoś.

– Możesz to zrobić, Aleks? – Skrzyżował ręce na piersi. Ja z kolei wzruszyłem ramionami, wydałem policzki.

– Mogę. Ile płaciecie?

– Jak to zrobisz, to porozmawiamy o współpracy. Dlaczego niby właśnie ty, skoro inni nie chcieli się za to brać?

Ha, czyli miałem rację. Baryszewo było naprawdę dobrze chronione, a podejście tam na rympał byłoby co najmniej niebezpieczne. Natomiast ja miałem kilka swoich-nie swoich pomysłów.

– Bo wiem kilka rzeczy, których nie wiedzą inni.

– Mianowicie?

– Mianowicie jak już zrobię, to powiem, co konkretnie zrobiłem. Albo ogarniemy to w ten sposób, albo szukajcie dalej. Ja mam czym się zająć.

Przez chwilę patrzył na mnie uważnie. Czuł, że coś jest nie tak, że tkwi w tym jakiś haczyk. Tylko pewnie szukał go w złym miejscu.

– Jaką mamy gwarancję, że zrobisz wszystko, jak trzeba?

– Pójdź na akcję ze mną. – Rozłożyłem ręce. – Albo weź też brata.

– Zobaczymy. Ile potrzeba ci dni na przygotowanie ekipy?

– Dwadzieścia cztery godziny wystarczą.

– Krótco coś.

– Ludzie już wstępnie umówieni. Czekają na sygnał.

No, w sumie taka była prawda. Po przemówieniu się z Kulasem na szybko pojechałem gdzie trzeba, skrzyknąłem kogo trzeba... A w zasadzie kogo się dało. Po przetrzebieniu ekipy Cesarza i deklaracji wrogości ze strony Walery nie za bardzo miałem do kogo się zwrócić.

A brak wyboru to doskonały czynnik motywujący. Tyranozauiry też zamieniły się w kury nie dlatego, że miały taki kaprys, a po prostu musiały. Czy ja chciałem być kurą? Nieszczęśliwie. Ale lepiej być żywym kogutem niż wymarłą skamieliną.

– W takim razie jutro po zachodzie słońca bądź pod Baryszewem ze swoimi. Będzie tam ktoś od naszych, przekaże ci dalsze instrukcje.

Odwrócił się i odszedł ku samochodowi, najemnicy ruszyli za nim. Po chwili zawarczały silniki, światła omiotły wymalowane sprayem ściany, gdy wykręcali w bocznej uliczce. Potem był tylko oddalający się czerwony blask i chmury spalin, aż wreszcie zostałem sam.

Sięgnąłem ku klapie kurtki, wyłączyłem kamerkę, udającą jeden

z guzików.

– Widziałeś? – rzuciłem w przestrzeń.

– Widziałem – głośniczek w uchu zaszumiał głosem Kulasa. – I już sprawdzam twarz. Trochę to potrwa, słabe światło było.

Machnąłem ręką.

– Nieistotne. Myślisz, że mogą sterować nas na minę?

– Raczej niekoniecznie. Nadal staram się ściągnąć aktualne plany zakładu, bo twoja wiedza może być nieco przestarzała. Wpadnij jutro z rana.

– Nie ma już czasu, Kulas. Jutro czeka mnie jedno spotkanie i wycieczka krajoznawcza.

– Chudy, bez przejrzenia planów tego nie zrobimy.

Westchnąłem ciężko.

– To wyświetlaj mi je jutro na bieżąco, jak będę jechał. Droga spokojna, damy radę to obgadać. Pasuje?

– Pasuje.

– Kulas, a jeśli jutro jeszcze przed wieczorem coś pójdzie nie tak...

Zaciąłem się. Istniała taka możliwość. Niewielka, ale mimo wszystko.

– To...?

– To odwołaj chłopaków, zapomnij o tej rozmowie i zaopiekuj się Kusto. Proszę.

– Jasny temat, Chudy.

Odetchnąłem z ulgą. Przynajmniej jeden, który nie zadawał pytań.



Jeszcze na ten sam dzień, na późny wieczór umówiłem się z Olgą. Ot, tak po prostu, bo stęskniłem się za dziewczyną... I chciałem się z nią zobaczyć, nie wiedząc, co przyniesie przyszłość.

Tym razem to ona czekała na mnie w lokalu, już przy kieliszku wina.

– Sasza! – Wstała i otworzyła ramiona, przytuliła się jak do dawno niewidzianego przyjaciela. – Cześć! Gdzieżeś ty był, jak cię nie było?

– Ano, tak się złożyło, że musiałem pojeździć trochę, a zasięgu akurat nie było. A ty co taka opalona?

Przegarnęła włosy z twarzy, wystawiła się do światła.

– Ładnie, co? Miałam trzy dni wolnego, to poleżałam trochę nad wodą.

– Miałaś wolne... – jęknąłem. – I nie mówiłaś wcześniej.

– Oj, tak wyszło w ostatniej chwili trochę. Chciałam do ciebie zadzwonić, ale nie łąpało twojego komunikatora. To gdzie byłeś?

– Na południu – powiedziałem wymijająco.

– I co mi przywiozłeś?

Zrobiło mi się głupio, bo w sumie to nic.

– Siebie? – zaproponowałem.

– A dasz gryza?

Oj, tak. Stęskniłem się za tą dziewczyną zdecydowanie.

– Dam, ale niekoniecznie teraz. Co do prezentu... Może będę miał coś jutro. Zobaczymy.

– Ojej! Dla mnie?

– ...też. – Uśmiechnąłem się. – Może być dla ciebie. Chyba ci się spodoba... Mam nadzieję.

Jeśli była córeczką swojego tatusia, to spodoba się jej zdecydowanie.

Późny wieczór dnia następnego

Nabrałem wody w dłonie, ochlapałem twarz i spojrzałem na siebie w lustrze.

Tak. To miało być dziś.

Byłem niewyspany, zmęczony, utrzęsiony po kilkunastu godzinach w samochodzie, ale zadowolony z wykonanych przygotowań. Teraz umyty, ogolony... W zasadzie gotów na cokolwiek, co przyniesie los.

Dosypałem Kusto żarcia, dolałem wody. Sprawdziłem, czy Pies leży na swoim miejscu i czy stacja dokowania jest podłączona do prądu. Mykoła prosił mnie, żebym to sprawdził przed wyjściem, i na pewno zapyta o to, jak tylko mnie zobaczy.

Tamci powinni być już na tak zwanych stanowiskach. Teraz czekali tylko na mnie, żebym powiedział im, co w ogóle robimy.

Dwie godziny do wyznaczonej zbiórki, pora ruszać. Sprawdziłem, czy w pistolecie jest pełny magazynek, poupychałem po kieszeniach opatrunki, opaski uciskowe i jednorazowe strzykawki ciśnieniowe z wszelakimi substancjami, które mogły się przydać podczas takiej akcji.

Spojrzałem na siebie w lustrze: gotów.
Aha, tak się oszukuj.



Miasto oczywiście było jednym wielkim korkiem, więc poruszałem się w iście ślimaczym tempie. Do zakładu pozostał jeszcze kawałek, ale i ja miałem czas.

– Póki co wszystko zgodnie z... – mruknąłem do siebie i w tym samym momencie świat rozbłysnął czerwono-niebieskimi lampami milicyjnego drona, który zawisł mi przed maską. – Szlag.

Zjechałem w zatoczkę, gdzie już czekał oznakowany grawilot. Drzwi podniosły się, ze środka wysiadł funkcjonariusz.

W pierwszej chwili wydawało mi się, że gdzieś go już widziałem, a potem nabrałem pewności: owszem, widziałem go już. I numer na wozie też był znajomy, i obdrapany dron też. To ten sam, co mnie zhaltował, jak wracałem po pierwszym spotkaniu od Daniłowa. No cóż, historia zataczała koło.

– Dzień dobry, obywatelu, sierżant Gniski z głównego inspektoratu bezpieczeństwa ruchu drogowego. Dokumenty, prawo jazdy poproszę... A badanie techniczne przeszło toto?

Déjà vu w najczystszej postaci. Podałem mu papiery samochodu, wystawiłem swój czip do czytnika. Przyłożył, sprawdził. Podsunął mi rurkę multiskanera.

– Co to, znów macie jakąś akcję? – warknąłem.

– Dmuchiście, z łaski swojej. Sezon wakacyjny jest, wzmożone kontrole... Dziękuję, śladów alkoholu ani narkotyków nie wykryto. Otwórzcie bagażnik.

– Hola, po co? Mnie się spieszy...

– A mnie nieszczęśliwie, więc postarajmy się, żeby kontrola trwała pięć minut, a nie godzinę. No już, otwierajcie.

Wygramoliłem się na zewnątrz, otworzyłem mu kufer. Zajrzał, nachylił się. Włączył latarkę. Podniósł podwójne dno i popatrzył na pustą przestrzeń przewozową.

– A to co takiego, obywatelu? – Spojrzał na mnie pytająco.

– Brak koła zapasowego – odpowiedziałem bez chwili wahania.

– Nie macie obowiązku posiadania zapasu. – Zmarszczył brwi.

– Dokładnie. I dlatego jest go brak.

– Hm. A co przewozicie z tyłu? Otwórzcie drzwi.

Tak jakby samemu rączki urwało. Otworzyłem, popatrzył na mój śmietnik.

– Już?

– Jeszcze schowek na dokumenty.

Zajrzał.

– Już, mogę jechać?

– Rozepnijcie kurtkę i podnieście ręce.

O cholera.

Posłusznie rozpiąłem, podniosłem. Od razu zauważył tkwiący w kaburze pistolet, nacisnął guzik alarmu przy pasku. Lampy radiowozu rozbłysły mocniej, dron z warkotem podniósł się z dachu samochodu i zawisł nad nami, kierując ku mnie oko kamery oraz lufę wbudowanego pistoletu maszynowego.

– Ręce do góry! – zawołał gliniarz.

– Już mam w górze, drugi raz nie podniosę.

– Co to za broń?! Macie pozwolenie?!

– Znalazłem pod blokiem. Właśnie wiozę na komendę, żeby oddać.

Zbaraniał.

– Nie wierzę wam, obywatelu. – Potrząsnął głową.

– Mam napisane oświadczenie. Pokazać?

Wyciągnąłem z kieszeni cyfronotatnik, wyświetliłem dokument. Tamten wziął go w ręce, popatrzył z niedowierzaniem. Sprawdził datę: półtorej godziny temu. Odpalił swój autentyfikator, wpiął do portu komunikacyjnego.

– Znaleźliście? – upewnił się. – Razem z kaburą?

– Kabura kolekcjonerska, dozwolona prawem. Ano znalazłem. Wziąłem, żeby ktoś sobie krzywdy nie zrobił albo jakiś bandzior nie zabrał. I teraz wiozę na komendę najbliższą, żeby oddać zgodnie z prawem.

Nie na darmo robiłem codziennie ten cyrk z kasowaniem i pisaniem, bo oświadczenie musiało być świeże. Sam tekst miałem wyuczony na pamięć, wykuty na blachę, odkąd znajomy prawnik mi powiedział, że jest taka opcja. Jedyna szansa, żeby wykręcić się z zarzutów o nielegalne posiadanie.

– I ta najbliższa komenda jest...?

– Pojęcia nie mam, bo ja nietutejszy. Skoro już was mi los zesłał, sierżancie, to może wy przejmiecie obowiązek dostarczenia?

Wiedziałem, że nie może odmówić. On też wiedział, że nie może, i dlatego się skrzywił z niezadowoleniem.

– Spiszemy protokół – zdecydował.

Otworzył komputer, zaczął literka po literce wbijać zdania. Kasował, marszczył czoło, nie trafiał w klawisze. Pisał bez sensu, dookoła, myśląc osoby i zaimki: „podczas rutynowej kontroli, ujawniono posiadanie przez ob. Khudovca Aleksandra, lat 44, braku pozwolenia na posiadaną broń krótką, którą tenże twierdzi, że znalazł spacerując pod blokiem uprzednio”, i tak dalej.

Wreszcie skończył, dał mi do przeczytania.

Podpisałem, dwoma palcami wyjąłem i oddałem mu pistolet. Aj, widziałem, że też mu się podoba, że chętnie by się takim pobawił... Ale nie pobawi, bo na wszystko patrzył czujnymi ślepiami dron.

Podziękowałem mu, zabrałem dokumenty i wsiałem do samochodu. Ruszyłem, machając na pożegnanie przez uchyloną szybę.

– Kurwa jego jebana w dupę mać! – wrzasnąłem, uderzając obiema rękami o kierownicę.

Akurat teraz! Akurat dziś, akurat kiedy miał mi się ten pistolet przydać! Co za cholerny, ślepy, durny, złośliwy los! Że też zawsze tak jest, że jak ma się coś spieprzyć, to się spieprzy w najgorszym momencie!

No dobra, trudno. Spokojnie. Jakoś damy radę.

Nie takie się siupy robiło.



Zajechałem pod zakład, a jakże, spóźniony. Tamci już czekali: wielki, matowo czarny samochód z czarnymi szybami wypełził z bocznego zaułka, zatrzymał się. Z wozu wysiadła ta sama ekipa, czyli dwaj siepacze, blondyn i ten wielki ochroniarz.

– Dobry wieczór! – zawołałem radośnie, konsekwentnie grając rolę przygłupa. – A gdzie sam szef?

Zarnicki Junior splunął na ziemię, pokręcił głową.

– Ma ważniejsze sprawy. I gdzie twój ludzie, Alex?

– Ustawieni na wyznaczonych pozycjach. Pan kapral rusza z nami?

– Nie. Z wami pójdzie Maksim. – Wskazał ochroniarza.

Aj. Miałem nadzieję, że blondyn pokusi się o uczestnictwo w rajdzie. No cóż, nie można było mieć wszystkiego, w każdym razie nie naraz.

– No dobra, trudno. To co, idziemy?

Nie czekając na goryla, ruszyłem pierwszy.

Moja ekipa też już czekała w gotowości: blokersi w pełnej krasie, miniaturowa orda mongolska, czterej jeźdźcy spierdolenia. Jegor jak zwykle nie mógł usiedzieć na miejscu, więc chodził w tę i we w tę, wymachiwał rękoma i coś sobie mamrotał pod nosem; Pasza siedział pod murkiem i grzebał coś przy zaworach filtrów; Anton ćmił papierosa, oparty o ścianę; i tylko Wania, stojący na pseudoczatach, podskoczył i zasalutował niewprawnie.

– Panie kapitanie, meldujemy gotowość!

– Spocznij, Wania. Gdzie Mykoła?

Ubrany w długi prochowiec i naciągniętą na oczy czapkę z daszkiem cyborg wyłonił się z ciemnego kąta.

– Tutaj jestem. Dobry wieczór, panie Aleksandrze.

– Świetnie. Macie to, co kazałem wziąć?

– WSZYSTKO JEST! – wydarł się Jegor. – PEŁNA GOTOWOŚĆ DO SZTURMU!

– Ćśś, nie ma potrzeby robić hałasu. – Pokazałem gestem, żeby nieco ściszył głośność. – Ała, no co?

Wielki ochroniarz dźgnął mnie grubym, twardym paluchem między łopatki. Potem wyciągnął go oskarżycielsko ku mojej drużynie.

– Te obdartusy i pijaczyny to niby twoi ludzie? O kurwa. Szef cię ze skóry obedrze, jak się dowie.

– Jest możliwe, jeszcze jak. Dobra, panowie, ruszamy.

Poprowadziłem ich bocznymi uliczkami, w kierunku starych torów kolejowych, idących do bocznicy przy zakładzie baryszewskim.

Niby wszędzie stały kolumny z reflektorami, ale pomiędzy poustawianymi jeden przy drugim pociągami towarowymi leżały głębokie cienie... Poza tym wiele się tu nie zmieniło przez ostatnie trzydzieści lat, a ja się tu wychowałem.

No tak, bo ojciec był przecież brygadzystą na baryszewskim zakładzie naprawy taboru. Ile ja się tutaj nabiegałem, naskakałem po torach, siniaków nabiłem i kolan nazdzierałem do krwi... Ech, szczęśliwe i beztroskie dzieciństwo. O ile tam, od frontu, zmieniło się w zasadzie wszystko – szklane drzwi, fotokomórki, marmur i aluminium – o tyle tutaj, od strony zaplecza, wszystko było takie samo i niezmiennie. Nawet płot z blachy falistej, tylko że zardzewiał bardziej i pokrzywił się mocniej.

Ja jednak nie prowadziłem ich bezpośrednio na remontownię, tylko dalej, w okolice warsztatu produkcji narzędzi, sąsiadującego

z częścią produkcyjno-administracyjną. Kulas już wcześniej ściągnął nagrania z kamer kontrolujących ruch pociągów, więc obejrzelśmy sobie wszystko, i teraz szedłem jak po swoje.

Nie na darmo analizowaliśmy to kawałek po kawałku w samochodzie. Bicie osiem godzin pracy koncepcyjnej nie mogło pójść na darmo.

– Tam. – Pokazałem ręką na wysoki płot z metalowych prętów, na którego szczycie lśniły ponurym blaskiem wycięte z grubej blachy i zeszlifowane na ostro kolce.

– Ale... co? – dość przytomnie zapytał Wania.

No tak, w sumie to wypadałoby im powiedzieć.

– Wchodzimy na teren zakładu od strony zaplecza technicznego. Tam szukamy dawnego warsztatu 8C. Dostajemy się do środka, a dalej... dalej wam wytłumaczę potem.

Wymienili spojrzenia, Mykoła skinął głową. Jemu przynajmniej w ogólnym zarysie wyłuszczyłem plan, i szczerze mówiąc, liczyłem, że jakby co to oprócz mnie właśnie on będzie robił za drugiego myślącego.

– To jak niby planujesz przedostać się przez ogrodzenie, co? – burknął ochroniarz.

– A tak.

Odebrałem Mykole jeden z pakunków, które ten do tej pory targał zwinięte pod pachami. Aż sapnąłem pod ciężarem, bo trochę to jednak ważyło... Rozpiąłem pasy trzymające zwinięty materac wojskowy, pozwoliłem mu się rozprostować.

Nie zrozumieli. Ja też bym nie zrozumiał, gdybym sam na to nie wpadł.

– Bierzecie we dwóch, trzeci asekuruje – wytłumaczyłem im plan.

– Zarzucacie na szczyt ogrodzenia jeden materac, potem drugi. I po nich, hyc! na górę.

Zaśmiali się, ale potem spoważnieli, kiedy dotarło do nich, że mówiłem poważnie.

– Teraz? – tym razem zapytał Anton.

– Kulas, jesteśmy pod płotem – powiedziałem półgłosem.

– Osiem minut do przejścia wartownika – zaszumiał głośniczek douszny.

– Odczekamy, przepuścimy strażnika i jak schowa się za rogiem, to wtedy. Na razie podciągnijcie je bliżej, jak najbliżej płotu!

Zawlekliśmy nasze pomosty inżynieryjne aż pod samo ogrodzenie, potem zalegliśmy w rowie. Faktycznie, po jakimś czasie zza rogu wyłonił się lokalny wartownik, przyświecając sobie

latarką, przeszedł wzdłuż ściany. W połowie zrobił przerwę, ulżył sobie w załomie muru, potem, pogwizdując, podjął swój obchód.

Jak tylko schował się za winklem, poderwałem się pierwszy, pokazałem ruchami rąk: teraz, szybko!

Sapiąc i stękając, podnieśliśmy pierwszy materac, zarzuciliśmy na ogrodzenie. Kolce od razu przebiły go na wylot, ale przynajmniej się trzymał... Ochroniarz od Zarnickiego i Mykoła od razu władowali na niego drugi, który już w pełni przykrył ostre szpikulce.

– Na górę! – pokazałem tamtym, robiąc stopkę.

Jako pierwszy wspiął się Wania. Jedną nogę postawił na moichłączonych rękach, drugą na ramieniu, potem od razu kopnął mnie w ucho, nadepnął na czubek głowy, ale wreszcie wywindował się na górę. Jegor już chciał podążyć w jego ślady, ale ja zamachałem rękami.

– Mykoła, zmiana! Ty podsadzaj, teraz ja.

Poszło szybko i sprawnie, bo Mykoła stał niewzruszenie jak stalowe schodki. Przesadziłem ogrodzenie, od razu ustawiłem się po drugiej stronie, gotów pomagać kolejnym z moich, pozał się Boże, komandosów.

Jako przedostatni ogrodzenie sforsował Anton, który z zaskakującą przy swojej tuszy chyżością zdołał wspiąć się na górę. Wreszcie tę samą drogę powtórzył Mykoła.

Mieliśmy niespełna godzinę, zanim ochroniarz znowu będzie tędy szedł.

Złapałem pierwszą lepszą z przerzuconych wcześniej przez ogrodzenie toreb z wyposażeniem, pokłusowałem w kierunku cienia pod ścianą. Mykoła próbował odczepić materace, ale syknąłem na niego: zostaw! Niech wiszą, i jak już wszystko jedno.

Oj, jednak trochę się tu zmieniło przez te lata. Wszystko było jakby mniejsze, odległości nie te... Mimo to znalazłem wejście do części warsztatowej, pokazałem: Mykoła, dawaj!

Mój wszechstronnie uzdolniony dostawca od razu nachylił się nad zamkiem, zaczął majstrować w nim przy pomocy dwóch kawałków podgiętego drutu. Ja tylko patrzyłem nerwowo na zegarek: dziesięć minut, nim ochroniarz będzie mógł przejść tędy, zaglądając w wąskie przejście...

W końcu szcęknęło, drzwi się uchyliły. Władowaliśmy się od razu do środka, do ciemnej, pachnącej kurzem i rdzą hali produkcyjnej, a ja zamknąłem za nami wejście.

– Ćśś... – Przyłożyłem palec do ust.

Słychać było tylko ciężkie oddechy i stłumiony kaszel Paszy. We

wpadającym przez zakurzone świetliki blasku reflektorów widać było wirujący w powietrzu kurz, wzrok powoli wyciągał z ciemności zarysy starych maszyn i składowiska zalegających pod ścianami części zapasowych.

Sekundy dłużyły się niemiłosiernie, aż wreszcie monitorujący zdalnie sytuację Kulas zameldował: przeszedł, można.

– Dalej! Szukamy numeru 8C! – rzuciłem półgłosem, włączając latarkę.

Rozbiegliśmy się po salach i przejściach, próbując znaleźć właściwe wejście. Najbardziej bałem się tego, że ktoś z nich zrobi coś durnego, wlezie, gdzie nie trzeba... A była to najmniejsza z rzeczy, jakie mogły pójść nie tak.

– Jest!! – rozległ się głos ochroniarza od Zarnickiego Juniora.

Rzeczywiście, kiedy do niego podbiegłem, stał przy stalowych drzwiach z wymalowanym farbą olejną numerem: 8C. Teraz miało się okazać, czy plan w ogóle miał sens, czy będzie trzeba kombinować inaczej.

Przepuściłem na przód Mykołę, ten zaczął znów majstrować przy zamkach. Poszło mu szybko, weszliśmy kawałek dalej... Oj, wspomnienia, wspomnienia!

Teraz tylko sobie przypomnieć, gdzie jest to konkretne miejsce.

Ekipa stała sobie pośrodku sali, a ja latałem w tę i we w tę, usiłując znaleźć coś, co pamiętałem jak przez mgłę. To gdzieś tu, tu musiało być... Zacząłem opukiwać ściany, w końcu trafiłem: tak, głuchy odgłos! To tu!

– Dawajcie łom! – Wyciągnąłem rękę.

Któryś wcisnął mi w dłoń krótką, zagiętą łapkę do gwoździ. Zamachnąłem się, uderzyłem w ścianę – ostrze weszło jak w masło, więc szarpnąłem mocno, wyrywając w płycie gipsowej okazałą dziurę. I jeszcze raz, i kolejny. Wania złapał za krawędź, zaczął szarpać gołymi rękoma, kopać i rwać ile sił, pozostali też doskoczyli.



Tak. To tutaj zaoszczędzili na ceglach, z których młodszy brygadzysta postawił sobie w domu barek. Zamiast zamurować drzwi, po prostu je przykryli z dwóch stron kartongipsem.

Wyrwaliśmy ile się dało, odsłaniając zakurzone drzwi z klamką. Nacisnąłem, pociągnąłem – otworzyły się, skrzypiąc zawiasami. Za nimi było sporo upchanej byle jak waty szklanej, gąbki i kartonów.

– Anton, w tamtej torbie masz kamizelkę kuloodporną! – Pokazałem. – Zakładaj, żywo!

Grubas podskoczył jak smagnięty batem, rozpiął torbę i wyciągnął ciężką od płyt balistycznych kamizelę. Zaczął mocować się, próbując wcisnąć ją przez głowę, Pasza rzucił się, żeby mu pomagać...

– ALE BĘDZIE DYM! – ucieszył się Jegor.

Nie można było dać im ochłonąć. Jeśli tylko spróbują się zastanowić, to któryś nieuchronnie dojdzie do wniosku, że to, co robimy, jest bezdennie głupie. Dopóki nie mieli czasu na myślenie, istniała szansa, że nam się uda.

– Wania, mówiłeś, że masz broń... Dawaj!

Wywołany sięgnął za spodnie z tyłu, wyciągnął poważnie wyglądający rewolwer. Już się ucieszyłem, kiedy zauważyłem oznaczenia na lufie: RAM, real action marker.

Czyli pierdolony traumat, pistolet na gumowe kule.

Szlag by to trafił.

Nie dałem po sobie nic poznać, wziąłem od niego atrapę prawdziwej broni, pokiwałem głową: super.

– Kto jeszcze coś ma?

Dwa noże, jedna latarka z paralizatorem.

– Nie mówił pan, żeby coś brać, panie Aleksandrze – bezradnie rozłożył ręce Mykoła. – A przecież tam, na mojej fabryce, leży tego...

– Nieważne. Gotowi?

– Tak jest! – nierównym chórem odpowiedziała moja drużyna.

Ochroniarz od Zarnickiego patrzył na nas jak na skończoną chujozę. Jakby nie wierzył, że to wszystko dzieje się naprawdę. A ja... ja czułem się w tej chwili jak autentyczny król żebraków.

Wziąłem głęboki oddech. To była ta chwila, to było być albo nie być. Potoczyłem po nich wzrokiem.

– Mykoła, bądź tak uprzejmy i przebij się na drugą stronę. – Zrobiłem zapraszający gest, pokazując na otwór w ścianie.

– Oczywiście, panie Aleksandrze.

Wziął rozbieg, zasłonił twarz przedramieniem i po prostu skoczył w otwarte drzwi. Huknęło i trzasnęło, podniosła się chmura pyłu i kurzu... A ja zaświeciłem w ciemny korytarz po drugiej stronie.

Udało się. Przebiliśmy się do zamkniętej części administracyjnej.

– Anton, naprzód! – charknąłem, popychając grubasa w kamizelce balistycznej przodem. – Wania, Pasza, świećcie latarkami!

Sam skuliłem się za sapiącym, pocącym się jak świnia, wielkim niczym szafa Antonem, wystawiając mu nad ramieniem lufę pistoletu na gumowe kule. Jeśli strzelę, to popękają mu bębenki...

Jeśli ktoś strzeli do nas, to pęknie mu bebech, wylewający się spod kamizelki.

No trudno. Każdy ma jakąś rolę w życiu, a jego rolą było robienie za żywą tarczę.

Skręciliśmy za róg, światła jeszcze się nie zapaliły. Tutaj powinny gdzieś być już pomieszczenia sekretariatu i dyrekcji, bo wbiliśmy się centralnie do środka, w samo serce zakładu... Zamkniętego od zewnątrz na trzy spusty, bronionego przez pancerne bramy i systemy alarmowe.

Na pałę, na rympał, na głupa. I udało się.

Widziałem kątem oka, że ochroniarz od Zarnickiego wysyła jakąś wiadomość. Pewnie pisze do szefa... Ja też puknąłem komunikator w ucho, szepnąłem:

– Kulas? Słyszysz mnie?

– Słabo i niewyraźnie, pewnie ściany ekranują, ale słyszę. Jestem na miejscu – zatrzeszczała słuchaweczka. – Ile wam brakuje?

– Jesteśmy w środku. Może pięć minut, może... Stój, ręce do góry! Mam broń, ręce do góry!

– RĘCE DO GÓRY! KURWA, RĘCE DO GÓRY, MAMY ZAKŁADNIKA, CHUJU! JA PIERDOŁĘ, ZABIJĘ CIĘ, ZAJEBIĘ, ROZPIERDOŁĘ, RĘCE DO GÓRY! – wydarł się Jegor tak, że sam mało nie wypuściłem broni.

Strażnik, który właśnie wyszedł centralnie na nas z za zakrętu korytarza, zamarł niczym królik w światłach ciężarówki.

– Ręce, ręce! Na glebę, mordą do podłogi! Kładź się, już!

– KŁADŹ SIĘ, KURWO! KŁADŹ SIĘ, BO ZAJEBIĘ, JA PIERDOŁĘ, AHA-HA-HA, ALE JAZDA! RĘCE DO GÓRY!

– Ręce do góry, człowieku! – zapiszczał dyszkantem Anton, który dopiero teraz zrozumiał, że trafił pomiędzy młot a kowadło.

Wartownik w pierwszej chwili sięgnął po broń, ale zaraz zrezygnował, skulił się, posłusznie podniósł ręce, ukląkł na ziemi. Czym prędzej doskoczyłem do niego, wykręciłem dłonie, związałem plastikowym samozaciskiem i wyszarpnąłem z kabury pistolet. Małe toto, pukawka, ale zawsze broń...

– Klucze! – wyrzuciłem z siebie.

– Nie mam, nie mam... – zajęczał tamten. – Nie zabijajcie, ja emeryt już jestem!

– Gdzie są?!

– Na stróżówce, tam dalej! Tam siedzi Witia jeszcze!

– Wstawaj, idziemy!

Poprowadziłem go przed sobą, wciskając lufę jego własnego pistoletu w potylicę i czując, jak pocą mi się ręce. Czyli byli dwaj, a może i trzej. Niedobrze. Nieprzewidziana komplikacja.

Drugi strażnik nawet nie zauważył, że podeszliśmy. Zanim odwrócił się od holowizora, już celowałem mu w twarz.

Związaliśmy i zakneblowaliśmy obydwu, zabrałem im broń i, co najważniejsze, klucze! Rzuciłem je od razu Wani, poleciłem, żeby otworzył szafę pancerną. Spojrzałem na kamerki bezpieczeństwa, na konsolę...

– Teraz musicie dostać się do pomieszczeń zarządu. – Wtyka Zarnickiego też jednak się denerwował, oblizywał nerwowo usta. – To będzie jakoś w lewo...

– Wiem, gdzie to jest – przerwałem mu, wciskając dezaktywację alarmu.

– Ale po co...

Nie zwracając na niego uwagi, przerzuciłem przełącznik otwierania bocznej bramy i zwolniłem blokady drzwi od tamtej strony. Przez chwilę patrzył na to, nawet zmarszczył brwi, jakby chcąc o coś zapytać.

– Potrzebuję jeszcze jednego człowieka – wyjaśniłem uprzedzająco. – Hakera.

– Ale macie tutaj komplet kodów. – Klepnął się w kieszeń. – Wystarczy, że wprowadzicie ten nośnik do komputera w księgowości.

No tak, bo taka właśnie była idea wrogiego przejęcia. Trzeba było wejść do siedziby firmy, którą chciało się przejąć, i dostać do pomieszczeń księgowości i/lub działu prawnego. Tam, gdzie były wszystkie dokumenty, gdzie leżały po szafach pancernych czipy z uwierzytelnionymi podpisami i elektroniczne pieczęci.

Wchodziło się tam, zabierało albo kasowało wszystkie dokumenty, a potem fingowało umowę kupna-sprzedaży. Albo i przekazania. Lewy protokół posiedzenia nowego zarządu, lewy protokół wyboru nowego prezesa... Słowem, robiło się podwójną dokumentację.

A potem? Potem, jak już miało się fizycznie w garści sam zakład, papiery, pieczęcie i klucze dostępu, robiło się krok w tył. No co, że niby nie moje? Jak nie moje, jak moje!

Rozbój w biały dzień, jednym słowem.

– Nie do końca wystarczy. – Pokręciłem głową. – O, już jest!

Rzeczywiście, na teren zakładu wjechała taksówka z oznaczeniami transportu specjalnego. Pojazd opuścił rampę, po której majestatycznie, powoli zjechał wózek inwalidzki Kulasa. Mój prywatny informatyk rozliczył się z kierowcą, ruszył przez otwierające się automatycznie drzwi w naszą stronę.

– Nie takie były ustalenia – zaniepokoił się ochroniarz.

– Mówię, że potrzebuję hakera – powtórzyłem, za plecami odbezpieczając pistolet na gumowe kule.

– Nie tak miało być. Szefie! – Uniósł do ust komunikator. – Szefie, oni coś tutaj...

Nie dokończył, bo strzeliłem mu z przyłożenia prosto w brzuch. Złożył się jak gumowa lalka, doskonale wyczuwający chwilę Jegor walnął go z boku w ucho, a Pasza wbił paralizator prosto w kark. Trzasnęło, gościu zwałił się jak kłoda.

– HA! ZDYCHAJ, ŚWINIO JEDNA! – zawył Jegor, już sięgając po nóż, ale złapałem go za rękę.

– Żadnej krwi! Związać go, położyć pod ścianę! Mykoła, leć po Kulasa... Wania, jak tam?!

– Jest! – krzyknął tryumfalnie tamten, przekręcając klucz.

Pociągnął za skrzydła pancерnej szafy, a naszym oczom ukazał się cały arsenalik. Kilka strzelb, dwa karabinki, pół tuzina pistoletów, pudełka z amunicją... O gazie i elektropalkach już nawet nie wspominając.

Moja brygada wrzasnęła radośnie, rzuciła się jeden przez drugiego, wyrywając sobie co lepsze sztuki.

Odetchnąłem głęboko. No dobra, to teraz czekamy na rozwój wydarzeń... O, już widziałem, że przed zakładem coś się zakotłowało: czarny samochód, do tej pory stojący w ciemnym zaułku, podjechał pod bramę. Wysiadło z niego dwóch siepaczy, którzy bezskutecznie kręcili się pod ogrodzeniem, gestykułując zamasyście.

Zaraz za nimi wyszedł Zarnicki Junior, zaczął klarować coś w komunikator. No tak, przecież widzieli taksówkę i wózek inwalidzki, więc już to było cokolwiek dziwne. Potem usłyszeli ostatni raport teraz związanego przydupasa, padł strzał.

Dodali dwa do dwóch, doszli do jedyne go słusznego wniosku: będe chciał ich jakoś przekręcić.

Tylko że jeszcze nie zaczęli podejrzewać, z jakim rozmachem i w jakiej skali.

Obserwowałem widocznego na monitorze blondyna. Aj, a miałem wcześniej nadzieję, że to on z nami pójdzie! To byłby piękny dodatkowy łup, gdybym mógł wysłać jego zdjęcie Cesarzowi, czekającemu teraz w celi na rozprawę.

Ale to nic. Cesarzem i stosunkami ze starą ekipą zajmiemy się później. Na razie pracowałem na swoją nową pozycję w nowym świecie.

Wyłuskałem z ucha nieprzytomnego ochroniarza komunikator, wsłuchałem się w głosy.

– ...bez wyjątku, rozumiesz? Są tam w środku! Dawaj ich tutaj, migiem! – to perorował Zarnicki Junior.

– Uspokój się, nie panikuj. Ilu? – spokojny, rzeczowy głos starszego brata. – Mówisz, że zastrzelili Maksima?

– Nie odpowiada, a ja słyszałem strzał!

– Przechodzimy na bezpieczny kanał, bo mają jego komunikator. Chłopcy już do ciebie jadą.

Odłożyłem niepotrzebną już słuchawkę na blat. No, zaraz się tu zagotuje.

I bardzo, bardzo dobrze.

Wyciągnąłem z bocznej kieszeni zawczasu przygotowany holonotatnik z przystawką uwierzytelniającą, otworzyłem prawie gotowy dokument.

– Panowie – zwróciłem do moich pijaczków spod bloku – każdy przykłada tutaj kciuk, a tu przesuwam czipem identyfikacyjnym. No już, raz-dwa!

Nie zadając pytań, zaczęli po kolei składać podpisy. Patrzyłem, jak ich dane wpływają w odpowiednie miejsca, i aż mi się śmiać chciało.

Wreszcie Jegor też zdołał wczytać swój profil, ja kliknąłem „zapisz, zamknij”.

– Dziękuję, panowie, witam was w składzie zarządu. – Wyszczrzyłem się.

– OGŁOSILIŚMY NIEPODLEGŁOŚĆ?! – zdziwił się Jegor. – JESTEŚMY NOWYM PAŃSTWEM!

– Nie, nie aż tak, ale...

– Chudy. – Kulas skrzywił się, wjeżdżając do zatłoczonej kanciapy ochroniarzy. – Co tu się dzieje?

– Jedziemy z koksem, Kulas. Po całości, po pełnej kurwie. Masz. – Podąłem mu wyjęty z kieszeni ochroniarza dysk i świeżo zamknięty notatnik. – Tutaj dopisz siebie. A to trzeba wprowadzić do systemu, ale nie uruchamiać... Leż cicho, bo w łeb!

To ostatnie było skierowane do samego Maksima, który dochodził już do siebie i teraz szarpnął się w więzach, zabełkotał coś i krzyknął nieartykułowanie.

– Gdzie mają główną serwerownię działu prawnego? – zapytał Kulas, patrząc na plan.

– Jeśli mogę się wtrącić...

Mykoła pokazał palcem na schemat pomieszczeń, Kulas kiwnął głową.

– Ruszajcie! – poleciłem. – Mykoła, otwieraj albo wyważaj drzwi, to bez znaczenia. Kulas, odpal ten ich dysk, ale...

– ...nie uruchamiaj, słyszałem. Zostawić otwarty port?

– Tak! No już, ruszać się!

Sam patrzyłem na kamery. Do pierwszego samochodu dołączył już drugi, trzeci... Wysypywali się z nich najemnicy, widziałem broń krótką i długą. Będą nas chcieli brać szturmem.

– Żołnierze ze stacji Gagarinskaja! – zawołałem, zwracając się do

moich pijaczków, teraz ściskających broń wszelaką. – Oto nadchodzi pora, kiedy będziemy musieli walczyć o swoje! Co prawda to jeszcze nie jest nasze, ale walczyć musimy już... Umiecie obchodzić się z bronią?

Pokiwali, ale po spojrzeniach i minach widziałem: ni cholery.

– Trudno! Kolbą do siebie, lufą do wroga, i z pieśnią na ustach... Ruszamy, na pozycje!

Poprowadziłem ich ciemnym korytarzem, potem schodami na piętro. Wywaliłem z kopa pierwsze lepsze drzwi od frontu, władowałem się do czyjegoś gabinetu.

Uchyliłem okno, niemalże na oślep dałem ognia z odebranego wartownikowi pistoletu.

Kręcące się pod bramą figurki nagle skoczyły na boki, kryjąc się za samochodami. Strzeliłem jeszcze raz, potem odsunąłem się od okna. W samą porę, bo kilka kul naraz uderzyło w szybę, zasypując mnie deszczem odłamków.

– Wania! – krzyknąłem, pokazując na stanowisko przy oknie. – A wy za mną, do kolejnych pokojów! Nie pozwólcie im podejść!

O dziwo, nie trzeba było im powtarzać dwa razy. Bardzo szybko i sprawnie roztasowali się po pomieszczeniach, zaczęli palić do stłoczonych na dole ludzi Zarnickiego; tamci odpowiadali zmasowanym ogniem, prawie nie dając naszym się wychylić... Ale najważniejsze było to, że trzymaliśmy ich na dystans.

Siłą rzeczy, nie mogło to potrwać długo. Nie musiało wręcz, ale teraz walczyliśmy o każdą minutę.

Jeden ze stojących pod zakładem wozów wykręcił, nabrał rozpędu i całym impetem wbił się w bramę, wrywając jedno skrzydło. Ludzie od razu zaczęli wciskać się w wyłom, pod ogniem moich bojowników przebiegać dalej.

– Nikt poza nami! – ryknąłem motto wojsk powietrznodesantowych, ciskając za okno granat hukowo-błyskowy.

Faktycznie, błysnęło i huknęło tak, że aż posypało się szkło z okien, kilku ludków zatoczyło się... O, jeden oklapł na ziemi, najwyraźniej trafiony przypadkową kulą któregoś z moich.

No cóż. Komplikacje musiały wystąpić. Trupa jakoś się wytłumaczy później.

– ...Chudy! – usłyszałem przez kanonadę wołanie Kulasa.

– Zaraz! – odkrzyknąłem.

Chciałem, bardzo chciałem pobiec do niego, ale jeszcze nie mogłem. Nie mogłem, bo tamci byli już przy drzwiach... Strzeliłem kilka razy, przeganiając ich od głównych schodów.

A potem usłyszałem odbite echem, słodkie niczym najpiękniejsza symfonia, wycie syren. Ulice zabarwiły się błękitem i czerwienią nadciągających radiowozów; atakujący wyraźnie stracili rezon, zawahali się: z milicją nikt nie chciał mieć do czynienia.

Wreszcie nadciągała kawaleria, czyli Kojotowi można jeszcze było ufać.

Jakiemu Kojotowi?

O co chodzi, pytacie?

No już. Cofnijmy się o kilkanaście godzin.

Retrospekcja: rano tego samego dnia

– Kapitan Khudovec do pułkownika Derlina. Sprawa służbowa.

Kojot nie kazał mi długo czekać: pewnie jak tylko dotarła do niego wiadomość, że jestem i czekam, kazał mnie wypuścić. Ciekaw był, co takiego mam mu do powiedzenia... I słusznie, że był ciekaw.

– Chudy, druhu! – Aż wstał zza swojego ogromnego, masywnego biurka i podszedł, żeby się przywitać.

– Cześć, Kojot. Jak leci, co dobrego?

Machnął ręką.

– A, daj spokój. Przecież po zmianie gubernatora jest taki burdel, że się nie chce nawet o tym mówić. U mnie już poleciał generał major, tylko patrzeć, jak fala uderzeniowa do nas dojdzie. Góra się strasznie pulta, wszyscy wykonują gwałtowne ruchy i trzymają się stołków. A co u ciebie?

W domyśle: czy może masz to, co bardzo chciałbym, żebyś miał?

– Stara bieda. Wiąże się koniec z końcem, ale poza tym to...

– Odpocząłeś w Jiali? Czy tylko tranzytem byłeś?

Bydlak. O ile lubiłem, naprawdę lubiłem Kojota, o tyle, niestety, zawsze miał on słabość do obnoszenia się ze swoją siłą i możliwościami. No musiał, musiał mi dać do zrozumienia, że wiedział!

– Wiesz co, Kojot, jak jesteś zajęty i się spieszysz tak bardzo, że nie masz czasu nawet poudawać, że jesteśmy przyjaciółmi, to ja może pójde do kogoś innego – zagrałem va banque.

– Nie no, druhu, coś ty! Siadaj, pogadajmy na spokojnie. Napijesz się czegoś?

Potrząsnąłem głową.

– Nie, jeszcze mnie dziś czeka paręset kilometrów.

- Podwieźć służbówką? Albo załatwić śmigło? Szybciej będzie.
- Kojot, nie przesadzaj teraz w drugą stronę.
- Okej.

Widziałem, jak bardzo stara się kontrolować, żeby nie naciskać, i trochę bawiło mnie przeciąganie sytuacji. Wreszcie zlitowałem się nad nim, sięgnąłem do kieszeni i położyłem na biurku zafoliowany holodysk.

Nachylił się w fotelu, wsparł łokciami o blat. Spojrzał na dysk, potem pytająco na mnie.

Ja tylko kiwnąłem głową.

– Obawiam się, że zdążył zniszczyć dane. Zostałem go... – celowo zawiesiłem głos – w trakcie czyszczenia. Natomiast to chyba żadna strata, bo właśnie o to chodziło, prawda?

– Jasne. Pewnie. Oczywiście. Sprawdzałeś, czy...?

Oj, był zawiedziony.

Słyszałem to w jego głosie: z jednej strony niewypowiedzianą, niewyobrażalną ulgę, że jego grzeszki nigdy nie ujrzą światła dziennego, a z drugiej rozczarowanie. No bo przecież ile tam było grzeszków cudzych!

A Kojot na pewno gotów byłby postawić na szali szczęście własnej rodziny, byleby zyskać przełożenie na tyłu bogatych i wpływowych ludzi.

To nas właśnie różniło, dlatego nie byłem w stanie zostać w milicyjnym specnazie jako jego podkomendny. Dla niego praca i związane z nią rozgrywki były istotą życia, tym, co określało go jako osobę. A dla mnie? Dla mnie to było coś, co należało zrobić, żeby mieć więcej czasu wolnego.

Nakrył dysk dłonią, przesunął ku sobie. Widziałem, jak trzyma go ostrożnie za same brzeżki, pewnie licząc, że zgarnie z niego jakieś ciekawe odciski palców... Ale ja wytarłem plastik dokładnie przed wejściem tutaj, a jeszcze podałem mu prawą, sztuczną dłoń, która i tak nie zostawiała śladów.

– Nie sprawdzałem, nie czytałem, nie ruszałem. Nie jest mi to do niczego potrzebne. A jak tam wsadził jakiegoś wirusa? Za wysokie progi, nie mój kaliber.

– Słusznie, druhu. No, powiem ci, ojczyzna jest ci wdzięczna. I ja jestem ci wdzięczny. Jeśli będę mógł kiedyś coś...

– Możesz dziś wieczorem.

– Jasna sprawa, Chudy! Wybierasz klub, przychodzimy, a ja stawiam co tylko chcesz!

Szybko myślał, chciał się wykpić po tanioci. Nie tym razem,

towarzyszu pułkownika.

– Obawiam się, Kojot... – teraz to ja nachyliłem się do niego – że dziś wieczorem będziesz w pracy.



Kiedy pierwszy czarny, opancerzony radiowóz wjechał pomiędzy osobówki ludzi Zarnickiego, a ze środka wysypali się równie czarni, opancerzeni szturmowcy z naszywkami FSB na plecach, ja zerwałem się i pobiegłem.

Teraz naprawdę liczyć się będzie każda sekunda.

Zbiegłem na dół, rozejrzałem w lewo i w prawo po korytarzu.

– Kulas! – wrzasnąłem, przekrzykując palbę z góry.

– Tu!

Pobiegłem na głos, wreszcie znalazłem wyrwane z zawiasów drzwi. W środku, w pokoju zastawionym ekranami i plastikowymi segregatorami, stał Mykoła. Kulas, podpięty do systemu zakładu baryszewskiego przez swój przenośny komputer, wyglądał już bardziej jak część systemu.

– Chudy, jesteśmy w środku. Łamię ten ich program... – zawiesił głos.

– I? Ale? Jednak? Więc?

– I jest trudno, ale ogarniam, jednak to potrwa, więc cierpliwości.

– Kulas, nie mamy...

– Cierpliwości. Poprzedniego zarządu już nie ma. Wpisuję nas wszystkich po kolei.

Patrzyłem na przelatujące po ekranie cyferki i wykresy, zmieniające się jak w kalejdoskopie interfejsy i portale. Tknięty nagłym impulsem, sięgnąłem po komunikator, wybrałem numer.

– Halo? No cześć, Saszka! – odezwała się radosnym, szczebioczącym głosem Olga.

– Olga! Olga, to ja, Sasza.

– Wiem, głuptasie, przecież mam twój numer. No co tam?

Była tak radosna, tak spokojna. Tak inna od szalejącego wokół mnie huraganu oblędu.

– Olga, ja...

Urwałem, bo Kulas podniósł dwie ręce tryumfalnym gestem, zamachał do mnie, pokazał na wyświetlacz: jesteśmy w środku!

– Co? Co jest, szary wilku? – zdawała się rozbawiona.

– Olga, ja właśnie... właśnie robię przewał.

– Co?

– Przekręt robię. Ogromny, kosmiczny. Dojebany po całości.

– Ojej! A jaki? Opowiesz?

– Właśnie przejmujemy zakład na Baryszewie. Klasyczne, podręcznikowe, półlegalne wrogie przejęcie. Na górze strzelają, dopiero zajęchało pod budynek FSB. Jest, kurwa, grubo.

– O rany! – zapiszczała z radości. – Ale cudooownieeee! Sasza, ale... ale dlaczego do mnie dzwonisz? Leć przecież, strzelaj?!

– Bo chciałem ci powiedzieć, że cię...

Nie. Nie dam rady. Nie będę w stanie tego powiedzieć.

– ...co?

– Że robię to dla ciebie, Olga.

Cisza. Słyszałem, jak ona oddycha; czułem, jak wali mi serce.

– Sasza. Dziękuję ci. Jesteś zajebisty.

– Ty też. – Machnąłem ręką na Kulasa, który pokazywał mi: kończ, mamy robotę! – A teraz muszę uciekać. Naprawdę muszę.

– Łiii, jak się cieszę! Kawa? Obiad jutro?

– Jeśli mnie nie wsadzą, to tak. Na razie! – krzyknąłem, zrywając połączenie. – No już, już! Widzę!

Kulas zamachał rękami.

– Chudy, zostało piętnaście sekund otwartej uwierzytelnionej bramki! Teraz trzeba podać dane nowego właściciela... Dajemy, jak jest? Czy co?

No tak, bo on nie wiedział. Powiedziałem mu wszystko, aż do tej chwili.

Poczułem, jak świat wiruje, a potem staje w miejscu.

Nabrałem tchu, podając mu czytnik z podpisami moich menelskich żołnierzy.

– Puść przodem dane z tego ich dysku, ale od razu zrób kolejną zmianę na to. A potem podaj...

– Co?! Bo ja tu mam sekundy...!

– Aleksander Khudovec, prezes zarządu i udziałowiec stuprocentowy – powiedziałem, przesuwając dłonią z czipem ponad czytnikiem.

Piknęło, wyświetlił się komunikat: dane przyjęte, protokół zatwierdzony. Kulas otworzył szeroko usta, zdumiony. Mykoła uśmiechnął się leciutko i pokiwał ze zrozumieniem.

A ja odwróciłem się i wyszedłem, zostawiając ich z robotą. Niech dokończą, uporządkują dokumentację. Wyślą to do rejestru firm czy gdzie jeszcze trzeba. Zanim prawnicy to ogarną, zanim ktoś

zrozumie, dlaczego w ciągu jednej godziny zakład zmienił zarząd dwa razy... Oj, tak.

Po co drugi? Ano po to, że nie miałem zamiaru być tym, co okradł dotychczasowego właściciela. Bynajmniej. Tam niech będzie na pierwszym miejscu widać Zarnickiego czy jego spółkę. A ja? Ja po prostu okradłem złodzieja.

Świat był jak za grubą folią, wrażenia docierały do mnie przytłumione: strzały z góry, wołanie ludzi, hałas i wycie syren... Ja słyszałem tylko echo własnych myśli w głowie.

Całe życie robiłem dla innych, wykonywałem polecenia i byłem chłopcem na posyłki. Zawsze pies ogrodnika – sam nie zeżre, innemu nie da.

Dość. Koniec z tym. Teraz naprawdę idę na swoje.

Wróciłem do wartowni, nie zwracając uwagi na wijącego się i rzucającego Maksima, wziąłem z półki komunikator. Wsunąłem w ucho, odezwał się:

– Halo, Zarnicki? Jeden albo drugi, słyszy mnie który?

Kanonada cichła, moi też przestawali strzelać, żeby nie trafić nikogo z milicji.

– Zarnicki, zgłoś się. Zarnicki, słyszysz mnie...?

Czułem, że stoję obok siebie.

– Zarnicki, zgłoś się...

– Tu Zarnicki. Kto wywołuje? – słuchawka nagle się odezwała.

– Kapitan Aleksander Khudovec, do usług. Jak tam, panie Zarnicki? Braciszka już zgarnęło FSB? Może po pięciu, siedmiu latach wyjdzie.

Chwila ciszy.

– Zapłacisz za to. – Głos Zarnickiego był spokojny, wyprany z emocji. – Znajdę cię i wypruję flaki. Tobie i twoim koleżkom. Rozglądaj się dobrze, szcurze miejski, bo od dziś...

– Wadim Daniłow – powiedziałem tylko.

Znów pauza.

– Co?

– Wadim Daniłow, mówię. Sprawdź sobie, kto to taki. A potem zobacz, kto dla niego pracuje. Zobacz, przemyśl i dopiero potem próbuj mi grozić, łysa pało.

Cisza. Posłuchałem szumów jeszcze chwilę, a potem wyjąłem komunikator i wyrzuciłem w cholerę.

Retrospekcja: po południu tego samego dnia

K-Merowo widać było już z daleka: zasnuta czarnym dymem, pokryta czarnym pyłem wyspa pośród czarnego pustkowiec wyrobiska węglowego. Dochodziła właśnie pora obiadu, więc maszyny w większości stały, operatorzy i robotnicy korzystali ze świętego prawa do przerwy regeneracyjnej.

Zawsze pół na pół zazdrościłem i gardziłem ludźmi pracującymi na etat. Ot, wyrabiasz te sześć, osiem czy nawet dwanaście godzin, wracasz do domu i masz wszystko w dupie. Nic cię nie obchodzi, aż do kolejnej zmiany.

A przywaciarze nigdy nie mają wolnego, nawet urlopów nie mają prawdziwych, bo zawsze może ktoś zadzwonić.

Tyle że jeśli uda mi się to, co zamyśliłem, to się właśnie na taki urlop wybiorę. I zabiorę Olgę, i wyłączę komunikator. I będę miał wszystkich w dupie.

Na razie wjechałem pomiędzy brudne, zakurzone wieżowce K-Merowa, kierując się już znaną drogą do siedziby trzymającej to wszystko w garści korporacji.

Na bezczela zaparkowałem brudnego, poobijanego mercedesa pod samym wejściem, na miejscu dla gości. Ochroniarzowi w respiratorze, który już z daleka zaczął się rzucać i gardłować, że nie wolno, powiedziałem krótko:

– Do pana prezesa rady nadzorczej Daniłowa. Dzwon od razu do niego, jak chcesz.

Odpuścił natychmiast, nawet podszedł ze mną do wejścia i otworzył drzwi. Na recepcji też poszło sprawnie, winda wwozła mnie na górę, po drodze automatyczny system czyszczący zdmuchnął ze mnie pył węglowy i wypolerował mi buty.

Tak, to był ten poziom szpanu, przy którym przestawałem czuć się komfortowo. No ale co zrobić? Trzeba było zachowywać pozory.

Wszedłem na puszysty, idealnie tłumiący kroki dywan. Recepcjonistka uśmiechnęła się takim pięknym uśmiechem, że aż mnie coś ścisnęło w dołku, po czym odezwała się niskim, matowym głosem:

– Pan prezes jest w tej chwili na spotkaniu. Zapraszam do jego gabinetu.

Podziękowałem, wszedłem. Usiadłem sobie pod ścianą, próbując ogarnąć dziwaczny wystrój wnętrza.

Tutaj z kolei wszystko było zielone. Zielone biurko, krzesła obite zieloną skórą. Zielony dywan, zielony anatomiczny fotel. Zielone

pierdółki biurowe, zielony monitor... Zielony kubek z napisem: „Dla najlepszego tatusia”.

I patrzący na mnie ze ściany goryl.

Wiedziałem, że to goryl, bo widziałem takiego kiedyś w zoo. Normalni, ohydnie bogaci, pozbawieni gustu i wyczucia estetyki ludzie mają na ścianie, nie wiem, obrazek z końmi biegnącymi przez wodę? Jelenia na rykowisku? Zrywającego się do lotu orła na tle zaśnieżonych gór? A ten miał wielki, taki półtora na półtora metra, portret goryla.

Małpa była w dodatku wypukła, więc wystawała z ramek, patrząc na mnie z obrotu trzy czwarte. Miała takie absurdalnie wielkie, jarzące się błękitem oczy... Ki czort? Co trzeba mieć w głowie, żeby powiesić coś takiego w biurze?

– Podoba się wam? – odezwał się Daniłow, stojący w drzwiach.

Zerwałem się od razu, wyciągnąłem do niego rękę, bo już szedł, żeby się przywitać.

– Jest bardzo... ciekawa – wyraziłem swoje uczucia w sposób bezpieczny.

– To nie wszystko, bo jeszcze kolory się zmieniają. O, patrzcie! – Przesunął suwak na blacie biurka, kolor oczu małpy powoli przeszedł w odcień czerwieni, potem w pomarańcz i żółć. – To w zależności od nastroju się reguluje. Tak mi terapeuta mówił, że koloroterapia to bardzo dobra rzecz. A wy, towarzyszu kapitanie, coś zdenerwowani jesteście.

– Zmęczony nieco, towarzyszu dowódco. Nie zdążyłem odpocząć.

– Odpoczynek to podstawa dobrego dnia. Przyjedźcie do mnie na daczę, tam mam basen, jest nawet kawałek lasu posadzony. A na co dzień radzę wam: oddychajcie niebieskim. Niebieski uspokaja.

Pokiwałem głową. Daniłow był ubrany, oczywiście, na niebiesko. W zielonym gabinecie wyglądał jak krzaczek obsypany jagodami pośrodku pierwotnej dżungli.

– Przyjechałem do was... – zacząłem.

– Po zaproszenie pewnie? Nie ma jeszcze, nie wydrukowali. Chyba zmienię firmę organizującą, bo ci są beznadziejni. Rozmawiam z kobietą, a ona w trakcie inny telefon odbiera!

– To faktycznie nie do przyjęcia. Jednak ja przyjechałem w innej sprawie.

Daniłow przekreślił głowę z zaciekawieniem.

– Słucham was, Aleksandrze Wasiliczu.

– Chciałbym... – zaczerpnąłem głęboko tchu – przyjmą waszą propozycję pracy. Na etacie. Ze skutkiem natychmiastowym.



Wyrzuciłem komunikator i ruszyłem korytarzem ku wyjściu.

Wiedziałem, że Zarnicki to niebezpieczny drań. Wiedziałem, że nie puści mi czegoś takiego płazem. Co mogłem więc zrobić? Ano nic. Nic poza schowaniem się za plecami kogoś wielokrotnie potężniejszego od siebie.

Nie odważą się ruszyć człowieka faktycznie należącego do oligarchy z K-Merowa. Zastanowią się dwa albo i trzy razy. Sam bym się zastanowił.

Lampy zapalały się, kiedy szedłem ciemnym, pachnącym pieniędzmi i wysoką technologią wnętrzem. Drzwi otwarły się bezszelestnie, wypuszczając mnie na dwór.

– Do widzenia, prezesie Khudovec – odezwał się komputerowo wygenerowany głos.

Stałem na schodach, patrząc na rozgrywające się przed zakładem pandemonium. Syreny wyły wniebogłosy, światła migwały jak dzikie. Milicjanci wołali do wciąż chowających się za samochodami ludzi Zarnickiego, żeby złożyli broń; ci wychodzili pojedynczo, po dwóch, rzucając karabiny na ziemię.

Oj, Kojot i jego ludzie będą mieli roboty papierkowej co niemiara, żeby to wszystko ogarnąć i spisać.

Przez powybijane okna widziałem twarze: Wania, Pasza, Jegor i Anton, wciąż trzymający wyznaczone im pozycje na piętrze zakładu.

Mój nowy zarząd mojego nowego zakładu.

To wszystko było teraz moje. I sztuczne drzewa przy wejściu, i schody, i wywalona brama, i potłuczone okna.

Mój plan.

Moi ludzie.

I teraz to był mój zakład.

Mój zakład, który niedługo będzie produkował najlepszą, najczystszą syntadrenalinę, o jakiej słyszała cała Federacja.

– Tato... – Zadarłem głowę ku niebu, po którym przewalała się błękitna zorza. – Jeśli tam jesteś i to widzisz, to mam nadzieję, że jesteś dumny.

Nie byłby dumny, bo ojciec był człowiekiem na wskroś porządnym. No cóż, czasami jabłko pada nieco dalej od jabłoni.

Odetchnąłem głęboko gorącym, śmierdzącym powietrzem NeoSybirka. Gdzieś tam, daleko, były wszystkie niedokończone

sprawy i luźne wątki, których nie dałem rady jeszcze pozbierać.

Szlak trupów, konstelacja powiązanych ze sobą firm. Jakieś dziwne układy i układziki. Idący moimi śladami zabójca i przewalająca się kasa tak ogromna, że aż trudno było ją sobie wyobrazić.

Przyjdzie czas i na to.

Na razie zdołałem wyjść z tego żywy i złapać przyczółek czegoś, co może kiedyś, przy dobrych wiatrach, stanie się załączkiem dobrobytu. A wtedy na spokojnie pomyślę, o co chodziło w szerszym ujęciu.

Coś mówiło mi, że prawdziwa zabawa dopiero się zacznie.

Koniec tomu 1



Spodobał Ci się Neosybirsk?

Wejdź na **sybirpunk.pl**

i weź udział w Ustawce!



STEELHOG.PL



**NAJLEPSZE DODATKI
DO FABRYCZNYCH LEKTUR**

NEO SYBIRSK

MICHAŁ GOŁEKOWSKI



Przyszłość

– sterylnie czyste miasta, uporządkowane społeczeństwa i służąca ludzkości zaawansowana technologia... – No nie, sorry, ale nie.

Przyszłość to NeoSybirsk: rozpadająca się, sklecona na sznurek i szmatę cywilizacja pokryta węglowym pyłem. Cuchnące zaułki, w których można stracić życie za butelkę wody. Syntetyczne jedzenie, trujące powietrze i ludzie tak napakowani cybernetyką, że właściwie nie wiadomo, czy jeszcze są ludźmi.

W takim świecie żyje Sasza Khudovec, zwany Chudym – facet od załatwiania spraw trudnych.

Tym razem został windykatorem i ma odzyskać pieniądze, które jeden paskudnie bogaty oszust ukradł drugiemu obrzydliwie nadzianemu oszustowi. Pieniądze są ogromne, prowizja Chudego – niebagatelna. Szybko jednak okazuje się, że nie zarobi swojej forsy ani łatwo, ani bezpiecznie, a problemy związane z tym zleceniem są zaledwie wierzchołkiem wielkiej góry lodowej. Orkiestra gra do samego końca, silniki idą pełną mocą naprzód, zaś Chudy pędzi na zderzenie czołowe.